

CYKL Z ERASTEM FANDORINEM

BORIS AKUNIN

— NIE
ZEGNAM
SIE —

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Table-talk 1918 roku

Czarna prawda

Ku areba raku ari

Qi bawi się w chowanego

Dziwna podróż

Bohaterowie Plewny

To nie takie proste

Kierownik spółdzielni

Wolny wybór

Najlepsi z najgorszych

Kaprysy fortuny

Koniec dochodzenia

Sąd braterski

Znalazła się!

Czerwona prawda

Wuczeka i Czekałap

Na pusty haczyk

Lokal konspiracyjny

W koło Macieju

Niespodzianka

Wóz albo przewóz

Kwarantanna

Piłkarze

Szachiści

Dowcipnisie

Operacja Zaufanie

Sentymenty

Zielona prawda

Bujda na resorach

Dziwny pielgrzym

W dół rzeczki

Trzech panów w łódce, nie licząc psa

Zielona Szkoła

Straszydło

Oj...

Jelizawieta Trzecia?

Chwila się zatrzymała

Biała prawda

Z kretynami ciężko

Pochmurne szczęście

Życie w świecie *Yin*

Zaja i Shū-Shā

Zajmująca antropologia

W Port Artur

Kwiatek śliwy na uschłej gałęzi

Środek na ból zębów

Adiutant jego ekscelencji

Dwie sprawy – nieduża i mała

Nie żegnam się
I o pogodzie

**BORIS
AKUNIN**

**NIE
ZEGNAM
SIĘ**

Z ROSYJSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
Aleksandra Okuniewska-Stronka


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
Nie proszczajus

Wydawca
Urszula Ruzik-Kulińska

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Maria Wirchanowska

Korekta
Jadwiga Piller

Copyright © B. Akunin, 2017

Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Okuniewska-
Stronka, 2019

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewiczza 2

Warszawa 2019

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Akces

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-813-9392-8

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Table-talk 1918 roku

U schyłku dnia, już o zmroku, dworzec nagle się ożywił. Rozeszły się słuchy, że będzie pociąg do Moskwy. Przedwczoraj pod Iwaszczenkowem miejscowi wyjęli szynę – zatrzymali i obrabowali pospieszny. Uszkodzenie niewielkie, ale nie miał kto naprawić – brygada remontowa uczestniczyła w wiecu.

I nagle pociąg! Skądś się dowiedziano, że pojedzie bocznica Fabryki Siergijewskiej i że skład zostanie podstawiony na trzeci peron. Tam właśnie wszyscy ruszyli, chwytając toboły, walizki i dzieci.

Dworzec w Samarze, jeden z najlepszych w cesarstwie, w rok po jego haniebnym zgonie podupadł, niczym Baron ze sztuki pisarza proletariackiego, Gorkiego: zaniedbany i odrapany sięgnął dna. Przestano go ogrzewać już w grudniu, toteż mroźną zimową porą dwa górne piętra stały puste; biegano tam z dołu za potrzebą i załatwiano ją, gdzie popadnie. Dworcowe ustępy były nieczynne. Poczekalni na parterze też nie ogrzewano, ale tutaj nie było zimno. Na ławkach, parapetach i ladach bufetów, a także na podłodze siedzieli i leżeli ludzie, ogrzewali powietrze oddechami, dymem papierosowym, kaszlem i przekleństwami.

Mniej więcej połowa tej szaroburej masy poderwała się na nogi. Druga połowa, udająca się w inną stronę, na wschód, pozostała na miejscu.

Słuchy okazały się prawdziwe. Niebawem, buchając siwą parą, na peron wtoczył się pociąg, niedługi, za to pasażerski, a nie towarowy: z przodu wagon niebieski, pierwszej klasy, za nim żółty, drugiej klasy, no i trzy zwyczajne, zielone.

Przy wejściu do każdego wagonu natychmiast zrobił się tłok, największy oczywiście przy niebieskim. W imię równości i braterstwa wszystkie bilety były jednakowe, bez miejsc i – ma się rozumieć – bez klasy: jedziesz, gdzie usiądziesz. Jeżeli usiądziesz.

Milicjant z czerwoną opaską na rękawie i jeszcze jedną na czapce uderzył kolbą karabinu o peron.

– Do kolejki, obywatele! Okazywać bilety!

Ale zamiast kolejki wyszło według Karola Darwina – silniejsi i sprytniejsi przecisnęli się i odepchnęli resztę. Na samym początku znalazł się niemłody niziutki Azjata ze skośnymi oczami – Chińczyk, a może Kirgiz. Rewolucja jak miotła wygarnęła z rosyjskich kresów najprzeróżniejszych ludzi; do tej pory nie widywano takich na prowincji, a nagle wszyscy poczuli się obco na swoich miejscach, więc na drogi wyległa ciżba ludzka, wzbijając tumany kurzu i wirując na podobieństwo trąby powietrznej.

– Gdzie się pchasz z tym tobołem?! – wrzasnął milicjant.

Podobała mu się rola naczelnika, wprowadzie mało znaczącego, za to z karabinem. Nadeszły takie czasy, że bez stanowiska i broni człowiek stał się nikim.

Rzekomy Chińczyk miał rzeczywiście przerzucony przez ramię olbrzymi, długi zwój baranicy, chyba niezbyt ciężki – mikrus lekko go przytrzymał.

– Czego tu podsuwasz bilet, dzikusie? Był dekret: z dużym bagażem nie wolno. W ramach walki z paskarzami i spekulantami.

– Mam dwa bilety, szanowny panie – powiedział Azjata, kłaniając się razem ze swoim brzemiem. – Dwa miejsca.

Dobrze mówił po rosyjsku, tylko niezbyt czysto wymawiał literę „l”.

– Nie wolno! Idź stąd, nie tarasuj przejścia! Kto następny?

Nierozgarnięty Chińczyk nie ruszył się z miejsca, jego okrągła

twarz jaśniała uśmiechem.

– Dwa bilety – dwa miejsca, szanowny panie – powtórzył.

Olbrzymia dłoń z niebieską kotwicą opadła z tyłu na jego ramię. Potężny marynarz, o głowę wyższy od tłumu, odezwał się basem do uparciucha:

– Głuchy jesteś czy głupi? Słyszałeś, co się mówi? Zjeżdżaj, póki nikt cię nie zepchnął pod wagon.

Nie odwracając się i nie przestając uśmiechać, Azjata odparł:

– Odczep się, wszarzu.

Nieznacznie cofnął wolny łokieć i marynarz przestał być tak wysoki – zgiął się wpół.

A milicjantowi Chińczyk oznajmił:

– Jesteście rozgniewani, towarzyszu, bo źle się czujecie. Musicie poleżeć.

– A co, może jesteś doktorem? – Mundurowy się obruszył. – No to dalej, wylegitymuj się.

– Doktorem, doktorem. – Azjata pokiwał głową. – O, tutaj, bardzo was boli.

I dźgnął milicjanta palcem w żołądek. Chyba naprawdę bardzo bolało, bo funkcjonariusz państwowy jęknął, zbladł jak ściana, upuścił karabin i się zachwiał.

– Słabo mu – wyjaśnił Chińczyk innym pasażerom, troskliwie chwytając milicjanta za kołnierz. – Poleży trochę. Odsuńcie się, obywatela... Bardzo dziękuję.

To mówiąc, ułożył zemdłonego strażnika socjalistycznej praworządności na peronie i poprawiając bagaż, nieśpiesznie wspiał się po stopniach. Za nim cisnęła się reszta.

W wagonie okazało się, że ci, których skusiła pierwsza klasa, przeliczyli się. Niedawno jechali nią do domu z frontu Kozacy ussuryjscy, a że nie chcieli rozstawać się ze swoimi końmi, więc schludny wagon, podobnie jak dworzec w Samarze, padł ofiarą rewolucji. Kwaśny zapach końskiego potu na dobre wbił się w ściany, a przepierzenia, półki, stoliki i kanapy spłonęły

w ognisku, po którym na podłodze, pośrodku zdewastowanej pustej przestrzeni, pozostała wypalona dziura. Ocalał tylko jeden przedział z brzegu. Pośpieszyli do niego ci, którzy wpadli do wagonu pierwsi, chociaż trudno to nazwać „pośpiechem”. Nikt nie ośmielił się wyprzedzić uprzejmego Chińczyka z jego ciężkim brzemieniem, on zaś poruszał się powoli i statecznie. Dopiero gdy się rozejrzył i usiadł, ulokowawszy pionowo swój toból przy oknie, do środka rzucili się najzuchwalsi. Drugi wpadł wysoki jak dąb marynarz, który przyszedł już do siebie po uderzeniu łokciem.

– Ja na górę, zgoda? – zapytał z szacunkiem i zajął strategiczne miejsce – jedną z półek na bagaż, gdzie mógł się wyciągnąć na całą długość.

W ślad za nim szturm na przedział przypuściła dziarska młodzież. Dwóch dworcowych wyrostków trudniących się zajmowaniem dobrych miejsc, które potem odstępowali za opłatą, ulokowało się w przedziale – jeden, jasny blondyn, przy oknie naprzeciwko zwoju Chińczyka, drugi, rudy, na wolnej półce bagażowej. Obok blondyna na siedzenie opadła dziewczyna zakutana niemal po uszy w purpurową chustę. Tuż za nią wparował postawny zasapany chłopak w gimnazjalnym szynelu i w kaszkiecie.

– Hopla, siedzę! – zawołała z radością dziewczyna. – Nie wstanę, choćby mnie siekano na kawałki!

Gimnazjalista powiedział:

– Vene, vidi, vici. Uf!

Ostatnie, ósme miejsce, koło Azjaty, przypadło sprytnemu popu, który prześliznął się pod pachą jakiegoś ofermy.

– Ej, ojczulku, nieładnie – powiedział oferma. – Byłem przed wami!

Odwijając srebrny krzyż kapłański z szala domowej roboty, świętobliwy mąż rzekł pouczająco:

– Powiedziano przecież w Ewangelii, mój synu: „Tak właśnie

ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi”. Czy nam, grzesznym, wolno się przeciw temu buntować? Jak chcesz, pobłogosławię cię trzykrotnym znakiem krzyża. Nie? No to trudno.

Po czym zaczął się wiercić, moszcząc tak pieczołowicie, że od razu było wiadomo: ten też nie ustąpi, choćby go ćwiartowano.

Przedział się zappełnił, jednakże skład osobowy nie był jeszcze ostateczny.

– Komu miejsce leżące, wygodne? A komu najlepsze przy oknie? – wrzasnęli chłopcy.

– Po ile? – zapytał ofermą, którego ubiegł pop.

Usłyszawszy cenę – sto rubli – splunął i poszedł.

Miejsce przy oknie wykupiła pucłowata baba w kożuszku – wytargowała za siedemdziesiąt kierenek[1] i gotowane jajko. Nieletni kombinator wsunął zdobycz do czapki i znikł.

Drugi, rudy, nie miał szczęścia. Jakiś ogolony obywatel w krótkiej bekieszy i kubance, zamiast zapłacić, w milczeniu chwycił wyrostka za kołnierz i wyrzucił za drzwi.

– Pewnie żeś kontra[2]! – pisnął chłopaczek. – Zaraz poczęstuję cię nożem!

Ale ogolony mężczyzna nieprzyjemnie cmoknął językiem i wyszczerzył zęby, błyskając złotą koronką. Chłopak czmychnął.

*

I tak w niebieskim wagonie sformowała się arystokracja pociągu, zajmując jedyny przedział. Pozostali pasażerowie ulokowali się na podłodze i pod ścianami w środkowej części wagonu. Bez dzwonek i zapowiedzi, na rewolucyjną modłę, parowóz szarpnął, wagony drgnęły i zadudniły, skład ruszył.

Tu-tuuu! – zahuczało w mglistym marcowym zmierzchu.

– Niech Pan strzeże wędrowców i podróżnych – zaintonował

śpiwnie duchowny – a koniec drogi będzie lepszy niż początek, bo inaczej po co jechać?

– Święta prawda – przyznał obywatel ze złotym zębem, zręcznie wskakując na górną półkę. – Paskudne miasto. Niech je licho porwie.

– Co wy mówicie, towarzyszu? Mam w Samarze dom i rodzinę – z wyrzutem powiedziała baba, ale ugodowo, bez złości.

Wszyscy byli bardzo zadowoleni, że tak dobrze się ulokowali.

Zajrzał konduktor – okazuje się, że w pociągach bywali jeszcze konduktorzy.

– Reszcie nie proponuję. – Niedbale wskazał brodą wagon. – Ale wam, jeśli chcecie, mogę wydać naftę. Osiemdziesiąt rubelków za pół kwarty. Wystarczy światła do samej Moskwy, jeśli oszczędnie gospodarować.

Elektryczności, ma się rozumieć, nie było, zresztą po lampach zostały tylko czarne dziury, ale z sufitu zwisała lampa naftowa, jeszcze niezapalona.

Kwota była oszałamiająca, nikt jednak nie miał ochoty podróżować w ciemnościach, pasażerowie już teraz ledwie się widzieli.

– Zrzucimy się po dziesięć od łebka? – zapytała baba i wyjaśniła Chińczykowi: – Wy, towarzyszu, zajmujecie dwa miejsca, więc od was należy się dwadzieścia.

Ten ukłonił się, nie wnosząc sprzeciwu, ale z innymi podróżnymi pojawił się kłopot.

– Nie mam wcale pieniędzy. – Gimnazjalista westchnął. – A w ogóle spać można po ciemku, tak jest nawet lepiej.

Dziewczyna też odmówiła.

– Wysiadam na pierwszej stacji, jestem spod Biezienczuka. Czemu mam płacić za Moskwę?

Pop wyrecytował wiersz:

Gęstego mroku nie rozproszy

Lampy światelko wątle.
Tarcza wiary ciemności spłoszy
I modlitwy gorące.

– Jak sobie chcecie. – Konduktor wzruszył ramionami.

W tej samej chwili mężczyzna ze złotym zębem wychylił się z góry, szerokim gestem wsunął mu do ręki banknot.

– Masz stówkę, szefie. Reszty nie trzeba. Płacę za całe miłe towarzystwo. Znajcie Jaszę Czarneego.

Gdy żółtawe rozkołysane światło rozjaśniło przedział, podróżni mogli się sobie lepiej przyjrzeć. Wdali się w rozmowy – osobliwe, typowe dla czasów rewolucji, kiedy to każdy najpierw jest ostrożny i nie podaje nazwiska. („Złoty ząb” się nie liczył – to wątpliwe, by nazywał się Jasza i w dodatku Czarny).

Najrozmowniejszy okazał się ojczulek. Oznajmił, że sprawuje pieczę nad parafią w powiecie syzrańskim, odwiedzał przewielebnego w Samarze, bo zabrakło dziekana i od dawna nikt mu nie płaci pensji, ale jego wyprawa – cóż poradzić, wola boska – okazała się daremna, niepotrzebnie się wykosztował, ponieważ w domu diecezjalnym ulokował się teraz komitet biedoty, mówi się jednak trudno, przeżyjemy i bez pensji, Pan Bóg nie opuści w potrzebie, ojciec rektor w seminarium często powtarzał: „Dobry pop nigdy nie zginie”.

Dziewczyna była w mieście służącą u „abwokata”. Ale i on cienko przedzie, no bo komu teraz potrzebne jakieś prawa, innych panów też już nie ma, dokąd więc pójść na służbę? A w domu ojciec z matką, narzeczony wrócił z frontu.

Baba trudniła się wymianą. Z Samary woziła potrzebne towary na wieś, do Samary żywność.

– A gdzie masz towar? – z niedowierzaniem zapytał Jasza. – Wyglądasz, jakbyś jechała na pusto.

Kobieta się zawahała – powiedzieć czy nie? Korciło ją jednak, żeby się pochwalić. Sięgnęła pod spódnicę, brzęknęła o stolik

niedużym woreczkiem.

– Patrzcie. Funt igieł. Baby we wsi nie mają czym szyć. Za jedną igłę dają worek mąki.

W czasach rewolucji było to niesłychane bogactwo. Wszyscy umilkli z szacunkiem. Tylko Jasza nie krył wątpliwości.

– Może i dadzą, ale jak przewieziesz wszystko do miasta? Do tego potrzeba przecież paru furmanek. Konie, wozy. No i zabiorą ci mąkę na rogatkach. Mogą też skrócić o głowę za spekulację. Nie stanie skórka za wyprawkę.

Baba mrugnęła chytrze.

– Mam kuma na kolei. Ubiliśmy interes. Ja mu daję połowę mąki, a on ją dostarcza w nienaruszonym stanie.

Teraz zyskała jeszcze większy szacunek.

Później gimnazjalista rozbawił cały przedział.

– Ja też jadę na wieś z towarem. Mam tutaj – poklepał się po piersi – album ze znaczkami. Zbierałem je przez całe życie, od drugiej klasy. Kolonialne. Latem proponowano mi za nie szwedzki rower i karabin. Odmówiłem i słusznie zrobiłem. Nie oddam tanio.

Śmiali się z niego serdecznie – pop, zasłaniając usta dłonią, kobiety z piskiem, Jasza na całe gardło. Zwłaszcza gdy młodzik zamrugał oczami i wybąkał:

– Przecież nie wiem, co brać. Pierwszy raz jadę.

Ogólnej wesołości nie podzielali tylko marynarz, który zaraz po opuszczeniu stacji naciągnął kurtkę na głowę i zaczął chrapać, oraz Chińczyk – ten wciąż przesuwiał swój toból i chyba niezbyt dobrze rozumiał rosyjski.

– A wy, towarzyszu, w jakim celu podróżujecie? – zadzierając głowę, zapytała baba Czarnego i szturchnęła sąsiadkę w bok, bo z góry nie było widać.

– Jestem ziemskim wędrowcem – odparł właściciel miejsca sypialnego. – Obserwuję życie.

– Już my znamy takich obserwatorów, lepiej pilnuj rzeczy –

szepnęła spekulantka dziewczynie do ucha i schowała bezcenny woreczek z powrotem pod spódnicę.

Przyszła kolej na Azjatę, na którego od początku popatrywano z ciekawością, ale po hecy z milicjantem trochę się go obawiano.

– Wy, obywatelu Chińczyku, pewnie wieziecie belę materiału na wymianę? – zapytała wścibska kobieta. – Na perkal zawsze jest zapotrzebowanie. Ale jeśli to chiński jedwab, trzeba znać miejsca. Mogę podpowiedzieć.

– Nie – krótko odparł tamten, rozwijając nie wiedzieć po co górę tobołu.

– Co, przepraszam, nie? – uczepiła się baba, nie doczekawszy się dalszego ciągu.

– Nie jestem Chińczykiem, tylko Japończykiem. A to nie jest materiał.

Odchylił skraj zwoju i rozsunał flanelę – w szparze ukazała się blada twarz z białymi włosami i schludnymi czarnymi wąsikami. Była nieruchoma, powieki miała smutno zamknięte.

– Nieboszczyk! – pisnęła dziewczyna, kuląc się ze strachu.

Pop się przeżegnał, Jasza Czarny zażartował rubasznie, a baba tak przeraźliwie wrzasnęła, że marynarz obudził się i poderwał, ale się nie odezwał – nic z półki nie widział.

– To żaden nieboszczyk, tylko mój pan. Teraz śpi – rzekł surowo Japończyk, przecierając chustką czoło dziwnego towarzysza.

Gimnazjalista gwizdnął z zachwytem.

– Nieźle. Wygląda jak Lord Ruthven!

*

Masa wiedział, kto to taki Lord Ruthven. *Kyuuketsuki* ze starej angielskiej powieści. *Kyuuketsuki* to istota z zaświatów. W ciągu dnia śpi, nocą wysysa ludzką krew.

Chłopak nawet nie podejrzewał, że jego domysły są bliskie prawdy. Pan rzeczywiście spał. I rzeczywiście spożył dzisiaj na obiad ludzką krew.

Ostatnia porcja krzepiącego roztworu według receptury profesora Kiriczewskiego skończyła się wczoraj, w całej Samarze nie znalazło się ani kropli głównego składnika, tłuszczu z dorsza. Dlatego Masa nakarmił pana swoją krwią, dodając do niej trochę mąki.

Jeszcze na samym początku, w przeklętym Baku, profesor oznajmił: „Ranny zachował odruch połykania, to znaczy, że umrze nie od razu. Pożyje jeszcze z miesiąc albo dwa. Jeśli można to nazwać życiem”. Wypowiedział te słowa w lipcu czternastego roku, teraz jest marzec osiemnastego, a pan wciąż żyje. Jeśli można to nazwać życiem.

Kula przeszła prawą górną część czaszki. Od śmierci uratowało pana tylko to, że rewolwer był niedużego kalibru. Podarowała go zabójcy kobieta, która kochała pana. Masa nie miał pojęcia, co to było: miłosierdzie karmy czy jej zjadliwa drwina. Może byłoby lepiej, gdyby tamten *akunin* użył zwyczajnej czterdziestki i pan umarłby od razu, a nie wpadł do czarnej dziury, skąd nie można go wyciągnąć.

– To zdumiewające – powiedział luminarz neurochirurgii Kiriczewski już w moskiewskiej klinice parę miesięcy później. – Pan Fandorin nie umiera, ale i nie żyje. Na szczęście współczesna nauka niewiele wie na temat funkcjonowania mózgu.

– Dlaczego na szczęście? – zapytał wtedy Masa.

Sensei, mądry człowiek, odrzekł:

– Bo gdy wiedza nie jest jednoznaczna, pozostaje nadzieja na cud. O mózgu wiadomo, że rządzi się własnymi prawami i potrafi samorzutnie odtwarzać połączenia czynnościowe. W miejsce zniszczonych mogą powstać nowe, okrężne. Zdaje się, że chorego cechowała fenomenalna aktywność mózgowa i motoryczna? Tacy ludzie najczęściej wychodzą ze śpiączki. – Wprawdzie po

tych pocieszających słowach *sensei* dodał jeszcze: – Ale nawet w tym wypadku na skutek ciężkiego uszkodzenia prawego płata czołowego chory po odzyskaniu przytomności przeważnie staje się idiotą.

Później było jeszcze wielu profesorów. Każdy mówił co innego. Ubiegłej jesieni, gdy na skutek rewolucji zrobiło się krucho z lekarstwami, Masa zadał sobie pytanie: Może nie trzeba dłużej męczyć biednego ciała, w którym nie ma duszy? Wystarczy zacisnąć palce i wszystko się skończy. Pan na pewno by tego zażądał, gdyby mógł mówić. Z drugiej strony, gdyby mógł mówić, po co zaciskać palce?

Gdy udręki Masy stały się nie do zniesienia, Kiri-sensei (tak w skrócie nazywał Japończyk profesora Kiriczewskiego) powiedział, że w Samarze nad Wołgą jest pewien chiński uzdrowiciel, pan Chiang, który osiąga niebywale efekty drogą przypiekania i nakłuwania małymi igłami. Kolega z tamtejszego szpitala wojskowego napisał profesorowi, że Chińczyk przywrócił do przytomności rannego, któremu szrapnel uszkodził czaszkę jeszcze pod Peremyszlem w piętnastym roku. Co prawda wszystkie funkcje intelektualne zostały naruszone, ale mężczyzna sam chodzi, je i reaguje na proste polecenia.

Masa spróbował wyobrazić sobie pana reagującego na proste polecenia – nie udało się. Pan nigdy nie podporządkowywał się czyimś poleceniom. Mimo to Japończyk zaczął się szykować do drogi. Pociągi jeszcze wtedy kursowały, nawet można było zamówić ambulans sanitarny na dworzec.

W ciągu pięciu miesięcy spędzonych w Samarze kraj z niesłychaną prędkością, a nawet z przesadną brawurą, obrócił się w gruzy, jakby przez tysiąc lat czekał tylko na powód, żeby ulec ruinie. Masie nie podobała się rewolucja – z bardzo prostej przyczyny: utrzymanie inwalidy w tych czasach stało się najpierw trudne, a potem zupełnie niemożliwe. Pieniądze gwałtownie traciły na wartości, wszystkie towary i artykuły

spożywcze, nie mówiąc już o lekarstwach, zniknęły z półek, nigdzie nie przestrzegano porządku. Było to tym bardziej przykre, że seansy Chianga-senseia przynosiły efekty. Lord Ruthven? Gdyby tylko chłopak mógł zobaczyć pana przed Samarą. Chudy i blady, wyglądał jak mumia egipska. Igły i gorące zioła chińskiego znachora sprawiły, że się zaokrąglił i poróżowił – przypominał *Momotarō*, Brzoskwinowego Chłopca z bajki. Czasami poruszał ustami, jakby z kimś rozmawiał. Jeszcze chwila i może by się ocknął. Jednakże Chiang-sensei oświadczył, że nie zostanie dłużej w Rosji, bo wszyscy tutaj powariowali. Powiedział, że w Chinach też jest rewolucja, ale skoro musi żyć wśród pomyleńców, woli wśród swoich. Po czym udał się do Nankinu. I co, Masa miał go zatrzymać siłą?

*

– To się nazywa koma – wyjaśnił Japończyk towarzyszom podróży. – Greckie słowo. Oznacza głęboki, głęboki sen. Pan głęboko, głęboko śpi już czwarty rok. Przespał wojnę i rewolucję.

– Szczęściarz. – Kobieta westchnęła. – Ja też położyłabym się do łóżka w czternastym roku i poprosiłabym: „Obudźcie mnie, dobrzy ludzie, gdy życie znowu będzie normalne”. Bo to mu źle? Wszyscy się biją, wyrzynają, okradają, a on, patrzcie tylko, śpi sobie jak gdyby nigdy nic.

– Głupia! – wrzasnął Masa na durną babę. – Gdyby pan nie zasnął głęboko, głęboko w czternastym roku, do niczego by nie doszło: ani do wojny, ani do rewolucji. On by nie dopuścił.

Krzyk sprawił, że baba zamrugła oczami, reszta też ucichła.

Popatrują po sobie. Uznali, że mam coś z *atama*, stwierdził Masa i westchnął. Tak długo nie posługiwał się ojczystym językiem, że zaczął myśleć po rosyjsku, czasami jednak przywoływał w pamięci japońskie słowa, żeby na dobre nie

zapomnieć *nippongo*.

– To nic. Pan się obudzi, a wtedy zobaczymy – powiedział z groźbą w głosie, zwracając się nie do sąsiadów, ale w przestrzeń.

– Trzeba pokładać ufność w prawosławnym Bogu i się modlić – poradził duchowny. – W czasach licznych okropności zdarza się też wiele cudów. Jak to się mówi, „zaczynij się modlić, a Bóg dopełni reszty”.

– Modliłem się do Boga. Do prawosławnego i do nieprawosławnego. Modliłem się do różnych bogów.

– Widocznie w nieodpowiedni sposób. Mówię to jako profesjonalista. – Pop się ożywił. – O ulgę w cierpieniach duchowych trzeba się zwracać nie wprost do Pana, tylko przez Bogarodnicę, pocieszycielkę wszystkich strapionych. Zaraz pokażę. – Wzniósł oczy ku zakopconemu sufitowi i z przejęciem oraz płaczącym drzeniem zaintonował: – Święta Boża Rodzicielko, orędowniczko nasza, wstaw się do swojego czcigodnego Syna o ocalenie obłąkanego... jak mu na imię?

– Erast.

– Obłąkanego Erasta. Spójrzij nań z góry i przywróć mu rozum.

– Amen – powiedział Masa z westchnieniem.

Po chwili zastanowienia zrobił znak krzyża. Gorzej nie będzie. Marynarz spoglądał na nich z góry.

– Tfu! Lepiej byście się wzięli do roboty, cerkiewne darmożjady. Tylko macie ludziom w głowach i napychacie sobie brzuchy.

– Coś by się rzeczywiście zjadło. – Świętobliwy mąż wcale się nie obraził. – Pora na wieczerzę, bracia i siostry.

Wszyscy zabrali się do kolacji, każdy do swojej. Gimnazjalista wyjął kanapkę z kotлетem, dziewczyna pajdę chleba posypanego solą, marynarz żwawo wypakował śledzia, Jasza Czarny chrupał coś na górze.

Posiłek baby był najsolidniejszy i najobfitszy. Wyjęła gotowane jajka, z dziesięć ziemniaków i błyskawicznie zarzuciła stół skorupkami i obierkami.

– To nie grzech tak się opychać podczas Wielkiego Postu? – zapytała z pełnymi ustami duchownego, który posilał się plastrami starannie pokrojonej kiełbasy.

– W podróży wolno spożywać niepostne jadalno, gdy nie ma innego – odparł ojczulek. – Ale jeżeli podzielisz się ze mną płodami ziemi, moja córko, zaniecham grzechu jedzenia wieprzowiny.

Baba coś odmruknęła, a Masa westchnął. On też miał za pazuchą kawałek wieprzowiny, półfuntowy poleć słoniny, który musiał mu starczyć do Moskwy. *Hee* – powiedziała by ktoś Masahirze Shibacie w czasach dalekiej jokoamskiej młodości na wieść, że będzie się żywił zleżałym tłuszczem dawno zdechłej świni – zwymiotowałbyś. Ale w drodze słonina jest bardzo przydatna. Dużo się nie zje tego *kuso*, bo jest obrzydliwe, za to dodaje sił. Będzie przecież musiał nakarmić pana krwią jeszcze ze dwa razy.

– Chyba minęliśmy Iwaszczenkowo – oznajmiła spekulantka, wpatrując się w ciemność za oknem, gdzie nie paliło się żadne światełko. – Żeby tylko dojechać do Bezenczuka, później już nie rabują.

– A niby kto rabuje? – zapytał marynarz, też wbijając wzrok w czerń.

– Licho wie, co to za jedni. Położą kłodę na szyny, to znaczy maszyna stop. Później chodzą po wagonach i rabują.

– A gdyby się nie zatrzymywać? Wielkie mi rzeczy kłoda. Trach ją kołami i naprzód.

– Zaczną ostrzeliwać parowóz. Dobrze, jeśli ze strzelb, ale mogą z karabinu maszynowego – powiedział gimnazjalista, kuląc się nerwowo. – W ubiegłym tygodniu pod Syzranem zginął maszynista, pociąg wypadł z szyn na zakręcie. Było wielu

zabitych i okaleczonych. Nie można się nie zatrzymać.

Pop się przeżegnał.

– Rozbestwili się, zbóje. Za nic mają ludzkie życie.

Podróżnik obserwator też znał lokalny problem.

– To sprawka miejscowych. Żołnierstwo wróciło z frontu. Rozumiem ich. Po co mają naginać karku, łatwiej uprawiać rozbój na drodze. Prymitywne bestie. – Zwiesił się z góry i wyszczerzył w stronę pasażerek. – Najpierw zaglądną babom i młódkom pod spódnice. Wiedzą, gdzie wasze siostry chowają łapówki.

Dziewczyna nie przestraszyła się, parsknęła śmiechem.

– Ja tam niczego nie chowam, chyba że to co każda panna.

Jasza cmoknął lubieżnie, gimnazjalista zerknął z ukosa na sąsiadkę, marynarz zarechotał, baba jednak się zaniepokoiła.

Znowu wyjęła bezcenny pakunek z igłami, pokręciła głową, gdzie by go schować, wymyśliła. Umieściła na stoliku, przysypała obierkami z ziemniaków.

– Tylko mnie nie wydajcie, jeśli, nie daj Boże, do czegoś dojdzie.

– Błogosławieni ubodzy w duchu, oni nie mają czego chować – rzekł ojczulek tonem pouczenia. – Dlatego nie przestraszy ich zgrzytanie zębów, trzęsienie ziemi i okropności na drogach...

Wykrakał.

Nagle zazgrzytały żelazne zęby, świat się zatrząsł, wagon podskoczył, lampa się zakołysała i zgasła. Pociąg gwałtownie hamował. Pasażerów siedzących tyłem do kierunku jazdy wcisnęło w ścianę. Ci, którzy siedzieli przodem, pospadali z miejsc. Masa uderzył piersią o stół, marynarz runął w dół ze swojej półki, pop z impetem wpadł na dziewczynę.

Ciemność wypełniły przesywające krzyki, lament kobiet i płacz dzieci. Pociąg znieruchomiał. Za oknem jeden po drugim gruchnęły dwa strzały. W wagonach natychmiast zrobiło się bardzo cicho.

– Hop stop, koniec jazdy. – Jasza Czarny nerwowo zachichotał, zeskakując na dół. – Prosiemy do golenia. Różne rzeczy w życiu widziałem, ale nikt mnie jeszcze nie grabił.

*

Najdziwniejsza była chyba cisza. Za ścianą w wagonie zakwiliło niemowlę, ale natychmiast ucichło. W przedziale też panowało milczenie. Ci, co pospadali, wrócili na swoje miejsca, wesołkowaty Jasza też wdrapał się z powrotem na półkę.

W ciemności niczego nie było widać ani słyszeć. Jakby w wagonie nie było żywego ducha.

Zaraz jednak pstryknęła zapalka, rozbłysł płomyczek, który oświetlił ponurą, niezadowoloną fizjonomię z wąskimi oczami.

To Japończyk, ułożywszy z powrotem na kanapie swojego odrażającego towarzysza, wstał, żeby zapalić lampę.

Gdy zrobiło się jasno, okazało się, że pasażerowie wprawdzie milczeli, ale nie siedzieli spokojnie. Wszyscy zachowywali się dziwnie.

Gimnazjalista zdjął szynel, wywrócił na lewą stronę i znowu włożył. Z wierzchu okrycie wyglądało całkiem przyzwoicie, ale nie miało podszewki, więc teraz przypominało znoszony szary łach.

Dziewczyna nachyliła się i przez chwilę wodziła ręką po brudnej podłodze, potem tą samą dłonią zaczęła pocierać twarz.

Marynarz szybko i zamaszyście się zegnał, w ręce trzymał czapkę, poruszał ustami.

Duchowny, który jak można by się spodziewać, powinien się modlić, upychał za pazuchę srebrny krzyż. W zamian wyciągnął inny, tej samej wielkości, ale żelazny, i umieścił pośrodku piersi.

Jasza Czarny siedział po turecku u siebie na górze i wsuwał coś za oderwane poszycie sufitu.

– Melinuję pugilares. – Mrugnął, zauważywszy spojrzenie Japończyka. – Jak będą plądrować – jestem goły.

Najdziwniej zachowywała się baba. Zadarła spódnicę i wpychała dużą płóć pod różową bieliznę.

Ta czynność najbardziej zaintrygowała Masę.

– Po co wsuwacie do gaci suszoną rybę, obywatelko?

– Nie słyszeliście? Oni gmerają pod spódnicą. Jak nic nie znajdują, zwymyślają albo pobijają. Lepszy taki łup niż żaden. Kto wie, może się odzepią? – wyjaśniła baba, poprawiając na sobie ubranie. – A wy, towarzyszu, co tak siedzicie? Nie macie niczego do ukrycia?

Z wagonu dobiegł ich basowy głos. Wrzasnął, okraszając każde zdanie ordynarnym przekleństwem.

– Nie wstawać z miejsc, ...! Siedzieć cicho, ...! Kto, ..., krzyknie, przefasonuję mordę. Kto zacznie kombinować, ..., oberwie pięścią w łeb!

Gimnazjalista powiedział szeptem:

– Wyjrzę. Zobaczę.

Uchylił drzwi, ostrożnie się wysunął.

– No i co tam? – Chwilę później dziewczyna szarpnęła go za połą. – Ilu ich jest?

– Jeden – oznajmił chłopak, siadając z powrotem. – Z obrzynem. Bierze drobnicę – zegarki, pierścionki. Wkłada do worka.

– Tylko jeden? – z ciekawością zapytał Masa. – I wszyscy oddają?

– Spróbuj nie oddać – zagrzmiął z góry marynarz. – Przy nasypie są pewnie inni, z furmankami.

– Raczej nie. – Japończyk w zamyśleniu potarł okrągły podbródek. – Wtedy opryszek nie zabierałby tylko drobnych rzeczy. Może jest sam. Położył kłodę, zatrzymał parowóz, a teraz chodzi i rabuje.

– Nawet jeśli jest sam, to i tak dzika bestia. – Marynarz

szczękał zębami. – Gruchnie z obrzyna, a wtedy święty Boże nie pomoże.

Masa pomyślał filozoficznie: wilk też wpada sam do owczarni i wybiera jedną owcę, podczas gdy reszta stoi spokojnie, czeka i nawet nie beczy. Zaprawdę każdy człowiek sam decyduje, kim jest w życiu: owcą, wilkiem czy człowiekiem.

– Aaa... – cicho, jakby niepewnie, krzyknęła nagle spekulantka. Plasnęła ręką w stolik i wrzasnęła już głośno, na całe gardło: – Aaa!!! Zginęły! Igły zginęły! Rety! Okradli!

Góra obierek rozsypała się, widocznie na skutek gwałtownego hamowania, ale nie było pod nią woreczka.

– Zobacz na podłodze – powiedział pop. – Czemu od razu myślisz o grzesznych rzeczach?

Baba opadła na czworaki, zaczęła gmerać pod stolikiem.

– Nie ma! Boże, nie ma! Jestem zgubiona! Oddałam cały majątek za igły! Szafę z lustrem, dwie pierzyny, pięć pudów kartofli, złoty pierścionek, maszynę do szycia! Pożyczyłam też tysiąc rubli od kuma! Co ja teraz pocznę? Uuuu!

Podniosła lament.

– Ajajaj, niedobrze – rzekł współczująco ojczulek. – Zwłaszcza jeśli chodzi o kuma. Skoro jest naczelnikiem, to znaczy, że ma możliwości. Nie wolno go obrażać. Poradzę ci coś, moja córko. Powinnaś się pomodlić.

Czarny wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Sprytna robota. Brawo. Kto z was jest taki cwany? Ja byłem na górze, nie zląziłem z półki.

– Łżesz, krętaczu! – rzucił marynarz. – Ty też zeskoczyłeś. Przyznaj się, po co?

– Oj, Matko Święta, co za nieszczęście! Oj, jestem zgubiona! – jazgotała na dole baba, wciąż myszkując po podłodze. – Nie mam po co wracać do domu!

Drzwi odskoczyły z hukiem.

– Kto tutaj drze mordę?! Mówiłem: siedzieć cicho!

Wszyscy zamarli.

W szparze oświetlonej żółtawym światłem lampy, otoczony mrokiem, stał straszny człowiek. Był w żołnierskim szynelu i miastowej czapce, futrzanej furażerce, widocznie zabranej komuś przed chwilą. Twarz brodata, z guzami, oczy dzikie, w ręce trzyliniowy karabin z obciętą lufą i kolbą. Przez ramię przerzucony worek.

– Ej ty, na podłodze! Siadaj i się zamknij!

Baba wgramoliła się na kanapę. Nie przestawała szlochać, ale bezdźwięcznie. Łzy lały się strumieniem.

– Obywatele podróżują w przedziale – z satysfakcją stwierdził bandyta. – A więc mają cenne rzeczy. Oddacie sami, czy mam kogoś ukatrupić dla przykładu? Ty tam, co wiesz? – Zaczął od gimnazjalisty.

– Proszę. – Chłopak pokazał album. – Znaczki. Zamierzam wymienić je na żywność. Tato zginął na wojnie. Zostaliśmy z mamą we dwoje. Głodujemy. Ale bierzcie, towarzyszu. To dobre znaczki. Jeden jest nawet z Madagaskaru.

Rabuś tylko zaklął. Wyrwał album, walnął nim chłopaka po głowie, rzucił na podłogę.

– A ty? – Nachylił się ku dziewczynie.

– Jestem z Kalinowki, wujku. – Podniosła umorusaną twarz. – Dziesięć wiorst od Biezenczuka. Córka kowala Sawieła. Nie znasz go czasem?

– Słyszałem. A coś taka brudna?

Dziewczyna od razu się uspokoiła, błysnęła zębami.

– Pomyślałam, że jeśli to jacyś obcy, trzeba posmarować sobie gębę. Żeby nie zhańbili. Ale swojaka się nie boję.

Zawadiace nie przypadło do gustu, że ktoś może się go nie bać. Podniósł obrzyn, wypalił w sufit. Z góry posypały się paprochy. Dziewczyna pisnęła. W wagonie zaczęto zawodzić.

– Wkładać do worka fanty! Migiem! Później każdego przeschukam. Jak coś znajdę, zabiję!

I szarpnął za spust.

Od tej chwili rabunek szedł jak po maśle. Najpierw marynarz przechylił się w dół, oddał zegarek. Po krótkim wahaniu pop wyciągnął srebrny krzyż. Nawet Jasza, zerkając z ukosa na lufę, zmiął w ustach przekleństwo i ściągnął z palca dwa pierścienie.

– A ty, kwoko? – Brodaty zamachnął się na płaczącą babę.

Ta zadarła spódnicę, rzuciła na stolik rybę.

– Masz, udław się, zabierz, co mi zostało. Nie mam nic więcej, już mnie ograbiono...

Uderzyła głową w blat, ramiona jej zadrżały.

Pozostał tylko Japończyk. Najpierw z ciekawością przyglądał się rzezimieszkowi, ale szybko się znudził i nawet ziewnął.

– Co tam chowasz, wąskie oczy? Znam takich jak ty. Jak dobrze poszukać, znajdzie się i złoto.

– To prawda. – Masa skinął głową i znowu ziewnął. Morzył go sen. – Mam złote dziesiątki.

Rabuś się zdziwił. Wycelował obrzyn.

– Dawaj! Gdzie żeś je ukrył?

– Tutaj. – Masa poklepał się po piersi. Tam, w jedwabnym woreczku, było jeszcze osiem czerwonońców. – Weź sam, okrągłe oczy.

Jeszcze się nie zdecydował, czy złamać nadgarstek nieuprzejmemu *narazumono*, gdy wyciągnie rękę, czy tylko wywichnąć.

Ale *narazumono* go zaskoczył – od razu, bez najmniejszej zwłoki, wystrzelił, celując w głowę. Widocznie kolejowi rabusie naprawdę za nic mają ludzkie życie.

Masa uchylił się oczywiście przed kulą. Jeszcze zanim się wyprostował, wyrzucił rękę, wyrwał broń złemu człowiekowi, kopniakiem podciął mu nogi, wskutek czego ten runął na kolana.

Ponieważ kula uderzyła całkiem blisko pana, Masa obrócił się – i zamarł.

Erast Pietrowicz wciąż siedział nieruchomo, ale na skroni

widniało długie oparzenie po kuli, która przeleciała tuż obok.

Masie pociemniało w oczach z wściekłości.

– *Bukkorosu zo000!!!*[3] – ryknął, odrzucając obrzyn.

Chwycił za gardło niegodziwca, który naruszył spokojny sen pana. Drugą rękę, zaciśniętą w pięść, uniósł, zamierzając złamać podłemu *akuto* jego parszywy nos.

Cichy, skrzypiący głos powiedział z niezadowoleniem:

– *Sonnani sakebu nai*[4].

Masa obejrzał się, nie wierząc własnym uszom.

Pan miał uchylone powieki.

– *Damare. Atama ga itai*[5] – powiedział Erast Pietrowicz, mrużąc oczy.

*

Pierwszy i najważniejszy obowiązek w życiu człowieka to wdzięczność. Ona liczy się przede wszystkim.

Dlatego Masa najpierw postawił rabusia na nogi, podał mu sakiewkę z czerwońcami, po czym się pokłonił.

– Dziękuję ci, posłańcu dobrej karmy... Dokąd to? A twoja strzelba?

Ostatnie słowa skierował już do pleców czmychającego draba.

No i *Butsu* z nim.

Spełniwszy obowiązek, Masa rzucił się do pana. Ten jeszcze coś mówił, ale trudno było rozróżnić słowa, bo gdy tylko rabuś zniknął, spekulantka znowu się rozbeczała.

– Cicho, głupia! – wysyczał Japończyk, gwałtownie się obróciwszy.

Baba go usłuchała, zaczęła pochlipywać ciszej.

– Do licha, ależ ostre światło – poskarżył się pan, mimo że światło było całkiem wątle. – Nic nie widzę, razi mnie. Ale słyszę płacz kobiety.

Mówił ochryple, jakby mu zaschło w gardle. Masa ostrożnie dotknął palcem śladu po kuli. Głupstwo, nie będzie nawet pęcherza. Może po wszystkich seansach Chianga-senseia potrzebne było jeszcze jedno, ostatnie przyżeganie?

– Chcę wiedzieć, dlaczego płacze kobieta – cicho, ale dobitnie oznajmił pan.

– To jedyna rzecz, którą chce pan wiedzieć? – oględnie zapytał Japończyk, pamiętając, co mówił profesor Kiri o naruszeniu funkcji intelektualnych.

Fandorin zamrugnął, lekko potrząsnął głową.

– Nie. Mam dużo pytań. Wszystko jest jakieś... dziwne. Ale najpierw muszę pomóc damie. Zdaje się, że dotknęło ją nieszczęście.

– Jestem zgubiona – głośno i głucho oznajmiła baba, nagle podnosząc głowę. – Powieszę się. Przysięgam, że się powieszę.

– Erast Pietrowicz Fandorin – przedstawił się pan. – Proszę wybaczyć, że siedzę. Z jakiegoś powodu nie mogę wstać. W dodatku widzę niewyraźnie... Co się stało, łaskawa pani?

– Łaskawa pani – prychnął marynarz na górze. – Panie i panowie dawno dali drapaka. Ci, co zdążyli...

Masa w milczeniu pogroził mu pięścią i prostak umilkł. Na szczęście pan chyba nie usłyszał jego słów, inaczej zaczęłyby zadawać pytania, na które jeszcze było za wcześnie.

– Okradziono mnie – poskarżyła się baba nowemu podróżnemu. – Któryś z tych judaszy. – Powiodła ręką wokół.

Za oknem coś sapnęło, wagon zakołysał się i ruszył.

– Jesteśmy w pociągu. W przedziale – stwierdził pan i znowu się otrząsnął. – Ale w przedziale nie powinno być tylu osób.

Zaczął liczyć, mrużąc pod nosem.

– My dwaj. Okradziona dama. Smągła panna. Dwaj mężczyźni nie wiedzieć czemu na półkach bagażowych. Duchowny. I... – Wbił wzrok w przeciwległy kąt, gdzie filatelista wkładał szynel, wywróciwszy go z powrotem na prawą stronę. – ...I wydalony

gimnazjalista.

– Skąd panu przyszło do głowy, że wydalony? – zdziwił się tamten.

– Ma pan pętelki bez guzików i kaszkiet bez herbu.

– On chyba oszalał. Kto teraz nosi orły na czapce? – szepnął wyrostek.

Jemu też Masa pogroził pięścią.

– Przestałeś się jękać, panie – powiedział, pokaszując. Ze zdenerwowania ścisnęło go w gardle i bolało serce.

– To dlatego że śpię. We śnie nigdy się nie jękam – wyjaśnił Fandorin. – Zresztą nieważne. Damom trzeba pomagać nawet we śnie. Co zginęło łaskawej pani?

– Igły! Prawie cały funt! W woreczku! Uuu!

Marynarz wychylił się z półki.

– Trzeba było pilnować. Becz sobie teraz.

– Igły. Zamiast bagażu marynarz – skonstatował spokojnie Erast Pietrowicz. – Co za bzdury. – I cierpliwie zwrócił się do baby, widocznie ją też biorąc za senne urojenie. – Często śnią mi się w nocy niedorzeczne przestępstwa, które muszę koniecznie wyjaśnić. I zawsze mi się udaje. Przesłanie pani tak głośno płakać, gdy igły się znajdują? Jakie one są, metalowe?

– A niby jakie? – powiedziała baba, siąkając nosem. – Złote?

– Nie wiem. We śnie różnie bywa. Czy ktoś wychodził z przedziału?

– Neee... – Spekulantka drgnęła. – Macie rację, towarzyszu! Trzeba ich wszystkich zrewidować! Niech wasz Azjata każdego przeszuka!

– Towarzyszu? – Pan spojrzał na Masę, jak gdyby po nim też spodziewał się czegoś osobliwego.

Masa nie odrywał odeń wzroku. Nagle uszczypnął się z całej siły w tłusty policzek – ze strachu, że może to on zasnął i przebudzenie Fandorina mu się przyśniło.

Erast Pietrowicz kiwnął głową, jak gdyby zgadzając się

przestrzegać reguł dziwaczного snu.

– Nie będziemy nikogo rewidować. Nie otrzymaliśmy upoważnienia od instancji sądowej. W dodatku wśród obecnych jest panna. Mam jednak nadzieję, że nikt nie będzie przeciw zdalnej rewizji?

– Przeciw czemu? – podejrzliwie zapytał marynarz.

Jasza powiedział:

– Za nic nie pozwolę się obmacywać. Bez nakazu – po moim trupie.

Masa wstał, uważnie popatrzył na tego i owego. Nikt więcej nie zgłosił sprzeciwu.

– Wszyscy się zgadzają, panie.

– Doskonale. Mam nadzieję, że nie zapomniałeś ferroatraktora?

– Oczywiście. Zawsze go noszę przy sobie – bez wahania odparł Masa, ale bardzo się zaniepokoił. Nie miał pojęcia, co to jest ten ferro...traktor, lecz żadną miarą nie mógł odbierać nadziei człowiekowi słabującemu na umyśle.

– Co to takiego ferroatraktor? – zapytał gimnazjalista.

– Bardzo silny magnes. Przydaje się w dochodzeniach, gdy trzeba znaleźć na miejscu przestępstwa jakieś drobne metalowe przedmioty, na przykład łuskę naboju. Zaraz mój asystent przesunie ferroatraktorem po ubraniach wszystkich obecnych, nie dotykając ciała. Jeśli ktoś schował czterysta gramów metalowych igieł, rozlegnie się brzęczenie. Pokaż, Masa, jak to działa. Zaczynaj ode mnie, żeby nikt nie poczuł się urażony.

Spojrzenie pana skierowane na Japończyka było nieco mętne, ale stanowcze. Po krótkim namyśle Masa uroczyście wyciągnął zza pazuchy osełkę wielkości dwóch pudełek zapalek, starannie zawiniętą w szmatkę.

Podniósł, pokazał wszystkim. Zaczął wodzić ręką z osełką wokół Fandorina. Nagle ręka jak gdyby sama drgnęła i przylgnęła do kieszeni kurtki na piersi, widocznej przez

rozchylone okrycie. Japończyk wyjął stamtąd metalowy grzebień, którym codziennie poprawiał panu przedziałek.

– Teraz ty.

Osełka najpierw przyssała się do piersi Masy – Japończyk wyjął i pokazał obecnym, ale przede wszystkim duchownemu, krzyżyk wiszący na szyi, tłumacząc:

– Na chrzcie otrzymałem imię sługi bożego Masaïła.

Później wrażliwy instrument pojechał w dół, w kierunku buta. Okazało się, że za cholewą jest brzytwa. Rano Masa golił nią pana, a raz, niedawno, zarznął nocą na ulicy pospolitego rzezimieszka.

– Nauka – rzekł ojczulek z uznaniem. – Teraz kolej na mnie.

– Ojej, co to? – nagle zawołał gimnazjalista. – Zobaczcie! – Przykucnął, pogrążając się w cieniu; światło lampy nie sięgało tak nisko. – Co tutaj zakrywacie trzewikiem, obywatelko? Odsuńcie nogę – powiedział do dziewczyny i się wyprostował. W ręce trzymał woreczek z igłami.

– Mój! Mój! – wrzasnęła baba, zrywając się z miejsca. – Są całe, całe, kochaniutki! Uuuu!

Co niezwykle, nie przestała szlochać, tyle że gorzki płacz stał się teraz radosny. Od razu, jeszcze się nie nacieszywszy, wlepiła policzek sąsiadce.

– Łajdaczka! Złodziejka! Bezwstydnie się gapiła! Siedziała obok i udawała!

– Niczego nie dotykałam! Jak Bożę kocham! Nie dotykałam, złociutka!

I też się rozplakała.

– Wstydź się, młody człowieku – zwrócił się Fandorin do gimnazjalisty, krzywiąc się na skutek hałasu. – Ma pan nawyki zawodowego złodzieja. Nie dość, że dopuścił się pan kradzieży, to jeszcze zrzuca pan winę na niewinną pannę. Gdyby to nie był sen, na najbliższej stacji oddałbym pana w ręce żandarma kolejowego.

– Ża... żandarma? – wybąkał młodzian. – Kolejowego? Boże, co ja bym dał, żeby oni wrócili. Boże, uczyć się w gimnazjum, nie telepać obrzydliwymi pociągami, nie myszkować po kieszeniach...

I się rozpłakał.

Że też sam na to nie wpadłem, skarcił się w myślach Masa. To zawodowy *dorobō*, żyje z kradzieży w pociągach. Mówił, że jedzie pierwszy raz, a wiedział, gdzie i jak rabują w drodze. Mówił, że głoduje, a miał biały chleb z kotлетem.

Wszystko to jednak w ogóle się nie liczyło.

– Co za szczęście! – chlipnął Masa, ocierając łzy i chowając poleć słoniny z powrotem do kieszeni. – Boże, pan nie został idiotą!

Teraz szlochała połowa przedziału – szczęśliwa baba, „niewinna panna”, złodziej i Masa. Pop sapał wzruszony, usiłując coś powiedzieć, ale nikt nań nie patrzył.

– Dziękuję za pochlebny opinię – wymamrotał Erast Pietrowicz. – Igły się znalazły, ale nie zrobiło się ciszej. Znudził mi się ten sen. Może następny będzie lepszy...

Zamknął oczy, rozluźnił mięśnie i zaczął oddychać sennie – ale nie tak jak przedtem, ledwie słyszalnie, tylko miarowo i głęboko.

– A ty zwątpieś, mój synu. – Pop wreszcie doszedł do głosu. – Przecież ci mówiłem, że w czasach licznych okropności zdarza się też wiele cudów. Trzeba tylko wiedzieć, do kogo i o co się modlić. O ulgę w cierpieniach duchowych jedynie do Orędowniczki. No i co teraz powiesz, niedowiarku?

1 Papierowe pieniądze emitowane przez Rząd Tymczasowy Kiereńskiego (przyp. tłum.).

2 Pogardliwe określenie kontrrewolucjonisty (przyp. tłum.).

3 Zabiję! (jap.).

4 Nie wrzeszcz tak (jap.).

5 Zamknij się. Głowa boli (jap.).

Czarna prawda

Ku areba raku ari

Pan spał niemiłosiernie długo – trzy i pół doby, co okazało się dla Masy znacznie trudniejsze niż minione trzy i pół roku. Jako że najstraszniejszy z kręgów *jigoku* to nie krąg ognia czy lodu, lecz ten, gdzie po śmierci trafiają zdrajcy: każdy dzień zaczyna się tam nadzieją i kończy jej utratą. Choć Masa nigdy nikogo nie zdradził, zakosztował w nadmiarze tej męki. A to śpiącemu zaczynały drgać powieki – ale się nie otwierały, a to nagle poruszyły się blade usta – ale nic nie powiedziały, a to po białej twarzy przebiegał lekki skurcz – i znikał, jak zwodnicza fala podczas ciszy na morzu.

Utrata przytomności przypominała głęboki sen, lecz nim nie była. Nawet Kiri-sensei nie wiedział, kiedy śpiący się zbudzi i czy to w ogóle nastąpi. „Niech pan nie prowokuje wybudzenia, tylko będzie w pobliżu i czeka”, powiedział. Po czym z westchnieniem dodał: „Ja niestety nie mogę tego zrobić. Jutro wyjeżdżam. Nie mam już sił, by tkwić w tym domu wariatów, który opanowali niebezpieczni pacjenci”. I opuścił chorą Rosję, podobnie jak Chińczyk Chiang.

Odwiózłszy pana do domu, do Moskwy, Japończyk przygotował się na czekanie – tak długo, jak długo będzie trzeba. Śpiący nie powinien być sam, gdy się zbudzi. Żeby nie zostawiać go ani na chwilę, przygotował kulki ryżowe, butelkę rozcieńczonej wódki, a nawet nocnik, ale ze zdenerwowania nie mógł ani jeść, ani pić, ani tym bardziej załatwiać potrzeb fizjologicznych.

Nie jadł, nie pił, nie spał i co to dało? Trzeciej nocy duch nie

zapanował nad bezwstydnym ciałem, *karada*, które zawiodło, niepostrzeżenie ściągnając na Masę ciężki, ołowiany sen. Obudziło go dotknięcie w kolano. Zamrugał powiekami i zmrużył oczy. Pokój był zalany wiosennym słońcem.

Ochrypli głos zapytał:

– Czy ty czasem nie jesteś chory? Wyglądasz strasznie. Jakbyś się postarzał o parę lat.

Pan mrużył oczy, mrugał, przecierał powieki zwiotczoną dłonią.

– Ach, wybacz! – powiedział. – Jesteś przecież ranny! Ale chyba czujesz się lepiej, skoro możesz siedzieć?

– Czuję się lepiej. O wiele lepiej – wyszeptał Masa, mocno przyciskając dłoń do piersi, żeby nie wyskoczyło z niej serce.

Nie krzyczał, lecz szeptał, bo Kiri-sensei zabronił mu gwałtownie okazywać uczucia, żeby nie spowodować urazu psychicznego u ozdrowieńca, i kazał zachowywać się tak, jak gdyby to było zwyczajne przebudzenie. „Niech pan tryska optymizmem i nie zasmuca chorego – pouczał. – Inaczej reakcja obronna mózgu może wywołać następną blokadę”.

– A ja się chyba rozchorowałem. Ciało mam jakby nie swoje. Ledwo poruszam rękami. Z oczami też coś nie tak... – Erast Pietrowicz spróbował podnieść głowę z poduszki i nie dał rady. – Miałem strasznie dziwne sny. Ostatni wręcz idiotyczny. Że niby jedziemy razem w przedziale, ludzi w nim jak śledzi w beczce, no i... Nieważne, głupstwo. – Fandorin wciąż mrużył oczy. – Jesteśmy w domu? Nie w Baku? Jak to możliwe? Zaczekaj... – Zachmurzył się. Powoli, bardzo powoli obmacał tył głowy. – W czarnym czarnym mieście... Strzelano do mnie. Uderzenie. Pamiętam... Mówisz, że nie spałem, tylko byłem nieprzytomny? Długo leżałem? Co się wydarzyło w tym czasie?

Dopiero teraz Masa uwierzył, że pan naprawdę wrócił.

– Przeleżał pan trzy lata, osiem miesięcy i dwadzieścia osiem dni. Co się wydarzyło w tym czasie? – Japończyk płynnie

przeszedł do drugiego pytania, pamiętając o nadwyrężonej psychice. – Wszystkie państwa walczą, jak księstwa w epoce *Sengoku-jidai*. Ludzie mordują się milionami. Cesarstwo Rosyjskie przestało istnieć, rozpadło się. Ale słońce nadal wschodzi, po zimie przyszła wiosna i kobiety nadal są piękne – zakończył rzeško, w optymistycznym duchu.

– A jednak śpię – wymamrotał Erast Pietrowicz. – I znowu mam idiotyczny sen.

Zamknął oczy, jednak Masa nie pozwolił mu dłużej spać – uszczypnął w ucho.

– Wiele osób ma teraz wrażenie, że śni idiotyczny sen. Ale to nie jest idiotyczny sen, to idiotyczna *genjitsu*, rzeczywistość. Musi się pan przygotować na długie słuchanie. Zaraz o wszystkim dokładnie opowiem. Tylko niech pan pamięta słowa Mędrca: „Cokolwiek by się działo w niespokojnym świecie, szlachetny mąż nie traci zimnej krwi”.

Później przez godzinę albo i dłużej nie przestawał mówić, ale panu nie udało się zachować zimnej krwi. Dawniej, gdy Masa o czymś opowiadał, Erast Pietrowicz zadawał szczegółowe pytania podczas narracji. Teraz jedynie powtarzał:

– Co?

– Coo?!

– Cooo?!!

Każde następne „co” było dłuższe i przenikliwsze niż poprzednie, więc niebawem Fandorin doszedł do falsetu, po czym umilkł i słuchał bez słowa, od czasu do czasu potrząsał tylko głową.

Mimo że Masa usiłować wlać szczyptę optymizmu do swojej relacji, okazała się ona smutniejsza niż *Opowieść o rodzie Taira*. Dotarłszy do wydarzeń ostatnich dni (jak nowe bolszewickie państwo skapitulowało przed Niemcami i uciekło z Piotrogradu do Moskwy), Japończyk rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Są pewnie jakieś pozytywne strony tego, że od tysięcy

dziewięćset czternastego roku leżał pan jak kłoda, a świat w tym czasie się rozpadł, ponieważ natura wszechrzeczy jest dwoista, ja jednak, proszę wybaczyć, nie widzę w tym mroku *Yin* nawet słabego przeblysku *Yang*.

Fandorin milczał przez chwilę. Później westchnął.

– Ależ dlaczego? Są pewne korzyści. Wreszcie nauczyłeś się dobrze mówić po rosyjsku. To raz. Ja zaś dzięki urazowi chyba pozbyłem się jąkania. To dwa. *Ku areba raku ari*.

– Racja, panie! Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – ze łzami zawołał Masa, nie potrafiąc jednak opanować burzliwych emocji. – Najważniejsze, że jesteśmy razem i że znowu jest pan sobą! Cała reszta się nie liczy!

Qi bawi się w chowanego

Japończyk niestety się mylił. Odzyskawszy przytomność, Erast Pietrowicz nie był sobą. Niewiele pozostało z dawnego Fandorina. Fizyczna powłoka nie chciała podporządkować się woli, zbyt długo pozostawała w oderwaniu od ducha, wskutek czego wszystkie połączenia uległy zniszczeniu.

Przez pierwsze dni Fandorin bardzo źle widział, jakby dotknęła go silna krótkowzroczność. Pokonał niemoc drogą zmudnych ćwiczeń. Pomogła szkatułka po ojcu, strażniku i kolekcjonerze rodzinnych relikwii, z których większość nic dla Erasta Pietrowicza nie znaczyła – nigdy nie interesował się historią rodu. W pudełku znajdował się rudy pukiel włosów zawinięty w pożółkły papier (na nim napis „Laura 1500”). Co to za Laura, Fandorin nie miał pojęcia, ale ucieszył się, że udało mu się rozróżnić litery i cyfry. Było tam też parę pamiątek z jego własnej przeszłości. Ze smutkiem oglądał Erast Pietrowicz medalion z portretem pierwszej żony, której prawie nie pamiętał, bo ich małżeństwo trwało zaledwie kilka godzin, w dodatku było to w innym wieku, w innym świecie i z innym Fandorinem. Wzrok jednak powoli się wyostrzył, miła młoda twarzyczka ożyła, odpowiedziała spojrzeniem na spojrzenie. Rozległ się cichy głos, który zapytał: „Miałeś szczęśliwe życie, kochany? Czy chociaż czasem wspominasz swoją Lizę?”.

Właśnie ten głos najbardziej mu pomógł. Erast Pietrowicz wpatrywał się w przestrzeń zmrużonymi oczami, a z gęstniejącego powietrza wyłaniały się obrazy minionych lat, powoli nabierając ostrości. Razem ze wzrokiem pamięci

poprawiał się też normalny wzrok. Drugiego dnia rekonwalescent już widział ryciny na ścianach, trzeciego mógł czytać.

Gorzej było z mięśniami. Ciało jak gdyby zastygło w lodowcu i żadną miarą nie chciało odtajać. Każdy ruch wykonywany był z opóźnieniem, dopiero po powtórnym poleceniu mózgu, w dodatku bardzo niechętnie. „Weź filiżankę” – rozkazywał mózg ręce, a ta się wahała – wykonać polecenie czy nie. Później wprawdzie się poddawała, ale usiłowała rozlać wodę.

W kierunku poziomym i w dół ręce poruszały się jeszcze jako tako, jednakże podniesienie filiżanki do ust graniczyło z cudem. Dawniej Fandorin z mniejszym wysiłkiem podnosił czterofuntowy ciężarek.

Z nogami było już całkiem kiepsko. Musiał im wydawać polecenie co najmniej trzy razy. Przemierzenie salonu (dwadzieścia kroków) zajęło ponad dwie minuty. Później pokonał tę nietrudną trasę po wielokroć i udało mu się nieco przyspieszyć, ale za każdym razem, dotarwszy do przeciwległej ściany, siadał i odpoczywał.

Teoretycznie rzecz biorąc, podczas paroletniego bezruchu organizm powinien był zgromadzić nieprzebrane mnóstwo energii życiowej *qi*, którą Fandorin dawniej umiał podzielić równo pomiędzy części ciała albo skoncentrować w dowolnym miejscu: w pięści, by uderzyć, w nogach, by pobiec albo skoczyć, w łędźwiach, by oddać się miłości, i tak dalej.

Już pierwszego ranka z trudem usiadł w pozycji *zazen*, zamknął oczy, wprowadził duszę w stan Wielkiego Spokoju i rozpoczął drobiazgowo przesłuchanie kolejnych zakamarków ciała: może tam ukrywa się *qi*?

Właśnie wtedy zjawił się Masa z lewatywą, uklonił się i oznajmił:

– Dziewiąta godzina, panie. Pora zrobić *daiben*.

Wielki Spokój natychmiast pierzchł, wyparty przez Wielką

Wściekłość. To nawet dobrze, że energia *qi* się nie odnalazła, inaczej wierny wasal doznałby obrażeń średniego stopnia.

Jednakże zaginiona siła życiowa nie znalazła się ani drugiego, ani trzeciego, ani dziesiątego dnia. Pewnie zaszyła się w takich głębinach jestestwa, że już nigdy nie da się jej wydobyć. Mimo to Erast Pietrowicz wykonywał ćwiczenia od świtu do nocy, a Masa obserwował go ze współczuciem i relacjonował wydarzenia na świecie.

Były zupełnie niewiarygodne.

Wojska kajzera zajęły prawie całą Europę od Pskowa aż po przedpola Paryża, w dodatku strzelały zażarcie z armaty opisanej na kartach powieści Juliusza Verne'a, wypluwającej stukilogramowe pociski na ponad sto kilometrów. „Pamięta pan cerkiew Saint-Germain w dzielnicy Marais? – pytał Masa. – W dziewięćset dziewiątym aresztowaliśmy tam Szaleńca z ulicy Białych Płaszczy. Niemiecka *daiho* zburzyła ją celnym trafieniem, zabijając wszystkich wiernych”. Wyobrazić sobie coś takiego było trudno, jednakże nie trudniej niż lądowanie w Murmańsku żołnierzy angielskich, którzy zamierzali walczyć na terytorium rosyjskim z Niemcami oraz Finami. Najbardziej zdumiało Fandorina to, że Finowie, pokojowi mleczarze i ogrodnicy, też teraz walczą.

– A w przeklętym Baku znowu rzeź – ciągnął Japończyk. – Przedtem Turcy wyrzynali Ormian, a teraz Ormianie wyrzynają Turków. Mam nadzieję, że zabiją też tego, którego nie mogę teraz dopaść. A na Kubaniu biali ochotnicy walczą z czerwonymi. A Ukraina jest teraz osobnym krajem, tam też wszyscy walczą.

Lokalne, moskiewskie wiadomości, były tak samo wstrząsające.

W sąsiednich domach trwa „zagęszczanie”, referował Masa, ale dozorczyńni Łusza-san, niebywale piękna i dobra kobieta, teraz przewodnicząca komitetu domowego, przez wzgląd na dawną miłość nie pozwoli skrzywdzić Masy.

Żywność już od pewnego czasu jest na kartki. Kiedyś dawano więcej, teraz bardzo mało, tylko odrobinę czarnego chleba. Ale z powodu jedzenia nie trzeba się martwić, bo Masa znalazł doskonałego kupca na swoją kolekcję obrazków erotycznych *shunga* i figurek *netsuke*. Bardzo ważny człowiek, Rajkomprodsnab-san[6] płaci złotymi dziesiątkami, a za nie można kupić wszystko na czarnym rynku.

Ulicą Miasnicką przeszła czerwona procesja – podobna do religijnej, ale z czerwonymi sztandarami, i wszyscy zamiast się modlić, śpiewali rewolucyjne pieśni.

W ogrodzie zoologicznym odbył się mityng „Wolność dla zwierząt!”. Z klatek wypuszczono wszystkie „ciemężone” zwierzęta – te, które nikogo nie zjedzą. Po chodnikach biegały jelenie, jaki i lamy, a u pewnej ciężarnej *okā-san* doszło do przedwczesnego porodu, gdy spotkała południowoamerykańskiego pancernika na ulicy Priesnia.

Erastowi Pietrowiczowi pilno było zobaczyć na własne oczy wszystkie te dziwy.

Dziesiątego kwietnia wreszcie wykonał zadanie, z którym długo nie mógł się uporać – przemierzył salon w pół minuty i z zadowoleniem ocierając pot z czoła, oznajmił:

– Dosyć, jutro idę do miasta.

Masa był na to przygotowany. Zmajstrował środek transportu: fotel na kauczukowych kołach.

– Isu-automobil jest do pańskich usług, ale najpierw przewiozę pana zaułkiem.

– Nie – twardo odparł Fandorin. – To zupełnie inny świat, ja też jestem inny. Musimy się do siebie przyzwyczajać. Pierwsze kroki zrobię bez niańki. Jutro do południa będę wykonywał ćwiczenia i trenował. Później wybiorę się na wycieczkę. Sam.

Japończyk westchnął ciężko, ale nie oponował. Wiedział, że tak będzie.

– Żeby *isu* jechał, wystarczy przesuwac dźwignię. Chyba da

pan radę? Jak zechce się pan zatrzymać, proszę nacisnąć nogą tę podpórkę. Tylko nie gwałtownie, bo *isu* może się przewrócić...

– Nie bój się. Nie pojedę, zanim się nie nauczę.

– Boję się czego innego, panie. – Masa z ponurą miną przeczesał ostrzyżone na języka szpakowate włosy. – Moskwa to teraz niebezpieczne miasto. Nie pozna go pan. Będzie się pan czuł jak Urasima Taro. A to złe uczucie. No i bajka źle się kończy.

Rybak Urasima spędził parę dni na dnie oceanu w gościnie u morskiego króla, a gdy wrócił do domu, okazało się, że na ziemi minęło parę wieków, więc nie poznał rodzinnej wsi.

– Urasima nie powinien był wtykać nosa do zakazanej szkatułki – niefrasobliwie odparł Fandorin, uśmiechając się na myśl, że jutro świat rozszerzy się poza granice obrzydłego mieszkania. – Ja nie zamierzam się nigdzie pchać. Tylko się trochę przejadę.

6 Rajkomprodsnab (*Rajonnyj komitiet prodowolstwiennogo snabżenija*) – Komitet Rejonowy Zaopatrzenia Spożywczego (przyp. tłum.).

Dziwna podróż

Nazajutrz, jedenastego kwietnia, o trzeciej po południu Erast Pietrowicz zakutany w ciepły płaszcz z karakułowym kołnierzem, ale z odkrytą głową, której nie należało przegrzewać, wyjechał za bramę. Masa pożegnał go ceremonialnym ukłonem, wyrecytował ochronną sutrę i trzykrotnie przeżegnał.

Przesuwając dźwignię, Fandorin ruszył powoli swoim zaułkiem – Małym Uspieńskim (obecnie Swierczkowa) w stronę Dużego Uspieńskiego, rozglądając się z ciekawością.

Czuł się nie jak Urasima Taro, ale raczej jak bohater powieści Wellsa *Gdy śpiący się zbudzi*. Mister Graham ocknął się z letargu w 2100 roku i nie poznał starej dobrej Anglii, bo nie pozostało w niej nic starego, nic dobrego i bardzo mało angielskiego.

Nobliwa dzielnica, dawniej tak schludna, czysta i zadbana, wyglądała jak brzeg morski po tsunami, kiedy fala już się cofnęła, ale pokryła ląd mułem, śmieciami, odpadkami i ciałami drobnych zwierząt. Na chodniku dwa szczury spokojnie, po gospodarsku, oglądały martwego kota. Doskonała alegoria tego, co się stało z Rosją, pomyślał Erast Pietrowicz. Ten, kto był nikiem, stał się panem życia i śmierci.

Bulwarem Czistoprudnym toczył się ze zgrzytem tramwaj dziwo, podobny do półmiska z winogronami – tak był upstrzony pasażerami, którzy zwisali z podestu, stopni, a nawet ze zderzaków.

Rozkołysanym krokiem przemaszerował z tupotem pluton żołnierzy; wszyscy mieli karabiny skierowane nie wiedzieć

czemu kolbami w górę i rozmawiali między sobą nie po rosyjsku. Chyba Łotysze? Dziwne.

Z bulwaru Fandorin skręcił na Pokrowkę, gdzie w poprzek ulicy wisiały czerwone transparenty z białymi zamaszystymi napisami. Naprzeciwko cerkwi Uspeńskiej, będącej znakomitym przykładem baroku naryszkinowskiego, kołysała się na wietrze płachta z przestrożą: „Uważaj, towarzyszu! Popi cię oszukują!”.

Erast Pietrowicz nie potrafił rozszyfrować następnego hasła, chociaż długo je studiował: „Rewpozdrowienia dla I Zjazdu Wolkobpracy[7] od męskiego proletariatu!”.

Lodowaty wiatr targał siwe włosy podróżnika w czasie, drobne płatki śniegu osiadały na nich, srebrzyły się, ale nie topniały. Temperatura nie przekraczała zera. Fandorin z trudem uniósł rękę i owinął się szczelniej białym szalikiem. Ponieważ fotel stanął i przestał poskrzypywać, dobiegły go urywki rozmów przechodniów.

Dama w paryskim płaszczu i grubej wiejskiej chuście powiedziała do swojego towarzysza:

– Zaklinam cię, mój drogi, ile razy mam powtarzać: nie mów na ulicy „szanowny panie”. Zgubisz nas! Tylko „szanowny obywatelu”.

Jedna ze staruszek drepczących koło Fandorina z przejęciem zawołała:

– Naprzód do syndykatu wozaków! Dają asygnaty na kalosze!

Jakiś osobnik o wyglądzie kryminalisty skarżył się przyjacielowi:

– Ja, stary katorżnik, dostałem siedem metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej?! Ten drań to kontra i tyle!

Potrzebny tłumacz, pomyślał Erast Pietrowicz. Przesunął dźwignię i ze skrzypieniem ruszył wyszczerbionym chodnikiem.

Znajoma restauracja Pietrowa zmieniła starą nazwę na nową: „Kto pracuje, ten je”. Na drzwiach zagadkowe ogłoszenie: „Obsługiwani są tylko członkowie po uprzednim

wylegitymowaniu”. Na dole widniał ręczny dopisek: „Nie przyjmujemy podartych czapek w zastaw za łyżki i miski”. Wygląda na to, że owi członkowie kradną łyżki i miski, toteż przy wejściu muszą oddawać nakrycia głowy, wydedukował Fandorin. Jednakże napis na sklepie z konfekcją męską Paryż i Wiedeń był nie do rozszyfrowania: „Cały towar jest na wymianę. Nie proponować pieniędzy!”. Jak to: w sklepie – i nie proponować pieniędzy?

W stanie długiej nieświadomości Erast Pietrowicz miał mnóstwo dziwnych snów, niekiedy bardzo wyrazistych i barwnych. Nagle powziął podejrzenie, że to, co teraz widzi, jest również halucynacją: niemoskiewska Moskwa, tramwaj z ludźmi winogronami, absurdalne szyldy.

Licho wie, wszystko możliwe. Ale jeszcze wielki Monzaemon pisał: „Życie to tylko smutny sen, który człowiek widzi we śnie”. No a poza tym szlachetny mąż nawet we śnie nie sprzeniewierza się swoim zasadom – no bo jeśli się okaże, że sen to rzeczywistość?

Nagle przechodnie zaczęli szybko przebiegać na drugą stronę ulicy. Jakiś jegomość obejrzał się w stronę inwalidy na wózku.

– Daj, ojczulku, odsunę cię. Nadchodzi Czeka!

Z naprzeciwka zbliżali się trzej mężczyźni z czerwonymi opaskami: jeden z dużą drewnianą kaburą, dwaj z karabinami na ramionach. Czeka? A, tak. Masa wspominał. CzK to jakiś skrót. Niedawno stworzona czerwonogwardyjska Ochra. Przeprowadzają przeszukania, rewizje i aresztowania. Masa mówił, że czerwonogwardyjska policja to jeszcze nic, przynajmniej przychodzi z nakazem. Są jeszcze jacyś czarnogwardziści, którzy rabują bez żadnych nakazów, zdarza się, że na ulicy w biały dzień.

– Nie, nie, dziękuję – oschle podziękował dobremu samarytaninowi, niemile uderzony „ojczulkiem”.

Poza tym był ciekaw przedstawicieli nowej władzy. Nazywała

się „radziecka” – Masa nie wyjaśnił w jakim sensie.

– Oho! Inwalida pewnikiem wie – podchodząc, powiedział mężczyzna z mauzerem. – Takim gruchotem człowiek daleko nie ujedzie. Powiedz no, ojciec, gdzie tutaj jest dawny dom Akselroda? Bo mamy, widzisz, uchwałę. – Pomachał kartką.

Wszyscy się chyba zmówili, pomyślał w końcu ze złością Fandorin.

– Nie mam dzieci, łaskawco.

Chciał odjechać, ale czerwony żandarm chwycił za oparcie fotela.

– Wiesz, z kim gadasz? Dawaj no dokumenty.

– Zostaw go, Korytow. Przyczepiłeś się do kaleki bez nóg – powiedział drugi. – Pies z nim tańczył. Chodź, zapytamy tamtą babę.

„Mauzer” zwymyślał Erasta Pietrowicza od najgorszych, ale cofnęła rękę. Czekał, czy jak im tam, ruszyli dalej ze swoją uchwałą, a Fandorin spoglądał za nimi, kręcąc głową. Nie potrafił wyobrazić sobie pracownika wydziału Ochrony albo Korpusu Żandarmerii klnącego jak szewc w miejscu publicznym.

Skoro czerwonogwardziści to jeszcze nic, jacy są czarnogwardziści?

7 Rewolucyjne pozdrowienia dla I Zjazdu Wolnych Kobiet Pracy (przyp. tłum.).

Bohaterowie Plewny

Na odpowiedź nie musiał długo czekać. Pięć minut później, dotarwszy swoim wehikułem do Marosiejki, badacz rewolucyjnej Moskwy ujrzał gromadę ludzi i usłyszał wielce nieprzyjemny dźwięk, który nigdy nie pozostawiał go obojętnym: rozdzierający płacz kobiety. Przejechać obok, nie poznawszy przyczyn tak gwałtownej manifestacji żalu, było nie do pomyślenia.

Erast Pietrowicz zahamował, ale z pozycji siedzącej widział tylko plecy.

– Miszeńka, oddajcie mojego Miszeńkę! – krzyczała wniebogłosey jakaś kobieta, a raczej starsza dama, ponieważ głos miała drżący, a wymowę typową dla wyższych sfer.

Na wszelki wypadek Masa zaopatrzył pana w laskę. Oparwszy się na niej, Fandorin wstał i przecisnął się do przodu.

Na ziemi, z głową w objęciach, siedział starzec w szaroniebieskim szynelu z purpurowymi wyłogami i w spodniach z generalskimi lampasami, ale nie w oficerkach ani nawet w kamaszach, tylko w połatanych walonkach. Przyciskał rękę do głowy, spomiędzy palców obficie płynęła krew. Tuż obok przestępowała z nogi na nogę staruszka w niegdyś przyzwoitym, ale mocno już podniszczonym płaszczu. Była niewysoka, szczupła, z siwymi loczkami i wciąż powtarzała, bezradnie się rozglądając: „Oddajcie, oddajcie Miszeńkę! Oddajcie! No proszę! Gdzie jest mój Miszeńka?”. Dama była wyraźnie wytrącona z równowagi. Przypominała dziewczynkę, której zabrano lalkę. Tyle że bardzo starą dziewczynkę, pomyślał Fandorin, krzywiąc się. Widok był przykry.

Wysłuchał się w rozmowy gapiów, usiłując zrozumieć, co się stało.

W tłumie mówiono:

– Dziadek sam sobie winien. Po pierwsze po co paraduje z generalskimi lampasami, stary reżim się skończył. Po drugie skoro rekwizycja, to stój spokojnie. Za nieposłuszeństwo mogli go przecież rozwalić na miejscu. Dla czarnych to normalna rzecz.

– Zabrali tego Miszę, tak? A czym walnęli generała? – dopytywali się ci, którzy przyszli później. Inni im odpowiadali, obraz powoli nabierał jasności.

Starszą parę zatrzymał jakiś anarchista. Zobaczył medalion na szyi kobiety – złoty, z diamentami – i skonfiskował. Generał próbował mu go odebrać – oberwał rękojęścią pistoletu po głowie.

Tymczasem poszkodowany wstał, objął płaczącą damę, ale ona go odpychała, nie przestając krzyczeć. Starzec był wysoki, nobliwy, z siwą bródką, która kiedyś nosiła dumną nazwę hiszpańskiej, ale teraz zmarniała i przypominała kozią albo raczej wiecheć słomy.

– Panowie, na miłość boską! – powiedział dawny generał. – Dogońcie go, ubłagajcie! To jedyna rzecz, która została Poli. Sam bym za nim ruszył, ale kręci mi się w głowie, nogi mam jak z waty.

– Medalion z diamentami? Czekał tatka latka, aż ci oddadzą. Lepiej podziękuj, żeś uszedł z życiem – odpowiadano mu.

– Nie chodzi o medalion! Niech go sobie zostawi! Jest w nim podobizna naszego nieżyjącego syna i pukiel jego włosów z dzieciństwa.

– Olaboga! Synek im umarł. – Jakaś miłosierna baba ulitowała się nad starcem. – Może dogoniłbyś tego drania, obywatelu? Na co mu zdjęcie?

– Sama go dogoń, skoroś taka mądra. Jeszcze mi życie miłe – odparował ten, do którego się zwróciła.

Wszyscy zaczęli się rozchodzić, zaspokoiwszy ciekawość. Widocznie tego rodzaju zdarzenia były na porządku dziennym.

Niebawem koło nieszczęsnej pary pozostał tylko Erast Pietrowicz.

– Niech pan posadzi damę – powiedział. – Jest na wpół przytomna.

– A tak, dziękuję.

Generał troskliwie umieścił żonę w fotelu, ona zaś nagle osłabła i zwiotczała. Chlipnęła parę razy, pomamrotała pod nosem, ucichła. Zemdląła albo zasnęła.

– Czemu jest pan tak nieostrożny? – zapytał Fandorin. – W generalskim szynelu, z lampasami. I złoty medalion na wierzchu.

– Szynel i lampasy wynikają z biedy. Nie mam innego odzienia. – Starzec wciąż wycierał chustką krew, która nie przestawała płynąć. – Wszystkie ubrania sprzedaliśmy albo wymieniliśmy na żywność, no a tego nikt nie chce. Jeśli zaś chodzi o medalion... Widzi pan, Misza był naszym jedynym synem, urodził się bardzo późno, straciliśmy już nadzieję. Był całym życiem Apollinarii Lwowny. Zginął pod Tannenbergiem.

– Gdzie?

– W Prusach Wschodnich, poległa tam cała gwardia, chyba pan pamięta? Misza ledwie trafił do pułku i od razu w pierwszej bitwie... Od tej pory Pola jest nieco, a właściwie bardzo... niezdrowa. – Generał delikatnie przyłożył palec do skroni. – Włożyła do medalionu ostatnią fotografię Miszy i pukiel jego włosów z dzieciństwa. W ciągu dnia siedzi, spogląda na zdjęcie, uśmiecha się, głaszcze loki – i jest spokojna. Nocą się z nim nie rozstaje, zaciska w pięści. Niedawno na ulicy też zaczęła oglądać. Po południu zawsze zabieram ją na świeże powietrze. A tu raptem ten czarny. Zobaczył i się przyczepił...

Starzec się zreflektował.

– Proszę wybaczyć, nie przedstawiłem się. Aleksander

Ksenofontowicz Czernyszew. Dawny profesor Akademii Inżynierskiej Nikołajewa. Przeszedłem na emeryturę jeszcze przed wojną, z uwagi na wiek.

Fandorin też się przedstawił. Panowie wymienili ukłony.

– Pozwoli pan, że zerknę na ranę, hrabio – powiedział Erast Pietrowicz. – Bo chyba pochodzi pan z hrabiowskiej rodziny Czernyszewów?

– Mam tego pecha. – Aleksander Ksenofonowicz uśmiechnął się smutno, odsłaniając ranę. – Dlatego pozbawiono mnie kartek. Rajsowiet[8] uznał, że nie należą się utytułowanej arystokracji. Dawnym generałom też zresztą nie przysługują, więc, jak to się teraz mówi, jestem „podwójnie wykluczony”. Coś w rodzaju nieślubnego Żyda, jeśli patrzeć z perspektywy starego reżimu.

Fandorin zbadał miejsce urazu.

– Uderzenie było mocne, ale na szczęście się ześliznęło. Silnie ukrwione miejsce, stąd krwotok. Skóra jest rozcięta, no i oczywiście doszło do wstrząsu, ale obejdzie się bez szwów. Wystarczy zdezynfekować i założyć opaskę. Może pan być wdzięczny losowi.

Generał roześmiał się gorzko.

– Wdzięczny? Wie pan, w trzynastym roku, gdy przeszedłem na emeryturę, postanowiliśmy z Polą uczcić to wydarzenie i wybraliśmy się w podróż dookoła świata. W San Francisco spóźniliśmy się na statek do Szanghaju, a on nocą na redzie uderzył we frachtowiec i zatonął ze wszystkimi pasażerami. Byliśmy poruszeni łaską losu. Później wiele razy myślałem: ech, co by to było za szczęście, gdybyśmy wtedy utonęli w luksusowej kajucie pierwszej klasy i nie zobaczyli tego, co wydarzyło się później...

– Musi pan wiedzieć, że jestem specjalistą od powodzenia. O szczęściu w życiu można mówić wtedy, gdy człowiekowi przypada najlepszy z istniejących wariantów. Z istniejących, rozumie pan? – odparł z naciskiem Fandorin, dodając w myślach:

na przykład gdy ktoś strzela mu z bliska w tył głowy, a on pozostaje jedynie kaleką. – Gdyby czarnogwardzista, czy jak mu tam, rozłupał panu czaszkę, pańska małżonka zostałaby sama na świecie. Co by się z nią stało?

– I tak teraz umrze. – Czernyszew skulił się, patrząc na śpiącą.
– Nie potrafi żyć bez zdjęcia Miszy. Nie będzie jadła ani piła. Wypłacze wszystkie łzy i umrze. Ale ma pan rację. Powiniennem z nią być. Od czterdziestu pięciu lat jesteśmy razem i nigdy się nie rozstawaliśmy. Pojechała ze mną nawet na wojnę turecką. Była siostrą miłosierdzia w lazarecie pod Plewną.

– Pod Plewną?

Fandorin spróbował sobie wyobrazić, jak wyglądali Czernyszewowie czterdzieści lat temu pod murami tureckiej twierdzy. On młody inżynier, ona filigranowa, ale zapewne rezolutna młoda dama.

– Pan też tam był? – Aleksander Ksenofontowicz popatrzył nań w ten sam sposób – było to spojrzenie towarzysza z dawno minionych czasów. – Boże, czemu tego wszystkiego dożyliśmy?

– Zdaje się, że pyta pan Boga? – Fandorin wzruszył ramionami.
– Niech więc On panu odpowie... Odwieźmy hrabinę do domu. Zakładam, że mieszkacie państwo niedaleko?

– Bardzo blisko, w zaułku Pietrowierigskim. Ale pan sam ledwo chodzi. Chyba ciężko panu stać? Czy to coś poważnego?

– Następstwa postrzału. Głupstwo. Mogę chodzić, jeśli mam się czego trzymać.

Obaj chwycili się oparcia fotela – Czernyszew też niepewnie stał na nogach. Ruszyli.

*

– Właściwie to prawda, że Apollinarija Lwowna wygrała los na loterii, postradawszy zmysły – cicho powiedział generał. – Jest

pogodna w swoim otępieniu i chyba nawet szczęśliwa. W każdym razie była. Ale teraz zacznie się piekło...

Zauważywszy współczujące spojrzenie jakiegoś przechodnia, Fandorin nagle zobaczył ich trójkę jak gdyby z boku: dwaj wycieńczeni starcy powoli pchają wózek z ledwie żywą staruszką. Nic dodać, nic ująć.

Tymczasem staruszka raptem ożyła. I od razu niespokojnie przesunęła ręką po piersi.

– Miszeńka, gdzie jest Miszeńka?

– W domu. Zapomnieliśmy zabrać – szybko odparł Czernyszew i szepnął: – Nie zniosę, jeśli ona znowu zacznie krzyczeć na całą ulicę.

– Do domu, do domu! – zażądała hrabina.

Generał wzdrygnął się i wymamrotał:

– Boże, co to będzie...

Dopiero teraz Erast Pietrowicz powiedział to, co powinien był powiedzieć na samym początku:

– Zwrócę państwu zdjęcie i pukiel włosów. – Po czym się poprawił: – Spróbuję zwrócić.

– W jaki sposób? Porusza się pan na wózku. Zresztą gdzie teraz szukać tego łobuza?

– Miał jakieś znaki szczególne?

Aleksander Ksenofontowicz z wahaniem zaczął wyliczać:

– Wysoki. W czarnym płaszczu z peleryną. Kapelusz z szerokim rondem, też czarny, no wie pan, „Garibaldi”. Czarna broda. Jednym słowem, anarchista.

– Znajdę. Z taką powierzchownością na pewno.

Oczy generała zaszyły łzami.

– Wiem, że mówi pan tak z litości. Żeby pocieszyć. Mimo to dziękuję. Ale jeśli... jeśli jakimś cudem się uda... – W spojrzeniu nagle błysnęła nadzieja. – Niech pan nas dalej nie odprowadza. Sam wróć z Polą do domu. A pan niech się pośpieszy! Nasz adres – zaułek Pietrowierigski, dawny dom hrabiego

Czernyszewa. Domkom[9] przydzielił nam stróżówkę. Wstawaj, Poleńko, zwolnij fotel dla pana Fandorina.

Erast Pietrowicz nie oponował. Musiał się śpieszyć, póki czarny „Garibaldi” nie rozpułynie się w milionowym mieście.

– Jakże go pan teraz znajdzie? Minęło co najmniej dwadzieścia minut! Niech pan da spokój, to niemożliwe! – krzyknął generał w ślad za oddalającym się wózkiem.

Odpowiedzi nie było.

*

Wytropienie „Garibaldiego” było tak naprawdę możliwe, a nawet nietrudne. Osobnik się wyróżniał, w dodatku był niebezpieczny. Taki nie tylko przyciąga uwagę, wszyscy odprowadzają go wzrokiem.

Ściganie było zajęciem rutynowym, co wcale nie znaczy, że nieprzyjemnym.

Erast Pietrowicz dojechał do ulicy Łubiańskiej – świadkowie mówili, że rabuś udał się w tamtą stronę.

Na skrzyżowaniu, między Muzeum Politechniki a pomnikiem bohaterów Plewny, pełnił akurat dyżur posterunkowy z karabinem i czerwoną opaską – radziecki stójkowy. Policjanci niżsi stopniem bez względu na to, jak się nazywają i jakiej służą władzy, mają tę samą mentalność: są surowi wobec tego, kto im się podlizuje, i podlizują się temu, kto przemawia surowo.

Dlatego Fandorin nie zjechał z chodnika, lecz zawołał rozkazująco:

– Ej, obywatelu, podejdź no tutaj.

I niecierpliwie kiwnął palcem.

Policjant się zbliżył, ale spoglądał niechętnie. Inwalida w białym szalu nie przypominał naczelnika.

– Dalej, żywo! – ponaglił go Erast Pietrowicz. – Co z twoją

spostrzegawczością?

– Niby z czym? – niespokojnie zapytał chłopak. W kaszkiecie i w czarnej kurtce wyglądał jak robotnik z fabryki. – Kim jesteście, towarzyszu?

– Nazywam się Fandorin – odparł Erast Pietrowicz znacząco. – Polecono ci, żebyś zachowywał rewczujność?

Ten od razu się wyprężył.

– Tak jest. A czemu?

– Przechodził tędy ze dwadzieścia minut temu brodaty anarchista w czarnym palcie i w czarnym kapeluszu?

– Był taki jeden – szybko odparł posterunkowy. – Bezczelny drań. Popatrzył na mnie i splunął. Kiedy wreszcie rozprawimy się z tą czarną hołotą, towarzyszu Fandorin?

– Niedługo. Widziałeś, gdzie poszedł?

– A jakże. W dół ulicy. – Posterunkowy pokazał w stronę placu Warszawskiego.

– Brawo. Należą ci się rewpodziękowania.

– Ku chwale narodu pracy! – I zapytał, widząc już tylko plecy rozmówcy: – Kim jesteście, towarzyszu Fandorin?

– Bohaterem Plewny – odparł Erast Pietrowicz, zerknąwszy na pomnik.

W dół ulicy to dobrze, a nawet wspaniale. Aż do placu nie było żadnych zakrętów, w bok odbijał tylko zaulek Mały Spasogliniszczewski, który na szczęście zagradzała barykada – widocznie nierozebrana jeszcze od czasu listopadowych starć (Masa opowiadał, że oficerowie i junkrzy długo walczyli z bolszewikami w Moskwie).

Na rogu, naprzeciwko cerkwi Wszystkich Świętych, nawinął się drugi obiecujący przewodnik – chłopak sprzedający gazety.

– „Dezerterska Prawda”! – wydierał się na całe gardło. – Gazeta „Anarchia”! Czasopismo „Awanturnik”!

Z nim sprawa okazała się jeszcze prostsza. Fandorin pomachał w górze dziesięciorublowym banknotem z łysymi, pozbawionymi

korony orłami (Masa wręczył mu całą paczkę) i chłopak natychmiast podbiegł.

– Masz oczy szeroko otwarte? – zapytał Erast Pietrowicz. – Przechodził tędy brodaty frant w czarnym kapeluszu i w czarnym paltocie, z kaburą przy boku?

– Uhm. Powiedzieć, dokąd poszedł? – I cap banknot wychudłą rączką. – Jest w Czerwonej Róży. Oo tam.

Pokazał piętrowy dom na rogu Solanki. Dawniej była tam kwiaciarnia, teraz też widniał szyld z dużą czerwoną różą.

– Co tam jest?

– Wiadomo co. Jak zapłacisz, naleją ci bimbru albo spirytusu. Mają tam wszystko, nawet dziwki w piwnicy. Trzeba tylko znać tajne hasło. Rzuć jeszcze dziesiątaka, to powiem.

Rewolucja rewolucją, a życie toczy się swoją koleją, nawet podziemne, pełne ciemnych interesów, pomyślał Fandorin. Gdzie niby mają być spelunki, jak nie w sąsiedztwie Chitrowki?

No cóż, wytropienie anarchisty nie zajęło dużo czasu.

– To jak, dasz dziesiątaka? – Chłopak nie ustępował.

– Nie dam.

Erast Pietrowicz ruszył dalej.

– Ciekawe, na co takiemu staremu grzybowi dziwki? – krzyknął za nim nietaktowny młodzieniec i miał rację, ale nie było czasu, żeby się trapić z tego powodu.

Akurat w tej samej chwili z przybytku grzechu wyłoniła się wysoka czarna postać. Mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem i w płaszczu z peleryną (tak, chyba z brodą) skręcił za róg na Solankę i znikł.

Erast Pietrowicz z całej siły napał na dźwignię, rozpędzając się do maksymalnej prędkości. Bardzo dobrze, że „Garibaldi” spędził w speluncie zaledwie parę minut. To znaczy, że nie zdążył przepić łupu. Fandorinowi nasunęła się też inna myśl, która w dawnych czasach nie przyszłaby mu do głowy. No dobrze, dogoni rabusia i co dalej? Mężczyzna nie jest ułomkiem,

w dodatku ma pistolet. Dawniej Erast Pietrowicz poradziłby sobie błyskawicznie z takim osobnikiem, nawet gdyby ten był uzbrojony po zęby, ale teraz? Jeżeli łobuz będzie stał nieruchomo, a najlepiej jeśli się pochyli, można oczywiście spróbować rąbnąć pięścią w kierunku poziomym, bo z dołu do góry się nie da... Zresztą mniejsza o to, byleby go tylko dogonić!

W ferworze pościgu Erast Pietrowicz wypadł na Solankę, z rozpędu omal nie spadł z chodnika, udało mu się jednak zahamować i zawrócić.

Czarna postać znajdowała się w odległości mniej więcej stu metrów, poły płaszcz powiewały podczas szybkiego marszu. Gdzieś się śpieszy.

Znowu znikł. Skręcił w stronę sierocińca.

W obawie, że zbieg przepadnie bez śladu na jakimś podwórzu albo w bramie, Fandorin znowu nabrał rozpędu, lecz tym razem sprawniej pokonał zakręt. Pod względem zwrotności i szybkości fotel ustępował oczywiście motocyklowi z koszem, którym Erast Pietrowicz tak brawurowo pruł po Baku, ale zasada była właściwie taka sama: pamiętać o wychylaniu się i balansowaniu ciałem.

Zdążył w samą porę – zobaczył, jak „Garibaldi” znowu skręca, teraz w lewo. Fandorin usiłował sobie przypomnieć, dokąd prowadzi aleja. Chyba pod bramę Towarzystwa Bankowego? Zdaje się, że nie ma tam nic innego. W każdym razie kiedyś nie było...

Zgadza się. Obsadzona ładnymi krzewami aleja prowadziła ku szeroko otwartej bramie, za którą widniały dziedziniec i fasada budynku z kolumnami. Dawniej był tutaj szlachecki dwór odbudowany po pożarze, później biuro Stowarzyszenia Banków Rosyjskich. A obecnie? I gdzie się podział „Garibaldi”?

Aha, jest – wbiega po szerokich schodach. Drzwi się otworzyły i zatrzasnęły.

Chyba się udało. Koniec pościgu.

8 Rajsowiet (*rajonnyj sowiet*) – rada rejonowa (przyp. tłum.).

9 Domkom (*domasznij komitet*) – komitet domowy (przyp. tłum.).

To nie takie proste

Fandorin doszedł do tego wniosku, gdy przeczytał napis na czarnej płóciennym płachcie dekorującej ogrodzenie: „Indywidualistyczno-anarchistyczna spółdzielnia WOLNOŚĆ”.

– Bardzo ciekawe – wymamrotał. – No cóż, zobaczymy...

Ze środka wyszła energicznym krokiem jakaś kobiecina, która nie wyglądała jednak ani na indywidualistkę, ani na anarchistkę – zakutana w chustę mysiego koloru, z papierową torebką pod pachą i z pękatą butlą w ręce, wydawała się bardzo zadowolona.

– Pierwszy raz? – zapytała. – Nie strachaj się, słuگو boży. Jadź przez podwórzec, a potem popod ścianą, o tam, i za ochicynę. Dzisiaj dają kaszę i olej roślinny. Anarchia jest surowa tylko dla burżujów, biedakom takim jak my pomaga. Zwyczajnie, bez kartek, nie to co bolszewiki. Wielu ma stracha przed anarchią, nie zachodzi tutaj, a szkoda. To dobre, łagodne ludzie, niech Bóg da im zdrowie.

Na dziedzińcu uwagę Fandorina przyciągnęły dwa gniazda karabinów maszynowych, ułożone z worków wypełnionych ziemią, a z krzaków wystawała lufa armaty górskiej. Łagodne ludzie? No, no.

Nie pojechał „popod ścianą i za ochicynę”, dotoczył się pod frontowe wejście. Na schodach siedział i kurzył papierosa wartownik z czarną wstążką na papasze.

– Patrzcie no, fotel na resorach – powiedział, gapiąc się na niezwykle pojazd. – Wybierasz się, dziadku, do spółdzielni?

– Owszem. Mogę wejść?

– U nas można wszystko. Wolność.

Wartownik ziewnął szeroko, odsłaniając żółte zęby, po czym się odwrócił. Całkiem możliwe, że nie był żadnym wartownikiem, usiadł sobie tylko na stopniu, żeby zapalić papierosa. W gniazdach karabinów i przy działach w ogóle nikogo nie było.

Erast Pietrowicz musiał się rozstać z cudownym wehikułem. Podniósł z ziemi czarną szmatkę, zrobił z niej kokardę, przywiązał do oparcia. Może nikt nie zwędzi anarchistycznego wózka.

Opierając się na lasce, powoli wspiął się na górę. Bez trudu otworzył ciężkie drzwi – tym samym ruchem przesunął dźwignię.

W przestronnym holu z sufitu zwisały czarne flagi z hasłami.

„Cała władza w ręce anarchii!” – przeczytał Fandorin. I jeszcze: „Własność to kradzież. P.J. Proudhon”. „Państwo należy zlikwidować. P.A. Kropotkin”. „Jednostka jest duszą rewolucji. Lew Czarny” (diabli wiedzą, kto to taki).

Ludzie też tutaj byli. Na środku owalnego pomieszczenia dyskutowały głośno trzy osoby: długowłosa okularnik w studenckim szynelu, marynarz z taśmą naboju zamiast paska i drobna skrzypiąca dziewczyna. Erast Pietrowicz nazwał ją w myślach „skrzypiącą”, bo gdy gestykulowała, każdemu ruchowi towarzyszył chrzęst. Miała na sobie kurtkę z garbowanej skóry, spodnie z grubej bawełny, buty ze sztylpami, a na boku wielgachną kaburę.

– Skoro jesteś moim bratem, nie zamęczaj mnie pytaniami o sferę cielesną! – rzuciła gniewnie ochrypłym głosem. W kąci pulchnych ust tkwił tłący się papieros.

– To burżuazyjna obłuda! – tak samo gorąco zaproponował osobnik w okularach. – Samoświadomość cielesna jest nieodłącznym atrybutem wolnego człowieka. Dlatego prawdziwy anarchista może mieć tylko jedno pytanie związane z cielesnością. Nieważne, kto je zadaje, brat czy siostra. Skoro

ktoś uczciwie pyta, należy uczciwie odpowiadać. „Chcesz mnie, siostrze?”, „Chcesz mnie, bracie?”.

Fandorin zwlekał – kazirodcza tematyka go nie interesowała, ale obmyślał, jak działać dalej. Chciał się też przyjrzeć mieszkańcom willi. Zresztą spór przybierał coraz ciekawszy obrót.

– A ja uważam, że dopóki rewolucja się nie skończy, nie pora na dyskusje o cielesności! – zawołała dziewczyna. – Ani na miłość!

Marynarz też postanowił się wtrącić.

– W kwestii miłości, siostrzyczko, nie będę się wypowiadał, ale natury nie oszukasz. Czasami najdzie człowieka ochota, żeby się po bratersku obmacać.

Zarechotał.

– Aleś ty głupi, Kudłaty! – zawołała dziewczyna.

Okularnik na to z wyrzutem:

– Chwileczkę, Tygrysico! Zasada czwarta.

Niezrozumiała uwaga sprawiła, że dziewczyna się zmieszala. Z poczuciem winy zwróciła się do marynarza:

– Przepraszam, bracie.

Ten poklepał ją delikatnie po ramieniu olbrzymim łapskiem.

– To ja przepraszam za sprośną uwagę.

Zarówno przedmiot dyskusji, jak i jej ton wydały się Fandorinowi osobliwe, jednakże nie mógł sobie pozwolić na stratę czasu.

– Posłuchajcie... towarzysze. – Zająknął się, wciąż jeszcze nienawykły do nowego sposobu tytułowania rozmówców. – Parę minut temu wszedł tutaj taki jeden w czarnym kapeluszu i w czarnym płaszczu, brodaty... Muszę z nim porozmawiać.

Marynarz obejrzał się obojętnie.

– Towarzysze są u bolszewików, dla nas wszyscy są braćmi albo siostrami. Owszem, przechodził ktoś taki. Nie przyglądałem się. Poszedł chyba tam.

Machnął w stronę korytarza i odwrócił się, żeby podjąć dyskusję.

– Dziękuję... bracie – odparł Erast Pietrowicz i pokuśtykał we wskazanym kierunku, uważnie się rozglądając.

Był lekko zbity z tropu. Legowisko zbójeckiej anarchii nie wyglądało tak, jak się spodziewał. Żadnych bezceństw, ludzie są trzeźwi, podłoga czysta, nigdzie nie poniewierają się butelki. Dziwne.

Z obu stron korytarza czerniały obite skórą drzwi. Poszukiwany osobnik mógł się za nimi skryć, mógł też pójść dalej, ku widniejącym w oddali schodom. Przydałby się ktoś równie uprzejmy jak tamci troje, żeby zapytać, co to za „Garibaldi” i gdzie go szukać.

Jedne drzwi się otworzyły, wyłonił się zza nich mężczyzna ubrany tylko w rozchełstaną białą koszulę, mimo że budynek nie był opalany i po korytarzu hulał zimny przeciąg.

Fandorin rozpoznał gest, którym mężczyzna wytarł nos: tak robi doświadczony kokainista zaraz po odurzeniu się. Nareszcie ktoś zachowuje się, jak przystało na anarchistę, pomyślał Erast Pietrowicz, bo „bracia”, „siostry” czy „nie pora na miłość” nie pasowały do wizerunku wywrotowca. Rozpięta koszula też dawała się łatwo wytłumaczyć – silny narkotyk powoduje, że człowiekowi robi się gorąco.

– Dobrego niuchu! – przywitał kokainistę w sposób przyjęty w tej zbiorowości.

Odpowiedź była zaskakująca.

– Oho, pan dramaturg! – rozległ się donośny głos. – Jak się pan... Fandorin? Dawno się pan nie pokazywał.

Mężczyzna odsłonił twarz, która wydała się mgliście znajoma. Chwilę później pamięć podsunęła nazwisko z poprzedniego, teatralno-kinematograficznego życia – w tym środowisku Erast Pietrowicz spędził trzy lata przed wojną, aż do nieprzyjemnego epizodu w Baku.

Gromow-Newski, aktor – oto kim był mężczyzna. Z uwagi na przeciętne zdolności nie angażowano go do pierwszorzędnych zespołów. Panowała opinia, że szarżuje i przesadza z ekspresją, ale chętnie powierzano mu role amantów w spektaklach wyjazdowych. Był wyrazisty, głośny, w sam raz na prowincję.

Poruszając gwałtownie szczękami (kokaina powoduje zaciskanie zębów), Gromow mocno potrząsnął rękę Fandorina. W rozszerzonych źrenicach błyszczała nienaturalna energia.

– Gdzie się pan podziewał?

– Chorowałem.

– Widzę. Postarzał się pan i chodzi o lasce.

Gromow nie miał chęci wypytywać Fandorina, będąc w stanie pobudzenia narkotykowego, wolał sam mówić. Trzeba przyznać, że i jego czas nie oszczędził. Fizjonomia mu się skurczyła i lekko obwisła, policzki przybrały żółtawy odcień.

– Szkoda, że pana nie było. A ja brylowałem w dwóch ostatnich sezonach! Zgarniałem nawet pięćset rubli za występ. Publiczność oszalała. W szesnastym miałem trzy benefisy. Niech pan sobie wyobrazi, że gdy tylko wychodziłem na ulicę, zaraz proszono mnie o autograf. Teraz też jestem rozpoznawany, ale teatry nie są już te, co kiedyś. Nie ma spektakli wyjazdowych, w stałym repertuarze same bzdury – o Pugaczowach i Komunie Paryskiej. Dzisiaj miłość nie jest w modzie.

– Już to słyszałem. – Erast Pietrowicz skinął głową, myśląc, że spotkanie jest mu bardzo na rękę.

Zdaje się, że Gromow czuje się tutaj jak ryba w wodzie. Pewnie zna też pana „Garibaldiego”. Żeby tylko był mniej gadatliwy...

– Do diabła z teatrami. – Gromow zrobił szeroki gest. – Niech pan spojrzy, jaki mamy teatr dokoła. Dzisiaj cały świat jest teatrem.

Ta sentencja też nie jest mi obca, pomyślał Fandorin.

– A co pan robi u anarchistów?

– Jestem jednym z nich. Podoba mi się tutaj. Co za

dramaturgia, co za zespół, co za dekoracje!

– I kokaina?

Gromow obejrzał się, zniżył głos.

– Tego akurat nie ma. Niech mnie pan nie wyda. Za narkotyki i wódkę nasz impresario wyrzuca na zbity pysk z zespołu. Mam na myśli spółdzielnię.

– Kto wyrzuca?

– Kierownik, którego wybraliśmy. To człowiek ze stali, nie zna się na żartach. Aron Wola, legenda anarchizmu. Pewnie pan słyszał.

Imponujące nazwisko (albo pseudonim?) nic nie mówiło Fandorinowi, ale to go nie dziwiło. W 1918 roku w Rosji głośne były nazwiska, których w 1914 nikt nie słyszał. Z pięć lat temu Fandorin widział w przelocie Lenina, premiera bolszewików, jednakże cała reszta radzieckich ministrów, jacyś Trotscy, Swierłowowie, Dzieżyńscy (czy kogo tam wymieniał Masa), wzięli się nie wiadomo skąd.

Aron Wola, legenda anarchizmu? Dobrze byłoby się dowiedzieć czegoś więcej zarówno o nim, jak i o tutejszej wspólnocie.

– Wiesz co, Gromow...

– Niech mnie pan nazywa Newski – poprawił artysta. – Ta rewolucyjna rzeka nabrała teraz znaczenia. Proszę sobie wyobrazić, że jestem krążownikiem Aurora.

I zaniósł się śmiechem, chociaż nie wiadomo było, na czym polegał żart i co miał do tego krążownik.

Jest w stanie najwyższej euforii, uznał Fandorin. Trzeba go pociągnąć za język, póki nie skapcał. Kokainowe podniecenie potrwa najwyżej pół godziny.

– Wie pan co, Newski – podjął żartobliwie, lecz zarazem twardo. – Niech mnie pan oprowadzi po waszym ogrodzie zoologicznym. Jestem ciekaw. Bo jak nie, wydam pana groźnemu atamanowi.

Newski chętnie się zgodził. Jeden widz to też publiczność.

– Czy pan wie, że dzisiejsza Moskwa jest dwukolorowa, czarno-czerwona, i że w mieście są dwa ośrodki władzy, dwie siły i dwie gwardie: bolszewicka i anarchistyczna? – zaczął donośnie. – Obaliliśmy monarchię razem z czerwonymi, na razie ich tolerujemy, ale już wiadomo, że są niewiele więcej warci od carskich satrapów. Zamiast jednej dyktatury chcą wprowadzić inną. Ale Leninowi i Trockiemu to się nie uda! – Potężna pięść przeszła powietrze. – W samej tylko Moskwie jest pół setki czarnogwardyjskich komun, spółdzielni i oddziałów. Huragan, Awangarda, Orkan, Lawa, Burza, Nawałnica, no i oczywiście nasza Wolność! Bolszewicki Mossowiet[10] urzęduje na Twerskiej, a nasz Dom Anarchii jest w odległości pięciu minut marszu, na Małej Dmitrowce, w dawnym Towarzystwie Kupieckim. Popiera nas prawie cała młodzież! Podobnie jak robotnicy. Żeby pan widział moje wystąpienie na Triochorce! Ależ mnie witano i słuchano! Bolszewicy to księgowi rewolucji, a my jesteśmy jej malarzami! Masy pójda za nami! Tutaj, w spółdzielni Wolność, jest półtorej setki braci, każdy z nich to chwyt nad chwaty!

Pora podsunąć mówcy konkretniejszy temat.

– Niedawno widziałem, że wszedł tutaj niezwykle barwny osobnik, prawdziwy malarz rewolucji. W romantycznym czarnym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem. Zna go pan?

Newski porzucił podniosły ton.

– Chwileczkę... Mówiono, że jest pan nie tylko dramaturgiem, ale i detektywem. – Aktor chytrze zmrużył oczy. – Niech się pan przyzna. Tropi pan jakiegoś przestępcę? Dla nas to żadna nowość. W spółdzielni pełno jest bandytów. Proszę podać znaki szczególne osoby, której pan szuka.

– Przecież powiedziałem: brodaty, długi czarny płaszcz, oryginalny kapelusz. Jakies pięć minut temu przeciął hol i poszedł w tę stronę.

Newski podrapał się po mięsistym podbródku, odchrząknął.

– Chodźmy. Pokażę panu coś jeszcze.

Otworzył drzwi do sporego pomieszczenia ciasno zastawionego wieszakami.

– Tutaj mamy szatnię, a raczej magazyn ubrań. Póki nie skończyło się drewno i palono w piecu, bracia zostawiali tutaj wierzchnie okrycia. Niech pan wejdzie.

Fandorin dotarł do drzwi, zajrzał do środka.

Jednakowe czarne płaszcze z pelerynami wisiały rzędem. Na górze, na półce z nakryciami głowy, leżały kapelusze à la Garibaldi.

– Komuna anarchistyczna krawców na Triochgorce wpadła na pomysł, żeby uszyć mundury dla Czarnej Gwardii. W ramach braterskiej pomocy przysłali nam sto kompletów. Ale Wola powiedział, że mundur jest oznaką przymusu. Płaszcze i kapelusze umieszczono tutaj. Gdy ktoś nie ma się w co ubrać, to je wkłada. Brodaczy też mamy pod dostatkiem. Cóż poradzić, anarchiści... – Gromow raptem stracił animusz i sflaczał jak przekłuty balonik. – No dobrze, Fandorin, teraz niech się pan sam przejdzie. I zajrzy do „świątyni czytania”. Gdy rekwirowaliśmy willę, Wola kazał wyrzucić z biblioteki banku całą literaturę finansową, zamiast niej przytaszczono anarchistyczną klasykę... Mamy tu wiele różnych rzeczy. Przekona się pan...

Niemrawo machnął ręką, po czym się oddalił. Kokaina przestaje działać, pomyślał Erast Pietrowicz. Bohaterski amant na dobre wpadł w szpony nałogu.

Fandorin ruszył dalej sam, opierając się na lasce, a niekiedy przytrzymując się ściany. Co dwadzieścia, trzydzieści kroków musiał robić przerwę na odpoczynek. Najwięcej sił zabierało mu powściąganie gniewu. Ponieważ energia *qi* się wyczerpała, należy przywykać do życia bez niej, pouczał się w duchu. Jako że powiedziano: „Szlachetny mąż ignoruje niemoc ciała, a to, czego

nie jest w stanie wyleczyć, poczytuje za zdrowie”.

Przez otwarte drzwi dobiegł go głos, który uroczyście deklamował:

„Główną zasadą anarchoindywidualizmu jest prawo każdego człowieka do swobodnego dysponowania sobą. Przysługuje mu ono z racji urodzenia. Człowiek i jego prawo wyboru stanowią najwyższą wartość i są respektowane w każdych okolicznościach. Jakiemukolwiek ograniczenia wolności mogą być tylko dobrowolne. Ludzie, którzy jednakowo traktują owe dobrowolne ograniczenia, powinni zamieszkiwać razem. Ziemia jest tak duża, że wystarczy miejsca dla każdej wspólnoty wyznającej określone zasady, kto zaś jest przeciwny jakimukolwiek ograniczeniom, może żyć sam”.

Kudłaty chłopak o wyglądzie studenta z zapalem czytał ustępy z książki, w ważnych miejscach unosząc palec. Przysłuchiwała mu się publiczność – ze dwadzieścia osób, przeważnie młodych. Wszyscy uzbrojeni. Trzej mężczyźni w czarnych płaszczach z pelerynami, jeden z nich trzymał na kolanach znajomy kapelusz. Ale twarz była pozbawiona brody, młoda.

Erast Pietrowicz zachmurzył się i poszedł dalej. Wygląda na to, że poszukiwanie nie będzie łatwe.

– „...Oto jaki szczytny cel będzie nam przyświecał, gdy zrobimy ostatnią, największą rewolucję!”.

Za plecami Fandorina rozległy się oklaski. Ktoś dźwięcznie zawołał:

– Niech żyje rewolucja!

W dużej sali zasłanej materacami spali ludzie. Przy ścianie stały rzędem karabiny. Na szerokim parapecie, przodem do okna, tkwił karabin maszynowy. Widocznie część „spółdzielni” jest ciągle skoszarowana, uznał Erast Pietrowicz. Śpią w ciągu dnia, czyli że w nocy czuwają. A więc wolność nie jest absolutna...

Dobrnął do schodów prowadzących na piętro i zawahał się –

wspinać się czy nie.

Wyzwanie było piekielnie trudne. Właśnie dlatego Fandorin je podjął.

Chwycił poręcz i postawił nogę na stopniu. Dźwignął nieposłuszne ciało. Zrobił krok. Jeszcze jeden. Przerwa.

Ślimak pełznący po zboczu Fudzi...

Zacisnął zęby, pokonał następne trzy stopnie. Znowu odpoczął.

Gdy do podestu zostało tylko jedno „podejście”, ktoś doń zawołał.

– Ej, a ty kto? Czego szes tutaj pchasz?

Na górze przy balustradzie stał barczysty mężczyzna z wydatnym nosem i groźnie błyskał czarnymi oczami. Miał na sobie czarny płaszcz z peleryną, rękę oparł na kaburze. Czarny zarost pokrywał drapieżną fizjonomię, sięgając oczu.

– Jestem wolną jednostką. Idę tam, gdzie chcę – odparł Fandorin, przyglądając się nieznanemu i zastanawiając się, czy zarost jest dość długi, by świadkowie nazwali go brodą. Brunet miał jeszcze jeden znak szczególny – dość silny gruziński akcent. Generał nie wspominał nic o akcencie. Ale może rabuś zabrał medalion w milczeniu?

Gruzin wyszczerzył ostre, ściemniałe od tytoniu zęby.

– Kalekę przysłały, mądrale. A może udajesz?

Zbiegł po schodach, mocno złapał Erasta Pietrowicza za łokieć.

– Pójdiesz sam?

I powlókł go na górę. Wejście z nieproszonym pomocnikiem stało się łatwiejsze, wystarczało jedynie przestawiać nogi.

Fandorin przez chwilę się zastanawiał, czy by nie dźgnąć gbura w punkt *mūdo*, ale paraliżujące pchnięcie palcem wymagało pewnego zasobu energii *qi*, tymczasem nie miał jej skąd wziąć. Ponadto powiedziano przecież: jeżeli burza gna statek w dobrym kierunku, nie walcz z nią, tylko rozwiń żagiel.

10 Mossowiet (*Moskowskij gorodskoj sowiet*) – Moskiewska Rada Miejska
(przyp. tłum.).

Kierownik spółdzielni

Burza zaciągnęła statek korytarzem pierwszego piętra pod drzwi z tabliczką „Kancelaria”. W środku rzeczywiście było pomieszczenie przypominające zwyczajne biuro: szafy na dokumenty, biurko z telefonem, maszyna do pisania.

Przy biurku siedziała dziewczyna w czarnej skórce – ta sama, którą Erast Pietrowicz widział w holu, skrzypiąca. Podniosła oczy znad drewnianego liczydła, na którym coś rachowała.

– Kogo przyprowadziłeś, Dżiki?

– Jeszcze jednego szpega – odparł. – Doneszono: chody y szpycluje.

Panna (Fandorin przypomniał sobie, że nazywano ją Tygrysią) zmarszczyła zadarty nos.

– Za stary na szpiega. I ledwo chodzi, pewnie to wędrowny dziad.

– E tam, one są chytre. Znam takich ynwałydów. Jak sze puszczysz, ne dogonysz. Prowadzę go do Arona.

– No to prowadź – powiedziała dziewczyna. Przesunęła kulkę na liczydło i coś zapisała. Kiwnęła głową w stronę ładnych rzeźbionych drzwi z napisem „Kierownik”.

Erast Pietrowicz się zasepił. Nowe życie, do którego trafił, pełne było afrontów. W poprzednim panny tak szybko nie traciły nim zainteresowania. „Za stary”, „wędrowny dziad”.

– Ruszaj. – Człowiek Wschodu szturchnął go w plecy. – Kerownyk wydy każdego na wylot. Jak sze okaże, żesz gnyda, żabyję.

Pchnięty Fandorin ledwo się utrzymał na chwiejnych nogach,

otworzył drzwi piersią i już za progiem z trudem zdążył się podeprzeć laską na okazałym dywanie.

U szczytu ogromnego politurowanego stołu, machając zdartym kamaszem, siedział mężczyzna w czarnym płaszczu ze zmierzwioną, przyprószoną siwizną brodą. Oderwał się od książki, ze spokojnym zdziwieniem spojrzął na mężczyznę, który wpadł do gabinetu, a potem na Gruzina.

– O co chodzi, Dżiki?

Powierzchnowość kierownika była interesująca. Spojrzenie szeroko rozstawionych oczu wydawało się roztargnione, a nawet na wpół senne, tlił się w nim jednak ukryty płomień, przygaszony, ale w każdej chwili gotów wybuchnąć z całą siłą. Niezwykła była też skóra, w bladym, niemal sinym odcieniu, jakby nigdy nie widziała słońca. Rzadki okaz, powiedział sobie Erast Pietrowicz. Wart zbadania.

– Mówylem, Aron, że bolszewyky zrobiły sze całkiem bezczelne. Ten chody samopas. Gdzie mamy karabyny, gdzie co – wszystko ogląda. Trzeba go ukatrupycz i wywalycz za bramę. Dla przykładu! Wtedy przestaną sze pchacz!

– A z czego wnioskujesz, że to bolszewicki szpieg?

– Kto odpowiada za bezpieczeństwo, ty czy ja? – Dżiki się rozzłościł. – Rób swoje, a ja swoje. To szpeg, znam sze na tym! Zaraz go rozwalę!

Kierownik wzruszył ramionami.

– Nawet jeśli jest bolszewikiem, to znaczy, że ma swoją prawdę, inną niż my. Za to się nie zabija. Wyprowadź go za bramę i na tym koniec.

– Nie odejdę – odezwał się Erast Pietrowicz. – Póki nie dostanę tego, po co przyszedłem.

Gospodarz gabinetu spojrzął nań jeszcze raz, już z zainteresowaniem. Odłożył książkę, wstał, podszedł. Iskierki w żółtobrązowych oczach rozbłysły mocniej.

– Idź, Dżiki. Ja z nim porozmawiam.

– E-e! – Gruzin wywrócił oczy. – Bez przerwy tylko gadamy. Pora strzelacz. Robycz rewolucję. Bolszewyky ne będą długo gadały.

Trzasnął drzwiami, wyszedł.

Aron Wola dość długo i bez ceregieli przyglądał się Fandorinowi.

– Ciekawa kombinacja. Lancelot, Seneka i Śpiąca Królowna w jednej osobie.

Ostatni element triady sprawił, że Erast Pietrowicz drgnął. Zapytał chłodno:

– Po co mi pan to mówi?

– Zawsze mówię, co myślę. No i jak, rozszyfrowałem cię?

Wygląda na to, że tak, niechętnie przyznał Fandorin. Rzeczywiście wędruję jak somnambulik po tym obcym świecie.

– Dobrze zna się pan na ludziach?

– Tylko na ciekawych. W przypadku nieciekawych czasami się myślę. Mów mi ty.

– Nie podoba mi się ta wasza rewolucyjna moda. Jest w niej grubiaństwo, a nie prostota.

– Wcześniej też wszystkich tykałem. Odkąd skończyłem siedemnaście lat, wyznaję zasadę, że trzeba zwracać się do bliźnich jak najprościej.

– Pewnie miewał pan przez to kłopoty? – zainteresował się Erast Pietrowicz.

– Oczywiście. Ale co to za życie bez kłopotów? Czym by się różniło od śmierci? Najpierw relegowano mnie z gimnazjum. Za to, że pozwoliłem sobie na poufałość wobec wizytatora. Później też różnie bywało. Kiedyś w irkuckim więzieniu etapowym tak mnie pobito, że przez pół roku nogi mnie w ogóle nie słuchały. Było gorzej niż z tobą. Lekarz więzienny odmówił leczenia, bo do niego też mówiłem per ty. Ale to nic. Wydobrzałem.

On rzeczywiście mówi prawdę, pomyślał Erast Pietrowicz. Ktoś taki chyba nie umie kłamać.

– No cóż, pan ma swoje zasady, a ja swoje. Tylko z bardzo bliskimi osobami jestem na ty. Właściwie tylko z jedną.

– Pewnie z żoną? – Wola skrzywił się pogardliwie. – Kiedy człowiek nie potrafi żyć sam, sprawia sobie kostur. No to po coś tutaj przyszedł? Nie przypominasz szpiega. Oni wyglądają inaczej. Może chcesz wstąpić do spółdzielni? Przyjmę cię, ciekawy z ciebie osobnik.

– Chcę się dowiedzieć, kim jesteście i co chcecie osiągnąć. O jakiej rewolucji wciąż tutaj rozprawiacie? Ona już się dokonała. Były nawet dwie rewolucje, w lutym i w październiku.

– Potrzebna jest trzecia – odparł z przekonaniem Wola. – Prawdziwa. Pierwsza rewolucja była burżuazyjna – przeciwko caratowi. Druga socjalistyczna – przeciwko burżuazji. Trzecia będzie anarchistyczna – przeciwko socjalistom. Dopiero po naszym zwycięstwie Rosja stanie się wolna. Dyktatura proletariatu to wciąż dyktatura. – Mówił z coraz większą pasją, w oczach zapłonął ogień. – Spójrz, jak szkaradnie urządzono ten świat. Dziewięcioro z dziesięciorga urodzonych dzieci skazanych jest na ciężką pracę, ucisk i poniżenie, a dziesiąte, niby wybraniec fortuny, musi być pasożytem. Nikt nie ma wyboru. Tymczasem człowiek różni się od zwierzęcia tylko tym, że może wybrać, kim się stanie. Spójrz, jak szpetna jest ludzkość na skutek tej niesprawiedliwości! Jak odrażający i haniebny żywot prowadzi! Spójrz na miasta, na te zakopcone cmentarze ludzkich losów!

– Bez miast się nie da – zaproponował Fandorin, nie tyle wsłuchując się w sens słów, ile usiłując wyrobić sobie zdanie na temat rozmówcy.

– Da się! I trzeba! Ludzie zostali na siłę zapędzeni do tych zagród, bo tutaj łatwiej zarobić na kawałek chleba. Należy więc zlikwidować pośrednie ogniwo między pracą a chlebem. Wystarczy zmiażdżyć głowę hydrze państwa, wymierzyć cios tutaj, w Moskwę, i ludzie w całym kraju sami ułożą sobie życie.

Większość zechce żyć na ziemi, oddychać czystym powietrzem, wychowywać dzieci na otwartej przestrzeni. Dziesiątki tysięcy komun zorganizują się i będą żyły własnym rozumem, przestrzegając wewnętrznych zasad. Jak nasza spółdzielnia. A w miastach pozostaną tylko ci, co zapragną pracować przy maszynach albo zajmować się nauką. Oni też się zorganizują. Oto, czym jest prawdziwa rewolucja!

– Zamierzacie obalić władzę radziecką i mówicie o tym bez ogródek?

– Spiski i knowania to nie nasza specjalność. Rewolucja zwycięża z odkrytą przyłbicą. Mamy już w mieście dwadzieścia sześć punktów oporu. I wciąż ich przybywa. Ludzie widzą, że bolszewicy pragną jedynie władzy, a czarnogwardziści karmią się ideą!

– Wszyscy bez wyjątku? – zapytał Erast Pietrowicz, żeby się zorientować, jak bardzo oderwany od rzeczywistości jest ten rewolucyjny Maniłow[11].

– Ale gdzie tam. – Wola nawet się zdziwił. – Przyjmujemy do spółdzielni każdego, kto się zgłosi, nie urządzamy przesłuchań. Ponieważ każdy człowiek a priori zasługuje na szacunek i zaufanie. Dopóty, dopóki ich nie utraci, popełniając jakąś niegodziwość. W spółdzielni Wolność obowiązuje regulamin składający się z dziesięciu wymogów. Każdy członek musi ich przestrzegać.

– Co to za wymogi?

– Pierwszy: nie szczędzić życia dla sprawy wolności. Drugi: z szacunkiem traktować braci i siostry. Trzeci: zawsze i we wszystkim im pomagać. Czwarty: nie kłócić się ze swoimi. Piąty: walczyć tylko z wrogami rewolucji. Szósty: cały majątek jest wspólny, z wyjątkiem przedmiotów osobistego użytku. Siódmy: obowiązuje surowa prohibicja. Ósmy: nie zakładać rodziny, nim nie nastąpi całkowite zwycięstwo rewolucji. Dziewiąty: wykonywać rozkazy bojowe kierownika spółdzielni, nie

traktując ich jako ograniczenia wolności. I ostatni, dziesiąty: w przypadku naruszenia któregoś z wymogów poddać się bez szemrania karze wymierzonej przez sąd braci.

– A jak wygląda ów sąd?

– Odbywa się wspólne głosowanie. Są tylko dwie kary. Łagodna, czyli wyrzucenie ze spółdzielni. Do tego wystarczy jedynie większość. I najwyższy wymiar kary, rozstrzelanie. Ale w tym wypadku potrzeba dwóch trzecich, żeby zapadł wyrok. Karzemy śmiercią za ciężkie przestępstwa, powiedzmy za zabójstwo. Człowiek jest wolny w swoich decyzjach i czynach, ale powinien ponosić za nie pełną odpowiedzialność. W razie konieczności zapłacić życiem. Taka jest nasza anarchistyczna czarna prawda.

– Zdarzało wam się rozstrzelać swoich?

– Dwukrotnie. Kiedyś pijany brat śmiertelnie ugodził nożem innego brata. I jeszcze raz, gdy jeden, z grona kryminalistów, zgwałcił gimnazjalistkę. Widziałeś Dzikiego, mojego zastępcę do spraw bojowych. To dawny rzezimieszek, los obszedł się z nim surowo. Dżiki wykonuje wyroki, ma twardą rękę.

Fandorin się zdecydował.

– Skoro w spółdzielni Wolność panują tak surowe prawa, jak by pan postąpił z bratem, który ograbił bezbronną staruszkę?

I zrelacjonował kierownikowi to, co się wydarzyło na Pokrowce.

Wola wysłuchał zachmurzony.

– Przykra historia. Żal staruszki. Ale nie naruszono reguł spółdzielni. Rekwizycja przedmiotów luksusowych, znajdujących się w posiadaniu przedstawicieli klasy wyzyskiwaczy, to naturalny porządek rzeczy. Skonfiskowane dobra wymieniamy na żywność, którą bezpłatnie rozdajemy potrzebującym. To, że brat uderzył generała, też jest normalne. Jeżeli wrogi element się opiera, wolno użyć siły. W końcu ów hrabia nie został zabity.

– Zatrzymajcie złoty medalion. Oddajcie nieszczęsnej matce

zdjęcie i pukiel włosów. To wszystko, czego chcę.

Wola zamyślił się na chwilę.

– Chyba oddamy też medalion, skoro jego wartość jest sentymentalna, a nie handlowa. W takim przypadku nie jest to przedmiot luksusu, tylko rzecz osobistego użytku... Jak się nazywasz?

– Fandorin.

– Chodź ze mną, Fandorin. Medalion powinien być w magazynie, tam przechowujemy majątek spółdzielni. Zaraz poszukamy. Później wyślę z tobą któregoś z braci. Niech odda matce za pokwitowaniem.

Aron Wola energicznie ruszył ku drzwiom. Skonsternowany Erast Pietrowicz, lekko się zawahawszy, pokuśtykał w ślad za nim.

Kierownik czekał na niego w kancelarii, słuchając skrzypiącej panny.

Ona zaś mówiła:

– ...Mamy tygodniowy zapas żywności dla stu czterdziestu siedmiu bojowników plus nadwyżki. Dogadałam się z komuną imienia Bakunina, oddali dwa maksimy w zamian za osiem pudów mąki i tamten kanister spirytusu, który przedwczoraj skonfiskowaliśmy, spirytusu przecież nie potrzebujemy. Ponadto możemy rozdać mieszkańcom dziesięć pudów mąki, trzydzieści funtów cukru, dwanaście worków ziemniaków, no i olej. Rozdać?

– Oczywiście. Brawo, za pomysł z karabinami maszynowymi. Niedługo nam się przydadzą.

Wola poklepał serdecznie dziewczynę po ramieniu, na skutek czego jej świeża twarzyczka poróżowiała z zadowolenia.

– Chodźmy, chodźmy – ponaglił Fandorina i mocno chwycił go pod rękę. – Tak ci lżej iść?

– Owszem, dziękuję – odparł ponuro Erast Pietrowicz, nienawidząc swoich nieposłusznych nóg.

– Złoto, nie siostrzyczka – powiedział Wola na korytarzu. –

Sam nie wiem, kto jest przydatniejszy w spółdzielni: Dżiki czy ona. Nawiasem mówiąc, „dżiki” po gruzińsku znaczy „pantera”, a dziewczyna nazywa się Tygrysica. Tak więc obaj moi pomagierzy należą do rodziny kotowatych, co zresztą jest słuszne. Spośród wszystkich zwierząt kot najbardziej umiłował wolność, nie bez powodu Rzymianie sadzali go u stóp bogini Libertas. Tygrysica sprawuje pieczę nad wszystkim, jest kimś w rodzaju szefowej sztabu. Prawdziwa rosyjska dziewczyna oddana idei. Dawniej takie jak ona strzelały do gubernatorów i ministrów, umierały w więzieniu, prowadząc głodówkę. W ubiegłym roku wstąpiła do Batalionu Śmierci i poszła na front. Nie kierowała się tak zwanym patriotyzmem, zrobiła to w imię praw kobiet. Nieźle, co? – Wola roześmiał się z podziwem. – Dostała kulę w pierś, ledwo przeżyła. I zobacz – znowu jest na pierwszej linii.

Korytarz zakręcił dwa razy i skończył się przed metalowymi drzwiami, na których wisiała kłódka. Pełnił tutaj służbę wartownik, ale jego karabin leżał na podłodze, on zaś właśnie szkicował węglem na ścianie olbrzymią gołą babę, ukazaną niezwykle naturalistycznie.

– Co ty robisz, Kozłowie?!

Chłopak się obejrzał. Miał cygańską twarz i czarną brodę, ale nie był w płaszczu, tylko w żołnierskim szynelu.

– Nie widzisz? Rysuję. Sam mówiłeś, że wolny człowiek powinien rozwijać w sobie ten... jak mu tam, pierwiastek artystyczny. No to rozwijam, bo nudno tak sterczeć. Ładna?

– Bynajmniej – odparł Wola z gniewem. – Taka sprośność uwłacza płci żeńskiej.

Kozłowie się obraził.

– Skoro tak, psiakrew, to dzisiaj na ciebie nie zagłosuję. I powiem chłopakom.

– Niech was diabli, możecie nie głosować – burknął Wola, wyjmując klucz. – Przynajmniej odpocznę... – Wyciągnął rękę,

wymacał kontakt. – Wejdz, Fandorin. Tutaj przechowujemy skonfiskowane dobra, których jeszcze nie wymieniliśmy na żywność, Tygrysica wszystkim zawiaduje. Wszędzie utrzymuje porządek.

W niedużym pokoju bez okien ściany były zastawione drewnianymi szafami, na długim stole leżały starannie posegregowane kosztowności: osobno srebrne naczynia i świeczniki, złote monety w stosikach, papierośnice, carskie medale, kolczyki, naszyjniki, pierścionki. Były też medaliony, ale ani jednego z diamentami.

– Co, nie ma? Może brat, który skonfiskował medalion, jeszcze nie wrócił?

– Wrócił. Pół godziny temu.

Dolna szczęka Woli jak gdyby skamieniała.

– Zgodnie z regulaminem każdy żołnierz, który dokona rekwizycji, natychmiast po powrocie powinien oddać skonfiskowane rzeczy do magazynu. Skoro nie oddał, to znaczy, że jest złodziejem. Ukradł braciom! Za to czeka go sąd. Nie inaczej. Rozpoznasz go?

– Twarzy nie widziałem. Ale potrafię podać znaki szczególne.

– Doskonale. Zaraz wszystkich zobaczysz. – Przywódca anarchistów ze złością zabębnił palcami po stole. – Słyszałeś, co powiedział wartownik o głosowaniu? Raz w tygodniu wybieramy kierownika. Taki zwyczaj. Co czwartek o piątej po południu mamy walne zebranie. Dzisiaj akurat jest czwartek, a godzina – zerknął na zegarek – wpół do piątej. Pójdiesz ze mną i pokażesz szubrawca.

11 Bohater *Martwych dusz* M. Gogola. Niefrasobliwy marzyciel, który czczą gadaniną tuszuje swoją bierność (przyp. tłum.).

Wolny wybór

Zebranie spółdzielni odbywało się na tylnym dziedzińcu, widocznie w budynku nie było pomieszczenia, które mogłoby pomieścić cały oddział. Na wyasfaltowanym placu, wciśniętym pomiędzy główny budynek, oficyny i ogrodzenie, zebrało się z półtorej setki ludzi i jak od razu zauważył Fandorin, prawie wyłącznie „braci”. „Sióstr” razem ze znaną mu już Tygrysią nie było nawet dziesięciu. Anarchistki wyglądały nie mniej malowniczo niż anarchiści, ale w danej chwili nie interesowały Erasta Pietrowicza.

Dobrze, że wszyscy zgromadzili się na zewnątrz, na chłodzie. Dlatego byli w wierzchniej odzieży i, co szczególnie odpowiadało Fandorinowi, w nakryciach głowy. Przeliczył garibaldiowskie kapelusze (dwadzieścia siedem), odrzucił tych, którzy nie byli w płaszczach z pelerynami (wyszło jedenastu), z reszty wyodrębnił wysokich i z czarnymi brodami. Pozostało zaledwie trzech mężczyzn.

Jeden z wystającą grdyką i rzadką bródką, całkiem młody, ale pewny siebie, wyzywająco wydał dolną wargę. Stał z rękami w kieszeniach, od czasu do czasu spluwał.

Drugi smagły, z czujnym spojrzeniem, wciąż przestępował z nogi na nogę, jak gdyby gotów poderwać się z miejsca. Typ złodziejaska, to jasne.

Trzeci, na odwrót, zastygł w bezruchu, fizjonomia kamienna, niemal po oczy zarośnięta bujną brodą.

Każdego z nich bardzo łatwo można było sobie wyobrazić w roli ulicznego rabusia.

Zebranie prowadził odrażający Dżiki-Pantera. Wiadomo dlaczego – widać było, że dzika brać obawia się okrutnego Gruzina.

Mówca z Dżikiego był żaden.

– No co – powiedział, wzięwszy się pod boki. – Perwszy raz czy co? Dalej, Aron. Wychodź.

Oto i całe zagajenie.

Wyglądało na to, że Wola, jako pełniący funkcję kierownika, musiał wygłosić mowę przedwyborczą.

Ona też nie była rozwlekła.

Mężczyzna wspiął się na ganek, powiódł pałającym wzrokiem po zebranych i zaczął półgłosem:

– Dziękuję, że wybieracie mnie raz za razem. Myślę, że się wam znudziło co tydzień słuchać tego samego. Dlatego powiem krótko. O najważniejszych rzeczach. O naszej czarnej prawdzie. Dlaczego nazywa się czarna?

Słuchano go z uwagą. Tłum doskonale wyczuwa prawdziwy, nieudawany entuzjazm, pomyślał Fandorin, i ulega mu, a niekiedy się nim zaraża.

– Dlatego że nikogo nie wybielamy ani nie upiększamy. Kochamy ludzi, mimo że są czarni. Bo tacy właśnie są. Kocham was wszystkich. Złych, skrzywdzonych, chorych na syfilis, wyklętych, nikomu niepotrzebnych, grzesznych, występnych – bez wyjątku. Wiecie dlaczego? Dlatego że jesteście tutaj, w spółdzielni Wolność, a to znaczy, że wolność jest dla was najważniejsza. Jesteście tacy sami jak ja. Jesteście moimi braćmi i siostrami. Podobnie jak ja poświęćcie wszystko i wszystkich w imię wolności. Ja z kolei poświęcę dla was wszystko i wszystkich, nawet samego siebie, o czym dobrze wiecie. To tyle, skończyłem. Jesteście wolnymi ludźmi, decydujcie.

Nikt nie klaskał ani nie wznosił entuzjastycznych okrzyków, ale milczenie było wymowniejsze od owacji.

Oto jaki powinien być wódz. W każdym razie w ogarniętej

rewolucją Rosji, powiedział sobie Erast Pietrowicz i westchnął. Poświęcić wszystko i wszystkich to zbyt wysoka cena. Nawet za wolność.

Wola stanął obok Fandorina i spokojnie, jakby przed chwilą nie wypowiadał podniosłych słów, szepnął:

– No i co? Widzisz szubrawca?

– Trzej mają wymagane znaki szczególne – tak samo cicho odparł Fandorin. I wyjaśnił kto.

– Spartak, Topór, Żochow... – wycedził Wola, groźnie ściągając brwi. – Dobra. Jak skończą się wybory, przyjrzymy się sytuacji.

Tymczasem zebranie trwało dalej.

Gdy Dżiki zapytał zebranych, czy są gotowi do głosowania, bo może ktoś jeszcze chce wystąpić, podniosła się ręka.

– Dostyc mamy Arona! – krzyknął ktoś w czapce z daszkiem. – Przy takim Woli nie mamy żadnej woli! Bracia, niech aktor zostanie kierownikiem! Wybierzmy Newskiego!

Gromow-Newski też był tutaj, w płaszczu narzuconym na koszulę, blady, ale uśmiechnięty. Pomachał wszystkim ręką i żartobliwie się uklonił, odgarniając puszysty kosmyk włosów z czoła.

– To nasz artysta – powiedział Wola. – Znakomitość. Wspaniale występuje na mityngach, no i w ogóle bardzo się zaangażował w rozpropagowanie naszych idei.

Erast Pietrowicz nie dopatrzył się w tych słowach ani wrogości, ani zawiści.

Tłum się ożywił. Ktoś się roześmiał, kto inny zawołał:

– Dalej, Newski! Na mównicę!

Aktor lekko wbiegł po stopniach, zrzucił płaszcz, potrząsnął czupryną. Mówił doskonale postawionym barytonem, robiąc efektowne pauzy.

– Drodzy bracia i jeszcze droższe siostry! Ja też będę się streszczał. W odróżnieniu od mojego przedmówcy nie cierpię was wszystkich. Bo jesteście potworami. Jedna połowa to

bandyci, a druga szaleńcy w rodzaju waszego pokornego sługi. Nie możecie usiedzieć na tyłkach i zamiast popijać herbatę w domowym zaciszu, szukacie przygód. – Słuchacze wybuchnęli śmiechem. – Ale tkwię w tej spelunie z tego samego powodu co wy. Od nich tam – machnął ręką za ogrodzenie – wieje nudą, a u nas jest wesoło. Co prawda mogłoby być jeszcze weselej. Mój program wyborczy zawiera tylko jeden postulat. Żądamy zniesienia prohibicji! Siódmą regułę należy poprawić: „Kto nie umie pić i po spirytusie albo białej wróżce staje się zwierzęciem, będzie wywalony na zbity pysk, cała reszta niech sobie żłopie na zdrowie”. To tyle, skończyłem. Jesteście wolnymi ludźmi, decydujcie. – Aktor bardzo udatnie sparodiował gardłowy głos Woli, po czym się uklonił.

Rozległy się oklaski i śmiechy.

– Zaraz pana zdetronizują – powiedział zaniepokojony Fandorin.

Sprawa, która miała się ku końcowi, mogła się skomplikować.

– No i dobrze – obojętnie rzucił Wola. – Ludzie mają wolny wybór. Ich sprawa, skoro chcą się oddawać pijaństwu. To nic, po tygodniu zrozumieją, że tak nie wolno, i znowu mnie wybiorą, przywracając prohibicję. Nie denerwuj się. Nikt nie zmieni pozostałych reguł, więc i tak zdemaskujemy złodzieja.

Dzięki zarządził głosowanie.

– Najperw nech podnoszą ręce te, co są za Aronem – powiedział i pierwszy poderwał pięść w górę.

Ku zaskoczeniu Fandorina prawie cała gromada poszła za przykładem Gruzina, w tym również Newski. Zauważywszy spojrzenie Erasta Pietrowicza, aktor doń mrugnął. Okazało się, że bohaterski amant nie potrzebuje niczego więcej prócz powszechnej uwagi i oklasków.

Zwycięzca nie wygłosił dziękczynnego przemówienia.

– Kto ma dyżur, na stanowisko! – zawołał. – Reszta też niech się nie oddala. Żochow, Topór i Spartak, za pięć minut do mnie!

Najlepsi z najgorszych

– Co pan zamierza zrobić? Przeszukać ich?

Fandorin nie nadążał za ponurym Wołą. Ten stanął, zaczekał.

– Nie. Rewizja osobista jest poniżająca. Poza tym złodziej mógł ukryć łup. Pogadam z nimi. Przecież mówiłem, że widzę ludzi na wylot. Mam zresztą wrażenie, że ty też się na nich znasz. Specjalnie nie kazałem im przyjść od razu. Opiszę ci każdego w paru słowach. Spartak, najmłodszy, kiedyś uczył się na telegrafistę, ale w lutym ubiegłego roku porwała go rewolucja. Trafił do nas z grupy nieumotywowanych.

– Co to za jedni?

– Najbardziej skrajny odłam anarchistów. Uważają, że wszyscy przedstawiciele klasy wyzyskiwaczy to przestępcy, których należy zlikwidować. Podkładają bomby pod wagony pierwszej klasy, podpalają drogie domy letniskowe, ostrzeliwiają okna rezydencji. Bez żadnego motywu, stąd nazwa. Spartak to chłopak porywczy, a nawet okrutny. Myślę, że to kwestia młodzieńczego maksymalizmu. Ale nie jest złym człowiekiem. Podczas listopadowych walk szturmowaliśmy sztab milicji Rządu Tymczasowego, była tam hodowla psów. Pożar, psy wyją, nie mogą się wydostać. Spartak bez wahania skoczył w ogień i wyciągnął wyżła. Ryzykował. Nie sądzę, żeby to on dopuścił się rozboju. To znaczy, owszem, mógł zabrać medalion, ale zataić incydent – to do niego niepodobne.

Erast Pietrowicz nie wdał się w spór, chociaż zdarzało mu się widywać różnych „młodych maksymalistów”, wśród których nie brakowało zatwardziałych przestępców.

– Co pan powie o smagłym, niecierpliwym?

– Topór. Widział pan toporek na krótkim stylisku, który trzyma za pasem? Stąd przezwisko. Operuje tym prostym narzędziem jak chirurg skalpelem. Potrafi nim otworzyć drzwi, wyczyścić paznokcie albo rozłupać komuś czaszkę.

– Rzezimieszek. – Fandorin skinął głową. Trafnie odgadł profesję drugiego mężczyzny, nie było to zresztą trudne.

– Element kryminalny – przytaknął Wola. – Mówiłem, że sporo tutaj takich jak on. To normalne. Bandyta żywiołowo, z natury rzeczy, odrzuca społeczeństwo wyzyskiwaczy oraz jego prawa. Tacy jak Topór od zawsze byli na Rusi. Grabili w lasach i na drogach, a za Razina i Pugaczowa mordowali szlachtę. Anarchia to osobliwy magnes. Przyciąga najlepszych i najgorszych. A raczej najlepszych z najlepszych i najlepszych z najgorszych – poprawił się. – Za Topora raczej nie mogę ręczyć. Czymkolwiek byś karmił wilka, zawsze na las spogląda.

– Trzeci? Nieruchawy?

– Żochow tylko z pozoru jest nieruchawy. Kiedy trzeba, potrafi być szybki. Bohater wojenny z wielką wstęgą Świętego Jerzego. Kozacki zwiadowca. Czołgał się przez linię frontu, żeby zdobyć języka. W pojedynkę. Zazwyczaj to mruk, ale kiedyś się ze mną rozgadał. Mówił, że najpierw chwycił jednego albo dwóch Niemców na tyłach, zabijał ich „dla rozgrzewki”, a dopiero później brał jakiegoś żywcem. Należy do ludzi, w których wojna obudziła zwierzę. Nie potrafię nic o nim powiedzieć. Ciekawy osobnik, ale zupełnie nieprzewidywalny.

W końcu dotarli do kancelarii, gdzie Tygrysica układała jakieś teczki na półkach w pokoiku przypominającym komórkę.

– Gratuluję ponownego wyboru! – powiedziała, wysuwając głowę.

– Nie ma czego! – burknął Wola. – Zaraz przyjdą do mnie trzej bracia. Wpuść ich.

– Wiem, słyszałam. Spartak, Topór i ten okropny Żochow. Nie

mogę na niego patrzeć, brrr. Zalatuje trupem.

– Co ty pleciesz? Jakim trupem? – zdziwił się Wola, który widocznie nie czytał Czechowa. – Węch mam dobry. Wyczułbym. Tak czy inaczej, zaraz tu będą.

Chwilę potem rozległo się pukanie do drzwi. Podejrzani weszli gęsiego: pierwszy „chirurg” kryminalista, za nim „nieumotywowany”, a na końcu, nieśpiesznie, bohater wojenny.

– Witajcie, bracia – powiedział Wola.

W jednakowych płaszczach i kapeluszach, z twarzami pokrytymi czarnym zarostem rzeczywiście przypominali trzech braci: młodszego, średniego i najstarszego.

– Po co nas wezwalesz, kierowniku? – niecierpliwie zapytał Topór. – Masz jakąś sprawę? Od wczoraj nie spałem. Zamierzałem zdrzemnąć się w pokoju na materacu.

Wola w milczeniu wpatrywał się weń gorejącymi oczami, jakby chciał przewiercić na wylot. Później tak samo nieśpiesznie przyjrzał się pozostałym. Spartak nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, gapił się w przestrzeń, pociągając nosem. Żochow z niewzruszonym spokojem wytrzymał badawcze spojrzenie. Ale Toporowi nie spodobały się oględziny. Kącik ust drgnął mu nerwowo, w głosie zabrzmiała histeryczna nuta.

– Coś się tak ślepisz, jakbyś zamierzał wypalić mi dziurę w facjacie? Mów, czego chcesz.

Wola zapytał cicho:

– Czy któryś z was przeprowadzał dzisiaj rekwizycję?

– Ja nie – szybko odparł Topór. – A czemu?

– Hm? – Do młodego nie od razu dotarło pytanie. – Nie... Złatwiałem swoje sprawy.

Żochow przecząco potrząsnął głową.

Wola sposepniał jeszcze bardziej. Widocznie miał jednak nadzieję, że złodziej zwróci medalion.

– Koniec z rekwizycjami. Zaczyna się gorący czas. Przed nami starcie z bolszewikami.

Żochow kiwnął głową.

Topór powiedział:

– Zrobimy z czerwonych krwawą miazgę, najwyższa pora.

– Hm? – rzucił Spartak.

– Od jutra stawiam całą spółdzielnię w stan gotowości bojowej.

Proszę was, żebyście już teraz objęli dyżur bojowy. Jesteście mi potrzebni, bracia. Topór, powierzam ci kontrolę straży. Żeby się uważnie przyglądali. Bo niemożliwie się rozpuścili, wciąż tylko zbijają bąki. Stanowiska karabinów maszynowych na dziedzińcu są puste. Wartownik zamiast pilnować magazynu, maluje gołą babę na ścianie.

– Jasne. – Dawny rzezimieszek skinął głową. – Będą stali na baczność.

– Spartak, wal do punktu łączności. Nie zapomniałeś, czego cię uczono? Umówiliśmy się z dowódcami w sztabie, że nie będziemy dłużej prowadzić sekretnych rozmów przez telefon. Centralę zajęli bolszewicy, podsłuchują.

– Nie mogę. – Spartak się zachmurzył. – Dzisiaj nie dam rady. Mam sprawę.

– Niby jaką?

Zaczerwienił się.

– Osobistą...

– Osobiste sprawy po zwycięstwie rewolucji! – ryknął Wola. – Marsz do punktu łączności! Pamiętasz dziewiątą regułę?

Ten przytaknął z nieszczęśliwą miną.

– Teraz ty, Żochow. Tygrysica zdobyła dwa nowe maksimy. Sprawdź ich stan. Jeśli coś będzie nie tak, napraw. Tylko tobie ufam, masz złote ręce.

Milczek pochylił głowę i po raz pierwszy otworzył usta. Zapytał ochryple:

– Skończyłeś? To idę.

Pozostali ruszyli za nim.

– Który twoim zdaniem? – zapytał Wola.

– Którykolwiek. Chłopaka też nie wykluczam. Sam by się nie połasczył na złote cacko, ale jest przecież zakochany. Dobrze znam to nieobecne spojrzenie. Może ma jakąś Kleopatę, która żąda drogich prezentów.

Wola westchnął.

– Racja. Wciąż mi umyka ten czynnik. Dobra. Zrobimy tak...

Drzwi szeroko się otworzyły. Do gabinetu wpadł Dżiki.

– Na strychu sąsiedniego domu Łotysze ustawiają karabyn maszynowy! – oznajmił wzburzony. – Co robysz, Aron? – I sam odpowiedział: – Powyszczelacz w cholere! Nech wiedzą, że z namy ne ma żartów!

– Spokojnie, Dżiki, spokojnie. – Wola chwycił Gruzina za ramiona. – Opanuj się. Za wcześniej, żeby strzelać do bolszewików. Weź chłopców, idźcie na strych. Wyproście grzecznie Łotyszów. Zarekwirujcie karabin maszynowy. Niech przekażą towarzyszowi Dzierżyńskiemu pozdrowienia od Arona Woli i podziękowania za pomoc w uzbrojeniu. Rozumiesz? Grzecznie.

Dżiki uśmiechnął się pod nosem.

– Czemu mam ne rozumecz? Grzeczne. Karabyn zostawimy na miejscu. Tylko z naszą obsługą.

– Tak będzie najlepiej. Ruszaj.

Znowu zostali sami.

– Zaczął pan mówić o tym, co zamierza zrobić – przypomniał Erast Pietrowicz.

– Nie ja, tylko my... – Wola stał tyłem do drzwi, w zamyśleniu pocierając nos. – Może ta paskudna historia nie pójdzie na marne. Lada dzień dojdzie do decydującego starcia czarnej prawdy z czerwoną. Sąd nad złodziejem wstrząśnie braćmi. Nie wystarczy wypędzić łajdaka. Zażądam najwyższej kary. Trzeba wzmóc rewolucyjną dyscyplinę przed wielkimi wydarzeniami.

– Jak pan ustali, który z nich jest złodziejem? – zapytał Fandorin, nie dowierzając zdolnościom dedukcyjnym wodza

anarchistów.

– To żaden problem. Zaraz pójdziemy do twojego hrabiego i poprosimy, żeby dokładniej opisał wygląd rabusia. To wszystko. Chyba znasz adres?

– Owszem. To dziesięć minut stąd. Zaulek Pietrowierigski. Dawny dom Czernyszewów. Mieszkają w stróżówce.

Okazuje się, że Wola jest nie w ciemną bity. Dał podejrzanym takie polecenia, że nigdzie nie czmychną – umieścił ich niejako w areszcie domowym. Niedługo, najdalej za pół godziny, winny zostanie zdemaskowany.

– Chodźmy – rzekł Wola, wkładając czapkę.

– Kto pójdzie, a kto pojedzie – zauważył Erast Pietrowicz z westchnieniem.

Kaprysy fortuny

Nikt nie ruszył wózka oznaczonego czarną kokardą. Zmęczony chodzeniem Fandorin opadł z ulgą na fotel, chwycił dźwignię.

Ruszyli.

– Proszę posłuchać. – Erast Pietrowicz zerknął z ukosa na rozmówcę. – Jest pan przecież człowiekiem rozsądnym, niemłodym, który niejedno widział. Czyżby pan naprawdę w to wszystko wierzył?

– Niby w co?

– W waszą czarną prawdę. W to, że ludzie potrafią sami się zorganizować. Że nasz olbrzymi niepiśmienny kraj, w którym każdy żyje zgodnie z powiedzeniem „koszula bliższa ciału” i „moja chata z kraja”, stanie się bractwem anarchistycznych komun.

– „Koszula bliższa ciału” i „moja chata z kraja” podyktowane są zdrowym, wrodzonym instynktem – odparł spokojnie Wola. – Na tym polega istota anarchizmu indywidualistycznego. Wszelkiego rodzaju „państwowcy”, łącznie z bolszewikami, nienawidzą rodzaju ludzkiego, dopuszczają się na nim gwałtu. Zmuszają ludzi, żeby żyli w imię nedorzecznych ideałów, takich jak Trzeci Rzym, wiara-car-ojczyzna albo dyktatura proletariatu. Tymczasem człowiekowi to się na nic nie zda. Chce żyć dla siebie i swoich bliskich, pomagać tym, których zna i kocha, pracować na swój rachunek, a nie dla hrabiego. To właśnie nazywa się wolność. I nie jest to żadna utopia. Nasz kraj w dziewięciu dziesiątych składa się z chłopów, a oni z natury są anarchistami. Nie potrzebują żadnej władzy. Sami potrafią zaprowadzić

porządek w swojej gminie, obronić się przed obcymi. Żeby wymieniać ziarno i mięso na artykuły przemysłowe, nie potrzeba machiny państwowej. Robotnik z chłopem świetnie się dogadają. W szesnastym roku siedziałem w celi z pewnym Ukraińcem. Całkiem zwyczajny chłopak. Nazywał się Nestor Machno. Dużo rozmawialiśmy na ten temat. A teraz pisze do mnie z Ukrainy. Stworzyli tam w swoim powiecie komunę chłopską i żyją zgodnie z anarchistyczną prawdą. Efekt jest znakomity – radzą sobie bez policji, urzędników i pieniędzy. Oto jak powstaje nowy świat. Jeśli oczywiście my tutaj w Moskwie się nie potkniemy. Bolszewicy to jednak silny przeciwnik...

Słuchając tych wywodów, Fandorin co chwila się oglądał. W końcu przerwał, mówiąc:

– Jesteśmy śledzeni. W dodatku pilnie. Jacyś trzej osobnicy idą za nami od samej bramy. Próbują pozostać niezauważeni, ale pracują topornie.

– Agenci Czrezwyczajki – obojętnie wyjaśnił Wola. – Bardzo się zaktywizowali ostatnimi czasy. Gdy wychodzę, zawsze się przyklejają. Chcą wiedzieć, gdzie byłem, co robiłem, z kim się spotykałem. Mówię przecież, że bolszewizm nie jest lepszy od absolutyzmu, bez tajnej policji ani rusz. Nie zwracaj uwagi. Są zbyt tchórzliwi, żeby mnie ruszyć. Rozpętałoby się piekło!

I nawet się nie odwrócił.

Powoli wspinali się po pochyłości zaułka Kosmodamianskiego w gęstniejącym zmroku, dom Czernyszewów był już za następnym zakrętem. Z prędkością Fandorina droga zajęła im całe dwadzieścia minut zamiast dziesięciu.

– O, to tamta żółta willa. – Fandorin pokazał ręką. – Ej, łaskawco, gdzie tutaj jest stróżówka? – zawołał do podchmielonego jegomościa, który wyłonił się z sieni.

Proletariusz popatrzył z niechęcią.

– Wszystkim łaskawcom wypruto flaki... – Przesunął wzrok na Wolę, zauważył czarny płaszcz, a także mauzera na rzemieniu,

i się przestraszył. – Stróżówka? W podwórzu, po prawej. Tylko ostrożnie, bo stopnie są strome.

Stopnie prowadzące do wysokiej sutereny okazały się rzeczywiście strome. Erast Pietrowicz popatrzył na nie z wahaniem i zmeł w zębach przekleństwo.

– Zaczekaj tutaj. Sam porozmawiam. Zabierze mi to dwie minuty – powiedział Wola.

Zbiegł po schodach, pchnął drzwi, wszedł.

– Ej, gospodarzu! – dobiegło z dołu.

I na długo zapadła cisza. Minęły nie dwie minuty, ale pięć, później dziesięć. Piętnaście.

Brwi Fandorina powoli podjechały w górę. Zawołał:

– Panie Wola! Dlaczego tak długo?

Żadnej odpowiedzi.

Trzeba jednak zejść. Erast Pietrowicz wstał, chwycił się ściany i oparł laskę na stopniu, zastanawiając się, jak postawić nogę. Energia *qi*, podła zdrajczyni, złośliwie obserwowała jego tytaniczne wysiłki.

– *Chikushou!* – zaklął Fandorin po japońsku, żeby lepiej zrozumiała.

Był na trzecim stopniu i pozostały mu jeszcze cztery, gdy drzwi się otworzyły. Na dole stał Wola. Twarz dziwnie mu drgała.

– Staruszkowie nie żyją. Zostali zabici. Wszędzie pełno krwi. Całkiem świeżej. Jeszcze płynie... To znaczy płynęła, gdy wszedłem. Teraz już przestała... Stałem tam, sam nie wiem jak długo...

– Chyba nazbyt pan wrażliwy jak na rewolucjonistę – ze złością powiedział Erast Pietrowicz. – Niech się pan przesunie. I pozwól mi przejść.

Pokonał drugą część schodów krótkimi, niezgrabnymi susami, bardziej zawierzając lasce niż nogom. Odsunął anarchistę, wszedł do pogrążonego w półmroku mieszkanka.

Aleksander Ksenofontowicz i Apollinarija Lwowna leżeli na

wznak na podłodze. Generał osłaniał żonę ręką, jakby jej broniąc.

Oboje zostali zabici metalowym przedmiotem, najprawdopodobniej kastetem, stwierdził Fandorin powodowany zawodowym nawykiem, z trudem kucając. On uderzeniem w czoło, ona w skroń. Sprawca musiał być człowiekiem niebywalej siły. Na twarzy generała zastygło przerażenie. Domyślał się, co go czeka. Jak nic rozpoznał zabójcę. Staruszka przeciwnie, miała spokojne, rozluźnione rysy twarzy. Pewnie tak wyglądała, zanim straciła rozum. To prawda, że do zabójstwa doszło całkiem niedawno. Najwyżej dwadzieścia minut temu. Z tego wynika, że...

– Ktoś podsłuchiwał naszą rozmowę w gabinecie – głucho rzekł Wola. – Podał pan przecież adres. Szubrawiec zorientował się, że zostanie niechybnie zdemaskowany, i przybiegł tutaj. Podczas gdy szliśmy, zatarł ślady.

Tymczasem Fandorin, skończywszy oględziny, pozwolił, by jego myśli pobiegły ku rzeczom nieistotnym. Stwierdził, że nie trzeba już zwracać zdjęcia i pukła włosów. Dla nikogo na świecie nie mają teraz wartości. Fortuna okazała się tak naprawdę łaskawa dla hrabiego i hrabiny. Żyli długo i chociaż nie zawsze szczęśliwie, umarli tego samego dnia, nawet niemal w tej samej chwili. To znaczy, że szczęście bywa i takie...

– To niemożliwe. – Wola nadal formułował wnioski, które dla Erasta Pietrowicza były oczywiste. – Za drzwiami przez cały czas była Tygrysica. Nie pozwoliłaby, żeby ktoś podsłuchiwał... Tygrysica? Jak to?! Dlaczego?!

Odwrócił się na pięcie i wybiegł z sutereny, zapominając o Fandorinie.

Koniec dochodzenia

Erast Pietrowicz dość żwawo toczył się na czterech kółkach, wykazując się nie lada brawurą w kierowaniu pojazdem inwalidzkim, ale w spółdzielni, po korytarzach i schodach włókł się jak żółw, toteż opuścił uwerturę.

Z kancelarii dobiegał tubalny głos Woli.

– Odpowiadaj! Któremu z nich się wygadałaś? Toporowi? Żochowowi? Spartakowi? Któremu? Nie udawaj obrażonego niewiniątka! Nikt prócz ciebie nie mógł podsłuchać. A teraz nie żyją dwie osoby. Ich krew jest na twoich rękach! Czemu milczysz?! Jak mogłaś?!

Fandorin otworzył drzwi.

Wola pochylał się nad asystentką i wymachiwał jej pięścią przed nosem. Tygrysica stała przed nim blada, przygryzając dolną wargę, i z podniesioną głową patrzyła mokrymi oczami. Ze złością otarła łzy.

– I to ty! – krzyknęła. – Jak możesz? Mnie! Coś takiego! – Zachłysnęła się. – Wcale nie podsłuchiwałam! Ech, ty...

Gwałtownie się odwróciła.

Wola chwycił ją za chude ramiona, obrócił ku sobie.

– Cudów nie ma. Rozmawialiśmy z Fandorinem w cztery oczy. Staliśmy przy drzwiach. Załóżmy, że nie podsłuchiwałaś umyślnie, ale nie mogłaś nie słyszeć. Fandorin wymienił adres. I zabójca zjawił się tam przed nami. Jak to wytłumaczysz?

– Niczego nie będę ci tłumaczyć... Myśl, co chcesz.

Dziewczyna z uporem opuściła głowę. Trząś jej się podbródek. Erast Pietrowicz uznał, że pora się wtrącić.

– Łaskawa pani – powiedział, zbliżywszy się. – Czy to znaczy, że pani tutaj nie było?

Tygrysica kiwnęła głową w milczeniu.

– Gdzie niby wyszłaś? – zapytał Wola, ciężko dysząc.

– Nigdzie – burknęła. – Nie zamierzam niczego ci tłumaczyć.

Nie była w kancelarii, ale nigdzie nie wyszła? Fandorin rozejrzał się dookoła.

– Była pani o tam?

Pokazał uchylone drzwi komórki, gdzie znajdowały się półki z teczkami.

Tygrysica znowu kiwnęła głową.

– Ale jeżeli ktoś wszedł do kancelarii, nie mogła go pani nie usłyszeć. Drzwi by skrzypnęły, rozległyby się kroki. Był ktoś?

Znowu kiwnięcie. Ramiona się zatrzęsły.

– Widziałaś kto?! – wrzasnął Wola.

Pokręciła głową.

– Trudno uwierzyć, moja droga, że nie zerknęła pani, kto przyszedł – rzekł Fandorin łagodnie. – To do pani niepodobne.

– Stałam na krześle. Sięgałam na górną półkę po listę osobową członków spółdzielni. Ten tutaj – Tygrysica z odrazą wymierzyła palec w kierownika – kazał sprawdzić i zameldować o zyskach i stratach. Ale go zawołałam, a on odpowiedział.

– Kogo pani zawołała? Tego, co wszedł?

– Tak. „Ej – mówię – kto tam? Zaczekaj chwilę, zaraz przyjdę”. A on na to: „Nie śpiesz się, siostrzyczko. Poczekam”.

– Kto to był?! – wybuchnął Wola. – Domyśliłaś się po głosie?!

Dziewczyna nie zaszczyciła go odpowiedzią.

– Kto to był? – powtórzył pytanie Erast Pietrowicz, a wtedy odparła:

– Żochow.

– Jest pani pewna?

– Jego głosu nie da się pomylić. Jest ochrypły. Zresztą się przedstawił. „To ja, Żochow”. Ale nie zaczekał. Gdy wróciłam, już

go nie było...

Fandorin i Wola wymienili spojrzenia.

– Jak mogłeś, jak mogłeś tak o mnie pomyśleć? – Tygrysica z wyrzutem zwróciła się do Woli. – Że podsłuchałam i komuś wypaplałam? Ja?

– A co miałem pomyśleć? – wybąkał Wola. – Dlaczego od razu nie powiedziałaś, że to Żochow?

– Rzuciłeś się na mnie! Z góry uznałeś, że jestem winna! Nigdy ci nie wybaczę! Ja dla niego... Dla ciebie...

Nie wytrzymała i rozplakała się gorzko.

– No co ty? Daj spokój. – Wola niezgrabnie pogłaskał ją po ramieniu. – Rzeczywiście nieładnie wyszło...

Fandorin bezceremonialnie przerwał tę wzruszającą scenę.

– Panie Wola, lepiej zajmijmy się zabójcą.

– Szukaj wiatru w polu. Pewnie ślad już po nim zaginął.

– Nie sądzę. Po co w takim razie miałby się pozbywać świadków? Nie, jest gdzieś tutaj.

*

Udali się na poszukiwania. Wola pytał wszystkich po drodze, czy nie widzieli Żochowa.

– Był na dole – powiedział piąty czy szósty napotkany. – Gawędził z artystą, z Newskim.

Ruszyli w dół. Na schodach Wola niecierpliwie ciągnął za łokieć ślamazarnego towarzysza.

– Ej, Newski! – zawołał, puszczając rękę Fandorina i zbiegając w dół. – Chodź no tutaj!

Aktor zbliżył się, popatrując na Erasta Pietrowicza ciekawie. Uśmiechnął się lekko.

– Widzę, że staliście się nierozłączni. Jak Don Kichot z... jeszcze jednym Don Kichotem.

– Gdzie Żochow? Rozmawiałeś z nim. Dawno się rozstaliście?

– Z pięć minut temu. Może dziesięć. Powiedział, że idzie oddać do magazynu jakąś skonfiskowaną rzecz. A czemu?

– Do magazynu?

Wola rzucił się z powrotem po schodach na piętro. Fandorin też zawrócił. Wynałazł nowy sposób poruszania się. Laszkę wsunął w pętelkę od guzika, żeby mieć wolną rękę. Chwytał za poręcz, szarpnięciem przesuwał od razu obie nogi, przerzucał ręce wyżej, znowu skakał. Tak było prędzej.

Newski szedł obok.

– Co się stało naszemu Bakuninowi? Nigdy go nie widziałem w takim stanie.

Erast Pietrowicz nie mógł odpowiedzieć, miał zaciśnięte zęby.

Puścili się długim korytarzem: Fandorin jedną ręką objął Newskiego za ramię, drugą oparł na lasce.

Pokonali zakręt.

Wola stał, trzymając się za głowę. Na podłodze, pod namalowaną na ścianie babą, leżał w kałuży krwi mężczyzna. Był to niedawny wartownik, Kozłow. Takie samo uderzenie w skroń jak w zaułku Pietrowierigskim, jeszcze z daleka stwierdził Fandorin.

Drzwi były uchylone, obok poniewierał się wyłamany zamek.

– Czy zniszczenie tron tu obrało sobie?[12] – Aktor wyrecytował słowa księcia Fortynbrasa i zostawiwszy inwalidę, pobiegł naprzód. – Czyżby nas oskubano? Wywłaszczyciele zostali wywłaszczeni? Sprytnie!

We trójkę weszli do pomieszczenia. Srebrne naczynia oraz inne masywne przedmioty były na miejscu, zniknęły jednak drobne wyroby jubilerskie.

Poblady z wściekłości Wola wyszarpnął z futerału mauzera i puścił serię w sufit.

Chwilę później magazyn i korytarz wypełnili ludzie, którzy zbiegli się na odgłos strzałów. Dzięki przecisnął się do przodu.

– Otoczyć cały teren – polecił Wola. – Szukamy Żochowa.

Wszczęła się wrzawa. „Żochow, gdzie Żochow, kto widział Żochowa?”.

– Poszedł na tylny dziedziniec – powiedział ktoś.

Wszyscy pobiegli w tamtą stronę.

Na dziedzińcu, gdzie odbywały się zebrania, było ciemno i pusto. Asfalt z włazem kanalizacyjnym pośrodku, metalowe pręty ogrodzenia – i nic więcej.

– Dał drapaka, bydlak! – Dżiki odwrócił się do Woli. – Przelazł i uczekł. Teraz go ne znajdziemy.

Podczas gdy wszyscy mówili jeden przez drugiego, omawiając to, co się wydarzyło, Erast Pietrowicz przespacerował się po dziedzińcu, zatrzymał przy ogrodzeniu, później przykucnął koło żeliwnej pokrywy studzienki.

Wrócił.

– Proszę kazać przeszukać tego mężczyznę – powiedział do Woli, pokazując aktora. – Sam się pan zdradził, Newski. Tylko od pana wiemy, że Żochow wybierał się do magazynu. Po co miałby to panu mówić, skoro zamierzał dokonać rabunku?

Zrobiło się cicho.

– Ten kuternoga chyba zwariował – powiedział oszołomiony Newski. – Aron, to prowokator. Chce nas skłócić. Wiesz, czym się zajmował za cara? To detektyw, policyjny szpicel!

– Ej, zaczekaj. – Dżiki się doń odwrócił. – A mne mówyleś, że to szpycel bolszewyków.

Newski otworzył usta, ale nic nie powiedział.

– Rzucasz straszne oskarżenie. – Wola popatrzył Fandorinowi w oczy. – Masz dowody?

– Przeszukajcie go, to się znajdą.

– Jest moim bratem. Nie poniżę go rewizją, nie mając dostatecznych podstaw.

– Podstawa jest tam. – Erast Pietrowicz pokazał właz kanalizacyjny. – Ciało Żochowa. Zauważyłem parę kropel krwi na asfalcie. Jestem pewien, że sposób zabójstwa okaże się ten sam: uderzenie kastetem. Panie Dżiki, proszę pilnować pana Newskiego, żeby nie uciekł.

Wola skinął głową Gruzinowi. Tamten objął artystę w talii.

– Jeżeli Żochowa tam nie ma, wrzucę ynwałydę do kanału. Obecuję – zapewnił Newskiego.

Jego słowa nie uspokoiły jednak aktora. Mężczyzna oblizał suche wargi, obejrzał się. Za nim stali ciasno anarchiści.

– Jest! Ktoś leży na dole! – zawołano ze środka dziedzińca, oświetlając właz latarnią.

– Przeszukać! – polecił Wola.

Z kieszeni Newskiego wyjęto złote brosze, kolczyki, parę pierścionków z drogimi kamieniami. Kastet. Sztuczną brodę.

– Drań – powiedział Wola. – Rozprawimy się z tobą tu i teraz. Postawimy przed sądem braterskim.



¹² W. Shakespeare, *Hamlet*, tłum. J. Paszkowski, wyd. 14, PIW, Warszawa 1986.

Sąd braterski

Powątpiewając w przenikliwość „przysięgłych”, Erast Pietrowicz powtórzył główne tezy swojej mowy oskarżycielskiej, teraz krótko.

– Newski jest narkomanem, zatwardziałym kokainistą. To raz. Ceny proszku są zawrotne, to dlatego wstąpił do spółdzielni Wolność: żeby pod osłoną „czarnej prawdy” bezkarnie grabić mieszkańców. To dwa. Ponieważ wielu moskwian zna jego twarz, przyklejał fałszywą brodę, którą zapewne ukradł z charakteryzatorni w teatrze. To trzy. Medalion zabrany staruszkom Czernyszewom od razu zaniósł do gospody Czerwona Róża i wymienił na białą damę. To cztery. Wykazałem się brakiem rozwagi, zdradzając mu, kogo szukam, i podając rysopis. Newski zna moją przeszłość, więc od razu się domyślił, że wpadłem na trop. To pięć. Próbował się mnie pozbyć, okłamując Dżikiego, że jestem czerwonym szpiegiem. Później, na zebraniu, zobaczył, że stoję obok Woli, ten zaś wzywa do siebie trzy osoby odpowiadające rysopisowi. To sześć. Zaniepokoił się, poszedł zasięgnąć języka. Miał szczęście, że Tygryscy nie było na miejscu. Jest aktorem, z łatwością udawał głos Żochowa. Podśledził, że wybieramy się z Wolą do zaułku Pietrowierigskiego, i zorientował się, czym to mu grozi. To siedem. Wyprzedził nas i zlikwidował obu świadków, nie oszczędzwszy nawet niezdrowej na umyśle staruszki. To osiem. Później postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: ograbić magazyn spółdzielni i zwalić winę na Żochowa...

Erast Pietrowicz popatrzył na przewodniczącego sądu, Arona

Wolę. Podsumował:

– Motywy przestępstwa są oczywiste, łańcuch zdarzeń został dokładnie odtworzony, istnieją dowody rzeczowe.

Wola zwrócił się do przysięgłych.

– Wszystko jasne?

– Co tu jest niejasnego? To łajdak! Pod ścianę z nim! – odezwał się chór głosów na dziedzińcu.

Wypełniały go białe i czarne twarze – w zależności od tego, jak padało światło z okien. Włączono je w każdym pomieszczeniu, żeby rozjaśnić plac. Przysięgłymi byli wszyscy żołnierze oddziału.

– Oskarżony może się bronić – oznajmił przewodniczący. – Bracie Newski, jeżeli masz coś do powiedzenia, to mów.

Aktor wysłuchał oskarżenia, siedząc na schodach przed wejściem, a teraz wstał. Teatralnym gestem zawinął poły płaszcza, widocznie wyobrażając sobie, że stoi na scenie przed pełną widownią.

– Myślicie, że jesteście anarchistami? – zadudnił przyjemny, silny głos. – Myślicie, że on jest anarchistą? – Oskarżycielsko wymierzył palec w Wolę. – Nie, jesteście mieszczanami i kołtunami. A ponury nudziarz, którego raz za razem bierzecie sobie na kark, jest nim podwójnie. Plótł wam bzdury o czarnej prawdzie, a wy go słuchaliście z rozdziawionymi ustami. Wytłumaczę wam, czym jest prawdziwa czarna prawda. Jest jak czarna bezgwiazdna noc. Jak kosmos! – Palec uroczyście powędrował ku niebu, które rzeczywiście było czarne jak atrament. – Prawda to prawdziwa wolność! A prawdziwa wolność to nie ucieczka od państwa i od społeczeństwa, tylko wolność wewnętrzna! Człowiek sam decyduje o tym, do czego ma prawo. Sam, a nie pod naciskiem wymyślonej przez kogoś moralności. Najgorszy rodzaj niewolnictwa to niewolnictwo moralne, kajdany cudzych wyobrażeń o dobru i złu! Do diabła z moralnością! Do diabła z kastratem Aronem! Żyjmy inaczej,

bracia. Z rozmachem, wesoło, pełną piersią! Zabawimy się tak setnie, że później nie żał będzie umierać! Po jakie лихо macie mnie sądzić? Jestem jednym z was, niczym się od was nie różnię! To ja jestem czarną prawdą! Wybierzcie mnie – nie, nie na kierownika, nie jesteśmy przecież burłakami ani cieślami – wybierzcie mnie na swojego atamana! Obiecuję, że ze mną nie będziecie się nudzić. Kto za, ręka do góry!

Jego słowa odbiły się echem od ścian głównego budynku i oficyn, po czym ucichły. Wśród zebranych zawrzało. Płomienna mowa zrobiła wrażenie.

– Nie trzymam się swojego stołka! – Wola przekrzyczał gwar. – Chcecie ponownych wyborów, proszę bardzo. Choćby zaraz! Nie ma potrzeby czekać cały tydzień. Ale po kolei. Najpierw zagłosujmy w sprawie wyroku. Jeżeli oskarżony zostanie uniewinniony, wtedy przejdziemy do wyborów. Zgoda?

Po dziedzińcu przetoczył się pomruk aprobaty.

– Chcę powiedzieć tylko jedno. Anarchista o wiele bardziej potrzebuje moralności niż ktokolwiek inny. Bez twardych zasad, bez kontroli nad samym sobą człowiek zamienia się w zwierzę. Teraz głosujmy. Kto uważa, że brat Newski jest winien, niech podniesie rękę. I pamiętajcie, że karą za to przestępstwo jest śmierć. Wyrok wymaga dwóch trzecich głosów.

Ku zdziwieniu Fandorina rąk podniosło się tyle, że nie trzeba ich było liczyć. Wszyscy albo prawie wszyscy byli za najwyższym wymiarem kary. To znaczy, że czarną prawdę rozumieli inaczej niż Newski.

Aktor znowu się poderwał i głosem porzuconego przez wszystkich Lira wykrzyknął:

– Opamiętajcie się, bracia! Jesteście anarchistami czy potulnymi owieczkami? Bracia!

Dzięki grzmotnął go na odlew pięścią w twarz.

– Zamknij sze! Ne jesteś już naszym bratem! Ruszaj! Wykończę cze w pywnicy.

Chwycił skazańca za kołnierz i powlókł do domu.

Wola zamachał rękami, nawołując do ciszy.

– Spokojnie, bracia i siostry! Spokojnie! Sądzę się skończył, ale mam ważne ogłoszenie. Spółdzielnia przechodzi w stan gotowości bojowej. Urlopy i przepustki zostają wstrzymane. Dziesiętnicy, zbierzcie swoich ludzi. Sprawdźcie broń. Tygrysica powie, gdzie macie się rozlokować. Zbliży się godzina trzeciej rewolucji! Obaliliśmy cara, obaliliśmy Rząd Tymczasowy, teraz obalimy też dyktaturę bolszewików! Jutro Dom Anarchii stanie się sztabem rewolucji! Rozbijemy w drobny mak klatkę państwa! Wypuścimy naród na wolność! Niech żyje wolność!

– Niech żyje wolność! – ryknęło półtorej setki gardeł.

W tej samej chwili noc eksplodowała wściekłym recytatywem: ta-ta-ta-ta-tak! Okna na piętrze popękały, na dół posypały się odłamki szkła, ze ścian poleciał tynk – ponad głowami zebranych uderzyła długa seria z karabinu maszynowego.

Później zapadła dźwięczna cisza, która jednak nie potrwiała długo.

Tubalny głos, wzmocniony przez głośnik, krzyknął z ciemności, z drugiej strony ogrodzenia:

– Obywatele anarchiści! Jesteście otoczeni! Jest tutaj batalion Czerwonej Gwardii z dwunastoma karabinami maszynowymi! W imieniu władzy radzieckiej proponuję, żebyście się poddali! Dzisiejszej nocy Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją rozbraja Czarną Gwardię w całej Moskwie! Słyszycie?

Z oddali, z różnych stron, dobiegły odgłosy strzelaniny. Gdzieś huknęła armata, później jeszcze raz.

– Wszystkich, którzy złożą broń, wypuścimy! Ten, kto stawi opór, zostanie zlikwidowany. Daję wam pięć minut do namysłu. Później miejcie pretensje do siebie! Powtarzam: pięć minut...

Znalazła się!

Głos jeszcze nie umilkł, gdy Wola krzyknął dziko:

– Wszyscy na miejsca! Zająć stanowiska obronne!

Dziedziniec ożył. Jedni ruszyli w stronę frontowego wejścia, inni rzucili się ku oficynom. Widocznie oddział miał jakieś dyspozycje na wypadek nagłego ataku.

Ale czerwoni nie czekali pięciu minut. Teraz karabin maszynowy otworzył ogień prosto do tłumu. Erast Pietrowicz zobaczył, jak ludzie padają na ziemię, jęczą przeraźliwie, przywierają do ścian.

Wynik walki nie budził wątpliwości. Anarchiści zostali zaskoczeni, ich los był przesądzony.

W tego typu sytuacji najważniejszą rzeczą jest nie tracić głowy. Zwłaszcza jeśli nie można liczyć na nogi. Dlatego Fandorin najpierw przeanalizował pracę kaemisty (zygzakiem z lewa na prawo, później w przeciwnym kierunku). Gdy seria zaczęła się oddalać, wspiął się z wolna po stopniach, omijając ciała, i skrył w domu.

W środku też było nieprzyjemnie. Wszystko trzeszczało, huczało i się trzęsło. Na budynek sypał się grad kul, niektóre przeszywały okna i drzwi, po czym odbijały się rykoszetem od ścian na korytarzu.

Z domu zaczęto odpowiadać ogniem, ale z rzadka i nierówno.

Karabiny maszynowe nagle ucichły. Ten sam głos, przytłumiony, dobiegający z oddali, krzyknął:

– Ostatnie ostrzeżenie! Wychodzić z rękami w górze, sukinsyny! Bo inaczej nie będzie żadnej litości, wszyscy

zdechniecie!

– Ognia, ognia! – zawołał skądś, chyba z piętra, Wola.

Strzelanina rozgorzała na nowo.

Trzeba jakoś wybrnąć z tej przykrew sytuacji, myślał Fandorin, pokonując otwarte odcinki z taką szybkością, na jaką go tylko było stać, a w bardziej osłoniętych miejscach zwalniając. Czerwoni walczą z czarnymi, no i niech sobie walczą, *aku wa aku-o kuu*, jedno zło niszczy drugie, ale co ma zrobić szlachetny mąż, którego opuściła energia *qi*? Pozostała jednak energia umysłowa *Tinoo*. Dała jedyną słuszną radę: udać się tam, gdzie kule nie sięgają, i poczekać, aż skończy się ta Sekigahara. Ona zaś nie potrwa długo. Czarnogwardziści kropili z okien na ślepo, w głąb noc, za to budynek, w którym się znajdowali, jarzył się światłami i stanowił doskonały cel. W zamieszaniu nikt nie wpadł na to, żeby wyłączyć prąd. Tu i tam na podłodze poniewierały się ciała. Przy jednym Fandorin zatrzymał się zachmurzony.

Był to Dżiki. Koszula rozerwana na piersi, kabura pusta. Głowa wykręcona na bok, z tyłu czerwienieje pionowe wgniecenie. Ktoś złapał Gruzina za gardło i rozłupał mu czaszkę o kant ściany. Nietrudno się domyślić kto. Widocznie odgłosy strzałów odwróciły uwagę Dżikiego, a skazaniec nie przepuścił takiej okazji...

Pan Newski wybrał sobie niewłaściwe emploi, ponuro pomyślał Erast Pietrowicz. Powinien grać nie amantów, ale *hualianów*, kuglarzy z chińskiego teatru. Zresztą *hualian* i tak nie ma gdzie uciec z zaciekle ostrzeliwanego domu. Gdy go zobaczą swoi, od razu zabiją, czerwoni też nie oszczędzą. *Akuma* z nim, zostawimy cwaniaka jego karmie.

Na górze panował tłok. Większa część oddziału zgromadziła się tutaj po opuszczeniu parteru. Sądząc z kanonady i krzyków, czerwoni już tam wpadli, w dodatku zajęli od razu parę miejsc.

Wola wędrował z pokoju do pokoju, wołając do strzelców:

– Żegnajcie, bracia! Pamiętajcie: lepiej umrzeć, stojąc, niż żyć na kolanach! Żegnajcie... Pamiętajcie... Żegnajcie... Pamiętajcie...

W swoim długim płaszczu, z posiwiałą brodą przypominał ducha ojca Hamleta. I mówi to samo, pomyślał Erast Pietrowicz: „Żegnaj cię, żegnaj cię: pamiętaj o mnie”[13].

Wierna Tygrysica nie odstępowała chudego, tyczkowatego Woli.

– Pochyl się, Aronie, pochyl! – powtarzała, gdy mijał następne okno.

– Jest taki nieostrożny, zupełnie o sobie nie dba – powiedziała, zauważywszy spojrzenie Fandorina. – Wie pan, zawsze o tym marzyłam. Że będziemy razem do końca.

– Kocha go pani – ze zdziwieniem stwierdził Erast Pietrowicz (właściwie można to było wydedukować wcześniej).

Dziewczyna odparła szczerze:

– Kocham.

– Chwileczkę, przecież mówiła pani, że teraz nie pora na miłość.

Zabrzmiało to jeszcze głupiej.

– Jestem mu potrzebna. On tego nie wie, ale ja jestem mu bardzo potrzebna. Beze mnie zginie – odparła Tygrysica, jak gdyby się usprawiedliwiając.

Fandorin chyba nie znał się za dobrze na psychologii kobiet, za to mężczyzn rozumiał doskonale. Nie powiedział jednak dziewczynie, że tacy ludzie jak Wola nikogo nie potrzebują. To wieczni samotnicy.

Erast Pietrowicz z jakiegoś powodu szedł za Wolą i jego towarzyszką. Może dlatego że poruszali się wolno, więc nie zostawał w tyle ze swoją laską. Kula przebiła skrzydło drzwi, obsypując jego i Tygrysicę odłamkami. Dziewczyna z roztargnieniem wytarła policzek.

– Wie pan, ile Aron ma lat?

– Przypuszczam, że jest po pięćdziesiątce.

– Trzydzieści siedem. Siedemnaście spędził w więzieniu, na zsyłce i katordze, tam ludzie starzeją się dwa razy szybciej. Wyobraża pan sobie? On, najbardziej wolny człowiek na świecie, przez połowę życia był trzymany w klatce.

Nagle kanonada ustała.

– Poddajcie się, anarchiści! – Teraz tubalny głos grzmiał gdzieś z dołu. – Poszkapiliście sprawę! Parter należy do nas! Chcemy tylko Arona Woli! Reszty nie ruszymy!

W odpowiedzi na piętrze rozległy się wołania – rozmaite. Gdzieś: „Wypchaj się!”, gdzie indziej: „Poddajemy się, poddajemy, nie strzelajcie!”.

Wola odwrócił się do Tygrysicy.

– Nie będę nikogo zmuszał. Każdy sam decyduje. Kto chce żyć na kolanach, niech żyje. Ale mnie nie zamkną już w klatce. Idę na górę, na strych. Będę strzelał, póki nie skończą mi się naboje!

Wyszarpnął mauzera z futerału i pobiegł ku schodom.

– Ja z tobą! – Tygrysica rzuciła się za nim.

W pokojach ocaleni prowadzili zażarty spór – bić się czy nie. Nikt nie strzelał.

– Ej, zaczekajcie!

Erast Pietrowicz też ruszył w stronę schodów, ale teraz tamci dwoje byli za szybcy, więc nie nadążał.

Przeskakując po dwa stopnie, Wola wpadł na podest między piętrami, obejrzał się na biegnącą jego śladem Tygrysicę.

– Zaczekajcie! – zawołał Fandorin. – Wcale nie musicie...

Jego słowa zagłuszył huk. Ktoś jednak otworzył ogień, serie z erkaemu i pojedyncze strzały na nowo uderzyły w budynek.

Coś małego i czarnego upadło tuż pod nogi Woli, podskoczyło. Limonka!^[14] A więc czerwoni zajęli strych. Pewnie wspięli się tam od zewnątrz, po drabinie przeciwpożarowej.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Tygrysica złapała Wolę za rękę i pchnęła z tak niekobiecą siłą, że tamten nie utrzymał się na nogach i stoczył po stopniach.

Dziewczyna także straciła równowagę, zaczęła koziółkować, ale nie dotarła do podnóża schodów. Wybuch podrzucił jej małe ciało i cisnął nim o ścianę, która od razu pokryła się krwawymi plamami.

Fandorin chwycił pod rękę ogłuszonego upadkiem Wolę, odciągnął od klatki schodowej. Czerwoni nie kwapili się, żeby zejść. Rzucili jeszcze jeden granat, który podskakiwał przez chwilę na stopniach, po czym rozerwał się już niepotrzebnie.

Wola szedł na sztywnych nogach i wciąż się oglądał.

– Szkoda. Była prawdziwym bojownikiem... Nieważne. Wszyscy zaraz zginiemy.

– Nie wszyscy. Słyszysz pan?

Teraz już wszędzie krzyczano:

– Poddajemy się! Poddajemy!

– A więc tylko ja zginę! – Wola potrząsnął mauzerem. – Nie zastrzelę się. Nie zrobię bolszewikom tej przyjemności. Niech sami zabiją Arona Wolę!

– Wcale nie musi pan zginąć. Niech się pan przekradnie na dziedziniec. Na zewnątrz jest ciemno. Może uda się panu uciec.

– I co dalej? Przecież słyszałeś, że polują na naszych w całym mieście. Gdzie się ukryję? Nie znam Moskwy. Nikogo tutaj nie znam.

– Jeśli się pan wymknie, proszę iść na Pokrowkę, zaułek Mały Uspienski. Niech pan pyta o zaułek Swierczkowa, tak jest częściej nazywany. Za ogrodzeniem zobaczy pan dziedziniec, w głębi nieduży dom z kolumnami. Zapuka pan. Otworzy Japończyk. Pokaże mu pan to. Proszę dać rękę.

Fandorin wyjął ołówek chemiczny, poślinił, napisał po japońsku na dłoni Arona: „Pomóż mu”.

– Co to za kulfony?

– Czarodziejskie zaklęcie, które pana ocali... Niech pan biegnie do narożnego pokoju. Pod oknem jest rynna. Da pan radę zejść?

– W jedenastym roku uciekłem z centralnego więzienia

w Jakucku po sznurze z dachu. A ty?

– Ja sobie nie poradzę – z westchnieniem odparł Erast Pietrowicz. – Ale to nic. Nie zginę. No niechże pan biegnie.

Wola ściągnął płaszcz i rzucił na podłogę. Pobiegł.

Na dole krzyczano przez głośnik:

– Wychodzić pojedynczo, czarne świnie! Ręce do góry, ryje na dół! Nie bójcie się, nie pošlemy was do piachu! Przetrzepiemy trochę skórę i wykopiemy za bramę.

Ta perspektywa nie odpowiadała Fandorinowi. Lepiej zaczekać, aż wszystko ucichnie. Dlatego wrócił do pierwotnego planu.

Żeby dostać się do magazynu, musiał pokonać korytarz i skręcić za róg. Z przeciwnej strony ciągnęli zdeorientowani bladzi anarchiści, wielu broczyło krwią, ten i ów ledwo szedł. Czerwona prawda okazała się silniejsza od czarnej, myślał Erast Pietrowicz. Nic w tym dziwnego, jako że w bezpośrednim starciu indywidualizmu z kolektywizmem pierwsze nie ma szans na zwycięstwo.

Za zakrętem, to znaczy już w oficynie, korytarz był ciemny i pusty. Na ścianie, pod którą padł wartownik artysta, rozkładała nogi piersiasta anarchistyczna Wenus.

Fandorin wszedł do ciemnego pokoju, szczelnie zamknął za sobą drzwi, zaczął przesuwać ręką po ścianie w poszukiwaniu włącznika. Był chyba gdzieś z prawej strony. O, jest.

Rozbłysło światło.

Za plecami rozległ się mile zdziwiony głos:

– Patrzcie państwo, kto do nas zawitał! – Newski siedział po turecku na stole i mrużył oczy przed jaskrawym światłem. – Wielkie umysły rozumują podobnie. Pan też wpadł na to, że kule tutaj nie sięgają? Cóż za niebywałe szczęście! Siedzę sobie jak myszka i czekam, a tymczasem trup wroga przypląnął sam!

Aktor zeskoczył ze stołu, żartobliwie rozłożył ręce, jakby chciał wziąć Fandorina w objęcia. Zadeklamował:

Jakże słodka jest zemsta, o, bogowie!
Jakby kto w serce miód wlewał!

Słyszając słowo „szczęście”, Fandorin się skrzywił. Ladaco zaczęło coraz częściej wbijać mu nóż w plecy.

Newski uśmiechał się drapieźnie.

– Popisał się pan? Pobawił w sąd? Teraz ja będę sędzią. Ogłaszam wyrok natychmiast, bez zbędnej zwłoki. „Skazuję cię na śmierć, nasienie Belzebuba!” – Majestatycznie uniósł rękę i skierował kciuk w dół. – Czym by pana wykończyć, monsieur Fandorin? Chciałbym, żeby to było coś efektownego.

Wziął ze stołu srebrny kandelabr, poobracał, odstawił.

– Nie, to pospolite... Tutaj mamy to co trzeba! Narzędzie gniewu bożego. – Podniósł masywny ośmioramienny krucyfiks. – Gwarantuję natychmiastowe odpuszczenie wszystkich grzechów. A może czymś innym? Doprawdy sam nie wiem. Aż mi się mieni w oczach...

Newski pajacował, udawał zadumę, grał na zwłokę – upajał się chwilą.

– Nie! Postanowione! Jako szlachetny hidalgo ma pan prawo zginąć od miecza!

Wziął ze stołu szablę honorową Świętego Jerzego ze złotą rękojeścią, obnażył klingę. Błysnęła polerowana stal.

Cudowny mieczu, damasceński druhu,
Poślij szubrawca w otchłanie piekielne!

Fandorin zaczął się zastanawiać, czy by nie pomacać wesołka laską. Nie, nie warto próbować. Mocne i szybkie uderzenie nie wchodzi w grę, a nie chciał wypaść żałośnie. Lepiej spokojnie przyjąć śmierć.

Newski najwyraźniej uczył się fechtunku scenicznego.

Wykonał szablą jakieś wymyślne, eleganckie figury w powietrzu, po czym zrobił wypadł. Erast Pietrowicz instynktownie się uchylił, inaczej ostrze przeszłoby mu pierś. Cofnął się. Oparł plecami o szafę.

Aktor uśmiechnął się szyderczo.

– No proszę, nie jest pan jednak z kamienia. Nie chce pan zdychać. Ale trudno, nie ma rady. Zaraz powoli i z przyjemnością przyszpilę pana do drewna. Jak motyla w kolekcji, igłą w brzuszek.

Opuścił ostrze niżej, wycelował w brzuch. Nacisnął.

Ostry ból przeszył ciało, na dodatek Newski lekko przekręcił rękojeść, powiększając niewielką ranę.

– Nie będziemy się przecież śpieszyć, prawda? To takie przyjemne!

Pięścią nie sięgnę, pomyślał Fandorin. Nogą mogłoby się udać, ale jej nie podniosę. Trzeba stać i się nie ruszać. Najważniejsze, żeby nie jęczeć i nie krzyczeć. Pokonanie bólu to jedna z radości samuraja.

Czuł jednak nie tylko ból. W brzuchu, w najgłębszym jego zakamarku, działo się coś jeszcze, jakieś dziwne łaskotanie, jakby rzeczywiście motyl zatrzepotał tam skrzydełkami. Erast Pietrowicz przestał zwracać uwagę na gadaninę xiaorena i zaczął wsłuchiwać się w swoje wnętrze.

Czyżby... Czyżby to była ona? A więc tam się schowała!

No oczywiście, gdzie indziej miałaby być? *Hara* to zbiornik siły życiowej. Gdy samuraj chce ją wypuścić na zewnątrz, rozcina sobie brzuch. Pchnięcie szablą uaktywniło energię *qi*. Zaczyna się budzić!

Ze środka sączył się strumień, z każdą chwilą coraz silniejszy. Ból zniknął, była tylko dźwięczna wibracja wypełniająca całe jestestwo.

Fandorin roześmiał się radośnie i chwycił ręką ostrze. Koniec był tępy – kto ostrzy szablę paradną?

Newski umilkł. Ze zdziwieniem podniósł brwi. Spróbował wbić klingę – ta ani drgnęła. Spróbował szarpnąć ku sobie – też się nie udało.

– Co to za sztuczki? – wymamrotał.

I nagle wypuścił rękojeść. Odskoczył ku przeciwległej ścianie, też zastawionej szafami. Wyrwał z kabury pistolet.

– Niech cię diabli! Zdechnij zwyczajnie, od kuli!

Erast Pietrowicz miał wrażenie, jakby wróg poruszał się w zwolnionym tempie: Newski bardzo płynnie się oddala, niemrawo wyciąga broń z kieszeni, browning zaczepia o ubranie, powoli się wyswobadza. Można by bez trudu wytrącić pistolet albo zbić z nóg niezgrabnego durnia. Ale Fandorin nie miał ochoty się śpieszyć. Ciało, które stęskniło się za szybkością, domagało się ostrych doznań.

Oto Newski naprowadził lufę, celując prosto w głowę. Fandorin nie ruszał się, tylko uśmiechał. Pod koszulą spływała mu po brzuchu łaskocząca strużka krwi. Uczucie było przyjemne. Cała *karada* iskrzyła życiem, niczym bąbelki w kieliszku szampana.

Browning żgnął ognistym żądłem. Głowa Fandorina jakby bezwiednie się przechyliła. Kula z łupnięciem wbiła się w drewno.

Ręce też działały bez rozkazu, płynnie i szybko.

Lewa odwróciła szablę rękojeścią ku sobie, podrzuciła. Prawa złapała i cisnęła szybkim, precyzyjnym ruchem.

Rozległ się jeszcze jeden strzał. Druga kula przeszła milimetr od ucha Fandorina.

Pistolet uderzył o podłogę.

Newski zezował w dół, jakby chciał tam coś zobaczyć i nie mógł. A było co oglądać. Szabla przeszła na wylot gardło aktora i weszła do połowy w drzwi szafy.

– No i kto z nas jest m-motyłem? – zapytał Erast Pietrowicz.

Ręce umierającego chwyciły rękojeść... i się osunęły. Powieki

opadły. Ciało zwiotczało, ale nie runęło na podłogę – wciąż wisiało.

Fandorin nie patrzył już na ofiarę. Parę razy zacisnął i rozprostował palce. Przykucnął i podskoczył – najpierw niezbyt wysoko, później jeszcze raz – jakieś półtora metra w górę. Uderzył pięścią w krawędź stołu. Nogi się złamały, blat przechylił, puchary, świeczniki i inne błyszczące cacka potoczyły się z hukiem.

– Otóż to – zwrócił się Erast Pietrowicz do energii *qi*. – Więcej nie rób ze mnie d-durnia.

Znowu się jąkam, uświadomił sobie nagle. Nie mogłoby się obejść bez żadnej ułomności? No dobrze, lepiej się jąkać z energią *qi*, niż wyśpiewywać jak skowronek na wózku inwalidzkim.

Wyrzwał za drzwi. Wytężył słuch.

Ktoś w oddali wydawał rozkazy.

– Przeszukać wszystkie pomieszczenia! Gdzie oni tutaj trzymają zagrabione rzeczy? Postawić strażę! Znaleźliście Wolę?

Stąpając lekko i bezszelestnie, Fandorin przemierzył korytarz, wyrzwał z za rogu.

Rozkazy wydawał mikrus z sumiastymi wąsami, w skórzanym kaszkiecie z czerwoną gwiazdą. Wszędzie było pełno ludzi – podnosili porzuconą broń, ciągnęli martwe ciała, oglądali pokoje. Za chwilę dotrą do oficyny.

Erast Pietrowicz nie czekał. Szarpnął pierwsze z brzegu drzwi, wszedł do środka, otworzył szeroko okno, przesadził parapet i bez wahania skoczył w ciemność.

Jak cudownie!

13 W. Shakespeare, *Hamlet*, tłum. J. Paszkowski, wyd. 14, PIW, Warszawa 1986.

14 Ręczny granat obronny. Wzorowany na modelu francuskim, udoskonalonym przez Anglika Lemona – stąd nazwa „limonka” (przyp. tłum.).

Czerwona prawda

Wuczeka i Czekwałap

Przy ogrodzeniu dużego arystokratycznego dworu na Powarskiej zatrzymał się pracownik firmy przewozowej, jak teraz nazywano fiakra. Odwrócił się do pasażera, przeżegnał.

– Oto i on, dawny dom hrabiego Sołoguba. Boże, nie spodziewałem się, że dotrzemy żywi.

– Tak, wesoło sobie żyjecie, moskwianie – powiedział pasażer, młody wojskowy, zeskakując na chodnik.

Pora była wczesna, zaczynało świtać, ale miasto nie spało minionej nocy. W paru miejscach trwała zażarta strzelanina, ciężarówka z uzbrojonymi ludźmi wciąż gdzieś pędziły, a gdy przejeżdżali przez Samotiokę, po jezdni zabębniła szybka seria z karabinu maszynowego.

– Masz. Tak jak się umawialiśmy.

Wojskowy, nie patrząc, wsunął banknot woźnicy. Ten uważnie obejrzał pasażera, utkwił wzrok w śladach po odprutych naramiennikach.

– Trzeba dołożyć sto rubli. W końcu najadłem się strachu.

– Uhm. I spodnie z butami. Umowa to umowa.

Młody mężczyzna – był wysoki, jasnowłosy, schludny – chwycił torbę podróżną leżącą na siedzeniu.

– Uważaj, wielmożny panie. – Oczy fiakra się zwężyły. – Wiesz, co ci powiem? Czekaj. – Machnął w kierunku wartownika przy otwartej bramie. – Zaraz zgłoszę, żeś prowadził wrogie rozmowy. Jestem proletariuszem, władza mi ufa.

– Jesteś kawałkiem gówna, żadnym proletariuszem. W ogóle nic nie dostaniesz.

I blondyn schował banknot do kieszeni.

Fiakier rozdziawił usta, gotów się rozkrzyzczyć, jednakże przyjrzał się uważniej i zrezygnował. W twarzy młodego mężczyzny była jakaś niezrozumiała, ale niepokojąca sprzeczność. Wyraziste modre oczy spoglądały niby wesoło, ale koło ust biegła głęboka ponura bruzda, na skroni bielą krzywa blizna, a koniuszek jeszcze jednej, nierównej, wyzierał zza kołnierza. Bardzo możliwe, że wojskowy nie był wcale taki młody.

Zakławszy pod nosem, pracownik firmy transportowej smagnął klacz, a pasażer włożył kaszkiet, który trzymał w ręce, i okazało się, że żaden z niego wielmożny pan, tylko czerwony dowódca – na otoku pąsowiała płócienna gwiazda. Podszedł do wartownika i ochryłym, przywykłym do wydawania rozkazów głosem zapytał:

– Gdzie tutaj znajdę towarzysza Orłowa?

– Wejdz, tam ci powiedzą.

– Nie zapytasz nawet o dokument? – zdziwił się wojskowy.

– Po jakie licho? – Wartownik ziewnął. – Obcy do nas nie przychodzą.

Pokręciwszy głową, czerwony dowódca przeciął szeroki dziedziniec, z dwóch stron zamknięty oficynami. Z tej po prawej nagle wysypali się mężczyźni z karabinami. Pierwszy, widocznie dowódca, obracając się, wołał:

– Nie ma już samochodów, towarzysze! Musimy biegiem! Wyciągajcie nogi, do jasnej cholery!

Przemaszerowali obok. Wszystkie twarze były posępne, znużone.

– Jakoś nie widać Nataszy – wymamrotał blondyn, odprowadzając ich wzrokiem. Nauczyciel literatury w gimnazjum twierdził, że willa na Powarskiej to dom hrabiów Rostowów z *Wojny i pokoju*. Teraz na drzwiach wisiał krzywo przybity kawałek dykty, na nim białą farbą, też krzywo:

„Wszechrosyjska Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją, Spekulacją i Sabotażem”.

Gość wszedł do holu i się skrzywił. Tutaj też panował bałagan. Przy stole z tabliczką „Dyżurny” zebrał się tłum, wszyscy się przekrzykiwali, zmęczony mężczyzna w rozpiętym mundurze opędał się od petentów i krzyczał zdartym głosem do telefonu:

– Wsparcie? Wysłaliśmy już pół godziny temu... Skąd mam wiedzieć gdzie?

Tutaj na pewno niczego się nie wskóra.

Cierpliwość nie należała do mocnych stron blondyna. Jeszcze gniewniej nachmurzył złociste brwi, rozejrzał się w poszukiwaniu kogoś przydatnego – prędkim, zręcznym ruchem złapał za łokieć przebiegającego kłusem oficera z dokumentami.

– Gdzie tutaj urzęduje Orłow, towarzyszu?

Oficer, nie obracając się, szarpnął rękę, ale się nie uwolnił i dopiero wtedy się obejrzał.

– Po co ci towarzysz Orłow? Coś ty za jeden? – I podobnie jak fiakier wlepił wzrok w ramiona wojskowego.

– Jestem kimś, kto szuka Orłowa. A po co – jemu powiem. Bądź tak dobry, towarzyszu, i mnie do niego zaprowadź.

Palce nieznajomego były stalowe, a głos wprawdzie cichy, ale bardzo przekonujący. Pracownik CzK od razu zrobił się miły.

– Chodźmy, to na piętrze.

Ruszyli w górę schodami.

– Co to za strzelanina w całym mieście? – zapytał czerwony dowódca. – Gdzieś nawet waliła trzycalówka.

– Rozprawiamy się z czarną gwardią. Dość już mamy tych łobuzów. Ej, Kriukow! Jest tutaj towarzysz do Orłowa! – krzyknął na progu sekretariatu, ale w środku nikogo nie było. – Wszedł gdzieś... – Wsłuchał się w głos dobiegający z za drzwi. – Proszę zaczekać, aż towarzysz Orłow skończy rozmawiać przez telefon, i wejść.

Nagle się zreflektował, że przyprowadził do dowódcy nie wiadomo kogo.

– A wasze nazwisko? Skąd jesteście?

– Nazywam się Romanow. Wezwano mnie telegramem z frontu pskowskiego – odparł wojskowy. – „Stawić się w WCzK u Orłowa”. Co to za „wu-cze-ka” nie miałem zielonego pojęcia, ale rozkaz to rozkaz. Stawiłem się.

*

W tym samym czasie za drzwiami trwało uświadamianie, co to takiego WCzK. Gospodarz gabinetu, mężczyzna koło czterdziestki z krótką bródką, w żołnierskiej bluzie pod skórzaną kurtką, pocierając powieki, wyłuszczał komisarzowi centralnej łącznicy telefonicznej:

– Długo jeszcze twoje telefonistki będą mylić WuCzeKa z Czekwałapem, Kroszkin? Mamy tu urwanie głowy, decydują się losy rewolucji, a do mnie co rusz ktoś dzwoni: „Czy to Nadzwyczajna Komisja do Spraw Zaopatrzenia w Walonki i Łapcie, Czekwałap?”^[15]? Wezwij swoje idiotki i wytłumacz im jak chłop krowie na rowie, co to jest WCzK... Sam wiem, że z Piotrogradu przeniosło się dużo nowych urzędów, nikt nie przywykł jeszcze do nazw. Ale naszego urzędu nie wolno mylić z innymi. Uważaj, Kroszkin. Jeszcze jeden telefon w sprawie walonek i oberwiesz walonkiem po mordzie, jasne?

Grzmotnął słuchawką. Roześmiał się. Potarł bródkę.

Aparat znowu zadzwonił. Tym razem nie było pomyłki, telefonował dowódca oddziału wysłanego do likwidacji spółdzielni anarchistycznej Wolność, jednej z dwóch kluczowych ostoji czarnogwardzistów.

– Ucieeeekł, ucieeeekł! Zdraaada! – wściekle wysyczała i zabrzęczała słuchawka. – Masz zdrajcę w CzK, Orłow!

– Spokojnie, Szylejkis, nie dramatyzuj. Coś nie tak? Kto uciekł? Rozbroiłeś spółdzielnię czy nie?

Orłow stłumił ziewnięcie. Nie spał już drugą noc z rzędu – z dziesiątego na jedenastego na kolegium do rana opracowywano plan likwidacji, a poprzedniej nocy tym bardziej nie było czasu na odpoczynek.

– Spółdzielnię, owszem, rozbroiliśmy, nasze straty są znikome, sześciu rannych. Ale Aron Wola uciekł! – wołał Szylejkis ochryłym głosem. Był starym członkiem partii, niezawodnym, tylko nieco nerwowym. – Wszystko przetrzasnęliśmy, nie ma Woli! Zawczasu postawiłem kordon z twoich, wziąłem samych czekistów. I jakiś szubrawiec go puścił! Masz zdrajcę, Orłow!

Nie odkładając słuchawki, gospodarz gabinetu nachylił się nad mapą miasta, na której czarnymi kółkami obwiedziono dwadzieścia sześć czarnogwardyjskich baz, i czerwoną kredką postawił krzyżyk na jeszcze jednej. Teraz zostały tylko trzy nieprzekreślone.

– Uspokój się, Szylejkis. Twoi Łotysze zrobili swoje. Brawo. A zdrajców nie mam. To ja kazałem nie zatrzymywać Woli.

– Co?! – wrzasnęła słuchawka.

– Sam pomyśl. No dobrze, stuknęlibyśmy pomyłonego Arona. Smród by się rozszedł po całej światowej anarchii. Sądzić go byłoby jeszcze gorzej. Niech się zabiera w cholere. Bez swojej spółdzielni nie jest niebezpieczny... A więc tak, Szylejkis. Wiem, że twoi chłopcy się zmordowali, ale na Dmitrowce potrzebne jest wsparcie. Walimy już do nich z armaty, a się nie poddają. Ruszaj tam i pomóż. To wszystko, wykonać.

Rozłączył się. Zawołał:

– Kriukow!

Drzwi się otworzyły, ale zamiast asystenta wszedł dzielny dowódca w oficerskim szynelu bez naramienników i strasznie się zdziwił.

– To ty, Gwóźdz?! –

Surowa, szydercza twarz mężczyzny z bródką złagodniała. Orłow nie był zaskoczony pojawieniem się gościa, ale chyba bardzo się ucieszył.

– I owszem, we własnej osobie. Wejdz, sztabskapitanie.

Objęli się.

– Więc to ty jesteś Orłow? – Romanow wciąż nie mógł ochłonąć. – A ja zachodziłem w głowę, kto mnie wzywa... Ale dlaczego nazywasz się teraz Orłow?

– Takie czasy. Za Nikołaszki też wybierałem sobie ptasie przezwiska, tylko mniejszego kalibru. Ciach i jestem Gawronem, ciach – Drozdem albo Dzięciołem. Za Rządu Tymczasowego stałem się Gwoździem, bo trzeba ich było przygwoździć. A teraz władza należy do nas, szybujemy jak orły. Całe niebo jest nasze, latamy, gdzie się żywnie podoba...

Obaj przyglądali się sobie z lubością.

– To świetnie, Romanow, że się zjawileś. Jesteś mi potrzebny o, tak. – Orłow przejechał kantem dłoni po gardle. – Ale najpierw opowiedz, dowódcu, jak wojowałeś z Niemcami.

– Do diabła z takim wojowaniem. – Mężczyzna machnął ręką. – Nasza Czerwona Gwardia do niczego się nie nadaje. Co to za gwardia, skoro nie ma armii? Sam wiesz, ogłoszono całkowitą demobilizację. Żołnierze rozjechali się do domów... To jakiś absurd. Nie unikniemy przecież walki z Niemcami, traktat brzeski jest nic niewart. A to znaczy, że bez normalnej rosyjskiej armii się nie da.

– Nie ma żadnych Niemców i Rosjan, są nasi i nie nasi. – Orłow dźgnął starego znajomego palcem w czoło. – Wbij to sobie wreszcie do swojego oficerskiego łba. Niemieccy robotnicy to nasi ludzie. Niedługo będą z nami. Będziemy też mieli normalną armię. Czerwoną. Sownarkom[16] wydał dekret. Wszystko w swoim czasie. Dopiero się rozkręcamy.

Roześmiał się i przeciągnął.

– Coś ty taki zadowolony? – ze zdziwieniem zapytał Romanow.

– Front się zawalił, w Moskwie awantura, w twojej komisji zamęt, a ty szczerzysz zęby.

– Jestem zadowolony, Losza, bo czuję się szczęśliwy. Jednego się tylko boję: że zbudzę się rano i wszystko okaże się snem. Nasza rewolucja, nasze zwycięstwo – wszystko. Przecież obaliliśmy wielkiego słonia, prawdziwego kolosa! To niebywała rzecz w historii! Nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy nudzili się życiem. Mnie ono zawsze wydawało się ciekawe. Ale żeby tak jak teraz? Czernyszewski, sen Wiery Pawłowny! Juliusz Verne, *Z Ziemi na Księżyc*! – Orłow znowu się roześmiał, błyskając mocnymi białymi zębami. – Ty też nie wyglądasz na znudzonego. Czekasz, aż zaczniesz się strzelanina? Pamiętasz lato pod Smorgoniami, hę? Ledwo cię wtedy zdążyłem chwycić za rękę. A potem przez dwa dni nie pozwalałem się oddalić.

Twarz Romanowa jak gdyby skamieniała, ale nie na długo, tylko na parę sekund. Odparł żartem:

– „To powiedziawszy, zawołał donośnym głosem: Łazarzu, wyjdź!”^[17]. No więc wstałem i poszedłem.

Orłow popatrzył nań bardzo poważnie, po czym skinął głową.

– Widzę. Problem „być albo nie być” usunął z porządku dnia. Słusznie. Jak się komuś znudzi życie, po co samemu się fatygować? Chętnych do pomocy jest wielu. O proszę, dzisiejszej nocy zdjeliśmy chwilowych sprzymierzeńców, anarchistów. Czuję, że później przyjdzie kolej na eserowców. Rewolucja to narowista kobyłka, uniesie tylko jednego jeźdźca. Zresztą nie wiadomo, czy i on utrzyma się w siodle. O tym właśnie chcę z tobą pogadać, panie sztabkapitanie. Siadaj, na stojąco źle się myśli.

Romanow usiadł, przygotował się do słuchania. Wesołkowatość Orłowa zniknęła bez śladu, pozostało tylko zatroskanie.

– Anarchiści i eserowcy to nic, z nimi się uporamy. Niemcy na razie też nie mają do nas głowy, Ententa na spółkę

z Amerykanami daje im w kość. Najgorsze jest to, że nasza czerwona władza jeszcze nie okrzepła. No bo dlaczego przenieśliśmy rząd z Piotrogradu do Moskwy? Bo Piotrogród jest nam wrogi. Niemal jedna czwarta mieszkańców to szlachta, kupcy, urzędnicy oraz inna „przeciętna publika”. W październiku wzięliśmy ich z zaskoczenia, ale siedzimy jak na drzemącym wulkanie. W Moskwie proporcje wyglądają lepiej, choć też nie jest łatwo. Szacujemy, że przebywa tutaj co najmniej czterdzieści tysięcy byłych oficerów. Większość, rzecz jasna, nawet we śnie łamie sobie głowę, jak by nam wypruć flaki. Teraz wyobraź sobie, że pewnej nieustępliwej i zdeterminowanej sile uda się zjednoczyć wrogich nam ludzi. Jak uderzą jedną pięścią, zostanie z nas mokra plama. Wiesz, jak liczna jest WczK? Stu dwudziestu pracowników, a doświadczonych, tych, co umieją demaskować spiski – zero. Podziemnych konspiratorów podobnych do mnie nie brakuje, tylko co my przywykliśmy robić? Ukrywać się, a nie szukać. Uciekać, a nie gonić. Teraz rozumiesz, dlaczego ściągnąłem cię z frontu?

– Dlatego że służyłem w kontrwywiadzie. Ale łapałem niemieckich i austriackich szpiegów, a nie spiskowców. To zupełnie co innego. Spiskowcami zajmuje się Wydział Ochrony.

– O, przepraszam. – Orłow rozłożył ręce. – Nikt z Ochrony u mnie nie pracuje. A więc odmawiasz?

Romanow westchnął.

– Powiedziałem ci wtedy pod Smorgoniami i teraz powtórzę. Dokonałem wyboru. Jestem z rewolucją. Mów, czego konkretnie chcesz.

– Nie spodoba ci się to zadanie – uprzedził Orłow.

– Nie martw się, jestem „panną po przejściach”. Myślisz, że podobało mi się w kontrwywiadzie? Robota była krwawa i brudna.

Rozkołysanym krokiem wszedł bez pukania czarniawy mężczyzna o szerokiej twarzy, ze skrzyżowanymi rzemieniami

na piersiach.

– Koniec z Dmitrowką. Poddali się, dranie – powiedział. – Zrobione, towarzyszu Orłow. Możesz zameldować.

– Uhm. – Orłow mrugnął. – Zobacz, kto nas odwiedził.

– Witaj, Kriukow. Ty też tutaj?

Romanow uściśnął rękę mężczyzny.

– A gdzie mam być? Gdzie on, tam i ja.

– I już nie gefrajter. – Były sztabskapitan z ciekawością patrzył na byłego gefrajtra; tamten mocno się zmienił. – Człowiek do specjalnych poruczeń przy ważnym dowódcy. A przy okazji, Orłow, jaki masz teraz stopień?

– U nas nie ma stopni. Jestem członkiem kolegium WCzK, a Kriukow to mój asystent.

– A kim ja będę?

– Kontrrewolucjonistą. Według naszych informacji spiszek oficerski już istnieje i aktywnie się rozszerza. Musimy wprowadzić swojego człowieka do podziemnej organizacji. Oficera, rzecz jasna. Rozumiesz teraz, czego od ciebie żądam?

Romanow zasępił się, głęboka zmarszczka przecięła mu czoło.

– Nie. Nie będę szpiclował. Wczoraj walczyłem razem z tymi ludźmi. Mam wkraść się w ich zaufanie, a potem zadenuncjować?

– Mówiłem ci, że odmówi. – Kriukow się skrzywił. – Oni są dla niego swoi. Oficer zawsze pozostanie oficerem.

– Zamknij się, Timofiej. – Orłow go osadził. – Powiedz, Losza: wierzysz w Boga?

Romanow mrugnął zaskoczony.

– Nie. A co to ma do rzeczy?

– W takim razie następne pytanie. Podoba ci się, jak jest urządzony świat?

– Komu to się może podobać?

– No a jeśli świat jest zły i nie ma Boga, kto będzie wprowadzał porządek na ziemi?

Romanowa zaczęła ogarniać irytacja.

– Czemu traktujesz mnie jak uczniaka? Mów wprost.

– Mówię wprost. Prościej się nie da. Zacznę od siebie. Powiem bez ogródek: przyłączyłem się do rewolucji nie po to, żeby naprawiać świat, ale dlatego że ja to ja. Zawsze, od dziecka, chciałem wszystko zmienić. Żeby, rachuciachu, przewrócić do góry nogami. Albo znaleźć się tam, gdzie nikt jeszcze nie był. Ech, myślałem, gdybym żył trzysta lat temu, odkrywałbym nowe kontynenty. Albo przeciwnie, gdybym żył sto lat później, latałbym na inne planety. Pewnego dnia, już we wczesnej młodości, nagle mnie olśniło. Świat urządzony po ludzku – oto czego nikt nigdy nie widział i gdzie nikt jeszcze nie był. To właśnie jest największe odkrycie i największa przygoda. Urządzić świat, żeby był nie tylko dla takich szczęśliwców jak ty, którzy urodzili się w możliwych rodzinach, ale dla wszystkich ludzi. Spójrz na Kriukowa. Od małego głodował, żył w nędzy, otoczony niegodziwością. I zdechłby w gnoju, gdyby nie rewolucja. Takich Kriukowów mamy grubo ponad sto milionów. A teraz wszyscy będą żyli, jak kto się postara, a nie tak, jak nakazywało urodzenie. Kto jest mądry i rozgarnięty, z nikogo stanie się kimś.

Kriukow słuchał z błyszczącymi oczami. Orłów coraz bardziej się zapalał, skandując słowa.

– Oczywiście, że w naszym biednym i dzikim kraju nie zbudujemy rajy na ziemi. Mimo to skończymy z głodem, analfabetyzmem i poniżeniem. Dla tego wielkiego, szczytnego celu można się pomęczyć, nie żałując potu, krwi ani życia... Walczyłeś z oficerami na froncie, a ja z anarchistami siedziałem w więzieniu i uciekałem z katorgi! Ale dzisiejszej nocy zadaliśmy cios w plecy towarzyszom, z którymi robiliśmy razem rewolucję. Uderzyliśmy podstępnie, po łajdacku... Tak, tak, po łajdacku! Wielu zabiliśmy, ci zaś, którzy ocaleli, będą nas przeklinać i nienawidzić do końca swoich dni. Ale przystaliśmy nawet na to, żeby osiągnąć nasz wielki cel! A ten... a ten będzie mi się tu

obnosił ze swoją inteligencją wrażliwością... Patrzcie no go, romantyka z bożej łaski, czuje się niezręcznie wobec panów oficerów!

Wzburzenie nie pozwoliło Orłowskiemu mówić dalej. Członek czekistowskiego kolegium zatchnął się i zrobił się straszny. Ale Romanow się nie przestraszył, tylko odchylił kołnierz i podrapał się po szramie od kuli.

– Dobra, przestań się ciskać. Przekonałeś mnie. Obejdę się bez sentymentów. Jest tylko jedna rzecz. Nie zostanę łajdakiem. Gdybym tak jak ty siedział z kimś w więzieniu albo uciekł razem z katorgi, jakoś bym się zatroszczył o starego druha. Więc z góry uprzedzam: nie zrobię nic wbrew sercu. Jasne?

Orłow chyba nawet się nie rozgniewał. Znowu mrugnął wesoło do Kriukowa.

– Jasne, że wy, towarzyszu Romanow, nie dorośliście do moralności klasowej, nazwisko też macie podejrzone. Ale to nic, Losza, razem z Kriukowem pomału cię wychowamy. A teraz, jeszcze dzisiaj, wybierzesz się na połów ryb.

– Na jaki połów ryb? – zdziwił się Romanow.

– Nieoficjalny. Na otwartym morzu. Pływają tam rekiny, tylko nie wiemy gdzie. Nie mogę ci dać ani sieci, ani harpuna, ani przynęty. Wiemy tylko, że spisek oficerski istnieje, całe miasto o tym szepcze, ale gdzie złapać spiskowców – sam musisz wykoncypować. Jak przystało na zawodowca.

15 Czekwałap (*Czriezwyczajnaja komissija po snabżeniju walonkami i łaptiami*) (przyp. tłum.).

16 Sownarkom (*Sowiet narodnych komissarow*) – Rada Komisarzy Ludowych (przyp. tłum.).

17 Biblia Tysiąclecia, wyd. 5, Pallotinum, Poznań 2002.

Na pusty haczyk

W kontrwywiadowczej praktyce zadanie, które otrzymał Aleksiej Romanow, nazywano łowieniem na pusty haczyk. Była to sytuacja, w której docierały wiarygodne informacje, że istnieje wroga sieć szpiegowska, ale nie było ani nazwisk, ani wyróżników, ani adresów – w ogóle niczego. W normalnie działającym kontrwywiadzie tworzy się system markerów albo dzwoneczków, to znaczy do wszystkich wydziałów, cyrkułów, na stacje i postoje dorożek, do obiektów będących w polu zainteresowania przeciwnika rozsyła się komunikaty: rejestrować każdą podejrzaną aktywność związaną z takimi a takimi parametrami. Prędzej czy później wpadnie jakaś rybka, brzęknie dzwoneczek, a dalej to już kwestia techniki.

Do tej pory Romanow nie miał okazji zarzucać wędki z pustym haczykiem, żeby złapać olbrzymią ławicę ryb. Z drugiej strony zadanie nie należało do wyjątkowo trudnych, jako że istniały trzy okoliczności, które zdecydowanie je ułatwiały.

Po pierwsze, będzie miał do czynienia nie z zawodowymi wywiadowcami, tylko z amatorami, którzy raczej nie mają konspiracyjnych nawyków.

Po drugie, spisek wojskowy, w odróżnieniu od organizacji szpiegowskiej, musi stale rozszerzać swoje szeregi – mowa przecież o zdobyciu dwumilionowego miasta.

Wreszcie po trzecie, nie jest tajemnicą, z jakiego środowiska spiskowcy werbują uczestników – spośród dawnych oficerów. Takich jak sztabskapitan Romanow.

Musi więc sam stać się przynętą na haczyku i umiejętnie

wybrać miejsce polowu. Oto i cała sztuczka.

Skończywszy niedługi wywód logiczny, Romanow cofnął się myślami do czasów sprzed przełomowych wydarzeń minionego lata. A raczej sprzed jednego wydarzenia, o którym przypomniał mu bezpośredni Orłow. Aleksiej umieścił je na dnie pamięci i starał się nigdy tam nie zaglądać. Teraz też nie zajrzał. Powiedział sobie tylko: Jestem oficerem frontowym, który ni cholery nie zna się na polityce, ale wkurza go rewolucja, bo zniszczyła państwo i armię. Chamstwo rozpasanego żołdactwa obraża moje uczucia, uważam bolszewików za niemieckich agentów, za diabelską siłę niszczącą Rosję i głęboko, z całego serca ich nienawidzę.

Orłow i Kriukow siedzieli cicho, obserwując milczącego Romanowa, który nagle zmrużył oczy. W ten sposób wczuwał się w rolę. Gdy znowu otworzył powieki, świat przybrał inne barwy. W pięknym szlacheckim dworze, gdzie kiedyś mieszkała Natasza Rostowa, teraz panoszyli się ordynarni, źli i wrodzy osobnicy. Zajęli nie tylko dom Rostowów, ale zbrukali stare, wspaniałe miasto oraz wielki tysiącletni kraj. To ci dopiero gęba, pomyślał Romanow, z nienawiścią patrząc na Kriukowa. Rozwalił się w fotelu empire, bydlak.

– Sprzątnij niedopałek, łachudro. Ten parkiet ma półtora wieku, a ty wypaliłeś w nim dziurę.

– Z byka spadłeś? O co ci chodzi? – Kriukow zamrugął, wzdrygając się pod rozjuszonym spojrzeniem.

Ale Orłow się roześmiał.

– Doskonale. Niech wielmożny pan idzie ratować Rosję przed chamami.

Romanow tak właśnie zrobił.

Za drzwiami co prawda się zatrzymał. Powiedział sobie: A więc tak. Nie jestem czerwonym dowódcą, tylko zwyczajnym zdemobilizowanym oficerem. Nie mam ani kartek żywnościowych, ani pieniędzy, ani dachu nad głową, ani rodziny

w Moskwie. Dokąd bym się udał?

Odpowiedź była prosta. Wojskowy nawykły do opieki państwa jest jak pies przyzwyczajony do znajdowania jedzenia w misce. Udałby się zatem do biura okręgu wojskowego. W końcu państwo nadal istnieje, mimo że bolszewickie.

Gdzie w Moskwie jest sztab okręgu?

Przewertował książkę telefoniczną leżącą na biurku w sekretariacie, znalazł. Ulica Prieczistienka. Niedaleko.

Stanął przed poplamionym lustrem (na nim też ktoś gasił niedopałki), uważnie się sobie przyjrzał. Chyba wystarczy odpruć gwiazdę z kaszkietu i przypiąć do munduru tamte ordery, które oficer powinien stale nosić.

Naprzód marsz, sztabskapitanie.

*

Na dużym budynku państwowym wisiała czerwona szmata z napisem „Urząd Ewidencji Wojskowej RKKA”. Romanow zatrzymał się przed wejściem, chmurząc się z zakłopotaniem – tak jak zrobiłby to każdy oficer na widok nieznanego skrótu.

Drzwi bez przerwy trzaskały, ludzie wchodzili i wychodzili. Obok stał jakiś mężczyzna, podobny do Aleksieja – w oficerskim kaszkiecie bez znaczka, w wysokich butach z ostrogami. Sądząc po żółtych lamówkach, dragon. Prychnął.

– Co to za RKKA[18], nie wie pan? – zapytał Romanow.

– Robotniczo-Chłopska Armia Czerwona. Wciąż się zastanawiam – zapisać się czy nie... Dają przydział. – Dragon westchnął. – Trzeba jakoś żyć... Ech, pójdę.

Aleksiej wszedł za nim. Na długim korytarzu tłoczyło się mnóstwo ludzi, z wyglądu dawni oficerowie. To zrozumiałe: po demobilizacji szeregowcy i podoficerowie wrócili do domów, do poprzedniego życia, co jednak mają ze sobą zrobić zawodowi

wojskowi?

Aleksiej zaczął się wolno przechadzać, przyglądając się i nasłuchując. Rozmowy były ciche, markotne: nie ma za co żyć, przydział, przydział, przydział, ależ doczekaliśmy czasów, Rosja przepadła, Archangielsk zajęli Anglicy, Niemcy nacierają na Paryż.

Na Romanowa też zerkano. A raczej na jego pierś. Rozchylił szeroko poły szynela, więc widać było ordery za zasługi wojenne: oficerski i żołnierski Jerzy, Włodzimierz z mieczami.

– Niech pan to zdejmie – poradził niemłody artylerzysta. – Niedawno komisarz nakrzyczał na kawalera Orderu Świętego Jerzego, zerwał mu krzyż. Po co się rzucać w oczy?

Sam miał jedynie odznakę akademicką na mundurze, po orderach zostały tylko dziurki.

– Zerwać może nie zerwą, ale na pewno nie dostanie pan przydziału – powiedział drugi.

– Nie wypłacono mi żołdu za trzy miesiące! Niech wydadzą. Nie potrzebuję przydziału! – Romanow mówił głośno, nie tak jak pozostali. – W Moskwie rządzi teraz niemiecki ambasador Mirbach. Bolszewicy tańczą, jak im zagra. To znaczy, że mam służyć Niemcom? Którzy zabijali moich towarzyszy?

– Chyba nie ma pan rodziny. – Artylerzysta westchnął ze smutkiem. – A ja mam trójkę dzieci. Taak.

Drugi szepnął:

– Niech lepiej rządzi Mirbach niż Lenin z Trockim...

– Ciszej, panowie, ciszej – syknął trzeci. – Słyszeliście o CzK? Mogą przecież chodzić tutaj i podsłuchiwać. Uważają nas za podejrzanego element.

Wszyscy umilkli, oglądając się.

Romanow zauważył, że pewien nobliwy, posunięty w latach jegomość w długim kawaleryjskim szynelu, z siwawą bródką w szpic rzeczywiście stanął i się przysłuchuje. Nie robił jednak wrażenia czekistowskiego agenta, zresztą jeśli wierzyć

Orłowowi, w CzK nie było żadnych agentów.

Mijając kawalerzystę, Aleksiej wymamrotał z pogardą:

– Oficerowie, żeby ich pokręciło. Tfu! Barany....

Później rzucił to samo jeszcze w dwóch innych miejscach, przez cały czas obserwując kątem oka leciwego jegomościa. Tamten się nie zbliżał, ale też nie oddalał. Czyżby ryba połknęła haczyk już przy pierwszej próbie?

– Do diabła z tą waszą „erkaka”! Niech się udławi moim żołądem! – donośnie oznajmił Romanow, wychodząc.

Idzie za nim czy nie? Nie wolno się odwracać.

Ktoś szedł, szedł i go nie odstępował!

Na ulicy Aleksiej zatrzymał się, żeby zapalić papierosa. Kroki za plecami od razu ucichły. Ruszył – znowu się odezwały.

Ogarnęło go nieco zapomniane uczucie, podniecenie myśliwego – i nagle się zawstydził. Boże, nie poluje przecież na obcych, tylko na swoich, na Rosjan, z którymi jeszcze wczoraj był razem. Teraz jednak ludzie dzielili się na swoich i obcych według innych zasad. A w ogóle Orłow ma rację, do licha z sentymentami.

Romanow zastosował elementarny agenturalny chwyt – udał, że poprawia kaszkiet, a w dłoni miał schowane lustro, żeby zerknąć do tyłu, nie odwracając się. Hop-la. Okazało się, że „ogonem” jest nie leciwy jegomość, ale jakiś chudziutki chłopak w fińskiej kurtce łyżwiarskiej. Stoi, udaje, że studiuje plakat na słupie, a jednocześnie popatruje na boki.

Może Aleksiej się myli? Chłopak jest jeszcze bardzo młody, to niemal dziecko. Żeby się upewnić, wykonał jeszcze jedną sztuczkę, też prymitywną: idąc, lekko potrącił ramieniem przechodnia i obrócił się, żeby przeprosić. Chłopak ostatecznie się zdradził – skoczył za słup.

A zatem wszystko jasne. To nie zagadka tańczących sylwetek. Stary kawalerzysta przechadza się po korytarzu w urzędzie ewidencji wojskowej, wybiera oficerów, którzy wydają mu się

obiecujący, a potem daje znak chłopakowi. Ten widocznie czatuje gdzieś przy wejściu. Teraz będzie deptał po piętach Aleksiejowi, żeby sprawdzić, dokąd ten pójdzie, z kim się spotka, gdzie mieszka i temu podobne. Można oczywiście pograć w tę nieskomplikowaną grę, ale szkoda czasu.

Dlatego Romanow wybrał łatwiejsze rozwiązanie. Skręcił w bramę, ukrył się w głębokim cieniu. Zaczekał, aż ogon wślizgnie się za nim, i mocno chwycił chłopaka za kołnierz. Z bliska okazało się, że to siedemnastoletni, a może nawet szesnastoletni szczawik. Bładolicy, z cienką szyją i puchem nad górną wargą. Gdy zmężnieje, będzie urodziwy, lecz na razie to brzydkie kaczątko.

– Jeszcze nie odrosłeś od ziemi, a już szpiclujesz! – wysyczał Romanow. – Czekistowski pryszcz!

Chłopak nie przestraszył się, tylko obraził.

– To nie tak, jak pan myśli! Jestem junkrem, nie szpiclem! A jeśli chodzi o pryszcz, to nieładnie! – pisnął zduszonym głosem.

Na jego czole rzeczywiście różowiły się liczne pryszcz-cze – właśnie za nie się obraził.

Aleksiej nie śpieszył się, żeby rozluźnić uścisk, szarpnął jeszcze chłopaka w górę, aż ten wspiął się na palce.

– Dlaczego mnie pan śledzi, skoro jest pan junkrem?

– Nie śledzę... To znaczy śledzę, ale nie w tym sensie... Niech pan puści, brak mi tchu. No niechże pan puści! Jestem od tych, którzy myślą podobnie jak pan.

– Niby co myślą? – podejrzliwie zapytał Romanow, ale puścił kołnierz. – Niech pan mówi jaśniej.

– Nazywam się Kopiejszczikow. Wienia... to znaczy Wieniamin Kopiejszczikow. Junkier Uczelni Aleksandrowskiej. To znaczy były junkier. A pan jest oficerem, wiem. Proszę powiedzieć, jest pan patriotą, prawda?

– Skoro się pan przedstawił... Sztabskapitan Aleksiej

Parysowicz Romanow. Co to za dziwne pytanie na temat patriotyzmu? Jestem rosyjskim oficerem, to mówi samo za siebie.

– Nie pytam bez powodu... – Chłopak mrugał, intensywnie coś rozważając. Później się zdecydował. – Niech pan idzie ze mną. Ktoś z panem porozmawia.

– Kto? O czym?

– Taki sam patriota jak pan. Chodźmy, Aleksieju Borisowiczu, to niedaleko stąd.

Niezbyt pomysłowo, pomyślał Romanow. Nie to co niemiecki czy nawet austriacki wywiad. Pierwszego lepszego od razu zapraszają do konspiracyjnego lokalu.

– Po pierwsze, nie Borisowiczu, tylko Parysowiczu. Po drugie, skoro jest pan junkrem, proszę się zwracać jak należy do starszego stopniem.

– Przepraszam, panie sztabskapitanie! – Wienia Kopiejszczikow się wyprężył. – Byłem junkrem niedługo, nie zdążyłem się przyzwyczaić. No chodźmy, nie pożałuje pan!

– Dobrze – burknął Romanow. Myśliwski zapal gdzieś się ulotnił, pozostała tylko nieprzyjemna irytacja. – I tak nie mam co ze sobą zrobić. Nikogo nie znam w Moskwie.

18 RKKK (*Rabocze-kriestjanskaja Krasnaja armija*) – Robotniczo-Chłopska Armia Czerwona (przyp. tłum.).

Lokal konspiracyjny

Było to rzeczywiście niedaleko, droga zajęła z dziesięć minut – przez Arbat i plac Sobaczij do jakiegoś zaułka (Romanow przeczytał nazwę na tabliczce – Trubnikowski). Przez cały czas Wiener nie zamykały się usta; zdążył przekazać mnóstwo informacji. Że przyjęto go na uczelnię dopiero w październiku, gdy skończył szesnaście lat. Że nie złożył przysięgi, bo od razu zaczęła się „zawierucha”. Że był na barykadzie i strzelał, ale nie wie, czy trafił, a nie chce skłamać. Że jest w „organizacji” od niedawna, do tej pory był na okresie próbnym.

Gdy jednak Aleksiej zapytał, co to za organizacja, junkier się zawahał.

– To już powie Iwan Klimientjewicz... to znaczy pan podpułkownik. I proszę mu nie mówić, że się wygadałem.

– Nie powiem.

Wiener znowu się ożywił i trajkotał dalej.

Okazało się, że lokal konspiracyjny to właściwie mieszkanie, które zajmuje z siostrą Zinaidą. Ona jest naprawdę cudowna, chociaż już niemłoda, o dziewięć lat starsza. Też prawdziwa patriotka, niczego nie trzeba przed nią ukrywać. Nie nazywa się Kopiejszczikowa, tylko Gruzincewa, po mężu. Władimir Iwanowicz Gruzincew był wspaniałym człowiekiem, nawiasem mówiąc, oficerem sztabu generalnego. Zginął w Karpatach, strasznie go żal.

Romanow przestał słuchać paplaniny. Myślał, że spisek, który może zawiązać taka „organizacja”, nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa. Zwyczajne rosyjskie dyletanctwo. Orłow

niepotrzebnie się niepokoi. Już samo to, że po mieście chodzą słuchy o spisku oficerskim, świadczy o nierzetelności przedsięwzięcia. Trzeba zobaczyć, kto tam u nich dowodzi, i porozmawiać z nim po dobroci, żeby nie igrał z władzą radziecką, nie narażał ludzi na nieprzyjemności. To się może źle skończyć – czasy są teraz niespokojne.

Dom, do którego zaprowadził go gadatliwy junkier, został wybudowany niedawno, przed wojną. Na klatkę schodową dostali się tylnym wejściem (frontowe zabito zimą i tak już zostało, wyjaśnił Wienia). Weszli na pierwsze piętro.

Chłopak zadzwonił w umówiony sposób: dwa razy długo, trzy krótko. Z powagą oznajmił:

– To znaczy, że swoi.

Konspiratorzy, westchnął Romanow, szykując się do spotkania z „patriotką”, zapewne egzaltowaną idiotką.

Drzwi otworzyła młoda dama w szarej sukni z białym kołnierzykiem. Wysoka, z panięńskim warkoczem przez ramię, ale od razu widać, że mężatka, a nie panna. Aleksiej domyśliłby się, nawet gdyby chłopak nie wspomniał o zabitym mężu. Panny nie mają tak poważnego, martwego spojrzenia i takich zmarszczek koło ust.

Trzasnął obcasami, przedstawił się, niczego więcej nie tłumacząc, zresztą nie było takiej potrzeby.

– To nasz człowiek – wypalił Wienia. – Jeszcze jeden. Poczęstuj go, Zino, herbatą, a ja w tym czasie skoczę po Iwana Klimientjewicza.

Chciał od razu puścić się biegiem, ale kobieta powstrzymała go, chwytając za rękaw.

– Zinaida Andriejewna Gruzincewa – powiedziała do gościa. – Wieniaminie, nigdzie nie pójdziesz, póki nie włożysz czapki i nie weźmiesz rękawiczek. Rano nie sprawdziłam, a ty pobiegłeś, nie patrząc. Termometr pokazuje osiem stopni.

– Booże, Zino, czy ja jestem dzieckiem?

Chłopak spojrzał zmieszany na Romanowa, ale wziął i czapkę, i rękawiczki. Pognał w dół, przeskakując po dwa stopnie.

– Zapraszam. – Gruzincewa cofnęła się, wpuszczając gościa do środka. – Niech się pan rozbierze i wejdzie do salonu. Jak widzę, pan prosto z dworca. Pachnie pan dymem z parowozu. To dobrze.

– Dlaczego dobrze? – zapytał Aleksiej, myśląc: jest bardzo spostrzegawcza. Nie egzaltowana i nie idiotka.

– To znaczy, że przyjechał pan przed chwilą. Nie jest pan czekistą. Wciąż się boję, że Wieniamin przyprowadzi jakiegoś konfidenta.

Słusznie się pani boi, pomyślał Romanow.

– Czemu w takim razie pozwala mu pani... zajmować się takimi sprawami? – Zrobił nieokreślony gest. – To rzeczywiście może się źle skończyć. Pani brat wcale mnie nie zna. Czy to wiadomo, kim jestem? Niech mu pani zabroni. Widzę, że chłopak czuje przed panią respekt.

– Tak, przywykł mnie słuchać. Gdy zostaliśmy bez rodziców, miał dwanaście lat i nikogo prócz mnie. Ale Wieniamin nie jest już dzieckiem. Nadeszły takie czasy, w których chłopcy szybko stają się mężczyznami. Co mu powiem? „Wszystko wali się w gruzy, ale siedź cicho, to ujdiesz cało?”. W ten sposób nie stanie się mężczyzną. Chociaż oczywiście bardzo się o niego boję... Proszę usiąść, zaraz wracam.

Wyszła.

Romanow rozejrzał się po pokoju. Salon jak salon, są jednak dwie niezwykle rzeczy. W rogu coś w rodzaju szafki na święte obrazy, ale w niej nie podświetlone lampą ikony, tylko fotografie. Mężczyzna i kobieta (pewnie rodzice) i wojskowy z odznaką akademicką na mundurze. Widocznie nieżyjący mąż, chociaż chyba za stary dla Zinaidy Andriejewny. Drugą osobliwością była maszyna do pisania oraz plik kartek leżący obok. Romanow podszedł i przeczytał zaczęty wers: „MARAT: Za każdą łzę, którą

wylałaś, biedna niewolnico, arystokraci zapłacą kroplą, nie, beczką krwi! Dość się nacierpiałaś! Przyszedł czas radości i zapłaty dla narodu!”.

– Zarabiam przepisywaniem sztuk dla teatrów – rozległ się za plecami głos Gruzincewej. Weszła tak cicho, że Romanow nie usłyszał. W rękach trzymała tacę: filiżanka herbaty, parę kromek chleba, masło. Nieźle jak na ciężkie czasy. – Teraz wystawia się w zasadzie każdą rewolucyjną bzdurę, można za to dostać przydział żywnościowy, a nawet trochę gotówki. Nauczyłam się pisać bez skreśleń i poprawek. Z tego właśnie się utrzymujemy.

Pewnie wszystko robisz bez poprawek, pomyślał Aleksiej. Zinaida Andriejewna bardzo mu się spodobała, wskutek czego na dobre stracił humor.

Był rzeczywiście bardzo głodny, ale starał się odgryzać małe kęsy i wolno je przeżuwać, postanawiając, że zje trzy kromki, a czwartą zostawi.

– Niech się pan nie krępuje. Chleba mamy dosyć – powiedziała Zinaida Andriejewna, wciąż popatrując na gościa, ale o nic nie pytając.

– Chyba powinienem opowiedzieć o sobie?

– Opowie pan, jak przyjdzie Iwan Klimientjewicz. Po co dwa razy?

– A kim jest Iwan Klimientjewicz? Pani brat nie wyjaśnił.

Gruzincewa milczała przez dłuższą chwilę. Romanow zaczął już żałować, że zadał pytanie.

– To dowódca drużyny – odparła w końcu, widocznie podjąwszy jakąś decyzję. – Niech pan pije herbatę. Wydaje mi się, że moja obecność pana krępuje.

I zostawiła go samego – zapewne żeby uniknąć następnych pytań.

Kwadrans później z korytarza dobiegło dzwonienie: dzzzzzz-dzzzzz-dz-dz-dz. Romanow wstał i ruszył do przedpokoju. W takiej sytuacji dobrze jest zyskać przewagę pozycyjną –

znalazłszy się w nowej przestrzeni, obiekt jest zdezorientowany, wzrok jeszcze mu się nie przyzwyczaił do innego oświetlenia, więc póki mruży oczy i mruga, można wynieść pierwsze, najważniejsze wrażenie.

Obiekt zwany Iwanem Klimientjewiczem okazał się, rzecz jasna, jegomościem w kawaleryjskim szynelu, z bródką. Agenturalny nos nie zawiódł Aleksieja.

– Zaraz, zaraz – odezwał się pierwszy, podczas gdy mężczyzna wpatrywał się weń przymrużonymi oczami. – Gdzieś już pana widziałem... Aha, niedawno w urzędzie.

– Podpułkownik Zotow – przedstawił się kawalerzysta. – Obawiam się, że młody człowiek wprowadził pana w błąd w kwestii... – Zrobił nieokreślony gest, zerknąwszy na Wienię Kopiejszczikowa, który stał skruszony z opuszczoną głową. – Chłopak lubi fantazjować.

Romanow domyślił się, że junkier dostał burę za pośpiech. Tymczasem pierwsze wrażenie, które wywarł „dowódca drużyny”, było następujące: typowy wojskowy służbista, pewnie sumienny i zdyscyplinowany, dziwne tylko, że w takim wieku (ze czterdzieści osiem albo i pięćdziesiąt lat) jest zaledwie podpułkownikiem.

– Sztabskapitanowi można wierzyć – nagle wtrąciła cicho Gruzincewa. – Zresztą za późno już na sekrety.

– Naprawdę? – z ulgą rzekł Zotow. – Przywykłem ufać pani sądom, droga Zinaido Andriejewno. W takim razie doskonale. Zdaje się, że pije pan herbatę? Też bym nie odmówił.

*

Podpułkownik okazał się o wiele bardziej doświadczonym spiskowcem niż junkier Wienia. Zamiast wypytać szczegółowo nieznanego, najpierw opowiedział o sobie. Zagadka

rozbieżności pomiędzy wiekiem a szarżą znalazła proste wytłumaczenie. Iwan Klimientjewicz, oficer kadrowy, trafił do niewoli na początku wojny, w sierpniu czternastego, dlatego nie awansował. Wrócił z Niemiec dopiero dwa tygodnie temu i „nie poznał ojczyzny”.

– Bolszewicki rząd popełnił niewybaczalne głupstwo i straszliwy błąd, podpisując haniebny pokój! – mówił z przejęciem. – Widziałem Niemcy od środka, są na skraju wyczerpania. Gdybyśmy się utrzymali jeszcze przez parę miesięcy, nastąpiłby koniec, zwycięstwo! Należało się wycofać, ale nie poddawać. Nawet oddać stolicę, jak Kutuzow! No bo co teraz? Hańba narodowa, pogarda sojuszników. I oczywiście żadnego udziału w podziale zdobyczy. Jedyna droga ratunku dla Rosji to obalenie Sowietów i powrót do Ententy. Gdy tylko dotarłem do domu, od razu rzuciłem się na poszukiwania ludzi, którzy to rozumieją i gotowi są działać. Znalazłem. Szybko. Jest nas bardzo wielu, Romanow, i z każdym dniem coraz więcej!

– Zinaida Andriejewna powiedziała, że jest pan dowódcą drużyny. Co to znaczy?

Dopiero teraz podpułkownik się zreflektował.

– Chwileczkę. Najpierw niech pan powie, gdzie pan służył i za co dostał te honorowe odznaczenia. – Pokazał mundur Romanowa.

Usłyszawszy o kontrwywiadzie, podpułkownik się skrzywił. W dawnych, przedwojennych czasach podobna służba nie przynosiła chluby oficerowi. Ale dowiedziawszy się, że żołnierski Jerzy został przyznany za atak, poweselał.

– A więc potrafi pan nie tylko przekładać papiery na biurku. No cóż, chętnie przyjmę pana do oddziału. Bo widzi pan, w organizacji panują następujące zasady. Każdy nowy człowiek niezależnie od stopnia i wieku jest przyjmowany jako szeregowiec, otrzymuje jednak prawo pozyskiwania innych oficerów i osobiście za nich odpowiada. Gdy tylko zbierze się

trójka, staje się dowódcą drużyny. Gdy trójka powiększy się do dziewiątki – dowódcą plutonu. Ja na przykład dzięki panu (jest pan ostatni do kompletu) niebawem awansuję. – Iwan Klimientjewicz się roześmiał. – Później zostanę dowódcą kompanii, a dalej, kto wie, może dowódcą batalionu, to znaczy zajmę swoje dawne stanowisko: przed wojną dowodziłem dywizjonem kawalerii. W naszej organizacji szybko można zrobić karierę.

– Czy wy, to znaczy my, mamy jakąś nazwę?

Romanow doszedł do wniosku, że spisek jest pomyślany niegłupio. Łatwo, rzecz jasna, trafić na donosiciela albo na zwyczajnego gadułę przy tak nieostrożnym systemie werbowania, ale łańcuszek szybko się nie zerwie. Poza tym gdy każdy szeregowy uczestnik organizacji jest werbownikiem w pełnej oficerów Moskwie, członków powinno przybywać jak grzybów po deszczu.

– Związek Obrońców Ojczyzny. To dobra nazwa, uwzględnia wszystkie poglądy polityczne, prócz bolszewickich, ma się rozumieć. Niech pan nie myśli, że nie mamy pododdziałów większych niż bataliony. Są też pułki i brygady, jest nawet dywizja. – Zotow znacząco ściszył głos, obejrzawszy się na drzwi, chociaż mogła go podsłuchać jedynie właścicielka mieszkania z bratem (oboje taktownie zostawili oficerów samych).

– Nawet dywizja?

Romanow szybko pomnożył w myślach, wyszło ponad dwa tysiące ludzi. Ho ho!

– Możliwe, że nie jedna. Zresztą nie wiem dokładnie. Z mojej grzędy nie zajrzę tak wysoko. Ale zapewniam pana, że sprawą kierują bardzo poważni ludzie. Gdy wybije godzina, w jednej chwili opanujemy wszystkie kluczowe punkty stolicy i sparalizujemy władzę radziecką. Wystarczy jedno uderzenie, tak jak im wystarczyło w Piotrogradzie pół roku temu. Zajęli wtedy mosty, węzły łączności, siedzibę rządu i cała olbrzymia

Rosja znalazła się w ich rękach. Zrobimy to samo, tylko w bardziej wyważony i przemyślany sposób, po oficersku.

Nie, to nie jest amatorszczyzna, powiedział sobie Romanow. Pomyśl masowej, liczącej tysiące członków organizacji, która składa się z łatwych do zastąpienia dyletantów, ale jest sensownie zarządzana, wydaje się genialny w swojej zuchwałości i skuteczności. Możemy się uganiać za mackami ośmiornicy, ale do głowy się nie dostaniemy, gdy zaś będziemy podejmować wysiłki, pojawią się nowe wyrostki.

– Przyszedłem prosto z dworca, nie znam nikogo w Moskwie – powiedział głośno. – Gdy tylko znajdę jakieś lokum, stawię się na pańskie rozkazy.

Okazało się, że junkier Wiena nie grzeszy jednak taktem. Drzwi się uchyliły, rozległ się dźwięczny głos:

– Panie sztabskapitanie, proszę się zatrzymać u nas! Prawda, Zino? Gabinet Władimira Iwanowicza stoi przecież pusty.

– Tak, oczywiście – po krótkim namyśle odparła Gruzincewa z korytarza.

*

Do wieczora Aleksiej odsypiał zarówno nerwowe dni frontowe, jak i ciężką podróż. Obudził się, usiadł na kanapie, zobaczył nakryty stół: bieluteńka serwetka, symetrycznie ułożone sztucce, na porcelanowym talerzu kanapki z kielbasą, ciasteczka, obok termos z herbatą. Życie nie umierać. I karteczka napisana drobnym, ale stanowczym, bardzo ładnym pismem: „Jest gorąca woda”.

Zjadł, wykąpał się w prawdziwej wannie, z gazowym podgrzewaczem wody – dawno zapomniany luksus. Później długo i z przyjemnością się golił, podstrzygł wąsy, doprowadził do porządku paznokcie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy

poczuł się członkiem cywilizowanego społeczeństwa.

Wróciwszy do siebie, do gabinetu oficera sztabu generalnego zabitego na wojnie, zaczął przechadzać się wzdłuż szaf z książkami, przeważnie o tematyce wojennej i historycznej. Zastanawiał się, co dalej. Na składanie raportu było jeszcze za wcześnie. Zresztą po co? Orłow i tak nie ma nikogo prócz ludzi z karabinami. Przydadzą się dopiero na końcowym etapie. Najpierw trzeba ustalić, kogo i gdzie zatrzymać. Ośmiornicza konstrukcja zapewnia bezpieczeństwo, ale ma też słaby punkt. Nie da się oczywiście zdemaskować i aresztować paru tysięcy spiskowców. Ale to wcale nie jest potrzebne. Gdyby znaleźć głowę ośmiornicy i ją odrąbać, zniknie problem macek. Bez sterowania i łączności staną się bezsilne, przestaną stanowić jakiegokolwiek zagrożenie.

W gabinecie było bardzo cicho. Puszysty dywan tłumił kroki, rzeźbiony zegar nie tykał. Przez chwilę Aleksiej się zastanawiał, czy by go nie nakręcić – w dzieciństwie bardzo lubił nakręcać starego ojcowskiego mosera brązowym kluczykiem. Nie, nie warto. Skoro tak sumienna gospodyni pozwoliła, żeby zegar stanął, zrobiła to z rozmysłem. To jasne. Pan domu umarł, czas się zatrzymał.

Myśl o sumienności Zinaidy Andriejewny sprawiła, że Aleksiej nagle sobie przypomniał, że nie sprzątnął przyborów do golenia. W skarpetkach, żeby nie narobić hałasu, wyszedł na korytarz i zaczął nasłuchiwać. Nigdzie żadnego odgłosu. Pora była już późna. Do diabła, na dodatek nie zgasił światła w łazience! Uchylił drzwi i zastygł w bezruchu. Zinaida Andriejewna stała koło umywalki, mrużąc oczy, i trzymała w ręce, tuż przy twarzy, pędzel do golenia. Po co?

– Najmocniej przepraszam – powiedział Romanow. – Zaraz umyję.

Gruzincewa otworzyła oczy, wydawała się zmieszana.

– To ja przepraszam – wybąkała. – Niemal zupełnie odwykłam

od tego zapachu. Męskiego zapachu. Wienia jeszcze się nie goli...

Aleksiej odwrócił wzrok, żeby nie wprawiać jej w jeszcze większe zakłopotanie.

– Pewnie to dla pani przykre, że zająłem gabinet męża. Wyprowadzę się, gdy tylko Iwan Klimientjewicz coś znajdzie. Obiecał...

– Myślałam, że sprawi mi to przykrość, ale właściwie... Właściwie to dobrze, że znowu jest w domu mężczyzna. – Zinaida Andriejewna odkręciła kran, zaczęła wolno i dokładnie myć pędzel. Ona również nie patrzyła na Romanowa. – To dziwne, spędziłam z Władimirem Iwanowiczem niewiele czasu, nawet nie zdążyłam go szczerze pokochać, chociaż był dobrym człowiekiem. Znajomym ojca. Gdy rodzice tak nagle... Wienia pewnie panu opowiadał?

– Nie.

– Mieliśmy majątek nad Wołgą. Zawsze spędzaliśmy tam Boże Narodzenie. Ostatnia przedwojenna zima była bardzo ciepła, pamięta pan? Lód się pod nimi załamał, runęli do wody razem z saniami i z końmi. Zniknęli, jakby ich nigdy nie było... Czasami mam wrażenie, że cała Rosja, całe poprzednie życie też wpadło do jakiejś czarnej przerębli i... – Drgnęła. – Miałam dwadzieścia jeden lat. Wienia dwanaście. Nie wiem, jak byśmy sobie poradzili, gdyby nie Władimir Iwanowicz. Był wciąż obok. Poślubienie go wydawało się rzeczą naturalną. Jestem pewna, że wszystko by się wspaniale ułożyło. Ale pobraliśmy się w kwietniu, a w sierpniu zaczęła się wojna. Później przyjechał raz na urlop i koniec...

Romanow słuchał z ciężkim sercem. Tyle młodych wdów jest w Rosji! A ile jeszcze przybędzie.

– Rozkleiłam się, to do mnie niepodobne. – Gruzincewa odchrząknęła. – To przez ten zapach. Proszę u nas mieszkać, Aleksieju Parysowiczu, tak długo, jak długo pan zechce. Niech się pan nie obawia, nie będę pana więcej zamęczać cikliwymi

rozmowami. Dobranoc.

Zinaida pokrzyżowała właściwie plany operacyjne Romanowa, który wróciwszy do siebie, nie myślał już o poważnych sprawach. Tylko o tym, jak to się mogło stać: Orłow i Kriukow są dla niego swoi, a Zinaida Gruzincewa, Zotow i Wienia obcy? Bzdura.

W koło Macieju

– Pieczęć Snabarmu[19] jest oryginalna. I tutaj też... – Orłow odłożył legitymację, wziął mandat uprawniający do podróżowania koleją. – Mają, dranie, swoich ludzi i w Radzie Obrony, i w Narkomacie[20] Komunikacji. Kiepska sprawa, Kriukow.

Asystent obejrzał dokumenty pod światło.

– Niech to szlag! Blankiety też są prawdziwe. W ubiegłym tygodniu wydrukowaliśmy ze znakiem wodnym!

Stojąc przy oknie, Romanow wypuścił smużkę dymu przez lufcik. Orłow nabawił się ostrego przeziębienia, zapach dymu papierosowego sprawiał, że zaczynał kaszleć. Minęła już połowa kwietnia, ale na razie nie zrobiło się cieplej.

– Jak głosi anegdota, wielmożny pan nie wie jeszcze wszystkiego – powiedział Aleksiej, przeganiając ręką siwy obłoczek. – Czego się dowiedziałem w tym tygodniu u Zotowa? Że Związek Obrońców Ojczyzny ma wszędzie agentów. Władza radziecka przyjmuje do urzędów kogo popadnie, bez żadnej kontroli. Jeden „związkowiec” ciągnie za sobą drugiego, a ten następnego. Aparat radziecki, czerwonoarmijne sztaby – wszystko jest robaczywe. Ilu byłych oficerów i urzędników przyjęliście do służby? Pięć tysięcy? Dziesięć? Sami pewnie nie wiecie. A zwłaszcza kto z nich jest wrogiem, a kto nie. Gdy zacznie się powstanie, ogień ogarnie wiele miejsc naraz.

– Co proponujesz? – ponuro zapytał Orłow.

Wprowadził w gabinecie innowację: przy ścianie stało żelazne łóżko przykryte wojskowym kocem. Członek kolegium

kwaterował teraz w miejscu pracy.

Aleksiej wyjawiał sedno swojego pomysłu, kończąc tak:

– Krótko mówiąc, trzeba namierzyć ich sztab. W pojedynkę będzie niełatwo, potrzebuję pomocników.

Orłow zaniósł się suchym kaszlem, potrząsając dłonią, co oznaczało: zaczekaj, zaraz się wykaszlę i powiem coś ważnego.

– Khe, khe. – Oczyszczył gardło. – My tutaj też nie marnowaliśmy czasu. Utworzyliśmy wydział agenturalny w celu inwigilacji i zbierania danych operacyjnych. Liczy już piętnastu pracowników, więc pomocnicy to żaden problem.

– Twoi gamonie zdadzą się na nic. Tylko się zdekonspirują i wszystko popsują. Zotow mówił, że w Związku Obrońców Ojczyzny jest specjalny organ zajmujący się bezpieczeństwem. Nazywa się sektor ochrony. W jego skład wchodzi profesjonaliści: dawni policjanci, żandarmi, pracownicy Ochrony. Im bliżej sztabu, tym surowsze środki ostrożności. Nie potrzebuję osób do obserwacji, tylko pomocników od środka.

– Jak to?

– Ano tak. Jestem teraz aktywnym członkiem ich kadry. Widzisz, jakie stanowisko mi przydzielili? Nadzwyczajny pełnomocnik Rady Obrony Robotniczo-Chłopskiej do spraw zaopatrzenia Armii Czerwonej. Czusosnabarm[21]. – Romanow z trudem wymówił nazwę funkcji. – Będę łącznikiem, w tym celu dostałem mandat. Ale to nie wszystko. Mam też prawo skompletować własną drużynę. Z dwóch osób. We trójkę, od środka, zrobimy więcej niż twoi zakichani „agenci”. Znajdą się u ciebie jacyś byli oficerowie wśród rozgarniętych pracowników?

– Jest Szwarz – przypomniał Kriukow. – Ten z wielkim nosem. Student. Był chorąży za Kiereńskiego.

– Słusznie, Osia to mądry chłopak. Ale skąd wziąć jeszcze jednego? – Orłow potargał bródkę. – Nie mamy więcej oficerów.

– Oddaj mi Kriukowa – poprosił nagle Aleksiej. – Powiem, że

spotkałem dawnego towarzysza broni, że walczyliśmy razem. Nie jest wprawdzie oficerem, ale mogę za niego ręczyć. Jak zechcą skontrolować, to wszystko prawda. Byliśmy razem na froncie.

Orłów znowu się rozkaszał, uderzył parę razy dłonią w pierś.

– Cwaniak z ciebie, Losza. Wykorzystujesz moją słabość. Odbierasz choremu zaufanego człowieka... Co ty na to, Kriukow? Zgadzasz się?

– Nie jestem panną na wydaniu, żeby mnie pytać o zgodę – odparł były gefrajter. – Tylko uważaj, nie zapominaj beze mnie o żarciu. I nie pchaj się na ulicę bez potrzeby. Bierz proszki, które przepisał ci lekarz.

– A zabieraj go w cholerę! – Orłów machnął ręką. – Przynajmniej odpocznę bez niańki.

*

Plan z pomocnikami spalił na panewce. Gdy Zotow usłyszał, że chodzi o chorążego Josifa Samuiłowicza Szwarca, od razu oświadczył, że do organizacji nie przyjmuje się Żydów. Odrzucił też gefrajtra Kriukowa – podoficerowie i szeregowi nie mają czego szukać w Związku. Takie zasady.

– Chciałem zrobić szybką karierę, ale nie wyszło – ponuro zażartował Aleksiej. – Nie sądzone mi zostać dowódcą...

Musiał odstąpić od pierwotnego zamysłu. Pozostawała praca w pojedynkę. Strategia się nie zmieniała, ale sprawa potrwa znacznie dłużej.

Strategię podpowiedziała struktura Związku. Wyśledzić cały łańcuch, ostrożnie, ogniwo po ogniwie, od dowódcy drużyny do dowódcy plutonu, od dowódcy plutonu do dowódcy kompanii, od dowódcy kompanii do dowódcy batalionu, i tak aż do samej góry. Byle tylko nie spłoszyć zwierzyny.

Zotowa nie trzeba było nawet śledzić. Iwan Klimientjewicz uważał już sztabskapitana za swojego człowieka i podał adres, pod którym można go zastać w razie potrzeby. Nawet się wygadał, że dwa razy w tygodniu, we wtorki i w piątki, spotyka się z dowódcą plutonu, żeby mu złożyć raport i odebrać rozkazy.

W najbliższy piątek Aleksiej po prostu „towarzyszył” podpułkownikowi po wyjściu z domu. Zotow posiedział na Patriarszych dziesięć minut na ławce z jegomościem Podkręcone Wąsy, tam Romanow przejął nowy obiekt. Ten zaś dojechał tramwajem do placu Krymskiego i wszedł do budynku magazynów prowiantowych, podpisawszy się w księdze wejść. Właśnie na podstawie podpisu został zidentyfikowany: księgowy Christofor Pietrowicz Bakszajew, zamieszkały w zaułku Dużym Uszakowskim. No jasne, księgowy – i trzyma się sztywno jak wojskowy.

Romanow nie odstępował „księgowego” przez trzy dni, jako że funkcja czusosnabarma nie wymagała obecności na służbie. Bakszajew spotkał się jeszcze z dwoma mężczyznami o wyraźnie oficerskiej aparycji, ale Aleksiej nie marnował na nich czasu. Kiedyś wysłuchał na kursie paru wykładów na temat dedukcji wzrokowej, bardzo przydatnego instrumentu w obserwacji. Nawet nie słysząc, o czym ludzie rozmawiają, można określić pewne rzeczy na podstawie objawów psychomotorycznych, to znaczy gestów i mimiki: przybliżony przedmiot i przebieg rozmowy, równowagę hierarchiczną i energetyczną. Ci dwaj stali w hierarchii niżej od Bakszajewa. Tacy sami dowódcy plutonów jak Zotow, to oczywiste. Ale w niedzielę w herbaciarni związku zawodowego pracowników medyczno-sanitarnych Podkręcone Wąsy usiadł przy stoliku z Wąsami w Podkowę, przy czym interpretacja jego zachowania była jednoznaczna: najpierw mówił niespokojnie, zaglądał rozmówcy w oczy (składa raport), później tak samo nienaturalnie słuchał, kiwając głową (otrzymuje rozkaz).

Wąsy w Podkowę okazał się lekarzem z pobliskiego szpitala wojskowego. Nazywał się Kiriłow i był niegdyś medykiem Lejbgwardyjskiego Pułku Kirasjerów. Na cholernego eskulapa, bez wątpienia dowódcę kompanii, poszło mnóstwo czasu, wyłącznie z powodu tępoty Aleksieja. Kiriłow nie kontaktował się z nikim, kto by przypominał dowódcę podziemia. Dopiero siódmego dnia, i to przypadkiem, Aleksiej podsłuchał pod drzwiami fragment cichej rozmowy, w której doktor powiedział do pracującego z nim felczera: „Tak jest, Karlu Pietrowiczu”. W dodatku Romanow codziennie widywał z bliska owego felczera, nazywał się wcale nie Karl Pietrowicz, tylko Prochor Iwanycz. Czyli że to on był dowódcą batalionu.

Poszcęściło mu się za to z następnym ogniwm. Tamtego dnia fałszywy Prochor Iwanowicz udał się do koszar Chamowniczkich i przespacerował wzdłuż ogrodzenia z dowódcą pułku imienia Komuny Paryskiej, towarzyszem Stadnisem. Na koniec rozmowy został życzliwie poklepany po ramieniu, z czego płynął wniosek, że Stadnis dowodzi pułkiem nie tylko u czerwonych, ale też u spiskowców.

Romanow zaczął mieć serdecznie dosyć tego biegania w kółko, zwłaszcza że Stadnis z racji oficjalnego stanowiska bez przerwy spotykał się z różnymi bezpośrednimi i pośrednimi dowódcami, tak więc każdego, kto dawniej był oficerem, należało sprawdzić. Wszyscy okazali się czyści.

Dopiero na demonstracji pierwszomajowej Aleksiej wreszcie namierzył dowódcę brygady. Gdy pułk imienia Komuny Paryskiej stał przed Muzeum Historycznym, czekając, aż będzie mógł wmaszerować na plac Czerwony, dowódca nagle podszedł do ulicznego szlifierza, żeby przypalić papierosa. Mężczyzna wyglądał jak żywe uosobienie Wyzwolonej Pracy: zgrzytał nożykiem po okrągłym kamieniu – salutował iskrami proletariackiemu świętu, a na niebieskim fartuchu widniała kokarda z kumaczu. Ale dowódca pułku, przypalając papierosa

od prostego skręta, wyjątkowo długo poruszał ustami, szlifierz zaś odparł krótko i ostro, po czym Stadnis ze skruchą kiwnął głową.

I od razu przestało być nudno. Gorąco, bardzo gorąco! To dowódca brygady. Zarzewie ognia jest całkiem blisko!

Aleksiej wiedział od Zotowa, że na najwyższym szczeblu spisek składa się z dywizji, to znaczy, że należało pokonać jeszcze tylko jeden stopień.

Interesujący szlifierz od razu po rytuale z papierosem przestał sypać iskrami i opuścił uroczystość, na której łopotwały czerwone sztandary – ruszył placem Teatralnym, a potem przez podwórza. Już w pierwszej bramie Romanow natknął się na porzucony kamień szlifierski. Tam też poniewierała się czerwona kokarda. Wyjrzawszy zza rogu, zobaczył, że mężczyzna zdejmuje fartuch, pod którym miał na sobie, jak się okazało, przyzwoity garnitur z czesuczy.

– Ach, wpadłeś, ptaszku, stój, nie wydostaniesz się z sieci. Za nic cię nie wypuszczę – podśpiewywał cicho myśliwy, przemieszczając się gwałtownymi, bezszelestnymi susami z jednej kryjówki do drugiej.

Dowódca brygady co chwila się oglądał, ale nieprofesjonalnie: po ruchu ramion i szyi można było odgadnąć, kiedy to robi. Na moście Kuznieckim zatrzymał pracownika firmy przewozowej numer pięćset siedemdziesiąt osiem, wołając: „Płacę za tempo!”. Dorożka potoczyła się ze stukotem w stronę Trubnej, ale to nie szkodzi. Rozgarnięty spiskowiec z pewnością zmieniłby środek transportu, zanimby dotarł na miejsce, ale po tych, pożał się Boże, konspiratorach nie należało się spodziewać podobnych subtelności.

Słusznie. Numer pięćset siedemdziesiąt osiem powiedział później czekistom, że zawiózł hojnego pasażera do narożnego domu przy ulicy Siemionowskiej i widział, jak ten wita się z dozorcą.

*

– Były podpułkownik Guszczyn, zameldowany pod własnym nazwiskiem – oznajmił wieczorem Orłow. – Moskwianin, długo nieobecny, do domu wrócił pod koniec marca. Bardzo możliwe, że został przysłany z Donu. Dozorca słyszał, jak wspominał żonie o Nowoczerkasku. To już duża ryba, Losza. Pozostał jeden stopień i wytropimy ich sztab. Błagam, nie pozwól im się wymknąć.

– Jak nie będziecie wchodzić mi w paradę, to się nie wymkną. Ale jest pewien szkopuł – powiedział zafrasowany Romanow. Udało mu się dotrzeć na Powarską dopiero późnym wieczorem, miał jednak ku temu powody. – Wyjeżdżam w delegację do Kazania. Jako łącznik. Z ważną wiadomością dla tamtejszej filii.

– Jakiej znowu filii? – zapytał Kriukow.

– Odbyłem dziś rozmowę z Zotowem. Paskudną. – Aleksiej westchnął. – Okazuje się, że Związek ma filie w paru miastach. W wyznaczonym dniu wszędzie wybuchnie powstanie. Właśnie w tym celu wysyłani są kurierzy z Moskwy. Wybrano mnie, bo jestem byłym kontrwywiadowcą, mam doświadczenie w pracy konspiracyjnej. W Kazaniu muszę codziennie od dziewiątej do dziewiątej piętnaście stać pod zegarem dworcowym. Prędzej czy później ktoś do mnie podejdzie, poda hasło. Zotow nie wie, ilu jeszcze kurierów jedzie do innych miast.

Orłow się zachmurzył.

– Gdzie wiadomość?

– Tutaj. – Romanow wyciągnął tekturowe pudełko. – Zapisana na dnie, pod zapałkami.

Członek kolegium i jego asystent, głowa przy głowie, wlepili oczy w kombinację cyfr.

– Zaszyfrowane, psiakrew! – zaklął Kriukow.

– A co myślałeś?

Aleksiej chciał ich jeszcze trochę podręczyć, z satysfakcją

puszczając kóleczka dymu, ale Orłów szybko go rozgryzł.

– Po twojej zadowolonej gębie widzę, że już wiesz, co znaczą te cyferki. No?

– Właśnie dlatego siedziałem do późna. Nie spodziewałem się, że Związek Obrońców potrafi być tak wyrafinowany. To szyfr matematyczny w systemie Chase'a, używany przez Anglików. W szesnastym roku zajmowałem się razem z nimi sprawą niemieckiej łodzi podwodnej, tylko dlatego go złamałem. Musiałem nad nim poślęczyć, ale się udało.

– Co tutaj jest napisane?

– Tylko dwa słowa. „Pierwszy czerwca”.

Kriukow znowu zaklął. Zawisła złowieszcza cisza.

– Daj papierosa, Romanow! – poprosił Orłów.

– Nie wolno ci, znowu dostaniesz ataku kaszlu – powiedział asystent.

Tym razem członek kolegium bluznął przekleństwami.

– ...! Pozostał miesiąc, a my jeszcze nie namierzyliśmy ich centrali! A ty wyjeżdżasz! Co mamy robić? Zająć się Guszczynem bez ciebie?

– W żadnym razie. Lepiej wyślij kogoś pod moim nazwiskiem do Kazania. Zadanie nie jest trudne. Przekaze pudełko i koniec.

– Nie, tak nie można. – Orłów ze złością przeczesał palcami włosy. – Tam też jesteś potrzebny. W Kazaniu przechowujemy zapas złota republiki. Jeśli wybuchnie bunt i złoto przejdzie w ręce wrogów, to będzie dla nas katastrofa. Jedź, Losza. Musisz nie tylko przekazać szyfr, ale wywęszyć ich organizację. Towarzysze z Kazania dokończą robotę, ale naprowadź ich na ślad. I szybko z powrotem. Będę na ciebie czekał, jak kochanek na upragnioną godzinę schadzki. Guszczyna zostawimy na razie w spokoju. Słowo.

Romanow pojechał więc do Kazania. Został tam do dwunastego maja i zdążył zrobić o wiele więcej, niż tylko „wywęszyć” miejscową organizację Związku. Dotarł do samego

jądra spisku. Jego struktura nie była tak rozważna jak w Moskwie, wszystkie nici prowadziły do sztabu garnizonu. Aleksiej namierzył jednego z przywódców, zastępcę naczelnika sztabu Linca, musiał jeszcze tylko zidentyfikować pozostałych, ale dwunastego nadszedł pilny telegram od Orłowa z rozkazem natychmiastowego powrotu.

Do stolicy Romanow jechał jak ważny komisarz ludowy – wagonem specjalnym bez żadnych pasażerów. Mijane pociągi, a nawet eszelony wojskowe go przepuszczały, więc zatrzymywano się tylko po to, by uzupełnić zapas węgla. Za każdym razem Romanow musiał wysyłać telegram ze stacji: „Minąłem Ibresi”, „Minąłem Murom”.

Do Moskwy przybył trzynastego. Orłow po niego wyjechał. Rozmówili się w aucie. Członek kolegium od razu przerwał Romanowowi, gdy ten zaczął narzekać, że nie pozwolono mu rozplątać do końca kazańskiego kłębka.

– Niech towarzysze zatrzymują tych, których namierzyłeś, pal diabli resztę. Nie ma teraz czasu na Kazań. Uwijamy się tutaj jak w ukropie.

Nie uśmiechał się i nie żartował – nie przypominał samego siebie.

– Informacje o Związku Obrońców Ojczyzny napływają zewsząd. Nie tylko w Moskwie, ale też w Kałudze, Jarosławlu i Tule zatrzymujemy każdego kontrrewolucyjnego łajdaka – kto ma za długi język albo wpadnie przez głupotę. I za każdym razem nic się urywa. To znaczy, że Związek ma coraz więcej filii. A ile jest miast, o których nic nie wiemy? Siedzimy na beczce z prochem, Losza. Trzeba jak najszybciej wyrwać zapalnik, a on jest w Moskwie. Więc bierz się do roboty i zamknij sprawę Guszczyzna.

Romanow przeciągnął się, odchylił na miękkim siedzeniu. Od Muromia do samej Moskwy spał jak zabity, jeszcze nie do końca się rozbudził.

– Nie martw się, do pierwszego czerwca jest trochę czasu. – Ziewnął. – Nie ma powodu robić zamieszania. Będziemy się mieli z pyszna, gdy spiskowcy odkryją, że ich śledzimy. Wtedy mogą uderzyć przed czasem, później dojdzie do samozapłonu w innych miastach. Nie poganiaj, Orłow. Dobry dżokej nie denerwuje wierzchowca przed startem. Zaraz wpadnę do domu, wezmę gorącą kąpiel, napiję się herbaty, a potem wyjdę na hipodrom i zdobędę dla ciebie nagrodę.

Orłow nieco się uspokoił.

– To dobrze, że nie tracisz humoru. Są dwa rodzaje wesołków: mądrzy i głupi. Wiesz, jak odróżnić jednych od drugich?

– Jak? – Aleksiej się uśmiechnął.

– Mądrzy jeżdżą autem, a głupcy chodzą piechotą. Wynos się z samochodu.

Jakże by inaczej? Nie pojedzie przecież czekistowskim packardem do zaułka Trubnikowskiego.

*

– Chwileczkę, Wienia! Włożę szlafrok! – krzyknęła z głębi mieszkania Zinaida Andriejewna, gdy Romanow zadzwonił w umówiony sposób.

Brzęknął łańcuch.

Pani domu miała włosy owinięte ręcznikiem. W głosie przestraszonych, a może zakłopotanych.

– To pan?!

Aleksiejowi nie udało się zatrzymać wzroku, który ześliznął się w dół, tam gdzie w rozcięciu szlafroku połyskiwały krople wody na różowej skórze. Zmieszał się, wbił oczy w podłogę, tam jednak, pod szlafrokiem, białe nogi. Musiał podnieść głowę. Poczł zapach świeżo umytych włosów i jeszcze czegoś słodkiego, od czego zapierało dech w piersiach.

– Jestem, wróciłem... – powiedział, nie potrafiąc wymyślić niczego sensowniejszego.

Przez cały czas od tamtej pierwszej rozmowy ani razu nie byli tak blisko siebie. Gruzincewa chyba unikała lokatora. Widocznie widziała, że czuje się przy niej niezręcznie. Co prawda Romanow prawie nie bywał w mieszkaniu, znikał na całe dni, uganiał się za spiskowcami. Gdy wracał, w gabinecie na biurku czekała nakryta serwetką kolacja. Rano, bez względu na to, o której wstał, z salonu dobiegał stukot maszyny do pisania. Śniadanie w kuchni jadł sam albo, gdy nie miał szczęścia, z junkrem. Przebywanie z chłopcem, którego los był przesądzony, było mu nie na rękę, ale Wienia, w odróżnieniu od siostry, nie wyróżniał się wrażliwością, więc ogromnie się cieszył, gdy siadali razem do stołu. Od razu zaczynał opowiadać o swoim pasjonującym podziemnym życiu. W końcu przyjęto go do trzyosobowej drużyny i został jej pełnoprawnym członkiem! Otrzymał bardzo ważne zadanie, niezwykle poufne, ale panu sztabskapitanowi może powiedzieć! Pojechał za miasto, na strzelnicę, i zdobył czterdzieści dwa oczka na pięćdziesiąt!

Ogólnie rzecz biorąc, junkier działał mu na nerwy. Za to gdy Romanow wpadał na Zinaidę Andriejewnę, wymiana zdań była niedługa. „Dzień dobry, czuję się doprawdy niezręcznie, że pierze pani moje rzeczy”. „Co też pan mówi, to żaden kłopot, jestem przyzwyczajona”. „Proszę, oto kartki żywnościowe na tydzień”. „Naprawdę nie trzeba, niczego nam nie brakuje”. Oto i cała rozmowa.

Tym dziwniejsze było milczenie, które teraz między nimi zawisło. Zinaida Andriejewna stała, zasłaniając wejście, patrzyła mu prosto w oczy, jej uchylone wargi drżały.

– Sądziłam, że już pana nie zobaczę – powiedziała i głos też jej drgnął. – Tak nagle pan przepadł. Iwan Klimientjewicz przestał się pojawiać. Wienia nic nie wie. Najpierw się obraziłam, no bo jak to, nawet się pan nie pożegnał. A potem widzę, że została

część rzeczy. Boże, myślę, coś mu się stało! Jedenaście dni!

– Dostałem pilne zadanie od Iwana Klimientjewicza. Nie przychodził, bo wiedział, że mnie nie ma. A nie pożegnałem się, wyjeżdżając, bo nikogo nie było w domu. Nie mogłem zostawić kartki, to się kłóci z zasadami konspiracji. Najmocniej panią przepraszam. – Romanow stropił się, widząc łzy w jej oczach. – Nie przypuszczałem, że moja nieobecność wytrąci panią z równowagi...

– To ja pana przepraszam. – Zinaida Andriejewna zreflektowała się. – Trzymam pana na progu. I jestem nieubrana! Całkiem się opuściłam bez mężczyzny w domu.

Owinęła się szczelnie szlafrokiem, zasłoniła dekolt. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nie wytrzymała, chlipnęła, ze złością machając ręką.

Ruszyła korytarzem, odwróciła się jednak po paru krokach.

– Ma pan na mnie dziwny wpływ, Aleksieju Parysowiczu. Jak cebula. A przecież rzadko płaczę. – Otarła łzę, usiłując się uśmiechnąć. Przez chwilę stała, jakby czekając, aż on coś powie.

Romanow milczał. Nawet nie wszedł do łazienki, która pewnie przesiąkła demobilizującym zapachem. Niczego też nie zjadł. Rzucił tylko torbę podróżną i udał się na ulicę Siemionowską. Obiecał sobie, że jeszcze rzadziej będzie się pokazywał w Trubnikowskim. Operacja zbliża się do etapu, na którym wykonawca musi być maksymalnie skoncentrowany. Nie pora na wyrzuty sumienia.

19 Snabarm (*Otdiel snabženija armii*) – Wydział Zaopatrzenia Armii (przyp. tłum.).

20 Narkomat (*Narodnyj komissariat*) – Komisariat Ludowy (przyp. tłum.).

21 Czususnabarm (*czriezwyčajnyj upołnomoczennyj Sowjeta raboczej i kriestjanskoj oborony po snabženiju Krasnoj armii*) (przyp. tłum.).

Niespodzianka

Jedyną rzeczą, którą Romanow powierzył moskiewskim czekistom, było przygotowanie kryjówki, tak zwanej czatowni. Tym terminem, używanym w polowaniu na dzika albo wilka, kontrwywiadowcy nazywają punkt obserwacji stacjonarnej. Orłow powiedział, że naprzeciwko domu, w którym mieszka „dowódca brygady” Guszczyń, wynajęto mieszkanie z telefonem. A na wypadek gdyby obiekt, tak jak ostatnim razem, wziął dorożkę, przygotowano rower.

Aleksiej był zadowolony z mieszkania. Widział stąd nie tylko bramę domu Guszczyń, mógł nawet zajrzeć przez okna. W kuchni czekały zapasy papierosów i żywności – chleb, kiełbasa, puszka herbaty.

Jednakże nikt nie pracuje sam w czatowni. Potrzebny jest partner, bo inaczej nie można ani się umyć, ani pójść do ubikacji.

Zatelefonował na Powarską.

– Orłow, przyślij mi na Siemionowską tego twojego chorążego. Jak mu tam, Szmidt?

– Szwarc. A jednak doceniłeś pracę kolektywną, dzikusie. Czekaj. Nie będziesz się nudził z agentem Szwarcem, obiecuję.

Chorąży, nawet jeśli z naboru Kiereńskiego, skończył przynajmniej kurs oficerski. A więc potrafi jako tako tworzyć schematy, prowadzić zapisy ewidencyjne, umiejętnie posługiwać się lornetką – żeby odblaski światła nie zdemaskowały obserwowanego. No i jest studentem, a nie proletariuszem, z którym nie da się sensownie porozmawiać. Cholera wie, ile trzeba będzie tutaj tkwić.

Szwarc pojawił się już godzinę później, lecz jego wygląd rozczarował Aleksieja. Byłoby lepiej, gdyby okazał się proletariuszem. Przejaskrawiony Żyd z czarnosecinnej karykatury: z wydatnymi ustami i nosem, burzą drobnych loków, na dodatek w binoklach. Przynajmniej nie sepleni, choć jego rozwlekły sposób wysławiania się razi ucho mieszkańca Petersburga.

– Pan jest tym sławnym asem wywiadu? – zapytał nowy pomocnik, sceptycznie lustrując Aleksieja. – Bardzo mi miło.

– Jeszcze zobaczymy, czy miło – odparł Romanow, ignorując wyciągniętą rękę.

Dobrze znał ten typ inteligenta. Wystarczy się spoufalić, a od razu wejdzie na głowę, zacznie manifestować, jaką to jest nieprzeciętną i unikalną jednostką. Ale jeśli założyć mu wędzidło – nada się, za to będzie się starał.

Krótko i sucho wyjaśnił, co trzeba robić i jakie są zasady obserwacji.

Szwarc wysłuchał z odrazą. Powiedział półgłosem:

– Prymityw i antysemita. No i pal go sześć.

– Co?! – zdumiał się Aleksiej.

Partner wyjaśnił uprzejmie:

– Niech pan nie zwraca uwagi. Mówię do siebie. Taki nawyk.

A więc okazało się, że z agentem Szwarcem rzeczywiście nie grozi nuda. Nawiasem mówiąc, obserwację prowadził nienagannie. Stał przy oknie w cieniu. Wyciął w tiulowej firance otwory na lornetkę. Nie kręcił głową, nie odrywał wzroku. Tylko przez cały czas nucił dość paskudnym falsetem, jakby nikogo prócz niego nie było w pokoju. Pieśni miały przeciągłą, dziwną melodię i całkiem niezrozumiałą treść.

– Co to za język? – zapytał Romanow, który z braku zajęcia rozłożył i zaczął oliwić swojego nagana.

– Starohebrajski. Jestem Żydem, jeśli się pan nie domyślił – złośliwie odparł Szwarc, nie odrywając oczu od lornetki. –

Nawiasem mówiąc, nie wiem, czy to pana zainteresuje, ale w przedpokoju zapaliło się światło. Widzę mężczyznę wkładającego melonik. Zbiera się do wyjścia.

Aleksiej w dziesięć sekund złożył rewolwer, rzucił się do drzwi.

– Prowadzić dalej obserwację! Zapisywać wszystkich, którzy się pojawiają.

Zbiegł ze schodów. Ostrożnie wyjrzał przez frontowe drzwi. Guszczyn akurat wychodził na ulicę. Podniósł kołnierz, lekko się wzdrygnął (siąpił deszcz). Ruszył w stronę placu Tagańskiego.

Romanow deptał mu po piętach do wieczora. Mężczyzna odbył trzy spotkania, wszystkie krótkie: dwa z nieznanymi, trzecie znowu ze Stadnisem. Obserwacja psychomotoryczna wykazała, że jest przełożonym dla wszystkich trzech rozmówców. A więc dowódcy pułków. Nie o to chodzi.

Aleksiej wrócił o zmierzchu. Partner wciąż siedział z lornetką przy oknie, obejrzał się mimochodem, skrzywił, nic nie powiedział. Obok leżała kartka. Romanow zajrzał.

16.45 – Dozorca. Wyszedł po 4 min.

17.12 – Listonosz. Prawdziwy. 1 min.

18.50 – Łącznik. Stały. Wzrost ok. 6 st., szczup., lekko ut. na lew. nogę. 1 min.

– Domyślam się, jak pan stwierdził, że listonosz jest prawdziwy. To oczywiste, roznosił pocztę również do innych mieszkań. Ale skąd pomysł, że kuternoga był łącznikiem, na dodatek stałym?

– Wszedł z gazetą, a wyszedł bez – burknął Szwarc. – W gazecie łatwo ukryć szyfr. Pocałował panią domu w rękę, rzucił coś krótko i od razu się pożegnał. Więc to nie pierwszy raz.

– Chyba mi się poszczęściło z partnerem. – Romanow się uśmiechnął i zanucił fragment zapamiętanej pieśni Szwarca. – *Shaalul shalom, shaalul shalom, Yerushalayim.*

Szwarc obejrzał się jeszcze raz, teraz z ciekawością.

Skonstatował:

– Nie prymityw i chyba nie antysemita. No to jak, zawrzemy znajomość? Na imię mi Osia.

Dzięki rozmowie służba przestała się dłużyć. Josif Szwarc był dawniej studentem Moskiewskiej Szkoły Technicznej. Do siedemnastego roku nie walczył, bo dostał białą książeczkę wojskową[22].

– Dlaczego mam umierać za rosyjskiego cara? My, Żydzi, zazналиśmy od Rosji i Romanowów niewiele dobrego, za to dużo złego. Byłem syjonistą. Myślałem, że jak dostanę dyplom, wyjadę do Palestyny. Niech Rosjanie żyją jak chcą, a my, Żydzi, musimy budować swoje państwo. Ale po lutowej wszystko się zmieniło. Rozglądam się wokół i podoba mi się. Ej, myślę, skoro nie ma już strefy osiedlenia i dyskryminacji, po co wyjeżdżać? Przydam się tam, gdzie się urodziłem.

– Dlatego wstąpiłeś do wojska?

– Do wojska wstąpiłem z powodu Mirkina.

– Kogo?

– Nie wiesz, kto to jest Mirkin? – zdumiał się Szwarc. – Myślałem, że wszyscy go znają. Chociaż oczywiście do niedawna „wszyscy” oznaczało dla mnie „wszyscy Żydzi”. Lew Mirkin to przewodniczący Rady Żydowskich Bojowników. Huzar, za zasługi wojenne odznaczony Wstęgą Świętego Jerzego, ale przed lutową był szeregowym ochotnikiem, bo Żydów nie awansowano na oficerów. Za to w siedemnastym, gdy zniesiono zakaz, w parę miesięcy dorobił się stopnia rotmistrza. Ubiegłej wiosny występował przed młodzieżą syjonistyczną, przekonywał, żeby nie wyjeżdżać, mówił, że naszą ojczyzną jest Rosja, a ojczyzny nie zostawia się w ciężkich czasach. Wystąpienie mi się spodobało. Wyrzuciłem więc białą książeczkę, skończyłem uczelnię, trafiłem na front. Ale w okopach szybko poszedłem po rozum do głowy. Gdy wszyscy są razem, jeden obok drugiego, i lada chwila każdy może zginąć albo zostać okaleczony, zaraz nasuwa się wniosek,

że to nieważne, kto jest Żydem, a kto nie. Liczy się tylko to, kto jest odważny, a kto tchórzliwy, komu można zaufać, a komu nie.

Romanow skinął głową. Wiedział, jak to bywa. A potem, prędzej czy później, spotyka się swojego Orłowa, który tłumaczy, jak wygląda prawda – jeżeli do tej pory człowiek sam jeszcze nie pojął.

– Co przede wszystkim sobie uświadomiłem? Że chociaż Mirkin jest bohaterem, nie ma racji. Ojczyznę nie jest Rosja ani Izrael, ale cała ziemia. Dopóki wszędzie nie będzie dobrze, ani w Rosji, ani w Izraelu też nie będzie dobrze. To jest najważniejsza prawda na świecie. W ten sposób zostałem bolszewikiem internacjonalistą – zakończył Szwarc z powagą.

– Ale nadal pozostałeś Żydem. Śpiewasz pieśni, demaskujesz antysemitów.

– Czy kaczka może przestać być kaczką, tylko dlatego że jest ptakiem? – Dawny chorąży wzruszył ramionami. – To wspaniałe, że jestem Żydem. Rewolucja światowa potrzebuje Żydów. Bo zamieszkujemy wszystkie kraje. Jesteśmy jak cement, który wszystko wiąże. Albo nie, jesteśmy jak przewody elektryczne, którymi popłynie prąd i wszędzie zapali się światło... Oj, światło naprzeciwko zgasło. Kładą się spać. Może my też odpoczniemy? Jest trzecia w nocy.

– Ja odpocznę, bo jutro pewnie znowu będę się uganiał po mieście. A ty siedź i obserwuj.

*

Aleksiej miał wrażenie, że ledwie zamknął oczy, gdy coś go musnęło w czoło. Poderwał się z tapczanu – w twarz uderzyła jeszcze jedna zmięta kartka.

Przez okno sączył się świt.

– Pobudka – cicho powiedział Szwarc, odrywając wzrok od

lornetki. – W przedpokoju pali się światło. Obiekt wkłada kapelusz.

Romanow już wciągał buty.

– Która godzina?

– Dwadzieścia po czwartej.

Dokąd to Guszczyń wybiera się o tak wczesnej porze? Musi mieć ważny powód.

– Możesz się przespać, jak mnie nie będzie – krzyknął Romanow już z korytarza.

*

Obiekt nie zachowywał się tak jak wczoraj. Co dziesięć kroków się odwracał. Widocznie sprawa jest poważna. Wczoraj spotkał się z podwładnymi, dzisiaj idzie do przełożonego – to logiczne.

Gorąco, gorąco!

Zabawne środki ostrożności stosowane przez Guszczyńa nie stanowiły, rzecz jasna, problemu dla Aleksieja. Na pustej ulicy można się trzymać w bezpiecznej odległości, a przemieszczać skokami, od ukrycia do ukrycia.

Dotarli do Taganki, gdzie Romanow początkowo nie miał szczęścia. Że też musiało się zdarzyć coś takiego! Zza rogu nagle wyjechała dorożka; лихо wie skąd się wzięła o tak nieludzkiej porze. Guszczyń machnął ręką, wsiadł. Oto kiedy przydałby się rower!

Opatrzność ulitowała się jednak nad Romanowem. Fiakier zapytał dźwięcznym głosem, który niósł się daleko w porannej ciszy:

– Do Strastnego? Dowieziemy!

Powóz potoczył się w dół Ziemiańskiego Wału.

Jakieś pięć minut później Romanow też znalazł dorożkę. Fiakier nie chciał wziąć pasażera – kończył zmianę, ale Aleksiej,

nie mając przy sobie legitymacji, pokazał mu nagana. Argument poskutkował.

Popędzili co koń wyskoczy, i to krótszą drogą – przez Jauzę i dalej bulwarami. Dlatego Romanow znalazł się wcześniej na placu przed monasterem Strastnym i przez parę minut chował się za samotnym nadąsanym Puszkinem, zanim na rogu przy drukarni Sytina zatrzymał się znajomy powóz.

Później Guszczyń dość długo kluczył zaułkami, bez przerwy się oglądając. Romanow chodził za nim jak cień. W końcu obiekt stanął naprzeciwko dużej kamienicy. I na coś albo na kogoś czekał. Była czwarta pięćdziesiąt dwie.

Równy o piątej z domu wyszedł sztywny jakby kij połączony mężczyzna w kraciastym kepi. Guszczyń podszedł doń, unosząc melonik. Nieznajomy skinął głową, pierwszy podał rękę. Bez wątpienia dowódca.

Romanow omal nie gwizdnął.

Spiskowcy ruszyli wolnym krokiem w jego stronę. On tymczasem wpadł do najbliższej bramy i wtopił się w ścianę. Minęli go w odległości najwyżej pięciu kroków.

– ...liczebność rośnie, a przydzielona kwota się nie zmieniła – pośpiesznie mówił Guszczyń. – Stadnisa to nie dotyczy, jego ludzie są na garnuszkach władzy radzieckiej, ale Bierdnikow i Tyszkiewicz znaleźli się w trudnym położeniu.

– Dobrze. Poruszę problem finansów w sztabie. I to zaraz, bez zwłoki.

Dowódca dywizji miał wyrazisty profil, jakby wykuty w spiżu. Wąsiki wystrzyżone w wąski pasek. Niczego więcej Romanow nie zdążył dojrzeć.

Postanowił, że policzy do dwudziestu i dopiero potem wystawi głowę – nie daj Boże narwany Guszczyń akurat się obejrzy i zauważy. Później uznał, że bezpieczniej będzie policzyć do trzydziestu.

Los go ustrzegł, nie inaczej.

Przy liczbie „dwadzieścia siedem” obok kryjówki bezszelestnie prześliznął się jakiś jegomość w szarym płaszczu i w płóciennej szarej czapce z daszkiem.

Co to ma znaczyć?

Romanow wychylił się odrobinę, bardzo ostrożnie, po czym znowu się schował.

Szary poderwał rękę do oczu, że niby zerka na zegarek, ale nieco wyżej, niż należało. Znajomy gest. Tajni agenci sprawdzają w ten sposób, czy nie są śledzeni. Dlatego szkiełko w zegarku jest lustrzane. WCzK nie ma na etacie takich mądrali. Wniosek? Za dowódcą dywizji snuje się osobisty ochroniarz, dobrze przeszkolony.

Śledzenie stało się ryzykowne. Profesjonalista prędzej czy później zauważy. Niespodzianka. Arcynieprzyjemna.

22 Białą książeczkę wojskową (ros. *bielyj bilet*) otrzymywały osoby niezdadne do służby z powodu zdrowia. Po rewolucji również nieprawomyślne, do których państwo nie miało zaufania i kierowało je na tyły. (przyp. tłum.).

Wóz albo przewóz

Aleksiej postanowił jednak pochodzić za ciekawą trójcą, póki nie skończą się ciasne zaułki. Na szerokiej ulicy albo na placu będzie musiał, rzecz jasna, puścić ich wolno. Ech, szkoda!

Po jakichś pięciu minutach Guszczyn pożegnał się z dowódcą dywizji. Mężczyzna o spiżowej twarzy ruszył dalej sam – jeśli nie liczyć cienia towarzyszącego mu w pewnej odległości. Ochroniarz trzymał się ze dwadzieścia metrów z tyłu, po przeciwnej stronie ulicy, i wciąż zerkał na boki, nie zapominając sprawdzać też drogi za sobą – a to popatrzy na zegarek, a to na witryny sklepowe.

Aleksiejowi nie w smak było wypuścić taką zdobycz. Wpadła mu do głowy pewna myśl, ale tak zuchwała, że najpierw machnął ręką – bzdura. Jednakże myśl nie przestawała go nękać i uporczywie powracała.

Spiżowy powiedział do Guszczyna: „Poruszę problem w sztabie. I to zaraz, bez zwłoki”. To znaczy, że idzie na posiedzenie sztabu. Jakiego – wiadomo. Jest więc okazja, żeby się dowiedzieć, gdzie zbiera się kierownictwo Związku, może uda się też ustalić jego skład.

Ryzyko jest oczywiście wielkie. Ale w razie sukcesu nagroda też będzie wielka.

Z przodu między domami pojawił się szeroki prześwit – jakaś duża ulica. Tam będzie musiał zostawić Spiżowego.

Raz kozie śmierć.

Akt pierwszy: komedia z przebieraniem się.

Aleksiej przestał się ukrywać, wprost przeciwnie, z tupotem

pobiegł prosto ku Szaremu. Chwila była znakomita – dowódca dywizji już skręcił za róg, a ochroniarz jeszcze był w zaułku.

Szary, rzecz jasna, się odwrócił, wprawnie zlustrował nadbiegającego mężczyznę, kierując się rutyną właściwą każdemu profesjonalście: twarz, ręce, obuwie. Na podstawie tego ostatniego można często zidentyfikować ogon. Dla niepoznaki tajni agenci zmieniają nakrycie głowy albo wywracają na lewą stronę wierzchnią odzież, ale zmiana butów wymaga zachodu. Jeśli nagle się okaże, że robotnik ma na nogach przyzwoite trzewiki, wiadomo, że to maskarada.

Wywodzi się z Ochrony, a nie z żandarmerii, wydedukował Aleksiej (on też, w biegu, otaksował obiekt od stóp do głów, a jakże). Z bliska rzucał się w oczy charakterystyczny niedźwiedzi chód Szarego; z takim płaskostopiem nie przyjęto by go do Korpusu Żandarmerii.

– Masz zegarek, bracie? Która godzina? – krzyknął Romanow, jakby zamierzał przebiec obok. – Zaspałem do roboty, szlag by trafił!

Ochroniarz nie dopatrywał się niczego podejrzanego w śpieszącym mężczyźnie i podniósł rękę z zegarkiem. Romanow ją chwycił, wykręcił za plecy, lewym ramieniem założył nelsona, przydusił tętnicę szyjną, przytrzymał zwiotczałe ciało.

Wszędzie cicho.

Z tyłu pusto. Nikt nie wygląda przez okna.

Zawłókł bezwładne ciało do najbliższej bramy. Ściągnął szary płaszcz i go włożył. Nie zapomniał też o czapce z daszkiem. Dla pewności walnął ochroniarza pięścią w skroń – żeby za szybko się nie ocknął.

I w pogoń.

Dowódca dywizji zdążył odejść niezbyt daleko, ze sto metrów. Na wszelki wypadek Aleksiej zwiększył nieco dystans i zsunął daszek na twarz.

Parę razy – najpierw na placu Nikitskije Worota, później na

bulwarze koło siedzącego kamiennego Gogola – obiekt oglądał się ukradkiem, ale chyba nie zauważył zamiany.

Aleksiej niezbyt dobrze znał starą, a raczej teraz nową stolicę, ale miejsce, gdzie kończył się bulwar, było popularne – stał tam Sobór Chrystusa Zbawiciela z masywną kupiecką kopułą. Obiekt zatrzymał się na środku placu, jakby coś sobie przypominał. Potem nagle się obrócił i władczy gestem przywołał Romanowa.

Zaraz nastąpi akt drugi: komedia pomyłek.

Odległość malała i z każdym krokiem surowa twarz Spiżowego przybierała inny wyraz: lekkie zdziwienie – konsternacja – niepokój.

– Nie znam pana – powiedział, a jego ręka powędrowała do kieszeni.

– Jestem od niedawna w organizacji – cicho odparł Romanow.
– Sektor ochrony też się rozrasta.

Skoro mają sektor ochrony, słuszne wydaje się założenie, że odpowiada za bezpieczeństwo kierownictwa.

Ręka opuściła kieszeń, zawisła w powietrzu.

– A gdzie się podział Ryczkow?

– Dostałem rozkaz, żeby go zmienić.

Dłoń wysunęła się do przodu.

– Pułkownik Mierkurow.

– Wiem, kim pan jest. – Aleksiej nieznacznie się uśmiechnął, z szacunkiem odpowiadając na uścisk dłoni. – Nazywam się Romanow. Dlaczego mnie pan zawołał? Instrukcja tego zabrania. Ludzie patrzą.

Na schodkach soboru już siedzieli pierwsi żebracy, chociaż do jutrzni było jeszcze daleko.

– Wiem. Mam pilne zadanie. Zatrzymam się dłużej w ambulatorium. Zamiast szwendać się bez celu przed budynkiem, niech pan lepiej wróci do mojego mieszkania i poprosi żonę o niebieski notes. Zostawiłem go w przedpokoju.

Zna pan hasło, a żona nazywa się...

– Wiem – przerwał Romanow. – Zrozumiałem.

I nie ruszył się z miejsca.

– Niech pan wykona rozkaz.

– Najpierw odprowadzę pana na miejsce.

– Przecież to dwa kroki stąd. – Mierkurow kiwnął głową w stronę Ostożenki. – Sam dojdę, nie potrzebuję przyzwoitki. A notes mi się przyda.

– Jestem wojskowym. Instrukcja to instrukcja.

Mierkurow nie wdał się w dyskusję, tylko zaklął. A więc sektor ochrony jest niezależny, wywnioskował Aleksiej. Nie podlega dowódcy dywizji.

– W takim razie chodźmy razem. Po co te komedie?

Ruszyli.

– Pan też jest dawnym pracownikiem wydziału Ochrony, jak Ryczkow?

Aleksiej burknął z urazą:

– Pracowałem w kontrwywiadzie wojskowym.

– Przepraszam. – Mierkurow lekko się speszył. – Jest pan oficerem?

– Sztabskapitanem.

– Ależ Wasilij Wasiljewicz mnie ceni. Pochlebia mi to – z roztargnieniem wymamrotał mężczyzna i umilkł na długo, pogrążając się w myślach.

Romanow szedł pół kroku za nim i podobnie jak niedawno Szary, obserwował okolicę: lewo, prawo, tył; lewo, prawo, tył.

Minęli mały monaster z czerwonymi murami, znaleźli się na niedużym skwerze.

– Do diabła, jestem ostatni – powiedział Mierkurow. – Wszyscy już są.

Na skwerku siedziało i przechadzało się... raz, dwa, trzy, cztery, pięciu mężczyzn. Byli inaczej ubrani, ale tak samo się obrócili, a zaraz potem odwrócili. Każdy trzymał się przy tym

osobno, jak gdyby był sam.

To też ochroniarze, bez dwóch zdań, stwierdził Romanow.

– Wystarczy, sztabkapitanie. Odprowadził mnie pan na miejsce, niech pan zasuwa po notes. Proszę poszukać dorożki. A ja pójdę się poleczyć.

Mierkurow ruszył w kierunku niewielkiej piętrowej willi z mansardą, na której wisiała tabliczka „Ambulatorium”. Bardzo dogodne miejsce na konspiracyjne spotkanie, ocenił Romanow. Każdy może przyjść, nie wzbudzając podejrzeń.

Przespacerował się chodnikiem, czując na sobie bystre, czujne spojrzenia pozostałych. Napotykając ich wzrok, mrużył lekko oczy, jak robią ludzie tajnych służb, gdy chcą niepostrzeżenie się przywitać.

Później, zakławszy pod nosem, a nawet uderzywszy się w czoło, szybko ruszył ku wejściu. Niech myślą, że ma zamiar dogonić Mierkurowa.

W poczekalni przy ścianie stały krzesła dla pacjentów, a przy biurku, pod plakatami na temat wszawicy i syfilisu, siedziała siostra miłosierdzia. Niemłoda, z jędzowatą, wcale nie miłosierną gębą, w płóciennym czepku z czerwonym krzyżem.

Dwoje drzwi – jedno po lewej, drugie po prawej stronie.

– Pan do kogo? Do doktora Ananiewa czy Zossa?

Jeden jest lekarzem, pewnie dla kamuflażu przyjmuje zwyczajnych pacjentów, a drugi to ten właściwy, pomyślał Romanow. Ale który?

– Niech pani nie pyta głupio – powiedział gniewnie. – Do kogo mogę przyjść o szóstej rano? Jestem z Mierkurowem.

Kobieta w milczeniu machnęła głową w lewo.

Korytarz. Na końcu jeszcze jedno drzwi. Słysząc zza nich głosy.

Romanow westchnął głęboko. Głośno zapukał. Głosy umilkły.

No to akt trzeci: wóz albo przewóz.

Kwarantanna

Gabinet jak gabinet: szklane szafy, dyplom w ramce, umywalka z lustrem. W środku sześciu. Jeden, pewnie doktor (Ananjew czy Zass?), siedział przy biurku, czterej, łącznie z Mierkurowem – na krzesłach wzdłuż ścian, i jeszcze jeden, stał za plecami domniemanego doktora. Na razie nie było czasu, żeby się im przyglądać.

– O co chodzi? – Mierkurow gwałtownie się obrócił i wyjaśnił pozostałym: – To mój ochroniarz, sztabskapitan Romanow.

Ten, który stał za Doktorem, nieznacznie się poruszył, palce lewej ręki zanurkowały do prawego rękawa. Aleksiej, maksymalnie skoncentrowany, zarejestrował ów płynny, szybki ruch. Mężczyzna był niewysoki, krzepki, zupełnie łysy albo ogolony na zero, z mięsistą twarzą. Operacyjny nawyk, by dawać przezwiska nieznanym obiektom, sprawił, że Romanow ochrzcił go w myślach Tołstojem (łysy miał pod marynarką tołstojówkę).

Mańkut, znakomita reakcja. Co ma w rękawie – małego sześciostrzałowego steyra z mocowaniem na nadgarstek? I dlaczego stoi, podczas gdy wszyscy siedzą?

– Zgadza się, panowie, sztabskapitan Romanow, ale nie ochroniarz.

Aleksiej patrzył na Doktora, który bez wątpienia grał tutaj pierwsze skrzypce.

Łysawy, z wydatnym czołem, worki pod oczami, spojrzenie przenikliwe, a jednocześnie bardzo spokojne (niebezpieczne połączenie). Kołnierzyk nieświeży, oderwany guzik przy kurtce (wieczny samotnik; nie przywiązuje wagi do wyglądu). Splecione

ręce na biurku nieznacznie poruszają szczupłymi palcami z przybrudzonymi paznokciami (nie, to nie lekarz; wysokie nagromadzenie energii wewnętrznej, ale pełna kontrola nad emocjami).

Zamiast zapytać: „Kim więc jesteś, skoro nie ochroniarzem?“, Niemedyk tylko przymrużył oczy. Czekał, co będzie dalej. Poważny typ, bardzo poważny.

– Jestem szeregowym członkiem Związku – podjął Aleksiej, wciąż patrząc tylko na lidera, ale kątem oka obserwując rękawy Tołstoja. – Pięć tygodni w organizacji. W przeszłości agent kontrwywiadu. Służyłem z generałem Żukowskim i z księciem Kozłowskim. Moja specjalność to między innymi ochrona bardzo ważnych osób. Przez pewien czas pełniłem nawet straż przy pociągu jego wysokości. Nie mogę spokojnie patrzeć, panowie, na bałagan, który tutaj panuje! Organizacje konspiracyjne zorganizowane w ten sposób skazane są na klęskę! To, że nas jeszcze nie zgarnęli czekiści, można wytłumaczyć tylko brakiem profesjonalizmu z ich strony! Ale zgarną, bądźcie pewni! Postanowiłem wam udowodnić, jak łatwo to zrobić.

Mówił z naciskiem i bardzo szybko, stale podnosząc głos, żeby ani na chwilę nie stracić inicjatywy.

– Drogą elementarnej obserwacji przebyłem cały wasz śmieszny łańcuszek. Od dowódcy drużyny do dowódcy plutonu, później kompanii, batalionu, pułku, brygady. Ten koncertowo doprowadził mnie do pana Mierkurowa. – Romanow pokazał swojego chwilowego podopiecznego, który słuchał z obwisłą szczęką. – Owszem, nad dowódcą dywizji opiekę sprawuje osobisty ochroniarz, w naszym żargonie „cień”, ale to, za przeproszeniem, niepoważne! Bez trudu go zneutralizowałem, zająłem jego miejsce i oto jestem na posiedzeniu sztabu centralnego...

Tołstoj w końcu pokazał, co ma w rękawie – wąski nóż przypominający sztylet.

– Co z Ryczkowem?! Zabiję! – krzyknął, opuszczając rękę z klingą i chowając ją za plecy. Nóż służył do miotania.

– ...Gdyby na moim miejscu był czekista, zjawiłby się tutaj nie sam! – zakończył Romanow, gotów się uchylić w razie potrzeby.

Niemedyk głośno cmoknął wargami.

– Niech się pan nie waży, Wasiliju Wasiljewiczu. Kamyki do pańskiego ogródka. Pojawienie się sztabskapitana Romanowa potwierdza słuszność jego krytyki.

Łysy sapnął, schował nożyk, ręce zacisnął w pięści.

Teraz Aleksiej pozwolił sobie na chwilę oddechu i przyjrzał się pozostałym.

A zatem, nie licząc Mierkurowa, było ich trzech.

Dwaj – typowi oficerowie sztabowi albo nawet generałowie. Pucółowaty, ostrzyżony na jeża, z wąsami jak u morsa (Mors) i tyczkowaty, rudawy (Prusak). Obaj mają zdecydowane rysy twarzy – od razu widać, że zrobili karierę nie w gabinetach sztabu, ale pod kulami. Trzeci nie przypomina zawodowego wojskowego. Elegant w idealnie odprasowanym surducie wizytowym, nienaganne mankiety ze spinkami z masy perłowej, fizjonomia z garbatym nosem, żywa, z szyderczym uśmiechem, w rękach obraca wytworną srebrną papierośnicę. Aleksiej ochrzcił go Fircykiem.

Pobieżny rekonesans nie przeszkadzał prowadzić rozmowy.

– Pańskiemu Ryczkowowi nic nie jest – rzucił w stronę Tołstoja, Wasilija Wasiljewicza. – Poleży sobie z godzinkę i będzie jak nowo narodzony. A więc to pan odpowiada za sektor ochrony? Marnie panu idzie. Nie wyczuwam klasy. Kim pan był dawniej? Stójkowym na skrzyżowaniu?

I nie dając czasu na odpowiedź, zwrócił się do Niemedyka.

– Czemu postanowiłem włamać się tutaj? Bo trzeba pilnie zreorganizować system bezpieczeństwa. Inaczej możemy nie doczekać pierwszego czerwca.

– Skąd on wie o pierwszym czerwca, Wiktorze Borisowiczu? –

szybko powiedział Wasilij Wasiljewicz. – Szeregowi członkowie nie powinni o tym wiedzieć. Nawet dowódcy batalionów nie mają pojęcia!

– Wysłano mnie z depeszą do Kazania. Nie jestem idiotą, domyśliłem się, co oznaczają słowa „pierwszy czerwca”.

Tołstoj uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Akurat. Depesza była zaszyfrowana.

– Dla oficera kontrwywiadu pański przestarzały Chase to błahostka – pogardliwie rzucił Romanow. – Myślę, że nawet w CzK znają ten system.

– Ciekawe – wycedził Wiktor Borisowicz.

Świdrował Aleksieja swoimi podpuchniętymi oczami. To nawyk właściwy zatwardziałym kryminalistom, którzy patrzą na świat jak na teren polowania, a na ludzi jak na stado baranów – bez przerwy wybierają tego, którego capnąć zębami.

– Słusznie pan zrobił, sztabskapitanie. Ma pan broń?

Nieoczekiwane pytanie sprawiło, że Aleksiej drgnął.

– Nagana.

– Niech pan odda Wasilijowi Wasiljewiczowi.

– Dlaczego?

– Dlatego że to rozkaz. – W ostrym spojrzeniu błysnęła stal, ale głos pozostał łagodny. – Jako oficer kontrwywiadu chyba pan rozumie, że musimy pana sprawdzić. Na pewien czas poddamy pana kwarantannie. Jeżeli to, co pan o sobie powiedział, jest prawdą – będzie pan pomagał Wasilijowi Wasiljewiczowi. No a jeśli nie jest pan tym, za kogo się podaje, nasze relacje przyjmą... inny obrót. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Wasiliju Wasiljewiczu, proszę odprowadzić sztabskapitana, a my, panowie, wracamy do pracy. Mamy dzisiaj napięty porządek obrad.

Konwojent wyprowadził Romanowa przez tylne drzwi na ciemny korytarz i umiejętnie obszukał. Wyjął z kieszeni rewolwer, wymacał nóż przymocowany rzemykiem do kostki.

Obejrzał z ciekawością, szczęknął przyciskiem, skrzywił się na widok ostrza, które wyskoczyło.

– Dziecinada.

Zabrał też zegarek na rękę. Poprosił:

– Niech pan pochyli głowę. – I przewiązał oczy chustką.

– A to po co?

– Żeby było bardziej intrygująco. Ostrożnie, tu są stopnie.

Prowadził pod rękę – długo. Romanow naliczył siedem zakrętów i trzy klatki schodowe, którymi to schodził, to się wspinał, to znowu schodził. W willi nie mogło być takich przestrzeni – strażnik umyślnie kluczył, prowadził parę razy przez te same miejsca.

Znowu zejście. Powietrze zrobiło się chłodniejsze, powiało pleśnią. Piwnica.

Skrzypienie żelaza. Pchnięcie w plecy.

– No i jesteśmy w domu. Chusteczkę można zdjąć. Zaraz zorganizuję iluminację.

Nieduże, ślepe pomieszczenie z niskim sufitem. Składane łóżko przykryte żołnierskim szynelem. W rogu wiadro z pokrywką.

Wasilij Wasiljewicz postawił na taborecie lampę naftową.

– No i proszę, zrobiło się przytulnie. Później ktoś przyniesie jedzenie i będzie całkiem miło. Proszę się rozgościć, panie krytyku. I odpoczywać.

Wyszedł, szczęknął drzwiami, w których od razu otworzyło się okienko, zakratowane.

– Macie tu prawdziwą celę więzienną – powiedział Romanow.

– Czasami się przydaje. Na przykład do kwarantanny. I nie tylko. Okienko zostawię otwarte, w celu wentylacji.

Patrzcie go, jaki troskliwy, pomyślał Aleksiej. Przez okienko w każdej chwili można po cichu zajrzeć do środka.

W otworze błysnęła łysa, okrągła głowa.

– Dobrze panu zbijać bąki, ja za to mam dodatkową robotę. No to na razie, żegnam.

Głowa znikła.

– Ale chyba się pośpieszycie? – krzyknął za nią Romanow.

Nie obawiał się kontroli, pytanie tylko, ile potrwa. Bo jeśli zniknie na dłuższy czas, w CzK mogą uznać, że podwójny agent został namierzony i zlikwidowany. Żeby tylko Orłow nie stracił zimnej krwi i nie narobił głupstw.

A zresztą filozofowie utrzymują, że człowiek nie powinien martwić się tym, na co nie ma wpływu. Pocięszywszy się tą myślą, Aleksiej przypomniał sobie jeszcze jedną maksymę, żołnierską. Jak nie masz czym się zająć, to się zdrzemnij. Służba nauczyła go pożytecznej sztuki wysypiania się na zapas.

Więzień podziemia przeciągnął się, słodko ziewnął i zaczął się wygodnie mościć.

Piłkarze

– Wstawaj, niewinne dziecko!

Pierwsze, co zobaczył leżący na boku Romanow, gdy otworzył oczy – nagan i nóż na taborecie. A więc wszystko w porządku.

Spuścił nogi na ziemię, uniósł głowę i popatrzył na uśmiechniętego Wasilija Wasiljewicza.

– Sprawdziliście? I co teraz?

– Teraz podamy sobie rączki, obejmiemy się i będziemy nierozłączni. Jestem Wasilij Wasiljewicz Połkanow. Imię kocie, nazwisko pieskie[23]. Dlatego mam sprzeczną osobowość. Dobra natura i gruba skóra.

Aleksiej wstał, uściśnął rękę dowcipnisiowi. Ten szarpnął ją ku sobie, odwrócił zaspanego jeszcze Romanowa, fachowo obezwładnił. Wycelowane prosto w oko ostrze nie pozwalało się ruszyć.

Wszystko trwało, nawiasem mówiąc, sekundy. Chwilę później Połkanow pchnął lekko Aleksieja w plecy, dobrodusznie się roześmiał.

– Żartuję. Żebyś się szybciej obudził.

I żeby od razu określić hierarchię w stadzie psów, pomyślał Romanow.

– Która godzina? – zapytał zachmurzony, rozcierając nadwyrężone gardło.

– Zrozumiałem aluzję.

Wasilij Wasiljewicz zwrócił odebrany zegarek. Aleksiej go upuścił.

– Cholera, palce mi ścierpły. Ależ ma pan siłę...

Przykucnął. Wykonał elementarną kombinację zwaną bykiem w parterze. Uderzył stojącego głową poniżej pasa, szarpnąwszy jednocześnie za kostki. Wasilij Wasiljewicz z łoskotem opadł na pośladki, wrzasnął.

Romanow też potrafił budować hierarchię w stadzie.

– Żart za żart – powiedział. – Nazywam się Aleksiej Parysowicz i przechodzę na ty wyłącznie z oficerami. Pan najwyraźniej nie należy do ich grona.

Połkanow wstał, trzymając się za stłuczoną kość ogonową. Uśmiechnął się dobrotliwie.

– Jak to mówią piłkarze, jeden do jednego.

– Gra pan w piłkę nożną? – zdziwił się Romanow.

– Kibicuję. A pan?

– Przed wojną należałem do uniwersyteckiej drużyny w Sankt Petersburgu.

– Chwileczkę... – Wasilij Wasilewicz sapnął z zachwytu. – To pan jest golkipierem Romanowem?! Doskonale pamiętam, jak obronił pan rzut karny w meczu ze Spartą. – Znowu wysunął rękę do uścisku, tym razem szczerze. – Bardzo mi miło. Piłkarz z piłkarzem zawsze się dogadają. Bo rozumieją, co znaczy drużyna!

– Mamy teraz rano czy wieczór?

Zegarek pokazywał wpół do jedenastej.

– Rano.

– To znaczy, że spałem ponad dobę? A wydaje mi się, jakbym się dopiero położył.

– Nie, to wciąż ten sam piękny poranek. – Połkanow uśmiechnął się przebiegle. – Nie jesteśmy takimi fajtłapami, jak pan sądzi, Aleksieju Parysowiczu. To i owo potrafimy. Cała dokumentacja sztabu generalnego, łącznie z archiwum drugiego wydziału Ogienkwaru[24], któremu podlegał kontrwywiad, jest teraz w sztabie RKKa w Moskwie. Wystarczyło tylko powiadomić naszego człowieka. On zaś przekazał nam pańską kartę

przebiegu służby. Wszystko się zgadza, zdjęcie w aktach też. Mam tylko jedno pytanko. Ostatni zapis w czerwcu siedemnastego brzmi: przeniesiony do armii czynnej. Co było dalej? Czym się pan zajmował?

Romanow nie miał powodu do obaw. Po październiku wojskowo-biurokratyczna machina stanęła, w starych aktach nie mogły pozostać żadne ślady związane z jego przejściem do Gwardii Czerwonej.

– Kumulowałem złość.

– Złość bywa przydatna. Zawsze miałem jej w sobie tyle co głodny pies. – Połkanow żartobliwie wyszczerzył zęby i warknął.

– Tylko nie od razu potrafiłem ją spożytkować. Wiktor Borisowicz otworzył mi oczy.

– A kto to taki?

– No proszę! – zdziwił się Wasilij Wasiljewicz. – I to ma być oficer kontrwywiadu?! Nie rozpoznał Wiktora Sawwina.

Ach, więc to on! Aleksiej słyszał, rzecz jasna, o Sawwinie. Za cara był najbardziej znanym terrorystą, przywódcą organizacji bojowej eserowców, wszechobecny i nieuchwytny. Po lutym, za Kiereńskiego, został druhem ministra wojny, najbardziej energicznym działaczem Rządu Tymczasowego. Teraz wiadomo, dlaczego Związek stanowi tak groźną siłę.

– Zajmowałem się szpiegami, a nie przestępcami politycznymi. W odróżnieniu od pana. Bo pan chyba jest z Ochrony? Poznaję po wyszkoleniu.

– Agent pierwszej klasy. Nie miałem sobie równych w tym rzemiośle, lubiłem swoją pracę. Podobało mi się, że jestem owczarkiem na łańcuchu państwa. Wilki rozrywam na strzępy, a owieczki kąsam po miękkich bokach, żeby się bały.

– Jak trafił pan do Sawwina?

– Opatrzność zrządziła. W Boga oczywiście nie wierzę, ale bez cudu się nie obyło... – Wasilij Wasiljewicz uśmiechnął się do swojego wspomnienia. – Pewnego dnia zacząłem deptać po

piętach jednemu podejrzanemu typowi. I nagle doznałem olśnienia: to przecież Wąż, znaki szczególne się zgadzają. (Nadaliśmy Sawwinowi przezwisko Wąż). Omal nie zatańczyłem z radości! Co za sukces! Pięć kafli nagrody! Ech, myślę, sam go zgarnę. Byłem ambitny i pewny siebie. Broń palna nam nie przysługiwała, ale miałem przy sobie swój nożyk. Idę spacerkiem w stronę Węża, pogwizduję, patrzę w bok. Zrównałem się i cap! Miałem wypróbowany chwyt, nigdy nie zawodził: jedną ręką łapię z dołu za czułe miejsce, a ostrze przystawiam do gardła. „Cicho! – mówię. – Nie ruszaj się!” I zacisnąłem pięść. – Połkanow pokręcił głową, jakby nawet teraz nie mógł wyjść ze zdumienia. – Każdy zawyłby z bólu albo chociaż się zatrząsł. A ten? Nie drgnął mu żaden mięsień. „Oho – powiada – cóż za poufałość”. Powoli, spokojnie chwycił nóż dłonią. „Zręczny z ciebie chłopak, brawo. I odważny. Nie bałeś się mnie zatrzymać”. I ściska ostrze! Krew spływa mi po nadgarstku do rękawa, a Sawwin nic! Jeszcze się uśmiecha! „Nie znudziło ci się – mówi – biegać jak piesek na każde gwizdnięcie pana? Chodź ze mną pospacerować po lesie, będziesz wolnym wilkiem”. Patrzy mi prosto w oczy, a spojrzenie... sam pan widział. Wtedy coś we mnie pękło. Poszedłem za nim i ani razu później nie żałowałem.

– Dlaczego pan poszedł? – z ciekawością zapytał Romanow.

– Bo poczułem, że to ktoś bliski i że to moje życie. Prawdziwe. Jak by panu powiedzieć... Przy kimś takim człowiek też nabiera znaczenia. Nie mam o sobie, rzecz jasna, zbyt wielkiego mniemania. Gdyby porównać Wiktora Borisowicza z Piotrem Wielkim, to jestem przy nim nie Mieńszykowem ani nawet nie Jagużyńskim, ale najwyżej Aleksandrem Rumiancewem. To jednak mi wystarczy. Wie pan, kim był Rumiancew?

– Oczywiście... – ze zdziwieniem odparł Aleksiej.

Nie spodziewał się takiej erudycji po byłym agencie. Kapitan Rumiancew był pierwszym rosyjskim mistrzem tajnych operacji. Zasłynął tym, że porwał z Niemiec Wojnarowskiego,

spadkobiercę Mazepy, a potem dostarczył z Włoch zbiegłego carewicza Aleksieja.

Wasilij Wasiljewicz się uśmiechnął.

– Dawniej byłem prostytutką, nie interesowało mnie nic prócz piwa i gry w karty, ale przez trzynaście lat u boku Wiktora Borisowicza przeczytałem chyba z tysiąc książek. Kto chce dogonić orła, musi wysoko szybować. No dobrze, wróćmy do sprawy. Skoro taki z pana, Aleksieju Parysowiczu, znawca bezpieczeństwa, proszę zaproponować, jak nasza drużyna powinna grać, żeby nie stracić gola.

– Powiedziałem, że jestem na ty tylko z oficerami... – Romanow uśmiechnął się szeroko. – To nie do końca prawda. Z piłkarzami też. Podczas gry nie ma sensu robić ceremonii.

Znowu, już po raz trzeci, uścisnęli sobie ręce, mocno i serdecznie.

– Najpierw, Wasia, muszę mieć pełny obraz. Przedarłem się przecież do bramki skrajem boiska.

– Przedrzeć się przedarłeś, ale gola byś nie wbił. Im bliżej bramki, tym szczelniejsza jest moja obrona.

– Zaraz zobaczymy. Pytanie pierwsze. Jak często zbiera się sztab?

Odpowie czy nie? Aleksiej czekał z napięciem.

– Dawniej raz w tygodniu, jeśli nie było nic pilnego. Teraz trzy razy. W tygodniu poprzedzającym pierwszy czerwca będą się spotykać codziennie.

– To słaby punkt. – Romanow zachmurzył się z dezaprobatą. – Jedno uderzenie i zgarną wszystkich za jednym zamachem.

Połkanow mrugnął.

– To wcale nie takie pewne. Ale na razie pytaj dalej.

Co ma na myśli? Czemu „nie takie pewne”?

– W porządku. Drugi czuły punkt to przywódca Związku, Sawwin. Gdzie mieszka, jak wygląda jego ochrona?

– Ochrona jest dobra, zawsze towarzyszą mu dwaj moi najlepsi

chłopcy. A gdzie mieszka, nie powiem. Sam nie wiem. Wiktor Borisowicz jest jak lis. Nie nocuje dwa razy w tym samym miejscu. Przyzwyczajenie z dawnych lat. Nawet Ochrańca nie potrafiła go znaleźć.

– Dobrze. Trzecia luka: dowódca dywizji. Tutaj mnie nie uspokoisz, sam widziałem, że mają marną ochronę. Wystarczy, że czekał namierzą jednego, jak ja Mierkurowa, i go zgarną, a wtedy po dywizji. Kim są trzej pozostali?

Po krótkiej chwili Wasilij Wasiljewicz powiedział:

– Naczdiw[25] 1 to generał Żbanow. Ten podobny do bobra.

Mors, pomyślał Romanow.

– Chudy i wysoki to pułkownik Scherer, naczdiw 2. Naczdiwa 3 Mierkurowa znasz... A przystojny brunet to dowódca grupy kawaleryjskiej, rotmistrz Mirkin.

Aleksiej się zdziwił.

– To znaczy, że... mamy (omal nie powiedział „macie”) nawet grupę kawaleryjską?

– A jakże. Setka oficerów wstąpiła do czerwonych szwadronów i do Szkoły Kawalerii RKKA. Pierwszego czerwca utworzą parę lotnych oddziałów. Szybkie uderzenia, służba łączności. Miasto jest przecież ogromne, bez kawalerii się nie da.

– Zaczekaj... – Romanowa nagle olśniło, przypomniał sobie wczorajszą opowieść Szwarca. – Rotmistrz Mirkin? Ten sam? Ten z Żydowskich Bojowników?

– Uhm. Porządny facet. Jak mówi Wiktor Borisowicz: „Mirkin wprawdzie jest Żydem, ale to bojownik”.

– Jakże to tak? Chciałem zapisać do Związku swojego kolegę, chorążego Josifa Szwarca, ale dowódca drużyny powiedział: „Żydów nie przyjmujemy!”.

– Mirkin to Mirkin. Szanuje go nawet żydożerca Scherer. Mirkin jest też naszym skarbnikiem. Zawiaduje finansami. Jak mówi Wiktor Borisowicz: „Mirkin jest wprawdzie bojownikiem, ale to Żyd”.

Oszacowawszy możliwe warianty, Romanow wybrał najbardziej obiecujący.

– Muszę się im przyrzec. Charakter, nawyki. Poznałem jedynie Mierkurowa. Myślę, że wystarczy mu udzielić dobrego instruktazu na temat konspiracji. Pozostałych trzech poobserwowałbym i za nimi pochodził. Ochrona indywidualna jest skuteczna, tylko jeśli odpowiada nawykom i usposobieniu obiektu. Daj mi ich adresy.

– Po co ci adresy? – Połkanow się uchylił. – Chodź ze mną. Zaraz poobserwujesz. A ja w tym czasie nakreślę ci ich portrety psychologiczne.

– Dokąd pójdziemy?

– Spotkanie jeszcze się nie skończyło. Wiktor Borisowicz ma w porządku obrad dwadzieścia trzy punkty.

– Możemy?

– Sektor ochrony może wszystko, pod warunkiem że zachowamy ostrożność. – Połkanow mrugnął. – Chodźmy, Alosza, chodźmy.

Opuścili piwnicę i wspięli się na górę, do niedużego, bardzo schludnego pokoju.

– To moja cela – powiedział Połkanow. – Tutaj spędzam pustelnicze dni.

Podszedł do ściany, odsunął jakąś zasłonę, przyłożył palec do ust.

Usłyszeli głosy.

Przez szklany kwadrat widać było znajomy gabinet lekarski.

Wasilij Wasiljewicz szepnął:

– Z tamtej strony jest lustro nad umywalką.

– ...Jaki to mniej więcej procent całkowitego składu, generale?
– rozległ się ochryply baryton Sawwina.

23 Wasilij (Waśka) jest popularnym imieniem, które nadaje się kotom. Kot Wasilij pojawia się też w literaturze. Połkan to bohater popularnej staroruskiej bajki *Opowieść o królewiczu Bowie*, pół pies, pół człowiek (przyp. tłum.).

24 Ogienkwar (*Otdiel gienierał-kwartirmiejstiera*) – Wydział Generała Kwatermistrza (wywiad carski) (przyp. tłum.).

25 Naczdiw (*naczalnik diwizii*) – dowódca dywizji (przyp. tłum.).

Szachiści

– Chyba pan rozumie, Wiktorze Borisowiczu, że nie można określić całkowitej liczebności dywizji w obecnym kształcie organizacji. Nie prowadzimy list ze względów konspiracyjnych, członkostwo na poziomie szeregowca jest umowne: jeżeli ktoś wstąpił do Związku, nie świadczy to jeszcze o tym, że można na nim polegać – mówił naczdziw 1, generał Żbanow. – Teoretycznie rzecz biorąc, w dywizji jest ze dwa tysiące żołnierzy, których zresztą nie należy uważać za prawdziwych bojowników. Jak już wspomniałem, według moich wstępnych szacunków pierwszego zjawi się w punktach zbiórki najwyżej tysiąc osób. Sam pan widzi, jaki to procent. Maksymalnie pięćdziesiąt.

– U mnie to samo – wtrącił Mierkurow.

Naczdiw 2, Scherer, tylko kiwnął głową.

– A moi przyjdą wszyscy, jestem pewien – wesoło oznajmił Mirkin. – Kawaleria to nie to co piechota.

– Bo ma pan, Lwie Abramowiczu, niedużo ludzi, tak więc łączność jest prosta: od pana do dowódców plutonów i koniec – zauważył Żbanow.

Połkanow ze swoimi komentarzami prosto do ucha bardzo przeszkadzał słuchać.

– Ze Żbanowem nie ma problemu. Ochronę traktuje ze zrozumieniem, nie łamie zasad...

Głos znowu zabrał Sawwin, więc szef sektora ochrony umilkł z szacunkiem.

– Powiem wam więcej, panowie. Pierwszego czerwca nie stawi się pięćdziesiąt procent. Ani nawet dwadzieścia pięć. Wszyscy

chcą żyć i się boją. Co innego ruszyć do ataku z okopu, ramie przy ramieniu, a tutaj każdy mieszka u siebie, wielu z rodzinami. Więc się wahają. Czują strach. Będzie tak jak podczas każdej rewolucji... Niech się pan nie krzywi, pułkowniku, bo to prawda, wszyscy jesteśmy rewolucjonistami, jeśli słowo „rewolucja” rozumieć w jego pierwotnym znaczeniu: przewrót. Do pierwszego etapu zawsze ruszają tylko najodważniejsi i najbardziej rzutcy. Jeśli się utrzymają, a zwłaszcza jeśli coś osiągną, przyłączają się do nich średnio odważni, dopiero potem cała reszta. Gdy zaś na horyzoncie zamajaczy zwycięstwo, idą i pozostali, ci, co nawet nie zamierzali się buntować. Dlatego w zupełności wystarczy, jeśli pierwszego rano każda dywizja zbierze przynajmniej dziesięć procent składu. Te parę setek śmiałków pozwoli całkowicie zdeorganizować władzę radziecką w Moskwie, a jeśli się uda, to i w innych kluczowych miastach. Właśnie dlatego, panowie, opracowaliśmy plan priorytetów. Jeśli się okaże, że ludzi jest mało, dywizja zaatakuje tylko cel numer jeden. Jeśli będzie ich trochę więcej – dwa, jeszcze więcej – trzy i tak dalej.

Odwrócił się do Scherera.

– Weźmy pana, Antonie Alfredowiczu. Załóżmy, że pierwszego czerwca rano widzi pan, że ma do dyspozycji tylko sto osób. Pańskie działania?

Naczdziw 2 odparł zdecydowanie:

– Zbieram ludzi i przypuszczam szturm na cel numer jeden, który...

Połkanow znowu wtrącił się nie w porę.

– Z Schererem jest kłopot. Unika ochroniarzy. Mówi: „Sam się o siebie zatroszczę”. W dodatku jest nieostrożny i mało spostrzegawczy.

Wśród szeptu Połkanowa Aleksiej ledwie dosłyszał, że cel numer jeden dywizji Scherera to KC partii bolszewickiej.

– ...Pierwszy czerwca to akurat sobota, a oni zbierają się

w soboty na swój sanhedryn, jak na modlitwę do synagogi. Wejdziemy przez Wieżę Borowicką, nasz człowiek będzie tam trzymał wartę. Pięć minut później znajdziemy się na miejscu i wyrzniemy wszystkich Żydków razem z ich szabesgojami.

– Antonie Alfredowiczu, bardzo proszę. – Sawwin zerknął na Mirkina.

Pułkownik się zmieszał.

– Przepraszam, Lwie Abramowiczu... Ja nie w tym sensie. Ale u nich tam, sam pan wie, jest całe mrowie Żydów.

– Gdyby nasz umiłowany car ojczulek traktował Żydów inaczej, nie przyłączyliby się do rewolucji. Może by nawet do niej nie doszło. – Fircykowaty rotmistrz się skrzywił. – Na miłość boską, pułkowniku. Jak się czasem pana posłucha, człowiek zaczyna się zastanawiać, czy by nie przejść do czerwonych.

– Niech pan nie sądzi, że jestem judofobem – Scherer wciąż się usprawiedliwiał. – Wie pan, jak wysoko pana cenię. No i w ogóle... w pańskim narodzie trafiają się zacni przedstawiciele.

Mirkin ironicznie skinął głową.

– Mówi pan tak samo jak mój znajomy Izaak Schäfer. „Możecie obrzucać mnie błotem, ale czasami wśród gojów trafiają się przyzwoici ludzie”.

Wszyscy prócz Scherera się roześmiali, a Sawwin powiedział:

– Proponuję, żeby na tym zakończyć tę interesującą dyskusję i wrócić do sprawy. Jeśli oczywiście pułkownik Schäfer, chciałem powiedzieć Scherer nie wyraża sprzeciwu.

Twarz pułkownika tak mocno się wydłużyła, że śmiech przeszedł w rechot. Uśmiechał się też oziębły Wiktor Borisowicz, z czego wynikało, że przejęzyczenie nie było dziełem przypadku. Scherer też w końcu parsknął śmiechem.

– A niechże pana kule biją!

Romanow złapał się na tym, że się uśmiecha. Jego dawny szef, podpułkownik Kozłowski, wdając się w rozważania na temat polityki, też sprawiał wrażenie prawdziwego neandertalczyka,

skrajnego reakcjonisty, a przy tym był z niego wspaniałą kompanią i w ogóle dusza człowiek. Ech, gdzie on jest teraz? Z kim, to jasne. Oczywiście z tymi.

– Dobrze, Antonie Alfredowiczu – podjął z powagą Sawwin. – Założmy, że ma pan nie stu, ale stu pięćdziesięciu albo dwustu ludzi.

– Tworzę drugi oddział, który zaatakuje cel numer dwa. Centralny Telegraf. Zgodnie z planem oddział wysuwa się na...

– Mirkin to też problem – wyszeptał Wasilij Wasiljewicz. – Nie klóci się, nie staje okoniem, ale gdy zechce, wymyka się ochronie i znika. – Umilkł, bo Sawwin wstał zza biurka.

– Kiepski ze mnie mówca, panowie. Jestem człowiekiem czynu, a nie słowa. Chcę wam jednak coś powiedzieć. My, członkowie Związku Obrońców Ojczyzny różnimy się między sobą, stanowimy prawdziwą zbieraninę. Łączy nas jednak wspólna sprawa: musimy zbudować arkę, na której uratujemy nasz świat przed potopem. A gdy go uratujemy, wtedy będziemy się spierać, jaka będzie nowa Rosja – monarchistyczna, republikańska, socjalistyczna, federacyjna czy jakaś inna. Później, gdy nasza arka wypłynie.

Mirkin zaczął ostentacyjnie klaskać.

– Brawo, Wiktorze Borisowiczu. Bardzo polityczna alegoria, Dziękuję, że nie wspomniał pan o Golgocie i Ogrodzie Oliwnym, uznalibyśmy to za kolejny atak na Żydów. Arka Noego brzmi wspaniale. Honorują ją zarówno chrześcijanie, jak i Żydzi.

Wszyscy znowu się roześmiali.

Żartownisie, pomyślał zafrasowany Romanow. Co to za plan przejęcia Centralnego Telegrafu? Jak namierzyć zdrajcę w garnizonie Kremla? I jakie są priorytetowe cele pozostałych dywizji?

– Już jedenasta, panowie. – Sawwin popatrzył na stary kieszonkowy zegarek. – Obradowaliśmy niczym Rząd Tymczasowy przy niezapomnianym Aleksandrze Fiodorowiczu.

Spotkamy się w piątek.

Wszyscy wstali.

– Lwie Abramowiczu, niech pan zostanie. Proszę o raport dotyczący wpływów i strat.

Romanow też chętnie posłuchałby o finansach, ale Wasilij Wasiljewicz opuścił zasłone.

– Napatrzyłeś się? I jak wrażenia?

Nie do końca mi ufa, domyślił się Aleksiej.

– Z generałem Żbanowem, jak mówisz, nie ma problemu. Mierkurowowi wystarczy przydzielić bardziej doświadczonego ochroniarza plus przeprowadzę z nim rozmowę. Jeśli chodzi o Scherera. Niecierpliwy, porywczy, egocentryczny. Najlepiej przydzielić mu nieoficjalną ochronę. Skoro nie jest spostrzegawczy, to jej nie zauważy.

– Słusznie – przyznał Połkanow. – Sam powinienem był na to wpaść. A co zrobimy z Mirkinem? Najważniejsze, że nie protestuje, na wszystko się zgadza, stroi sobie żarty. Ale jeśli uzna za stosowne – bach i jakby zapadł się pod ziemię.

– Zastanowię się. Niełatwy obiekt.

– Aha, no to zastanówmy się razem. Czasu mamy pod dostatkiem. Umieszczę cię tutaj za ścianą, jest tam wygodny pokój. Spodoba ci się.

– Dobrze. Pójdę tylko po rzeczy.

– Niczego nie będziesz potrzebował – życzliwie oznajmił Wasilij Wasiljewicz. – Podzielę się z tobą i bielizną, i całą resztą. A ty, Alosza, nie ruszysz się stąd na krok. Przez cały czas będziesz w ambulatorium. Mnie też będzie różnie. Pogadamy o piłce nożnej.

– Chyba żartujesz!

– A co myślałeś? Że cię wypuszczę na przechadzkę po tym, co zobaczyłeś i usłyszałeś? – Połkanow z wyrzutem pokręcił głową.

– Nie, bracie. Gdy wymieniałeś nasze słabe strony: Wiktor Borisowicz, sztab, dowódcy oddziałów, zapomniałeś o jeszcze

jednej pięcie achillesowej. O mnie. Jako szef sektora ochrony wiem najwięcej na temat organizacji. Jak wpadnę w łapy czekistów, będzie nieszczęście. Dlatego nigdzie nie wychodzę. Siedzę tutaj jak pająk. Tkam pajęczynę w swoim zacisznym kąciuku. Z tobą będzie tak samo. Za dużo wiesz. Musisz się pogodzić z tym, że aż do pierwszego czerwca pozostaniemy w areszcie domowym.

Aleksiej nie był przygotowany na taki obrót rzeczy. Jak ma przekazać Orłowowi zdobyte informacje? Wykraść się nocą przez okno? To niemożliwe. Jeśli zauważą, że się oddalił, wszystko przepadnie. Cholera!

– Nie przejmuj się – pocieszył go Wasilij Wasiljewicz. – To nie izolotka. Dom jest duży, możesz chodzić, gdzie chcesz. Przez cały czas kręcą się tutaj ludzie. Jedni, z ulicy, przychodzą do doktora Zassa, a inni, nasi, do doktora Ananiewa. Nawiasem mówiąc, to ja nim jestem. Jak chcesz podleczyć trypra, służę pomocą.

– Dziękuję, lepiej z nim pochodzę.

Zarechotali.

– Poznasz chłopców z sektora, często się zjawiają. Zaprzyjaźnij się z naszą Marią Lwowną, siedzi w poczekalni. To cicha myszka, kobieta czysta jak lilia. – Połkanow uśmiechnął się łagodnie. – Gdybyś tylko widział, jak razem we troje, Wiktor Borisowicz, ja i Marusia, w dziewięćset siódmym załatwiliśmy generała Bacha.

Zaprowadził Aleksieja do sąsiedniego pokoju, a raczej do klitki z tak wąskim oknem, że mimo najlepszych chęci nie sposób byłoby się przez nie przecisnąć.

– Wprawdzie to nie apartament, za to jest bezpieczny. Pójdę po materac i kołdrę, a ty się przespaceruj.

Propozycja, żeby się zaprzyjaźnić z Marią Lwowną, była ciekawa. Kobieta jak cerber pilnuje drzwi na ulicę, nikt się nie prześlizgnie. Dobrze byłoby znaleźć drogę do jej surowego eserowskiego serca.

*

Ruszył do poczekalni. Nie było tam pacjentów, ale pochylony nad siostrą miłosierdzia Mirkin wesoło coś opowiadał. A więc już złożył raport dowództwu.

– A oto i on, d’Artagnan. – Rotmistrz się obrócił. – Opisuję Marii Lwownie, jak efektownie wypadł pan przed sztabem. „Diamenty wykradzione, wasza wysokość!”. Nie przedstawiono nas sobie. Jestem Lew Mirkin.

Zgodnie z zasadami kurtuazji Aleksiej przedstawił się najpierw damie, trzaskając obcasami, ta jednak odpowiedziała twardym, nieufnym spojrzeniem.

Pal ją lichem, starą zrzędę. Zaczeka. Mirkin był teraz znacznie ciekawszy. Gdyby tak przydybać go razem z kasą Związku!

– Wiem, kim pan jest, rotmistrzu. Pozwoli pan na dwa słowa.

Wyszli na korytarz.

– Jestem teraz zastępcą Wasilija Wasiljewicza, słyszałem od niego, że biega pan bez ochrony.

Mirkin zrobił skruszoną minę.

– Więcej nie będę. Przysięgam na Boga Wszechmogącego w Trójcy Jedyne!

– Dobra obietnica z ust Żyda – z wyrzutem powiedział Aleksiej.

– Bardzo pan ryzykuje, gdy nie ma pan cienia. Nie zauważy pan, jak ktoś zacznie deptać panu po piętach i odprowadzi aż pod dom, a nosi pan przecież ze sobą pieniądze i co gorsza, notatki, raporty.

– Nie.

– Co „nie”?

– Niczego nie noszę. Ani notatek, ani raportów. Wszystko jest tutaj. – Mirkin popukał się w głowę. – Dlatego zrobiono mnie skarbnikiem. Mam matematyczną pamięć. Musi pan wiedzieć, że jestem szachistą.

– Ja też uczyłem się na wydziale matematyczno-fizycznym.

I też gram w szachy.

Rotmistrz się ożywił.

– Naprawdę? A potrafi pan bez szachownicy?

– Potrafię.

– W takim razie sprawdźmy. Wybieram białe! – Lew Abramowicz zatarł dłonie. – No to co, rozegramy debiut angielski? Idę na C4.

To nie spisek, ale klub sportowy, pomyślał Romanow, zastanawiając się, jak wyciągnąć z Mirkina jego adres domowy.

– Dobrze. C5.

– Idę na G3.

– No to G6.

Obaj nie nazywali figur – dobry gracz bez tego się orientuje.

– A ja, rzecz jasna, na G2. Gdzie pan walczył?

– Odpowiadam na G7... Jeśli uwzględnić tylko front, to w czternastym byłem w Prusach Wschodnich. Ranny w rękę.

– A ja oberwałem tam lancą w kostkę.

– W szesnastym brałem udział w ofensywie Brusilowa.

– Tam dostałem szrapnelem.

– Latem ubiegłego roku byłem pod Smorgoniami.

– A ja nie, leżałem wtedy w szpitalu. Smorgonie to tam, gdzie batalion kobiecy ruszył do ataku? Oto co należy wiecznie pamiętać.

Aleksiej na chwilę zmrużył oczy – tak wyraźnie zobaczył obraz, który zrujnował mu życie.

– ...A ja bym chciał zapomnieć na zawsze – powiedział.

Mirkin odparł cicho:

– Nie. Niczego nie zapomnimy. Wtedy to, co najgorsze, może się nie powtórzy... Idę na C3.

Romanow już wziął się w garść – lekko się uśmiechnął.

– Właściwie wolę grać na prawdziwej szachownicy. Chwyta wtedy człowiek królową jak pannę w talii. A wieżę jak babę za biodra.

Rotmistrz parsknął.

– Apetycznie pan to przedstawia. Mam wrażenie, że szachy to nie jedyne pańskie hobby. Ze mną jest podobnie. Wie pan co, Romanow? Niech pan kiedyś do mnie wpadnie. Zagramy na szachownicy. Mieszkam niedaleko, na Siwcewie.

– A konkretnie? – zapytał Aleksiej z roztargnieniem, jakby obmyślał ruch. Nie miał pojęcia, co to ten Siwcew. – ...Chyba A4.

– A fe. Łamie pan kanony? – Mirkin chwycił się za podbródek.
– Co pan kombinuje? Chce pan, żebym się odkrył, a potem wciągnie mnie w coś brzydkiego?

– Klnę się na Torę i Talmud, że moje intencje są czyste.

Lew Abramowicz się roześmiał.

– Podoba mi się pan, d’Artagnan. Czuję, że się zaprzyjaźnimy. Niech pan wpadnie jeszcze dzisiaj. Po dziesiątej. Siwcew Wrażek osiem, pierwsze piętro. Szkoda, że nie jest pan kawalerzystą. Jeśli umie pan trzymać się w siodle, niech pan lepiej wstąpi do mojego szwadronu, zamiast gnuśnieć w sektorze ochrony. U nas jest wesoło.

Ty też mi się podobasz, pomyślał Romanow, ale jak to d’Artagnan odpowiedział kardynałowi Richelieu? „Jakimś fatalnym trafem wszyscy moi wrogowie są tutaj, a przyjaciele tam, tu byłbym zatem źle przyjęty, tam zaś niemile widziany” . Aleksiej nie odczuwał żadnej satysfakcji z tego, że udało mu się dopaść Mirkina. Łatwo zdobyć informacje, gdy ktoś ci ufa. Bezużyteczne myśli nagle zastąpiła inna myśl, pożyteczna. Odślonić się i zagrać va banque? Tak, tak, tak...

– Proszę wybaczyć, Lwie Abramowiczu, przypomniałem sobie o pilnej sprawie. Dokończymy później.

I w te pędy z powrotem do Połkanowa. Wpadł do pokoju bez pukania i stanął jak wryty. U Wasilija Wasiljewicza był Sawwin.

– Najmocniej przepraszam...

– Już wychodzę.

Przywódca spisku uścisnął rękę Połkanowa, później stanął

przed Aleksiejem i długo patrzył mu w oczy. Przeświałaj swoim rentgenem nerwowych, uśmiechnął się w duchu Romanow, udając zakłopotanie. Przez głowę przemknęła mu myśl, ciekawa. A może by tak teraz załatwić obu naraz? I po spisku.

Westchnął. Nie, wcale nie. Możliwe, że dowódcy dywizji kontaktują się ze sobą nie tylko w sztabie. Powstanie wybuchnie bez udziału Sawwina i Połkanowa.

– No to postanowione – powiedział na pożegnanie Wiktor Borisowicz do swojego asystenta, kończąc jakąś rozmowę, po czym wyszedł.

– Coś tak wpadł, jakby się paliło? – zapytał Wasilij Wasiljewicz.
– Masz jakąś sprawę?

– Odkryłem, na czym polega najistotniejsza wada systemu bezpieczeństwa.

– Na czym?

– To jak w piłce nożnej. Jeżeli bronisz tylko swojej bramki, nie spodziewaj się zwycięstwa. Trzeba atakować, niech drużyna przeciwnika się osłania.

Wasilij Wasiljewicz wyczekująco wpatrywał się w zastępcę.

– A teraz zostaw piłkę nożną i powiedz zwyczajnie. Co masz na myśli?

Aleksiej zaczął tłumaczyć. Rozmówca słuchał najpierw z niedowierzaniem, później przymrużywszy oczy, bardzo uważnie, w końcu też się zaniepokoił, zaczął przerywać pytaniami.

Otrzymał wszystkie odpowiedzi, rzekł:

– Arogancka zagrywka. Ale kusząca. Wiesz, Alosza, co cenię najbardziej? Że nie zacząłeś się rozwodzić przed Wiktorem Borisyczem, tylko zaczekałeś, aż zostaniemy sami. Słusznie zrobiłeś, zachowując drogę służbową.

Sawwin jest od ciebie mądrzejszy, nie poszedłby na to, odparł w myślach Romanow. A ty dasz się okpić. Bo wyobrażasz sobie, że jesteś wilkiem, choć tak naprawdę jesteś tylko owczarkiem.

Przez krótką chwilę Połkanow się wahał. Później z marzycielskim uśmiechem powiedział:

– To co, naprawdę przypomnimy sobie stare czasy?

Dowcipnisie

– Miło będzie rozprostować kości, pograć w Kozaków i rozbójników[26]. Bo zasiedziałem się w gabinecie. – Orłow uśmiechnął się tak samo jak Wasilij Wasiljewicz – z nostalgią. – Chociaż wyznaczasz mi szemraną rolę. Zazwyczaj jestem z drugiej strony muszki.

– Jakiej muszki? – zapytał Kriukow. Wszedł wydać dyspozycje i przegapił najciekawszą część rozmowy.

– Losza ci powie. Najpierw zamelduj, bo chłopak się denerwuje.

– No więc tak. – Kriukow zaczął wyliczać: – Wszystko zrobiłem, jak kazałeś. Szwarc będzie obserwował mieszkanie Mirkina. Na partnera wyznaczyłem Worobjowa, chłopak jest sumienny, nic głupiego nie strzeli mu do głowy. Kulik i Antoszkina będą mieć oko na mieszkanie Mierkurowa. Przekazałem im twoją kartkę, kazałem wykuć na pamięć. Okna, wyjścia–przyjścia, nie deptać po piętach, gdy wychodzi, i tak dalej.

– Szwarcowi ufam, ale reszcie sam się przyjrę – powiedział Romanow. – A zatem sytuacja wygląda następująco. Reasumuję specjalnie dla ciebie, Timofieju. Po pierwsze: nie możemy zgarnąć Sawwina. Po drugie: przejęcie sztabu jednym uderzeniem też nie jest możliwe...

– A czy Połkanow cię nie okłamał, że podłożyli tam dynamit?

– Nie, nie okłamał. Jak przypuścicie szturm na ambulatorium, zastaniecie zwały gruzu.

– Wielkie rzeczy! Czym tu się przejmować?!

– Dziękuję, Timosza, że mną też nie trzeba się przejmować. –

Aleksiej się uklonił. – Jestem oczywiście gotów wylecieć w powietrze razem z wrogami rewolucji, ale zginiecie tylko wy, czekać, bo sztab Związku weźmie nogi za pas. W piwnicy jest podziemne przejście. Gdzie dokładnie, Połkanow mi nie powiedział.

– Nie słyszałem przecież o podziemnym przejściu. – Kriukow zaczął się usprawiedliwiać. – Nie było mnie, gdy o nim mówiłeś.

Orłow na niego syknął.

– No to się nie wtrącaj. Jedź dalej, Losza.

– Co możemy zrobić? Nie da się uciąć głowy hydrze. Ale można odrąbać wilkowi wszystkie cztery łapy.

– Zgarnąć trzech dowódców dywizji i Mirkina – wyjaśnił Orłow asystentowi. – Bez nich łączność między Sawwinem i organizacją zostanie przerwana.

Kriukow kiwnął głową.

– To jasne. Wiemy, gdzie szukać dwóch łap, Mierkurowa i Mirkina. Ale nie mamy adresów Scherera i Żbanowa. Sawwin nawet z dwoma dywizjami narobi w Moskwie takiego bigosu, że nie wiadomo, czym to się skończy. Brać oficerska, junkrzy i cały antyradziecki element powyłazi z nor. Czyżbyś nie mógł, Romanow, wyciągnąć z Połkanowa pozostałych adresów?

– To sprytny i ostrożny facet. Nie o wszystkim mi mówi. Nie do końca ufa. Dlatego wpadłem na pewien pomysł...

Orłow podchwycił.

– Operacja Zaufanie. Chodzi o to, żeby Połkanow zaczął ufać naszemu Loszy jak sobie samemu. I tutaj, drogi towarzyszu Kriukow, wracamy do wspomnianej muszki.

– Mówcie jaśniej, dobra? – Kriukow przesunął wzrok z jednego na drugiego. – Coście wymyślili?

– Powiedziałem Połkanowowi, że najlepszy sposób obrony to atak. Co jest dla nas, powiadam, najważniejsze? Żebyśmy nie zostali namierzeni przez CzK. A CzK to przede wszystkim członek ich przekłętą kolegium Orłow, który zawiaduje całym

aparatem ścigania. Strasznie niebezpieczny bydlak: cwany, rzutki, podejrzliwy.

– Ej, ej, wolnego. – Orłow pokazał pięść.

Kirukow wyszczerzył zęby.

– No co? Romanow dobrze cię opisał. I?

– Połkanow mówi: nasłuchałem się na temat Orłowa. To poważny przeciwnik.

– Proszę. – Orłow podniósł palec. – Ludzie mnie szanują.

– Daruj sobie te swoje żarty. – Kriukow go szturchnął. – Co dalej?

– Mówię: trzeba zlikwidować Orłowa. Bez niego CzK zacznie się miotać jak kura z odciętą głową. Zyskamy na czasie. Podczas gdy Dzierżyński będzie szukał kogoś, kto zastąpi Orłowa, nadejdzie pierwszy czerwca.

– Romanow chce mnie wziąć na muszkę, rozumiesz? – Orłow uśmiechnął się wyzywająco. – Własną ręką sprzątnąć starszego towarzysza. Co na to powiesz? Mnie się pomysł podoba.

Kriukow zamrugnął.

– Chwileczkę, bo nie rozumiem... Jak to sprzątnąć?

– Połkanow też mnie zapytał jak. Mówię mu: biorę to na siebie. To moja profesja. Nakreśliłem szczegóły. Pogłówkował, pogłówkował... i się zgodził. Dlatego wypuszczono mnie z ambulatorium – żebym szykował akt terrorystyczny wymierzony w agenta z CzK.

– A co na to Sawwin? – półgłosem zapytał Orłow. – Zatwierdził?

– Połkanow go nie powiadomił. Mówi: Wiktor Borisowicz i Orłow byli kiedyś razem. Sawwin może mieć skrupuły. Podejmę decyzję, powiada, w ramach swoich kompetencji.

– Taaak, życie bywa przewrotne. – Orłow westchnął. – Gdyby przed rewolucją ktoś mi powiedział, że będziemy z Wiktorem na siebie polować... Jesteśmy przecież z tej samej gliny, niemal jak bliźniacy. Ale nasze drogi się rozeszły. Teraz nie niszczę, tylko

buduję. Skoro Sawwin chce przeszkadzać, tym gorzej dla niego. Szkoda, ale mówi się trudno. – I jeszcze raz westchnął.

Aleksiej doskonale go rozumiał. Miał ten sam problem: swoi, którzy teraz stali się obcy.

– Tylko się nie rozklejaj, jeden inteligent nam wystarczy – trzeźwo powiedział Kriukow. – No a jak zamierzasz zabić towarzysza Orłowa, Romanow? Nie rozumiem.

– Na ulicy, na oczach przechodniów palnę z okna albo z jakiegoś strychu. Swego czasu do numerów z fałszywym strzelaniem w kontrwywiadzie używaliśmy specjalnej kulki z cienkiej gumy, z czerwoną farbą w środku. Pif-paf! Człowiek chwytą się za serce, między palcami krew. Wali się z nóg. W „Prawdzie” piszą: „Członek kolegium WCzK towarzysz Orłow padł ofiarą w bezpardonowej walce”, drukują ładny portret w czarnej ramce. Po tym wszystkim Związek Obrońców Ojczyzny obdarzy mnie pełnym zaufaniem.

– Sprytnie pomyślane – z aprobatą rzekł Kriukow. – Brawo, Romanow.

Orłow wstał, podszedł do okna. Udał, że celuje z karabinu.

– Sprytnie, owszem, ale nie za bardzo. Po pierwsze, jeśli dostanę kulkę, to znaczy, że będę musiał się ukryć, przejść do podziemia. Nie mogę, roboty po uszy. A po drugie, Losza, jesteś oczywiście profesjonalistą, ale ja też znam się trochę na tych sprawach. Zdarzało mi się strzelać do ptactwa z zasadzki. Czym zamierzasz do mnie kropnąć? Ślepym nabojem?

– No przecież nie bojowym.

– W takim razie coś ci powiem. Potrafię odróżnić strzały oddane ostrymi i ślepymi nabojami. Twój Wasilij Wasiljewicz nie jest głupcem, pewnie wyśle kogoś, żeby zobaczył, jak ginie czekistowski dowódca. I najprawdopodobniej będzie to ktoś z doświadczeniem. Jeśli uzna, że strzelałeś ślepakiem, zamiast operacji Zaufanie będziemy mieli operację Kłapa.

Aleksiej się zachmurzył. Orłow miał rację.

– Proponujesz, żebym strzelał ostrym nabojem, ale obok?

– To też ryzyko. Kula odbije się rykoszetem od jezdni albo od czegoś innego, pójdą iskry – ktoś może to zauważyć. Nie, Losza. Lepiej strzelaj na poważnie. Nie zabijesz mnie, tylko zranisz. To wystarczy, by zdobyć zaufanie, ja zaś nie będę musiał przechodzić później do podziemia.

– Jak to zranię? Mówisz poważnie? – z niedowierzaniem zapytał Romanow.

– No tak. Lekko. Dobrze strzelasz?

– Przyzwoicie, w dodatku Połkanow obiecał dać mi mauzera z celownikiem optycznym. Z kolbą opartą na ramieniu przedziurawię kopiejkę z jakichś pięćdziesięciu metrów, ale... Jesteś pewien?

– Tima, twój mauzer dobrze strzela? Daj mu go.

– Coś ty wymyślił? – zapytał Kriukow, wyjmując duży pistolet z drewnianej kabury.

– Podejdź tutaj. – Orłow przywołał Aleksieja do okna. – Nasz kierownik administracyjny, towarzysz Jagoda, akurat wraca ze stołówki.

Na dole, na podwórzu, wyelegantowany mężczyzna ostrożnie niósł przed sobą menażkę z gorącą zupą.

– Zaraz sprawdzimy, jaki z ciebie Wilhelm Tell. Jagoda nie powinien jeść tego kapuśniaku. Jest niesmaczny, próbowałem.

Kriukow z chichotem szturchnął Aleksieja w ramię.

– Dalej, Romanow. Zobacz, jaki ma piękny generalski mundur.

Zważywszy mauzera w dłoni, Aleksiej powiedział ze smutkiem:

– Poważni ludzie, podpora państwa. Łobuzy!

Odczekał, aż idący odwróci się bokiem, i dopiero wtedy, popisując się, poderwał rękę. Wystrzelił, jak gdyby w ogóle nie celując (w rzeczywistości wycelował, ma się rozumieć, ale bardzo szybko).

Przedziurawiona menażka ożyła, wyskoczyła z rąk ofiary

eksperymentu, a sam kierownik administracyjny podskoczył jak oparzony, krzycząc wniebogłosy.

Obrócił się w kierunku pękających ze śmiechu Orłowa i Kriukowa (Aleksiej roztropnie schował się za zasłoną). Cały mundur towarzysza Jagody pokryty był parującą kapustą.

– Głupek z ciebie, Orłow, żarty też masz głupie! Napiszę raport Dzierżyńskiemu! Zniszczyłeś mi mundur! I oficerki giemzowe!

– To nie ja, tylko Kriukow. – Orłow pokazał palcem. – Ale nieumyślnie. Czyścił mauzera.

Ze śmiechem odsunął się od okna.

– À propos oficerków giemzowych. W następnym tygodniu dostaniemy dziesięć par, żeby nagrodzić wyróżniających się pracowników. Jeśli fachowo mnie podziurawisz, Losza, jedna para jest twoja. Ale jeśli ręka ci drgnie i mnie zabijesz, będziesz musiał o nich zapomnieć... Przestań chrząkać, Chriukow – powiedział do Kriukowa, który zwijał się ze śmiechu. – Jagoda właśnie smaruje na ciebie raport do szefa WCzK, a ty rechoczesz.



26 Popularna gra dziecięca, która powstała prawdopodobnie w XVI wieku. Grają dwie drużyny: Kozacy łapią rozbójników, oni zaś usiłują przejąć sztab Kozaków (przyp. tłum).

Operacja Zaufanie

Przez parę dni zastępca szefa sektora ochrony i funkcjonariusz WCzK szykowali się do operacji, każdy na swój sposób. W ramach pierwszej funkcji sztabkapitan Romanow godzinami studiował rutynowe zachowanie i codzienne trasy „celu”, gorliwie testował w ambulatorium K 96 z chałupniczo, ale doskonale wykonanym celownikiem optycznym. Wasilij Wasiljewicz zwolnił zastępcę ze wszystkich pozostałych obowiązków.

Czekista Romanow też nie marnował czasu. Wymyślił dla Orłowa codzienne czynności i trasę, które pozwalały dokonać zamachu, a następnie przygotował „cel” do przedstawienia.

Na ulicy Bolszaja Łubianka pod numerem 11 kończyły się prace związane z adaptacją dawnej siedziby towarzystwa ubezpieczeniowego Kotwica dla sztabu WCzK. Willa na Powarskiej zrobiła się ciasna dla rozrastającego się szybko urzędu, brakowało gabinetów, nie było gdzie urządzić więzienia dla ważnych oskarżonych – a niebawem spodziewano się ich masowego napływu. Dlatego wybrano duży dwupiętrowy dom z zamkniętym dziedzińcem, z mnóstwem wygodnych pomieszczeń i z obszerną piwnicą. Teraz burzono tam niektóre ściany działowe i wznoszono inne, zwożono meble, montowano sejfy, wymieniano drzwi i tak dalej. Osobisty nadzór nad wszystkimi robotami sprawował członek kolegium towarzyszy Orłow. Każdego dnia o dziesiątej rano, punktualnie jak w zegarku, przyjeżdżał na Łubiankę i wchodził do budynku.

Miejsce było idealne. Naprzeciwko opuszczony dom, a w nim

strych z dymnikiem. Linia strzału – dwadzieścia pięć metrów, nie sposób chybić nawet bez celownika optycznego.

Umówili się, że Orłow wysiądzie z auta i przez chwilę będzie stał nieruchomo oparty o drzwi – jakby dawał dyspozycje kierowcy. Aleksiej zamierzał strzelić w kołnierz, żeby drasnąć Orłowa w szyję. Taka rana wygląda na ciężką, mocno krwawi, ale szybko się goi. Strzał musiał być, rzecz jasna, precyzyjny, Romanow był jednak pewien, że nie chybi. Sam przygotował naboje, odmierzając ładunek prochu na wadze aptekarskiej, żeby zgadzał się co do miligrama. Potrenował z tej samej odległości i niebawem ścinał łebek gwoździa wbitego w ścianę.

Gdy wszystko zostało przygotowane i przewidziane, zameldował Połkanowowi: już czas. Wasilij Wasiljewicz zażądał zorganizowania próby.

Rano wspięli się razem na strych i zobaczyli, jak za dwie dziesiąta pod przyszły sztab WCzK zajeżdża packard, wysiada z niego dziarski Orłow, a za nim niezgrabny Kriukow.

– Oddam strzał i pobiegnę o tam. – Romanow pokazał na dach przyległego domu. – Zejdę kuchennymi schodami, przemknę podwórzami w zaułek na Kuzniecki, tam będziesz czekał w dorożce.

Wasilij Wasiljewicz obejrzał wszystko dokładnie. Uprzedził:

– Plan jest dobry, ale szwankuje jedna rzecz. Na odgłos strzału czekiści rzucą się do okien. Zobaczą, że po dachu naprzeciwko biegnie człowiek, i otworzą ogień. Tutaj nie ma gdzie się ukryć.

– Zanim się zorientują, co się dzieje, mnie już nie będzie.

– Dobrze. Jutro załatwimy czekistę, wbijemy gola czerwonym.

– Połkanow promiennie się uśmiechnął. – Zapowiada się ładna akcja. Nie gorsza niż wtedy, gdy stuknęliśmy ministra Plehwe. Będą o tym pisać w podręcznikach.

Nazajutrz pojechali we trzech: z przodu, udając dorożkarza, człowiek Połkanowa, z tyłu Aleksiej i Wasilij Wasiljewicz. Zatrzymali się na moście Kuznieckim koło dawnej filii Muira i Mirrieleesa, obecnie ziejącej wybitymi witrynami.

– Czekać na nas tutaj, Kola – powiedział Wasilij Wasiljewicz. – Gdy tylko wypadniemy z tamtej bramy, od razu ruszaj. Wskoczmy w biegu.

Nachylił się i podniósł coś długiego, owiniętego w szmatkę. Wsiadł z dorożki.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Romanow. – Co tam masz?

Połkanow w milczeniu dał nura do bramy, odwinął nieco szmatkę – błysnął czarny metal.

– Jedna pukawka to dobrze, ale dwie jeszcze lepiej. Tego zwierza trzeba położyć bez pudła.

Aleksieja ogarnęła panika, serce podeszło mu do gardła. Wszystko przepadło. Trzeba zrezygnować z operacji. Ale jak?

– Nie tak się umawialiśmy. Po cholere się za mną wleciesz? Będziesz tylko przeszkadzał!

Połkanow patrzył, figlarnie się uśmiechając.

– Ogarnęła mnie zazdrość, Alosza. Też chcę trafić do podręczników. Daj spokój, nie bądź zachłanny. Rozegramy piłkę we dwóch.

Co robić? Co robić? Co robić?!

Ogłuszyć uderzeniem w twarz i zgarnąć? Nic trudnego, ale co potem? Połkanow to twardy facet, nie zdradzi pozostałych adresów. O torturach nie ma przecież mowy. Zająć ambulatorium? Jest tam tylko Maria Lwowna, ale to żelazna baba. Można by aresztować Mierkurowa i Mirkina. Wątpliwe jednak, żeby siedzieli w domu w ciągu dnia, a wieczorem będą już wiedzieli o aresztowaniu Połkanowa.

– Czemu się tak ociągasz? – Wasilij Wasiljewicz się odwrócił. – Puszczają ci nerwy?

– Nie ma się po co śpieszyć. Obliczyłem wszystko co do

sekundy.

Nie podjąwszy żadnej decyzji, wspiał się po schodach za Połkanowem.

Na strychu Wasilij Wasiljewicz wyjął kompaktowy karabin, idealną broń do strzelania z niedużej odległości. Pomrukując, wsunął naboje do bębena.

– Ech, Aloszeńka, gdybyś widział, jak podczas ekspropriacji ładnie zdjąłem z tej maszynki całą ochronę, czterech konnych. Jak kaczkę.

Zdjął marynarkę, starannie umieścił ją na parapecie. Opuścił szelki, zakasał rękawy. Chwycił karabin i wycelował w mur.

– Stańmy jeden obok drugiego, jak papużki nierozłączki. Walimy na „trzy”. Co tak sterczysz? Już za pięć.

Romanow zajął pozycję. Już wiedział, co zrobi, i bardzo mu się to nie podobało.

Pokazał się packard.

– Równo dziesiąta – szepnął Wasilij Wasiljewicz, przesuwając lufę. – Punktualność jest grzecznością królów. Gotów? Odliczam.

Samochód się zatrzymał.

– Raz...

Orłow wysiadł, oparł się o drzwi. Z przedniego siedzenia wygramolił się Kriukow.

– Dwa...

Aleksiej strzelił. Orłow runął jak długi.

– Coś ty zrobił?! – Połkanow obrócił się ze złością. – Przecież powiedziałem: na „trzy”!

– Nie chcę dzielić się sławą. – Romanow uśmiechnął się krzywo.

Na ulicy podniósł się krzyk. Ludzie zaczęli wyglądać przez okna.

– Ty idioto! Tylko go raniłeś! – wysyczał Wasilij Wasiljewicz, spojrzawszy w dół, po czym znowu przywarł do celownika.

Orłow próbował wstać, a Kriukow miotał się koło niego,

popatrując w stronę strychu. Chyba zauważył karabin, bo runął prosto na dowódcę, osłaniając go swoim ciałem.

W tej samej chwili padł strzał. Aleksiej zobaczył, jak ze skórzanej kurtki Kriukowa, na środku pleców, lecą strzępki.

– Zauważyli! Wiejemy!

Chwycił Połkanowa za łokieć, odciągnął od okna.

W domu naprzeciwko rzeczywiście krzyczano:

– Na strychu! Na strychu!

– Czeka!

Wasilij Wasiljewicz spokojnie poprawił szelki, włożył marynarkę.

Wybiegli na dach.

Romanow się obrócił.

Orłow słabo się poruszał pod nieruchomym Kriukowem.

Źle, bardzo źle.

Z okien naprzeciwko zaczęto strzelać. Raz i drugi nieprzyjemnie załomotała blacha.

– Wyciągaj nogi! – zawołał Połkanow, oglądając się.

Aleksiej podniósł mauzera i strzelił biegnącemu w plecy, powyżej łopatki. Ten jęknął i upadł.

– Dostałeś? – Romanow się pochylił.

Usiłując się uśmiechnąć, Wasilij Wasiljewicz wychrypiął:

– Nie poszczęściło się...

Powietrze huczało i trzaskało, z okien strzelano coraz gęściej.

– Jazda, wstawaj! Bo cię zabiją!

– Nie mogę... Biegnij... Zameldujesz... A ja...

Aleksiej chwycił ciężkie ciało pod pachy, zawlókł za spód dachu, gdzie nie sięgały kule.

– Nie udźwigniesz... – wymamrotał Połkanow. – Sam tylko wpadniesz... Uciekaj!

– Zamknij się! Nie zostawiam swoich.

Zeszli, objąwszy się, kuchennymi schodami. Wasilij Wasiljewicz przygryzł wargę, ale nie krzyczał, cierpiał

w milczeniu.

Zataczając się, przecięli podwórze.

– A ja nie chciałem ci wierzyć... Wydawało mi się... Wybacz, Alosza... – bełkotał Połkanow, którego wciąż ściągało na bok.

– Bóg ci wybaczy. Ruszaj się, do jasnej cholery! Już niedaleko!

Sentymenty

W ambulatorium rannego od razu zoperował doktor Zass, cichy człowiek, który za wszelką cenę udawał, że nie ma pojęcia, czym się zajmują sąsiedzi. Teraz też nie zapytał, jak to się stało, że „doktor Ananjew” w biały dzień dostał kulkę w plecy i dlaczego nie zawieziono go do prawdziwego szpitala.

– Wyjąłem kulę, opracowałem kanał, ale uszkodzony został szczyt płuca. Trzeba do szpitala – oznajmił Sawwinowi i Romanowowi, nie patrząc im w oczy.

– Och, inteligenci. – Najniebezpieczniejszy człowiek w Rosji pokręcił nad nim głową. – Osobliwy gatunek. Za cara pomagali rewolucjonistom, ale udawali, że nie mają pojęcia o bombach i krwi. Teraz pomagają kontrrewolucjonistom, wciąż pozując na świętoszków. Dlatego nikt im nie wierzy – ani stary, ani nowy reżim. Jak zwyciężymy, też nie będziemy ich kochać. Jest bowiem powiedziane: „Skoro jesteś letni i ani gorący, ani zimny, chcę cię wyrzucić z mych ust”[\[27\]](#).

– Co z Wasilijem Wasiljewiczem? – Romanow patrzył na woskową twarz z zamkniętymi oczami. – Umrze tutaj. Może go wysłać do szpitala, jak radzi Zass? Co w tym dziwnego, że jacyś rabusie zranili człowieka?

A w szpitalu zgarnie go CzK, pomyślał. Sawwin jednak powiedział:

– Proszę się nie martwić. Podobnie jak pan nie zostawiam towarzyszy broni. Zjedliśmy z Połkanowem niejedną beczkę soli. Przetransportujemy go tam, gdzie będzie miał dobrą opiekę i żaden szpicel go nie namierzy. Są ludzie, którzy to zorganizują.

Ech, szkoda, że w najgorętszym czasie zostałem bez takiego pomocnika! Jakby mi ktoś uciął prawą rękę!

– To przeze mnie. Pomysł był mój. – Aleksiej się zasepił.

– Pomysł był dobry. Nie szkodzi, że nie zabiliście Orłowa i że jest tylko ranny. Oddamy go jeszcze pod sąd. Skażemy na śmierć, a potem ułaskawimy za poprzednie zasługi. Ciekawe, czy on też by mnie ułaskawił? – w zamyśleniu wymamrotał Sawwin. – Nieważne. Ważne jest to, sztabkapitanie, że teraz na panu spoczywa sektor ochrony. Przed narkozą Wasilij Wasiljewicz poręczył za pana. Jutro przedstawię pana w sztabie, niech pan chwyta wodze i zgłębia wszystkie nasze sekrety. Tylko szybko, nie ma czasu na długie zaprzęganie.

*

Niebawem Romanow wiedział wszystko na temat Związku Obrońców Ojczyzny. Przybliżona liczebność – pięć tysięcy członków w samej Moskwie. Większość czeka tylko na rozkaz, żeby o wyznaczonej godzinie zjawić się w punktach zbiórki, gdzie otrzyma broń i zadania bojowe. Oddziały Związku są w Kazaniu, Jarosławiu, Rybińsku, Riazaniu, Czelabińsku, Kałudze, Muromiu i w Tule (Aleksiej podał Orłowowi nazwiska i adresy przywódców, żeby przekazał je miejscowym czekistom).

Teraz znał też adresy wszystkich dowódców dywizji, a od nich, niby w celu poprawy bezpieczeństwa, wyciągnął informacje o miejscach pobytu wszystkich dziewięciu dowódców brygad i dwudziestu siedmiu dowódców pułków. Jedyne, co pozostało tajemnicą – gdzie ukrywa się Sawwin, ale nie miało to już żadnego znaczenia dla planu operacji, który przygotowywała WCzK.

Aleksiej uznał, że wyprowadzi się z ambulatorium – w niezależnym mieszkaniu będzie miał większą swobodę

ruchów, toteż już pierwszego wieczoru wrócił do Trubnikowskiego. Trafił akurat na kolację.

Wienia Kopiejszczikow rzucił się, żeby uścisnąć mu rękę, i zaprosił do stołu, ale Zinaidy Andriejewny nie ucieszyło niespodziewane pojawienie się marnotrawnego lokatora. Siedziała w milczeniu ze wzrokiem wbitym w serwetę. Niezręczne pauzy jednak się nie pojawiały. Junkier paplał bez opamiętania, dzielił się nowinami z konspiracyjnego życia.

– Szkoda, że muszę wyjść – powtarzał bez przerwy. – Akurat teraz, jak na złość! Ale służba to służba. – I przerywał znacząco, lecz tylko na chwilę.

W końcu rzecz jasna nie wytrzymał i zniżając głos, z dumą oznajmił, że powierzono mu bardzo odpowiedzialne zadanie: transport broni do tajnego magazynu pułku. Aleksiej znał adresy wszystkich magazynów broni, toteż poradził chłopakowi, żeby trzymał język za zębami. Wienia się zaczerwienił, pożegnał nadąsany i wyszedł.

Pozostali we dwoje, pogrążeni w uciążliwym milczeniu.

– Widzę, że mój powrót sprawił pani przykrość – rzekł Romanow z westchnieniem. – Przez cały wieczór ani razu się pani nie odezwała i nie obdarzyła choćby jednym spojrzeniem. Proszę się nie trudzić, Zinaido Andriejewno, wszystko rozumiem. Zaraz spakuję rzeczy i się wyprowadzę. Nie będę się dłużej narzucał.

Wstał.

– Niech pan usiądzie. – Gruzincewa podniosła oczy. Płonęły jaskrawym blaskiem. – Nic pan nie widzi i niczego nie rozumie. Przez cały ten czas myślałam tylko o jednym: on już nie wróci. I miałam wrażenie, że moje życie się skończyło... Wiem, że wcale pana nie znam. Że sobie pana wymyśliłam. Ale czuję jedno. Widzę. Życie okaleczyło pana tak samo jak mnie. Jest pan samotny. I podobnie jak ja chce się pan wyleczyć i pozbyć tej dokuczliwej choroby. Niech mi pan nie przerywa! – poprosiła. –

Boję się, że nie dam rady dokończyć... Teraz nie obowiązują żadne zasady przyzwoitości. Nadeszły straszne czasy. Śmierć zerwała się z łańcucha. W każdej chwili wszystko może się skończyć. Dlatego każdy dzień, każda godzina są szczególnie cenne. W zderzeniu ze śmiercią miłość ma niewielkie szanse... – Zinaida Andriejewna wstała. – Proszę. Nie potrzeba żadnych słów. Niech mnie pan obejmie. Zwyczajnie obejmie. I to wszystko. Tylko powoli. Inaczej pęknie mi serce...

Zamknęła oczy, wyczekująco wyciągnęła rękę. Aleksiej też gwałtownie wstał – krzesło odsunęło się ze skrzypieniem.

– Trafnie pani odgadła, Zinaido Andriejewno. Niemal bezbłędnie... Ja też jestem okaleczony przez życie. I też cierpię na samotność. Ale w jednym się pani myli. Nie chcę się wyleczyć. To nieuleczalne. Proszę mi wybaczyć, przepraszam...

I prędko się odwrócił, żeby nie widzieć jej zmienionej twarzy. Wyszedł, stukając obcasami. Byle jak powrzucał rzeczy do torby. Już na schodach, za drzwiami, złapał się za pierś z lewej strony. Serce tak mu się ścisnęło, że nie mógł złapać tchu.

– To nic – powiedział głośno. – Zatrzymam się w ambulatorium. Tak będzie nawet lepiej.

*

Dla sprawy było to chyba rzeczywiście lepsze – przygotowywać się do operacji w miejscu, gdzie do niej dojdzie.

Wyznaczono już dzień i godzinę – trzydziestego pierwszego maja, dziewiąta rano. O tej porze odbędzie się ostatnie posiedzenie sztabu przed powstaniem. Romanow wymyślił, jak rozwiązać problem zarówno z dynamitem, jak i z podziemnym przejściem. Nikt nie uniknie aresztowania, łącznie z Sawwinem.

Coś jednak nie dawało mu spokoju. Ulubiony dowódca, książę Kozłowski, uczył kiedyś zielonego Aloszę Romanowa, że agent

kontrwywiadu odnosi sukces, jeśli jest w dobrej kondycji psychicznej, ona zaś składa się z dwóch elementów: pobudzenia umysłowego i wewnętrznego spokoju. Na brak tego pierwszego Romanow nie narzekał – nocą na trzydziestego nie spał ani minuty. Ale z wewnętrznym spokojem sprawa wyglądała o wiele gorzej. Wraz ze zbliżającą się wyznaczoną godziną rozdrażnienie przybierało na sile.

O świcie Aleksiej przestał przewracać się na łóżku i przystąpił do rozwiązywania problemu.

Nie udało mu się przekraść niezauważenie przez przedpokój, gdzie na materacu spała czujna jak pies Maria Lwowna. Piekielna baba natychmiast uchyliła powiekę i wsunęła rękę pod poduszkę, ale na widok Romanowa się uspokoiła. Skoro dowódca idzie gdzieś o brzasku, to znaczy, że ma ku temu powód.

Pustą i chłodną, ale jeszcze śpiącą Moskwą dotarł do zaułka Trubnikowskiego. Zaczął rzucać kamyczkami w okno pokoju Wieni. Po szóstym trafieniu za szybą pojawiła się rozczochrana głowa. Aleksiej przyłożył dłonie do ust i przywołał chłopaka – zejdz na dół i nie obudz siostry.

– Sprawy mają się niewesoło, junkrze – powiedział ponuro, gdy chłopak wybiegł. – Spisek został wykryty. Dzisiaj nastąpią masowe aresztowania. Niech pan wyjedzie stąd jak najprędzej i zabierze Zinaidę Andriejewnę. Nieważne dokąd, byle jak najdalej z Moskwy. Tu są pieniądze i dokumenty.

Wasilij Wasiljewicz miał w ambulatorium zapas blankietów i fałszywych pieczęci dowolnych instytucji radzieckich – na wszelkie okazje.

Chłopak zaczął oczywiście zasypywać Romanowa pytaniami, ale ten mu przerwał.

– Nie ma czasu. Muszę jeszcze uprzedzić pozostałych. Niech pan uważa na siostrę. To wszystko. Jest pan wojskowym, a to rozkaz. Wykonać!

Właśnie dzięki Aleksiejowi CzK znała cały łańcuch od dowódcy

dywizji Mierkurowa w dół do drużyny Zotowa, w której figurował Wienia. Aresztowano by zarówno jego, jak i Zinaidę Andriejewnę.

Teraz nie aresztują.

Ulżyło. Ale pozostał jeszcze jeden sentymentalny problem. Aleksiej nie żałował członków kontrrewolucyjnego sztabu – prócz jednego. W ciągu ostatnich dni parę razy odwiedził rotmistrza Mirkina, liczył, że wybada źródła finansowania w rozmowie. Nie wybadał. Ale nabrał sympatii do Lwa Abramowicza. Grali w szachy, gawędzili o rozmaitych sprawach, serdecznie się śmiali. Mirkin należał niestety do zaciekłych wrogów bolszewizmu, ale był to człowiek wspaniały, jakich mało. Aleksiej nie miał ochoty skazywać go na pewną śmierć. Dlatego z zaułka Trubnikowskiego udał się na Siwcew Wrażek i obudził przyjaciela.

Mirkin to nie junkier; Romanow musiał udzielić mu szczegółowych wyjaśnień.

– Otrzymaliśmy informacje operacyjne, że w trakcie dzisiejszego posiedzenia sztabu czekaści zajmą ambulatorium. Najpierw paru agentów, podszywając się pod zwyczajnych pacjentów, usiądzie w poczekalni przed gabinetem doktora Zassa. Później zjawią się główne siły. Właśnie przed chwilą doniósł mi o tym zaufany człowiek. Nie wróć do ambulatorium, to ryzykowne. Bardzo możliwe, że zarządzono już obserwację budynku. Dlatego uprzedzam członków sztabu, każdego w jego mieszkaniu. Jutrzejszy wymarsz odwołany. Gdy tylko znajdę nową siedzibę dla sztabu, od razu poinformuję. Oto pański nowy adres. Tylko ja go znam. Niech pan czeka na sygnał. A teraz proszę wybaczyć, ale muszę jeszcze powiadomić Scherera i Żbanowa.

– A Wiktor Borisowicz? – krzyknął za nim Mirkin. – A Zass?

– Zass nie zna żadnych tajemnic, a Sawwin został już uprzedzony. W tej sytuacji uruchomiono specjalny kanał

łączności. Niech pan nie zwleka i natychmiast się stąd zabiera!

Na ulicy Aleksiej przestał udawać pośpiech i pozwolił sobie na papierosa.

Teraz jego stan psychiczny nie budził najmniejszych zastrzeżeń.

W ramach kontroli zdążył jeszcze zajrzeć na Powarską, gdzie przygotowania szły pełną parą.

Nietuzinkowość operacji polegała na tym, że nie wymagała zaangażowania wielu ludzi. Paru krzepkich chłopców oraz pluton porządkowy, którego członkowie nie domyślali się, po co kazano im się stawić przy ciężarówkach o tak wczesnej porze.

Aresztancką grupą dowodził blady ze zdenerwowania, przytłoczony odpowiedzialnością Szwarc.

– Nie histeryzuj, Osia – powiedział Aleksiej. – Wszystko pójdzie jak z płatka. Chcesz, to jeszcze raz powtórzmy plan?

– Dobrze.

– O wpół do ósmej w ambulatorium zbiorą się członkowie sztabu. Sawwin jak zwykle przyjdzie ostatni. Ja zjawię się o ósmej. Gdy tylko stwierdzę, że wszyscy są na miejscu, zatelefonuję do was. Powiem, jak ustaliliśmy: „Bogdanie Iwanowiczu, niech pan przyśle strzykawki”. Maria Lwowna nie będzie niczego podejrzewała, ponieważ Bogdan Iwanowicz to pracownik magazynu RKKA, który kradnie broń dla spiskowców...

– Nie musisz aż tak szczegółowo. Nie rób ze mnie idioty. – Szwarc uśmiechnął się lekko: już dobrze.

– Dalej sprawa jest prosta. Wysyłasz pluton porządkowy do ambulatorium, prujesz z grupą do Butikowskiego. Ciężarówki z hałasem zajeżdżają pod ambulatorium. Powiedziałeś, żeby trąbili?

– Powtórzyłem trzy razy.

– Dobrze. Nie powinni zaskoczyć ochroniarzy na skwerze, bo wtedy tamci ze strachu zaczną się ostrzeliwać. To nam

niepotrzebne. Niech biegną do domu – uprzedzić. Zgodnie z planem ewakuacji awaryjnej wszyscy zejdą do piwnicy, po czym ruszą podziemnym przejściem. Zostanę, żeby podpalić lont – rzekomo. Doskonale wiesz, gdzie wyjdą przez właz. Przyjmiecie ich z honorami w Butikowskim, każdego po kolei.

Plan ogromnie się Aleksiejowi podobał. To dzieło sztuki, a nie operacja. Na pewno trafi do podręczników.

– Jesteś geniuszem, Romanow – powiedział uspokojony Szwarc. – Może chociaż po mamie jesteś Żydem?

– Życie zrobiło ze mnie Żyda – odparł Romanow. – No dobra, pryskam. Już siódma dwadzieścia pięć.

*

Pierwsza rzecz, która wydała mu się dziwna, ale jeszcze go nie zaniepokoiła – na skwerze przed ambulatorium nie było ochroniarzy. Ani jednego. Członkowie sztabu się spóźniają?

Później Aleksiej zobaczył Zassa pośpiesznie schodzącego po schodach, w każdej ręce skórzana torba.

– Dokąd to, doktorze? Co z pacjentami?

Zass wlepił zdumiony wzrok w Romanowa.

– Pan wybaczy, ale nie rozumiem waszych zagadek... Kwadrans temu przybiegł pan Mirkin, bardzo zdenerwowany. Najpierw zawołał: Mario Lwowno, doktorze, ja po was! Pomyślałem, że Romanow was nie uprzedził! Uciekajcie czym prędzej!”. Maria Lwowna mu na to: „Jak to uciekajcie? Dlaczego? Wszyscy właśnie przyszli”. A potem... potem wszyscy zaczęli biegać i krzyczyć: „Czekiści, niedługo przyjdą czekisci”. Nie minęła chwila, a zostałem sam. Nikt mi niczego nie wyjaśnił! Spakowałem najpotrzebniejsze rzeczy, no i... Może przynajmniej pan mi powie, co powinienem robić?

Aleksiej stał ledwie żywy. Wrażliwiec, zachciało mu się

wewnętrznego spokoju. Rozstrzelać go teraz to mało...

Odepchnął doktora, rzucił się do ambulatorium, żeby zadzwonić.

Po chwili namysłu Zass pobiegł w drugą stronę.

*

– Nie spuszczaaj nosa na kwintę, Losza. Zadanie odrobiłeś najwyżej na dostateczny z plusem, ale egzamin zdałeś. Grunt, że nie będzie powstania.

Orłow leżał jeszcze w szpitalu, ale tego dnia znowu przejął dowodzenie. W jego sali umieszczono aparat telefoniczny, dostarczano komunikaty i doniesienia. Na szafce przy łóżku leżały wykazy aresztowanych, przyciśnięte popielniczką ze stertą niedopałków.

– Sawwin i członkowie sztabu zdołali się oczywiście wymknąć, ale prawie wszyscy dowódcy brygad i pułków zostali aresztowani, przejmujemy też jeden po drugim magazyny z bronią.

Rozległo się pukanie do drzwi, wszedł oficer z kartką. Orłow odwrócił się niezgrabnie i zabrał do czytania.

– Dobra wiadomość. Zajęto skład broni należący do ich oddziału kawalerii, okazało się, że był w nim nasz „Żyd bojownik”, Mirkin.

– Zgarnęli go? – Posępny Romanow drgnął.

– Martwego. Wyszarpnął pistolet, więc chłopcy go rozwalili. Szkoda. Nie nauczyli się jeszcze brać żywcem. No i nie dowiemy się, kto finansował Związek.

Przyjrzał się Aleksiejowi.

– Ej, co to za kwaśna mina? Powinieneś być dumny. Dokonałeś wielkiej rzeczy! Zniszczyłeś spisek przeciwko republice. I prawie bez strat z naszej strony. Straciliśmy tylko jednego człowieka, i to

nie dzisiaj, ale wcześniej. Timofieja Kriukowa. Cześć jego pamięci. Cóż to był za towarzysz!

Na twarzy Orłowa pojawił się smutek. Członek kolegium nie na długo pograżył się jednak w żałobie – nie należał do tego typu ludzi. Spojrzenie zwrócone na Romanowa rozbłysło dobrze znanym, niespokojnym blaskiem.

– Jest jeszcze jedna ofiara bohaterskiej operacji WCzK: moja przedziurawiona goleń. Okazało się, że kiepski z ciebie strzelec, Losza, a się przechwalałeś.

– Przecież tłumaczyłem! Musiałem cię postrzelić, żebyś upadł. Inaczej Połkanow załatwiłby cię na amen! Nie miałem wyboru!

– No nie wiem. Nie dostaniesz giemzowych oficerków w nagrodę. Zarobiłeś najwyżej na buty z kirzy. A ja nie mogę włożyć żadnego buta. – Pokazał nogę podwieszoną do sufitu.

Aleksiej nie miał ochoty na żarty. Zebrawszy siły, rzekł:

– Słuchaj, to ja zawałem operację...

I powiedział o Mirkinie, kończąc pełną skruchy relację tak:

– Znając go, powinienem był się domyślić, że rzuci się do ambulatorium na ratunek Zassowi. Gdyby nie mój sentymentalizm, wszystko obróciłoby się inaczej. Teraz ci niedobici reakjoniści rozsieją się na wszystkie strony niczym smocze zęby. A one wzejdą w stu różnych miejscach... Powinieneś mnie postawić przed trybunałem.

Orłow patrzył na Aleksieja spod zsuniętych brwi.

– Ech – powiedział z westchnieniem. – W takim razie ja też powinienem stanąć przed trybunałem. Wyrzucam sobie, że w kwietniu wypuściłem anarchistów. Teraz Aron Wola bruździ nam na Ukrainie, jeszcze się z nim naużeramy. Z innymi też... Najtrudniej likwidować tych, co jeszcze wczoraj byli swoi. Musimy się jeszcze długo uczyć. Czerwonej rewolucyjnej prawdy. Ona zaś jest surowa: przyjaciel to ten, kto jest przyjacielem rewolucji, jej wróg jest też twoim wrogiem. Trzeba się uczyć być bezlitosnym, bez tego nie ma mowy o zwycięstwie. Czerwona

prawda, bracie, właśnie dlatego jest czerwona, że tonie we krwi.



27 Biblia Tysiąclecia, wyd. 5, Pallotinum, Poznań, 2002.

Zielona prawda

Bujda na resorach

Wszystko, co nie jest żałobą, jest świętem. Wszystko, co nie jest bólem, jest radością. Z tą dewizą Mona dożyła – bagatela – trzydziestu czterech lat i ani razu się na niej nie zawiodła. Bywało oczywiście rozmaicie. Trudno się cieszyć, gdy boli ząb albo pęka serce. Ale od czego jest dentysta albo najlepszy lekarz (słusznie – czas)? Ból i żałoba mijają, znowu można było świętować każdy dzień i każdą noc, jako że powód zawsze się znajdzie – i dniem, i nocą. Wystarczy patrzeć na świat nie czarnymi, ale niebieskimi oczami. A Mona miała oczy niewiarygodnie błękitne, jak akwamaryn.

Powód znalazł się i teraz, w niesprzyjających, mówiąc ogólnie, okolicznościach.

Na brudnym dworcu kolejowym, w brudnej poczekalni Mona podeszła z manierką do brudnego pieca po wrzątek, a gburowata baba, która też wsunęła pod kran miskę z pokruszonym chlebem, żeby przyrządzić polewkę, wrzasnęła:

– Nie rusz, beznosa! Gdzie się pchasz ze swoimi parchatymi łapami? Bezwstydna pokraka!

– Sama jesteś pokraka – odparła przez nos Mona. – Zaraz ci napluję do polewki.

I uniosła chustę na twarzy, a pod nią coś pięknego: zamiast nosa niebiesko-purpurowa potworność z dwoma kropelkami ropy (wosk, naturalne farby, włoska żywica). Po wyjściu z pociągu Mona ukryła się w krzakach i zajęła kamuflażem: na twarzy namalowała syfilis w trzecim stadium, przewięzała szmatką. Sądząc po tym, jak babsko odskoczyło na widok tego

majstersztyku, robota udała się wyśmienicie. No i jak się tu nie cieszyć?

Dumna z siebie napełniła manierkę, podrapała się w czoło, na którym jeszcze nie całkiem wyschła gwiaździsta wysypka (gwasz z przesianym piaskiem).

„Byłam kiedyś hafciarką, znałam każdy ścieg”, zanuciła cicho, rozkoszując się nosowym brzmieniem głosu. Gwarantowały go dwie kuleczki waty wsunięte w nozdrza.

No to w drogę! Kolejowy etap wyprawy „Powrót” ma już za sobą i choć nie jest bojaźliwa, prawdziwe przygody dopiero się zaczynają. Pociągi kursują jedynie do Biełgorodu, bo tutaj mniej więcej kończy się władza radziecka. Tereny za miastem są niczyje i nie da się ich pokonać inaczej niż tylko pieszo. Ale czego ma się obawiać żebraczka syfilityczka? Komu jest potrzebna nędzarka taka jak ona?

Pokrzepiona tą myślą ruszyła zakurzoną ulicą od dworca na południe (poobiednie słońce świeciło w prawe ucho). Gdzieś w tamtej okolicy powinna być szosa Charkowska. Nikt nie miał pojęcia, do kogo należy władza w Charkowie – jeszcze do czerwonych, już do białych czy w ogóle do nikogo. Maj roku pańskiego tysiąc dziewięćset dziewiętnastego okazał się psotny i złośliwy, podmuchy jego wiatrów były tak nieprzewidywalne, że sam diabeł by się nie połapał, wszystko się kłębiło i kotłowało.

Ekwipunek wyprawy turystycznej przez dziki step był wspaniały, obmyślony z właściwą Monie starannością.

Jeśli popatrzeć z boku – ohydne łachy. Połatana byle jak workowata kapota (alpejski płaszcz wywrócony na lewą stronę i obsyty parcianym płótnem), na nogach znoszone łapcie (szwajcarskie trzewiki po odpowiedniej obróbce), na plecach podarty worek. Kto zacznie gmerać – od razu zrezygnuje.

Przy wyjściu z miasta, na rogatce, odbył się pierwszy egzamin. Strażnik posądził Monę o spekulację i zaczął grzebać w worku. Zaklął szpetnie, wyszarpnął rękę – palce ubrudzone czymś

brunatnym, lepkiem.

– Co ty tam targasz?!

– Gałganki do wycierania ropy – żałośnie jęknęła Mona i znowu zademonstrowała swój wspaniały nos.

Tak naprawdę była to karminowa akwarela w płynie, niezasychający podkład – niezastąpiona rzecz w pracy, nadaje woskowi żywy odcień, wygląda jak prawdziwa skóra.

Żołnierz nie szukał dalej, nie dokopał się do ukrytego na dnie buldoga, ale też się nie odczepił. Trafił się namolny. Obszukał Monę, wymacał pod kapotą, w wewnętrznej kieszeni, woreczek z blaszkami, ucieszył się.

– Aha! Wyjmij i pokaż!

Z rozczarowaniem dotknął palcem malutkich szpilek i śrubek.

– A to niby co?

– Jestem szwaczką, dobry człowieku. Zrobiłam zapasy w mieście, muszę naprawić maszynę. Popsuła się, żeby ją lichy wzięło.

Ale czerwonoarmista wciąż nie ustępował.

– A gdzie masz dokumenty? Może jesteś kadeckim szpiegiem?

Dokumenty – bardzo proszę.

Blankiet kosztował Monę dwie płotki, pieczęć zrobiła sama – dla artystki to fraszka.

– Ruszaj – powiedział strażnik, więc Mona ruszyła.

Za szlaban, jak najdalej od Sowietów.

Oto jeszcze jeden powód do świętowania – wspaniale zdany egzamin.

Patrząc na falującą równinę poprzecinaną wąwozami i jarami, przypomniała sobie wykuty na pamięć w gimnazjum cytat ze *Słowa o wyprawie Igora*: „Siądźmyż, druhy, na swe rącze konie, a przejrzyjmy się w błękitnym Donie!” [28].

No cóż, siądźmyż i przejrzyjmy się.

Życie szczerze obdarowuje człowieka nastawionego pozytywnie. Mona nie pokonała nawet dwóch wiorst w swoich

wspaniałych trzewikach, gdy dogonił ją pusty wóz i młody chłop zawołał: „Siadaj, babciu, podwiozę. Sam nie lubię, bo nudno”. To oczywiście wesoły kalambur losu, uznała Mona, bo nazywała się Bujda.

Na resorach, na miękkim sianie, podróżowało się szybciej i wygodniej, przyjrząwszy się zaś woźnicy, Mona stwierdziła: urodziwy. Wesoły, w białych zębach rumianek, długie rzęsy połyskują, złocą się też nieogolone policzki. Istny faun, tylko bez fujarki.

Zawstydziła się: A niech cię, Bujda, jesteś przecież inteligentną kobietą.

W tej samej chwili faun wysmarkał się w palce, a potem wytarł je w swój brzoskwiniowy zarost, i nieprzystojny nastrój w mig się ulotnił.

Mona wesoło gawędziła z chłopakiem o różnych głupstwach (o cenach w mieście, o niesłychanym przyborze rzeki, o tym, kto jest gorszy – czerwoni czy biali), nie zakłócało to jednak toku jej myśli.

Na czym polega problem z mężczyznami? – zastanawiała się. Rozmawiać chciałoby się z mądrymi, a obejmować ze zmysłowymi, tyle że zmysłowy mężczyzna jest przeważnie głupi, a mądry niezmysłowy. Jeśli nawet jedno łączy się z drugim (rzadko, ale się zdarza), to też problem. Gdy Mona spotka jakiegoś nieziemsko pięknego, w dodatku nieludzko mądrego mężczyznę, to koniec, czuje, że już po niej. Zjadłaby go jak kotlet. A tu nagle piękniś powie coś intelektualnie subtelnego albo paradoksalnie celnego, co zmusza do myślenia. W głowie od razu, natrętnie niczym komary, zaczynają brzęczeć myśli, szare komórki ruszają do pracy, no a gdy włącza się głowa, kobiecość natychmiast się wyłącza. Kochać można albo rozumem, albo ciałem, nie da się jednym i drugim naraz.

Będąc istotą niegłupią, Mona oczywiście wiedziała, że problemem nie są mężczyźni, lecz ona sama. Czyja to wina, że

cierpi, jakby się wyraził ojciec, na zaburzenia libido? Spędziła życie w kleszczach tego nierozstrzygalnego dylematu, trzymając osobno komary i kotlety. Ani męża, ani dzieci...

Westchnęła, kołysząc zwisającymi z wozu nogami i rozeźmiała się z własnej nieszczerości. Nigdy nie miała ochoty wyjść za mąż, a już urodzić dzieci – brrrr, tym bardziej. Niech rozmnażają się ci, co nie mają ciekawszych zajęć.

Szkoda oczywiście, że w ciągu całego życia miała niewiele miłosnych przygód, ale o to, matko jedyna, nie może nikogo winić. Jest zbyt wybredna. Bo trzeba przyznać, że kandydatów nie brakowało. Ponieważ absolutny ideał nie stawał na jej drodze, zakochiwała się w mężczyznach jednego rodzaju: zmysłowych (to znaczy wysokich, zgrabnych, przystojnych, a przede wszystkim umięjących świętować) i nie nadto mądrych. Głupcy, rzecz jasna, nie wchodzili w rachubę, kto by ich tam zresztą chciał, ale Łobaczewscy też nie byli mile widziani.

Jednakże w czternastym roku wszyscy urodziwi i lubiący świętować poszli na front, a po siedemnastym w ogóle zniknęli – w każdym razie w Sowietach. To był jeszcze jeden, choć nie najważniejszy powód, który sprawił, że Mona Bujda udała się w podróż. Najważniejszy był taki, że świat, który pieczołowicie stworzyła, zeżarły szczury.

– Wszyscy gdzieś jeżdżą, jeżdżą, nie usiedzą na miejscu – rzekł z westchnieniem woźnica imieniem Jerosza. – Jakby całej Rosji terpentyną podogonie posmarowano, to i się zerwała. Ty, na ten przykład, też nie jesteś z naszych stron, bo inaczej mówisz. Dokąd cię tak gna? Żle ci w domu? Może jedziesz leczyć swoją chorobę?

– Mądrała z ciebie, Jerosza, od razu zgadłeś – pochwaliła Mona.
– W domu się nie wyleczę.

– Ano jestem mądry – przytaknął chłopak. – Mateczka też powtarzają: „Udałeś mi się, Jerosza, masz głowę na karku”.

Monie zaś matka mówiła: „Nie kieruj się głową. Nie powtarzaj

moich błędów. Kieruj się tym, co jest w tobie najważniejsze. We mnie najważniejsze jest serce, a próbowałam kierować się głową. Dlatego najpierw przegapiłam miłość. Później wyszłam za męża, bo to wydawało mi się mądre. Zaraz potem się rozwiodłam, ponieważ samym rozumem daleko nie zajedziesz. Dopiero za trzecim razem jakoś mi się udało. Twój ojciec jest wspaniałym mężem, stworzyliśmy szczęśliwą rodzinę”. Podobne zwierzenia zawsze kończyły się westchnieniem.

Ojciec Mony był rzeczywiście wspaniały. Miał ministerialną głowę. Doktor Bujda, profesjonalny badacz ludzkiej psychiki, o życiu rodzinnym mówił tak: „Najtrwalsze są te związki, w których jeden partner jest kwiatem, a drugi doniczką. Póki ziemia w doniczce jest odżywna i właściwie nawilżona, kwiatek będzie robił to, co do niego należy – kwitł, doniczka zaś będzie się nim zachwycać. Z korzyścią dla obojga”.

W przypadku Mony najważniejsze i najlepsze okazały się palce. Były wręcz czarodziejskie – potrafiły wyczuć wypukłości i zagłębienia bytu, a potem odtworzyć je w postaci doskonałych kopii.

W młodości Mona spędziła jakiś czas w Paryżu, uczyła się rzeźby u wielkiej, szalonej Camille Claudel. Ona też lubiła snuć rozważania na temat tego, co najważniejsze. Jej zdaniem najważniejszy w życiu był wybór materiału.

Mona wypróbowała różne materiały: gips, kamień, metal, ale wszystkie tchnęły martwością, chodziło zaś o to, żeby pochwycić i zatrzymać życie. Rozczarowana zajęła się nawet fotografią, ta jednak drażniła ją dwuwymiarowością i niczego nie dawała palcom.

W wieku dwudziestu pięciu lat Mona znalazła wreszcie idealny materiał. Zaczęła robić figury z wosku, całkiem jak żywe. A nawet lepsze. Malowała je farbami, które sama przygotowywała. Szyła dla nich ubrania.

W przedwojennym Sankt Petersburgu woskowe figury Bujdy

zaczęły wchodzić w modę. Trójwymiarowy portret nie był drogi, Mona nie przyjmowała zresztą wszystkich zamówień. Najpierw sadzała klienta w fotelu, obmacywała twarz palcami. One mówiły jej więcej niż oczy. Jeżeli obiekt był ciekawy, rzeźbiła. Jeżeli nie, odmawiała.

A dla własnej fantazji powoli zamieniała pracownię w baśniowe królestwo, które zaludniały figurki z wosku wykonane w skali jeden do dziesięciu. Mieszkańcami królestwa stawali się ci, którzy przykuli uwagę Mony. Każdy trafiał na swoje miejsce.

Znienawidzona w dzieciństwie dręczycielka, wizytatorka gimnazjalna Izwolska, pasła świnie na łączce. „Pierwszy pocałunek”, junkier Keller, został księciem zaklętym na wieki. Ukochany, z którym Mona źle się rozstała, był wampirem przebitym osinowym kołkiem i leżał w szklanej trumnie. Ale było tam również sześciu pozostałych, z którymi rozstała się w zgodzie.

W swoim idealnym świecie każdego nagrodziła według zasług. Dzielni żołnierze maszerowali ulicą dla lalek, rozmarzona panna wyglądała przez okienko. Uczony alchemik, wykapany doktor Bujda, odprawiał czary nad kamieniem filozoficznym. W woskowym królestwie było wiele rozmaitych rzeczy.

Mona tak się do niego przywiązała, że nie opuściła skazanego na zgubę Piotrogradu, gdy było to jeszcze możliwe. A przecież mądry tata jeszcze jesienią siedemnastego mówił, że rosyjska gleba się wyjałowiała, pora, by doniczka z kwiatkiem przeniosła się na inne czarnoziemy. „Psychiatrzy potrzebni są tylko tam, gdzie zdrowi psychicznie ludzie izolują chorych psychicznie od społeczeństwa. W kraju, gdzie wariaci wsadzają zdrowych, nie ma dla mnie zajęcia”. I wywiózł łkającą mamę do Finlandii, a stamtąd przez Szwecję i Francję do Szwajcarii. Dostał katedrę w Genewie, słał listy, namawiał Monę do przyjazdu. Później listy z zagranicy przestały dochodzić, a wyjechać z Rosji już się nie

dało.

Mona nie zamierzała jednak porzucić swoich woskowych poddanych. Jakoś egzystowała, po trochu wyprzedając wyposażenie mieszkania. Nauczyła się spekulować, wymieniać rzeczy na żywność. Tylko ludność królestwa już się nie powiększała, bo nigdzie nie było wosku. Miesiąc temu, w kwietniu, Mona dowiedziała się, że pod Pskowem działa jakaś „komuna świec” i jej członkowie nie mają knotów. Zawiozła im knoty, wymieniła na pud porządnego wosku. Po tygodniowej nieobecności wróciła zadowolona do domu – a królestwa nie ma! W wygłodzonym mieście strasznie rozzuchwaliły się szczury, które nie miały co jeść na śmietnikach. Zaczęły się wdzierać do mieszkań. I zeżarły baśniowych mieszkańców: damy, kawalerów, dozorców, gimnazjalistów, dobrych i złych ukochanych. Nic nie zostało z pięknego świata, tylko kulki szczurzych odchodów.

Mona przepłakała cały dzień, jak w dzieciństwie, gdy jeszcze nie odkryła swojej wspaniałej dewizy życiowej. I rozpoczęła przygotowania do wyprawy „Powrót” – do dzieciństwa, do taty i mamy.

Jednakże od czasu wyjazdu rodziców republika proletariacka zatrzasnęła wszystkie furtki prowadzące na zewnątrz. Zimą jeszcze było można, co prawda na własne ryzyko, przejść granicę po lodzie Zatoki Fińskiej, gdy jednak się ociepliło, pozostała tylko okrężna droga: na południe, przez białą Rosję, a stamtąd morzem, naokoło Europy.

Daleko? Owszem. Ciężko? Niebezpiecznie? Mało powiedziane. Ale co robić? Nie sposób przecież zostać w kraju, w którym zwyciężają szczury!

Wcielenie decyzji w życie nigdy nie zabierało Monie dużo czasu.

Spakowała się. Wyruszyła.

Droga z Piotrogradu do Moskwy okazała się łatwa, tylko na

stacji Bołogoje Mona utknęła na dwie doby, bo pociąg pasażerski zmobilizowano na potrzeby frontu. Na trasie z Moskwy do Biełgorodu przygód było więcej: trzykrotnie wysadzano pasażerów z pociągu, dwukrotnie ktoś – nie wiadomo kto – ostrzelał wagony; niedaleko Kurska „padł parowóz” i wszyscy musieli pchać skład przez siedemnaście wiorst. Ale to nic, dotarła.

Teraz zaczął się najtrudniejszy etap: musiała pokonać „mroczne ziemie”, gdzie w nielicznych miastach panuje czerwona władza, wokół zaś zielona, czyli niczyja. A gdzieś w oddali za stepem migocze światło białej władzy. Wielu próbuje się tam przedostać, ale nie wszystkim się udaje.

Ale Monie, rzecz jasna, się uda – święcie w to wierzyła.

*

Sympatyczny Jerosza zawiózł towarzyszkę podróży tam, dokąd sam zmierzał, do wsi Masłowa Przystań, i podpowiedział, która baba ma maszynę do szycia.

Mona opracowała prosty i genialny plan aprowizacji podczas podróży. Zabieranie jedzenia nie miało sensu, nie sposób zrobić zapasów na całą drogę, ale mądry człowiek zawsze znajdzie sobie i wikt, i dach nad głową.

Tutaj, w Masłowej Przystani wypróbowała swój pomysł.

Zapukała.

– Nie trzeba czasem naprawić maszyny do szycia, gospodyni?

Okazało się naturalnie, że trzeba. Przez ostatnie lata nie było gdzie oddawać do naprawy niemieckiego sprzętu, w dodatku w takiej głuszy.

Szykując się do podróży, Mona zdobyła zapasowe części i opanowała umiejętność naprawy maszyn – jej zręczne ręce łatwo nauczyły się tej nietrudnej sztuki.

Gospodyni tak się ucieszyła, że nakarmiła ją, dała miejsce do spania, nie pożalowała jedzenia na drogę i co najważniejsze, udzieliła bezcennej rady. Słyszając, że znawczyni maszyn chce się dostać na południe, powiedziała:

– Po co masz zdzierać zelówki? Na dworze wiosna, patrz ino jaka, Doniec rozlał się szeroko, o tej porze ruszają już tratwy. Poproś flisaków, jak cię zabiorą, to popłyniesz sobie jak ta królowa. Znajdziesz jakiś grosz, żeby zapłacić?

– Znajdę – odparła Mona, całkowicie już przekonana, że szczęście jej nie opuści.

Podróżować rzeką – to genialne rozwiązanie!

*

Rano poszła nad Siewierskij Doniec, który gwałtownie wezbrawszy po roztopach, toczył rozhukane wody.

No i proszę, szczęście się nie odwróciło. Przy pomoście kołysała się nieduża tratwa z przyczepionym z tyłu barkasem. Długonogi młodzian o wydatnych wargach akurat zeskakiwał na bale, trzymając w rękach bochenek chleba i dzbanek mleka. Widocznie wrócił z targu.

Mona go zawołała.

Chłopak był prosty, uroczo nieśmiały, a przy tym rozmowny. Powiedział, że pomaga wujciowi Stasiowi spławiać drewno na budowę chat dla „Kozaków”, bo na południu tereny są łyse i nie ma dobrych lasów, no a trzeba się przecież budować, co z tego, że trwa wojna.

– Weźcie mnie ze sobą – poprosiła Mona. – Zobacz, czym zapłacę. – Pokazała złoty zegarek, który wyjęła spod pachy, gdzie miała ukrytą kieszeń. – Dobry, jaśniepański.

Chłopaczek poskrobał się w głowę.

– Ja bym cię, matko, i tak wziął, bo mi ciebie żal. Tratwa to nie

koń, jej wszystko jedno. Ale nie mogę bez starszego. No a sama widzisz, wujcio Staś śpi. Jak go zbudzić, zacznie miotać przekleństwa.

Ze słomianego szalasiaku na końcu tratwy wystawały cztery nogi: dwie w starych butach juchtowych z cholewami, dwie w kaloszach wsuniętych na onuce.

– A kim jest ten drugi?

– Pątnik do nas przystał, Boży człowiek.

– Gdzie pątnik, tam i pątniczka. Odbijaj. Jak twój Staś się zbudzi i zacznie przeklinać, zejdem na brzeg.

Przekonała chłopaka.

Odepchnęli się dwoma drągami od przystani i popłynęli.

Jak dobrze, myślała Mona, leżąc na wiązce siana z rękami założonymi za głowę i patrząc na białe chmurki. Fale lekko kołysały, majowy wiaterek poruszał rudy kosmyk, który łaskotał ją po czole, ale nie chciało jej się wyciągać ręki spod głowy.

I tak zasnęła, uśpiona przez rzekę.



28 Fragment *Słowa o wyprawie Igora* w przekładzie J. Tuwima (przyp. tłum.).

Dziwny pielgrzym

Obudziła się z ustami pełnymi śliny. Pachniało zawieszistą zupą rybną. Nos nawet przez chustkę poczuł cudowną woń, jeszcze zanim mózg się obudził.

Przygrzewało ciepłe, łagodne słońce. Tratwa wciąż się kołysała. Uchyliwszy powiekę, Mona zobaczyła przepływający z prawej strony stromy brzeg, zwieńczony jasną zielenią krzaków.

– A więc nie uratowałeś duszy, dziadku? – leniwie zapytał ochryply głos. – Nie ukryłeś się przed światem?

Drugi, matowy, odparł, lekko się zacinając:

– Kto by się przed nim ukrył? Sam mnie z-znalazł.

– Dał ci kopniaka w rzyć? – Pierwszy się roześmiał. – A tak, on to potrafi. Jedz zupę.

Zabrzęczały łyżki. Mona otworzyła oczy, ale na razie leżała cicho, żeby się zorientować, kto i co.

Na arkuszu blachy dopalało się ognisko. Obok, na podpórce z trzech cegieł, stał parujący kociołek. Jedzących było trzech. Mona nie przyglądała się chłopakowi, który głośno siorbał polewkę – już go widziała. Dwaj pozostali wyglądali tak: szeroki w barach, nieogolony osiłek z zakazaną gębą (nie kto inny jak wujcio Staś) i siwowłosy starzec w mniszej skufii i przepasanym sznurkiem habicie. Siedział bokiem, więc widać było tylko chudy policzek zarośnięty białą brodą i wąsy – nie siwe, lecz czarne.

Woń zrobiła się jeszcze smakowitsza – okazuje się, że na węglach dopiekała się ryba. Monę aż skręcało z głodu, ale jeszcze się nie zdecydowała, czy już powinna oficjalnie się zbudzić.

W podejrzanym flisaku, w plastyczności jego pożądlivych ruchów wyczuwała coś niepokojącego. Znała się na tych rzeczach. Ależ łapczywie obgryzł jedną, drugą, trzecią płótkę! I nieprzyjemnie oblizwał palce!

Nagle mężczyzna się obrócił – Mona ledwie zdążyła przymknąć oczy.

– Ech, rybkę schrupać i babę wyruchać. – Wujcio beknął z przejedzenia. – No dalej, budź swoją paskudę, Fomka. Chcę ją wychędożyć.

Nie było już sensu dłużej udawać. Mona gwałtownie usiadła.

– Mówiłam, że nie popłynę za darmo – powiedziała szybko. – Ale jeśli się wam nie podoba, wysiądę. Tylko przybijcie do brzegu.

– Wiadomo, że nie za darmo. Zaraz się policzymy.

Staś zbliżał się do niej, skrzypiąc kaloszami, i rozwiązywał rzemyk w spodniach. Z dołu wydawał się ogromny.

– Zgłupiałeś?! – krzyknęła Mona. – Nos mi zgnił, zarazisz się! Zsunęła chustkę – żeby było pogładowo.

On jednak się nie przestraszył.

– Ja też jestem szpetny. Użalimy się jedno nad drugim, babo. Kaleka nad kaleką. Zasłoń gębę suknią, bo hadko patrzeć.

Mona szarpnęła worek ku sobie, próbując wymacać rewolwer wśród rzeczy, ale ze zdenerwowania nie mogła go znaleźć.

– Będiesz drugi, Fomka? – zapytał Staś.

– Nie, wujku, wpierw muszę znaleźć sobie żonkę.

Odpowiedź była niemrawa. Z tamtej strony nie można liczyć na pomoc.

– Zastanów się jeszcze. Może nabierzesz ochoty. A ty, dziadku? Chyba że już tego nie potrzebujesz?

– Nie potrzebuję – odparł mnich z odrazą, po czym się odwrócił.

Nie znalazłszy buldoga, Mona postanowiła wskoczyć do rzeki. Pływała wyśmienicie, w dodatku do brzegu było niedaleko.

Lepiej już się zamoczyć, niż strzelać do żywego człowieka, nawet takiego.

Przebiegła trzy kroki i upadła, nie od razu zdawszy sobie sprawę, co się stało – dopiero gdy Staś, a potem Fomka parsknęli śmiechem.

Podczas gdy spała, ktoś przywiązał jej nogę sznurkiem. Nie było czasu na rozplątywanie supła, zakazana gęba już nad nią wisiała.

Ręka znowu wsunęła się do worka, tym razem natychmiast trafiła na wypukłą rękojęść.

– Odejdź! – krzyknęła Mona, kierując drżącą lufę w stronę flisaka. – Będę strzelać!

Na sekundę, a może dwie gęba przestała się szczerzyć. Później znowu zarechotała.

– Nie, nie wypalisz. Nie masz dość ikry.

Potężne łapsko wyrwało buldoga, a drugie umiejętnie i bardzo boleśnie walnęło Monę w twarz.

– Rozkładaj nogi! – przykazał mężczyzna. – Będziesz się stawiać, to cię wdepczę w ziemię. Jazda!

Zbliżała się chwila w życiu, w której nie było z czego się cieszyć i czego świętować. W takich czarnych momentach pozostaje tylko jedno – krzyczeć. Więc Mona krzyknęła, desperacko i rozpaczliwie:

– Aaaaaaaaaa!!!

– Wrzeszcz sobie, wrzeszcz, to ci wolno.

Staś się nachylił, chwycił poły kapoty. Mona zachłysnęła się, umilkła.

– Ona nie chce. Według mnie to oczywiste – rozległ się głos starca. – Zostaw ją w sp-pokoju.

Flisak się odwrócił.

– Nie wtrącaj się, dziadku. Bo wrzucę do rzeki.

Mnich czy pielgrzym, Bóg jeden wie, niespodziewanie lekko jak na swój wiek wstał.

– Powtarzam po raz ostatni: zostaw ją.

Fomka skoczył z tyłu na nieoczekiwanego obrońcę, chwytając go za gardło. Starzec wykonał nieznaczny ruch – chłopak wywinął kozła i z rozmachem grzmotnął o bale. Ucichł.

– ...! – Staś cisnął ordynarne przekleństwo. – Zabiję!

Poderwał łąpsko, w którym mały rewolwer wyglądał jak zabawka.

Huknął ogłuszający strzał. Chybić z dziesięciu kroków była rzeczą nie do pomyślenia, ale pielgrzym z niemal nieuchwytną dla wzroku prędkością przysiadł i podobnym jak poprzednio błyskawicznym ruchem złapał kociołek z zupą.

Drugi strzał też nie dosięgnął dziarskiego starca, który odchylił się w bok. A kociołek rzucony z niebywałą siłą mignął w powietrzu i z brzękiem uderzył Stasia w czoło.

Flisak machnął rękami, upuścił broń, wpadł z pluskiem do wody.

Mona patrzyła z szeroko otwartymi ustami – wypłynie?

Nie, nie wypłynął.

Znowu plusk. To Fomka się ocknął, skoczył z tratwy do wody i rozpaczliwie, po kozacku, popłynął do brzegu.

Monie drżały ręce. Głos też.

– Ten człowiek... utonął?

– Dostał to, na co zasłużył – burknął pielgrzym z niezadowoleniem. – Nie ma kogo żałować. Co innego kociołek, jego akurat żal. Przydałby się.

– Nie to miałam na myśli – szybko powiedziała Mona. Nie zamierzała robić wyrzutów niespodziewanemu wybawcy. – Nie żal mi go. To był okropny typ. Trafił go pan prosto w czoło!

– Miałem szczęście... Uderzył panią. Niech no pani odwróci głowę, zobaczę... Sińca nie będzie.

– Nie jest pan mnichem – powiedziała Mona, przyglądając mu się.

Twarz mężczyzny nie była całkiem stara: na czole ledwie

jedna zmarszczka, pionowa, oczy niebieskie, niewyblakłe na skutek wieku, długie włosy i broda siwe, ale wąsy jeszcze zupełnie czarne. Warto by zbadać powierzchnię policzków i podbródka, wtedy byłoby wiadomo, co to za człowiek.

– Jest pan wykształcony. To słyhać. Po co ta maskarada: broda, habit, czapeczka?

– Od roku się nie strzygłem i nie goliłem. Mieszkałem w klasztorze na północy. Stamtąd pochodzi ubranie. Mnisi nie bez powodu je noszą. Jest wygodne w p-plenerze. Łatwo się też w nim poruszać po kraju w obecnych warunkach. Stary mnich nikogo nie interesuje. Podobnie jak żebraczka z trzecim stadium syfilisu. – Sceptycznie zlustrował dekorację na twarzy Mony. – Wrzody się rozmazały, łaskawa pani. Co to za żółte kropelki? Włoska żywica?

Mona złapała się za nos.

– Zaraz zmyję... Jak się pan nazywa?

– Przez ostatni rok nazywano mnie bratem Sergiuszem. Albo ojcem Sergiuszem, zależy, kto się do mnie zwracał.

Nie chcesz podać swojej tożsamości – nie trzeba, pomyślała i odparła w tym samym tonie:

– W dokumentach figuruję jako szwaczka Fieodosja Kukuszkina.

Mężczyzna skinął obojętnie głową i się oddalił.

Mona uklękła na skraju tratwy i długo zmywała farbę, zerkając z ukosa na brata-ojca. Pewnie też podróżuje na południe, ale po co? Kim jest? Oficerem? To możliwe. Trzyma się prosto, ruchy ma sprężyste, a sposób mówienia dowodzi, że przywykł rozkazywać. Jeśli jest wojskowym, to pewnie generałem, jego wiek by na to wskazywał. Chociaż jak na wojskowego ma zbyt swobodną motorykę – nie czuć żołnierskiego drylu. Ciekawe...

Zagadkowy mężczyzna podniósł buldoga, poobracał w ręce i nagle wrzucił go do rzeki.

– Ej, bracie Sergiuszu, coś ty zrobił?! – oburzyła się Mona.

– Tym d-draństwem nie zabije pani niebezpiecznego człowieka, nawet go pani poważnie nie zrani, a tylko rozzłości. – Odpowiadając, znowu na nią popatrzył. Brwi (też czarne, nie siwe) uniosły się ze zdziwieniem. – Jest pani młoda. I... – Nie dokończył, ale Mona się domyśliła: i ładna. – Chyba będę dla pani raczej ojcem Sergiuszem.

Od razu przestała się na niego gniewać. Do diabła z buldogiem. Podróżująca dama zyskała bądź co bądź obrońcę. Lepiej być z rycerzem w podeszłym wieku niż w ogóle bez rycerza.

– Co teraz zrobimy? – zapytała, żeby sprawdzić, jak „ojciec” zareaguje na czasownik w pierwszej osobie liczby mnogiej i na założenie, że zrobią coś razem.

Pytanie zostało przyjęte jako coś naturalnego – Sergiusz się zamyślił. W tym momencie Mona sobie uświadomiła: incydent z jurnym flisakiem to kolejny dar losu, a nie to, czym się wydawał na początku.

– Będziemy musieli zostawić tratwę. Przez cały czas trzeba odpychać się drągiem od mielizn. Sam nie dam rady dyżurować na okrągło, a pani nie starczy sił. Przesiadamy się na b-barkas.

Zabrał z szalasu worek na pasku, Mona zgarnęła swoje rzeczy i potulnie podążyła za starym rycerzem. Niech się przyzwyczajają dbać o damę i podejmować decyzje. Mądry doktor Bujda uczył córkę: „Bycie kobietą jest bardzo wygodne. Jak chcesz, jesteś słaba. W razie potrzeby silna. Wykorzystuj ambicję i tężyznę mężczyzn, łatwo nimi manipulować. Światem właściwie powinny rządzić kobiety. Większą część swojej historii ludzkość przeżyła w matriarchacie i nikt nie narzekał. Problemy zaczęły się, gdy na czele społeczeństw stanęli mężczyźni”.

Barkas był stary, ale solidny, z masztem, silnikiem i wiosłami. Nie przestając udawać nieśmiałej panny, Mona usiadła na ławeczce, bezradnie złożyła ręce na kolanach i zaczęła się przyglądać, jak ojciec Sergiusz krząta się koło silnika.

– Jednocylindrowy evinrude z wbudowanym magnesem i tłumikiem. Mogło być gorzej – wymamrotał dziwny pielgrzym.

Przekreślił jakąś dźwigienkę. Silnik prychnął, zaskoczył. Łódź okrążyła pustą tratwę i żywo pomknęła z nurtem rzeki.

– Zna się pan na tak skomplikowanych mechanizmach? – z szacunkiem zapytała Mona, chociaż mechanizm nie był szczególnie skomplikowany. Ona też by sobie poradziła. Może tylko nie tak szybko.

– Mam dyplom inżyniera silników.

Wyobrażam sobie, jak wyglądały silniki sto lat temu, gdy dostałeś swój dyplom, pomyślała. Parowe z gwizdkiem.

– A gdzie go pan dostał? – Ostrożnie podtrzymywała towarzyską rozmowę.

– W Instytucie Technologicznym w M-Massachusetts.

– W Ameryce?! – zapytała ze szczerym zdumieniem.

Sergiusz wyłączył silnik, barkas zwolnił.

– Dlaczego się zatrzymujemy?

– Nie zatrzymujemy się. Płyniemy z prędkością nurtu. Zaoszczędzimy benzynę na wypadek, gdybyśmy musieli płynąć szybko. Proszę spojrzeć, jest tylko jeden zapasowy kanister.

Monę zaintrygowała Ameryka.

– Pewnie dużo pan podróżował?

– Owszem. Zawsze byłem pielgrzymem. Tylko nie nosiłem habitu. Jak dobrniemy do jakiegoś spokojnego miejsca, to się z nim rozstanę. I z imieniem Sergiusz.

Z odsłoniętą twarzą Mona czuła się piękna, rozwiązała też chustkę, wystawiła na słońce gęste włosy w odcieniu cudownego brązu. Starzec co rusz na nie zerkał. Widocznie ładnie się mieniły.

– Dlaczego akurat „ojciec Sergiusz”? Na cześć bohatera Lwa Tołstoja?

– Mnisi w leśnym klasztorze, gdzie się zatrzymałem, nie czytali hrabiego Tołstoja. To p-północna Wołogodzyczna, zupełnie dzikie

miejsca. Pojawił się tam samotny niedźwiedź, wciąż ich nachodził. Zaraz pierwszego dnia z nim pogadałem. Zwierz się wyniósł. Wtedy bracia nadali mi imię Sergiusz na pamiątkę Sergiusza z Radoneża, pogromcy niedźwiedzi.

– Jak to pogadał pan?

– Popatrzyłem w oczy. Z drapieżnikami sprawa jest prosta. Atakują tylko w trzech przypadkach. Gdy są bardzo głodne i szukają czegoś do zjedzenia. Gdy są przestraszone. No i w zależności od płci.

– Od płci? – Mona jeszcze bardziej się zainteresowała.

– Ano tak. Samica: broniąc małych. Samiec: popisując się przed samicą. Niedźwiedź nie był mną zainteresowany. Moje zachowanie powiedziało mu, że nie nadaję się do jedzenia. Straszyć go nie straszyłem. Samicy też nie było obok. No to odszedł.

– A jak pan trafił do klasztoru na północy?

Barkas włókł się wolniej niż piechur, przyszłość stanowiła absolutną niewiadomą, o towarzyszu podróży Mona prawie nic nie wiedziała, ale wszystko to niesłychanie jej się podobało: spokojna rzeka, zielone brzegi, niebieskie niebo, a najbardziej rozmowa z mądrym mężczyzną, który prowadził ciekawe życie i przy którym mogła nie myśleć o sprawach damsko-męskich, bo on już nie jest w odpowiednim wieku.

– Ubiegłej wiosny postąpiliśmy z przyjacielem na wschodnią modłę. Dwa tysiące lat temu pewien mędrzec rzekł: „Jeśli świat przestał ci się podobać i nie możesz go zmienić, zostaw go jego własnej k-karmie i się oddal”. No więc się oddaliliśmy.

– Zostaw czemu?

– Karma oznacza niemal to samo co los, tylko bez odcienia fatalizmu. Japończycy uważają, że los nie jest z góry określony i że można go zmienić. Bo widzi pani, mój przyjaciel jest Japończykiem. Powiedział mi: „Znajdziemy jakiś cichy *o-tera* (to coś w rodzaju klasztoru), pomieszkamy tam, póki nie nadejdzie

satori. *Satori* to... – Ojciec Sergiusz zamyślił się, po czym machnął ręką. – Nieważne, długo by tłumaczyć. Słabo znam gubernię wołogodzka. Zaszyliśmy się w najbardziej oddalonym klasztorze i spędziliśmy tam cały rok. Niekiedy do naszej głuszy docierały wieści z zewnątrz, jedna gorsza od drugiej, my zaś sobie siedzimy, czekamy na *satori*... To taki stan, w którym nagle wszystko staje się jasne – wyjaśnił w końcu mężczyzna, dosyć mgliście, ale Mona nie dociekała. Chciała wiedzieć, co było dalej.

– Miesiąc temu, gdy stopniał lód, wszystko stało się ostatecznie jasne. Bez *satori*. Przyplłynął oddział jakiegoś CZON-u[29] (naprawdę nie mam pojęcia, co to takiego). Zaczął wypędzać mnichów, bo w klasztorze postanowiono ulokować „specjalną kolonię karną dla wrogich elementów”. Poprosiłem ihumena o zgodę, żebym mógł porozmawiać po swojemu z tym CZON-em, ale wielebny nie pozwolił. Musieliśmy więc odejść.

– Dokąd?

Ojciec Sergiusz wzruszył ramionami.

– Najpierw wróciliśmy do domu. Zobaczyć, co z Moskwą. Wtedy się przekonałem, że w moim rodzinnym mieście nie da się już żyć. Nie z powodu czerwonego terroru, ale dlatego że nikt nie stawia oporu. Ludzie żyją i czekają, czym to wszystko się skończy. Pracują za racje żywnościowe, chodzą do kinematografu, szepczą o p-polityce, grają w karty... No cóż, nie mam pretensji do tych, którzy są źli. Z nimi sprawa jest jasna: stoją po stronie Zła. Przykro jednak patrzeć na dobrych ludzi, którzy są niemądry albo słabi. Długie życie pokazało mi, że Złu lepiej niż Dobru wiedzie się ze swoimi zwolennikami. A dezercerzy z armii Dobra są znacznie liczniejsi. To zrozumiałe nawet z fizycznego punktu widzenia. Upaść jest łatwiej, niż się podnieść, uległość jest łatwiejsza niż sprzeciw. Wyjechałem z powodu powszechnej bezsilności.

Mona kiwnęła głową – знаła to uczucie. Wywody o Dobru i Złu, które w dawnych, bardziej skomplikowanych czasach,

wywołałyby grymas na jej ustach, w obecnej dwukolorowej, czarno-białej, a raczej czerwono-białej epoce wydały jej się całkiem słuszne.

Umilkli, pogrążeni każde we własnych myślach.

Milczenie trwało, póki Monie nie przyszło do głowy coś niepokojącego. Jak długo zostanie z nią ten miły i spokojny mężczyzna? Który na dodatek nie jest natrętny: odpowiada na pytania, ale sam o nic nie wypytuje.

– A więc wyjechał pan z czerwonej Moskwy – powiedziała. – Dokąd teraz? Do białych?

I przestraszyła się – o takie rzeczy raczej się nie pyta.

Ale ojciec Sergiusz odpowiedział, jakby w pytaniu nie było nic osobliwego.

– Biali mnie nie interesują. Chcą wrócić do dnia wczorajszego, a takie rzeczy nigdy się nie udają. Rewolucja wybuchła właśnie dlatego że w dniu wczorajszym Rosji działo się źle. Tak, zamierzam dotrzeć na t-tereny białych. Ale tylko po to, żeby wydostać się z kraju, który chce zamienić niedobrą przeszłość na okropną przyszłość. Nie mogę nic zrobić, ale nie chcę obserwować tego procesu.

To powiedziawszy, ciężko westchnął. Za to Mona ogromnie się ucieszyła.

– To świetnie! Ja też muszę się dostać do jakiegoś białego portu, żeby popłynąć za granicę! Wszystko mi jedno do którego. Dokąd się pan wybiera – do Jałty, Sewastopola czy do Noworosyjska?

– Do Sewastopola. Będzie tam na mnie czekał przyjaciel, o którym już wspominałem. Ale nie od razu ruszę na Krym. Najpierw muszę zajrzeć w pewne miejsce.

– Jakie?

– Widzi pani, posprzeczałyśmy się z przyjacielem. Jak już mówiłem, to Japończyk, ale wiele lat spędził w Rosji. W Moskwie powiedział mi: „Mamy dwie ojczyzny, pańską i moją. Spędziłem

czterdzieści lat w pańskiej, ale jej już nie ma. Teraz pana kolej, żeby spędzić czterdzieści lat w mojej ojczyźnie. Z Sewastopola popłyniemy do Port Saidu, a stamtąd do Jokohamy”.

– A z jakiego powodu się przemówiliście?

– Oznajmiłem, że najpierw muszę się przekonać, czy przed Rosją są rzeczywiście tylko dwie drogi, czerwona albo biała. A Masa (tak się nazywa mój Japończyk) oznajmił, że to nieuczciwe, że gram na zwłokę. Więc się rozstaliśmy. On udał się do Sewastopola, czeka tam, aż „przestanę grzebać w b-brzuchu zdechłego tygrysa” (to jedno z ich powiedzeń). A ja obiecałem, że moja podróż nie potrwa długo.

– Jaka podróż? Dokąd?

– Gdy wróciłem do swojego moskiewskiego mieszkania, czekał tam na mnie pewien ciekawy list. Od starego znajomego.

Ojciec Sergiusz umilkł, z roztargnieniem wpatrując się w połyskującą wodę. Mona odczekała chwilę, po czym niecierpliwie dotknęła jego rękawa.

– Mówił pan o liście od starego znajomego.

– Co proszę? A tak. Przepraszam. To ideowy anarchista, adept tak zwanej czarnej prawdy. Nazywa się Aron Wola. Teraz urządził się na Ukrainie. Mają tam coś w rodzaju republiki anarchistycznej. Zaprasza, żebym zobaczył na własne oczy. Pisze: „niech pan przyjedzie, a nie będzie pan żałował”. Jestem niemal pewien, że to bzdury i utopia, mimo to postanowiłem go odwiedzić, w ramach wycieczki. Dla spokoju sumienia. W końcu kto wie... List jest interesujący, człowiek też wart uwagi. – Ojciec Sergiusz znowu westchnął. – Zobaczę, przekonam się, że to brednie... i do Sewastopola, do Masy.

Mona gorączkowo się zastanawiała, co będzie lepsze – zostać bez opiekuna czy wprosić się do towarzystwa temu dziwnemu wycieczkowiczowi. Może tak będzie bezpieczniej?

– Gdzie jest ta anarchistyczna republika? Daleko?

– W rejonie przyazowskim. Jest tam takie powiatowe

miasteczko Hulajpole.

– Mówi pan o republice ojczulka Machny?! – zawołała Mona. O atamanie stepowym i jego hulajpolskiej wolnicy nasłuchiwała się w pociągu do Biełgorodu, gdy rozważała, którą trasą ruszyć na południe.

W „mrocznej strefie” między czerwonymi a białymi powstały dziesiątki republik stepowych, a każda miała swojego „ojczulka”. A więc były: Komuna Czigitirinska ojczulka Kocury, Zarząd Chołodnojarski ojczulka Czuczupaka, Nowa Sicz ojczulka Bożki, Kozactwo Łycarskie ojczulka Angieła, jakiś Dyrekcja Zielonoszkolska, ale najwięcej mówiono o hulajpolskim atamanie Machnie.

O nie, dzięki za takie wycieczki. Nie ma rady. Trzeba się rozstać z ojcem Sergiuszem, skoro jest niespełna rozumu.

– Zamierzam dostać się Dońcem do Iziumu, a stamtąd iść pieszo – zakończył opowieść niewierny rycerz. – Dalej popłynie pani sama. Kierowanie barkasem jest proste, wystarczy poruszać sterem. Nauczę też panią używać silnika.

– Niezły ten pański Japończyk. I to ma być przyjaciel! – Wytrącona z równowagi Mona zapragnęła powiedzieć coś niemiłego. – Puścił starszego człowieka samego w niebezpieczną podróż.

– Niby czemu niebezpieczną? – zdziwił się ojciec Sergiusz. – Moim i Masy zdaniem ani trochę. Wpadnę do znajomego z wizytą. Jak się nie spodoba, za parę dni będę na Krymie. A jeśli dziwnym trafem się spodoba, wezwę Masę do siebie.

Mona się odwróciła. Bardzo miło być oczywiście pod czyjąś opieką, ale lepiej się do tego nie przyzwyczajać. Człowiek jest naprawdę wolny, gdy od nikogo nie zależy.

Ruszaj do swojego Hulajpola, szerokiej drogi.



29 CZON (*Czasti osobogo naznachenija*) – Oddziały Specjalnego Przeznaczenia (przyp. tłum.).

W dół rzeczki

Mona uznała, że nie będzie się przyzwyczajać do ojca Sergiusza, bo jeszcze się przywiąże. Jest mu oczywiście wdzięczna za ocalenie, poza tym to człowiek przyzwoity, na swój sposób pociągający (nie w tym sensie, chodzi o osobowość), ale ich wspólna podróż nie potrwa długo i będzie lepiej, jeśli rozstanie nikogo nie zasmuci. Pogawędzili i wystarczy.

Sprawa była o tyle prosta, że ojciec Sergiusz też nie wykazywał chęci do rozmowy. Siedział na rufie i sterował – z tak ważną miną, jakby płynął drednotem.

W dół wartkiej rzeczki szaroniebieski kaczor płynie – myślała o nim Mona, wciąż nieco dotknięta całkowitym brakiem zainteresowania stosunkowo młodą i w sumie dość ładną kobietą.

„Pielgrzym” zdjął swoją idiotyczną skufię, a także habit. W koszuli i spodniach wyglądał prawie normalnie. Prawie, bo siwe włosy i broda upodobniały go jednak do dziadka Mazaja[30].

I tak płynęli – wolno, gdy mijali pola, łąki i zagajniki, i szybko, z włączonym silnikiem, w pobliżu wsi. Kto wie, co wpadnie do głowy miejscowym i jaka gdzie rządzi władza? Lepiej nie ryzykować. Chociaż właściwie nie działo się nic niepokojącego. Przy mostkach baby prały bieliznę, chłopcy kąpali konie. Wieśniacy obojętnie spoglądali na terkoczący barkas. O tym, że trwa wojna, przypomnieli tylko konny podjazd, nie wiadomo czyj, ale ojciec Sergiusz wypatrzył go z daleka i przycumował do brzegu pod urwiskiem. Tam przeczekali.

Tylko raz podróżnicy zamienili parę słów, gdy Mona wyjęła z worka żywność, którą zarobiła w Maślanej Przystani. Grzecznie zaproponowała, a ojciec Sergiusz grzecznie odmówił.

Mona zjadła obiad, zdrzemnęła się. Obudziła się tak samo łatwo, jak zasnęła. Otworzyła oczy i pochwyciła spojrzenie towarzysza podróży.

Ojciec Sergiusz, wcale nie zmieszany, powiedział spokojnie:

– Przepraszam. Tak miło uśmiechała się pani we śnie. Od dawna nie widziałem młodych, ładnych kobiet. W klasztorze ich oczywiście nie było, ale później też. Jakby puciekały wszystkie do innych krajów. Jak powiedział kiedyś pewien stary autor: „W koszmarnych czasach p-piękno kobiety uderza bardziej”.

Świątobliwy pustelnik chyba prawi komplementy, z wesołym zdziwieniem pomyślała Mona. On jednak w tej samej chwili wszystko zepsuł, dodając w zamyśleniu:

– Bardzo celne spostrzeżenie. Można je uściślić: „nawet umiarkowane p-piękno”.

– ...niezbyt młodej kobiety? – podjęła.

Tym razem się stropił.

– Przepraszam, nie miałem pani na myśli, to była luźna uwaga... A jeśli chodzi o wiek, pozwolę sobie zauważyć, że najciekawsze twarze mają kobiety dojrzałe. Można jeszcze zobaczyć wczorajszą dziewczynę, ale już widać jutrzejszą s-staruszkę... O Boże! – Ojciec Sergiusz na dobre się stropił. – Co ja plotę? Całkiem zdziczałem! Ja nie o pani, na miłość boską. Słowo honoru!

Mona nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, tak zabawny wydał jej się mężczyzna w tej chwili. Po tym incydencie relacje same się ułożyły. Czasami prowadzili rozmowę, czasami zapadało długie milczenie, ale już pozbawione napięcia, naturalne.

Ojciec Sergiusz parę razy siadał do wiosła i wiosłował, o dziwo, wprawnie, niezmordowanie, w ogóle się nie męcząc. Później

popłynęli przez równinę, rzeka rozlała się szerzej i przestała się wiać, więc postawił żagiel.

Mona była w siódmym niebie. Towarzysz podróży się jej podobał. Przede wszystkim dlatego, że czuła się z nim bezpiecznie. Jako kobieta. Widocznie najpierw czuła się niezręcznie z uwagi na zbyt romantyczną sytuację: piękna panna i szlachetny bohater – to rodzi komplikacje. Jak w kinematografie. Albo w tamtej historii, którą lubiła opowiadać matka. Poznawszy jednak bliżej „szlachetnego bohatera”, Mona przekonała się, że nie odpowiada jej pod pewnymi względami. Po pierwsze jest mądry. Po drugie poważny. No i, ma się rozumieć, potwornie stary.

Znakomicie!

– Owszem, znakomicie, ale za szybko – powiedział raptem ojciec Sergiusz i zauważywszy jej zdumione spojrzenie, uśmiechnął się. Uśmiech miał nieporadny, wymuszony. Jakby nieco zardzewiał. Od razu widać, że człowiek rzadko się uśmiecha. – Przepraszam. Przywykłem rozmawiać ze sobą na głos. Mówię przecież, że zdziczałem. Chodziło mi o żagiel. Znakomicie, że wiatr jest pomyślny, ale to powoduje, że poruszamy się szybciej niż trzeba.

– To znaczy?

– Flisak Staś (nie mogę życzyć mu wiecznego odpoczynku) opisał mi trasę, którą popłyniemy. Musimy przeciąć teren tak zwanej Republiki Kozołupińskiej. To wolne państwo zasila swój b-budżet, napadając na podróżujących rzeką, a zatem ten etap należy przebyć w nocy, bez świateł i bardzo cicho. My zaś, zachowując dotychczasowe tempo, zjawimy się tam za dnia. Trzeba więc przybić do brzegu i poczekać, aż zapadnie zmierzch.

Skierował łódkę ku brzegowi porośniętemu gęstymi zaroślami, zanurzonymi do połowy w wodzie. Miejsce okazało się wspaniałe: pod przykryciem gałęzi barkas nie był widoczny ani z rzeki, ani z lądu.

– Odpoczniemy – powiedział ojciec Sergiusz. – Możemy się też przespać. Nocą nie będzie czasu na sen.

Sam jednak się nie położył, tylko usiadł na rufie i zaczął przetrząsać zawartość podróznego worka. Mona podglądała.

Najpierw wyjął lornetkę polową i zaczął starannie przecierać okulary szmatką. Trwało to długo i było nudne. Mona ziewnęła, zastanawiając się, czy by się rzeczywiście nie przespać. Ale drugi przedmiot wyciągnięty z worka był ciekawszy – drewniana szkatułka. Ojciec Sergiusz ostrożnie rozwinął jakiś pożółkły pergamin.

– Co to takiego?

– Sam chciałbym wiedzieć. W szkatułce są relikwie, które zachowały się po moich przodkach. Mój świętej pamięci ojciec je zbierał, a ja nigdy nie miałem dość czasu, żeby się nimi zająć. Teraz uznałem, że skoro mam wyjechać na zawsze, zabiorę przynajmniej to z Ojczyzny. Badam wszystko, badam, ale jak dotąd b-bez rezultatu.

Mona przysiadła się, zajrzała mu przez ramię. Stare hieroglify wydawały się nie do odcyfrowania.

– Udało mi się przeczytać początek: „Pamięć o tym”, ale dalej ni w ząb... Na końcu jest wyraźnie: „Spisane ręką Kornieja” i jakieś słowo. Nasz protoplasta, który przyjechał do Moskowii za panowania Aleksieja Michajłowicza, nazywał się Kornelius. Może to on?

I zaczął poruszać ustami.

Rodzinne koneksje nie zainteresowały Mony, ale odechciało jej się spać. Postanowiła rozprostować kości. Ruszyła przez zarośla, za którymi rozpościerało się duże pole. Rozsunęła gałęzie – przykucnęła przestraszona.

W odległości jakichś trzystu metrów drogą ciągnęła długa, spowita kłębami kurzu kolumna, której końca nie było widać. Z przodu wolno, ze zwiniętym sztandarem jechali jeźdźcy, dziesięciu, może piętnastu.

Mona pobiegła z powrotem, żeby powiadomić ojca Sergiusza. Ten schował swój palimpsest, wstał, sięgnął po lornetkę.

– Ja też poproszę! – zażądała.

Stanęli ramie przy ramieniu. On patrzył przez prawy okular, a Mona przez lewy, ale niebawem się odsunęła. Po pierwsze broda ojca Sergiusza łaskotała ją w policzek, a po drugie, niewiele było widać. Lornetka była za silna. W białym kółku kołysały się kaszkiety i papachy, wjechał koński pysk z wyszczerzonymi zębami.

– Czerwoni – zawyrokował ojciec Sergiusz. – Co najmniej brygada... Z przodu sztab. Pewnie wsparcie dla charkowskiego frontu.

– Niech pan patrzy! – Dotknęła jego rękawa.

Z przeciwnej strony pędził samochód osobowy, za nim ciągnął się lisi ogon kurzu.

Auto zatrzymało się przed czołem kolumny. Wyskoczyły trzy zwawe postaci: jedna z przodu, dwie z tyłu.

– Jakaś pilna sprawa – powiedział ojciec Sergiusz. – Bóg z nimi. Co nam do tego? Tutaj nie trafią.

Konni zaczęli zsiadać, okrążyli tych, co byli w samochodzie.

Nagle huknął strzał. Grupa ludzi zaczęła się szybko poruszać. Oderwał się od niej jeździec, za nim drugi. Obaj puścili się galopem przez pole – w stronę zarośli. Mona miała wrażenie, że prosto na nią.

Do cwałujących strzelano. Koń pod drugim jeźdźcem potknął się i przewrócił. Mona krzyknęła, widząc, jak mężczyzna toczy się po ziemi.

Ten z przodu spiął konia ostrogami, ściągnął uzdę i zawrócił, nie przestając strzelać z rewolweru. Drugi podbiegł doń, utykając. Podskoczył, wgramolił się z tyłu na siodło. Znowu ruszyli galopem.

– Należy mu się pochwała, że nie zostawił k-kolegi – zauważył ojciec Sergiusz. – Tak czy inaczej, to mi się nie podoba.

– Dlaczego? – zapytała zdenerwowana Mona.

– Dlatego że wyprowadzą na nas całą tę watahę. Prędko. Odbijamy.

I pobiegł nad brzeg. Ale Mona została, zafascynowana dramatem. Dwaj uciekinierzy gnają pod kulami ku zaroślom, widocznie z nadzieją, że się w nich ukryją, nie wiedząc, że za zaroślami jest rzeka. Są zgubieni! A przecież skoro biegną od „towarzyszy” i „towarzysze” do nich strzelają, to znaczy, że są przyzwoitymi ludźmi.

– Prędeej, niech się pani nie guzdrze! – krzyknął ojciec Sergiusz od strony rzeki.

Tam – trrrr, trrrrrr, trrrrrrrrrrrrr – za trzecim szarpnięciem odpalił silnik.

Jeźdźcy zeskoczyli z konia przy zaroślach, jakieś czterdzieści metrów na prawo od Mony.

Dziewczyna wysunęła głowę, zamachała rękami.

– Panowie, panowie, tutaj! Mamy łódź!

Jeden, wysoki, szarpnął za rękę drugiego, niższego z plecakiem, pokazał Monę.

Zanurkowali w zaroślach, zniknęli z pola widzenia. Ale biegli ku niej – trzask się zbliżał.

Czerwoni na polu przestali strzelać, dosiadali koni. Zaraz przygalopują!

– Za mną, za mną! – wołała Mona, obracając się w biegu.

I oto są już obok. Postawny, urodziwy blondyn i szczupły, niewysoki szatyn, równie miłej powierzchowności. Zdumiewające było to, że w tych rozpaczliwych okolicznościach prowadzili zażartą kłótnię.

– Kretyn z pana, Zawszyfot! Co pan narobił?! – wrzasnął szatyn.

Blondyn mu na to z tą samą zaciętością:

– Uratowałem pana przed aresztowaniem! Przecież to Kandyba, naczelnik oddziału specjalnego!

Ledwie zerknęli na Monę, pochłonięci swoim niezrozumiałym sporem. Tylko Zawszyfot (a to ci nazwisko) zapytał:

– Gdzie łódź? – Usłyszał silnik, kiwnął głową. – Aha. – I znowu do kolegi: – Gaj-Gajewski naprawdę jest pańskim wujem? Skąd Kandyba się o tym dowiedział?

– To przecież żadna tajemnica! Napisałem w ankiecie: „Matka Antonina Zenonowna Gaj-Gajewska”. Rzadkie nazwisko, rzadki patronimik. No i co? Brat nadczywa 3, towarzysza Machrowa, też dowodzi dywizją w armii Wrangla, a tutaj chodzi jedynie o wuja! Zorientowaliby się i puścili!

Mona domyśliła się tylko jednego: szatyn jest chyba siostrzeńcem generała Gaj-Gajewskiego, który dowodzi białogwardyjską Armią Ochotniczą. Często piszą o nim w radzieckich gazetach, pojawiają się nawet karykatury: grubas w binoklach, w jednej ręce szubienica, w drugiej pejcz.

– Później dokończycie kłótnię, panowie! Prędszej!

– Tak, tak – burknął straszliwie rozgniewany siostrzeniec, wyprzedził ją i pierwszy wskoczył do łodzi.

Blondyn podsadził Monę z tyłu (stanowczo, lecz delikatnie), sam też wszedł na pokład, zawołał:

– Dalej, dziadku, ruszaj!

Ojciec Sergiusz posłał mu nieżyczliwe spojrzenie, przesunął dźwignię.

Barkas poderwał dziób, wyrzucił spod rufy fontanny wody, zerwał się z miejsca.

30 Bohater wiersza dla dzieci *Dziadek Mazaj i zajęce* N. Niekrasowa (przyp. tłum.).

Trzech panów w łódce, nie licząc psa

Najdziwniejsze było to, że obaj panowie kontynuowali swój spór w łodzi, nie podziękowawszy nawet za ocalenie.

– To nie moja wina! – Szatyn się gorączkował. – Kto pana prosił, żeby pan strzelał, Zawszyfot? Sam bym wszystko wyjaśnił!

– Komu? Kandybie? Rozwaliłby pana jak nic! Ech! Ja panu uratowałem życie, a pan mi skacze do oczu! No to niech się pan zabiera z powrotem do swoich czerwonych, towarzyszu pomnaczastrabrig[31]... jak panu tam... Sztukin!

– Skukin, nazywam się Skukin[32] – ze złością poprawił szatyn.

– Kim pan właściwie jest? Po co się pan wtrącał? Wiem tylko, że jest pan kierownikiem biura szyfrów... Kaganowicz, jeśli się nie mylę?

– Kantorowicz.

Do Mony dotarło, że ci dwaj w ogóle się nie znają.

– Kłaść się na dnie. Wszyscy – krótko zarządził ojciec Sergiusz.

– Zaraz zaczną strzelać.

Mona się obejrzała i zobaczyła ludzi na brzegu. Celowali z karabinów. Barkas odpłynął dość daleko, więc się nie bała, mimo to prędko opadła na wilgotne dno łódki, zderzając się łokciem z pomnacza-coś-tam Skukinem.

– Pardon – przeprosił tamten, krzywiąc się na dźwięk świszczących kul. Jedna brzęknęła, uderzając w stalową dulkę, i wtedy Mona naprawdę się przestraszyła. Krzyknęła.

– To nic – rozległ się spokojny głos z rufy. – Zaraz wpłyniemy w z-zakole i stracą nas z oczu.

Barkas przechylił się lekko na bok i po chwili strzelanina

rzeczywiście ustała.

Mona i dwaj pozostali usiedli.

– Kim jesteście? – ponuro zapytał ojciec Sergiusz.

Pierwszy odezwał się Kantorowicz.

– Jestem oficerem, sztabskapitanem. Dołączyłem do czerwonych, żeby przedostać się na front i uciec do naszych. Czekałem na odpowiednią chwilę. Ale gdy Kandyba rzucił się na pana, wołając: „Oddaj broń, reakcjonisto!” – ciągnął, obracając się już do Skukina – pomyślałem, że pan też jest swój. No więc go kropnąłem.

– Kto to jest Kandyba? – przerwał ojciec Sergiusz.

– Dowódca oddziału specjalnego Ósmej Armii – wyjaśnił Skukin. – Nasza dywizja została sformowana zaledwie tydzień temu. Przydzielono mnie do Ósmej i w kadrach zaczęto pewnie weryfikować ankiety specjalistów wojskowych. Zobaczyli, że mój wuj to generał Gaj-Gajewski i chcieli to wyjaśnić. A ten mądrała – kiwnął na Kantorowicza – kropnął dowódcę czekistów. Teraz proszę, jestem zdrajcą i wrogiem władzy radzieckiej.

Smutny monolog okraślił mocnym słowem.

– Wśród nas jest d-dama – osadził go ojciec Sergiusz.

Szatyn uważniej przyjrzał się Monie.

– Proszę wybaczyć, łaskawa pani. Przez pani strój pomyślałem, że mam do czynienia z prostą babą. Pani pozwoli, że się przedstawię. Arkadij Siergiejewicz Skukin, podpułkownik sztabu generalnego. Byłego, ma się rozumieć. Po zmobilizowaniu do RKKK otrzymałem stanowisko zastępcy dowódcy sztabu brygady – niezła, nawiasem mówiąc, nominacja. Przez tego kretyna Kantorowicza zostałem państwowym przestępcą.

– Słuchaj no, K-Kantorowicz – zwrócił się ojciec Sergiusz do blondyna. – Nie mogłeś sobie wybrać bardziej prawdopodobnego nazwiska?

Sztabskapitan odparł z godnością:

– Po pierwsze musi pan wiedzieć, że Żydzi też mają jasne

włosy. A po drugie nie udało mi się zdobyć innych dokumentów... Wystrzelałem wszystkie naboje – burknął, zaglądając do bębena i wyrzucając puste łuski. Jedna odbiła się od burty i uderzyła sternika w kolano.

– *Mille excuses*, czcigodny starcze. A pan to kto? – zapytał Łe-Kantorowicz.

Tamten podniósł łuskę, poobracał z roztargnieniem, wrzucił do wody. Odparł oschle:

– Czcigodny starzec.

– ...Sergiusz – dokończyła Mona.

Czuła się niezręcznie z powodu jego nieuprzejmości. Czemu się tak rozzłościł? Czy nie dlatego że w barkasie pojawili się młodzi mężczyźni?

Tymczasem jej humor dopisywał jak nigdy.

*

Odpcząwszy i ochłonąwszy, ocaleni stali się rozmowniejsi.

Sztabskapitan (Mona uznała, że może sobie zostać Kantorowiczem, skoro nie podał innego nazwiska) wyjawiał, że był członkiem moskiewskiego podziemia, ale gdy zaczęły się aresztowania, przystał do armii „towarzyszy”. Ponieważ dawniej był studentem matematyki i szachistą, przydzielono go do biura szyfrów.

– Nie uciekłem z pustymi rękami – pochwalił się. – Zabrałem ze sobą kody. Sądzę, że biali ucieszą się z mojego przybycia.

Skukin uspokoił się i poszedł widocznie po rozum do głowy, bo przestał się irytować niespodziewanym zrzędzeniem losu.

– Z mojego tym bardziej. Przypuszczam, że wujek znajdzie mi dobre miejsce. Gdybym trafił na południe, poszedłbym, ma się rozumieć, do białych, ale jestem z Piotrogradu, więc nie miałem wyboru. Gdy byłem jeszcze w szkole junkrów, wróżbitka

przepowiedziała mi, że zostanę generałem. Myślałem, że czerwonym, ale białym to jeszcze lepiej. Zwłaszcza że nasi radzą sobie nieźle, a czerwoni coraz gorzej.

Ostatnie zdanie wskazywało, że Skukin przekroczył już w myślach linię frontu. Zauważywszy badawcze spojrzenie Mony, powiedział wyzywająco:

– Tak, łaskawa pani. Jestem pragmatykiem. A także człowiekiem ambitnym i karierowiczem. Nigdy nie udaję lepszego, niż naprawdę jestem.

Obaj oficerowie byli bardzo interesujący, Mona chętnie obmacałaby im twarze, żeby lepiej je zbadać, ale musiała zadowolić się wzrokiem.

Wśród różnych potrzebnych rzeczy, które zabrała w drogę, był carver, mały, zaokrąglony nożyk do rzeźbienia w drewnie. Drewno to nudny materiał, ale skąd wziąć воск?

Gdy oddaliwszy się od pechowego miejsca, znowu się zatrzymali, żeby poczekać, aż zapadnie ciemność, i całe towarzystwo przeniosło się na brzeg, Mona zabrała się do rzeźbienia. Nie przeszkadzało jej to prowadzić cichej obserwacji. Poza tym nikt nie poprosi artystki, żeby zajęła się nudnymi kobiecymi obowiązkami, których nie brakowało. Kantorowicz jeszcze w barkasie bardzo zręcznie i szybko nałowił ryb na przynętę z chleba, więc teraz trzeba je było usmażyć. Ojciec Sergiusz i Skukin kręcili się przy ognisku, sztabkapitan patroszył swoją zdobycz, a Mona zamiast miło się krzątać, wycinała gryfona z kawałka drewna – i wszyscy popatrywali z szacunkiem na jej twórczość.

– Jak panu na imię? – zapytała Kantorowicza.

– Szaja Mordechajewicz – odparł z werwą. – „Towarzysze” mówili do mnie Szajka, ale pani może Szajeńka.

– A ja jestem Fieodosja Kukuszkina. – Roześmiała się.

Wesoły, urodziwy, zuchwały, nie za mądry. To, co trzeba.

Skukin reprezentował zupełnie inny typ, ale też znamieny.

Na świecie pełno jest cyników, jednakże rzadko trafiają się aż tak uczciwi. Brak fałszu to szczególna cecha. Zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn. Skukin intrygował niezrozumiałym wewnętrznym chłodem albo raczej bezwładem. Otóż to, bezwładem. Zdawał się mieć niewzruszony punkt oparcia, za pomocą którego mógł poruszyć świat, sam pozostając na miejscu. Jedynie skrajni egocentrycy odznaczają się tą godną pozazdroszczenia cechą.

On też był urodziwy, na nierosyjską, oszczędną modłę. Ruchy wyważone, eleganckie. Na pewno mądry. Zdecydowanie nie należał do wesołków. Pierwsze wrażenie sprawia, że przegrywa z „Szajeńką”, ale wyczuwa się w nim też drugie dno, a to zawsze pociąga.

Biedny starzec ze swoim amerykańskim dyplomem zupełnie zbladł w obliczu takiej konkurencji. Sam chyba też to poczuł, bo od razu po posiłku powiedział:

– Odpoczynek. Dwie godziny na sen. Później płyniemy dalej.

Nie pozwolił młodym mężczyznom, żeby zabawiali damę rozmową, tymczasem „Szajeńka” zerkał z sympatią na Monę i chyba zamierzał ją oczarować.

– Słowo admirała to rozkaz dla marynarza – powiedział z westchnieniem. Położył się, wsunął łokieć pod ucho i momentalnie zasnął.

Skukin przyjął pozycję umrzyka, skrzyżował ręce na piersiach i umieścił pod głową plecak zamiast poduszki. Starzec Sergiusz uciął sobie drzemkę, majestatycznie oparty plecami o drzewo.

Skoro nic nie wyszło z wesołego pikniku, Mona też zrobiła sobie przerwę: z dala od mężczyzn, w barkasie. Odgradzona burtami od ziemi, widziała nad sobą tylko niebo. Gdy zamykała oczy, było jasnoniebieskie. Otworzyła – dosłownie chwilę później – a ono już czarne. Noc.

Obudziło ją kołysanie barkasu na falach.

– Długo płyniemy? – zapytała zachrypniętym od snu głosem.

Ktoś na nią syknął:

– Tssss.

Ktoś, trudno poznać po szepcie kto, powiedział:

– Ciszej. Nocą głos niesie się daleko po rzece.

Mona też zaczęła szeptać.

– Jesteśmy już w Kozołupii?

– Tak.

Usiadła, żeby się rozejrzeć, ale początkowo nie zobaczyła niczego prócz nieruchomej ciemności na górze i jeszcze jednej, kołyszącej się w dole. Oczy powoli przyzwyczyły się do czerni i zaczęła rozróżniać ciemnoszary pas pobliskiego brzegu i jasnoszare zmarszczki na wodzie. Łódź pomału i bezszelestnie posuwała się z biegiem rzeki.

Na dziobie ktoś zastygł z dziwnie rozłożonymi łokciami. Mona rozpoznała figurę Skukina. Co on robi? Aha, patrzy przez lornetkę. Tylko co można zobaczyć w ciemnościach?

Nagle Skukin poderwał rękę.

– Co? – szepnął Kantorowicz, który siedział na dnie barkasu, tuż przed Moną, ale ona dopiero teraz go spostrzegła.

– Coś się świeci... Nie wiem co to – odparł Skukin.

Sztabskapitan przysiadł się do niego.

– Niech mi pan da swoje magiczne binokle... Tak, ogień. Na środku rzeki? Dziwne. Ej, dziadku, płyn do tamtego cypla.

Ster lekko zaskrzypiał.

Przed nimi widniało zakole i barkas wziął kurs na brzeg. Dziób miękko wszedł w piasek. Mężczyźni wysiedli jeden za drugim, starając się nie narobić hałasu. Mona podążyła za nimi.

Coś zachrząściło. To Skukin wdrapywał się na niewysokie drzewo. Znieruchomiał.

– Co on robi? – zapytała Mona ojca Sergiusza, który stał z przodu.

– Ma morską lornetkę do obserwacji w nocy.

Mona zrobiła parę kroków, rozsunęła gałęzie.

Rzeczywiście ogień. Rzeka mocno się tutaj zwężała, do jakichś

czterdziestu, może nawet trzydziestu metrów, pośrodku na czymś płaskim i równym płonął żółto-czerwony stożek. Niczego więcej nie było widać, więc Mona zawróciła.

– Co tam? – Sztabskapitan dotknął obcasa Skukina.

– Niech pan nie przeszkadza.

Minęły jeszcze dwie czy trzy minuty, zanim Skukin zszedł na dół.

– Panowie, sytuacja wygląda następująco. To przeprawa promowa. Prom jest na środku rzeki. Na nim trzej mężczyźni z karabinami. Ogień pali się w beczce, oświetla wodę. Nie da się przepłynąć niezauważenie.

Kantorowicz gwizdnął cicho.

– Straż graniczna, żeby to szlag trafił! Przepraszam, łaskawa pani.

– To jeszcze nie wszystko – niewzruszenie podjął Skukin. – Naprzeciwko, na naszym brzegu pod drzewami znajduje się gniazdo karabinu maszynowego. Widziałem worki, lufę i dwie głowy.

– Co robimy? – zapytał Kantorowicz.

– Popatrzymy z innej perspektywy. Chodźmy, sztabskapitanie.

Podeszli razem aż do samej wody, omawiając coś cicho.

– Nie zapraszają cywilów i niewiast do udziału w naradzie wojennej – z ironią zauważył ojciec Sergiusz. – No cóż, zobaczymy, jaką decyzję podejmie sztab g-generalny.

– Tak jest, panie podpułkowniku – powiedział Kantorowicz lekko podwyższonym głosem. Ruszył ku zaroślom. Znikł.

Skukin wrócił tak samo niewzruszony i rzeczowy.

– Sytuacja jest wojenna – powiedział – dlatego przejmuję dowodzenie.

– Dokąd on się wybiera? – zapytała Mona, mając na myśli sztabskapitana, a ojciec Sergiusz dodał:

– Jaki jest plan działania?

Skukin, rzecz jasna, odpowiedział nie jej, tylko mężczyźnie.

– Czerwoni uważają Republikę Kozołupińską za sojusznika. Kieruje się hasłem „Rady bez Żydów i komunistów”. Dlatego popłyniemy, w ogóle się nie kryjąc. Mam legitymację zastępcy naczelnika sztabu czerwonej brygady. Powiem, że płynę w dół rzeki z meldunkiem. Niech się pani przebierze – mam w worku zapasową bluzę. Proszę wziąć mój kaszkiet i schować pod nim włosy. W bolszewickim wojsku służy sporo kobiet, ale wszystkie są krótko ostrzyżone. Pan zaś jest zwyczajnym przewoźnikiem. – To już do ojca Sergiusza. – Jak minimy strażę, zabierzemy Kantorowicza. Przedostanie się lądem. Wszystko jasne? Najważniejsze, żebyście trzymali język za zębami. Ja będę mówił.

– A dlaczego Kantorowicz nie jest z nami? – zapytała Mona. – On też ma przecież radzieckie dokumenty.

– Bo to Szaja Kantorowicz – odparł podpułkownik niecierpliwie. – Przecież tłumaczyłem, że mieszkańcy Kozołupii nie lubią Żydów.

Ojciec Sergiusz miał inne pytanie.

– Jaki jest plan na wypadek, gdyby nas jednak zatrzymano?

W głosie nie było strachu, tylko ciekawość.

Skukin odpowiedział mu jeszcze ostrzej niż Monie:

– Powtarzam raz jeszcze: sytuacja jest wojenna i ja tutaj dowodzę. Rozkazy dowódcy nie podlegają dyskusji, należy je wykonać. – Popatrzył na zegarek z fosforyzującą tarczą. – Damy Kantorowiczowi kwadrans i naprzód. Zajmijcie miejsca w barkasie.

Wrócili do łodzi. Mona zdjęła kapotę i bluzę. W ciemności można było nie dbać o przyzwoitość – mężczyźni nie zobaczą nic prócz białej plamy. Wciągnęła bluzę Skukina, ciasnawą w biuście. Wepchnęła włosy pod kaszkiet, który się uniosł – włosy były bujne. Żeby nie spadł, przypięła z dwóch stron szpilkami. Szkoda, że nie może przejrzeć się w lustrze.

– Już czas. Włącz silnik, dziadku! – głośno polecił Skukin. – Dłużej się nie ukrywamy.

W nocnej ciszy warkot silnika wydawał się ogłuszający.

Barkas wypłynął na środek rzeki, pozostawiając biały pas za rufą, okrążył ciemny masyw cypla, pewnie pomknął wprost ku światłu.

Ludzie na promie zaczęli krzyczeć i machać rękami.

– Zgaś! Zgaś! Płyn tutaj! – odgadła Mona.

Warkot ustał. Łódź zwolniła, zbliżając się do czarnego prostokąta promu.

– Cumujcie – rozkazał z góry drżący, przepity głos. – I włączyć po kolei.

Pierwszy wszedł Skukin.

– Dzień dobry, towarzysze. Jesteście z Republiki Kozołupińskiej? Zastępca naczelnika sztabu pięćdziesiątej ósmej brygady Skukin. Oto legitymacja. Jest ze mną stenografistka. Płyniemy do Wołczańska.

Mówił bardzo dobrze. Stanowczo.

– Trzymajcie ich na muszce, chłopcy – powiedział właściciel paskudnego głosu. – Jakby co, rozwalcie.

Gębę miał nie lepszą niż głos: siną, obrzmiałą, z odrażającym uśmiechem. Najwyraźniej to on był dowódcą.

– A trochę grzeczniej nie łaska? – zaprotestował Skukin. – Rozmawiacie z dowódcą Armii Czerwonej. Zawarliśmy sojusz wojenny z waszą republiką.

– Aha. Może jeszcze damy sobie buzi? – warknął mężczyzna i nagle zerwał Skukinowi z pasa kaburę. – Uradziliśmy w gminie, że Sowiety są wrogiem ludu pracy i że wszystkich was, czerwonych, należy wykończyć. No dalej, stań z boku! Ej, wy dwoje, włączcie!

Ojciec Sergiusz powiedział cicho za plecami Mony:

– *Wojna i pokój*, scena bitwy pod Austerlitz. Mądry p-plan sztabu spalił na panewce.

Znalazł sobie czas na żarty, pomyślała Mona. Zęby jej szczykały. Na sztywnych nogach wspięła się po szczeblach

drabinki. Ktoś wbił jej lufę prosto w pierś.

– Baba niczego sobie, cycasta – orzekł dowódca. – Nie bój nic, ciebie nie sprzątniemy. Nadasz się. Zabierzcie ją, chłopcy.

Drugi bezceremonialnie chwycił Monę za łokieć, pchnął w kierunku Skukina. Tamten stał tyłem do barierki, ręce trzymał w kieszeniach. Obok, z niedbale opuszczonym karabinem, szczyrzył zęby trzeci wartownik. Gębę miał taką, że lepiej już było patrzeć na dowódcę.

– Co się tak popisujesz, czerwona gnido? – krzyknął dowódca do Skukina. – Jazda, łapy do góry! Nie będę powta...

Mona nie miała pojęcia, co się wydarzyło w następnej chwili.

Nagle kieszeń w bufiastych spodniach podpułkownika huknęła, wyrzuciła jęczyczek płomienia i mężczyzna z siną gębą nie dokończył, zgiął się w pół. Podpułkownik obrócił się – w prawo, w lewo, jego nogawka jeszcze dwa razy plunęła złowieszczym grzmiącym ogniem. Jeden strażnik, klasnąwszy w dłonie, wpadł do rzeki. Drugi wrzasnął i runął na kolana.

Wtedy podpułkownik wyszarpnął ręce z kieszeni. W prawej trzymał mały pistolet. Uderzył dowódcę rękojeścią w ciemię – mężczyzna poleciał do wody. Tam też posłał Skukin kopniakiem tego, który klęczał.

Na promie zostały tylko dwie osoby – Skukin i oszołomiona Mona.

– Zwariował pan? – krzyknął z łodzi ojciec Sergiusz. – A karabin maszynowy? Skaczcie do wody! Z drugiej strony promu! Prędziej!

Mona rzuciła się do barierki, spojrzała w dół na czarną wodę i zamarła.

– Spokojnie, łaskawa pani. Nie trzeba nigdzie skakać – powiedział z tyłu Skukin.

Odwróciła się.

Podpułkownik stał spokojnie, patrzył na brzeg – tam gdzie znajdowało się gniazdo karabinu maszynowego.

– Co u pana, Kantorowicz? – zawołał.

Z brzegu padła odpowiedź:

– W porządku! Zabierzcie nas!

– Kogo „nas”?

– Mnie i mojego nowego przyjaciela! – odparł wesoło sztabkapitan. – Hotchkissa z dwoma taśmami.

Skukin zeskoczył do barkasu.

– Niech pan nigdy więcej nie kwestionuje rozkazów dowództwa – pouczająco rzekł do ojca Sergiusza. – Dobry plan działania uwzględnia wszelkie niespodzianki.

Starzec milczał zawstydzony, a Mona, schodząc po drabince, patrzyła na podpułkownika z zachwytem. A jednak najlepsi mężczyźni na świecie to oficerowie. W każdym razie podczas wojny.

Czarny firmament, jak gdyby honorując zwycięzców, nagle się rozsunął, wyrzwały gwiazdy, zaświecił księżyc i noc zaczęła przypominać błogi obraz Kuindży.

– Jak się panu udało odebrać karabin maszynowy dwóm uzbrojonym ludziom? – zapytała Mona sztabkapitana, gdy przybili do brzegu. – Bez strzelaniny i hałasu?

– O tak. Rach-ciach.

Pokazał wąski, ostry nóż. Wytarł go w trawę, wsunął do buta.

Umieścił na łodzi żelazną maszynę na trójnogu. Usiadł, przeciągnął się, ziewnął.

Skukin też sięgnął do buta, ale nie wyciągnął stamtąd noża, tylko mały flet w ładnym pokrowcu.

– Nikt nie ma nic przeciwko temu? To mi pomaga rozładować napięcie.

Nikt nie zaprotestował.

Chwilę później południoworosyjska noc zrobiła się jeszcze bardziej cikliwa – nad rzeką popłynęła cicha, czarodziejska melodia. Skukin grał znakomicie, wydobywał ze swojej fujarki czyste dźwięki, które zdumiewały subtelnością, prostotą

i przejrzystością.

Mona słuchała skulona. Jeden z jej towarzyszy podróży z zimną krwią zabił niedawno dwie osoby. Drugi zastrzelił trzy. Życie pięciu ludzi zostało przerwane. Tołstoj i Dostojewski napisaliby wielką powieść o każdym z nich, a Leonid Andriejew wzruszający utwór. Tymczasem teraz trwa wojna domowa i wszyscy do tego przywykli. Jeden zabójca ziewa, drugi muzykuje, błogo przymknąwszy oczy. Jak Kaj, który miał sopel lodu zamiast serca.

Magiczna muzyka sprawiła, że zmorzył ją sen, choć nie minęła godzina, odkąd się zbudziła. Był to z pewnością efekt wstrząsu.

Znowu położyła się na dnie, przymknęła oczy, opadła gdzieś na dół, na miękkie, muliste dno, odepchnęła się od niego i... wynurzyła już rano. Jak gdyby nie było strasznej nocy. Może tylko się przyśniła?

Barkas bezszelestnie unosił się w szaroniebieskim obłoczku mgły, pod którym lśniła gładka toń. Nowo narodzone słońce bawiło się z mgłą w skomplikowaną grę kolorów. Zamiast fletu – ale wcale nie gorzej – śpiewały ptaki.

To pierwotne życie, dobór naturalny, powiedziała sobie Mona. Przyroda niczego nie żałuje i nie czuje się winna. Ktoś chciał cię pożreć, a ty się nie dałeś i sam go pożarłeś. Za to świeci ci słońeczko i śpiewają ptaszki. Nie ma powodu, by to analizować.

Poczuła ulgę, radość i spokój. Wprawdzie jej towarzysze podróży nie są poważanymi rycerzami, którzy wiernie służą pięknej damie, no bo nie są szczególnie poważani i z całą pewnością jej nie służą. Za to ma w nich oparcie.

Jestem jak Huckleberry Finn płynący po Missisipi, pomyślała Mona.

Ojciec Sergiusz oparty o ster pisał coś w notesiku. Oficerowie ze skupieniem grali w karty. Na ławce między nimi leżał stos radzieckich banknotów.

– Chyba odkryję – wycedził Skukin. – ...Aha! Blefował pan. Tak

sądziłem.

Przysunął do siebie wszystkie banknoty.

– Bardzo się panu przydadzą u białych. – Kantorowicz się roześmiał. – Może zagrajmy na prztyczki, jak w gimnazjum.

– Uczyłem się w Korpusie Paziów. Nie graliśmy na prztyczki. Pieniądze to pieniądze, należy je traktować z szacunkiem.

Nikt nie zwracał uwagi na Monę, jej zaś przyszło do głowy inne literackie skojarzenie: trzech panów w łódce, nie licząc psa.

Dobrze byłoby umyć głowę i doprowadzić się do porządku, bo rzeczywiście zaczyna przypominać bezpańskiego psa...

*

Dzień minął bez przygód. No, prawie.

Płynęli albo unoszeni nurtem rzeki, albo na żaglu, a raz ojciec Sergiusz i Kantorowicz usiedli razem do wiosł. Łódź popychana siłą czterech silnych rąk i pod rozwiniętym żaglem pruła niemal tak samo chyżo jak z włączonym silnikiem.

Koło osad i wsi uruchamiali jednak silnik, a sztabkapitan na wszelki wypadek stawał przy karabinie maszynowym. Ale nikt nie zaczepiał podróżnych. Albo tereny były spokojne, albo lufa hotchkissa znakomicie zastępowała przepustkę.

Mona wciąż zerkąła na Skukina. Poprzedniej nocy wywarł na niej duże wrażenie.

Urodzony wódz. Zimny, wyrachowany i co najdziwniejsze, żadnego popisywania się. A jaki z niego muzyk! Teraz wszystko jej się w nim podobało, nawet to, że podczas wieczornego postoju zajął się polerowaniem paznokci. Puszkina ma rację, oj, ma: można być dzielnym człowiekiem i dbać o paznokcie.

Ten Kaj potrzebuje Gerdy, która rozgrzeje jego zlodowaciałe serce, pomyślała z czułością.

W tym momencie Skukin podniósł oczy, zauważył jej

spojrzenie i swoim charakterystycznym kłótliwym głosem powiedział:

– Znam ten przymilny wyraz twarzy u kobiet. Oznacza: „Namierzyłam samca alfa w stadzie, chcę mieć z nim przychówek”. Niech pani ochłonie. Jestem oczywiście samcem alfa, ale nie czuję potrzeby, żeby baraszkować z samicą.

– Żaden z pana samiec alfa, raczej zwykły pederasta! Dlatego nie potrzebuje pan samicy.

Oddaliła się. Z chamami nigdy nie zachowywała się jak lady. Nie uważała za stosowne.

Dobrze, że pozostali dwaj nie słyszeli – rozmawiali o czymś i czyścili karabin maszynowy. Trzęsąc się jeszcze ze złości, podeszła, żeby posłuchać.

W rozmowie nie było nic ciekawego. Dyskutowali o kolejnym kłopotliwym terenie, który lepiej minąć nocą – Dyrekcji Zielonoszkolskiej. Nie uznaje ani czarnych, ani białych, panują tam jakieś dziwne porządki, ataman nazywa się Żowtogub i mieni się dyrektorem. Obaj panowie byli zdania, żeby trzeba poczekać do zmroku.

Mona straciła humor, towarzysze podróży przestali jej się podobać.

Jeden to cham i bardzo możliwe, że przedstawiciel „trzeciej płci” (to inteligentniejsze wyrażenie niż tamto, którego użyła w uniesieniu), drugi jest niezbyt uprzejmym starcem, trzeci ma wątpliwe poczucie humoru („Szajeczka”!).

Właściwie trzeciemu należało się przyjrzeć uważniej, powiedziała sobie, patrząc na szerokie ramiona i obnażone po łokcie ręce sztabskapitana.

Był całkiem, całkiem. Na pewno urodziwszy od Skukina.

Gniew Mony nie trwał długo, bo rzeka leniwie połyskiwała złotem w przedwieczornym świetle, szeleściły młode listki, cudownie pachniała pieczona ryba, a impertynent Skukin jeszcze pożałuje.

W sumie wszystko układało się nieźle. Drugi dzień ryzykownej podróży zbliżał się do końca.



31 Pomnaczastrig (*pomocznik naczelnika sztabu brygady*) – zastępca dowódcy sztabu brygady (przyp. tłum.).

32 Nazwisko pochodzi od rzeczownika *skuka* – nuda (przyp. tłum.).

Zielona Szkoła

Podczas kolacji Mona siedziała z boku – przodem do zarośli, tyłem do towarzystwa. Jadła pysznego leszcza nadzianego na kijek i obmyślała plan. On zaś polegał na tym, żeby przestać być psem, z którym nikt się nie liczy, i zmusić mężczyzn, by traktowali ją inaczej.

W tym celu powinna:

1. Znaleźć zaciszne miejsce, żeby się wykąpać i umyć głowę.
2. Rozczesać i ułożyć włosy. Tutaj jedno z dwojga: obwarzanek z tyłu i napuszona grzywka nad czołem albo zwyczajnie – fale na ramionach (niezbyt praktyczne, ale wygląda znacznie lepiej).
3. Przebrać się. Zdjąć kapotę, bo i tak jest w niej gorąco przy ciepłej pogodzie; spódnicę wywrócić na prawą, jedwabną stronę; wyjąć z worka satynową bluzkę schowaną na potrzeby cywilizacji.
4. Efektownie wrócić do towarzystwa.
5. Zjednać sobie Kantorowicza, przy ojcu Sergiuszu zachowywać się tak, jakby był mężczyzną co się zowie, Skukina ignorować.

Cisnęła rybi szkielecik, wytarła palce w trawę. Obejrzała się. Trzej herosi nie patrzyli na nią, omawiali jakieś męskie sprawy. Strzeżcie się, trzy prosiaczki. Zaraz przyjdzie do was szary wilk i capnie zębami. Gwiazda piotrogrodzkich salonów uśmiechnęła się drapieźnie.

Chwyciła worek, wśliznęła się w zarośla – i wpadła na nieruchomo stojącego mężczyznę.

Nie zdążyła krzyknąć – szorstka dłoń zasłoniła jej usta.

Bardzo blisko, w odległości dwóch werszków zobaczyła wściekle zmrużone oczy. Cichy szept nakazał:

– Gęba w kubel! Tylko piśnij.

I jeszcze do kogoś:

– Dalej, chłopcy. Cichusieńko.

Z lewej i z prawej coś się poruszyło. Ktoś tam wolno się przedzierał, nie szeleszcząc trawą, nie trącając gałązki.

Mona zerknęła z ukosa. Zobaczyła dwóch z lewej, jednego z prawej. Byli w jednakowych żołnierskich bluzach bez naramienników. Każdy miał karabin.

Ten, który zatkał jej usta – niemłody, z obwisłymi wąsami – pocmokał, pokręcił głową.

– Uważaj, babo, nie narób hałasu. Pożałujesz, jak mnie rozzłościysz. Mrugnij, jeśli zrozumiałaś.

Powiedział to tak znacząco i dobitnie, że Monie nawet nie przyszło do głowy go nie posłuchać. Mrugnęła.

Wtedy odsunął rękę, mocno chwycił Monę za łokieć. W drugiej dłoni trzymał nagana.

– Teraz! – krzyknął.

I wszyscy czterej z hukiem wypadli na polankę.

Siedzący zdążyli jedynie się odwrócić. Zobaczyli wycelowane lufy i wolno podnieśli ręce. Wszystkie trzy twarze zastygły w wyrazie skupienia, poruszały się tylko oczy.

Dowódca puścił łokieć Mony, popchnął ją.

– Ruszaj do nich. Usiądź.

Pobiegła do swoich, opadła na ziemię, oparła się o męskie ramię. (Był to wstrętny Skukin, ale teraz urazy nie miały znaczenia).

W końcu mogła się przyjrzeć leśnym ludziom.

Trzej z karabinami byli młodzi, ogoleni. Na lewym rękawie zielona opaska. Broni nie trzymali niedbale, każdy celował w jednego z siedzących. Starszy też miał opaskę, ale nieco inną –

z białym kółkiem. Nie byli wcale podobni do tamtych z promu w nocy. Nie sprawiali wrażenia bandytów, ale od razu widać, że są bardzo niebezpieczni. Zwłaszcza dowódca.

– Fachowo nas podeszli – szepnął Kantorowicz.

– Siedzieć cicho! – krzyknął Wąsacz. – Nie opuszczać rąk. – I do swoich: – Pójdę obejrzyć łódź. Nie zagapcie się, chłopcy. Kto się ruszy, strzelać.

– Oho, czego tutaj nie ma! – doleciał po chwili głos z barkasu. – Hotchkiss! I dwie taśmy!

Żołnierze obrócili głowy w tamtą stronę.

Skukin to wykorzystał – wyszarpnął legitymację z kieszeni na piersi i cisnął w krzaki.

– Słuchać rozkazu – szepnął prędko. – Każdy odpowiada za siebie. Nie znamy się. Poprosiłem o podwiezienie.

Kantorowicz pozbył się dokumentów w identyczny sposób.

Wrócił Wąsacz. W jednej ręce trzymał zdjętego z trójnoga hotchkissa, w drugiej dużą lornetkę ojca Sergiusza, która zwykle leżała na rufie.

Zapytał:

– Coście za jedni? Po czyjej stronie walczyacie?

– Nie walczę po żadnej stronie, dobry człowieku – odparł ojciec Sergiusz. – Lornetka jest moja, wymieniłem na targu. Przydatna rzecz w pracy na rzece. Jestem przewoźnikiem.

Mówił nie tak jak zawsze, tylko z miękkim południoworosyjskim akcentem. I w ogóle się nie zacinał. Kto by się spodziewał, że ma zdolności aktorskie?

– Hotchkiss jest mój. – Kantorowicz uniósł wyżej jedną rękę. – Nie trzymaj go, bracie, za chłodnicę, bo powyginasz. Ja też z nikim nie walczę. Na razie.

– Więc na co ci kaem? – żywo zapytał zdziwiony dowódca.

– Bo jestem kaemistą. Jak opuszczałem front, zabrałem ze sobą maszynkę. Chodzę po świecie, szukam dobrej służby. Kim jesteście? Potrzebujecie dobrych kaemistów? Jak się dogadamy,

to do was przystanę.

– Dobrzy kaemiści są teraz wszędzie potrzebni. A dogadać się dogadamy. W naszej Zielonej Szkole wszystkim się podoba.

Ach, więc on jest stamtąd, domyśliła się Mona. I pożałowała, że nieuważnie słuchała niedawnej rozmowy ojca Sergiusza z Kantorowiczem. Oto co zostało w głowie: Dyrekcja Zielonoszkolska jest przeciw czerwonym i białym. A ich ataman to „dyrektor”. Jakieś śmieszne nazwisko.

– No a ty kim jesteś? – zapytał Wąsacz Skukina.

– Muzykiem. Z Moskwy. Tam nie ma co jeść. Przedzieram się na południe.

– A gdzie instrument?

Podpułkownik wyjął flet.

– Zagrać?

I wykonał kamarinską.

– „Poszła w tany, nogą tupnęła, aż się zatrzęsła chata i furka huknęła” – zanucił Wąsacz, klepnął Skukina w ramię. – Dołącz do nas, muzyku. Podtuczysz się.

Monę zapytał inaczej niż innych.

– Czyjaś ty, kobieto?

Widocznie jego świat nie przewidywał sytuacji, w której kobieta mogłaby być sama.

– To moja córka – odparł ojciec Sergiusz zamiast Mony. – Oboje pochodzimy z Biełgorodu. Barkas też jest mój. Nie znam tamtych dwóch. Wziąłem po drodze, bo mi zapłacili.

– A czemuś odpłynął tak daleko od Biełgorodu?

– Musimy się dostać do Ługańska. Tam jest szpital dla obłąkanych. Dobrzy ludzie poradzili. Córka mi niedomaga. Coś ją opętało.

Wszyscy popatrzyli na Monę. Zaskoczona zamrugła oczami.

– Przeważnie nikomu nie wadzi i siedzi cicho. – Ojciec Sergiusz westchnął. – Ale jak spiknie się z chłopem, wpada w szał. RzUCA się z pazurami, gdy dostanie babiej ciecZKI. Podobno doktory

znają lekarstwo na tę chorobę. To i płyniemy.

– Niech się rzuca, nam to nie przeszkadza – powiedział dziobaty żołnierz. – Prawda, wujku Siemionie?

I wszyscy, łącznie z dowódcą, zarechotali.

– Nie mów tak, synku. – Ojciec Sergiusz się zasmucił. – Niech cię Pan Bóg strzeże przed czymś takim. Gdy moja Fieodosja dostaje ataku, drapie do krwi i wgryza się w gardło. A jednemu chłopu omal nie urwała przyrodzenia. To dopiero nieszczęście!

Mona przyszła mu z pomocą. Popatrzyła na pachwinę dziobatego, oblizwała się. Chłopak się cofnął.

– Dobrze, posłuchaliśmy, co macie do powiedzenia – rzekł dowódca ze śmiechem. – Pora popatrzeć.

I zaczął przeszukiwać worki, nie śpiesząc się, metodycznie. U Kantorowicza wymacał za podszewką jakieś dokumenty. Wyjął.

– Co to za numerki?

Kody szyfrowe, domyśliła się Mona. Sztabskapitan powiedział, że ukradł je czerwonym.

– Licho wie. Wziąłem na rozpałkę.

Wąsacz gmerał dalej. Nagle się wyprostował i uderzył Kantorowicza pięścią w twarz.

– To też na rozpałkę?! Sukinsyn ze złotymi naramiennikami!

W drugiej ręce trzymał rozwiniętą szmatkę. Połyskiwały emalią ordery. Mona dostrzegła biały krzyżyk oficerskiego Jerzego.

Lufa karabinu wbiła się w czoło sztabskapitana. On zaś siedział poblądły, splotował krwią.

– Taak – wycedził dowódca, zobaczywszy na trawie kaburę Skukina i należący do niego skórzany futerał z morską lornetką.

– A to czyje?

– Moje – powiedział Kantorowicz, który nie miał już nic do stracenia. – Jestem wojskowym. Nawiasem mówiąc, nie twierdziłem, że nie jestem oficerem. Na wojnie dowodziłem

kompanią karabinów maszynowych.

– Wstań no. I ty też, drugi! – polecił skrupulatny wywiadowca.

Kazał Kantorowiczowi przymierzyć rzemień od kabury – okazało się, że był za krótki. Za to idealnie pasował do Skukina.

– Oficerska hołota! Łgarze! Wiążcie ich, chłopcy.

Sztabskapitanowi i podpułkownikowi skrepowano ręce, obu przeszukano. Znalaziono zarówno mały pistolet w bufiastych spodniach Skukina, jak i nóż w bucie Kantorowicza.

– Niech diabli porwą pańskie błyskotki! – ze złością rzucił Skukin do sztabskapitana. – W Armii Czerwonej też je pan ukrywał? Idiota! Przez pański kretyński sentymentalizm...

Dowódca wyrznął go w twarz.

– Zamknij się, wasza wielmożność! Zdążysz się jeszcze nagadać.

Odwrócił się do Mony i ojca Sergiusza, którzy wciąż jeszcze siedzieli.

– Tatuś z córeczką płyną z nami. Doktory są u nas nie gorsze niż w Ługańsku. Wyleczą.

A swoim oznajmił:

– Odstawimy do dyrektora, niechaj rozsądzi. To nie są zwykłe numerki, chłopcy. Widziałem podobne w sztabie na froncie. Nazywają się „szyfry”.

*

Wszyscy załadowali się na barkas, który osiadł nisko pod obciążeniem. Popłynęli. Nie rozmawiali z uwagi na hałas silnika. Mona patrzyła przestraszona na swoich rycerzy, którzy okazali się jednak zawodni.

Pokaleczone wargi Kantorowicza drżały ze złości, Skukin rozważał coś gorączkowo – pewnie główkował, jak się wykpić. Spokój zachowywał tylko ojciec Sergiusz, który, trzeba mu oddać

sprawiedliwość, trzymał się mężnie. Z drugiej strony miał mniej powodów do niepokoju niż oficerowie, no i nieskrępowane ręce.

Silnik pracował już ze czterdzieści minut, tak więc barkas pokonał prawdopodobnie jakieś dziesięć wiorst w dół rzeki, gdy w oddali, na wysokim prawym brzegu pokazała się osada. Była pokaźna, z setką albo dwoma setkami pobielonych lepianek, a pośrodku błyszcząły blaszane dachy murowanych domów i złociło się pięć kopuł cerkwi.

– Oto i ona, nasze Runie. Może się zdarzyć, że zostanieie tutaj na zawsze – złowrogo rzekł dowódca. – Przerobimy was na nawóz, z pożytkiem dla ziemi.

Z tym błogosławieństwem, pod lufami karabinów, aresztowani wspięli się stromą ścieżką od przystani na urwisko.

Na górze była duża zielona łąka. Pastuch pędził do domów stado tłustych krów kołyszących pękatymi wymionami. Do wieczora było jednak jeszcze daleko – pod koniec maja dni są długie.

Jak okiem sięgnąć ciągnęły się pola, które już pokryły się jaskrawą zielenią. Ogródki między chatami były białe i fioletowe od bzu – nawet z oddali dobiegała jego kwiatowa woń. Przy opłotkach, na pustym placu, młodzi chłopcy w wojskowych bluzach ze znanymi już zielonymi opaskami uczyli się walczyć na bagnety. Kolejno brali rozbieg, z krzykiem wbijali bagnet w kukłę, wyszarpywali, wracali do szeregu. Dowodził nimi wąsacz o imponującej żołnierskiej posturze. Na rękawie też miał opaskę, z dwoma białymi kółkami.

– Gdzieżeś zdobył hotchkissa, Siemionie? – zawołał.

– Ano widzisz, panowie oficerowie podarowali. Kiedy siadasz do wieczerzy, setniku?

– Poćwiczę jeszcze młodziaków z pół godzinki i wtedy. Zapraszam, dziesiątniku. Taisja nagotowała barszczu.

– Wpadnę.

Rozmawiali spokojnie, po sąsiedzku, jak gdyby nie było

żadnych aresztowanych, z których dwaj szli z rękami związanymi na plecach.

Wieś okazała się zamożna. Wszystkie domy były świeżo pobielone, płoty równe i nawet pomalowane. Na ławkach siedzieli staruszkowie i staruszki, gapili się na obcych, ale bez szczególnej ciekawości. Widocznie widok był znajomy.

Ulica doprowadziła do placu ze straganami, gdzie mimo przedwieczornej pory trwał ożywiony handel. Były też sklepiki – dużo, ze dwadzieścia. Mona przebiegła wzrokiem szyldy. „Mięso”, „Piekarnia”, „Artykuły chemiczne”, „Wyroby spożywcze”, „Tekstylija”, „Buty-kaloszki”. Nawet „Książki”! Ależ tutaj jest więcej sklepów niż na półmartwym Newskim, teraz Prospekcie 25 Października!

Murowane domy otaczające plac też wyglądały sztywnie – i to w sytuacji powszechnego upadku. Przez otwarte okna długiego domu z tabliczką „Czteroklasowa Szkoła Ludowa” dobiegał zgodny śpiew – trwała próba chóru dziecięcego. Obraz byłby zupełnie idylliczny, gdyby w tłumie nie przeważała wyblakła zieleń kaszkietów i wojskowych bluz.

Zatrzymanych zaprowadzono do małej willi z czterema kolumnami i z szerokimi schodami. „Zarząd Gminny”, przeczytała Mona na nudnej oficjalnej tabliczce. Ale wyżej, bezpośrednio na tynku, ogromnymi, ozdobnymi literami wykalgigrafowano: DYREKCJA.

– Nie spuszczać ich z oczu – polecił Siemion konwojentom i wbiegł po stopniach. – Pójdę zameldować dyrektorowi.

Po jakichś pięciu minutach, które wydały się Monie nieskończenie długie, drzwi zarządu uchyliły się z nieprzyjemnym skrzypieniem i zaraz potem znieruchomiały. Ktoś zamierzał wyjść, ale się zatrzymał.

– A więc radzisz rozstrzelać? – zapytał władczy, tubalny głos. – Zaraz zobaczymy.

Mona spodziewała się, że zobaczy kogoś bardzo strasznego. Na

ganek wyszedł jednak mężczyzna o nader łagodnej, wręcz nieciekawej powierzchowności. Był w przeważającej mierze szary: posiwiałe włosy obcięte na okrągło, taka sama bródka à la Czernyszewski, druciane okulary. Pod mysią marynarką widać było wypuszczoną na spodnie koszulę z ukraińskim haftowanym przodem. Mężczyzna trzymał w ręce szklankę z herbatą. Nie miał przy sobie broni.

– Dzień dobry, chłopcy. – Kiwnął głową konwojentom. – Kola, sąsiedzi się na ciebie skarżą. Zajdź do mnie potem. Sajkin, przeczytałeś książkę? Jak twoja matka, Tisza? Nie wyzdrowiała?

Wszyscy trzej przywitali go z szacunkiem, nazywając „panem dyrektorem”. Każdy coś odpowiedział, ale Mona nie słuchała – waliło jej serce. W tym Czernyszewskim, w jego łagodnych ruchach, w cichym, pouczającym głosie było coś przerażającego. Gdy uczęszczała do klasy przygotowawczej, tak samo bała się groźnej dyrektorki.

Mężczyzna bez pośpiechu schodził po stopniach. Teraz patrzył na zatrzymanych. Okazało się, że oczy też ma szare, przenikliwe.

Za dyrektorem kroczył dziesiętnik Siemion, każdego pokazywał palcem, półgłosem coś wyjaśniał.

„Ordery... Szyfr... Pomyłona” – odgadła Mona i na widok badawczego spojrzenia atamana parę razy nerwowo szarpnęła głową.

– Panie naczelniku! – odezwał się głośno Kantorowicz. – Proszę o pozwo...

Zachłysnął się, uderzony przez konwojenta kolbą w żebra.

– Będiesz mówić, jak cię wezwą do tablicy. – Dyrektor pokręcił głową z wyrzutem. – Żadnej dyscypliny, a niby oficer. Oddaj mu ordery, Siemionie. Uczciwie je zdobył. To człowiek odważny, widać po oczach. I niebezpieczny. Drugi to też nie byle kto. Zaprowadź ich do pokoju inspektorskiego, do Stiepana Akimowicza. Niech wypyta o szyfry i temu podobne. A pana – zwrócił się do ojca Sergiusza – zapraszam do mnie na rozmowę.

I niech pan weźmie córkę.

Widać było, że ataman nie tolerował sprzeciwu. Wydawszy polecenie, zawrócił do domu.

Dziesiętnik pochwalił się konwojentom:

– Ale miałem nosa, żeby zabrać przewoźnika. Słyszeliście? Sam będzie z nim rozmawiał. A ja od razu zmiarkowałem, że ten dziadyga to ktoś ważny.

Konwojenci powlekli Kantorowicza i Skukina w stronę bramy. Mona nie pożegnała się z nimi, nawet nie odprowadziła ich wzrokiem. Wiedziała, że ważą się jej losy.

*

Ze zdenerwowania nie przyjrzała się dobrze pomieszczeniom zarządu. Chyba siedzieli tam ludzie przy biurkach, gdzieś stukała maszyna do pisania. Mona widziała przed sobą jedynie przygarbione plecy dyrektora.

On zaś pchnął drzwi, skinął na nich ręką.

– Proszę.

Ta złowieszcza uprzejmość napawała jeszcze większym lękiem.

Znaleźli się w gabinecie przypominającym pokój nauczycielski. Nic, co by się kojarzyło z wojskiem – szafy na książki, na biurku parę zeszytów, nawet coś w rodzaju dziennika klasowego z podzielonymi na rubryki stronami wypełnionymi starannym pismem.

Dyrektor usiadł przy biurku, pokazał ręką dwa krzesła.

– A więc kim naprawdę jesteście? Że nie ojcem i córką, to widać. I nie kłamcie na temat choroby psychicznej. W naszym szpitalu pracuje znakomity psychoneurolog z Charkowa. Jeśli zajdzie potrzeba, sprawdzi...

– Psychoneurolog? W wiejskim szpitalu? – zdziwił się ojciec

Sergiusz.

Mona zerknęła nań nieufnie. Czy to jedyna rzecz, która go zaprzętała?

– Mamy w Zielonej Szkole lekarzy różnych specjalności. Sami przyjeżdżają z miasta. Bo u nas jest dostatnio i spokojnie. – Dyrektor pogroził palcem. – Ale proszę mi nie przerywać. Jeszcze nie skończyłem. Nie jesteście ojcem i córką, kobieta nie jest psychicznie chora, a z pana, ma się rozumieć, żaden przewoźnik. Mówcie prawdę. Za kłamstwo karzę.

Słowo „karzę” niby nie było najgroźniejsze w wojennych czasach, ale Mona zadrżała.

Tymczasem ojciec Sergiusz patrzył na atamana bez krztyny strachu, raczej z ciekawością.

– Wymyśliłem o-opętanie, żeby pańscy żołnierze nie zaczepiali damy.

– U nas nie gwałci się kobiet. Grozi za to kara trzeciego stopnia.
– Dyrektor przyglądał się ojcu Sergiuszowi z nie mniejszą ciekawością. – Musi pan wiedzieć, że przez trzydzieści lat pracy pedagogicznej nauczyłem się bardzo dobrze widzieć ludzi. W panu wyczuwam nietuzinkową osobowość...

Mona wybałuszyła oczy na ojca Sergiusza. Był oczywiście godny zaufania, ale żeby od razu nietuzinkowy? A może czegoś w nim nie dostrzegła?

– Nie jest pan szpiegiem, rzecz jasna, jak sugeruje dziesiętnik – ciągnął dyrektor. – Nie ten kaliber. Wobec tego kim pan jest?

Dopił herbatę i nagle – Mona krzyknęła – cisnął pustą szklanekę prosto w twarz ojca Sergiusza. Ten zaś złapał ją w locie.

Dyrektor roześmiał się z satysfakcją.

– No tak, zdumiewająca precyzja każdego ruchu. Jak u akrobata cyrkowego. Kim pan jest?

– Między innymi również akrobatą – odparł ojciec Sergiusz z niewzruszoną miną, stawiając szklanekę na stole.

– A poza tym?

– Badaczem. Prowadzę ekspedycję etnograficzną. Studiuję rosyjski anarchizm. Z tego punktu widzenia pańska „republika” bardzo mnie intryguje.

Mona nie wierzyła własnym uszom. Kto rozmawia w ten sposób z człowiekiem, który w każdej chwili może wydać rozkaz rozstrzelania zatrzymanych?!

Ale dyrektor się nie rozgniewał.

– Poznajmy się – powiedział. – Nikodim Lwowicz Żowtogub. Mam tutaj nie republikę, ale szkołę. Zieloną. A jeśli chodzi o anarchizm, to lepiej nie do nas, tylko do Hulajpola, do Nestora Iwanowicza Machny. Z uwagi na młody wiek i upodobanie do romantyzmu Nestor uwielbia czarną prawdę. Tymczasem nasza prawda jest zielona.

– A cóż to takiego „zielona prawda”? Powie pan o niej parę słów? – zapytał ojciec Sergiusz, jakby prowadził najzwyczajszą towarzyską rozmowę.

– Z przyjemnością. Nieczęsto zdarza się rozmawiać z mądrym, dojrzałym człowiekiem. Wiecznym problemem pedagoga jest to, że wciąż otaczają go dzieci.

Obaj nie zwracali najmniejszej uwagi na Monę, co było jej bardzo na rękę. Właściwie chętnie by się stąd ulotniła, ale bała się niepotrzebnym ruchem przypomnieć rozgadanemu atamanowi o swojej obecności.

– Jeśli pan pozwoli, najpierw opowiem o sobie. Żeby pan zrozumiał, jak powstała Zielona Szkoła... W wieku dwudziestu lat, jeszcze zanim skończyłem uniwersytet w Charkowie, poszedłem „do ludu”, zaniósłem „dzikiemu chłopstwu” szczytne ideały wolności, równości i braterstwa. – Żowtogub lekko się uśmiechnął. – Z czasem, gdy lepiej poznałem życie i lud, z trzech ideałów pozostał tylko jeden, najważniejszy: braterstwo. Wolność i równość nie istnieją. To miastowe chimery, a Rosja jest krajem chłopskim. Zielona od pól i lasów, a nie czarna od fabrycznego dymu. Tak więc rosyjska prawda musi być też

zielona, chłopska. Prosta i surowa, ale uczciwa i nie zapożyczona, tylko swoja.

Ojciec Sergiusz słuchał bardzo uważnie.

– To znaczy jaka?

– Państwo jest wrogie chłopu, anarchia zaś jest dlań niebezpieczna. Życie chłopów opiera się na rodzinie. A w dużej chłopskiej rodzinie co? Nie ma ani wolności, ani równości, jest za to braterstwo, to znaczy miłość. Słowo ojca to świętość. Dobry ojciec kocha dzieci, ale ich nie rozpieszcza jak miastowi. I uczy, bez przerwy uczy. Jak orać i siać, jak urządzać dom, jak żyć ze wspólnotą. Chłopska rodzina to również szkoła. Oto dlaczego nasza społeczność nosi nazwę Zielonej Szkoły.

– A więc traktuje pan lud jak dziecko?

– Jako całość – bez wątpienia. Zdarzają się wyjątki, ale bardzo rzadkie. Jestem dyrektorem szkoły podstawowej i uczę swoich uczniów elementarza. Mam pewną liczbę dorosłych pomocników, noszą zaszczytne miano nauczycieli i tworzą nasz organ zarządczy, Radę Nauczycielską, którą kieruję.

– Nauczyciele są wybierani?

– Tego by jeszcze brakowało! Ludzie są głupi. Nawybieraliby krzykaczy i bazarzy. Jako dyrektor wyznaczam nauczycieli. Najbardziej szanowanych mieszkańców, według zasług. W chłopskiej rodzinie szacunek do jednostki to nie prezent, który się dostaje przy urodzeniu. Na szacunek trzeba zapracować. Kto szanuje niemowlę, które tylko fajda w pieluchy? Każdy musi dorosnąć, dowieść swojej przydatności, zdobyć świadectwo życiowej dojrzałości. Wtedy może rościć sobie prawo do szacunku.

W tym momencie ojciec Sergiusz zadał pytanie, które sprawiło, że Mona się skuliła.

– A kto wyznaczył pana, Nikodimie Lwowiczu, na dyrektora? Jakie prawo pozwala panu decydować, kto jest g-godzien szacunku, a kto nie?

Jednakże Żowtogub i tym razem się nie rozgniewał.

– Na dyrektora szkoły ludowej w Runiach wyznaczono mnie aż trzydzieści pięć lat temu. Ja ją przecież tworzyłem. Przez ten czas wszyscy miejscowi skończyli u mnie naukę, najstarsi mają teraz czterdzieści pięć lat. Od dzieciństwa przyzwyczaili się mnie słuchać. Wybraliśmy własną władzę zaprzeszłą jesienią, gdy w Piotrogradzie wszystko runęło. I nieźle sobie żyjemy. Siejemy zboża, urządzamy wesela, postawiliśmy trzydzieści nowych chutorów, jako że ludzi wciąż przybywa. Wokół głód i rozprężenie, a moja dykcja liczy półtora tysiąca wiorst kwadratowych i wszędzie panuje porządek. Ziemi jest dużo, wystarcza dla wszystkich – zarekwirowaliśmy ziemiańskie majątki. Zgodnie z ostatnim majowym spisem mam jedenaście tysięcy czterysta trzydzieści osiem dusz. Prawie połowę stanowią mężczyźni w sile wieku, pracownicy i obrońcy. Wojna sprawiła, że w całej Rosji mężczyzn jest mało, a u nas na odwrót. Napływają do nas dezercerzy – i od białych, i od czerwonych.

– Zauważyłem, że sporo ludzi na ulicach nosi b-bluzy wojskowe.

– A jakże inaczej? Czasy są takie, że należy być przygotowanym do obrony. U nas panuje dyscyplina: każdy mężczyzna pełni dyżur wojskowy raz w tygodniu. Dlatego zawsze ośmiuset ludzi jest pod bronią, a jak zajdzie potrzeba, ogłoszę mobilizację i będzie siedem razy tyle. Broni i amunicji jest dużo. W listopadzie ubiegłego roku ruszyliśmy na Kupiańsk, zamknęliśmy linię kolejową i przez tydzień rozbrajaliśmy niemieckie składy. Mamy artylerię polową, a nawet samochody pancerne. Niech no ktoś spróbuje podejść. Byli chętni, którzy próbowali: i biali, i czerwoni, i mieszkańcy stolicy z sąsiedniej gminy. Pożalowali. Żołnierzy mam dobrych, twardo bronią zielonej prawdy. Są też dawni oficerowie, wyznają jednak żelazną zasadę: nie biorę szlachetnie urodzonych, mają zepsute dusze. Tylko tych, którzy wywodzą się z nizin.

– Kółka na opasce to znaki odróżniające?

– Owszem. Jedno kółko oznacza dziesiętnika, dwa setnika, trzy esaula, cztery pułkownika. Bez potrzeby nikogo nie musztrujemy, ale dyscyplina jest większa niż w carskiej lejbgwardii. Nie nakładamy kar bezpodstawnie, ale jeżeli ktoś zawinił, dostaje baty. Jak w każdej chłopskiej rodzinie.

– A jakie są kary? – Ojciec Sergiusz wyraźnie spochmurniał. – Wspominał pan o „karze trzeciego stopnia”. Co to takiego?

– Jest pan mądrym człowiekiem, więc nie muszę tłumaczyć, że z dziećmi nie da się bez kar, bo się popsują. Za dobre uczynki należy nagradzać, a za złe spuszczać lanie. Dla ich własnego dobra i ku przestrodze innym. Kara musi być straszna. Bo strach to doskonały wychowawca. Życie, które jest najważniejszym nauczycielem, bywa przecież straszne. Okrutnie karze tych, co zawinili. Jeżeli kara jest zrozumiała i sprawiedliwa, ludzie ją zaakceptują. Mamy trzy stopnie kar. Za drobne przewinienia i wybryki wsadzamy do karczeru albo wymierzamy chłostę. Za średnie usuwamy ze Szkoły. Trzeci stopień, za ciężkie przestępstwa, to publiczna egzekucja. Wyjaśnię na konkretnym przykładzie. W naszej Szkole nie wolno pić wina. Obowiązuje prohibicja. Panuje błędne przekonanie, że ludzie na Rusi zawsze pili i że Rosjanie nie mogą się obejść bez wódki. Iwan Groźny, diabeł wcielony, w szesnastym wieku założył karczmy, żeby zwiększyć dochody państwa, i rozpił naród. Tak więc za pijaństwo wymierzamy karę pierwszego stopnia: chłostę. Za wyrób samogonu drugi stopień: przepędzamy na cztery wiatry. Za handel alkoholem: śmierć. I umieszczamy głowę na drągu, żeby innym raz na zawsze się odechciało... Czemu się pan zasepił? – Żowtogub się uśmiechnął. – Europejska wrażliwość jeszcze długo nie przyjmie się w naszych rosyjskich stronach. Powtarzam: zielona prawda jest surowa. Ale tylko dzięki niej Rosja może się uratować.

– A jak pan sobie wyobraża r-ratunek?

– Całkiem zwyczajnie. Wszystko, co prawdziwe, jest w gruncie rzeczy proste. Zielona Rosja musi się zjednoczyć, póki czerwona Rosja zmaga się z białą. Związek chłopskich republik – oto czego potrzebujemy. Przemysłowa Północ niech sobie żyje, jak chce. Uralu i Syberii też nie potrzebujemy. Obcych terenów tym bardziej. Będziemy prowadzić rolnicze życie na naszych czarnoziemach. Nakarmimy chlebem całą Rosję i Europę. Nie za darmo, rzecz jasna. Czego nam będzie trzeba, wymienimy albo kupimy. Damy wykształcenie naszym dzieciom, zbudujemy nowe, zdrowe społeczeństwo, oparte na braterstwie i sprawiedliwości. Mamy już przecież wodza, Nestora Iwanowicza Machnę, bohatera narodowego. Jego wojsko liczy dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy. Nestor Iwanowicz musi tylko porzucić swoje anarchistyczne brednie i uwierzyć w zieloną prawdę. Wtedy dogadamy się z ojczulkiem, reszta też się do nas przyłączy... No to jak, wyzna pan, dokąd i po co tak naprawdę się udaje? – zapytał nagle. – Przecież nawet pan nie powiedział, jak się nazywa.

– Powiem – nie od razu odparł ojciec Sergiusz. – I przedstawię się. Ale nie teraz, później. Najpierw chcę się przyjrzeć waszemu zielonemu rajowi.

– Słusznie. Sam też tak postępuję, nie lubię popędzania. – Żowtogub kiwnął głową. – No cóż, niech się pan przejdzie i sobie popatrzy.

– A czemu wszyscy mężczyźni u was gołą zarost? – zapytał ojciec Sergiusz. – To się nie udało nawet Piotrowi Wielkiemu.

– Nie wszyscy. Ci, którzy udowodnili, że są dojrzały: dowódcy, mistrzowie oraz inni szanowani ludzie, mogą zapuścić wąsy. A najbardziej poważani, członkowie Rady Nauczycielskiej, noszą brody. – Nikodim Lwowicz z uśmiechem skubnął swoją bródkę. – To tak jak w życiu. Gdy człowiek dojrze, najpierw rosną mu włosy nad górną wargą, a potem na całej fizjonomii.

– Więc pewnie macie też f-fryzjerów? – Ojciec Sergiusz znowu

zadał nieistotne pytanie.

– Są aż trzy zakłady. Chce się pan ogolić?

– I ostrzyc. Znudził mi się wygląd dzikusa.

– W takim razie oto pieniądze. Drukujemy własne.

Żowtogub wyjął parę zielonych banknotów, ojciec Sergiusz sięgnął po nie z ciekawością. Wstał.

– Jak się pan napatrzy, proszę wrócić. Będę czekał. A ty, moja piękna, zostań u nas – powiedział do Mony, gdy poderwała się z krzesła. – Brakuje nam młodych kobiet, za to narzeczonych jest sporo, każdy zuch nad zuchy.

– Dziękuję – odparła uprzejmie. – Jeśli można, też sobie pochodzę i popatrzę. A nuż ktoś mi się spodoba.

I w te pędy ruszyła za ojcem Sergiuszem, żeby go nie zgubić.

Straszydło

Na placu ojciec Sergiusz oddał jej część pieniędzy.

– Niech pani coś zje, a ja pójde doprowadzić się do porządku. Spotkamy się tutaj za godzinę.

– Do jakiego znowu porządku?! – wysyczała Mona. – Jak pan może?! Nasi towarzysze są w tym ich pokoju inspektorskim, w katowni, gdzie ich przesłuchują, a potem pewnie zabijają! Trzeba ich ratować!

– To nie są moi towarzysze. Obaj mi się nie podobają. I niech się pani nie martwi, nic im się nie stanie. Wszystko się ułoży – obojętnie oznajmił nieczuły starzec. – Niech pani robi, co chce, ale ja pójde zobaczyć, w jakim stopniu zielona p-praktyka pokrywa się z teorią.

Odwrócił się i ruszył, zostawiając ją samą.

– Stary cynik! – krzyknęła za nim.

Wcale nie miała ochoty na jedzenie. Po pierwsze z nerwów. Po drugie zupełnie niedawno zjadła kolację.

Mimo to kupiła prowiant – żeby przekazać go aresztowanym: gotowane ziemniaki i kielbasę. Zapytała też przekupkę, gdzie jest pokój inspektorski.

– Idź, kochana, koło cerkwy na zachód, za opłotkami zobaczysz straszydło, od niego zdążaj ku słońku.

Mona nie wiedziała, co to takiego „straszydło” i którądy ma „zdążać ku słońku”, ale powiedziała sobie: Nie szkodzi, damy radę.

Rozpierała ją chęć działania. To prawda, że porządnie stchórzyła, gdy natknęła się w krzakach na ludzi z karabinami,

później też przełękała się cichego okropnego „dyrektora”, ale tylko dlatego że rozleniwiła się w męskim towarzystwie. Zbabiła. Gdy życie podrywa się do szaleńczego galopu, trzeba siedzieć w siodle i mocno trzymać wodze – samemu. A Monie zawsze wychodziło to znakomicie.

Przy opłotkach chwyciła za rękaw przebiegającego chłopaczka.

– Gdzie tu jest straszdyło, mały?

– A tamoj. – Machnął w stronę pustkowie, nad którym gęsto krążyły kruki, i popędził dalej w swoich młodzieńczych sprawach.

Mona skręciła z drogi, osłaniając się ręką przed malinowymi promieniami zachodzącego słońca. Na gładkim, wydeptanym placu widniało ze dwadzieścia żerdzi, na każdej tkwił garnek.

Harmider kruków stawał się coraz głośniejszy. Ku słońcu, stąd ku słońcu, wymamrotała Mona. Dotarła do pustkowie, rozejrzała się – i wrzasnęła.

Na wszystkich drągach tkwiły nie garnki, tylko odcięte głowy. Ogromne czarne ptaki leniwie je dziobały.

Mona zachwiała się i uchwyciła żerdzi. Na górze coś szczęknęło – kłapnęła zębami kołysząca się czaszka.

Spojrząwszy w górę, Mona już nie mogła odwrócić sparaliżowanego wzroku.

W jednych głowach bieleły nagie kości, inne były zupełnie świeże. Po każdą przymocowano dużą tabliczkę z napisem. „Handlowałem samogonem”. „Jestem gwałcicielem”. „Jestem białym szpiegiem”. „Jestem czerwonym agitatore”. „Spędziłam płód”.

Ostatnia głowa była szczególnie odrażająca: wydziobana czaszka ze zwisającym grubym warkoczem.

Mona pisnęła i rzuciła się do ucieczki. Stała dopiero wtedy, gdy zabrakło jej tchu. „Strach to doskonały wychowawca”, przypomniała sobie słowa dyrektora. A więc duża osada żyje

sobie w najlepsze. Pracuje, handluje, raduje się, baby szykują jedzenie, dzieci się bawią, a obok, za opłotkami – straszdyło. W takiej szkole panuje oczywiście porządek! Kto by się ośmielił dokazywać...

Mona zapragnęła uciec jak najdalej z tego zielonego rajku, dokądkolwiek, niechby tam nawet strzelano i głodowano. Wciąż jeszcze roztrzęsiona, skręciła na otwarte pole, ale stanęła – nieopodal zobaczyła białą chatę z zakratowanymi okienkami.

Spostrzegła też Kantorowicza. Ręce miał skrępowane z przodu, a konwojent ciągnął za sznur. Drugi, z bagnetem, szedł z tyłu.

Rzuciła się w ich stronę.

Sztabkapitan ją zauważył, pokręcił głową: niech pani nie podchodzi. Twarz miał zakrwawioną, nad brwią potężny siniak.

Strach pierzchł. Mona siedziała w siodle szaleńczo pędzącego konia, mocno trzymała wodze. Odrzuciła węzełek z jedzeniem. Piskliwie, jak prosta baba, krzyknęła:

– Drań! Białe podlec!

Przyskoczyła do Kantorowicza.

– Wydrapię ci te parszywe ślepie!

Konwojent z przodu chwycił ją za ramiona.

– Co cię napadło, babo?

– To oficer, widzę po gębie! Oficery zabiły mego chłopca!

– Zamilcz. Jemu i tak śmierć pisana. Na przesłuchaniu walnął Akimycza w facjatę. Prowadzimy go do parowu.

Mona się wyrwała, przypadła do skazańca, zaczęła go szarpać i okładać pięściami.

– Podlec! Podlec!

Odciągnięto ją.

– Już słyszałaś: dostanie za swoje. A tobie znajdą drugiego męża. Machnij się za mnie, chłop ze mnie gorący. – Konwojent wyszczerzył zęby.

– Pójdę z wami – oznajmiła Mona. – Chcę zobaczyć, jak wykończycie tego drania.

– Chodź. – Konwojent ustąpił. – Tylko nie włącz pod kule.

Mona poszła za nimi, od czasu do czasu wykrzykując przekleństwa – mniej więcej te same, jej zasób frazeologiczny był raczej ubogi.

Teraz, gdy zrobiła, co należało, znowu ogarnął ją potworny strach. Zdąży czy nie?

Szarpiąc sztabskapitana, wsunęła mu w rękę swój nożyk. Czy ten parów jest daleko? Czy Kantorowiczowi wystarczy czasu i sprytu, żeby przeciąć więzy? A jeśli wystarczy, to czy poradzi sobie z dwoma uzbrojonymi mężczyznami? Mona mogła mu pomóc tylko w jeden sposób – rzucić się na tego z tyłu i złapać za szyję. Czy to go zatrzyma? Na parę sekund, nie dłużej.

– Dacie zapalić na ostatek? – zapytał Kantorowicz. – Mam swój tytoń. Później zabierzecie.

– Zapalisz w parowie – odparł leniwie konwojent z przodu.

– Lubię podczas marszu. Przyzwyczajenie z okopów. Tam nie można było stać w miejscu. Austriacy strzelali na widok błyskających ogników.

– Dobra. Gdzie masz kapciuch?

– W prawej kieszeni.

Konwojent obrócił się, podszedł. Drugi oparł kolbę o ziemię, wyjął zapalki.

Teraz! – domyśliła się Mona i przygotowała się, żeby wskoczyć konwojentowi na ramiona. Strach znowu pierzchł.

Nie musiała jednak nic robić.

Kantorowicz uderzył konwojenta kolanem w przyrodzenie, odwrócił się, grzmotnął drugiego pięścią w nos. Chwilę później w rękach miał już karabin. Zamachnął się, żeby dźgnąć bagnetem tego, który upadł.

– Nie! – krzyknęła Mona. – Niech pan nie zabija!

– Niby czemu? – zdziwił się, nieruchomiejąc. – Oni przecież zamierzali mnie zabić. I zabiliby, gdyby nie pani.

– Skoro „gdyby nie ja”, to ze względu na mnie: niech pan tego

nie robi.

Sztabskapitan westchnął, wzruszył ramionami, ale się podporządkował.

Związał obu swoim sznurem, przeciętym na dwie części. Nogi skrępował rzemieniami. Zamiast knebli użył miękkich żołnierskich kaszkietów. Przestraszeni konwojenci wybałuszali oczy, a wystające z ust daszki sprawiały, że wyglądali dziwnie.

– Trzeba uciekać! Inni spostrzegą ich nieobecność – powiedziała Mona.

Kantorowicz zarzucił karabin na ramię, drugi podał jej.

– Umie pani strzelać? Załaduję. Niech ich pani trzyma na muszce. Niedługo wrócę.

I poszedł z powrotem, do osady.

Mona go dogoniła.

– Dokąd to?! Po co?!

– Po Skukina. A gdzie pani dziadek?

– O niego nie musi się pan martwić. Z nim wszystko w porządku.

– A ze Skukinem przeciwnie. Trzeba go wyciągnąć.

– Pan oszalał! – Mona wpadła w popłoch. – Niech pan będzie wdzięczny losowi, że pana ocalił! Trzeba uciekać!

– Mam porzucić towarzysza? – zdumiał się Kantorowicz. – Skukin to oczywiście niezłe ziółko, ale przecież go wykończą. Zresztą niech się pani nie denerwuje, urocza Fieodosjo. Niebawem się ściemni, a ochrona jest marna – jeden wartownik. Bułka z masłem. Nim się pani obejrzy, będziemy z powrotem.

Ostatni promień słońca oświetlił na purpurowo pokaleczoną twarz sztabskapitana, która nagle wydała się Monie piękna.

Powodowana impulsem, przyciągnęła do siebie Kantorowicza, objęła za szyję i pocałowała w usta. Były opuchnięte, słone od krwi. Sztabskapitan widocznie poczuł ból – nie powstrzymał jęku. A może zajęczał nie z bólu.

Mocne dłonie ścisnęły Monę, zęby uderzyły o zęby, w oczach pociemniało, serce zaczęło walić, ale wszystko niemal natychmiast się skończyło.

Kantorowicz odsunął się, ciężko dysząc. Oczy miał nie takie jak zawsze, tylko poważne.

– Zadziwiająca z pani niewiasta – powiedział głucho. – Uratowała mi pani życie. I jest pani bardzo piękna, dopiero teraz to zauważyłem. Ale... nie powinna pani się ze mną wiązać. Straciłem tę, którą kochałem. I nie mogę... Niedługo miną dwa lata, a ja nie mogę... Przepraszam.

Jest naprawdę wspaniała, pomyślała Mona. Niewielu takich chodzi po świecie.

– Nawet nie wiem, jak się pan właściwie nazywa – powiedziała.

– Aleksiej. Aleksiej Romanow. Parysowicz. Mam taki śmieszny patronimik...

– A ja jestem Mona. To znaczy Jelizawieta Anatoljewna Bujda, ale przyjaciele mówią do mnie Mona.

I zapytała o jeszcze jedną ważną rzecz.

– Ile ma pan lat, Aleksieju Parysowiczu?

– Dwadzieścia siedem. Dziesięć minut temu martwiłem się, że nie doczekam dwudziestych ósmych urodzin. – Uśmiechnął się, ale oczy nadal miał smutne. – To byłaby głupia śmierć. Dziękuję pani, Jelizawieto Anatoljewno. Niech mi pani wybaczy, na miłość boską, że robię z siebie Józefa Egipskiego – dodał prędko na widok jej zachmurzonej miny. – Ale jestem kaleką, inwalidą.

Mona spochmurniała z innego powodu.

– To nic. – Westchnęła. – Tak czy inaczej, jest pan dla mnie za młody. Proszę iść po swojego towarzysza, a ja zaczekam. Tylko ostrożnie, błagam.

Ten też mną wzgardził, myślała, wracając do jeńców. Oczywiście nie po chamsku, jak Skukin, tylko taktownie, ale to i tak przykre. Muszę jak najszybciej zadbać o normalny wygląd.

Kto wie, może „kalece” się poprawi?

Konwojenci nie siedzieli spokojnie. Przykucnęli, zwrócenii do siebie plecami, i próbowali rozsypać więzy.

Mona gwizdnęła ostrzegawczo, podniosła karabin. Jeden coś groźnie wymamrotał, daszek kaszketu poruszył się w górę i w dół.

– Co z was za mężczyźni? – powiedziała Mona. – Nie wstyd wam tak żyć? Pozwalacie się smagać różgami. Ktoś za was decyduje, czy możecie zapuścić wąsy. Nawet nie możecie się napić wina.

Znowu mamrotanie.

– Nie mamrotać, tylko słuchać! – krzyknęła. – Teraz ja jestem nauczycielką. Widzicie wskaźnik? – I pokazała bagnet.

Mamrotanie ustało, jeńcy spotulnieli. Ale Monie odechciało się z nimi rozmawiać.

– Teraz są po prostu złe czasy. Męskie – mówiła nie tyle do nich, ile do siebie. – Skończy się wojna, nastanie czas kobiet i wszyscy znowu będą normalni.

Postawiła broń kolbą do dołu, oparła się o lufę i ogarnęła ją niepokój: co z Romanowem, czy nie napyta sobie czasem biedy?

*

Nie musiała długo się denerwować. Tuż po tym, jak się ściemniło, na drodze pojawiły się dwie żwawe postaci – wyższa i niższa. Z oddali dobiegł kłótniwy głos Skukina:

– A ja panu mówię, że postąpił pan bardzo głupio, nie uśmiercając wartownika! Ocknie się i podniesie raban.

– Jelizawieta Andriejewna by tego nie pochwaliła – odparł Romanow, machając do Mony. – Niech pan lepiej powie, tęga głowo, jaki mamy plan?

– Dobry wieczór, łaskawa pani – przywitał się podpułkownik.

Teraz jego powściągliwość nie drażniła Mony, przeciwnie, dodawała animuszu.

– Jakże się cieszę, że jest pan na wolności!

Ale oschły egoista już nie zwracał na nią uwagi.

– Plan? Trzeba odejść stąd jak najdalej, póki nie pokazał się księżyc. Tylko nie wiadomo, w którą stronę iść. Ci chłopci zabrali mi szwajcarski zegarek z kompasem.

– Staniemy tyłem do Runi i w nogi – zaproponował Romanow.

Tak też zrobili. Co prawda parę minut później Aleksiej (Mona nazywała go w myślach zwyczajnie, bez patronimiku) skręcił z drogi na pole.

– „Tyłem do Runi” było przeznaczone dla uszu konwojentów – wyjaśnił. – Tak naprawdę musimy się dostać nad rzekę. Powinna być gdzieś w tamtej okolicy, prędzej czy później się na nią natkniemy. Pójdziemy w górę nurtu do przystani i wsiądziemy na barkas.

– Chciałem zaproponować to samo – burknął Skukin, niezadowolony, że to nie on dowodzi.

Dobłą godzinę błakali się w nieprzeniknionych ciemnościach, całkiem możliwe, że klucząc, lecz w końcu poczuli wilgoć.

– Ostrożnie! – uprzedził Romanow. – Tutaj jest urwisko.

Schodził pierwszy, trzymając Monę za rękę. Podpułkownik ich wyprzedził.

W dole plusnęła woda.

– W górę rzeki to na prawo. Ciekawe, czy przystań jest blisko?

Okazało się, że dość daleko. Po rzeczonym piasku szło się jednak łatwiej niż po trawie. Mona już chciała zapytać, skąd pomyśl, że trzeba się posuwać w górę, a nie w dół rzeki, ale w tej samej chwili chmury zaczęły się srebrzyć, z nieba spłynęło smutne światło i zupełnie niedaleko, w odległości jakichś stu kroków, błysnęły deski przystani. Barkas też się tam kołysał.

– Niech diabli porwą Szkołę! Lekcje odwołane. Wolność! – radośnie oznajmił Romanow, wbiegając na pomost.

Nagle się zatrzymał i rzucił karabin. Podniósł ręce, cofnął się.
Nad łodzią uniosła się sylwetka.

Znajomy głos powiedział:

– Długo spacerowaliście, panowie oficerowie. Zacząłem się już zastanawiać, czy się nie pomyliłem, myśląc, że wrócicie na barkas.

Dziesiątnik Siemion! W ręce rewolwer.

Z tyłu zaskrzypiał piasek. Od ciemnej masy urwiska oderwało się jeszcze parę postaci.

Romanow przysunął się do Mony, szepnął:

– Zapeszyłem. Jednak nie dożyję dwudziestych ósmych urodzin...

Mona chlipnęła niegodnie, po babsku. Najgorzej, gdy człowiek myśli, że jest uratowany, a okazuje się, że to, co najstraszniejsze dopiero przed nim.

*

Nie zapamiętała drogi powrotnej, patrzyła pod nogi. Bagnet dźgał ją w plecy, więc się bała: przekłuje, jak się potknie?

Zaprowadzono ich do jakiegoś białego budynku. Pewnie mieścił się tam pokój inspektorski, który Mona widziała przed zachodem, ale w ciemnościach straciła orientację. Tam ich rozdzielono; ją wepchnięto do izdebki bez okien, przesiąkniętej wonią zbutwiałej słomy. Mona była potwornie zmęczona, ale obmacawszy mokrą zgniliznę pod nogami, postanowiła tam nie siadać. Rozgarnęła słomę w kącie, oparła się o ścianę, powiedziała sobie: Teraz to już na pewno koniec. Pożyję do rana.

Ujrzała jak na jawie: drąg, a na nim głowa z długimi rudymi włosami, oczy wydziobane przez kruki, poniżej tabliczka. Co tam napiszą? „Jestem wrogą agentką”? Ach, wszystko jedno.

Boże, jakie to straszne!

I przypomniała sobie historię, którą często opowiadała jej matka. O tym, jak będąc młodą głuptaską, uciekła na wojnę turecką i omal nie trafiła w łapy baszybuzuków. Byli okrutni, żądni krwi i też odcinali głowy. Ale mamę uratował wtedy bohater, do którego wzdychała przez całe życie. Gdy Mona podrosła, matka powtarzała ze smutkiem: „Dla kobiety to normalne, że kocha dwóch mężczyzn: tego, z którym żyje i się starzeje, i drugiego, z którym jest wiecznie młoda. My, kobiety, mamy dwie natury. Jedna potrzebuje takiego mężczyzny jak twój tata, a druga takiego jak mój Erast Fandorin. Ale Fandorinów już się nie spotyka. Wszyscy zostali w ubiegłym wieku”.

Tak, myślała Mona, opasawszy się ramionami. Żaden Fandorin mnie tutaj nie uratuje, niedługo wszystko się skończy. Będą tylko ból, ciemność, a potem drąg i kruki. Wyobraziła sobie, jak twardy dziób wbija jej się w oko. Zakryła twarz dłońmi i się rozplakała.

Oj...

Aż dziw bierze, że mimo tych myśli jednak zasnęła.

Widziała sen, z matczynej opowieści. Straszny.

Przez pole galopował jeździec we włochatej papasze, o którym wiedziała, że nazywa się Śmierć. Krzyczał gardłowo w niezrozumiałym języku, przy siodle dyndało coś okrągłego, i długo nie mogła dojrzeć, co to takiego. W końcu dojrzała: głowa przywiązana do łąku za rude włosy.

Mona krzyknęła, poderwała się, nie od razu zdała sobie sprawę, gdzie jest.

Na podłodze ścieliła się wąska szara smuga. Było to światło, które przedostawało się przez szparę pod drzwiami.

Ranek.

W celi było ciemno i duszno, ale Mona zgodziłaby się pozostać w niej przez całą wieczność. Byleby tylko drzwi nigdy się nie otworzyły!

Podłe drzwi chyba ją podsłuchały, zaskrzypiały zawiasami. Nieznośnie jaskrawe światło sprawiło, że Mona zmrużyła powieki. Przysłoniła ręką oczy, zobaczyła w szczelinie postać we włochatej papasze.

– Pożyw się, kobieto – powiedziała postać.

O podłogę stuknął gliniany dzbanek, na którym spoczęła duża pajda chleba.

– Jak musisz za potrzebą, wytrzymaj jeszcze, niedługo cię wyprowadzą.

I drzwi się zamknęły.

Co on miał na myśli, zastanawiała się Mona. Co to znaczy

„wyprowadzą”? Żeby rozstrzelać? Ale po co w takim razie karmią?

Odpowiedziała sobie z dziwną obojętnością: Widocznie tak jest u nich przyjęte. Zawsze przynoszą skazańcom śniadanie, a potem, tuż przed egzekucją, pozwalają jeszcze zapalić. „Oni” oznaczali ludzi, do których świata siebie już najwyraźniej nie zaliczała.

Nie będę jeść, pomyślała. Ale chleb był świeżutki i pachniał cudownie, a z dzbanka parowało gorące mleko.

Zjadła wszystko i było to najsmaczniejsze śniadanie w jej życiu, smaczniejsze niż croissanty z dżemem brzoskwiniowym w Astorii.

Drzwi znowu skrzypnęły.

– Wychodź.

Mona wstała, zaciskając zęby. Zdziwiła się, że taka z niej spartanka: kolana się nie uginają, serce nie tłucze.

Ale na dworze było słonecznie, czuć było zapach świeżego wiatru, a na polu radośnie śpiewały skowronki, więc odzyskany niedawno spokój ją opuścił.

Nie! Nie! Nie! Nie zgadzała się na opuszczenie tego świata!

– Dzień dobry, Jelizawieto Anatoljewno. To znaczy niedobry...

Romanow. Mruży oczy – widocznie też go przed chwilą wyprowadzono. Romanow był dzielny – uśmiechał się. Chce mi dodać otuchy, domyśliła się Mona i też spróbowała się uśmiechnąć.

Był tutaj także Skukin, ale ten się nie uśmiechał i nie przywitał.

– Aż sześciu – powiedział ponuro, pokazując głową na ochronę.

– Po co tylu?

Dzisiaj było rzeczywiście sześciu konwojentów i wszyscy trzymali karabiny w pogotowiu.

Romanow szepnął do podpułkownika:

– Jak podejda skrępować ręce, niech pan walnie w zęby i spróbuje odebrać broń. Ja też powierzgam. Lepiej dostać kulę

w pierś podczas bójki niż w tył głowy na klęczkach.

– Rzecz gustu – kwaśno odparł Skukin. – Spójrzcie, kto nas zaszczyił swoją obecnością...

Z domu wyszedł Siemion.

– Bagnet na broń! Wy czterej do tego tam. Locha, Sidor do drugiego.

Dwa bagnety dźgnęły Skukina w prawy i w lewy bok. Romanow, chyba jako bardziej niebezpieczny, znalazł się między czterema bagnetami.

– Ze mną nie pofikacie. – Dziesiętnik mrugnął porozumiewawczo.

– Dokąd idziemy? – zapytał Romanow. – Znowu do parowu? Sprzykrzyło mi się.

– Do dyrektora.

Zaraz nie zabiją, domyśliła się Mona. Najpierw odbędzie się sąd czy jak to się nazywa w Zielonej Szkole, „rada pedagogiczna”?

Wolno przemierzali osadę, bo dwaj konwojenci szli tyłem, trzymając bagnety wymierzone w pierś Romanowa.

– Czują respekt – powiedział sztabkapitan. – A pan, Skukin, nie zasłużył.

– Ja nie napadłem na ochronę i nie obilem gęby „inspektorowi” – odparł podpułkownik. – Właściwie nie mają powodu, żeby mnie rozstrzelać.

Mijani mieszkańcy z ciekawością gapili się na procesję. Mali chłopcy przyłączali się z tyłu.

– A ruda co zmajstrowała? – krzyknął jeden.

– Szpyclowała. Za to ją ukatrupią.

W końcu dotarli do zarządu.

Na stopniach stał dyrektor, rozmawiał z jakimś mężczyzną z miasta w letnim piaskowym garniturze i w kanotierze, z porządną torbą podróżną. Skąd tutaj ktoś taki?

Uścisnęli sobie ręce. Miastowy się obrócił.

Mona zauważyła mimochodem subtelną twarz, czarne wąsiki. Patrzyła jednak na Żowtoguba.

Dyrektor zszedł ze schodków, zbliżył się bez pośpiechu. Miał wyraz twarzy pełen wyrzutu.

– Ale się panu trafili towarzysze podróży – powiedział, kręcąc głową. – Diabli wiedzą, co wyprawiają. Mogło się źle skończyć.

Zwracał się do miastowego.

Tamten też podszedł. Podniósł kapelusz, żeby wytrzeć chusteczką wysokie czoło. Starannie ostrzyżone włosy były siwe, ale wąsy czarne, a twarz wyglądała młodo. Była dziwnie znajoma. Zresztą Mona nie bardzo mu się przyglądała.

– Do licha! – wymamrotał Romanow. – To przecież nasz pielgrzym!

Dopiero teraz Mona poznała ojca Sergiusza. Co za metamorfoza!

– Przecież pani mówiłem, że wszystko się ułoży – rzekł z gniewem odmieniony w cudowny sposób starzec. – Dobrze, że przynajmniej nikogo nie zabiliście, w przeciwnym razie Nikodim Lwowicz by was nie wypuścił.

– Wypuszcza nas? – szybko zapytał Skukin. – Ale dlaczego?

– Dlatego że pan dyrektor szanuje ojczulka Machnę. A ja mam p-przepustkę z jego sztabu. Dla mnie i dla wszystkich, którzy są ze mną.

– Przecież nie wiedziałam – wybąkała Mona. – Wspominał pan tylko o liście...

– Skonfiskowane rzeczy zostaną wam zwrócone – oznajmił Żowtogub. – Z wyjątkiem karabinu maszynowego. On się nam przyda. Braterskie pozdrowienia dla Nestora Iwanowicza i Arona Woli. Niech pan przekaże im moją propozycję. I koniecznie powie, że nie wolno zwlekać. W ciągu najbliższych miesięcy wszystko się rozstrzygnie.

Dyrektor jeszcze raz uściśnął rękę ojcu Sergiuszowi i wrócił do domu.

– Niech pan posłucha, jak się pan tam naprawdę nazywa! – Skukin nawet teraz był niezadowolony. – Dlaczego od razu nie pokazał pan mandatu? Wczoraj omal nie rozstrzelano sztabkapitana! I mnie przy okazji.

– Sztabskapitan sam sobie winien. Po co poturbował poczciwego inspektora S-Stiepana Akimowicza? Nikt nie lubi nieuprzejmych ludzi.

Romanow rzucił lekko:

– Tak. Gdyby nie Jelizawieta Anatoljewna, już bym się przeniósł do następnego wcielenia. Wie pan, że Chińczycy i Japończycy wierzą, jakoby dusza żyła wiele razy?

– Coś tam słyszałem. – Ojciec Sergiusz popatrzył na Monę. – Jelizawieta Anatoljewna?

– Bujda. A pan?

Uklonił się, przykładając dwa palce do kapelusza.

– Erast Pietrowicz Fandorin.

– Oj – powiedziała cicho Mona. I powtórzyła jeszcze raz, ciszej: – Oj...

Zakręciło jej się w głowie.

– Skąd wziął pan ten strój, Fandorin? – zapytał Romanow, który nie zauważył jej reakcji.

– Z b-bazaru. Miastowe ubrania są tutaj tanie. Nikt ich nie kupuje.

– Nie za wcześnie zrezygnował pan z maskarady? Musimy przecież płynąć dalej. Będzie pan przyciągał uwagę. Nawiasem mówiąc, skoro już zdejmujemy maski, wyrzekam się Szai Kantorowicza. Aleksiej Romanow, do usług.

– Maskarada nie będzie dłużej potrzebna. Żowtogub dał mi glejt do sąsiedniej republiki ojczulka Kowtuna. Dalej są już tereny białych. A tam jak cię widzą, tak cię piszą.

– Jakie polecenie dla ojczulka Machny dał panu dyrektor? – zainteresował się podpułkownik.

– Żowtogubowowi marzy się sojusz z anarchistami. Nie

chciałem go martwić, ale to nierealne. Prawdy czarna i zielona nie tylko się różnią. Są przeciwstawne. Jedna to prawda wolności, a druga prawda niewoli... Dobrze, panowie, ruszajmy do naszej jednostki pływającej. A pani, Jelizawieto... Anatoljewno? – Obejrzał się na skamieniałą Monę, nie od razu przypominając sobie jej patronimik.

Skinęła głową w milczeniu, do głębi wstrząśnięta.

Erast Pietrowicz Fandorin?!

Milczała też w drodze na przystań i później, gdy barkas już ruszył. Wciąż patrzyła na Fandorina, nie odrywając odeń wzroku, i nie mogła uwierzyć.

Przez całe życie, od dziecka słyszała to nazwisko. Brzmiało jak Lancelot albo hrabia Monte Christo czy Denis Dawydow. Jak coś wspaniałego, starego i zupełnie nierzeczywistego.

À propos starości. Ile Fandorin ma lat? Matka mówiła, że był od niej młodszy o rok albo o dwa lata. To znaczy, że ma sześćdziesiąt dwa albo sześćdziesiąt trzy? Niewiele jak na historyczną postać, ale zbyt dużo jak na...

Jak na co? – ofuknęła się Mona. Jesteś niepoprawna!

To wina matki. Przez cały czas mówiła o Fandorinie jak o niespełnionej miłości. Pewnie dlatego Mona patrzyła teraz na niego takimi oczami: nie jak na sześćdziesięcioletniego starca, ale jak na mężczyznę zdolnego wzbudzić bardzo głębokie i trwałe uczucie.

Prawdę mówiąc, w nowym wcieleniu Erast Pietrowicz wcale nie wyglądał na starca. Przystojny (nawet chyba za bardzo), szykowny mężczyzna w średnim wieku, wczesnie oraz imponująco posiwiwały.

Boże, Bujda, te słowa – szykowny, imponujący – w ogóle nie są z twojego słownika, zawsze wydawały ci się pospolite, powiedziała sobie Mona, ale nic nie mogła poradzić na to, że Fandorin był właśnie taki: imponujący i szykowny. Nie było w nim za grosz pospolitości. Pospolitość pojawia się bowiem

wtedy, gdy nikczemność pozuje na wzniosłość, tymczasem Erast Pietrowicz najwyraźniej nie należał do osób, które na coś pozują.

Siedział na rufie, golił niebezpieczną brzytwą swoje i bez tego idealne policzki: lśniące ostrze żywo fruwało, w wytwornie wysuniętej lewej ręce błyskało lusterko. Kołnierzyk rozpięty, widać muskularną szyję. Rękawy podwinione, przedramiona jeszcze piękniejsze niż u Romanowa – delikatne, ale silne.

Erast Pietrowicz poczuł na sobie jej spojrzenie i się uśmiechnął.

– Od roku się nie goliłem. Przyjemnie. Zresztą znudziło mi się bycie w-wędrownym dziadem...

Matka mówiła, że Fandorin uroczo się jąkał, przypomniała sobie nagle Mona. Nie ma żadnych wątpliwości. To naprawdę on.

I się zdumiała: jak to możliwe, że wcześniej niczego się nie dopatrzyła w „ojcu Sergiuszu”? Czy chodzi tylko o to, że się ogolił i przebrał? Oczywiście, że nie. To siła legendy. Legenda opromienia człowieka olśniewającym blaskiem i wtedy ten ktoś ulega czarodziejskiej przemianie. Pewnego dnia, jeszcze przed wojną, Mona zobaczyła w restauracji jakiegoś wymiętego osobnika z rozczochranymi włosami przy sąsiednim stoliku i powiedziała do przyjaciółki: „Popatrz tylko. Że też można jeść befsztyk z tak dumną miną, jakby się decydowało o losach świata”. Przyjaciółka wyszeptała: „Boże! Aleksander Błok! We własnej osobie! Poeta!”. Mona zerknęła znowu i zobaczyła niebiański blask w oczach, natchniony profil, wytwornie wygięte szczupłe, delikatne palce. Boże, Błok! Jakże on jest piękny!

Skukin wciąż nagabywał Erasta Pietrowicza, wypytywał o dyrektora i dyrekcję. Najbardziej interesowały go ostatnie słowa Żowtoguba – że nie wolno zwlekać, bo w ciągu najbliższych miesięcy wszystko się rozstrzygnie.

– Co się rozstrzygnie?

– Kto zwycięży: biali czy czerwoni. Zdaniem dyrektora „trzecia siła” ma szansę na sukces, póki wynik tej k-konfrontacji nie jest

jeszcze wiadomy. Później będzie za późno.

– Wynik jest już wiadomy – zapewnił Skukin. – Biała sprawa zwycięża, to oczywiste. Na wschodzie admirał Kołczak dotarł do Wołgi, na zachodzie generał Judenicz ruszył na Piotrogród, armia mojego wuja lada chwila zajmie Charków i stamtąd pociągnie prosto na Moskwę. Jedyne, czego brakuje białym armiom, to koordynacja działań. To akurat temat mojej pracy końcowej w akademii: „Koordynacja działań i podział obowiązków podczas wojny w warunkach koalicji”. Już się na pana nie gniewam, Romanow – zwrócił się do sztabskapitana. – Mimo że jest pan człowiekiem nieobliczalnym i awanturnikiem, dzięki panu w porę przeszedłem na właściwą stronę.

– Tak – odparł szyderczo Romanow. – Biała Armia miała ogromne szczęście. Pańska praca zadecyduje o losach Rosji.

– Niewątpliwie – przytaknął podpułkownik.

Poczucie humoru nie należało do jego zalet.

– Niech pan powie, wilku morski, czy daleko stąd do Charkowa. Gdyby tak w linii prostej przez step? – zapytał sztabskapitan Fandorina.

– Ze czterdzieści, pięćdziesiąt wiorst.

– Skukin, a może kropniemy się gdzieś bliżej bijatyki? Nasi walczą, a my będziemy pływać łódką?

Podpułkownik się zamyślił.

– Hm. Może i tak. Koniecznie chciałbym wziąć udział w zdobyciu Charkowa. To duży punkt strategiczny. Będą awanse, nagrody.

I kategorycznie zażądał:

– Niech pan przybije do prawego brzegu!

– A pani? – Romanow spojrzał na Monę.

Dziewczyna z trudem odwróciła wzrok od Fandorina.

– Co?

– Jelizawieta Andriejewna musi się dostać nad morze – zamiast niej odparł Erast Pietrowicz. – Podobnie jak ja.

– Naprawdę?! – zawołała. – A co z pańską wycieczką do Hulajpola?

– Chyba nie pojedę. Dość mam Zielonej Szkoły. Nie pociąga mnie powrót do prostych obyczajów głoszonych zarówno przez czarną, jak i zieloną prawdę. Wolę bardziej z-zawiłe porządki. Jestem za cywilizacją. Skoro mój kraj chce schłópieć – proszę bardzo, ale beze mnie. Nie będzie pani miała nic przeciwko, że dotrzymam pani towarzystwa do Rostowa? Sądzę, że dotrzemy tam w ciągu tygodnia.

– Nie będę miała nic przeciwko – odparła Mona cicho.

Łódź zaszurała po dnie.

– Do widzenia. – Skukin kiwnął głową, chwycił swój worek i wyskoczył na brzeg.

No i poszedł sobie, zimny jak ryba, nawet się nie obejrzał.

Ale Romanow się zatrzymał.

– Mona... Pozwoliła pani tak do siebie mówić... Nie mam najmniejszej ochoty się z panią rozstawać. Proszę mi wierzyć, że gdyby nie obowiązek...

– Niech pan da spokój – przerwała niecierpliwie. Chciała jak najszybciej zostać sam na sam z Fandorinem. – Rozumiem. Oficerski obowiązek. Niech pan uważa na siebie, Aleksieju Parysowiczu.

– Obraziła się pani. – Westchnął ze smutkiem. – Proszę mi dać trochę czasu. Może się jeszcze spotkamy i wtedy...

– Nie, nie. Przecież mówiłam, że jest pan dla mnie za młody.

Romanow nie był głupcem. Uniósł brwi, zerknął na Fandorina. Posłał Monie pytające spojrzenie. Ona zaś z uśmiechem skinęła głową. Przepelniał ją zachwyt nad mistyczną nieprzewidywalnością życia. Romanow pocałował ją w rękę, uklonił się Erastowi Pietrowiczowi i pobiegł truchtem za Skukinem.

– Dlaczego mówił do pani „Mona”? – zapytał Fandorin.

– W dzieciństwie mama (nazywa się Warwara Andriejewna)...

– Mona zrobiła pauzę i zagadkowo się uśmiechnęła – powtarzała: „Czemu ciągle uśmiechasz się tak zagadkowo? Znalazła się Mona Liza!”. I ochrzciła mnie Moną.

– Życzę szczęścia, Mona! – krzyknął z brzegu rozbrajający Romanow.

Nie odwracając się, pomachała mu ręką.

Jelizawieta Trzecia?

Szczęście właściwie już nadeszło, więc Mona delectowała się każdą jego minutą.

Rzeka, łódź, żadnego intruza. I tak będzie długo, przez parę dni!

To oczywiste, że już go pokochała, nie mogła nie pokochać. Uczucie przypadło jej, by tak rzec, w spadku.

Niczego się nie domyślając, Fandorin siedział za sterem i ze skupieniem spoglądał w dal. Pewnie dumał o losach Rosji albo o czymś podobnym, tymczasem Mona zerkiała nań i wciąż się uśmiechała. Przypominał królika, który nie podejrzewa, że już go oplotło giętkie ciało głodnego pytona.

Ale ją też nawiedziły poważne myśli. Że całe dotychczasowe życie było jedynie przystawką do głównego dania. Prawdziwe życie zaczyna się dopiero teraz. Najważniejsze, żeby się nie śpieszyć i niczego nie zepsuć. Jest czas.

Owszem, czas może i jest, ale głodu nie da się oszukać, szepnął pyton.

– Czemu wciąż się pani uśmiecha? – Fandorin w końcu zauważył jej stan.

Monie przypomniawszy się maksyma z gimnazjum. Przez siedem lat podziwiała ją z tylnej ławki. Wisiała wykaligrafowana nad tablicą: „Powinnością młodego pokolenia Rosjan jest realizacja tęsknot przodków. Monarcha Mikołaj II”. No właśnie: realizacja tęsknot przodków. Co się nie udało matce czterdzieści lat temu, to uda się córce.

Kobiety w dziewiętnastym wieku wydawały się Monie

zabawne. Jak to możliwe, że mama była blisko niego, zakochana, często z nim sam na sam, i nie postawiła na swoim? Wytlumaczenie może być tylko jedno, stwierdziła z przekonaniem Mona. Temu mężczyźnie nie było pisane zostać moim ojcem, on ma być po prostu mój.

– Wierzy pan w przeznaczenie? – zapytała. – W to, że każde wydarzenie ma sens, że nic nie dzieje się przypadkiem i że ścieżka życia człowieka jest z góry nakreślona?

Erast Pietrowicz odparł tak, jakby dawno przemyślał to pytanie.

– Owych ścieżek jest kilka. A nawet sporo. Ale człowiek sam decyduje, którą wybrać. To się nazywa karma. W zasadzie bez względu na to, jaką drogą ktoś pójdzie, ma szansę osiągnąć ten sam, najwyższy poziom: zostać *bosatsu*, bodhisattwą – istotą z całkowicie rozbudzoną świadomością i wolną od w-wszelkiej cielesności.

Mona wysłuchiwała tego małego wykładu uważnie i z szacunkiem, ale sformułowanie „wolną od wszelkiej cielesności” ją poruszyło.

– Pan też tego chce?

– Oczywiście. Jak można nie chcieć?

Następne pytanie będzie trudne. Mona zebrała się na odwagę.

– I co, już się pan... wyzbył cielesności?

– Niestety – ze smutkiem odrzekł Erast Pietrowicz. – Chociaż to nawet dziwne. Widzi pani, przebyłem... długą chorobę, podczas której świadomość spała i nie było żadnej cielesności. Wyglądało na to, że już nie wróci. Ale tak się nie stało. Jestem jeszcze zbyt młody. Zresztą nie ma się czemu dziwić. Długo jeszcze poczekam na starość. Na razie nie osiągnąłem nawet wieku d-dojrzałości, nadejdzie dopiero za pół roku.

– Wiek dojrzałości?

– Tak. Mężczyzna, który żyje we właściwy sposób, osiąga dojrzałość w wieku sześćdziesięciu czterech lat. To osiem ósemek

– pora fizycznej oraz intelektualnej doskonałości. Podobno przed człowiekiem otwiera się wówczas najbardziej płodny i przyjemny etap w życiu, przejście od ziemskiej do niebiańskiej doskonałości, do mądrości, która też składa się z dwóch ósemek, ale nie pomnożonych, tylko pozostających w równowadze: osiemdziesiąt osiem lat.

Bardzo bym chciała spędzić ten przyjemny etap z panem, powiedziałaaby Mona, gdyby była głupia. Ona jednak była mądra, więc tylko słuchała i kiwała głową.

– Japończyk, który nauczył mnie kiedyś panować nad wolą i ciałem, mówił, że stał się pełnowartościową istotą dopiero w wieku sześćdziesięciu czterech lat – ciągnął Fandorin. – To tak zwany wiek „pierwszej dojrzałości”: ciało i umysł są całkowicie rozwinięte, więc następuje kolej na ducha. To zabiera dwa dwunastoletnie cykle, po czym ciało i umysł tracą znaczenie. Pozostaje tylko dojrzały duch.

– A co później, po ukończeniu osiemdziesiątego ósmego roku życia?

– Nic. Rozwój się zatrzymuje. Mędrzec żyje do czasu, aż nie straci zainteresowania życiem, później odchodzi. Starcy wyznający zasady *dao* posiadli umiejętność zatrzymywania życia na wydechu – w dowolnej chwili, która wyda im się odpowiednia.

– Pewnie po takim duchowym życiu ich ciała w ogóle nie gniją? – zapytała drwiąco Mona, której bardzo się nie spodobała cała ta chińszczyzna. To jasne, że została wymyślona wyłącznie dla mężczyzn. Normalną kobietę aż ciarki przechodzą na myśl, że będzie staruchą bez umysłu i ciała, wyłącznie z duchowością.

– Nie gniją – odparł poważnie. – Podobno (sam co prawda nie widziałem) w ukrytych grobowcach, do których drogę znają nieliczni, starcy spoczywają w nienaruszonym stanie przez wieki i nawet po śmierci zdolni są oddziaływać na ludzi. To bardzo możliwe. W takim człowieku gromadzi się bardzo dużo energii d-

duchowej, ona zaś nie podlega rozkładowi. W tej sytuacji metafizyka niczym się nie różni od fizyki.

Mona nie wiedziała, czy to nie żarty. Zmarszczywszy czoło, zajęła się arytmetyką.

Ile będzie miała lat, gdy on osiągnie ten diabelski wiek mądrości? Pięćdziesiąt dziewięć? No dobrze. To nastąpi dopiero za dwadzieścia pięć lat, w tysiąc dziewięćset, Boże odpuść, czterdziestym czwartym roku. Do tego czasu wszystkie rewolucje i wojny na Ziemi dawno ucichną, więc całkiem możliwe, że Erast rozmyśli się i nie zostanie mędrcelem wyznającym *dao* albo bodhisattwą (właściwie jaka jest między nimi różnica?).

Nadszedł już jednak czas, żeby skierować rozmowę na bardziej obiecujące tory. Mona przeszła do ataku.

– A ja nie mam ochoty wyzbywać się cielesności. – Westchnęła marzycielsko i wykonała elementarną kobiecą sztuczkę – przeciągnęła się jak kotka, wysuwając do przodu biust. – Lubię swoje ciało.

– Wcale się nie dziwię – mruknął Fandorin i odwrócił oczy. Ale spojrzenie miał takie jak należy, męskie. Mona poczuła satysfakcję. Królik chyba zaczął coś podejrzewać.

Mały odwrót, żeby się nie spłoszył.

– Chciałam zapytać, skąd wziął pan torbę podróżną. I co w niej jest?

– Kupiłem w Runiach. – Erast Pietrowicz z wyraźną ulgą przystąpił do udzielania wyjaśnień. – W środku jest bielizna na zmianę, dwie koszule, kołnierzyki, przybory t-toaletowe. Oni tam mają prawie wszystko; to niesłychane w dzisiejszych czasach. Dla pani też wziąłem parę rzeczy, zakładając, że i pani chciałaby się przebrać.

– Jak miło! – zawołała zaintrygowana. – Jestem panu niezmiernie wdzięczna! Mnie też sprzykrzył się wygląd żebraczki.

O tym, że spódnica wywraca się na „lewą”, porządną stronę

i o satynowej bluzce nie należało rzecz jasna wspominać.

– Przepraszam, kupowałem według własnego uznania...

Fandorin wyjął jedwabną suknię, bordową, w ohydne żółte różyczki.

– Cudo! – zawołała Mona z obłudnym entuzjazmem.

Za to trzewiki były niebrzydkie. Przymierzyła – w sam raz.

– Odgadł pan rozmiar!

– Nie musiałem. Mam dobre oko.

– Nie sądziłam, że zdążył pan tak dokładnie przyjrzeć się moim nogom – powiedziała wesoło. – Kupił pan tylko pończochy, a co z halką?

Fandorin się stropił.

– W sklepie nie było damskiej b-bielizny. Widocznie nie ma na nią popytu wśród tutejszych kobiet.

– Będę więc musiała włożyć suknię na gołe ciało – oznajmiła Mona świętoszkowatym tonem.

Erast Pietrowicz mrugnął.

– Przebiorę się już teraz! Z rozkoszą! Tylko najpierw się wykąpię.

Znowu zamrugał. Nie, jeszcze nie jest bodhisattwą!

– Tak, tak, odwróć się.

I przesiadł się na dziób, zastygając w kamiennej pozie.

Mona rozebrała się do naga, stanęła na tylnej ławce i rozłożyła ręce – ku rzece, słońcu, powietrzu i światu.

Chwilo, jesteś piękna, ale się nie zatrzymuj!

Zanurzyła się w cudownie zimnej wodzie, wywinęła koziołka niczym rusalka, popłynęła za barkasem.

Do boju!

Krzyknęła:

– Aj!

Fandorin gwałtownie się odwrócił.

– Co?!

– Coś prześliznęło mi się po nodze! Czy tutaj mogą być wodne

zmije?

– Nie wiem, raczej węże.

– A-a-a! – wrzasnęła i zaczęła młócić rękami wodę. – Niech mnie pan stąd wyciągnie! Prędkiej! Proszę zamknąć oczy i wyciągnąć!

Fandorin posłusznie zacisnął powieki. Z siłą, ale delikatnie wyciągnął.

Mona przerzuciła przez rufę jedną, później drugą nogę. Uklęka. Udała, że nie może utrzymać równowagi. Złapała mokrymi rękami Erasta Pietrowicza za szyję. Jego zaczerwieniona twarz z zamkniętymi oczami była tuż obok, więc Mona uznała, że dość tych chińskich ceregieli. On nie jest wyrostkiem, a ona pensjonarką.

Wyszeptała:

– Niech mnie pan pocałuje. I o niczym nie myśli.

Oczy się otworzyły.

– Ale... – wybąkał Fandorin. – Jest pani... pewna?

Monie nagle przyszło do głowy, że to sen. Tak naprawdę rano ją rozstrzelano. Teraz jej martwa głowa tkwi na żerdzi i upaja się przywidzeniami.

Zresztą co za różnica? Sen to sen.

Mmm, co za pocałunek... A jaki zapach! Mężczyźni zawsze pachną nieszczególnie, tego zaś wycisnęłyby do flakonu, żeby uzyskać wodę kolońską Fandorin, a potem skrapiałyby się nią co rano. Pewna mądra powieściopisarka słusznie napisała: będziemy się uczyć miłości od zwierząt, one kochają nosem, a nie oczami.

Kochała go każdą cząstką ciała, bez reszty. Rzeka, słońce, powietrze i świat nie przeszkadzały, cierpliwie czekały na swoją kolej. Chwila wciąż trwała.

Ocknąwszy się po błogim półomdleniu, Mona nie spoczęła na laurach. Musiała kuć żelazo, póki gorące. „Erast był dla mnie, głuptaski, zbyt skomplikowany”, wzdychała biedna mama,

dziecię niewinnego wieku. Ale tylko słabi mężczyźni bywają zbyt skomplikowani. Im silniejsi, tym z nimi łatwiej.

Mona pewnie przeszła na ty, bo kochankowie są zawsze w tym samym wieku – niech on to sobie od razu uświadomi i nie waży się traktować jej po ojcowsku.

– Jeszcze się nie uwolniłeś od cielesności.

– Zbyt długo gromadziła się energia *qi* – odparł niezrozumiale.

Mona położyła mu głowę na ramieniu i wkrótce zasnęła. To wiąże jeszcze mocniej od namiętności. Żołnierz śpi, a służba biegnie.

Przez sen słyszała odgłos włączanego silnika, ale się nie obudziła, bo jego ramię nawet nie drgnęło – chyba dosięgnął jakoś dźwigni, nie zakłócając jej odpoczynku. Mona cmoknęła go w biceps (wolałaby, żeby był bardziej miękki) i znowu mocno zasnęła.

Następnym razem kochali się już pod gwiazdami, świat nocą był wcale nie gorszy od tego w ciągu dnia. Poza tym w ciemności bardzo dobrze się rozmawia.

– Nie mam już nic do roboty w Rosji – oznajmił markotnie Erast Pietrowicz, bawiąc się jej rozpuszczonymi włosami. – Przez tyle lat próbowałem zmienić jej fatalną karmę, o-odwrócić nieszczęście, ale nie zmieniłem karmy i nie odwróciłem nieszczęścia. Wygrałem tyle bitew, lecz przegrałem wojnę. A teraz wyjeżdżam, bo nie wiem, z kim walczyć. Z ziemią? Z powietrzem?

Słuchała, cierpliwie czekając, aż zacznie mówić o rzeczy najważniejszej. Podsuwanie mu tego tematu nie byłoby rozsądne z jej strony.

Skończywszy uprawiać męskie samobiczowanie i ponarzekawszy na smutny los Rosji, Fandorin zadał wreszcie pytanie, na które Mona czekała z drzeniem serca.

– Dowiozę cię do Rostowa, a stamtąd do Sewastopola. Co potem? Pojedziesz do Szwajcarii, do rodziców?

Jeszcze mu nie powiedziała o matce – zostawiła to na później, gdy pierwsze radości zaczną się przejadać i nadejdzie pora, żeby ich relacje przybrały inny, providencjalny charakter. Niech opatrnościowe zrządzenie losu jego też przyprawi o dreszcze.

Najrozsądniej, rzecz jasna, byłoby się teraz zdziwić i powiedzieć: „No tak, do Szwajcarii, a niby gdzie indziej?”. Niechby zaczął się zastanawiać, czy pragnie się z nią rozstać. Dzień albo dwa dni takiej idylli sprawiłyby, że sam by zaproponował, żeby zostali razem, ona zaś zgodziłaby się z łaskawą miną.

Ale teraz, pod gwiazdzistym niebem, Mona nie miała ochoty być rozsądna. Więc powiedziała:

– Chcę zostać z tobą. Być tam, gdzie ty będziesz, reszta się nie liczy.

Fandorin zaczął się kręcić, więc się przestraszyła, że wszystko zepsuła. On jednak niepokoił się z innego powodu.

– W Sewastopolu czeka na mnie mój przyjaciel Masa. Od czterdziestu lat jesteśmy nierozłączni, nie rozstaniemy się do śmierci. Będzie ci z nim niełatwo. Zawsze miał nieprzyjemny charakter, a z upływem lat stał się jeszcze gorszy. Zresztą i ty, sama w-wiesz, też nie jesteś aniołem.

– Kocham to co ty – odparła krótko, przypomniawszy sobie, jak Kitty rozmawiała z Lewinem. – Pokocham też twojego Japończyka.

Sama zaś pomyślała: co za bzdury. Rozporządzała metodami nacisku, niedostępnymi żadnemu przyjacielowi. Więc dodała twardo:

– Kocham cię tak, jak nikt nigdy nikogo nie kochał!

W tym momencie Fandorin zamiast odpowiedzieć tak samo namiętnie albo przynajmniej wyszeptać mało błyskotliwie „ja też”, wybąkał coś zagadkowego:

– Jelizawieta T-trzecia? To już przesada...

Mona usiadła, chwyciła go obiema rękami za szyję i zażądała

natychmiastowego wyjaśnienia, co znaczą te słowa.

Fandorin wyjaśniał długo i nieskładnie, parę razy próbował schować się jak żółw do swojej skorupy albo nastroszyć się jak jeź, ale Mona, ma się rozumieć, nie ustąpiła, póki wszystkiego się nie dowiedziała.

Wtedy odsunęła się i zaczęła medytować.

Że obie jego żony też miały na imię Jelizawieta, to dobrze. Z tego wniosek, że jego karma jest taka jak jej. Że oba małżeństwa skończyły się fatalnie, to źle. Chociaż czy byłoby lepiej, gdy okazały się szczęśliwe? A w ogóle: Bóg lubi trójcę. Trzeba zatem dać mu to, czego Jelizawieta Pierwsza nie zdążyła, a Jelizawieta Druga nie potrafiła albo nie chciała.

W tej samej chwili Mona z łatwością rozwiązała problem, nad którym filozofowie mistyczni łamali sobie głowy przez wieki: jak ucieleśnić bezcielesność i uchwycić nieuchwytnie.

To bardzo proste. Trzeba ciasno opasać nieuchwytnie, wziąć jego małą cząstkę do niewoli swojego ciała i wyhodować z tej kruszynki swoją wyłączną własność. Należy oczywiście zrewidować wyznawane zasady i zmienić stosunek do problemu rozmnażania się, ale pryncypialność to cecha mądrych mężczyzn i głupich kobiet.

Zdenerwowany przedłużającym się milczeniem, Fandorin zapytał nieśmiało, mocno się zacinając:

– Nie p-powinienem był m-mówić o „Jelizawiecie Trzeciej”. Wszystko zepsułem? Co mogę zrobić, żebyś mi w-wybaczyła?

Mona odwróciła się i pogłaskała go po policzku.

– Może i jestem Trzecia, za to ostatnia. Wybaczę ci pod jednym warunkiem. Jeżeli zostało ci jeszcze trochę energii *qi*.

Chwila się zatrzymała

Nazajutrz płynęli przez włości jakiegoś atamana Kowtuna. Niedawno przetoczyła się tędy wojna, więc mijane wsie były trojakiemu rodzaju: bezludne, męskie i żeńskie.

Od bezludnych pogorzeliisk Mona się odwracała, nie chciała psuć niekończącej się cudownej chwili. W męskich wsiach na brzeg wychodzili ludzie z bronią, żądali, by się zatrzymać. Erast pokazywał im przepustkę dyrektora Żowtoguba i barkas ruszał dalej. W żeńskich wsiach – tych, w których nikt nie wymachiwał bronią – Mona schodziła na brzeg. W jednej za resztę zielonoszkolskich pieniędzy kupiła jedzenie, w drugiej wymieniła beznadziejną kwiecistą suknię na pikowaną kołdrę, żeby wygodniej się leżało na dnie łodzi.

U schyłku dnia z prawego brzegu, spod zwisających nad wodą wierzb, dobiegły krzyki:

– Patrzcie no, państwo na łodzi! Ej, miastowy, wiosłuj tutaj!

Jacyś trzech osobnicy poili konie i potrząsali karabinami.

– Nie denerwuj się – powiedział Erast. – Pokażę przepustkę i popłyniemy dalej.

Skierował barkas ku brzegowi.

– Płyniemy z zadaniem od dyrektora Żowtoguba. Oto dokument.

Jeden z nieznajomych wziął kartkę, zerknął niedbale, rzucił na piasek.

– Mamy gdzieś twojego dyrektora. Sami sobie jesteśmy panami. Mamzel, skacz do nas. A ty jazda, zdejmuj kaftan. I czoboty.

Fandorin westchnął, wstał, zdjął marynarkę.

– Wybacz. To nie potrwa długo.

Mona nie czuła strachu. Raczej ciekawość.

Erast Pietrowicz lekko zeskoczył na brzeg; jedną nogą ledwie dotknął ziemi, druga, opisawszy łuk, uderzyła impertynenta w policzek. Ten upuścił karabin i jeszcze nie zdążył się przewrócić, gdy Fandorin, zakręciwszy się na obcasie, wyrzucił drugiego łokciem w oko.

– Brawo! – zawołała Mona. – Bis!

Z bisu nic jednak nie wyszło, bo trzeci bandyta (nie ma wątpliwości, że byli to zwyczajni bandyci, skoro nie uznawali żadnej władzy), ciskałszy broń, rzucił się na oślep w krzaki.

Poszkodowani leżeli cicho, ale uciekający wrzeszczał:

– Bracia! Bracia!

Gdzieś zarżały konie. Dużo.

Erast podniósł jeden karabin, wskoczył z powrotem do łodzi.

– Nie będziemy się narzucać – powiedział. – Tam są jeszcze jacyś bracia.

Trr, trrrr, trrrrrrrrrrr – zawarczał silnik. Łódź zaczęła nabierać rozpędu.

Niebawem gaj wierzbowy się skończył, rozpostarło się pole.

Sytuacja na polu nie wyglądała dobrze. W tumanach kurzu galopowali jeźdźcy, ciągnąc za sobą taczankę i wydając przeciągły zbójecki gwizd.

Barkas gwałtownie skręcił ku drugiemu brzegowi.

– Na rzece posiekają nas karabinami maszynowymi – szybko wyjaśnił Erast Pietrowicz. – Musimy zejść i się ukryć. Na dziób!

Chwycił ją za rękę. Oboje wyskoczyli, gdy tylko łódź uderzyła o brzeg. Pobiegli.

Tak-tak-tak-tak-tak! – przetoczyło się nad rzeką.

Mona poturlała się po trawie – tak mocno Fandorin szarpnął ją za rękę.

Nad głową zaszumiało powietrze.

– Umiesz chodzić na czworakach?

– Nie próbowałam od drugiego roku życia, ale sobie przypomnę – odparła. Nie bała się ani trochę. Przy nim nie czuła żadnego strachu.

Ruszyli. Wokół chrzęściła i kładła się ścinana kulami trawa.

– Ależ się p-przyczepili – wymamrotał Erast, unosząc się i rozglądając.

Mona też popatrzyła.

Z rzeki wystawały głowy. Nad każdą wyciągnięta ręka, w niej karabin.

– A biegać? Musimy dotrzeć do tamtego jaru. Tam nie dosięgnie nas karabin maszynowy.

– Jestem cyklistką. Wiesz, jakie mam silne nogi?

– Wiem. Trzy, cztery!

Popędzili, trzymając się za ręce. Jak w dzieciństwie, pomyślała Mona. Pomyślała też jeszcze o czymś: nawet taka chwila jest piękna.

Stoczyli się w dół po łagodnym zboczu. Znowu ruszyli biegiem.

– Dokąd teraz?

– Widziałaś na polu pagórek z kamienną babą?

Pokręciła głową. Nie patrzyła przed siebie, tylko pod nogi.

– Tam się przyczaimy. Jak będą się pchali, tym gorzej dla nich.

Wydostali się z jaru, wbiegli pochyleni na niewielkie wzniesienie.

– Schowaj się za b-babą. I nie wychylaj.

Ale Mona oczywiście się wychyliła.

Przez pole, rozciągnięci w szereg, biegli ludzie. Zanurzeni po pas w trawie, wyglądali jak zabawne ludziki.

– Zupełnie jak wtedy – powiedziała Mona.

– Kiedy „wtedy”?

– Gdy uciekaliście z mamą przed baszybuzukami. Pamiętasz Warię Suworową? Jestem jej córką.

Trudno było wybrać bardziej efektowną chwilę na tak

efektowną wiadomość.

Czarne brwi Erasta wygięły się w idealne łuki, ale szczęka opadła raczej mało elegancko.

– Co? – wybąkał. – Toń-nieemożliwe.

– Przed naszą rodziną nie uciekniesz. – Mona się roześmiała, bardzo z siebie zadowolona. – Mamy długie ręce. I nogi... Oj!

Od kamiennego biodra baby z nieprzyjemnym świstem odbiła się rykoszetem kula.

Erast przycisnął Monę do ziemi. Potrząsał głową, nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Jesteś c-córką Warwary Andriejewny? Ale... takie rzeczy się nie z-zdarzają!

Monie strasznie się podobało, że Erast się zmieszał i bełkocze. Świst kul tylko przydawał wyrazistości scenie.

– Ach, ci d-durnie leżą zupełnie nie w porę! – Obrócił się gniewnie w stronę strzelaniny.

– Mama opowiadała, że Turcy pędzili konno, a ty celowałeś z broni. Teraz sytuacja jest taka sama, prawda?

– Wygląda lepiej. Baszybuzuków było więcej, a mój winchester nie był załadowany. Tych jest zaledwie dziesiątka, a w mannlicherze – szarpnął zamek – pełen m-magazynek. Nie wychylaj się, bardzo proszę.

Sam się wychylił. Na sekundę. Wycelował, strzelił, schował się z powrotem.

Na polu rozległy się wrzaski. Mona wyjrzała z dołu.

Jeden bandyta kręcił się w miejscu i trzymał za ramię.

Nad głową znowu huknął strzał.

Drugi upuścił karabin, zachwiał się, też chwycił się za ramię.

Reszta schowała się w trawie.

Erast czekał, wodząc powoli lufą.

Strzał!

– Aaa!!! – krzyknął ktoś basem. Zerwał się, pobiegł z powrotem. I też przyciskał ramię.

– Trafiasz ich w to samo miejsce – zauważyła Mona.

– Gdy zaczęła się wojna domowa, postanowiłem trzymać się twardej zasady: jeśli już zabijać, to wyłącznie złych ludzi. W rodzaju flisaka Stasia. O tych nic mi nie wiadomo. Wystarczy, że zostaną ranni. Doskonała sposobność, żeby poleżeć w spokoju i zastanowić się nad życiem.

Był teraz tak piękny ze swoimi idiotycznymi zasadami, że Mona nie wytrzymała. Zerwała się na nogi, objęła go, zaczęła całować.

– Strasznie, do szaleństwa cię kocham!

– Zaczekaj... – powiedział. – Naprawdę nie teraz... Przez ciebie nie zauważyłem, gdzie się podział ten z prawej. W kubance, z mauzerem.... Może podkrada się z flanki, gdzie nie osłania nas baba?

– Obronię cię lepiej niż jakaś kamienna baba. Sama jestem kamienną babą – namiętnie szeptała Mona.

Z całej siły przycisnęła do siebie Erasta. I nagle, spojrzawszy przypadkiem ponad jego ramieniem, zobaczyła wystającą z trawy głowę w płaskiej kubańskiej papasze i długą lufę.

Z siłą, o którą się nie podejrzewała, obróciła Erasta, zamieniła się z nim miejscami.

Coś z chrzęstem uderzyło ją w łopatkę, jakby to był młotek albo kij.

– Kocha... ny – wymamrotała w gwałtownie gęstniejącą ciemność.

I piękna chwila się zatrzymała.

Biała prawda

Z kretynami ciężko

Na Zjeździe Kupieckim Aleksiej zatrzymał się przed witryną nowej kawiarni Nord niby to poprawić kaszkiet, a tak naprawdę sprawdzić, czy nie ma ogona. Właściwie nikt nie powinien był go śledzić, ale jak to mówią, gwarancją zdrowia jest profilaktyka. Udając się na konspiracyjne spotkanie, Romanow zawsze przestrzegał zasad: nigdy nie dojeżdżał dorożką na miejsce i co jakiś czas kontrolował, czy nie ma „zakurzonych pleców” (tak się to nazywało w profesjonalnym żargonie).

Plecy były w zupełnym porządku. Nikt się nie gapił na skromnego kapitana, nikt gwałtownie nie przykucnął, żeby zawiązać sznurówkę, nikt nie schował się za latarnią, nie znieruchomiał przy murze, zasłoniwszy się gazetą. Zwyczajny uliczny tłum burzliwych czasów: więcej mężczyzn niż kobiet; więcej wojskowych niż cywilów. Odkąd w Charkowie ulokował się sztab Armii Ochotniczej, zewsząd ściągali tutaj „bohaterowie tyłów”, bo mieli gdzie zamieszkać i co zjeść. Arkasza Skukin, przed którym nic się nie ukryje, narzekał, że sztabowców, intendentów, adiutantów, a w szczególności tak zwanych PU i RNZ („permanentnie urlopowanych” i „ratujących nadszarpnięte zdrowie”) jest w mieście półtora raza więcej niż oficerów na froncie.

Nagle Romanow się zaniepokoił. Prosto ku niemu zmierzał patrol: porucznik drozdowiec[33] w kaszkiecie z malinową główką i dwaj żołnierze z białymi opaskami. Zwyczajna kontrola czy...?

– Proszę okazać dokumenty, panie kapitanie. – Porucznik

zasalutował. – W związku z wiadomym wydarzeniem w Charkowie wprowadzono specjalne środki ostrożności.

– Wiem. – Aleksiej odetchnął w duchu. – Sam sporządzałem rozkaz. Oto dokumenty, proszę.

Podał legitymację służbową i mandat z podpisem szefa kontrwywiadu księcia Kozłowskiego, nakazujący wojskowym wszystkich rang oraz administracji cywilnej udzielić okazicielowi wszelkiej możliwej pomocy.

– Zatrzymaliście kogoś podejrzanego? – zapytał surowo i władczo.

– Nie wiem. Dopiero przejąłem służbę. – Porucznik patrzył z niepokojem na oficera kontrwywiadu. – Jakże to tak, panie kapitanie? Strasznie żał dzieci. I tak były nieszczęśliwe! Kto mógł to zrobić? Żebym chociaż na pięć minut dostał tych łotrów w swoje ręce! Jest pan przecież z kontrwywiadu. Znajdźcie ich!

– Szukamy – gniewnie burknął Romanow, zabierając dokumenty.

Zrobił jeszcze jeden kontrolny postój na Kłoczowskiej, przy oswagowskim[34] słupie informacyjnym z komunikatami frontowymi i ogłoszeniami dowództwa. Tym razem też nie stwierdził niczego podejrzanego, ale do reszty stracił humor.

Po pierwsze wieści z frontu były do bani. Konny Korpus generała Mamontowa przedarł się przez tyły czerwonych, zdobył węzeł kolejowy w Liskinie i połączył się z grupą uderzeniową generała Szkury. Wzięto siedem tysięcy jeńców i jeśli wierzyć Biuletynowi, połowa wstąpiła do Armii Ochotniczej. Czerwony front lada chwila się rozpadnie i wtedy otworzy się droga na Moskwę. A tymczasem na północnym zachodzie generał Judenicz jest już sto trzydzieści kilometrów od drugiej stolicy, Piotrogradu... Poza tym rozmowy w grupie czytających były okropne. Oficjalnej informacji o tragedii w Sierocińcu Kaledińskim jeszcze nie opublikowano, ale wieczorny wybuch słyszał cały Charków, więc wieści oczywiście od razu się rozeszły.

Jeden osobnik – z wyglądu proletariusz – powiedział prawie to samo co drozdowiec: „Jak złapią tych czerwonych drani, powinni zamiast wieszać, oddać ludziom. Naród by ich rozerwał na strzępy”.

Aleksiej oddalił się, myśląc ponuro, że gdy ukażą się gazety, całe miasto przeklnie konspiratorów. W notatce nie będzie przecież mowy o zamachu na głównodowodzącego, tylko o tym, że bolszewicy wysadzili w powietrze sierociniec. I zdjęcia zabitych, okaleczonych dzieci... Ach, Zajenko, łajdaku, co ty wyrabiasz!

Na skrzyżowaniu musiał się zatrzymać – szła kolumna marszowa, wywrzaskiwała hymn Armii Ochotniczej:

Pójdziemy w bój śmiało
Na świętej Rusi zew
I każdy jak przystało
Przeleje młodą krew.

Wszyscy są rzeczywiście młodzi. Twarze rozumne, natchnione. Pewnie studencki nabór. Znowu należy podziękować towarzyszowi Zajence – widocznie narobił niezłego bigosu, gdy dowodził tutejszą CzK, „oczyścił” klasę wyzyskiwaczy. Inteligencja, ucząca się młodzież – wszyscy, którzy powinni być za rewolucją – teraz nienawidzą czerwonych. I będą walczyć na śmierć i życie. A po wczorajszym kretyństwie napływ ochotników tylko się zwiększy...

Z Kłoczkowskiej skręcił na Iwanowską i klucząc podwórzami, wyszedł akurat naprzeciw czytelnikowi. Jeszcze raz się obejrzał i dopiero potem ruszył ku drzwiom.

Czasu miał jak na lekarstwo. Kozłowski powiedział: „Galopem, Losza, galopem! Jedna noga tutaj, druga tam”. Trzeba mu będzie napleść jakichś bzdur. Szef obrzuci go wyzwiskami, rzecz jasna,

ale nie poweźmie żadnych podejrzeń. Kapitan Romanow cieszył się pełnym zaufaniem przełożonego.

Z jednej strony było to oczywiście bardzo wygodne. Z drugiej – trudne moralnie. Cholerna zawierucha! Wbiła klin pomiędzy najbliższych ludzi, bo bliższych już nie ma. Starzy towarzysze, ramię w ramię walczyli w wielkiej wojnie, nierzadko ratowali jeden drugiemu życie. Aleksiej wciąż łapał się na tym, że patrząc w szczerą, życzliwą twarz Ławra, chce odwrócić oczy. W końcu to świństwo: oszukiwać tego, który całkowicie ci ufa.

Z drugiej strony nie mógł przecież nie wykorzystać tak niesłychanego fartu. Gdy na początku czerwca trafił do białych i dowiedział się, że na szefa Wydziału Specjalnego Armii Ochotniczej wyznaczono właśnie pułkownika Kozłowskiego, od razu zawiadomił centralę, że dobrze go zna. Orłow oczywiście natychmiast polecił: „Padnij w objęcia drogiego przyjaciela, ulubieńcu fortuny”. Pułkownik rzecz jasna ucieszył się na widok Romanowa, omal nie zadusił w objęciach. Zrobił swoim asystentem. Dla sprawy ogromny sukces, dla Aleksieja codzienna udręka.

To jednak tylko sentymenty, pal je lichy, przeżyjemy. Szkoda, że wielka operacja „Siostrzeniec” okazała się daremna.

W maju ściągnięto Aleksieja z frontu carycyńskiego do Moskwy, do Riewwojensowietu[35] republiki – teraz Orłow pracował tam, bo w WCzK doszli do głosu ci, których nie lubił i nazywał tępakami.

– Armia potrzebuje informacji wojskowych na temat przeciwnika – oznajmił Orłow – a kretyni z wydziału Dzierżyńskiego zajmują się wszystkim, tylko nie tym. Aresztowania, stawianie pod murem... w tym są dobrzy, ale nie potrafią stworzyć normalnej siatki agenturalnej na tyłach białych. Nawet jeśli czekałsi mają swoje podziemne komórki, zajmują się dywersyjnymi bzdurami. Wysadzają magazyny, żeby ich pokręciło! A my na gwałt potrzebujemy wiarygodnych

informacji operacyjnych. No więc jest taka sprawa, Losza... – On też, podobnie jak Kozłowski, nazywał Romanowa Loszą. – Obmyśliliśmy pewną sprytną operację. Zgodną z twoim profilem. Bo widzisz, dowódca Armii Ochotniczej, generał Gaj-Gajewski, którego europejska prasa nazywa Białym Hannibalem, ma siostrzeńca, który służy, wyobraź sobie, w Armii Czerwonej...

Plan wydał się Romanowowi przekombinowany – za dużo różnych „jeśli”, ale Orłow miał stuprocentową rację: nie da się walczyć bez normalnego wywiadu. Połowa nieszczęść i klęsk bierze się z tego, że biali mają doskonały wywiad, a nasi figę. Więc mimo że Armia Czerwona jest dziesięć razy większa, przypomina to walkę ślepego niedźwiedzia ze sforą zajadłych piesków: on tylko obraca się i macha łapami, a one dopadają go, skąd się nie spodziewa, i szarpią ostrymi zębami. Niedźwiedź broczy krwią, lada chwila runie.

No więc się zgodził. Najważniejsze, że wszystko poszło nad podziw gładko. Towarzysz Kandyba z wydziału kadr Ósmej Armii doskonale odegrał swoją rolę, efektownie upadł trafiony pojedynczym strzałem. Po tym incydencie „siostrzeniec” zachował się w jeden możliwy sposób, kule ich nie dosięgły, uciekli przed pościgiem, później też wszystko poszło jak z płatka. Wuj generał przyjął siostrzeńca z otwartymi rękami, ten z kolei obiecał towarzyszowi przygód dobre miejsce – wtedy jednak pojawił się jeszcze bardziej obiecujący wariant z Kozłowskim i okazało się, że nie należało wszczynać sprawy ze Skukinem. Tylko sprezentowali białym doświadczonego pracownika sztabu generalnego, który będąc człowiekiem bez politycznych przekonań, mógł służyć naszym, teraz zaś znalazł się we wrogim obozie. Romanow osobiście dostarczył dowódcy Armii Ochotniczej rozgarniętego pomocnika. Czy to nie kretyństwo?

*

Na drzwiach czytelnicy wisiało ogłoszenie: „Otrzymaliśmy zbiór utworów Herberta Wellsa. Z uwagi na zwiększone zainteresowanie termin wypożyczenia wynosi maksymalnie trzy dni. Za przetrzymanie zostanie nałożona kara. Uczącym się nie przysługuje zniżka”. Podkreślenia były czerwone – żeby Romanow nie przeszedł obok, tylko wstąpił: są informacje. Ale dzisiaj Aleksiej wstąpiłby i bez nich.

Czytelnia to idealne miejsce na konspiracyjne spotkanie. Ten rodzaj prywatnej działalności w dużym uniwersyteckim mieście, które zostało bez nowych książek, jest bardzo popularny, przychodzi dużo chętnych, między innymi wojskowych.

– Dzień dobry, panie Zujew. Co z moim zamówieniem? – zapytał Romanow, zdejmując kaszkiet.

W sali były zaledwie dwie czy trzy osoby, siedziały daleko i raczej nie usłyszałyby rozmowy, ale konspiracja to konspiracja.

Przygarbiony człowieczek popatrzył sponad niebieskich okularów, wymruczał:

– Aa, to pan. Przyszły pańskie książeczki. Ale wypożyczę tylko dwie. Nowe zasady.

Po siedmiu latach spędzonych w kazamatkach Iwan Maksimowicz stracił niemal wszystkie zęby i bardzo popsuł mu się wzrok. Na dodatek chodził o lasce, z powodu reumatyzmu w kolanach. Wyglądał na staruszkę, który nie skrzywdziłby nawet muchy. Emerytowany nauczyciel albo księgowy. Ale wrażenie było złudne. Zujew stał na czele charkowskiej agentury Riewwojensowietu, niewielkiej, ale zorganizowanej ostrożnie i z głową. Romanow na przykład znał tylko Iwana Maksimowicza i jego córkę Nadię.

– Wobec tego niech pan pozwoli, że wybiorę. Gdzie książki?

– Chodźmy do magazynu. Nadiu, posiedź w sali!

Pokazała się bardzo młodziutka dziewczyna, na oko jeszcze dziecko, o nierzucającej się w oczy powierzchowności: szary warkocz, szara suknia, szara wełniana chustka na ramionach –

myszka i tyle. Skinęła głową Romanowowi (zgodnie z obowiązującą bajeczką nie byli sobie przedstawieni), ale spojrzenie miała surowe, pytające. Aleksiej ledwie zauważalnie się uklonił. Nadia Zujewa się rozpromieniła.

Wiedział o niej niewiele: dziewiętnaście lat, wychowywała się u wujka, adwokata z Charkowa, bo rodzice od 1905 roku przebywali na katordze, matka nie wróciła – zmarła podczas protestacyjnej głódówki. Ojca tak naprawdę poznała dopiero w siedemnastym roku. Zujew wykorzystuje ją jako łączniczkę i szyfrantkę.

Korytarz prowadził w głąb domu, do mieszkania Zujewów. Dopiero tam, za dwojgiem zamkniętych drzwi, Romanow przystąpił do rzeczy.

– Dlaczego czerwone podkreślenia? Przyszła depesza?

Iwan Maksimowicz wsunął rękę pod skórzaną obicę biurka, wyjął kartkę. Była na niej wiadomość z centrali, wykaligrafowana drobnym, panieńskim, gimnazjalnym pismem Nadii. Orłow pilnie żądał wieści na temat planów generała Mamontowa: dokąd uda się Konny Korpus, który rozbił centra łączności czerwonych – na północ czy na południe.

– Proszę pisać. „EKSCLENCJA DO PTASZYSKA (Pseudonim konspiracyjny wymyślił dla Aleksieja Orłow – z uwagi na carskie nazwisko i żeby nie było wiadomo, czy chodzi o mężczyznę, czy o kobietę). Według informacji otrzymanych od Karalucha (tak nazywali pułkownika Kozłowskiego) Korpus Mamontowa wycofuje się na skutek znużenia koni”. Odpowiedziawszy na pytanie centrali, Romanow przeszedł do swojego problemu. „Po raz kolejny usilnie proszę wpłynąć na partnerów. Wczoraj w wyniku nieudanego zamachu na głównodowodzącego zginęli wychowankowie sierocińca z opiekunkami. To olbrzymi prezent dla białej propagandy. Zastosujcie środki w Moskwie, inaczej sam je tutaj zastosuję. Nie da się pracować w ten sposób”.

– Wie pan, co oni wywinęli? – poskarżył się Zujewowi,

skończywszy dyktować. – Zna pan szczegóły? Wczoraj do Charkowa przyjechał głównodowodzący, odwiedził Sierociniec Kalediński dla synów poległych oficerów. Wybuchła bomba, którą ktoś umieścił pod stołem. Zginęła kierowniczką sierocińca i jedna wychowawczyni, a także ośmioro dzieci, jedenaścioro zostało rannych, reszta kontuzjowana, a generał na chwilę przed wybuchem z jakiegoś powodu przerwał ceremonię, przeprosił i wyszedł. Zginęli tylko mieszkańcy sierocińca, on zaś jest cały i zdrowy! Kretyni! Do czegokolwiek się wezmą, wszystko zaprzepaszczą! Tylko zapewnili białym napływ nowych ochotników. Gdyby zamach się udał, byłoby jeszcze gorzej. Zamiast Fajtłapy – tak biali oficerowie nazywali między sobą flegmatycznego głównodowodzącego Sił Zbrojnych Południa Rosji – dostalibyśmy Gaj-Gajewskiego. Ten byłby dziesięć razy niebezpieczniejszy! Z kretynami ciężko!

Iwan Maksimowicz pomlaskał bezzębnymi wargami.

– Taak. Chcieliby tylko zasłużyć się przed Moskwą, nie myślą o sprawie. Wiem z partyjnego doświadczenia, że najwięcej szkody przynoszą swoi. Na walkę z Ochroną nie potrzebowaliśmy tylu sił ile na potyczki z drogimi towarzyszami z partii. A jest pan pewien, że wybuch to robota Zajenki?

– Nie, cholerny świat, biali sami podłożyli sobie bombę! – szyderczo odparł Romanow.

Najgorsze jest to, że Orłow też nie znajdzie na nich bata. W Moskwie zderzyły się dwie linie strategiczne: jak rozpatrywać naszą rewolucję? O co walczymy – o zwycięstwo socjalizmu w jednym oderwanym kraju, czy o światowy rewolucyjny pożar, dla którego nie szkoda spalić całej Rosji? Kłócą się, obrzucają wyzwiskami, każdy przeciąga Iljicza na swoją stronę, a ten lawiruje – jednym mówi to, drugim tamto. Wojskowi chcą zwycięstwa nad wrogami – od tego są wojskowymi. Z kolei dla czekistów im więcej hałasu i zamieszania, tym lepiej. Dlatego uprawiają czerwony terror. Czemu żałować wrogów klasowych,

skoro nie szkoda całej Rosji?

Ludzie Dzierżyńskiego mają w Charkowie swoją agenturę, utworzoną przez szefa miejskiej CzK, towarzysza Zajenkę, który przeszedł do podziemia. Między dwoma czerwonymi siatkami nie ma ani zgody, ani żadnych kontaktów.

– Ten wściekły pies Zajenko nastawił przeciwko sobie cały Charków. Gdyby pan widział, Aleksieju, co się tu wyprawiało za czasów władzy radzieckiej, gdy każdego dnia wykańczano kogoś w Czarnym Domu. Całe miasto nas nienawidziło. – Iwan Maksimowicz westchnął. – Dwa razy na posiedzeniu biura stawiałem wnioski, żeby odsunąć Zajenkę. Na próżno. W efekcie musieliśmy oddać Charków bez walki. Gdy tylko nadeszli biali, zaczęło się powstanie. To jego wina. A teraz bruździ nam w podziemiu.

– A mógłby pomagać. Służymy jednej sprawie! – Romanow zgrzytnął zębami ze złości. – Nawet ja, asystent szefa Wydziału Specjalnego, nie znałem dokładnej trasy przejazdu głównodowodzącego, tymczasem oni od kogoś się dowiedzieli, że ma przybyć do sierocińca za dwadzieścia ósma. Zapalnik był ustawiony na siódmą pięćdziesiąt. To znaczy, że Zajenko ma swojego informatora. Gdzieś na samej górze... I jeszcze jedno. – Aleksiej zerknął na zegarek. Musiał się śpieszyć. – Kozłowski znowu wysłał mnie do Siwego z prośbą o pomoc. Pamiętaj pan, jak szybko Siwy dorwał wykonawców ekspropriacji w sierpniu? Teraz tak samo dokopie się do Zajenki. Mówiłem panu, że to bardzo niebezpieczny człowiek.

– Może to i lepiej? – spokojnie zauważył Iwan Maksimowicz, wyraźnie pokazując, jak złudna jest jego pokojowa powierzchowność. – Niech wasz kontrwywiad pośle do piachu drogich partnerów. Przestaną płatać się pod nogami. Moskwa będzie miała tylko nas w Charkowie.

Aleksiej był poruszony.

– Oszalał pan? Są jacy są, ale to przecież nasi towarzysze,

bolszewicy!

Zujew spojrzał nań wyrozumiale.

– Nie był pan w podziemiu, młody człowieku. Nie zna pan bolszewickiej dialektyki. Kto jest, a kto nie jest twoim towarzyszem, zależy od sytuacji. No cóż, skoro chce pan uratować Zajenkę, kropnijmy Siwego. Wiemy, gdzie mieszka. Nie ma ochrony...

– Zaraz ja pana kropnę – burknął Romanow, ale się zmieszał. Rzeczywiście nie był za pan brat z bolszewicką dialektyką.

Iwan Maksimowicz wycedził znacząco:

– Taak, ciężko z kretynami. Tutaj ma pan rację... Dobrze, Nadia zaszyfruje pańską łzawą petycję, Radiotelegrafista ją wyśle.

W armijnej centrali łączności miał swojego człowieka (nosił prosty pseudonim Radiotelegrafista) wysyłającego z nadajnika Winstona zaszyfrowane wiadomości, które biegły falami powietrznymi z prędkością siedemdziesięciu słów na minutę prosto do Moskwy, do Radiostacji Chodyńskiej. Cuda postępu technicznego, jeszcze parę lat temu zupełnie nie do pomyślenia.

*

Nadia odprowadziła Romanowa do tylnego wyjścia – nie przez uprzejmość, tylko z uwagi na konspirację: najpierw wyrzy na podwórze, sprawdzi, czy teren jest czysty.

Na korytarzu zapytała szeptem:

– Przyniósł pan?

Aleksiej milczał.

– Przecież pan obiecał!

– Przyniosłem, przyniosłem... – Wsunął rękę do kieszeni.

Nadia pośpiesznie wyciągnęła małą dłoń, we wnętrzu której różowiała okrągła plama. Aleksiej znał historię tej blizny – Zujew mu opowiedział.

Latem siedemnastego, jeszcze za Rządu Tymczasowego, Iwan Maksimowicz jako pierwszy zaczął organizować podziemie. Rozpowiadano wówczas, że bolszewicy to niemieccy szpiedzy, zaczęły się aresztowania. Córka Nadia, której nie widział od wielu lat, poprosiła, żeby ją włączyć do konspiracji, ale on odmówił – po co wikłać dziecko w sprawy dorosłych? Wtedy oświadczyła: „Nie zamierzam cię przekonywać. Będę trzymać rękę nad płomieniem, póki się nie zgodzisz”. Zapaliła świecę, przyłożyła dłoń. Myślał, że zaraz odsunie. Nie odsunęła. Poddał się, gdy poczuł swąd przypalanego ciała. „Co robić, matka też była taka” – z dumą i goryczą zakończył swoją opowieść.

– No to niech pan da! – zażądała Nadia.

Wyjął z kieszeni tabliczkę czekolady Eminem Luks, jej ulubionej, położył na małej dłoni.

– Niech pani weźmie o to.

Dziewczyna zaczerwieniła się. Schowała rękę za plecami.

– Jak panu nie wstyd! Obiecał pan!

– Po co pani browning? Do kogo zamierza pani strzelać?

– Do siebie! Gdy przyjdą mnie aresztować, nie dam się wziąć żywcem! Nie chcę, żeby mnie torturowano!

Romanow jeszcze raz popatrzył na zegarek. Cholera!

– Po pierwsze u nas nie stosuje się tortur, Kozłowski nie pozwala – odparł z roztargnieniem, zmierzając ku wyjściu. – Po drugie jeśli zostanie pani aresztowana, trafi przecież do mnie, a ja panią wyciągnę. Więc proszę jeść czekoladę i nie zaprzętać sobie głowy głupstwami.

– Dlaczego z ojcem rozmawia pan zawsze poważnie, a ze mną tylko żartuje? Według pana jestem zabawna?

Głos tak gwałtownie jej drgnął, że Romanow musiał się zatrzymać. Odwrócił się.

– Sądzę, że jest pani najpiękniejszą dziewczyną, jaką znam. A żartuję dlatego, że na pani widok odzyskuję humor.

Patrzyła na niego podejrzliwie – znowu żartuje? Aleksiej zrobił

bardzo poważną minę, więc Nadia rozpromieniła się i uśmiechnęła.

– Niech mnie pani nie odprowadza. Sam sprawdzę podwórze – powiedział. – No tak jak, bez urazy?

Wyciągnął do niej rękę, a gdy Nadia podała swoją, nie wytrzymał, podniósł do ust i pocałował prosto w bliznę.

– Co też pan?! – jęknęła.

Nie odsuwała ręki od gorącej świecy, a teraz się szarpnęła, omal nie upadła.

Gdy Romanow wyszedł, przez pewien czas nie schodził mu uśmiech z twarzy, ale spojrzenie miał już zupełnie inne, skupione.

Zastanawiał się, jak będzie rozmawiał z Siwym.



33 Drozdowcami albo drozdami nazywano żołnierzy oddziałów Armii Ochotniczej białych, którymi dowodził Michaił Drozdowski (przyp. tłum.).

34 OSWAG (*Oswiedomitielnoje Agientstwo*) – Agencja Informacyjna; organ informacyjno-propagandowy Białej Armii (przyp. tłum.).

35 Rewwojensowiet (*Riewolucionnyj wojennyj sowiet*) – Wojskowa Rada Rewolucyjna (przyp. tłum.).

Pochmurne szczęście

Byłoby lepiej, gdybyś pisał o wojnie i pokoju, zamiast wymądrzać się na temat, o którym nie masz zielonego pojęcia, zwróciła się w myślach do autora Mona. Zaczęła znowu czytać *Annę Kareninę*, ale od razu straciła zainteresowanie. Ostatnio często jej się to zdarzało. Wszystkie szczęśliwe rodziny są twoim zdaniem do siebie podobne, też coś. Z własną żoną nie potrafiłeś się dogadać, a mącisz w głowach czytelnikom.

Każdy jest szczęśliwy na swój sposób. Na przykład takiego szczęścia jak w rodzinie Mony chyba nigdy jeszcze nigdzie nie było. Choćby świat wokół się walił, ze wszystkich stron nadciągały wieści jedna straszniejsza od drugiej, zapanowały zaraza, głód i śmierć, a nazajutrz w ogóle nie wiadomo, co mogło się wydarzyć – to wciąż olbrzymie szczęście. Nie bezchmurne, rzecz jasna. Pochmurne, i to jeszcze jak. Niebo zasnuwają burzowe chmury, czarne i gradowe, ale dzięki temu Mona jeszcze wyraźniej odczuwa swoje szczęście. I tak już od czterech miesięcy!

Pierwsze tygodnie po odniesieniu rany były oczywiście niezbyt miłe – ból, bezradność, gorączka – a mimo to miała wrażenie, jakby złapała Pana Boga za nogi. Ponieważ to, co najgorsze ominęło ją, gdy była nieprzytomna. Ocknęła się już w szpitalu, po operacji. Otworzyła oczy, zobaczyła pochyloną nad sobą zatroskaną twarz szlachetnego męża i od razu się uśmiechnęła. Dosłownie od tej chwili życie zaczęło się zmieniać na lepsze, a szczęścia było coraz więcej, więcej i więcej.

Wyrażenie „szlachetny mąż” zapożyczyła od Masy. Siebie nie

uważała za „szlachetną żonę”, ale do Erasta pasowało jak ulał. Tak właśnie się doń zwracała. „Ej, szlachetny mężu, dość tego czesania, pora na śniadanie!”.

Erast dużo czasu spędzał przed lustrem: podcinał wąsiki, mozolił się z przedziałką, wyrównywał brzegi kołnierzyka. Uważa, że musi wyglądać nienagannie przy tak młodej żonie. Pocieszny dziwak!

Z drugiej strony Bogu niech będą dzięki, że jest takim pedantem i dba o fryzurę – inaczej nie byłoby żadnego szczęścia. Kula, która przeszła Monę, uderzyła o metalowy grzebyczek w kieszeni na piersi Erasta. Później Japończyk wydrapał na popsutym grzebieniu sentencję ideogramową i umieścił go w srebrnej ramce. Przetłumaczona sentencja brzmiała tak: „Egzekwujący Piękno zwycięża śmierć”.

Najpierw Mona przez miesiąc leżała w szpitalu i była szczęśliwa, dlatego że Erast codziennie ją odwiedzał i dlatego że bardzo przyjemnie jest wracać do zdrowia.

Później się wypisała i przeniosła do Erasta, co było już istną rozkoszą: żyć razem pod jednym dachem, spać w jednym łóżku, razem się budzić. Mieszkanie co prawda było koszmarne – na przedmieściu, z blaszaną umywalką i klozetem z desek, który Mona nazywała *le nouzchnik*, a samo schronienie – *le chalache*, bo z ukochanym raj jest nawet w szalasie.

W sierpniu otwarto filię Crédit Lyonnais, a Erastowi udało się przelać tam pieniądze z amerykańskiego konta (tak, tak, szlachetny mąż okazał się na dodatek bogaty). Wtedy szczęśliwa rodzina przeprowadziła się do dwupokojowego apartamentu w Metropolu, cudownym hotelu na światowym poziomie, który otwarto niedługo przed wojną. A tam miękkie pierzyny, gorąca woda, telefon w pokoju, wspaniała restauracja i wszędzie palmy – jak w Edenie.

Mona wolała nie opuszczać tej wysepki normalnego życia, zwłaszcza gdy się okazało, że zatrzymanie miesięczki

spowodowała wcale nie rana, jak wcześniej przypuszczano. Najlepszy akuszer w mieście, profesor Libkind, powiedział, że na skutek traumatycznego początku ciąży istnieje duże niebezpieczeństwo poronienia aż do dwudziestego tygodnia, toteż zalecany jest maksymalny spokój. Należy wszelkimi sposobami „obniżyć aktywność macicy”. Jak najwięcej leżeć w łóżku, najlepiej na plecach i z uniesionymi nogami, właściwie się odżywiać, pod żadnym pozorem się nie denerwować.

Mona obniżała aktywność macicy z wielką przyjemnością. Czytała, leżąc z nogami do góry. Gdy miała dość leżenia, siadała w fotelu, robiła sobie manikiur i pogwizdywała. Piła herbatę z antonówką i krzywiąc się, wyglądała przez okno.

Świat za oknem w ogóle jej nie pociągał. Rządziło tam nieszczęście. Ulicami ciągnęły szurzący kolumny, przewoziły rannych, smutny tłum gdzieś się śpieszył. Wojna.

Mona miała to jednak w nosie. Do upragnionego dwudziestego tygodnia pozostawał tylko miesiąc. Wtedy za zgodą doktora Libkinda wyjadą na Krym, wsiądą na parostatek i odpłyną jak najdalej z kraju, w którym zwyciężyły szczury. Szczęście będzie bezchmurne.

Brzuch się powiększał, ale nie tak szybko, jakby Mona sobie życzyła, chociaż jadła za dwoje. Brzuch był jej poważnym sojusznikiem. Za każdym razem, gdy szlachetny mąż, naczytawszy się gazet, zaczynał z ponurą miną przechadzać się po pokoju, Mona wypinała brzuch i skarżyła się na mdłości, których ani razu nie miała (przyszła matka nie cierpiała na żadne przykre dolegliwości). Narzekania sprawiały, że szlachetny mąż od razu wpadał w popłoch i zapominał o świecie za oknem.

Trzeba wytrzymać jeszcze cztery tygodnie, później można się odprężyć, powiedziała sobie Mona, siadając przed lustrem i z satysfakcją studiując swoje odbicie. Worki pod oczami – wspaniale. A co to takiego na czole – nowa zmarszczka?

Znakomicie! Kiedy w końcu pojawi się przynajmniej jeden siwy włos? Pragnęła wyglądać jak najstarzej, żeby zbliżyć się wiekiem do Erasta, bo on, biedaczek, strasznie się martwi, że jest od niej o trzydzieści lat starszy.

Na obiad jeszcze za wcześnie. Czym by się tu zająć? Może ulepić coś z wosku?

Włożyła roboczy fartuch, przeszła z sypialni do salonu. Siedział tam Masa, wodził pędzelkiem po kartce. Przedwczoraj kupił w chińskiej dzielnicy tusz, pędzelki i jakiś specjalny papier. Teraz gryzmolił; na czole i koniuszku nosa – czarne plamy.

– Popracujemy? – zapytała Mona.

Japończyk wstał, ukłonił się z szacunkiem.

Pojawił się, gdy jeszcze leżała w szpitalu, co rusz zapadając w półsen. Pewnego dnia ocknęła się i tam, gdzie zwykle była twarz Erasta, ujrzała okrągłą fizys z wąskimi oczkami. Pomyślała, że to sen, ale okazało się, że szlachetny mąż wezwał telegramem z Sewastopola swojego Sancho Pansę.

Japończyk zobaczył, że chora otworzyła oczy. Pochylił tułów, nie zginając szyi (tak jest u nich przyjęte). Oznajmił:

– Masahiro Shibata. Proszę o łaskawe względy.

Mona od razu go pokochała i obdarzyła łaskawymi względami. Bardzo ją bawił, jeszcze bardziej niż Erast.

Masa zajmował sąsiedni pokój, ale prawie zawsze był w salonie, podczas nieobecności Erasta bez przerwy.

Mona mogłaby oczywiście trzymać stale przy sobie szlachetnego męża, nieszczęsnej ciężarnej kobiecie słabego zdrowia nie sprawiłoby to najmniejszego kłopotu, ale nie należy trzymać takiego człowieka w zamknięciu, w czterech ścianach – zacznie się męczyć. Z Erastem należało postępować inaczej: wciąż wymyślać mu jakieś nieduże, ale trudne zadania. Żeby wciąż miał zajęcie i jak najrzadziej rozmyślał o losach świata.

Najpierw Monie zaczęły strasznie marznąć nogi, więc żeby je ogrzać, zażyczyła sobie skarpet z wełny jagnięcej. Erast udał się

do pobliskich wsi na poszukiwania owego Graala, ale zdobycie go nie było łatwe, bo w okolicach Charkowa prawie nie hoduje się owiec, poza tym latem, jak wiadomo, jagnięta się nie rodzą. Ale to nic, zdobył wełnę, a Masa zrobił skarpety. Wówczas Monę przestały nękać ataki dreszczy, pojawiły się za to ataki nerwowego niepokoju, w jej stanie kategorycznie przeciwwskazane. Pomóc mógł tylko najnowszy szwajcarski lek, więc Erast przez tydzień uganiał się po szpitalach i aptekach, zamierzał nawet ruszyć do Konstantynopola, ale to już byłoby za wiele. Mona oznajmiła, że świetnie pomaga jej napar z tymianku.

Miesiąc temu zapragnęła pobawić się woskiem – szlachetny mąż po długich poszukiwaniach zdobył przyzwoity wosk. Później pojawiło się trudniejsze zadanie – dobre farby, wciąż nowe. Dzisiaj na przykład Erast został wysłany po jasną ochrę, którą artystka zamierzała poźółcić portret Masy.

Raz, w sierpniu, mąż zerwał się jednak z łańcucha. Mona za wszelką cenę starała się zachować spokój, wmawiała sobie, że nawet królowa Omfale pozwalała czasem Heraklesowi polować. Na szczęście wszystko trwało niedługo, zaledwie dwa dni. W dodatku Masa był z Erastem. „Wybieraj: albo bierzesz ze sobą Masę, albo zostajesz” – oświadczyła, gdy uznała, że nie zatrzyma męża w pokoju. – „Sama sobie świetnie poradzę”.

Nawiasem mówiąc, zyskała w ten sposób gorącą wdzięczność Japończyka, który na początku był, ma się rozumieć, zazdrosny. Za to teraz stali się nierozłączni i Mona dobrze wiedziała, że w każdej kłótni z Erastem Masa weźmie jej stronę. Łatwo postępować z mężczyznami, zwłaszcza z silnymi. Trzeba okazywać słabość, wciąż pytać o radę i prosić, by opowiadali o dawnych wyczynach. I jeszcze jedno, zupełne głupstwo: gdy Erast i Masa robili swoje idiotyczne *renshū*, okładali się nawzajem pięściami albo drewnianymi kijami, zawsze kibicowała Japończykowi. Mąż trochę się boczył z tego powodu, ale potrafiła go pocieszyć na tysiąc innych sposobów.

Szykując się do pozowania, Masa usiadł przy oknie, gdzie na stoliku leżała okrągła bryła wosku. Przybrał groźną i wyniosłą minę.

Mona chwyciła obiekt za krótko ostrzyżoną głowę, obróciła, jak należy.

– Znowu pani chce, żebym o czymś opowiadał? – zapytał Japończyk, podczas gdy nacierała rękę talkiem.

Mona przytaknęła. Gdy mówił, twarz mu ożywała, nie była jak z drewna.

– Myślałem o naszej poprzedniej rozmowie i oto co powiem. Nie może pani urodzić dziewczynki. Proszę spojrzeć na pana. Czy on mógłby mieć córkę? To nie do pomyślenia. Za bardzo jest mężczyzną.

Masa marzył, że to on będzie wychowywał chłopca, bo Fandorin nie zna się na dzieciach i na pewno popsuje syna.

– Niech pan popatrzy na mnie. – Mona obmacała palcami jego krótki nos, żeby uchwycić stereometrię. – Tylko proszę nie ruszać głową.

Zerknął z ukosa.

– Czy ja mogę mieć chłopca? Czyżbym była nie dość kobieca? Nie marszczyć czoła!

Pomysł nie spodobał się Masie. Sapnął.

– Niech pan o czymś opowie – poleciła Mona, szybko ugniatając wosk.

– O czym?

– O kobietach, które Erast kochał. Ile ich było?

Już od dawna miała zamiar poruszyć ten temat.

– Nie. Pan się rozgniewa.

– Ach, szkoda. – Mona się zmartwiła. – Często o tym myślę i zaczynam się niepokoić. O, teraz też zakłuło mnie w sercu. Nie pytam przecież z zazdrości. Kto jest zazdrosny o przeszłość? Chcę się jedynie nauczyć, jak najlepiej go kochać. Więc muszę wiedzieć coś o kobietach, które kochał. Jakie, jak, za co?

Argument związany z niepokojem zawsze skutkował. Japończyk zamyślił się, zaczął zginać palce. Niebawem się skończyły, więc zaczął je rozchylać z powrotem.

– Mam na myśli kochać, a nie jakieś głupstwa – uściśliła Mona.

– W takim razie to proste. Pan bardzo kochał trzy kobiety. I jeszcze trzy mocno, ale mniej.

– Najpierw niech pan opowie o tych, które kochał bardzo mocno.

Masa westchnął ze smutkiem.

– Pierwsza była przede mną. O niej nie mogę nic powiedzieć. Ale była bardzo młoda, więc od niej raczej niczego by się pani nie nauczyła... A druga – znałem ją – to był prawdziwy *sensei* miłości, o tak, ale ona była lisicą *kitsune*. Trzeciej tak naprawdę nie było.

– Jak to?

– Przez cały czas grała jakąś rolę, a jej samej nie było.

– Erast zakochał się po uszy najpierw w młodziutkiej dziewczynie, a potem w lisicy i blagierce? – Mona się zachmurzyła. Rozmowa była nieprzyjemna, ale szalenie ciekawa. – Podejrzewałam, że jest głupcem w miłości.

– Tak – przyznał Masa – beznadziejnym głupcem. Nie udało mi się go tego nauczyć, chociaż próbowałem. Na szczęście pokochał panią.

Właściwie nie miał nic do powiedzenia, pomyślała Mona.

Tymczasem Masa zmienił śliski temat.

– Zdecydowała pani, dokąd popłyniemy? Pan zrobi, jak pani zechce, to oczywiste. – Minę miał przymilną, głos słodki jak miód. – Jeżeli udamy się do Japonii, będzie tam akurat sezon *momiji*. Nie ma na świecie nic piękniejszego.

Spór między nimi trwał od dawna i Masa miał rację: to Mona musiała podjąć decyzję. Tymczasem ona się wahała. Fandorin namawiał, żeby wybrać Amerykę, bo Europę dotknęła ciężka i przewlekła choroba. Masa, ma się rozumieć, agitował za swoją

ojczyznę i Mona poważnie to rozważała. Niewiele wiedziała o Kraju Wschodzącego Słońca, ale wyobrażała go sobie w postaci ślicznego domku dla lalek, ten obraz był jak balsam dla jej duszy. A jeśli na dodatek wszyscy Japończycy są podobni do Masy...

Do drzwi ktoś zapukał. Obsługa hotelowa dawno została przeszkolona, że ma się nie zjawiać niewzywana, więc mógł to być jedynie Erast. Ze swoją staromodną ceremonialnością nawet do własnego pokoju nie wchodził bez pukania.

– Nie wolno! – zawołała Mona. – Jesteśmy nieubrani!

Japończyk prychnął gniewnie. Nie tolerował podobnych żartów. Szybko podszedł do drzwi, otworzył, ale za nimi stał wysoki wojskowy, a nie Fandorin.

Monie ścisnęło się serce.

Nie pokazując po sobie zdenerwowania, powiedziała przyjaźnie:

– Boże, sam sztabkapitan Romanow! Dawno pana nie było. Bardzo proszę.

Gdy Romanow zjawił się poprzednio, z półtora miesiąca temu, jego wizyta źle się skończyła. Erast zerwał się z łańcucha. A raczej tak go naciągnął, że Mona musiała puścić męża wolno. Co prawda wtedy sztabkapitan przyszedł ze swoim szefem, kulawym księciem Kozłowskim. Więc może nie ma powodu do niepokoju?

Mona podsunęła rękę do pocałunku.

– Gdzie się podziały gwiazdki na pańskich epoletach?

– Szef mnie awansował. Jeszcze nie dostałem nowych epoletów – deficyt, toteż po prostu zdjąłem gwiazdki. Wygląda pani kwitnąco, Jelizawieto Anatoljewno.

Pocałował ją w rękę nie zgodnie z etykietą – symbolicznie, ale naprawdę, ustami, ścisnął też lekko palce. Mężczyźni to jednak zdumiewające istoty. Wydaje im się, że skoro kobieta sto lat temu pozwoliła na coś w chwili słabości, teraz ma to jakieś znaczenie.

Mona cofnęła dłoń.

– Ależ skąd, bardzo ciężko znoszę swój stan. Mdłości, zawroty głowy, brak apetytu.

Kapitan wymienił ukłon z Japończykiem, który w odróżnieniu od Mony był najwyraźniej ucieszony z wizyty gościa. Bardzo miło wspominał sierpniowe przygody, więc teraz zachowywał się jak pies Pawłowa, przed którym zapaliła się lampka.

– Czy Erast Pietrowicz jest w domu? – zapytał Romanow.

Serce znowu się ścisnęło. Sprawdziło się niedobre przeczucie.

– Oto i on. – Mona pokazała na stół.

Kapitan spojrział i się cofnął.

Tam, na środku, widniała artystyczna kompozycja Łup Herodiady: głowa Erasta otoczona astringentami, różami i chryzantemami. Była naturalnej wielkości, ulepiona misternie i z uczuciem. Mona wybrała i pomalowała perukę, przykleiła wąsiki i rzęsy, narysowała żyłki na skroniach. Cudo! Tylko oczy były zamknięte, bo pracowała potajemnie, nocami, gdy szlachetny mąż spał. Chciała zrobić niespodziankę. Trochę ją irytowało, że zawsze jest taki powściągliwy i niewzruszony, niczym nie można go zadziwić ani wyprowadzić z równowagi.

Niespodzianka udała się nadzwyczajnie.

Któregoś ranka byli razem w łazience – Mona pluskała się w wannie, on się golił – i wtedy poprosiła słabym głosem: „Kochanie, podaj mi esencję lawendową”. Szlachetny mąż, niczego nie podejrzewając, otworzył szafkę toaletową, a tam jego głowa. Minę miał taką, że Mona omal nie poroniła ze śmiechu. Byłoby to oczywiście głupie. Za to wspomnienie jest przyjemne. Nawet teraz parsknęła śmiechem.

Japończyk też był zadowolony z reakcji kapitana.

– Ładna? Niedługo ja też będę miał swoją. Jeszcze lepszą. Ze szklanymi oczami.

Romanow poluzował kołnierzyk munduru.

– Uf. Prowadzicie wesołe życie. Nie to co ja... Czy pan Fandorin prędko wróci?

Odparli jednocześnie.

Mona:

– Nieprędko.

Masa:

– Prędko.

Kapitan znalazł się w kłopotliwej sytuacji.

– Mogę skorzystać z telefonu?

Podał numer, później poprosił kogoś, prawdopodobnie dyżurnego, żeby go połączył z „panem pułkownikiem”. Rozmowa była krótka.

– Jestem w Metropolu, Ławr. Nie ma go. Nie wiadomo, kiedy będzie. Może lepiej wróć... Dobrze, zrozumiałem. Zaczekam tak długo, jak długo to będzie konieczne.

Fatalna sprawa, zasepiła się Mona, skoro nie obeszło się bez Kozłowskiego, który w dodatku każe „czekać tak długo, jak długo to będzie konieczne”.

Pułkownik od początku strasznie jej się nie spodobał. Pierwszy raz pojawił się jeszcze w wynajętym mieszkaniu. Był bezpośredni, rzeczowy, z sympatyczną, szczerą twarzą, bardzo miły – i dlatego nie przypadł jej do gustu. Rozmawiał z Erastem jak z archijerejem, tonem pełnym szacunku. Powiedział, że w czternastym roku, gdy przeniesiono go z gwardii do kontrwywiadu, odbył specjalny kurs, na którym analizował operacje Fandorina z czasów wojny japońskiej. „To niesłychane szczęście, że znalazł się pan, ekscelencjo, w Charkowie – mówił niepożądany gość. – Jest nam pan bardzo potrzebny. To dla mnie wielki honor, że mogę służyć pod pana rozkazami”. I dalej o Białej Sprawie i ratowaniu nieszczęsnej Rosji przed czerwoną zarazą. Mona już zamierzała zemdleć, żeby zakończyć niebezpieczną rozmowę, ale Erast przerwał księciu. Powiedział, że jego wrogowie nie są czerwoni, zieloni ani fioletowi, są nimi łajdacy wszelkiej maści, różnych kolorów, oraz wrogowie ojczyzny. W obecnych okolicznościach nie do końca wiadomo,

kogo należy uważać za wrogów ojczyzny. On osobiście sądzi, że wszystkich uczestników przeklętej jatki.

Kozłowski odszedł z kwitkiem.

W sierpniu pojawił się jednak znowu – już tutaj, w Metropolu. „Walczy pan z łajdakami? Bardzo proszę. Oto ohydna zbrodnia, trudno o gorszą. Pewnie pan już słyszał, że wczoraj na Jeaktierinosławskiej obrabowano automobil należący do resortu skarbu. Jacyś zwyrodnialcy obrzucili go granatami na środku zatłoczonego skrzyżowania. Zginęło jedenastu przechodniów, około trzydziestu jest rannych. Nie mam doświadczonych detektywów, cała nadzieja w panu”. Pokazał zdjęcia. Usta Erasta zacisnęły się w wąską kreskę, a brwi ściągnęły, więc Mona się domyśliła, że nawet omdlenie nie uratuje sytuacji. Musiała poluzować łańcuch. Później przez dwa dni miotała się po pokoju, usiłując się nie denerwować.

Czyżby teraz wszystko się miało powtórzyć?

Zapra gnęła pozbyć się Romanowa, póki mąż nie wrócił, ale to było oczywiście niedorzeczne. Kapitan zaczeka w holu i Mona nawet się nie dowie, co się stało.

– A co się stało, Aleksieju Parysowiczu? – zapytała, poufale chwytając Romanowa za łokieć. – Wygląda pan na zdenerwowanego.

– Jeszcze pani nie wie? Całą noc jesteśmy na nogach. Koszmar. Wybuch w sierocińcu. Zamach na głównodowodzącego. Księżę chciał sam przyjechać do pana Fandorina, ale jest zajęty śledztwem. Przysłał mnie, z pakietem.

Mona drgnęła. Sierociniec? Niedobrze. Erast znowu się zerwie.

– Masa, proszę przynieść z łazienki moje pigułki. – Odesłała Japończyka, a od kapitana zażądała: – Niech pan pokaże, co jest w pakiecie.

Romanow się zawahał.

– Zdjęcia. Okropne...

Wyjął jednak kopertę z mapnika.

Na pierwszym zdjęciu, dużym, widniała grupa dzieci w jednakowych ciemnych mundurkach, z nimi kobiety w fartuchach z krzyżami – prawdopodobnie wychowawczynie. Twarze ośmiu chłopców i dwóch kobiet przekreślono na czerwono.

– To zabici – wyjaśnił Romanow. – Reszta jest ranna albo kontuzjowana.

Pozostałe fotografie były jeszcze gorsze: każdy zabity osobno.

– Księżę kazał koniecznie pokazać to wszystko Erastowi Pietrowiczowi.

Cholerny psycholog, pomyślała Mona ze złością. Wie, jak poruszyć czułą strunę. Co robić?

– Kochany Aleksieju – powiedziała z przejęciem. – Mam do pana wielką prośbę. Niech pan nie pokazuje zdjęć Erastowi, tylko mu powie, że pański szef prosi go o pomoc.

– Ale Ławr polecił koniecznie pokazać. – Romanow się stropił. – Jak mogę nie wykonać rozkazu?

– Przez wzgląd na mnie. I na to, co razem przeżyliśmy... Pamięta pan?

I czule zajrzała mu w oczy: że niby ja wszystko pamiętam, czyż zapomina się takie rzeczy? Nie spodziewała się, że on ustąpi. Ale nieoceniony Romanow odparł z westchnieniem:

– Dobrze. Skoro pani prosi...

I schował groźne zdjęcia do pakietu, a pakiet do mapnika.

– Dziękuję – szepnęła Mona wielce rada, że rozmowa odbyła się bez Masy.

W tej samej chwili do drzwi znowu ktoś zapukał i tym razem to już na pewno był mąż.

– Nikogo nie ma w domu! – wesoło zawołała Mona.

Wszedł zachmurzony Erast.

– Dostałeś ochrę?

Wyjął z kieszeni buteleczkę.

– Mam nadzieję, że jest d-dobra.

I umilkł na widok stojącego przy ścianie Romanowa.

– Pan?

– Czołem, wasza ekscelencjo – wyskandował kapitan.

– Jaki tam ze mnie e-ekscelencja. – Fandorin się skrzywił.

– Rzeczywisty radca stanu, odpowiednik generała majora w wojsku. Nie przyszedłem z prywatną wizytą, tylko z rozkazu pana pułkownika. Wczoraj wieczorem doszło do zamachu na głównodowodzącego. Nie na naszego dowódcę armii, ale na Najwyższego – uznał za stosowne wyjaśnić Romanow, widocznie nie mając zaufania do wiedzy cywila na temat hierarchii wojskowej. – Księżę bardzo pana prosi o udział w dochodzeniu.

Obietnica została dotrzymana. Mona podziękowała Aleksiejowi Parysowiczowi lekkim skinieniem głowy.

W tej samej chwili do salonu wrócił Masa i niepotrzebnie wtrącił:

– W sierocińcu wybuchła bomba. Trzeba się dowiedzieć, czy nie ucierpiały dzieci.

– Ucierpiały – odparł posępnie Erast. – Ośmiu chłopców nie żyje, a wielu jest rannych. Potworność.

To dlatego jest tak ponury, domyśliła się Mona. Już wie.

– Dobrze, kapitanie. Zaraz pojedziemy – powiedział Fandorin

Życie w świecie Yin

i z niepokojem spojrział na Monę.

– Niech pan wezwie dorożkę i zaczeka na mnie p-przed hotelem – dodał.

Romanow zasalutował i wyszedł. Mona milczała ze wzrokiem wbitym w podłogę. To było najgorsze – jej milczenie.

– Tam zginęły dzieci. Jeszcze bardziej przerażające jest to, że wiele zostało okaleczonych. I tak są nieszczęśliwe, straciły r-rodziców... A ci, którzy to zrobili, chodzą wolno i Bóg jeden w-wie, co jeszcze wymyślą...

Mona milczała.

– Obiecuję, że nie wdam się w żadną awanturę. I że postaram się uporać z tym jak n-najprędzej...

W końcu spojrzała nań ze smutnym wyrzutem.

– Przecież obiecałeś. Czy tak trudno wytrzymać? Został tylko miesiąc. – Westchnęła. – Dobrze. Widzę, że nie znajdziesz sobie miejsca. Ale jeden warunek.

– Co chcesz! – pośpiesznie zawołał Fandorin.

– O wszystkim będziesz mi opowiadał. Niczego nie zatajając. Ze szczegółami.

– Przyrzekam.

– I znowu zabierzesz ze sobą Masę.

– Nie. Ustaliliśmy: jeden warunek, nie dwa! – Erast Pietrowicz pokazał pięść uradowanemu Japończykowi: zamknij się. – Jesteś w piątym miesiącu. Doktor mówi, że to najbardziej ryzykowny okres. Ani na chwilę nie zostawię cię bez o-opieki. Masa, *onegai dakara! Tanomu yo!*

Masa stęknął i skapitulował. Fandorin rzadko go o coś prosił takim tonem.

– Uważaj, dałeś słowo. – Żona przyciągnęła do siebie Erasta Pietrowicza, po czym odepchnęła. – To wszystko, ruszaj. I pamiętaj, jeśli coś ci się stanie, zabijesz oboje: mnie i dziecko.

*

W powozie Romanow próbował podjąć rozmowę na temat wybuchu, ale Fandorin patrzył w bok i nie słuchał.

Rozmyślał o świecie *Yin*.

Wcześniej też oczywiście wiedział, że nie istnieje żaden „świat ludzi”, podobnie jak nie istnieje abstrakcyjny „człowiek”. Jest mężczyzna i kobieta. Inaczej skonstruowani, inaczej żyją, czym innym się interesują, kierują się odmiennymi normami etycznymi i estetycznymi w swoim postępowaniu. Światy *Yang* i *Yin* są rozbieżne w wielu obszarach. Fandorin zawsze żył w męskim świecie, doskonale go poznał i osiągnął jeden z najwyższych stopni w tym układzie współrzędnych.

Świat *Yang* jest podporządkowany rozumowi i posłuszny woli, twardy i jasny, „tak” znaczy w nim „tak”, „nie” znaczy „nie” i właściwie zawsze wiadomo, gdzie jest Dobro, a gdzie Zło.

Ale ponad cztery miesiące temu Erast Pietrowicz, powodowany kaprysem, a może z litości karmy, niespodziewanie trafił do świata *Yin*. Stało się to w tamtej okropnej chwili, gdy odebrana bandytom taczanka pędziła przez step do dużego miasta z prawdziwymi szpitalami, a za plecami, na wiązce słomy, miotała się i bredziła ranna Mona. Wówczas Fandorin przysiągł sobie, że jeśli ona przeżyje – o, jeśli przeżyje! – nigdy jej nie zostawi.

Zdarzył się cud. Mona przeżyła. Erast Pietrowicz zaś nigdy nie łamał przysięgi. Tym sposobem mistrz świata *Yang* znalazł się

w obcym świecie, w sytuacji ucznia, nierozgarniętego i bezradnego.

Obiektywnie rzecz biorąc, kobiecy świat zdecydowanie przewyższa męski. Jest przyjaźniejszy, ofiarniejszy, piękniejszy, a także intensywniejszy. Ideolodzy *bushidō* są zdania, że prawdziwym przeznaczeniem mężczyzny jest dobra śmierć. Skoro tak, to prawdziwym przeznaczeniem kobiety jest dobre życie. Nie przypadkiem mężczyźni potrafią sprawnie odbierać sobie życie, kobiety zaś je dają. Funkcjonowanie w świecie *Yin* nie jest łatwe dla mężczyzny. Nigdy jeszcze Fandorin nie czuł się tak słaby i nieporadny, nigdy przedtem nie drżał wciąż ze strachu. A jeśli Monie coś się stanie? Albo (to już w ogóle niepojęte) nagle jemu coś się przytrafi? To przecież będzie oznaczało – ona ma rację – że skaże na śmierć zarówno żonę, jak i nienarodzone dziecko.

Starożytny mędrzec ma słuszość: szlachetny mąż nie powinien zakładać rodziny. A skoro ją założył, musi zrezygnować ze swoich zasad, bo nie jest już sam na świecie. Erast Pietrowicz nie wiedział jednak, jak się żyje według innych zasad, i nawet nie chciał się nad tym zastanawiać.

Cała nadzieja w ilorazie dwóch ósemek. Niedługo, w styczniu dwudziestego roku, Erast Pietrowicz skończy sześćdziesiąt cztery lata, osiągnie wiek dojrzałości. Teoretycznie od tej chwili rozdźwięk pomiędzy *Yin* i *Yang* powinien zacząć się zmniejszać, jako że gdy nadejdą dwie następne ósemki (osiemdziesiąt osiem lat), nie będzie już ani mężczyzną, ani kobietą, tylko Ukształtowanym Człowiekiem. Na dodatek w lutym urodzi się dziecko, więc będzie ich troje. Wtedy zacznę się zastanawiać nad innymi zasadami, pomyślał Fandorin, trochę się uspokoił i nawet oddał się marzeniom. Dobrze by było, gdyby urodziła się dziewczynka. Taka jak Mona. Masa nie będzie przynajmniej wtrącał się ze swoim wychowaniem.

– Przyjechaliśmy – powiedział Romanow i Erast Pietrowicz

wrócił do rzeczywistości.

– Na dworzec? – zdziwił się. – Czemu nie do siedziby kontrwywiadu?

– Księżę jest u dowódcy. Kazał przywieźć pana prosto na naradę.

O Gaj-Gajewskim było wiadomo, że nie lubi tkwić na tyłach, bez przerwy włączy się po różnych odcinkach frontu. Sztab połowy miał swoją siedzibę w pociągu. Generał słynął jako geniusz współczesnej wojny kolejowej: szybko przerzucał ugrupowania z flanki na flankę, setki kilometrów dalej, jak figury szachowe, umiejętnie wykorzystywał pociągi pancerne, a lotne brygady remontowe potrafiły błyskawicznie naprawiać uszkodzone torowiska. Z uwagi na prędkość i nieprzewidywalność (a także chyba ze względu na długie nazwisko) europejskie gazety nazywały dowódcę Armii Ochotniczej Białym Hannibalem.

– No cóż, przyjrzę się waszemu H-hannibalowi – sceptycznie stwierdził Fandorin, przypomniawszy sobie Białego Generała z zupełnie innych czasów. To raczej wątpliwe, żeby nowy bohater mógł przyćmić tamtego, starego.

*

Władimir Zenonowicz Gaj-Gajewski rzeczywiście wyglądał zupełnie nieheroicznie. W salonce, u szczytu długiego, zasłanego mapami stołu siedział nalany leciwy grubas z purpurowym nosem, w kąciku ust wygasły papieros. Pod binoklami sennie mrugały zapuchnięte oczka. Niechlujny czarny mundur z wypłowiałymi epoletami wisiał na nim jak worek i był z przodu przysypany popiołem, w pulchnej ręce drżała szklanka z niedopitą herbatą.

Jednakże właśnie ta niemalownicza powierzchowność

wywarła wrażenie na Fandorinie. Wódz, który nie uznaje za stosowne pozować na znakomitość, musi być bardzo pewny siebie. Powiadano, że w razie potrzeby Gaj-Gajewski osobiście prowadził tyralierę do ataku i był ranny jedenaście razy. Nie zrobił kariery przed wojną niemiecką, służba w pokojowych czasach nie szła mu najlepiej. Mimo dyplomu Akademii Sztabu Generalnego w czternastym roku był zaledwie podpułkownikiem i szykował się do przejścia w stan spoczynku ze względu na wiek. Ale na froncie szybko awansował i pod koniec wojny został dowódcą Korpusu Gwardii. W osiemnastym ten brzuchaty dziadunio przedarł się z Piotrogradu na południe i nie czekając na wysokie stanowisko, zaciągnął się do pułku Armii Ochotniczej jako szeregowiec. Teraz, półtora roku później, prowadził najważniejszą Białą Armię na Moskwę. Frontowcy uwielbiali dowódcę i zachwycali się nawet nie jego odwagą (kto dzisiaj nie jest odważny?), tylko legendarną mocną głową. Chodziły słuchy, że generał wlewa w siebie trzy butelki koniaku dziennie i zawsze jest pod dobrą datą, ale nigdy się nie upija. Mówiono też, że wszystko wiecznie gubi i zostawia, że bez adiutantów jest jak dziecko bez niańki – ta cecha nie wiedzieć czemu szczególnie rozczulała żołnierzy. Jednakże armia pod ciamajdowatym dowódcą działała jak w zegarku.

– A. – To wszystko, co powiedział Gaj-Gajewski na widok Erasta Pietrowicza (Romanow został za drzwiami). – Herbaty?

– Dź-dziękuję. – Fandorin pokręcił głową, obdarzając zaledwie przelotnym spojrzeniem pozostałych uczestników narady, jako że znał obu.

Pierwszy – pułkownik Kozłowski, szef kontrwywiadu: szczupła, wymięta twarz z nerwowym tikiem, sumiaste wąsy. Drugi – Skukin, niedawno awansowany na pułkownika. Był oficerem do specjalnych poruczeń przy krewniaku i, jak głosiły plotki, miał więcej do powiedzenia niż reszta sztabowców razem wzięta.

Kozłowski z wyraźną ulgą uśmiechnął się do Fandorina. Skukin oschle kiwnął głową, dając do zrozumienia, że jest teraz nie byle kim. Od czasu ich ostatniego spotkania w maju Arkadij Siergiejewicz rzeczywiście bardzo się zmienił. Nienagannością postawy, munduru i fryzury rekompensował pospolity wygląd wuja.

Od strony, gdzie zapewne znajdował się gabinet dowódcy, pojawił się bezszelestnie, bez pukania, jeszcze jeden oficer w takim samym czarnym mundurze Armii Ochotniczej jak generał, ale schludny i dziarski. Błyszczał wybrylantynowany przedziałek, świeciły się nowiutkie akselbanty. Przybyły kapitan bez pytania wyjął Gaj-Gajewskiemu szklankę z ręki, nalał do niej ciemnobrązowego płynu z manierki, tak więc stało się oczywiste, że to wcale nie herbata. A zatem plotki o koniaku nie są zmyślane, stwierdził Erast Pietrowicz.

– Makolcew, czy ktoś pana wzywał? – nieżyczliwie wycedził Skukin. – Co za bezceremonialność! A ty, wujku, mógłbyś się powstrzymać. Jeszcze za wcześnie!

Brwi Fandorina nieco się uniosły – tutejsze obyczaje wydały mu się dziwne. Jednakże sądząc z reakcji pozostałych, scena była zwyczajna. Kozłowski niecierpliwie szarpnął wąsa, adiutant wcale się nie obraził, a generał zagrzmiał ugodowo:

– Daj spokój, Arkasza. Właśnie chciałem zawołać Pawlika, tymczasem on wyrósł jak spod ziemi. To się nazywa wyczucie. A powstrzymać się nie mogę. Jestem jak dreźyna: bez paliwa nie ruszę. – I zaśmiawszy się rubasznie, z przyjemnością gołnął ze szklanki.

– Czego pan tu jeszcze szuka, podczaszy? – zwrócił się poirytowany Skukin do kapitana. – Zrobił pan swoje, więc niech się pan stąd zabiera.

Generał wstawił się za adiutantem.

– Nie dyryguj Pawłem Andriejewiczem. Gdzie ja, tam i on. Kto przedwczoraj poszedł po mnie pod ogniem karabinów

maszynowych czerwonych? Kto podniósł mój ulubiony portcygar, gdy go upuściłem? Ty, Arkasza, siedziałeś sobie w sztabie.

– Ty też, wujku, nie powinieneś się pchać na linię ognia. Jak cię zabiją, kto poprowadzi armię na Moskwę?

Erast Pietrowicz odchrząknął.

– P-panowie, powiedziano mi, że sprawa, z której powodu mnie wezwano, jest pilna.

Kozłowski popatrzył nań z wdzięcznością.

– Pozwoli pan, że będę kontynuował, Władimirze Zenonowiczu? – zaczął. – A więc pociąg głównodowodzącego przybył do Charkowa równo o szesnastej; wszyscy znamy punktualność jego ekscelencji generała. Do wpół do szóstej w pomieszczeniu sztabu trwała narada. Oprócz głównodowodzącego i waszej ekscelencji uczestniczyli w niej asystenci: głównodowodzącego, pułkownik Schröder oraz pański. – Kiwnięcie w stronę Skukina. – Później na dworcu odbyła się ceremonia wręczania nagród wyróżniającym się oficerom. Musieliśmy ją przerwać w połowie, ponieważ głównodowodzący dostał rozstroju żołądka...

– Na naradzie też dwa razy biegał do wychodka – wtrącił Gaj-Gajewski. – Za dużo zjadł kwaszonej kapusty. Mówię mu: „To przez to, że jest pan, Antonie Iwanowiczu, abstynentem. Gdyby popijał pan wódeczką, a jeszcze lepiej koniaczkiem, nie byłoby problemu”.

Odczekawszy z szacunkiem, na wypadek gdyby dowódca chciał coś jeszcze dodać, książkę podjął relację.

– Później, zgodnie z harmonogramem, rozpoczęła się wizyta w Sierocińcu Kaledińskim. Głównodowodzący przybył na miejsce o dziewiętnastej czterdzieści, jak było przewidziane. Wygłosił krótkie przemówienie do dzieci i wychowawczyń, zaczął rozdawać prezenty. Leżały na stole przykrytym długim obrusem. Właśnie tam, jak się okazało, podłożono bombę zegarową.

Niebawem głównodowodzący przeprosił i wyszedł z pośpiechem, bo znowu go przycisnęło, a dosłownie chwilę później nastąpił wybuch. Zginęli... – Kozłowski zajrzał do listy – Ilja Sapożnikow lat osiem, Boris von Münnich lat dziewięć, Nikołaj Bielecki lat dziewięć, Konstantin Leszczenko lat osiem, Piotr Miłowanow lat jedenaście, Aleksander Stein lat dziesięć, Siemion Kolcow lat dziewięć oraz Korniej Rance-Zass lat sześć, syn pułkownika Rance-Zassa poległego dwa tygodnie temu pod Kurskiem. Dopiero co go przyjęto. Był młodszy, niż pozwalały przepisy, ale... – Książę się stropił, nie dokończył.

– Tak, to ja zarządziłem, na mnie spada niewinna krew. – Generał przeżegnał się i upił łyk ze szklanki. – Myślałem: no gdzie wysłać takiego malca, co nie ma ani ojca, ani matki? A teraz wygląda na to, że wydałem wyrok śmierci na chłopca. Zdaje się, że zginęły też dwie kobiety?

– Zgadza się. Kierowniczką sierocińca Niekritowa i wychowawczynią baronowa Lande, wdowa po oficerze drozdowcu. Była w ciąży. Podobno miała wielką nadzieję, że urodzi syna...

Zawisło milczenie.

– Co zrobiliście od wczoraj? – zapytał Erast Pietrowicz, którego nie obowiązywała subordynacja wojskowa. Bardzo żałował zabitych, ale ból zawsze pobudzał go do działania.

– Zwiększone patrole. Ekspertyza szczątków urzędnika wybuchowego. Rozmowa z personelem sierocińca, czy nie było obcych.

Fandorin się skrzywił.

– Patrole niczego nie dadzą. Podobnie jak typ urzędnika wybuchowego. Obcych oczywiście nie zauważono, inaczej poradzilibyście sobie beze mnie. Niech pan powie, pułkowniku, czy wspomniany przez pana harmonogram pobytu głównodowodzącego został sporządzony na piśmie? Kto miał do niego dostęp?

Kozłowski się zachnął.

– Za kogo pan mnie ma? Jestem profesjonalistą, niegdyś konsultowałem ochronę najjaśniejszego monarchy! Zastosowaliśmy wszelkie przewidziane środki ostrożności. O planowanych ruchach głównodowodzącego wiedziałem tylko ja i jeszcze Władimir Zenonowicz, któremu zameldowałem w przeddzień.

Generał kiwnął głową.

– Wszyscy pozostali oficerowie zostali poinformowani jedynie w ramach swoich kompetencji. Komendant stacji wiedział, co będzie się działo na dworcu. Naczelnik konwoju znał trasę, ale bez dokładnych godzin.

Fandorin zamyślił się na krótką chwilę.

– Dlaczego przestępcy w-wybrali akurat sierociniec? Nie mogli przecież nie wziąć pod uwagę, że zginą dzieci i że wywoła to powszechne oburzenie?

– Sądzę, że tam najłatwiej było podłożyć bombę. Nikomu przez myśl nie przeszło, że bolszewicy podniosą rękę na dzieci. Prawie cała ochrona została na zewnątrz.

– Czyżbyście nie s-sprawdzili uprzednio sali?

– Sprawdziliśmy, ma się rozumieć, i to bardzo dokładnie. Pół godziny przed uroczystością. Przecież mówię – Kozłowski odwrócił się do dowódcy – że to chyba sprawka samego diabła! Czy mogę zapalić, wasza ekscelencjo, bo głowa mi pęka?

Gaj-Gajewski dał znak adiutantowi, tamten szczęknął zapalniczką. Książę zaciągnął się papierosem, jego wklęsłe policzki jeszcze bardziej się zapadły.

– Diabeł nie miał z tym nic wspólnego. Co więcej, nietrudno będzie wpaść na trop – powiedział Fandorin. – To zupełnie oczywiste, że organizator albo organizatorzy zamachu otrzymali dokładne informacje od osoby, która znała rozkład z-zajęć głównodowodzącego. Właśnie z tej strony trzeba szukać. Kto oprócz pana i dowódcy znał rozkład? Może pański asystent

kapitan Romanow?

– Nie. Był nieobecny w mieście. Brał udział w operacji prowadzonej w powiecie zmijowskim, wykrył magazyn broni czerwonych partyzantów, meldowałem waszej ekscelencji. Mój zastępca podpułkownik kozacki Czeriepow dowodził tylko ochroną, nie znał rozkładu, więc stąd nie mogło być przecieku.

– A z pańskiej strony? – zapytał Erast Pietrowicz generała. – Wspominał pan komuś, gdzie i kiedy będzie głównodowodzący?

Gaj-Gajewski z zakłopotaniem popatrzył na siostrzeńca.

– Wspominałem?

– Mnie – odparł pułkownik. – Radziłeś się, czy zorganizować kolację w sierocińcu, bo z damami i dziećmi będzie miła, domowa atmosfera. W rozmowie uczestniczył kapitan Makolcew.

To dziwne, ale adiutant znikł tak samo bezgłośnie, jak się zjawiał. Jeszcze niedawno stał przy ścianie, a teraz wszyscy popatrzyli – nie ma.

– ...Powiedział, że kolacja jest niepotrzebna. Przyszła depesza ze sztabu głównodowodzącego: nie urządzać bankietów. Śmiałeś się wtedy, pamiętasz? Powiedziałeś: „Fajtłapa się boczy, że podprowadziłem Wranglowi pociąg pancerny Dobrynia. Zasłużył sobie”.

– Tak, tak właśnie było – potwierdził generał. – Los chyba czuwał nad Antonem Iwanowiczem. Biegunka uratowała mu życie! W szesnastym roku w Galicji miałem podobny wypadek. Wlaliśmy spirytus lotniczy do ponczu...

I opowiedział barwną, ale nieapetyczną historię. Kozłowski zarechotał, a Skukin się skrzywił. Jeśli chodzi o Fandorina, ten nawet nie słuchał – czekał jedynie na koniec, żeby zadać ostatnie pytanie.

– Kto w sierocińcu znał godzinę przybycia g-
głównodowodzącego?

– Tylko kierowniczką, pani Niekritowa. Mogła oczywiście powiedzieć którejś z osób zajmujących się przygotowaniem

spotkania. Pytaliśmy ocalonych, ale nikt się nie przyznał – odparł Kozłowski.

– To chyba na razie wszystko, co powinienem wiedzieć. Wasza ekscelencjo, p-panowie...

Erast Pietrowicz wstał i wyszedł, odprowadzany oburzonym spojrzeniem pułkownika Skukina. Jak można wyjść, nie pytając dowódcy o zgodę?!

Ale Fandorin nie miał żadnych dowódców na tym świecie.

*

– Tak więc są trzy tropy – podsumował w pokoju hotelowym relację, którą składał żonie i Masie. – Pierwszy: otoczenie Gaj-Gajewskiego. Skukin nie jest gadułą, ale mamy jeszcze kapitana Makolcewa, a to dość śliski typ. Drugi: otoczenie głównodowodzącego. Tam przecież też ktoś znał trasę i rozkład zajęć szefa. Trzeci trop jest n-najbardziej wąły – sierociniec. Z czterech pracownic dwie zginęły, a jedna nie odzyskała przytomności. Niełatwo będzie się dowiedzieć, czy nie wygadały się komuś podejrzanemu o przyjeździe generała.

Później Fandorin zaczął opowiadać o zabitych. Wymienił nazwiska wszystkich chłopców (miał doskonałą pamięć), nie zapomniał powtórzyć poruszającej historii baronowej Lande.

Oczy Mony zalśniły. Pociągnąwszy nosem, odezwała się gniewnie:

– Wystarczy tego wzbudzania litości. Niech cię diabli. Masz przepustkę. Rób, co trzeba. Ale teraz będą dwa warunki.

– Jakie? – zbyt szybko zapytał Fandorin, czując, jak świat *Yang* przyciąga go władczo.

– Pierwszy jest ten sam. Masa będzie ci pomagał.

– Nie! Zostanie z t-tobą!

Japończyk zareagował z godnością.

– Nie jestem meblem, który można przesuwac. – Gdy się denerwował, wciąż jeszcze mylił czasami „l” z „r”. – Długo milczałem. Teraz powiem. Wie pan, kto ponosi winę za to, że zginęły te biedne dzieci i nieszczęsne kobiety? My.

– A niby dlaczego? – zdziwił się Fandorin.

– Gdy w sierpniu szukaliśmy złych ludzi, którzy obrzucili granatami ulicę w mieście, szybko trafiliśmy na ślad czerwonego podziemia. Ale pan oświadczył, że zatrzymujemy tylko tych, którzy ponoszą winę za śmierć przechodniów. Złapaliśmy dwóch akuninów, pozwoliliśmy im stawić opór, a potem z czystym sumieniem zabiliśmy. Dalej nie chciał się pan już posuwać, mówiąc, że nie bierzemy udziału w wojnie domowej. Teraz ci sami ludzie, których zostawiliśmy wtedy w spokoju, ludzie czekisty Zajenki, dokonali nowego zamachu. Więc kto jest temu winien, jeśli nie my? Zna pan zasadę samuraja: albo napraw swój błąd, albo rozpruj sobie brzuch.

– Proszę, tylko nie o brzuchu – poprosiła Mona. – Nie wspominałeś, Eraście, że wtedy kogoś zabiliście. Sądziłam, że tylko aresztowaliście.

– Ktoś ma za długi język – burknął Erast Pietrowicz, myśląc, że Japończyk właściwie ma rację. Zamachu dokonali na pewno ludzie czekistowskiego kata Zajenki, którego można było unieszkodliwić jeszcze w sierpniu.

– A kto inny krótki rozum! – odparował Masa. – Czyżby pan zapomniał, że prawdziwego dochodzenia nie prowadzi się w jednym kierunku? Niech się pan zajmie źródłem wycieku w sztabach, a ja zbadam czerwone podziemie. Dzięki temu sprawa nabierze tempa.

– A Mona będzie siedziała sama w hotelu? Wstydź się! Miałem cię za odpowiedzialnego człowieka!

– Mona nie będzie siedziała w hotelu – przerwała żona. – Nie znasz jeszcze mojego drugiego warunku. Właśnie tego dotyczy. Czuję się znacznie lepiej i potrzebuję świeżego powietrza. Milcz!

To nie podlega dyskusji!

Zaja i Shū-Shā

Aleksiej otworzył oczy, poderwał się. Dzwonił telefon. Na zegarku wpół do ósmej. Do późnej nocy był w pracy, dopiero przed świtem wrócił do siebie, do Szwajcarii. Hotel jest paskudny, „trzeciej klasy”, nie ma w nim niczego szwajcarskiego, jest za to aparat telefoniczny w pokoju – służba, którą Romanow pełni, wymaga całodobowej łączności.

Ławr.

– Niestety, Losza. Dywersja na dwunastej wiorście. Wysadzono Dobrynię. Ubieraj się i grzej do Wydziału.

– Nawet się nie rozbierałem. Zaraz będę – powiedział zaskoczony Romanow.

Dobrynia była najlepszym pociągiem pancernym w całej Białej Armii. Gaj-Gajewski z beczelnością Cygana koniokrada buchnął tę maszynę Armii Kaukaskiej barona Wrangla i zamierzał przerzucić pod Orzeł, gdzie czerwoni przeszli do kontrataku. Jeżeli Dobrynia nie zatrzyma ich ogniem swoich stu pięćdziesięciodwumilimetrowych dział, sytuacja na froncie może ulec radykalnej zmianie.

Okazuje się, że na świecie bywają też dobre wiadomości!

*

Pułkownik już czekał przed wejściem do budynku Wydziału Specjalnego Armii Ochotniczej – tak oficjalnie nazywał się armijny urząd kontrwywiadu. Dawniej, za czerwonych, mieściła

się tutaj CzK, gdzie towarzysz Zajenko przypiekał ciemężycieli ludu rozpalonym żelazem czerwonego terroru. Mieszkańcy nazwali straszne miejsce Czarnym Domem, jako że ten, kto tutaj trafiał, nie wracał żywy.

Kontrwywiad zajął dawne czekistowskie leże, bo pomieszczenie było bardzo wygodne. Dwupiętrowy dom stał przy ulicy, ale podwórze, zamknięte wysokim murem, zwieszało się nad parowem, do którego za czasów Zajenki wrzucano ciała rozstrzelanych. Kozłowski kazał jedynie przemaalować ściany na biało, żeby wyrugować z pamięci poprzednią obmierzłą nazwę. Książę był zdania, że obywatele powinni traktować kontrwywiad jak swojego obrońcę, a nie jak ohydne monstrum. „Jesteśmy biali, musimy nosić białe ubrania – lubił powtarzać. – Tylko w ten sposób zwyciężymy”.

– Szlag by trafił, but woła jeść! – zawołał zamiast powitania, gniewnie wystawiając kulawą nogę.

Gębę miał wymiętą, powieki czerwone, a z ust zionęło nieprzetrawionym alkoholem. Obok pyrkotał zakurzony ford.

– Będę musiał włożyć wyjściowe oficerki. Chodźmy, Losza. Opowiem po drodze.

Kozłowski mieszkał dwa kroki dalej, należało tylko przeciąć ulicę Sumską i przejść podwórzami. Wynajmował dawną stróżówkę w czynszowej kamienicy. Mieszkanie było maciupęńkie, za to z osobnym wejściem. Ławrowi nie zależało na wygodach, sypiał nieregularnie, najczęściej w gabinecie służbowym. Zresztą nie starczyłoby mu pensji na bardziej komfortowe lokum. Oficerom niewiele płacono. Głównodowodzący mówił, że rycerze Białej Sprawy powinni być ascetami, i dawał przykład: chodził w połatanej bluzie, którą podobno prała mu żona. Niestety niewielu szefów na tyłach frontu naśladowało tę wzniosłą postawę, prawie wszyscy kręcili jakieś interesy. To żadna nowość, że pojedynczy przykład nie wyleczy mateczki Rosji z łapownictwa.

Pułkownik Kozłowski należał jednak do tych nielicznych, którzy wierzyli w zasady. „Wyjściowe” oficerki okazały się niewiele lepsze od zniszczonych. Słuchając opowieści księcia, Romanow nagle pomyślał, że jego biały szef jest zdumiewająco podobny do czerwonego – Orłowa. Dla tamtego też nie istnieje nic prócz idei.

– Znowu zdrada, to nie ulega kwestii! – mówił książę, szczerząc swoje metalowe zęby.

W siedemnastym roku żołnierze rewolucji pobili go niemal na śmierć – tylko za to, że był oficerem. Dalej wiadomo: ucieczka na południe, pułk Armii Ochotniczej, Marsz Lodowy.

– Harmonogram przejazdu znano tylko w sztabie armii, ktoś się tam wygadał albo, co gorsza, szpieguje dla czerwonych! Żle pracujemy, Losza. To moja wina! Znadto zaangażowałem się w zwiad, wszystkie problemy kontrwywiadu zrzuciłem na ciebie. Obiecuję: dłużej tak nie będzie.

Biedaczysko, pomyślał Aleksiej. Choćbyś był geniuszem, nic nie zdziałasz w sytuacji, gdy twój najbliższy pomocnik jest wrogiem.

Wyniki działalności kontrwywiadu białych były dziwne. Jego służby ujawniały agenturę Petlury, brawurowo chwytaly szpiegów Machny i zwyczajnych bandziorów, ale żadną miarą nie potrafiły zlikwidować czerwonego podziemia. Romanow musiał używać rozmaitych wybiegów, żeby zamaskować ten nazbyt oczywisty fakt. Na przykład przedwczoraj, natrafiwszy w powiecie zmijowskim na podziemny magazyn Rewolucyjnej Powstańczej Armii ojczulka Machny, zameldował, że broń należy do czerwonych.

– Czemu odwracasz głowę? – zapytał książę.

– Zionie od ciebie, jakbyś wypił beczkę wina. – Aleksiej zmusił się do uśmiechu. – Czełkasz z ciebie, a nie Rurykowicz.

– Kto to jest Czełkasz? – Pułkownik się zaniepokoił.

– Bohater Maksima Gorkiego.

– A, słyszałem. Kawał drania. Czuć ode mnie nie wino, tylko

koniak. Przez pół nocy piłem z Władimirem Zenonowiczem i z jego adiutantem, jak mu tam, Makolcewem. Mimo że jestem gwardzistą i mam doświadczenie w tej materii, nie potrafię pić tyle co oni. Zmordowałem się. Zapragnąłem pójść lulu. No i w tym momencie zjawia się pułkownik Skukin. Mówi: wysadzono Dobrynię. Generał w krzyk. Wydziera się na mnie: „Pański kontrwywiad pracuje fatalnie! Czerwoni konspiratorzy zupełnie się rozbestwili, a pan tylko żłopie koniak!”. Dobrze, co? Sam nalewa prawie na siłę, a potem wypomina! Skukin, łajdak, też zaczął się skarżyć. „W głowach wam się poprzewracało – mówi. – Trzeba wypalać czerwony brud rozpalonym żelazem, urządzać obławy, wieszać dla postrachu, zmuszać podejrzanych do zeznań dowolnymi metodami, nawet wbijać szpilki pod paznokcie”. A dowódca w ten sam deseń: „Wszystko mi jedno, jakich metod używa kontrwywiad, żądam wyników”. Więc się zdenerwowałem. Mówię: „Niech mnie pan, wasza ekscelencjo, nie uczy mojej roboty, znam się na niej lepiej niż pan. Kontrwywiadowca to nie rzeźnik, tylko chirurg. Nie pracuje brudnymi rękami i toporem”. A on mi na to: „Jeżeli chirurg źle operuje, to wylatuje na zbity pysk!”. No i taka to była rozmowa... – Książę westchnął. – Niedobrze, że Władimir Zenonowicz ma rację. Jeżeli zawalimy tę operację, powinniśmy wylecieć. – Podreptał w miejscu. – Dobra, jestem gotowy. Jedziemy.

*

Na miejscu domniemanej katastrofy, na dwunastej wiorście linii kolejowej, stał nieuszkodzony pociąg pancerny. Parowóz posapywał gniewnie, przy torach zebrał się tłum wojskowych. Książę zdecydowanie się przezeń precyzyjnie, pięć minut później wynurzył się z powrotem zadowolony.

– Nie jest tak źle. Do wybuchu doszło za wcześnie, skład jechał

z małą prędkością i zdążył zahamować. Jeszcze dwadzieścia metrów i zsunąłby się z nasypu, ale mieliśmy szczęście.

Aleksiej też nie tracił czasu, zdążył się zorientować, co i jak. Niezdarni dywersanci albo się zdenerwowali, albo słabo znali się na swojej robocie, tylko niepotrzebnie rozwalili szyny. Brygada remontowa przywróci ruch w ciągu dwóch godzin i groźny pociąg pancerny potoczy się w stronę frontu. Kontratak czerwonych jest nieunikniony...

– Kretyni – rzucił Romanow, który w ostatnim czasie często używał owego słówka. – Wszystko bierze w łeb...

Tymczasem książę oznajmił całkiem paskudną nowinę:

– Szczęście dopisało nam też w innej kwestii. Kwadrans po wybuchu wiorstę stąd patrol kozacki zatrzymał dwóch robotników na kontrolę dokumentów. Jeden zaczął uciekać. Kozacy go stuknęli. Pod kurtką znaleźli kłębek sznura Bickforda. Widocznie zabrał więcej i żał mu było wyrzucać. Drugiego wzięto żywcem. Porozmawiamy z klientem?

Romanow skinął głową. Boże, w dodatku dali się złapać. Ze sznurem, szlag by to, na brzuchu!

Aresztowany stał z boku między dwoma konwojentami. Niemłody, z ziemistą twarzą, rozciętą na ukos nahajką.

– Ja jestem dobry, ty jesteś zły – szepnął pułkownik i zawołał: – Dawać go do mojego samochodu!

Posadzili mężczyznę między sobą na tylnym siedzeniu. Kozłowski od razu wziął go w obroty.

– Jestem naczelnikiem Wydziału Specjalnego, więc znam się na ludziach. Widzę, że dowodził tutaj tamten, który uciekał, a ty nawet nie stawiałeś oporu. Więc nie spuszczaaj nosa na kwintę, kolego. Jeszcze nie musisz żegnać się z życiem. Pociąg pancerny jest cały, nikt nie zginął ani nie został ranny. Zgodnie z prawem wojennym czeka cię stryczek, ale ja nie lubię wieszać bez potrzeby. Nazywam się Kozłowski. Pewnie o mnie słyszałeś? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął dalej: – I tak ginie dużo

ludzi, a przecież to swoi, Rosjanie. Dlatego oszczędzam tych, co nie są naszymi zagorzałymi wrogami. Zwłaszcza jeśli mają rodzinę, dzieci.

Zatrzymany patrzył prosto przed siebie szeroko rozstawionymi jasnymi oczami, nie mrugając. Aleksiej dobrze znał ten typ Rosjanina, twardego jak skała. Miał w swojej grupie operacyjnej podobnego podoficera – zginął w szesnastym.

– Milczysz, sukinsynu?! – wrzasnął Romanow zgodnie z niewymyślnym scenariuszem. – Po co rzucać perły przed wieprze, panie pułkowniku? Trzeba go oddać Czeriepowowi, niech wypruje bebechy draniowi!

– Spokojnie, kapitanie. Po co nam od razu Czeriepow? Najpierw z człowiekiem porozmawiajmy.

Podpułkownik Czeriepow, na rozkaz sztabu armii niedawno awansowany na zastępcę naczelnika (Romanow pełnił jedynie funkcję asystenta), był oficerem kozackim z Kubania, należał do szkurzystów – białych partyzantów generała Szkury. Kozłowski nie dopuszczał go do dochodzeń, przydzielał „bojowe” zadania: aresztowania, zajęcia mienia, akcje przeciwko zielonym i czerwonym powstańcom. „Groźna gęba, kurzy mózdzek”, mówił o Czeriepowie. Podpułkownik miał przerażającą powierzchowność. Niekiedy zapraszano go na przesłuchanie, żeby postraszył upartego aresztanta. Na bojaźliwych to działało. Ale ten aresztant nie był bojaźliwy. Milczał jak zakłęty, mimo że Ławr urabiał go na wszelkie sposoby, Aleksiej zaś mu groził.

Nie pomógł też Czeriepow, którego księżę wezwał, gdy tylko przybyli do urzędu.

Podpułkownik zjawił się w pokoju przesłuchań, podobny do śmierci: tyczkowaty, kościsty, z czarną opaską na oku, które wybiła kula czerwonych. Nachylił się nad nieruchomym, milczącym konspiratorem, z pół minuty świdrował go groźnym okiem.

– Panie pułkowniku, niech mnie pan zostawi z tą sztuką mięsa.

Proszę iść na obiad i wrócić za godzinę, a dostanie pan miękki, krwisty kotlet.

Zawsze tak mówił. Przeważnie skutkowało, bo Czeriepow rzeczywiście robił niesamowite wrażenie. Ale zatrzymany nawet nie podniósł głowy.

– Chyba będę musiał – rzekł ksiązę ze smutkiem. I do aresztowanego z wyrzutem: – Dlaczego zmusza mnie pan do użycia drastycznych środków? Nie zostawia mi pan żadnego wyboru. Niech pan to przemyśli w celi.

Gdy zostali sami, Romanow powiedział:

– Twardy orzech. Czeriepow też go nie ugryzie.

– Nawet nie zamierzam mu pozwolić, to nie zwierzyniec. Jest skuteczniejszy sposób.

– Jaki?

– Klient wygląda na poważnego i solidnego. Tacy jak on mają wysokie poczucie odpowiedzialności. Zobaczmy, które jest silniejsze.

– O czym ty mówisz?

– Zrobiłeś się mało spostrzegawczy, Losza. Zauważyłeś biały ślad na jego serdecznym palcu? To po obrączce. Widocznie Kozacy mu ją zabrali. Trzeba szukać rodziny. Pozwolić na widzenie z żoną, z dziećmi, jeśli je ma. Niech decyduje, wobec kogo czuje większą odpowiedzialność: wobec krewnych czy wobec Międzynarodówki.

– Jak niby znajdziemy rodzinę, skoro nie podał nawet swojego imienia? – zapytał Romanow, chociaż znał już odpowiedź. Nie był nowicjuszem.

– Ma na sobie kurtkę kolejową. A więc pracuje albo pracował w służbie ruchu. Zaraz pojedę zameldować dowódcy, że z Dobrynią wszystko w porządku, a potem puścimy się z naszym Mucjuszem Scewolą po kolejowych biurach i warsztatach. Może ktoś go rozpozna.

Romanow też by tak postąpił. Pułkownik wiedział, co mówi:

surowi mężczyźni podobnej mentalności potrafią nie tylko nienawidzić, ale też kochać. Łzy kobiet, a zwłaszcza dzieci robią na nich większe wrażenie niż tortury.

– Dobrze. Pojeżdżę z nim, popytam.

– Czemu ty? Sprawa jest prosta, techniczna. Wyślę Spirina. Ty lepiej idź się przespać. Nocą pewnie nie będzie okazji... Są jakieś wieści od Siwego na temat tamtego wybuchu?

– Jeszcze nie... Masz rację. Pójdę się położyć, skoro szefostwo łaskawie pozwala.

*

Ale sen nie był mu oczywiście w głowie.

Dwadzieścia minut później zapukał do drzwi mieszkania Zujewów. Otworzyła Nadieżda. Zamrugła oczami.

– To pan? Czemu nie przez czytelnię?

– Nie ma czasu. Ojciec w domu? Niech go pani zawoła.

Jednakże dziewczyna nie ruszyła się z miejsca.

– Czemu ostatnim razem pocałował mnie pan w rękę? – zapytała wrogo.

– Co? – zdziwił się, nie od razu sobie przypominając.

– Jeśli pocałował pan tak, jak się całuje dziecko, to przecież nie zniesienia! Nie jestem małą dziewczynką! A jeśli... – Nadia się zmieszała. – A jeśli... nie tak jak dziecko, to obraźliwe.

Zamiast odpowiedzieć, Aleksiej objął ją wpół i pocałował jeszcze raz, w gorący policzek, prędko. Chwycił za ramiona, odsunął na bok, wszedł.

– Nie ma czasu, Nadiu, nie ma czasu. Stan pogotowia. Niech pani szybko przyprowadzi ojca.

Zaczerwieniła się, ale nie dociekała dalej, pobiegła w głąb mieszkania.

Iwan Maksimowicz spokojnie wysłuchał relacji.

– Już panu mówiłem: niech biali rozwiążą za nas problem Zajenki. W końcu czekałsi przynoszą wyłącznie szkodę. Najpierw nie potrafili zabić głównodowodzącego, tylko nastawili przeciwko nam cały Charków. Teraz nie poradzili sobie z pociągiem pancernym, więc Kozłowski zacznie szarpać kolejarzy, a ja mam wśród nich bardzo dobrą komórkę. Jak się rozpadnie, zostaniemy bez informacji o ruchach wojsk. Więc niech kontrwywiad zajmie się lepiej tamtymi, a naszych zostawi w spokoju.

– Zajenko to kretyn, ale aresztują naszych towarzyszy, takich samym bolszewików jak pan i ja. Gdyby pan widział tamtego, którego teraz zatrzymano, nie mówiłby pan takich rzeczy. Przyszedłem, bo mam pomysł. Potrzebuję pomocnika. Sprawa jest prosta, każdy sobie poradzi, byleby tylko był rzetelny i niepodszyty tchórzem. To, co najważniejsze, zrobię sam.

– Nikogo nie dam – uciął Zujew. – Będzie lepiej dla sprawy, jeżeli zostanie tylko jedna podziemna organizacja. Biali uznają, że rozbili czerwonych, a my bez pośpiechu i pomyłek zajmiemy się swoją robotą.

Aleksiej się rozgniewał.

– Nie wolno sprowadzać wszystkiego do dobra sprawy! Ludzie to nie pionki!

– Dialektyka, Romanow, bolszewicka dialektyka. Niech pan sobie wbije do głowy, że ludzie nie bywają dobrzy albo źli, tylko dzielą się na swoich i obcych. Swoi to ci, którzy są przydatni. Obcy – którzy szkodzą. Nie zamierzam poświęcać swoich dla obcych, przydatnych dla szkodliwych. To wszystko. Rozmowa skończona.

– Kiedyś partia uzna, że pan też przestał być przydatny i wyrzuci pana na śmietnik!

Zujew trwał jednak przy swoim.

– To znaczy, że tam właśnie będzie moje miejsce.

– A żeby pana pokręciło!

Aleksiej wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Zaczął się zastanawiać, czy by nie załatwić sprawy w pojedynkę. Nie, nic z tego.

Na podwórzu dogoniła go Nadia. Podczas kłótni stała za plecami Iwana Maksimowicza, nie otwierając ust, za to teraz zatrajkotała:

– Tata nie ma racji. Powiedział pan, że każdy sobie poradzi. Więc ja też. Jestem sumienna i niebojaźliwa. To nic, że jestem niepokążna. Mam dużo siły.

Pokazała zaciśniętą piąstkę. Usta też miała zaciśnięte.

Nagle Romanow przypomniał sobie panny z żeńskiego batalionu śmierci. Były jota w jotę takie jak Nadia, mimo że walczyły zupełnie o co innego.

– Duża siła nie będzie potrzebna – powiedział, odchrząknąwszy. Bał się, że zadrży mu głos.

*

Podporucznik Spirin był bydlakiem, członkiem oddziału karnego, takiego nie żał sprzątnąć. Podobnie jak drugiego konwojenta, feldfebla Kononienki. Ten był prawdziwym katem, za pieniądze podejmował się wieszać skazańców. Problem stanowił trzeci, kierowca, którego Aleksiej nie znał i dlatego nie chciał zabijać. W związku z tym potrzebował chustki.

Romanow stał w bramie, na cichej ulicy, w którą samochód kontrwywiadu powinien był skręcić w drodze do dyspozytury kolejowej. Miał na sobie marynarkę i płaszcz, na czoło zsunął cyklistówkę. Gdy zza rogu wyłonił się znajomy ford, zasłonił twarz chustką.

Ulica była pusta, tylko na chodniku stał wózek z butlami oleju roślinnego. Wyrostek, który nimi handlował, donośnie wykrzykiwał: „Komu oleju oczyszczającego?! Komu oleju

oczyszczającego?!”.

Auto, powoli się rozpędzając, minęło bramę. Nagle wózek gwałtownie się przechylił, flaszki posypały się z hukiem na bruk, rozlał się żółty płyn. Samochód ostro zahamował.

Mądra dziewczyna. Co do sekundy!

W fordzie były cztery osoby. Z przodu, za kierownicą, jakiś wąsacz, obok niego Spirin, z tyłu aresztant i Kononienko – ten zgodnie z instrukcją trzymał rewolwer w pogotowiu. Romanow zaczął właśnie od niego. Oparł lufę w zgięciu lewego łokcia, wycelował w tłusty kark. Strzał nie był trudny, z dwudziestu metrów do nieruchomego celu.

Pękła szyba, Kononienko uderzył czołem w oparcie przedniego siedzenia. Głowa aresztanta znikła. Brawo, pochylił się.

Podporucznik zdążył się tylko obejrzeć. Druga kula trafiła go w środek twarzy.

Nie opuszczając nagana, Aleksiej prędko ruszył w stronę samochodu. Ochryplym, zmienionym głosem krzyknął do kierowcy:

– Wyłaź!

W odpowiedzi strzał. I co gorsza, nie do napastnika.

Kierowca postępował zgodnie z instrukcją, która w razie próby uwolnienia nakazywała konwojentowi strzelać najpierw do aresztanta.

Przeklinając w duchu swój wieczny sentymentalizm – ach, jakże miałbym zabić nieznanego człowieka! – Romanow wystrzelał cały magazynek. Okno rozleciało się na kawałki, kierowca nie zdążył jeszcze raz wypalić.

Aresztant leżał skurczony na podłodze, oddychał głośno.

– Gdzie dostałeś, towarzyszu?

– W brzuch...

To pierwsze słowo, które od niego słyszę, pomyślał Romanow.

– Zaraz. Wytrzymaj.

Wywłókł na jezdnię ciężkiego kierowcę, usiadł za kierownicą,

ale z prawej strony zwałił się martwy Spirin. Siedząc, nie sposób go było wypchnąć.

Z tamtej strony otworzyły się drzwi. Nadia: płonące oczy pod daszkiem chłopięcej czapki, chudziutka szyja wystająca z rozpiętego kołnierza. W milczeniu chwyciła zabitego za ramię, zaczęła ciągnąć.

– Przecież kazałem, żebyś popchnęła wózek i wiała! – ryknął na nią Romanow.

Nie odpowiedziała, szarpiąc ciało. Ręce miała rzeczywiście nad podziw silne. Podporucznik w końcu runął na jezdnię.

Przez okna wyglądali ludzie, krzyczeli. Niedaleko rozległ się gwizdek.

Aleksiej powiedział ostro:

– Wciśnij się jakoś z tyłu. Spróbuj zatamować krew. Po prostu przyduś czymś ranę. I nie przestawaj go szarpać, nie może stracić przytomności.

Zawrócił, żeby nie przeciąć opon odłamkami i żeby samochodu nie zarzuciło na śliskim bruku. Kierownica była cała we krwi.

Wcisnął pedał gazu, przyśpieszył, łokciem usunął resztki przedniej szyby – lepiej w ogóle bez niej niż z podziurawioną kulami.

Ryzyko, śmiertelne ryzyko, ale co robić? Przecież nie zostawi rannego.

Krętymi zaułkami wyjechał na ulicę Bolszaja Panasowska. Stąd był jeszcze kawałek do mieszkania Zujewów, ale można przemknąć podwórzami.

– Dasz radę iść, towarzyszu? Musisz. – Aleksiej się odwrócił. – Jak cię zwa?

– Poradzę sobie – odparł ranny przez zęby. – Tierientij... Nazarow.

– Chwycimy cię z dwóch stron, jakbyś był pijany. Jak kogoś spotkamy, śpiewaj albo przeklinaj.

Ranny natychmiast zaklął, a potem ochryple pomstował przez całą drogę. Nadia krzywiła się ze współczuciem, głaskała go po ramieniu.

Umilkł dopiero wtedy, gdy lekarz (swój, z podziemia Zujewa) zrobił mu zastrzyk morfiny. Wtedy zwiotczał, zwiesił głowę.

Tymczasem Iwan Maksimowicz wściekłym szeptem wyrzucał Romanowowi:

– Co pan wyrabia? Zdekonspirował pan nasz lokal! Przez swój sentymentalizm! Teraz będziemy musieli stąd uciekać! Nie uda się uprzedzić szybko wszystkich naszych, że czytelnia jest spalona! Odtąd nie chcę mieć z panem do czynienia. Nasze drogi, Romanow, się rozchodzą.

– A więc twoja i moja też – powiedziała Nadia, błędąc. – Aleksiej postąpił jak prawdziwy towarzysz, po bolszewicku. Nigdy nie myślałam, że będzie mi przez ciebie... wstyd.

Starzec drgnął, a Romanow pomyślał, że nie jest jednak z żelaza.

– Niech pan spojrzy na Nazarowa, Iwanie Maksimowiczu. Ten człowiek nikogo nie wyda. Odbiłem go nie z litości, ale dla dobrej sprawy. Przez niego dotrę do Zajenki i spróbuję się z nim dogadać. Wystarczy już tego działania na własną rękę.

Licho wie, co okazało się bardziej skuteczne – logika Romanowa czy spojrzenie córki, bo Zujew machnął ręką i tylko burknął:

– Proszę uważać. W razie czego – będzie na pana...

Poszedł odprowadzić lekarza. A Nazarow nagle się poderwał, uniósł głowę, zaczął szybko mówić – widocznie pod wpływem narkotyku.

– Ech, nie wysadziliśmy pociągu pancernego! Miszka na darmo zginął! Zrobiliśmy wszystko, jak mieliśmy napisane na kartce, ale widać za krótko przycięliśmy lont i bomba za wcześnie wybuchła!

Zmrużył oczy, patrząc na Romanowa, który stał plecami do

okna, toteż źle go widział.

– Dlaczego nie zdejmiesz chustki, towarzyszu? Twój głos wydaje mi się znajomy.

– Nie wolno mi pokazywać twarzy.

Nazarow rozpoznałby kapitana z kontrwywiadu – to było niepotrzebne. Aleksiej jeszcze bardziej zniżył głos.

– Jesteś z organizacji Zajenki?

– Najpierw powiedz, kim wy jesteście. – Ranny się zaniepokoił.

– Grupa podziemna RWS[36]. Ja się nazywam Aleksiej, a to towarzyszka Nadieżda. Więc jesteś od Zajenki?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Muszę się z nim spotkać. Wystarczy tego osobnego wojowania. Wy na przykład wiedzieliście, kiedy i gdzie czatować na pociąg pancerny, ale nieumiejętnie podłożyliście ładunek, my zaś mamy dobrego specjalistę od wybuchów. Razem będziemy dwa razy silniejsi.

Nazarow milczał, nie należało go popędzać. Niech pomyśli.

– Zawieziecie mnie tam, gdzie powiem? Bo u was i tak nie mogę zostać. Słyszałem też, że tatuś się awanturuje.

– Zawieziemy. Musisz tylko dojść do dorożki. Znowu będziesz udawał pijanego. Naprawdę dam ci wódki. Lekarz powiedział, że w razie bólu mamy wlać w ciebie czarę. Później on też przyjedzie gdzie trzeba.

– Lekarza mamy swojego. A wódka to dobra rzecz. – Nazarow się uśmiechnął. – Ale lepiej nalej dwie.

Nic jednak nie powiedział na temat spotkania z Zajenką.

*

Wieczorem, gdy się ściemniło, Romanow znowu wstąpił do mieszkania Zujewów. Ledwie udało mu się wyrwać – atak zamachowców na auto kontrwywiadu wywołał spore

zamieszanie. Aleksiej sam dowodził przeczesywaniem dzielnicy, w której znaleziono porzuconego forda, i zadbał o to, żeby nikt nie zainteresował się czytelnią.

Wsiedli z Nazarowem do dorożki. Tym razem Romanow zabandażował sobie twarz, podniósł kołnierz i zsunął daszek cyklistówki, ale Tierientij nawet mu się nie przyglądał, zresztą było już ciemno.

Pojechali za cmentarz Chołodnogorski, do dzielnicy robotniczych baraków.

– Tutaj wysiadziemy – oznajmił Nazarow dorożkarzowi.

Później długo kluczyli. Ranny dwukrotnie prosił, żeby odpocząć.

Za trzecim razem stanął na środku pustkowie.

– Dosyć. Dalej pójdę sam. Bywaj, towarzyszu.

– A co z Zajenką?

W mroku nie było widać twarzy Nazarowa, błyszcząły tylko oczy.

– Wasz tatuś ma telefon. Znasz numer?

Aleksiej go wymienił.

– Czekaj na wiadomość. Od Tierientija.

Z trudem pokuśtykał dalej. Romanow zaś kontynuował w myślach spór z Zujewem. No bo czy można porzucać takich ludzi jak Tierientij Nazarow? Wobec tego w imię czego to wszystko?

*

Nazajutrz wieczorem Aleksiej pełnił służbę, gdy go wezwano do aparatu.

– Tu czytelnia miejska, panie kapitanie – dobiegł go oschły dziewczęcy głos. – Dostarczono dla pana książkę Szlichtera.

Było to umówione hasło.

– Doskonale, panienko. Zaraz wpadnę. – I wyjaśnił Kozłowskiemu: – Ściągnęli dla mnie podręcznik do tworzenia szyfru z kluczem losowym. Czekam od dawna. Mówiłem ci, że zamierzam zmienić nasz system kodowania, bo obecny jest przestarzały.

Książę tylko mruknął, nie odrywając oczu od komunikatu operacyjnego. W nocy miał jechać do dowódcy – pić koniak i zameldować o przebiegu dochodzeń w sprawach dwóch wybuchów. Pierwsze nie ruszyło z miejsca, drugie utknęło, więc Kozłowski miał niewesołą minę.

*

– Taty nie ma – powiedziała zdenerwowana Nadia. – Jestem sama. Odebrałam telefon. Nieznajomy głos. Mówi: „Ukłony od Tierientija dla Aleksieja. Tierientij zachorował i prosi, żeby go odwiedzić. O północy, przy stacji pomp, w ogrodzie Karpowskim”. Zapisałam słowo w słowo.

O północy w ogrodzie Karpowskim jest pusto i cicho. Dobre miejsce, bezpieczne. Każdego słycać z daleka.

Teraz jest wpół do dziesiątej.

– Pójdę do siebie, włożę cywilne ubranie. Nie pokażę się przecież w mundurze. Jeszcze mnie kropną ze strachu.

– Proszę zaczekać. Muszę z panem porozmawiać. Od dawna chciałam, ale albo tata się kręcił w pobliżu, albo nie było czasu... – Nadia się nadąsała, ale czoło było zbyt gładkie i marszczyło się bez przekonania. – Niech mnie pan nigdy więcej nie całuje. Nigdy więcej!

Gniewnie strząsnęła łzę.

– Dobrze – bardzo poważnie odparł Aleksiej. – Nigdy więcej tego nie zrobię. Przyrzekam.

– Nie pyta pan dlaczego?

– A po co pytać? Wszystko jasne. To się pani nie podoba. Udowodniła pani, że nie jest dziewczynką, tylko towarzyszką broni. Właśnie tak będę panią traktował.

Ku jego zdziwieniu Nadia rozgniewała się jeszcze bardziej.

– Nic pan nie rozumie! Podoba mi się. Bardzo mi się podoba! Zakochałam się w panu jak ostatnia kretynka i mieszczanica! – Teraz patrzyła na niego niemal z nienawiścią. – Trzeba myśleć o tym, co jest istotne, najważniejsze, wzniosłe, a ja jak głupia dniami i nocami: co on miał na myśli, gdy powiedział to i to, dlaczego na mnie tak popatrzył albo dlaczego nie popatrzył... Wczoraj usiadłam przed lustrem i nie zauważyłam, jak minęły dwie godziny. A powinnam była pracować nad szyfrem... Pocałował mnie pan w rękę – jakby prąd przeszył. Pocałował w policzek – później przez dobę był gorący. To nie do zniesienia, wstyd mi! Proszę mnie nie dręczyć!

W tym momencie Romanow zrobił to, na co miał szaloną ochotę: przycisnął dziewczynę do piersi i obsypał pocałunkami mokrą, słoną twarz.

– Przecież prosiłam... Ja wcale nie dlatego... Zaraz umrę...

I tak zadrżała, że Aleksiej się przestraszył i rozluźnił uścisk. On też dostał dreszczy, poczuł klucie w piersi.

Złapał się za serce.

– Co?! Co panu jest?! – zawołała Nadia. – Słabo panu?! Ojej, ma pan mokre oczy...

– Nie wiem... – wybąkał Romanow. – Myślałem, że już nigdy...

Sądził, że już go to nie spotka. Nigdy więcej pierś mu się tak nie ściśnie i świat nie skurczy się do wielkości kobiecej twarzy. Sądził, że zabito go w siedemnastym, tam, w przeklętym wykopie, że Aleksieja Romanowa pogrzebano na martwym polu, a po ziemi chodzi zjawa, tylko tak samo się nazywa.

– Ja... muszę... się przebrać... – mamrotał, opierając się o ścianę.

Nadzieńda też opadła z sił, osunęła się bezwładnie na krzesło.

– Tak... tak. Niech pan idzie. A ja posiedzę. Nogi mi dziwnie...
To okropne.

*

Później, już w drodze na ważne spotkanie, Aleksiej wciąż jeszcze nie mógł ochłonąć. Myślał nie o tym, o czym powinien.

O tym, że dusza jest jak woda. Gdy chwyci mróz, staje się zimna i twarda jak kamień. Człowiek ma wrażenie, że już na zawsze taka pozostanie, że zima nigdy się nie skończy. Ale przychodzi wiosna i kamień taje, lśni kroplami, ocieka wilgocią, która pod promieniami gorącego słońca zaczyna się nagrzewać.

Nadia ma rację, że to okropne. Ponieważ trwa wojna, a na wojnie wszystkie siły należy oddawać wojnie, inaczej się nie zwycięży. Dotąd Aleksiej tak właśnie żył, tylko dlatego przeżył. Chociaż w zasadzie wcale się nie martwił o to, czy przeżyje. Śmierć zjawy to niewielka strata. Ale teraz zapragnie żyć. Już zapragnął. To znaczy, że będzie się bał, nie tylko o siebie, ale też o Nadieżdę. To imię jest jakieś... niebezpieczne. Romanow jak gdyby na nowo je usłyszał i zadrżał.

Bezładne i niespokojne myśli sprawiły, że nie rozglądał się na boki i nawet nie zwrócił uwagi na to, że minął rzekę, tory kolejowe (niedaleko był Dworzec Południowy), wspiął się aleją ku przysadzistej wieży ciśnień.

Od muru oderwała się postać. Palce w kieszeni zacisnęły się na rękojeści rewolweru, ale Romanow rozpoznał sylwetkę kobiety, miała opuszczone ręce i była bez broni. Romantyczne spotkanie z piękną nieznajomą, powiedział sobie w duchu. Przestały go dręczyć wzniosłe cierpienia, do głosu doszły zawodowe nawyki: słuch, nocne widzenie, węch.

Czy jest tutaj ktoś jeszcze?

Po lewej w krzakach chyba nikogo, po prawej też. Zdaje się, że

coś się poruszyło w czarnym cieniu na prawo od wieży.

– To ja, Aleksiej! – powiedział głośno. – Pani od Tierientija?

Kobieta odpowiedziała śpiewnie:

– Stań. Łęce o tak.

Pokazała: rozłożyć ręce na boki.

Chinka? Oryginalne. Chociaż czemu nie – podobno w CzK Zajenki był jakiś chiński pluton, który wykonywał wyroki.

Romanow stanął. W pozycji krzyża.

Kobieta się zbliżyła. Rzeczywiście Chinka. Twarzy dobrze nie widać, ale oczy skośne. Filigranowa, sięga Aleksiejowi do piersi.

Bardzo zręcznie, jak przystało na doświadczonego wywiadowcę, przeszukała Romanowa, w dodatku wyjęła nie tylko nagana z kieszeni, ale też browninga spod pachy (tego, o który prosiła i którego nie dostała Nadia).

– Oho, masaż erotyczny! – zażartował Aleksiej, gdy delikatna dłoń obmacała go od dołu.

Obróciwszy się w stronę wieży, chudzina zawołała melodyjnym głosem:

– Zaje, moja splawdzała.

Aha, „Zaja” też przyszedł, uspokoił się Romanow. I od razu odzyskał humor, chociaż cała ta operetka działała mu na nerwy. Syn mikada Nanki-Poo i śliczna Yum-Yum w mieście Titipu.

Pod wieżą pstryknęła zapalka, płomień się powiększył – ktoś tam zapalił lampę naftową.

– Zbliź no się. Przyjrzę ci się. Pogawędzimy – dobiegł niski, ale niezbyt przyjazny głos.

Aleksiej podszedł.

Na stopniu paliła się lampa górnicza, oblewając czerwonym światłem siedzącego mężczyznę. Był barczysty, długie ręce leniwie spoczywały na kolanach, na zwróconej ku Romanowowi nieogolonej twarzy kołysały się czarne cienie.

Aleksiej przykucnął, żeby być na tej samej wysokości co Zajenko i lepiej go sobie obejrzeć. Fizjonomia naczelnika

GorCzK[37] była jak z klasyfikacji Lambrosa, typ „urodzony zabójca”: szeroka, spłaszczona czaszka, wystające kości policzkowe, łuki brwiowe jak u małpy, obwisły podbródek, ciężkie spojrzenie. Jednym słowem – przystojniak.

Przemknęła myśl: Rewolucja, podobnie jak bóg Janus, ma dwa oblicza. Jedno czyste i marzycielskie jak u Nadii. Drugie jak u Zajenki. I odwraca się to jedną, to drugą stroną.

– Gdzie się do tej pory podziewaliście, erwuesowscy bohaterowie, że nie było was widać ani słycać? – zapytał szyderczo Zajenko.

– Pracujemy cicho, dlatego nas nie słycać – odparł w tym samym tonie Romanow. – Tylko wy hałasujecie, terroryści od siedmiu boleści.

Wyszczrzył zęby i na tym koniec. Nie przyszedł po to, żeby się handryczyć. Dlatego później przemówił inaczej, rozsądnie.

– Słuchaj, towarzyszu Zajenko, nie jesteśmy w Moskwie jak nasi szefowie, nie mamy czasu na kłótnie. Stąpamy po cienkim lodzie, zarówno my, jak i wy. Zaczniemy sobie pomagać. Wy macie to, czego my nie mamy. I odwrotnie.

– A co niby macie? Pochwał się. – Zajenko przymrużył oczy.

– Mamy łączność z Moskwą. Nie powiem jaką, ale informacje docierają tego samego dnia. Podzielimy się. Mamy swoich specjalistów od bomb, lepszych niż twoi. Jeżeli będziesz uzgadniał z nami akcje, możesz liczyć...

– Uzgadniaj sobie ze swoją babą, kiedy będziesz ją... – ordynarnie przerwał Zajenko. – Znaleźli się dowódcy!

Romanow nie dał się sprowokować. Podjął spokojnie:

– Mam też swoich informatorów. W kontrwywiadzie. A ty masz w sztabie armii, tak?

Milczenie.

– To przecież stamtąd dostaliście cynk o sierocińcu i pociągu pancernym? Wymieńmy się informacjami.

Zajenko mrugnął, ale znowu nie odpowiedział.

– Dobra, zacznę pierwszy. Bardzo niebezpieczny człowiek chce cię dorwać. I bądź pewien, że w końcu to zrobi.

– Mówisz o Kozłowskim? – Zajenko się skrzywił. – Wiem o tym i bez ciebie. Chytry sukinsyn, Tierientij wspominał. Jest ich tam trzech w kontrwywiadzie: kulawy pułkownik, jednooki Czeriepow i kapitan Romanow. Nazarow mówi, że kapitan i Kozak to głąby, ale kulawy jest cwany, wije się jak wąż. Nie szkodzi, wyrwiemy mu zęby. A ty, erwuesowski fagasio, wracaj, skąd przyszedłeś. Nie potrzebujemy takich śliniących się cykorów. Prawda, Shū-Shā?

– *Hao, Zaje* – z tyłu odezwała się Chinka.

No cóż, porozmawiam z tobą inaczej, postanowił Romanow. Zaraz ci pokażę „śliniącego się cykora”, skoro nie rozumiesz po dobroci. Tylko jeden argument robi wrażenie na takich osobnikach jak ty – siła.

Wstał, chwycił czekistę za gardło, bez trudu uniósł w górę, żeby popatrzeć mu w oczy.

– Słuchaj, Zaja, zaraz rozmażę ci mózg na ścianie. I będę się dogadywał z Nazarowem. Nie jest takim kretynem jak ty...

Podniósł pięść, coś go jednak uderzyło w łokieć – niby niezbyt boleśnie, ale ręka natychmiast zdrętwiała i zwiśla.

Aleksiej się odwrócił. Chinka Shū-Shā jeszcze bardziej zmaląła – rozciągnęła się dziwnie na boki, przysiadła, upodobniła się do pająka. Wyszczrzyła zęby, zasyczała. Tak samo lekko dotknęła drugiej ręki – ona też straciła czucie. Romanow stał jak sparaliżowany i nie wiedział, co się z nim dzieje.

Zajenko odwrócił go ku sobie.

– Myślałeś, że będziesz się na mnie wydzierał? Na mnie? Pętak!

Pchnął kolanem w przyrodzenie. To już Aleksiej poczuł, z krzykiem zgiął się wpół. Silne uderzenie w ucho powaliło go na ziemię, później dostał jeszcze kopniak w żebra.

– Obiłem cię zwyczajnie, po rosyjsku – powiedział z góry

Zajenko. – Ale jeśli będziesz się plątał pod nogami, oddam Shū-Shy. Załatwi cię po chińsku. Będziesz kwiczał jak zarzynane prosię. Poleż tu sobie w chłodku, fagasio, i pomyśl. Odejmij mi władzę w nogach, Shū-Shā.

Mała nóżka wymierzyła szybki cios w jedno kolano, później w drugie. Teraz Romanow miał bezwładne cztery kończyny.

Zajenko z satysfakcją splunął na leżącego.

– Oddaj mi pukawki. Nie potrzebujemy cudzych.

Na ziemię upadły nagan i browning. Leżały przed nosem Aleksieja, on jednak nie mógł ich podnieść, był zupełnie bezbronny.

Usłyszał oddalające się kroki. Później zrobiło się cicho, tylko pogwizdywał wiatr.

Czucie w sparaliżowanych nerwach zaczęło wracać nieprędko, Romanow zdążył zmarznąć – październikowa noc nie rozpieszczała ciepłem. Minęły dwie godziny, zanim zaczął poruszać rękami – przynajmniej mógł się dowlec na łokciach do schodów. Godzinę później zaczęły ożywać nogi, ale Aleksiej przemierzał park jak starzec, ledwo człapiąc.

Wreszcie, gdy jakoś się pozbierał, szybkim już krokiem dotarł do charakteryzatorni – tak w profesjonalnym żargonie nazywa się sekretne miejsce, gdzie można zmienić wizerunek. Romanowowi służyła do tego mała drewnutnia w głuchym podwórzu niedaleko hotelu. Tam znowu stał się dzielnym oficerem, a cywilne ubranie ukrył pod sągiem.

Wchodząc do ciemnego holu swojej nieokazanej Szwajcarii, myślał ponuro: zawałem sprawę. Chciałem ułożyć relacje z partnerami, a tylko je popsułem. To była paskudna noc. Walnę się spać, rano jest mądrzejszy od wieczora.

Jednakże noc jeszcze się nie skończyła.

Z krzesła poderwał się ku niemu starszy szeregowiec – swój, z kontrwywiadu.

– Wasza wielmożność, ja po pana! – zawołał, ze

zdenerwowania zapominając zasalutować. – Pan pułkownik nie żyje!

– Co?! – jęknął Romanow. – Kiedy? Gdzie?

– Koło jego mieszkania, w bramie. Dostał kulkę w tył głowy. Nie dalej jak godzinę temu. Od razu przybiegłem tutaj, a pana nie ma...

*

Ach, Ławr, Ławr...

Romanow zazgrzytał zębami. Sukinsyny, wredne sukinsyny! Zamierzali „wyrwać zęby” i wyrwali. Niezwłocznie.

Wygląda na to, że mimo woli zgubił towarzysza...

Po raz drugi tej nocy łzy napłynęły Aleksiejowi do oczu. A przedtem – nawet nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio płakał. Serce mu zmiękło, osłabło.

36 RWS (*Riewolucionnyj wojennyj sowiet*) – Wojskowa Rada Rewolucyjna (przyp. tłum.).

37 GorCzK (*Gorodskaja Czriezwyčajnaja komissija po borbie s kontrrewoluciej i sabotażem*) – Miejska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem (przyp. tłum.).

Zajmująca antropologia

Okazuje się, że zateśniła jednak w swoim Edenie do wielkiego świata, sama nie wiedziała kiedy. Ów świat był hałaśliwy, brudny i brzydki, ale Mona z przyjemnością wdychała zapach benzyny, a nawet końskiego nawozu.

Erast, rzecz jasna, długo się nie zgadzał. Gorączkował się, wyklócał, groził, że zaraz przywiezie profesora Libkinda, ale w końcu skapitulował. Mona wiedziała, jakie argumenty przekonają męża.

– Dziecku najbardziej szkodzi, gdy się denerwuję. To dlatego doktor kazał mi siedzieć w domu – powiedziała. – Ale tkwiąc tutaj bez zajęcia, będę tylko odchodzić od zmysłów z niepokoju. Czy tak trudno zrozumieć, że muszę się czymś zająć? Świadomość, że ci pomagam, będzie mnie uspokajać i cieszyć. A zresztą cóż to za trud – niedaleka przejażdżka wygodnym autem i spokojne kobiece rozmowy?

W końcu doszli do porozumienia.

Erast zajmie się źródłami wycieku informacji (Mona miała nadzieję, że nie okaże się to bardzo niebezpieczne), Masa weźmie na siebie bardziej ryzykowne zadanie i przyjrzy się czerwonemu podziemi, a przyszła matka spróbuje się dowiedzieć, czy ktoś nie zdradził godziny wizyty głównodowodzącego w sierocińcu.

Nazajutrz po trudnej rozmowie Fandorin wyjechał do Taganrogu – postanowił, że zacznie od kwatery głównodowodzącego. Masa zwyczajnie znikł rano. Mona zaś zjadła wytworne śniadanie, wymieniła dolary w recepcji, wstąpiła do sąsiadującego z hotelem Pasażu, bez pośpiechu

wybrała stosowny strój: czarną suknię, czarny płaszcz, czarny kapelusz i nie mogąc się powstrzymać, kupiła śliczne wysokie buciki ze srebrnymi nitami. Banknoty były zabawne, z czarnopomarańczowym paskiem i z Carem-dzwonem; nazywały się „dzwoneczki”.

Przebrawszy się, Mona bardzo przypadła sobie do gustu w eleganckim żałobnym stroju. Szkoda, że w sklepie nie mieli woalki, chociaż to chyba byłaby już przesada. Zadzwoiła do portiera, żeby przygotował automobil. Pojechała.

Ale w Kaledińskim sierocińcu ożywienie natychmiast ją opuściło. Przed tablicą ze zdjęciami zabitych Mona się rozpląkała. Żałowała, że nie przywiozła kwiatów.

Później jeszcze bardziej się wzruszyła: minęła ją wychowawczyni z grupką dzieci w niebieskich mundurkach, połowa z nich miała obandażowane uszy – następstwo kontuzji. Reszta zapewne trafiła tu niedawno. Ojcowie codziennie ginęli na froncie, matki zabijał tyfus na tyłach, więc napływ oficerskich sierot był nieprzerwany. Gdyby dowództwo Białej Armii troszczyło się tak samo o rodziny szeregowych żołnierzy, możliwe, że wojna domowa już by się skończyła, pomyślała Mona.

W kancelarii oznajmiła, że chce się zobaczyć z nową kierowniczką. Usłyszała, że pani Makarowa prowadzi lekcję, więc trzeba poczekać.

Mona usiadła przed oszklonym gabinetem i gdy weszła tam wysoka, surowa dama, nie od razu się poderwała. Przed rozmową musiała ustalić, co to za jedna ta Makarowa.

Do tego służył Monie „sposób”. Za każdym razem przed zrobieniem portretu długo przyglądała się modelowi, by poczuć jego naturę i wewnętrzną wibrację – stać się nim. Klucz był bardzo prosty: należało szczerze polubić obiekt, to zaś wymagało od Mony, żeby weszła w jego skórę i popatrzyła na świat jego oczami. Tylko wtedy portret się udawał i wychodził jak żywy.

Najlepiej było, rzecz jasna, obmacać twarz palcami, ale w przypadku pani Makarowej nie wchodziło to niestety w grę, musiała wystarczyć obserwacja.

Dyrektorka siedziała za biurkiem, pochłonięta swoimi sprawami, i nawet nie podejrzewała, że ktoś obcy zakradł się do jej wnętrza. A Monie zdawało się, że rzeczywiście się w nią wcieliła. Poczula ciężar biustu, jakiego nigdy nie miała, ucisk niewygodnego stanika, sztywne kwadratowe trzewiki uwierały, binokle zsuwały się z nosa. Nie wyspałam się, boli mnie prawy bok, lekko przyciskam go ręką... Gorzkie zmarszczki koło ust – jestem samotna. Nie mam niczego prócz pracy, ale to bardzo ważna i potrzebna praca. Ja zaś jestem niesłychanie ważną osobą. Nie cieszę się sympatią, wiem o tym, za to jestem szanowana. I nie potrzebuję pani sympatii! Po co mi ona? Ale niech no tylko spróbuje mnie pani nie szanować!

Sytuacja jest chyba jasna.

Mona wstała, zapukała.

– Proszę.

Weszła.

Rozmawiała z kierowniczką w taki sposób, żeby wzbudzić naturalną sympatię w nieprzeciętnej poniekąd kobiecie: powściągliwie, z godnością, rzeczowo i broń Boże bez emocji.

Powiedziała, że jest artystką i może dawać dzieciom lekcje rysunku i rzeźby – dla sierot to bardzo pożądane, czytała o tym w czasopiśmie pedagogicznym. Nie żąda wynagrodzenia, ponieważ zostały jej środki po mężu.

– Jest pani w żałobie. Wdowa? – zapytała Makarowa, wciąż jeszcze nieufnie.

Mona westchnęła cicho i nie odpowiedziała, jak gdyby nie chciała obarczać swoją smutną historią kierowniczkę sierocińca dźwigającej nielekkie brzemię. To się spodobało Makarowej. Mona wciąż jeszcze po części nią była i nawet spoglądała na siebie z boku: skromna, miła kobieta z twardym, ale bynajmniej

nie kłótliwym charakterem, na takiej jak ona można polegać.

– Zatrudniłabym panią, nie bacząc na brak doświadczenia, bo lekcje sztuki bardzo by nam się przydały, ale zdaje się, że jest pani w odmiennym stanie? – Makarowa uśmiechnęła się życzliwie, co należało uznać za sukces, bo najwyraźniej nieczęsto to robiła.

– Słyszałam, że pracownica, która zginęła, baronowa Lande, też była w ciąży – spokojnie, bez ekscytacji odparła Mona. – Jestem dopiero w piątym miesiącu i czuję się dobrze. Sądzę, że nie znużą mnie trzy albo cztery lekcje w tygodniu.

W spojrzeniu kierowniczkii można było wyczytać: Jest podobna do mnie. Wreszcie będę miała z kim porozmawiać. Ale na głos powiedziała co innego:

– No cóż, nie mam kompetencji, żeby zatrudniać nowych pedagogów. Powierzono mi funkcję czasowo.

– Mnie też może pani zatrudnić czasowo. Poza tym na pewno dostanie pani stały angaż.

– Skąd pani wie?

– Jestem artystką. Czytam w ludzkich duszach i nawet potrafię przewidzieć najbliższą przyszłość. – Mona uśmiechnęła się, że się waha, po czym dodała: – Jest coś jeszcze. Proszę mi wybaczyć obcesowość, ale z natury jestem szczerą. Niech się pani nie dręczy. Nie jest pani winna.

Tamta drgnęła.

– Czego?

– Tego, że pani relacje z poprzednią dyrektorką nie układały się dobrze, a ona zginęła.

– Skąd... Skąd pani wie o naszych relacjach? – Makarowa znowu zrobiła się podejrzliwa. – Ktoś zdążył pani powiedzieć?

– Nie, ale łatwo się tego domyślić. Była pani nieobecna na uroczystości, gdy przedstawiano najlepsze pracownice głównodowodzącemu. Widocznie nieżyjąca Niekritowa niezbyt panią lubiła.

– Ale to uratowało mi życie! Gdybym była w auli... – Wzdrygnęła się. – Niekritowej urwało głowę. A Maszę Lande fala wybuchu rzuciła na oszkloną szafę, całe ciało było w odłamkach... Potworność!

Mona milczała współczująco.

– A przecież nikt nie wiedział, co się wydarzy w auli o wpół do ósmej – ciągnęła zdenerwowana Makarowa. – Dyrektorka nikomu nie powiedziała, lubiła robić niespodzianki. Ani wychowawczynie, ani dzieci nie miały pojęcia, że sam głównodowodzący przybędzie z wizytą.

– Nikt prócz Niekritowej nie wiedział? Ani jedna osoba? – Mona posmutniała. Miała wielką nadzieję, że trafi na jakiś ślad i wróci do Erasta ze zdobyczą!

– Podejrzewałyśmy, że szykuje się coś ważnego. O szóstej zjawił się oficer kozacki z żołnierzami, wysoki, surowy, z opaską na oku... Widziałam, jak obejrzał salę, postawił przed drzwiami dwóch wartowników, żeby nikogo nie wpuszczali. Ale nikomu nawet do głowy nie przyszło, że zaraz zjawi się sam głównodowodzący. Zapewniam panią, że wiedziała tylko Lidia Christofowna, niech spoczywa w pokoju... – Makarowa się przeżegnała.

– Przyjrzała się pani wartownikom?

Kierowniczka się zdziwiła.

– Owszem. Jeden miał kozacki czub na głowie, a drugi rude wąsy. Czemu pani pyta?

Mona przycisnęła dłoń do piersi, zrobiła boleściwą minę.

– Ojej, zemdliło mnie. Przepraszam. Chyba zapeszyłam, mówiąc, że czuję się dobrze...

Nie było sensu zostawać tu dłużej. Tego, co istotne, już się dowiedziała.

*

Nazajutrz Mona spotkała się ze szlachetnym mężem, który wrócił z Taganrogu z niczym, mimo że nazwał to uszczupleniem liczby hipotez. W otoczeniu jego ekscelencji szczegółowy harmonogram wizyty znał tylko starszy adiutant pułkownik Schröder. Mężczyzna zaklinał się, że nie zdradził żywej duszy godziny odwiedzin sierocińca, Fandorin zaś uważał, że słowom oficera można wierzyć – to człowiek poważny i odpowiedzialny.

– Szpieg albo g-gaduła jest tutaj, w Charkowie – powiedział zafrasowany. – Podejrzewałem kontrwywiad, ale pierwotna hipoteza się nie potwierdziła... Kapitan Romanow nie pokazywał się od tamtej pory?

– Nie. Masy też nie widziałam od wczorajszego ranka.

Mąż nawet nie zapytał o wyprawę do sierocińca, interesowało go tylko samopoczucie Mony. Było to trochę przykre.

Kiedy więc oznajmił – nie tyle jej, ile samemu sobie: „Chyba zacznę od sztabu Armii Ochotniczej”, Mona zauważyła niewinnie:

– Na twoim miejscu zaczęłabym jednak od kontrwywiadu.

– D-dlaczego?

Wtedy wyjawiała mu to, czego się dowiedziała: o jednookim oficerze, którzy oglądał aulę krótko przed wybuchem i zostawił tam dwóch wartowników.

Najlepszym komplementem było to, że Erast jej nie pochwalił, nie wpadł w zachwyty, tylko od razu wgrzył się w nowinę jak wilk w zdobycz. I zaczął zasięgać jej rady.

– Wspaniaaaale – wycedził, uśmiechając się jadownicie. – Jak się dowiemy, kto pełnił wartę? Powierzyć to pułkownikowi Kozłowskiemu? Nawiasem mówiąc, to dziwne, że nikt z jego ludzi nie odebrał mnie z dworca. Musiałem wziąć dorożkę, mimo że nadałem telegram z Taganrogu...

– Może za wcześnie, by wspominać pułkownikowi? – Mona delikatnie podsunęła podjętą już decyzję. Bardzo lubiła być Wasylisą Mądrą przy Iwanie Carewiczu. – A gdyby tak zebrać

w jednym miejscu cały skład osobowy... jak to się u nich nazywa... eskortującej półsotni? – Tak naprawdę zdążyła się już dowiedzieć, że ochroną dowództwa kontrwywiadu zajmuje się właśnie eskortująca półsotnia, która podlega podpułkownikowi Czeriepowowi, owemu jednookiemu oficerowi). – Niejeden Kozak ma pewnie czub, z rudymi wąsami też chyba jest wielu, ale przywiozłabym panią Makarową, ona zaś zerknęłaby dyskretnie, powiedzmy przez okno, i pokazałaby tych, którzy są nam potrzebni.

I znowu Fandorin nie powiedział „moja ty mądra główko!” albo czegoś równie protekcyjnego, tylko energicznie zatarł rękę.

– Świetnie! Jedziemy do kontrwywiadu. Porozmawiamy z Kozłowskim i na miejscu zdecydujemy, czy wprowadzać go w plan działania, czy lepiej pod dowolnym pretekstem poprosić, żeby wezwał eskortę. Jeżeli uznasz, że nie warto, daj mi znak. Powiedzmy, przesunąć palcem wzdłuż b-brwi.

Mona ze wszystkich sił usiłowała powstrzymać uśmiech szczęścia, który wypływał na jej wargi. Szlachetny mąż zaczął mówić o niej i o sobie w liczbie mnogiej: „porozmawiamy”, „zdecydujemy”! Liczy się z jej zdaniem. Pracują razem! To znacznie korzystniejsze dla ciąży niż leżenie w łóżku z uniesionymi nogami.

– Zgoda – przystała w zamyśleniu. – Zanim zbierze się półsotnia, pojedę po Makarową. Chyba dadzą mi automobil?

*

– Coś się t-tam stało.

Erast się zachmurzył.

Koło pomalowanego na biało domu stały osiodłane konie. Z bramy wypadło z piskiem opon auto i przeraźliwie trąbiąc,

ruszyło w stronę centrum. Przytrzymując szablę, na schody wbiegł jakiś oficer, dwaj inni wyskoczyli z budynku i pognali na łeb, na szyję w różne strony.

Zwolniwszy dorożkę, Fandorin pokazał dowódcy straży przepustkę podpisaną przez Kozłowskiego.

– Nieważna – oświadczył podoficer.

A gdy Mona poprosiła go, żeby zawołał Romanowa, podejrzliwie zmrużył oczy i w ogóle nic nie powiedział.

O co tu chodzi?

– Jedźmy do sztabu armii. – Erast chwycił żonę za łokieć. – Trzeba się dowiedzieć, co się dzieje. Tutaj nikt nam nie powie.

– Nie musimy nigdzie jechać, sztab jest już tutaj. – Mona wskazała podbródkiem.

Przy chodniku zatrzymał się długi czarny packard. Gramolił się z niego Skukin.

Przyłożył do daszka rękę w rękawiczce.

– A, pan Fandorin. Łaskawa pani...

– Co się tutaj w-wyprawia, panie pułkowniku? Dlaczego nie wpuszczono nas do księcia Kozłowskiego?

– Nie żyje, zabity – zwięźle odparł Skukin.

Mona krzyknęła.

– Boże! Kto to zrobił?

Pytanie było oczywiście głupie, babskie. Wiadomo, że czerwoni. Nieuprzejmy Skukin nawet nie zamierzał odpowiadać; zwrócił się do Fandorina.

– Nowe uderzenie podziemia. Dowódca wierzył, że pomoże nam pan je zlikwidować, ale widocznie jego nadzieje były płonne. Niech nowy naczelnik Wydziału Specjalnego podpułkownik kozacki Czeriepow zdecyduje, czy potrzebuje pańskiej pomocy.

Mona sądziła, że Erast wybuchnie, on jednak zapytał spokojnie:

– A gdzie jest kapitan Romanow?

– Został zdjęty ze stanowiska i aresztowany. Ktoś przecież doniósł czerwonym, gdzie mieszka Kozłowski i którędy wraca po służbie. Ktoś ze swoich. A Romanow przyjaźnił się z zabitym. I co dziwne, nie nocował w domu. Ustalamy, gdzie był... Więc odkrył pan coś w sprawie wybuchu?

– To i owo – odparł Erast półgłosem.

Zachowanie Skukina natychmiast uległo zmianie.

– Czemu od razu pan nie powiedział?! Wejdźmy do środka, tam pan opowie. – Pułkownik z niezadowoleniem zerknął na Monę. – Obecność małżonki jest konieczna?

Pamiętliwy, nie zapomniał o pederacji, pomyślała Mona i słodko się uśmiechnęła, gdy Fandorin odparował:

– Jak się pan niebawem przekona – owszem.

– Dobrze. Proszę tędy, łaskawa pani.

Uśmiechnęła się jeszcze serdeczniej. Ponieważ główną osobą, która podejmowała decyzje, był teraz Skukin, musiała użyć w stosunku do niego swojego sposobu.

Zmusiła się więc do polubienia Arkadija Siergiejewicza. Okazało się, że to bardzo proste. Nie dlatego że Skukin to czaruś, ale dlatego że sam bardzo się lubił i podkreślał to każdym ruchem: patrzcie, jaki ze mnie dzielny chwyt, wszechświat kręci się wokół mnie. Choć właściwie wręcz przeciwnie – to ja wprawiam go w ruch i nim obracam. Mona wyraźnie usłyszała zimne i czyste dźwięki fletu. Pewnie za czasów Nikołaja Pałkina przy akompaniamencie takiej muzyki żołnierze „biegali pod szpicrutami”[38].

Monie udzielił się również nastrój Skukina: podniecenie, skupienie, nerwowość.

Pułkownik wezwał szefa straży.

– Gdzie Czeriepow?

– Przesłuchuje mieszkańców domu, w którym kwaterował książę Kozłowski. Pana pułkownika zastrzelono w bramie. Może ktoś widział coś przez okno – zameldował porucznik.

Tymczasem Erast i Mona naradzali się szeptem.

– Czeriepow nie b-będzie mnie słuchał.

– A więc trzeba powiedzieć wszystko Skukinowi. Nie zechce działać na ślepo. Ale jeśli mu wytłumaczyć, będzie w stanie przenosić góry – powiedziała z przekonaniem.

Mąż skinął głową.

– Arkadiju Siergiejewiczu, proszę do nas na m-momencik. Muszę panu coś powiedzieć.

Skukin słuchał, a jego wewnętrzny flet grał coraz szybszego marsza (Mona naprawdę to słyszała). Chwytał wszystko w lot, o nic nie wypytywał i niczego nie kazał sobie powtarzać.

– Z rudymi wąsami i z czubem? Wspaniale! Zaraz ich, gołąbeczków, zidentyfikujemy. Chodźmy do Czeriepowa, Eraście Pietrowiczu. Każę mu zebrać półsotnię, ale niczego nie będę tłumaczył. A panią, Jelizawieto Anatoljewno, proszę, żeby wsiadła pani do mojego samochodu i jak najszybciej przywiozła kierowniczkę sierocińca.

Pamięta imię i patronimik, mówi „proszę”. Fiu, fiu.

Teraz, gdy cel został osiągnięty, Mona od razu przestała lubić Skukina. Był jednak wstrętny. Zimny i śliski jak węgorz (Mona nie jadła węgorzy, bo przypominały węże. Fe, paskudztwo).

– Dyżurny! Zaprowadź panią Fandorin do mojego auta! I wiesz co? Na wszelki wypadek jedź z nią. Przywieź tu damę, którą wskaże Jelizawieta Anatoljewna... Tak. Gdzie Czeriepow?

– Na drugim piętrze, panie pułkowniku. Jest tam pokój przesłuchań.

Skukin i Fandorin ruszyli ku schodom, a Mona z porucznikiem ku wyjściu, ale gdzieś na górze rozległ się głośny krzyk. Coś huknęło, po czym znowu zrobiło się cicho.

Mona oczywiście stanęła.

– O co chodzi? – zawołał Skukin, zadzierając głowę.

Po stopniach zbiegł oficer.

– Aresztant zaatakował podpułkownika Czeriepowa!

Wszyscy rzucili się na górę, na drugie piętro. Mona rzecz jasna też. Kim jest aresztant? Czy to przypadkiem nie Romanow?

Korytarzem drugiego piętra zmierzał ku nim mężczyzna ze straszną, kościstą, nieruchomą twarzą i z czarną przepaską na oku. Błyskał jedynym okiem i rozcierał olbrzymią pięść. Rękawy zawinięte po łokcie, łąpska owłosione, żylaste – jak okrętowe liny.

– Zawiniłem, panie pułkowniku – powiedział zmieszany do Skukina. – Przesłuchiwałem lokatora domu Kozłowskiego. Niejakiego Salnikowa, księgowego z banku. Trochę go przycisnąłem. Jak zwykle. „Przyznaj się, sukinsynu, bo wszystko wiemy”. Zawsze tak mówię. A on jak nie wrzaśnie, jak nie skoczy... No to go trzasnąłem pięścią. Nie obliczyłem siły, trafiłem w skroń... Nie oddycha...

Skukin skrzywił się, odsunął jednookiego, zajrzał przez otwarte drzwi. Mona jęknęła na widok nienaturalnie wykręconych nóg na podłodze.

– Przynajmniej wiemy, kto nasłał zabójcę – zagrzmiał Czeriepow. – Inaczej po co miałyby się na mnie rzucać?

– Zabił pan tego, który mógł naprowadzić pana na t-trop? – zapytał Fandorin z niedowierzaniem.

– Przecież mówię – nie obliczyłem siły. Zaskoczył mnie.

– A dlaczego ma pan z-zawinięte rękawy? Zdążył je pan zawinąć, gdy Salnikow pana atakował?

Czeriepow posłał Erastowi wściekłe spojrzenie.

– Zawinałem je, żeby nie poplamić krwią. Nie cackam się z zatrzymanymi. Zamiast mówić „dzień dobry”, walę na odlew i z miejsca robią się mili. Później nie kręcą, tylko odpowiadają. Salnikowa też stuknąłem dla rozgrzewki, leciuchno. A on rzucił się do bitki. Widocznie uznał, że skoro od razu dostaje baty, to znaczy, że został zdemaskowany.

– Bił pan świadków? Wszystkich lokatorów jak leci? – Erast patrzył na oficera ze wzgardliwym zdumieniem. – Żeby zrobili

się „mili”? Kobiety też?

– Babie wystarczy wlepić policzek – wybąkał Czeriepow, oglądając się na Skukina, jakby w poszukiwaniu pomocy. Podpułkownik chyba nie bardzo wiedział, kim jest ten natrętny siwy jegomość i dlaczego zachowuje się tak władczo. A nuż to jakiś naczelnik?

Pułkownik powiedział z naciskiem:

– Nie uwzględnia pan obecnych realiów, Eraście Pietrowiczu. Owszem, podpułkownik jest brutalny. A nawet okrutny. Ale jestem przekonany, że w dzisiejszych czasach naczelnik Wydziału Specjalnego powinien być właśnie taki. Ma budzić strach. Musimy działać jak Tatarzy i Mongołowie, którzy celowo stosowali przemoc, uznając ją za najbardziej skuteczną broń propagandy. Słuchy o strasznych karach, które czekają tych, którzy ośmielą się sprzeciwić, krążyły po całej krainie i miasta same poddawały się Czyngis-chanowi. Paraliżujący lęk: oto co zapewni nam zwycięstwo. A gdy zwyciężymy, zaciśniemy w żelaznej pięści ten nieodpowiedzialny kraj, a potem długo, długo nie rozluźnimy chwytu. Póki gamoniowaci mieszkańcy nie pójną po rozum do głowy. Nasi krasomówcy lubią rozprawiać o białej prawdzie. To bzdury. Prawdziwa prawda jest innego koloru.

– Niby j-jakiego?

Mona zauważyła, że Erast jest naprawdę ciekaw, i od razu sobie przypomniała, że z podobnym zainteresowaniem wypytywał zielonoszkolskiego „dyrektora”.

– Brązowego. Koloru gówna. *Pardon, madame.* – Skukin mówił spokojnie i z przekonaniem, widocznie wykładając to, co sobie dawno przemyślał. – Brzydko pachnie i mówiąc delikatnie, jest nieapetyczna, za to uczciwa. Zgodnie z nią każde państwo, a nasze w szczególności, opiera się na strachu i przemocy. Ludzie dzielą się na tych, co podejmują decyzje, i tych, co je wykonują, nawet wbrew swojej woli. Dlatego że boją się nie posłuchać. Ruś

zaczęła się chwiać i walić, gdy w dziewięćset piątym roku słaby i niemądry car pozwolił na zabawę w wolność. Wszyscy, którym pisane jest milczeć, od razu się rozgadali. Stado, które miało się zbierać tylko na rozkaz, natychmiast zamieniło się w watahę. Komu to przyniosło pożytek? Nikomu. W Rosji, którą wzniesiemy od nowa na tym pogorzelsku, wszystko będzie inne.

– Jakie? – krótko zapytał Fandorin.

– Mocne i trwałe, a dla stada straszne. Najpierw powywieszamy na placach i skrzyżowaniach czerwonych, malinowych i bladoróżowych. Będą wisiele, aż zgniją. Jak strzelcy za czasów Piotra Wielkiego. Wszystkich niepokornych wyślemy do specjalnych obozów, gdzie albo zdechną, albo zmienią obyczaje. Będziemy mieć silną, wszechobecną tajną policję, sama jej nazwa będzie przyprawiać o drżenie. Na szefów tej służby potrzebujemy takich ludzi jak Czeriepow. A nie jak zabity Kozłowski.

Podpułkownik, który przez cały czas słuchał słów Skukina z wyraźną aprobatą, dwukrotnie kiwnął energicznie głową.

– Niezły ten wasz naczelnik t-tajnej policji. Ledwie pojawiła się nić, osobiście ją zerwał.

– Zerwał, a teraz odtworzy. Dzięki Jelizawiecie Anatoljewnie pojawiła się szansa, że dopadniemy podziemie z drugiej strony. I wie pan co? Może obejdzie się bez kierowniczkę, załatwimy to prościej. – Skukin odwrócił się do Czeriepowa. – Pamięta pan, kogo postawił na straży przy drzwiach auli sierocińca przed przyjazdem głównodowodzącego?

Czeriepow zmarszczył czoło.

– Dwóch, co się nawinęli... Proszę wybaczyć, nie potrafię sobie przypomnieć. Eskortująca półsotnia została sformowana niedawno. Znam wszystkie nazwiska, ale twarzą jeszcze nie rozpoznaję. A czemu?

Skukin westchnął.

– Czyli że nie obejdzie się jednak bez identyfikacji. Proszę

jechać po kierowniczkę sierocińca, Jelizawieto Anatoljewno. A pan, Czeriepow, niech zbierze półsotnię na wewnętrznym dziedzińcu. Całą bez wyjątku. Jeden z tamtych wartowników, a może nawet obaj podłożyli bombę w auli. Dyrektorka pokaże nam tych łajdaków, a potem postanowimy, czy aresztujemy ich od razu, czy zarządzymy obserwację.

– Czy to czasem nie Filimonow i Tiesluk? – Czeriepow się zawahał. – Bo wczorajszego wieczoru dwaj Kozacy znikli z koszar. Myślałem, że to samowolne oddalenie się, że zabalowali w stancy...

– Jeden rudy, a drugi z czarnym czubem? – szybko zapytała Mona.

– Chyba tak... Zaraz, zaraz... Przecież to właśnie ich postawiłem, żeby pilnowali auli! Na pewno!

Skukin zaklął szpetnie, tym razem zapominając przeprosić damę.

– P-pójdziemy już z Jelizawietą Andriejewną – beznamiętnie oznajmił Erast. – Nie mamy tu nic więcej do roboty. Sami róbcie porządek ze swoją „tajną policją”. Jeszcze tylko jedna sprawa... Czeriepow, dowiedział się pan, gdzie kapitan Romanow spędził noc?

– Mówi, że u kochanki. Ale nie podaje nazwiska, powołuje się na oficerski honor. Nie ufam mu, panie pułkowniku. Przecież służył u czerwonych.

– Podobnie jak ja – surowo przypomniał Skukin. – W dodatku razem z Romanowem. To odważny, rzutki oficer. I w odróżnieniu od pana doświadczony agent. Niech pan uwolni kapitana. Będzie pana zastępcą.

– Tak jest.

– Nie udało nam się aresztować wrogich agentów, ale przynajmniej zostali namierzeni i wiemy, kogo szukać. Dzięki łaskawej pani. – Skukin przyłożył rękę do daszka, Mona zaś ceremonialnie pochyliła głowę. – A teraz, jeśli państwo pozwolą,

opracujemy z Czeriepowem plan poszukiwania przestępców.

*

– O czym myślisz? – zapytała Mona markotnego męża, gdy wyszli na ulicę.

– Jeżeli Biała Armia zacznie walczyć, używając tataro-mongolskiej metody Skukina, to zwycięży. Ale w czym brązowa Rosja jest lepsza od czerwonej? Jest chyba gorsza...

Niech sobie będzie nawet buro-malinowa, byleby tylko nas w niej nie było, pomyślała Mona. Trzeba uciekać jak najdalej z tego wychodka pełnego gównianej prawdy, hen, hen daleko.

I nagle się uśmiechnęła, bo doznała olśnienia, które nosiło ładną japońską nazwę *satori*.

Trzeba jechać nie do Ameryki czy do Japonii. To za blisko. Do Nowej Zelandii, oto gdzie! Mona czytała o tej dalekiej błogosławionej krainie w „Niwie”, jeszcze przed rewolucją. To prawdziwe baśniowe królestwo. Przez okrągły rok jest tam maj, nie ma ani drapieżnych zwierząt, ani gadów, ani krwiożerczych owadów, są jedynie zielone pola z białymi owieczkami, przejrzyste jeziora, błękitne góry, a ludzie cisi, spokojni i życzliwi.

– Byłeś kiedyś w Nowej Zelandii?

– Owszem – odparł niezrównany mąż, który zjeździł cały świat, i zamrugnął niebieskimi oczami. – D-dlaczego pytasz?

– Jak tam się żyje? Podobno klimat jest najlepszy na ziemi?

– W Nowej Zelandii jest bardzo nudno. Nigdy nic się nie dzieje. Co ci chodzi po głowie?

Nudno – to akurat to, czego trzeba. Bo przygód Mona miała już po dziurki w nosie.

– To prawda, że przez cały rok jest tam tak jak podczas sezonu jesiennego w Jałcie? – zapytała niewinnie, bo rozmowa o Nowej

Zelandii wymagała przygotowania gruntu.

– Chyba t-tak. Do czego zmierzasz?

– Do tego, że może byśmy przenieśli się do Jałty? Przyjemniej tam i zdrowiej niż tutaj. Przecież widzisz, że czuję się wspaniale. Skoro ustaliliśmy, kto podłożył bombę w sierocińcu, to znaczy, że spełniłeś obietnicę daną Gaj--Gajewskiemu?

– Wygląda na to, że tak... – odparł mąż.

Mona usłyszała nutę żalu w jego głosie, więc ostatecznie postanowiła: do Jałty, i to jak najprędzej. Ciche miasto na tyłach, żadnych pokus.

– Doskonale. Zaczekamy, aż wróci Masa, i pojedziemy.

38 Chodzi o Mikołaja I Romanowa, który krwawo stłumił powstanie dekabrystów (przyp. tłum.).

W Port Artur

Masahiro Shibata spędził te dwa październikowe dni przyjemnie i beztrosko, jak biała czapla z klasycznego wiersza.

O, nad górami
Jesiennego Hakone
Nadobna czapla!

A potem niebo przecięła błyskawica, wskutek czego świat zrobił się straszny, lecz jeszcze piękniejszy.

Ale po kolei, po kolei, w ślad za pędzlem.

*

Zanim Masa udał się na samotne polowanie, pani zapytała go, od czego chce zacząć.

– Zaczekam na *satori* – odparł. – Na nic innego nie liczę.

Ale tylko się popisował, żeby później zrobić większe wrażenie. Tak naprawdę doskonale wiedział, od czego zacznie. Od tego, na czym skończyli z panem w sierpniu.

Wtedy, prowadząc dochodzenie w sprawie bestialskiego zamachu na ulicy, szybko ustalili, że zabójcom pomagali chińscy handlarze, którzy targowali, czym się dało. To oni, wiecznie okupując skrzyżowania, z ust do ust przekazali sygnał, że automobil resortu skarbu zbliża się do miejsca napadu.

Chińczyków w Charkowie było dużo. Napłynęli podczas wojny

światowej, gdy ewakuowano fabryki zbrojeniowe z Polski i potrzebowano tam rąk do pracy – swoi mężczyźni poszli przecież do wojska. Na peryferiach miasta powstała cała dzielnica, której mieszkańcy, dwa albo trzy tysiące osób, mówili śpiewnym, niezrozumiałym dla normalnego człowieka językiem.

Po rewolucji, gdy fabryki wznowiły działalność, wielu Azjatów wyjechało, wielu jednak zostało. Czekał Zajenko miał w komendanturze cały pluton Chińczyków, który w imię Trzeciej Międzynarodówki bezlitośnie tępił wrogów władzy radzieckiej. Stamtąd pewnie pochodzili handlarze pomagający dywersantom.

Agenci pułkownika Kozłowskiego nie wierzyli, że ich wytropią; wszyscy Chińczycy wyglądali w oczach Rosjan tak samo, zresztą obcy nie mieli szans, żeby przedostać się do tego środowiska.

– Co innego ty – powiedział Fandorin.

– Nie spodziewałem się tego po panu. – Na początku Masa się obraził. – Tylko niewykształceni *akahige* mogą pomylić Japończyka z Chińczykiem. Dla Chińczyków jesteśmy tak samo obcy jak biali.

Ale pan odparł cytatem z *kōanu*:

– Myśląca głowa jest podobna do główki kapusty.

Masa zaczął myśleć i oczywiście wymyślił. Liście powierzchniowych wywodów skrywały głąb trafnego rozwiązania.

Robota udała się wyśmienicie, aż miło sobie przypomnieć. Masa od dawna tak dobrze się nie bawił.

Podał się za Chińczyka, którego wywieziono w dzieciństwie do Jokohamy, gdzie prawie zapomniał ojczystego języka. Prawie, bo w swojej bandyckiej młodości nauczył się dogadywać z szanghajskimi przemytnikami w ich południowym dialekcie, a wiele lat później, podczas dochodzenia w głośnej sprawie syjamskich bliźniąt, przez trzy miesiące był wykidajką w Chinatown w San Francisco i jako tako wyuczył się północnego narzecza zwanego mandaryńskim. To łatwy język, nie to co

rosyjski.

„Chińczyk z Jokohamy” szybko się zżył z żółtoskórymi mieszkańcami Charkowa, znalazł wśród nich tego, który był powiązany z czerwoną siatką, po czym z łatwością namierzył zamachowców. Owi źli ludzie gorzko zapłacili za swoją nikczemność, ale pan nie kazał ruszać Chińczyka, ponieważ tamten nie przelał krwi. Właśnie do owego Chianga udał się teraz Japończyk. Był to podły człowieczek, *xiaoren*, jak mówią Chińczycy, ale w Podniebnym Świecie zwanym *Tianxia*, podobnie jak w Kraju Wschodzącego Słońca, dług wdzięczności jest rzeczą świętą.

Nazajutrz Masa odszukał Chianga, który zmienił mieszkanie, ale – dzięki niech będą przodkom – pozostał w Charkowie.

Stary znajomy bardzo się zdziwił na widok niespodziewanego gościa.

– Ma Sia? Gdzie się podziewałeś? Jak mnie znalazłeś?

Masa sam wybrał sobie chińskie ideogramy, które czyta się podobnie jak jego prawdziwe imię: 馬廈.

– Jak to gdzie się podziewałem? – zdziwił się, udając, że nie dosłyszał drugiego pytania. – Ostrzegłem cię, żebyś ratował skórę, sam też się ukryłem. A teraz przysługa za przysługę. Pamiętaj, jak mówiłeś, że poznasz mnie ze swoim *lâodà*. Teraz chcę. Poznaj. Będę razem z wami!

Chiang nie grzeszył rozumem, więc nie trzeba się było wysilać. *Lâodà* oznacza kierownika, przywódcę. Pewnie Masa wyraził się niezręcznie po chińsku, coś w stylu „twoja ostrzec uciec i moja też się ukryć”, ale Chiang zrozumiał.

– Dlaczego wtedy nie chciałeś, a teraz chcesz? – zapytał po namyśle.

– My, Chińczycy, jesteśmy dla białych półludźmi. Nazywają mnie skośnookim! – (To słowo Masa wymówił po rosyjsku). – Teraz popieram Międzynarodówkę. Czerwonych. Proletariuszy wszystkich krajów. Zaprowadź mnie do *lâodà*. Sam mu wszystko

powiem.

– Kiedyś było można, a teraz nie. To się nazywa „kospilacja”. Nie wolno przyprowadzać obcych. Porozmawiam o tobie z *lâodà*.

– A on odmówi albo zacznie mnie bez końca sprawdzać? To byłoby słuszne, gdybyś mnie nie znał. Ale mnie znasz. Zostałem już sprawdzony. Prowadź mnie prosto do *lâodà*!

– Nie mogę. Mamy surowe zasady. Obcych nie wolno.

– Ech, ty... – Masa wykonał gest, którym szanghajscy przemytnicy wyrażali pogardę: pokiwał małym palcem. – Gdy ratowałem ci życie, nie byłem obcy. No cóż, w takim razie idę, a ty się wstydz przez dziesięć tysięcy lat.

Odrzucić prośbę tego, któremu się coś zawdzięcza, to znaczy stracić twarz. Żaden względnie przyzwoity Chińczyk tak nie postąpi. Chiang też nie mógł.

– Dobrze – odrzekł z westchnieniem. – Jutro *xīng qī sǎn*. Pójdziemy razem.

– Co jest jutro? – Masa nie od razu zrozumiał. – Aha, środa.

– W środy *lâodà* każe nam się stawiać. Rozdaje tygodniową zapłatę i zadania.

– Płacą wam? – zainteresował się Masa.

Chiang wyprężył się z dumą.

– Bywają też nagrody. W ubiegłym tygodniu dostałem nową kurtkę, bo dobrze policzyłem samochody z białymi żołnierzami na drodze. Ale uważaj, *lâodà* nie lubi żartów. Bardzo ryzykuję, że przyprowadzę cię bez pozwolenia. To wielka przysługa z mojej strony, bardzo wielka. Jak *lâodà* się rozgniewa, będzie nieszczęście.

– Wszystko mu wytłumaczę – obiecał Masa. – Jestem bardzo przydatny. On od razu to zrozumie i pewnie cię jeszcze nagrodzi.

– Nie on, tylko ona. – Chiang parsknął śmiechem.

– Wasz *lâodà* jest kobietą?

– Tak, ale nie zwyczajną. Nazywa się Shū-Shā-tonghzi. – Napisał na kartce imię Shū-Shā: 舒莎. – Shū-Shā-tonghzi była

ochroniarzem w Pekinie, w Zakazanym Mieście, pilnowała jej cesarskiej wysokości. A teraz strzeże samego Zaje-tonghzi! Słyszałeś o nim?

– A kto nie słyszał? – z szacunkiem odparł Masa, domyślając się, że chodzi o Zajenkę. – Zabierz mnie do Shū-Shā-tonghzi. I będziemy kwita.

*

W środę wieczorem udali się do Port Artur, tak w mieście nazywano skupisko drewnianych baraków, w których mieszkali robotnicy z zamkniętej fabryki nabojów. Uboga dzielnica cieszyła się niedobrą sławą, miejscowi ją omijali. Zapach smażonego czosnku i pranej bielizny mieszał się z wonią gnijących resztek, skądś dolatywał też słodki aromat opium – jeden Budda wie, gdzie Chińczycy je zdobywali w tych biednych czasach.

Z każdym krokiem Chiang coraz bardziej się denerwował, parę razy próbował zniechęcić towarzysza do pomysłu, a przed samymi drzwiami stanął jak wryty, ale Masa chwycił go za kołnierz i siłą wepchnął do środka.

Przy stole, pod wiszącą lampą naftową siedziało z dziesięć osób. U szczytu, na krześle z wysokim oparciem – kobieta, w którą Japończyk od razu wbił wzrok.

Twarz jak u mniszki – beznamiętna. Wiek nieokreślony. Włosy krótko ostrzyżone. Oczy bez wyrazu. W ręce długachna bambusowa lufka z tłącym się papierosem. Czarna kurtka ze stojącym kołnierzem.

Próbując odgadnąć charakter tej czy innej kobiety, Masa zawsze wyobrażał ją sobie w chwili namiętności i zastanawiał się, czy będzie czuła i uległa jak sarna, wymagająca i chwytna jak ośmiornica, czy może hojna jak soczysty arbuz. Ale Shū-Shy w ogóle nie potrafił sobie wyobrazić w męskich objęciach, co

było bardzo złym znakiem. Ogarnął go niepokój.

Pokłonił się i powitał zacne towarzystwo:

– *Dà jiā hāo!*

Wszyscy spoglądali na nieznanego mężczyznę, ale nikt nawet nie skinął głową. Na twarzach (po trosze młodych, po trosze nie bardzo, ale ani jednej starej) malował się ten sam wyraz, który nie spodobał się Masie – tak patrzy się na natrętną muchę, zanim się ją pacnie.

Chiang przemówił drżącym głosem – tak szybko, że Masa połowy nie zrozumiał, tylko ogólny sens. To ten Ma Sia, który uratował go w sierpniu przed białym kontrwywiadem, towarzysza Shū-Shā na pewno pamięta. Ma Sia jest rodem z Szanghaju, ale od dzieciństwa mieszkał w Japonii. Bardzo prosił, żeby go tutaj przyprowadzić. Chce do nas dołączyć...

Zmieszał się, umilkł. Masa jeszcze raz się pokłonił, składając ręce przed sobą jak Chińczyk.

Twarze obróciły się ku przywódczyni – co powie?

Wytresowani jak małpy w cyrku, pomyślał Masa. Nadal obserwował tylko Shū-Shę, reszta, wiadomo, nie miała znaczenia.

Kobieta wyjęła papierosa z lufki, ostrożnie umieściła w popielniczce.

Cicho, bardzo cicho (wszyscy wyciągnęli szyje, żeby usłyszeć) powiedziała:

– Towarzyszu Chiang, czy nie mówiłam, żeby nie przyprowadzać obcych?

– On nie jest obcy, przecież tłumaczyłem... Uratował mnie! Jest po stronie Międzynarodówki, chce walczyć razem z nami przeciwko białym diabłom!

– To ja decyduję, kto jest obcy, a kto nie. Rozkaz to rozkaz. Wiesz, jaka cię czeka kara za złamanie rozkazu?

Shū-Shā wyjęła coś z malutkiego pudełka, włożyła do ust. Pewnie cynamonową albo miętową pastylkę. Chińczycy je lubią.

– Więc jaka cię czeka kara za złamanie mojego rozkazu? – powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

Chiang zadrżał.

– Wysłuchaj mnie, szanowna towarzyszeko Shū-Shā – powiedział Masa. – Wtedy zobaczysz, że nie jestem obcy.

Kobieta podniosła pustą lufkę do ust, rozległ się cichy świst i Chiang złapał się za gardło, oczy wyszły mu z orbit. Siedzący przy stole skulili się.

Chiang rzeźił przez chwilę, po czym zwiesił ręce. Oczy zrobiły mu się szklane. Nienaturalnie wyprostowany runął z hukiem na podłogę. W szyi, na wysokości grdyki tkwiła szpilka.

To dlatego lufka jest tak długa, domyślił się Masa. Japońscy *ninja* też mają podobną broń – rurkę, z której strzelają zatrutymi kolcami. Nazywa się *fukiya*. To żadna nowość. Ale cóż za zdumiewająca celność! Trafić z takiej odległości idealnie w tętnicę! Masa by tak nie potrafił. Musiałby potrenować.

Znowu, jeszcze uważniej przyjrzał się Chince, zauważył niesłychaną oszczędność ruchów, a raczej zupełny ich brak. Zabiwszy człowieka nieznacznym wyduchem warg, Shū-Shā zastygła. W palcach lewej ręki coś połyskiwało. Jeszcze jedna szpilka.

Masa odchrząknął. Nagle zaczęło go drapać w gardle, i to akurat w okolicy grdyki.

Podobno ochroniarze cesarzy odznaczeni się najwyższym kunsztem w swoim rzemiośle. Ów kunszt nosił nazwę „żywy kamień”, bo póki nie ma niebezpieczeństwa, kamień jest martwy, nie zwraca uwagi, niczym nie zdradza swej obecności. Ale w razie najmniejszego zagrożenia strzeżonej osoby kamień ożywa.

Nie spuszczać oczu ze szpilki, Masa gotów był kręcić się jak fryga i podskakiwać.

Usta kobiety poruszyły się, reszta pozostała tak samo kamienna.

– Teraz porozmawiam z tobą, obcy człowieku. Wyglądasz staro i nie jesteś prawdziwym Chińczykiem, nawet nie umiesz się kłaniać. Nikt prócz bèndàna Chianga cię nie zna. Czemu miałbyś mi być potrzebny? Jak nie dasz dobrej odpowiedzi, ruszysz do *wūshuīshì* w ślad za swoim bezużytecznym przyjacielem.

Masa nie znał słowa *wūshuīshì*, ale chyba nie oznaczało nic dobrego.

– Nie jestem stary. I jestem bardzo użyteczny. Potrafię pokonać wszystkich twoich ludzi.

Shū-Shā lekko się uśmiechnęła. Schowała szpilkę do pudełka. Już nieźle.

– Pokonaj mnie. Będę siedziała i walczyła tylko lewą ręką.

Wstała, podniosła ciężkie krzesło, jakby to było piórko. Postawiła na środku pokoju. Usiadła. Stopy owinęła wokół nóg krzesła, prawą rękę założyła za plecy.

Co za twarz, myślał Masa. Jak gęsta mgła, przez którą zupełnie nie widać duszy. W ogóle niczego nie widać.

– Jedną ręką? – Roześmiał się zdawkowo. – Chyba żartujesz?

– Jak mnie pokonasz, będziesz żył. Jak nie – umrzesz.

Siedzący przy stole zaszepotali cicho, ale z ożywieniem, uzgadniając coś między sobą. Masa domyślił się co. Chińczycy uwielbiają robić zakłady. Chyba nie znaleźli się chętni, którzy postawili na obcego.

Zaraz pokażę ci wojnę chińsko-japońską, złośliwie pomyślał Masa. Jak w dwudziestym siódmym roku ery *Meiji*, gdy wasze zastępy zamierzały rozgnieść jak komara naszą małą armię, a potem ledwie zdołały wziąć nogi za pas.

Rzucił się z miejsca do ataku, bez uprzedzenia, stosując technikę *hi-no-hyo*, „grad ognia”, w której szybkie ciosy sypią się ze wszystkich stron.

Żaden nie dosięgnął celu. Pięści bez przerwy napotykały fruującą w powietrzu dłoń i wystarczyło, że Masa na ułamek sekundy osłabił natarcie, a dłoń pacnęła go boleśnie w koniuszek

nosa. Trysnęła krew.

Rozgniewany podwoił częstotliwość uderzeń, ale jedna ręka Chinki łatwo je parowała. Spróbował walnąć z lewej kolanem – natrafił na żelazny łokieć.

Masa był tak skupiony na przeklętej, wszechobecnej, niepokonanej ręce, że nie widział niczego prócz niej. Dlatego niespodziewany atak z drugiej strony całkowicie go zaskoczył. Shū-Shā ugodziła go w prawą skroń i walka się skończyła.

Gdy Masa wychynął z czarnej otchłani, okazało się, że leży na podłodze, a pierś przygniata mu nóżka w skórzanym pantoflu. Z dołu Shū-Shā wydawała się olbrzymia, wznosiła się niemal do sufitu. Jej twarz widziana z tej perspektywy była podobna do świecącego księżycyca.

Pierwsza myśl, która przyszła do oszołomionej głowy, brzmiała: Buddo Amido, co za kobieta! Nigdy nie widziałem takiej jak ona!

– Powiedziałaś, że będziesz walczyć tylko lewą ręką – powiedział z wyrzutem. – To nieuczciwe.

– Tylko dlatego jeszcze żyjesz, że lewa ręka nie wystarczyła. Dawno nie spotkałam tak poważnego przeciwnika.

Ciemność ustąpiła i Masa zobaczył, że w pomieszczeniu nie ma nikogo prócz nich.

– Gdzie są wszyscy?

– Odesłałam ich. Chcę cię lepiej poznać. Powiedz, po co przyszedłeś? Tylko nie kłam, że chcesz walczyć o Międzynarodówkę. Jesteś za sprytny i za stary.

– Nie jestem stary!

Ile ona ma lat? Trzydzieści? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Dobrze, gdyby czterdzieści, to najlepszy wiek dla kobiety. Ale nawet jeśli więcej, to też nie szkodzi.

Popatrzył na nogę opierającą się na jego piersi. Dzięki Bogu normalna, nie zabandażowana. Zresztą inaczej Shū-Shā nie zostałaby ochroniarzem.

– Ty przecież walczysz o Międzynarodówkę. Dlaczego ja nie mogę?

– Mam swoje powody.

– Pomoc bolszewikom? Czy jakieś inne?

– Powiem. Czemu mam ukrywać? – Wciąż spoglądała na niego z góry, nieruchoma i majestatyczna. – Albo zostaniesz towarzyszem, a wtedy będziemy razem. Albo nie zostaniesz, a wtedy nikomu nic nie powiesz. Pomagam bolszewikowi Zaje, chociaż to głupi barbarzyńca, bo ma w Moskwie wpływowych...

Masa nie zrozumiał ostatniego słowa, ale się domyślił: szefów albo opiekunów.

– Bolszewicy zwyciężą w tej wojnie. A gdy sprawią, że cały kraj *Èlúosī* będzie czerwony, będą chcieli zrobić to samo z sąsiednimi krajami. To jest właśnie Międzynarodówka. Wtedy wrócę do Chin jako komisarz czerwonej Moskwy. I nadejdzie mój czas.

Wielka kobieta z wielkimi planami, pomyślał Masa. Jeszcze takiej nie spotkałem. Ciekawe, czy ma proste nogi. Pod spodniami nie widać. Niestety Chinki często mają krzywe nogi. Ale tak wielkiej kobiecie można by to wybaczyć.

Podobało mu się nawet to, że stoi nad nim i przydeptuje mu pierś.

– Jestem z tobą szczerą jak z nikim innym – powiedziała Shū-Shā. – Bo widzę, że jesteś człowiekiem poważnym i mężnym.

Mile połechtany Masa ściągnął brwi, żeby wyglądać jeszcze poważniej i mężniej.

– Ty też bądź ze mną szczerą – ciągnęła. – Umiem zadawać ból, dobrze mnie w tym wyszkolono, ale wiem, że z tobą niczego w ten sposób nie zdziałam. Jeżeli nie zechcesz powiedzieć prawdy, to nie powiesz. Pamiętaj jednak, że nie dam się oszukać. W Zakazanym Mieście nauczono nas sztuki niezbędnej w pracy ochroniarza: umiemy widzieć kłamstwo w oczach. Oczy człowieka, który ma niedobre zamiary, zawsze są kłamliwe. Patrz mi w oczy, Ma Sia, i odpowiadaj. Jeżeli zauważę choćby

cień nieprawdy, zmiążdżę ci serce.

Noga naparła mocniej i serce Masy zatrzepotało, ale nie ze strachu, tylko pod wpływem dojmującego, całkiem przyjemnego uczucia, które nie miało nazwy.

– Powiem ci prawdę. Przyszedłem tutaj, żeby znaleźć Zaje-tonghzi.

Wąskie oczy jeszcze bardziej się zwęziły, jak gdyby po obliczu księżycy prześliznął się lekki cień.

– Po co ci on?

– Nie mnie. Mojemu *lâodà*.

– Kto to taki?

– W sierpniu znalazł i ukarał ludzi, którzy latem zabili na ulicy wielu spokojnych mieszkańców. Mój pan, *qíng zī* (po chińsku znaczyło to „szlachetny mąż”), i jego cele są zawsze szlachetne. Jest wielkim detektywem i mistrzem japońskiej szkoły walki *Ninjutsu*.

– Jakiej, jakiej?

Masa podniósł nogawkę na jej nodze i namalował palcem na skórze ideogramy 忍術. Skóra była gładka i chłodna. Miał ochotę ją pocałować, ale się powstrzymał.

– A, *rěnsù*, słyszałam o niej wiele ciekawych rzeczy. Twój *lâodà* jest Chińczykiem czy Japończykiem?

– To Rosjanin.

Cienkie brwi nieznacznie drgnęły. Była to bez wątpienia oznaka najwyższego zdumienia. Masa powoli uczył się czytać z jej kamiennej twarzy.

– Nie wiedziałam, że wśród Rosjan bywają *qíng zī* i mistrzowie *rěnsù*... – Shū-Shā lekko westchnęła. – Co mam z tobą zrobić, Ma Sia? Mogę cię zabić, ale wtedy twój *lâodà* przyśle kogoś, kogo nie będę znała. Albo sam zaczniesz się mścić...

Jest bardzo mądra, pomyślał Masa. Szkoda, że ja leżę, a ona stoi. Byłoby lepiej, gdyby też się położyła.

– Właściwie nie mam ochoty cię zabijać – rzekła w zamyśleniu.

– To bardzo dziwne. Zwykle zabijam z przyjemnością.

– To dlatego że połączyła nas karma. Przysłała mnie po to, żeby twój czas samotności się skończył...

Jego chińszczyzna była chyba bardzo kulawa, ale Shū-Shā zrozumiała. Ładne brwi wygięły się jeszcze o pół suna.

– Byłam pewna, że mój czas samotności nigdy się nie skończy.

Cofnęła nogę, odwróciła się i splotła drżące ramiona na piersi. Ten niespodziewany kobiecy gest i jej bezbronne plecy sprawiły, że Masa się wzruszył, głośno zasapał.

Miękko poderwał się na nogi i z trudem się powstrzymując, żeby jej nie objąć, powiedział z przejęciem:

– A mnie karma przywiodła do ciebie, bo mój *lâodà* już mnie nie potrzebuje. Służyłem mu wiernie przez wiele lat, bo kierował się wielkim celem: karał Zło. Ale niedługo będę wolny i samotny, bez celu w życiu, bo pan odchodzi w stan spoczynku, rezygnuje z wielkiego celu. Ty zaś masz cel. Nieważne jaki. Wystarczy, że wielki. Więc jeśli chcesz, będę ci służył.

Shū-Shā szybko się odwróciła. Miała mokre oczy, więc Masie też od razu zaczęły kapać łzy.

Kwiatek śliwy na uschłej gałęzi

W pierwszej chwili Masa nawet się zawahał – tak gorąco ucieszyła się na jego widok Mona-san. Gdy rano zapukał do apartamentu, aż krzyknęła z radości. Objęła go i pocałowała.

– Od wczorajszego wieczoru myślę tylko o jednym: żeby pan jak najprędzej wrócił!

Może nie będę „tym trzecim”, nagle zwątpił Masa. Pani darzy mnie szczerą sympatią. A jeśli chodzi o wychowanie syna – nie mówiłem tego poważnie, tylko żeby zrobić jej przyjemność, ale a nuż? A nuż? I oczy znowu zaszyły łzami. Były teraz bez przerwy na podorędziu.

Jednakże w ślad za tym Mona-san powiedziała, obracając się do Fandorina:

– Wrócił! Możemy jechać do Jałty!

Masa domyślił się, że ucieszyła się nie z jego powodu, ale dlatego że jego powrót przyśpieszył jej szczęście. Domyślił się, ale wcale się nie obraził. Kobiety, zwyczajne kobiety, kierują się w życiu swoją prawdą, która zasługuje na szacunek. No cóż, to znaczy, że nocna decyzja podjęta pod wpływem chwili była słuszna. Było to *satori*, a ono się nigdy nie myli.

– Może najpierw posłuchamy, co Masa robił przez t-te trzy dni? Chyba ma co opowiadać.

Pan z niepokojem ściągnął brwi. Coś wyczuł – zbyt dobrze znał swojego wasala.

– Tak, mam dużo do opowiadania – uroczyście oznajmił Masa.

I opowiedział, co się wydarzyło. Najpierw zrelacjonował wydarzenia. Później przeszedł do uczuć.

– Nigdy nie sądziłem, że przytrafi mi się coś podobnego. Wiesz, ile miałem kobiet, panie. – I uściślił, bo był wdzięczny każdej z nich: – Pięćset sześćdziesiąt siedem, jeśli nie liczyć tamtej nazbyt bojaźliwej Brazylijki, która umarła z namiętności, zanim skończyliśmy się kochać, i tamtej przebiegłej weneckanki, która w najbardziej nieodpowiedniej chwili próbowała wbić mi sztylet w kark. Ona też umarła – wyjaśnił Monie-san, na wypadek gdyby się nie domyśliła. – W przyszłym roku skończę przecież sześćdziesiąt lat. I nagle taki cud! Jakby na dawno uschłej gałęzi rozkwitł kwiatek śliwy! Nigdy w życiu nie spotkałem podobnej kobiety. Jestem pewien, że nie ma drugiej takiej! Jest jak zielona mamba, która omal nie ukąsiła mnie dwadzieścia lat temu na rzece Kongo – tak samo śmiercionośna i piękna!

– Pokonała cię lewą ręką! Niesłychane. – Fandorin pokręcił głową. Duchowe wynurzenia nie zrobiły na nim wrażenia. Skwitował je tak: – Po prostu potrzebowałeś kobiety silniejszej od ciebie, a ty, m-mądralo, sądziłeś, że podobają ci się grubaski.

– Nie tylko lewą, jeszcze troszeczkę prawą. Zapewniam cię, panie, że ty też nie poradziłbyś sobie z ochroniarzem cesarzowej – z godnością odparł Masa na pierwszą część beznamiętnej tyrady, drugą uznał za obraźliwą, więc ją zignorował, po czym zaczął zwracać się wyłącznie do pani.

Ona słuchała jak należy – wznosiła okrzyki zachwytu, przyciskała rękę do piersi i wycierała oczy chustką.

– Długo mówiłem Shū-Shy o mojej miłości. Najpierw się rozgniewała i chciała mnie pobić, nawet grzmotnęła raz bardzo boleśnie. Ale użyłem wszystkich ładnych chińskich słów, jakie tylko znam. Powiedziałem, że będę z nią do końca dni. Że gotów jestem jej służyć i spełniać wszelkie kaprysy. Że uczynię ją najszczęśliwszą Chinką na świecie. I bez przerwy na nią patrzyłem, a wiesz, panie, jak umiem patrzeć na kobiety. Zaczęła słuchać. Później się zamyśliła. A potem zgodziła...

– Cóż za zdumiewająca historia miłosna! – Mona-san chlipnęła.

– Prawie jak nasza. Prawda, Eraście?

Pan milczał ponuro.

Zbliżała się przykra chwila. Masa zebrał siły, odwrócił się do Fandorina.

– Puścisz mnie, panie?

– Jak mogę cię zatrzymać? Sam niegdyś wszcząłeś tę hecę z „p-panem” i „wasalem”. Sam więc decyduj, kiedy powinna się skończyć. Ale widzę, że czegoś nie dopowiadasz.

Następny etap rozmowy był równie trudny. Masa zaczął ogródkami.

– Tygrysica wyrasta na tygrysię, bo jest córką tygrysa i wychowała się w stadzie tygrysów. Shū-Shā jest ochroniarzem z Zakazanego Miasta. Jej los zdecydował się w dzieciństwie, wychowywali ją pałacowi eunuchowie, biegli w sztukach walki, surowi i okrutni. Shū-Shā żyje według zasad, które mogą się wydawać okropne. Minie jeszcze dużo czasu, zanim się zmieni pod moim wpływem...

– Streszczaj się, dobrze? – poprosił pan.

– Powiedziałem, że szukam Zajenki, bo to łotr spod ciemnej gwiazdy, i jeśli jestem jej drogi, musi mi go oddać w dowód swojej miłości...

Masa się zawahał.

– A co ona na to? Odmówiła?

– Nie, zgodziła się... Ale powiedziała, że ja też muszę udowodnić swoją miłość. Jeden *lâodà* w zamian za drugiego.

– Co? – Mona-san nie zrozumiała.

– Muszę zabić swojego pana, wtedy Shū-Shā mi uwierzy – wyjaśnił jej Masa.

Mona-san krzyknęła, a Fandorin obojętnie zauważył:

– W zasadzie to logiczna kontrpropozycja. Możecie stworzyć ciekawą p-parę.

– Nie zabiję oczywiście pana – zapewnił Masa przestraszoną panią. – Tylko powiem, że go zabiłem. Wezmę to małe kłamstwo

na swoje sumienie.

– Małe? – zapytał Fandorin z urazą.

A Mona-san wybąkała:

– Ona nie uwierzy na słowo!

– Mnie uwierzy. Będę bardzo przekonujący. Tylko puść mnie, panie, bez żalu. I życz szczęścia.

Prośba została wypowiedziana z uczuciem, przez łzy, których Masa wcale się nie wstydził, jako że wiele wieków temu powiedziano:

Rosa na liściach

Kłującego pigwowca.

Łzy samuraja.

Ale pan, zamiast się wzruszyć i objąć starego druha, zapytał z roztargnieniem:

– A której cesarzowej służyła Shū-Shā – Cixi-taihō czy Longyu-taihō?

– Nie pytałem. Co za różnica? Powiedziała, że porzuciła służbę osiem lat temu.

– A więc cesarzowej Longyu, bo Cixi umarła w dziewięćset ósmym. Rozumiem.

– Co pan rozumie? Gra pan na czas, bo nie chce mnie puścić! – Masa się rozgniewał. – Nie odpowiedział pan na moje pytanie!

– Oczywiście, że idź. Ja też życzę ci szcz-częścia.

I się odwrócił – zapewne żeby ukryć zwilgotniałe oczy. Za to Mona-san objęła Masę i powiedziała łagodnie:

– Pański los nie jest mi obojętny. Bardzo chciałabym zobaczyć kobietę, która wywarła na panu tak duże wrażenie.

– Na razie nie można. Najpierw muszę ją nauczyć innych obyczajów... – Zniżył głos, bo nie chciał, żeby pan usłyszał, ale Monie-san mógł to powiedzieć. – Zostało mi za mało życia, żebym

je tracił na podbój Chin. Zresztą po co mi Chiny? Chcę być szczęśliwy w miłości, jak pani z panem. Ze mną Shū-Shā się zmieni. Może my też będziemy mieli dziecko. Ona jest przecież jeszcze młoda, ma dopiero trzydzieści trzy lata. Miłość i macierzyństwo czynią cuda. Gdy to nastąpi, wtedy was odszukamy. I znowu będziemy razem.

Mona-san załkała. On też płakał, wycierając policzki rękawem.

*

Do wyznaczonego miejsca Masa biegł jak na skrzydłach, w piersi trzepotał kolorowy motylek. To właśnie jest miłość, myślał. Oto jak wygląda. Zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałem.

Shū-Shā kazała, żeby od stacji towarowej ruszył zardzewiałymi torami nieużywanej bocznicy do budki dróżnika.

Oto i mały zniszczony domek, zamiast okna ziejąca dziura. Masa miał jeszcze z pięćdziesiąt metrów, gdy zobaczył Shū-Shę. Siedziała w kucki pod krzakiem, wydmuchując dym ze swojej długiej lufki.

Przybrawszy surowy wyraz twarzy, bo przy kobiecie należy zachowywać się powściągliwie, Masa stanął.

– Spełniłem obietnicę. A ty spełniłaś swoją?

Podniosła się. Kąciki ust ledwie zauważalnie drgnęły. Shū-Shā się uśmiechała!

– Zaprowadzę cię do Zaje-tonghzi i rób z nim, co chcesz. Ale najpierw muszę się przekonać.

– W przyszłości, gdy lepiej mnie poznasz, nauczysz się wierzyć mi na słowo – surowo powiedział Masa. – Masz, zobacz. – Zdjął z pleców worek, rozwiązał tasiemkę. – To głowa mojego *lâodà*. Bardzo go kochałem, ale ciebie Kocham jeszcze bardziej.

Shū-Shā zajrzała.

– Prawdziwy *qíng zī*. Urodziwy nawet w chwili śmierci.

Rozciągnęła wargi jeszcze szerzej – to chyba był już perlisty śmiech – i pacnęła Masę otwartą dłonią po głowie, niby niezbyt mocno, on jednak runął na wznak. W uszach mu szumiało, przed oczami wirowały tęczowe kręgi.

– A z ciebie prawdziwy *bèndàn*. Bardzo mnie ubawiłeś swoją chińszczyzną i głupotą. Żegnaj.

Rzuciła papierosa, wsunęła szpilkę do ust, podniosła lufkę.

Masa mógłby się przetoczyć w bok, bo uderzenie wprawdzie zważyło go z nóg, ale nie ogłuszyło. Nie miał jednak ochoty. Po co mu życie, które tak się z nim obchodzi?

– Suka – powiedział do Shū-Shy po rosyjsku.

Nie miał bowiem czasu, żeby ułożyć przedśmiertne *hokku*.

Dmuchawka nie wydała świstu, tylko przeraźliwie huknęła. Na czole Chinki, idealnie pośrodku, pojawiło się czarne kółko, głowa gwałtownie się odchyliła, ciało zważyło się na trawę.

Masa usiadł zdumiony.

Torami szedł pan z dymiącym rewolwerem w ręce.

– Zupełnie się rozkleiłeś – powiedział z wyrzutem. – Nawet nie zauważyłeś, że za tobą idę. Wstyd.

Ale Masa w ogóle się nie ucieszył. Zakrył twarz rękami, zaniósł się szlochem.

– Ona mnie nie kochała, pomyliłem się... Ale ja... ją pokochałem. Sądziłem, że będziemy razem. Jak pan z panią... Sądziłem, że my też będziemy mieli dziecko. Myślałem, że pan będzie miał dziewczynkę, ja chłopczyka, a gdy dorosną...

Nie mógł dłużej mówić. Pękało mu serce.

Pan chwycił płaczącego za kołnierz, bezceremonialnie zaciągnął do ciała.

– Jeśli chodzi o dzieci, to raczej nic by z tego nie wyszło.

– Co pan robi?! – zawołał przerażony Masa, widząc, że Fandorin ściąga zabitej spodnie.

– Popatrz sobie. To wcale nie kobieta. Twoja Shū-Shā była eunuchem.

Masa wbił wzrok w wygolone miejsce, zamrugał powiekami.

– Gdy się dowiedziałem, że twoja wybranka służyła w ochronie cesarzowej Longyu, od razu się domyśliłem. Gdyby chodziło o Cixi, to co innego. Stara cesarzowa rządziła sama, słynęła z nieznośnego usposobienia i braku szacunku dla t-tradycji. Ona mogła się otaczać kobietami ochroniarzami. Ale Longyu-taihō nie miała żadnej władzy i za nic nie ośmieliłaby się złamać praw Zakazanego Miasta. Czyżbyś nie wiedział, że niezliczone komnaty cesarzy i cesarzowych mogli ochraniać tylko eunuchowie? Powinieneś czytać więcej k-książek.

– Skoro się pan domyślił, że Shū-Shā mnie oszukuje, dlaczego nic mi pan nie powiedział? – zapytał Masa, ściskając skronie. Tęczowe kręgi nie znikły, tylko wirowały coraz prędzej. – To okrutne. Nigdy jeszcze nie czułem się tak poniżony...

– Nie uwierzyłbyś. Miłość cię zaślepiła. – Pan poklepał Masę po głowie. – Pewnie ciężko ci, biedaku, gdy widzisz mnie z Moną?

Przygarbiony, postarzały o dobre sto lat Masa z trudem się dźwignął.

– Bardzo mi wstyd, panie – powiedział smętnie. – Sądziłem, że tylko pan głupieje z miłości. Ale takim głupcem jak ja nigdy nie byłeś, panie. Wybacz mi. Wszystko zepsułem. Teraz nie znajdziemy łotra Zajenki. Shū-Shā na pewno go uprzedziła.

Fandorin pstryknął go w czoło.

– Ej, oprzytomniej! Przecież mnie znasz. Czy kiedykolwiek zerwałem nić? Czy zabiłbym ten błąd n-natury, gdyby Zajenko nie był już w naszych rękach?

– Niby jak? – zapytał Masa, co oczywiście było bardzo niegrzeczne.

– Podczas gdy wy sobie gruchaliście, uważnie się rozejrzałem. Zauważyłem odbłaski światła w oknie budki. Ktoś tam patrzył przez lornetkę. Dla kogo, t-twoim zdaniem, Shū-Shā mogła urządzić to p-przedstawienie? Zajenko przyszedł ponapawać się widokiem śmierci człowieka, który rozprawił się

z zamachowcami. Teraz towarzysz cz-czekista siedzi jak mysz pod miotłą, czeka, aż stąd odejdziemy. Ruszaj i go schwytaj. To cię podniesie na duchu.

Kręgi od razu przestały wirować.

– Już mi znacznie lepiej – rzekł Masa.

Środek na ból zębów

Los rewolucji wisiał na włosku, żelazne szczęki białych armii zaciskały się na gardle broczącej krwią Republiki, a bolszewik Romanow spoglądał przez okno i rozmyślał o miłości.

Wczoraj Nadia powiedziała: „Nie rozumiesz. Problem leży we mnie, nie w tobie. Mężczyzna zdolny jest kochać coś więcej niż tylko kogoś. Kobieta tak nie potrafi”. Aleksiej wpadł w złość. Wreszcie byli razem, sami, a Nadieżda napierała swoją piąstką na jego pierś, odsuwała twarz i bez przerwy mówiła. „Możesz jaśniej?” – zapytał. „Mogę. Jeśli zdarzy się to, czego chcesz... o czym staram się nie myśleć, bo od razu ciemnieje mi w oczach... Jeśli do tego dojdzie, przesłonisz mi cały świat. Będę mogła myśleć tylko o tobie, żyć tylko tobą. Tymczasem teraz nie możemy odwrócić się od rewolucji. Ona może upaść, gdy zabraknie kogoś z nas, nawet mnie, choć tak niewiele znaczę. Zaczekajmy na zwycięstwo. Wtedy będę bez reszty twoja”. Aleksiej wypuścił ją z objęć, skrzyżował ręce na piersi i się uśmiechnął. „Ładne słowa. W gruncie rzeczy jednak jesteś małą dziewczynką, która chce, ale się boi. Sama przyszłaś do mojego pokoju, później się przestraszyłaś, a teraz, jak przystało na inteligentkę, owijasz swój strach w błyszczący papierek”. Naprawdę był strasznie zły. Bo pragnął jej do utraty tchu. Umyślnie powiedział coś, co ją dotknęło. Nadia obruszyła się i wybiegła. A on zamiast myśleć o sprawie, gapił się teraz przez okno na deszczową ulicę i mówił sobie: Nadia ma rację. Teraz nie pora na miłość. W Rosji nigdy nie ma odpowiedniej pory na miłość.

Weźmy jego pierwszą miłość, zgoda, może sztubacką i głupią, ale wtedy tak o niej nie myślał – zniszczyła ją wojna.

Druga, zwodnicza, była chimera wojny. Sprawką diabła.

Trzecią wojna po prostu zabiła...

Przymrużył oczy, odpędził straszliwe wspomnienie martwego pola. Dawniej się nie udawało, ale teraz – niemal bez wysiłku.

Miłość do Nadii jest ostatnia. Innej już nie będzie, ten ogon jaszczurki już nie odrośnie. Czekać na zwycięstwo? Ale gdy zwyciężymy – jeśli zwyciężymy – znowu nadejdzie jakaś kolejna rosyjska dzuma czy cholera, która okaże się ważniejsza od miłości i będzie się z nią kłócić...

Potrząsnął głową. Dosyć utyskiwać, towarzyszu Romanow. Najpierw zwyciężymy, a potem się zobaczy.

Wreszcie zaczął rozważać obecną sytuację. Była, delikatnie mówiąc, gówniana. Dziewczyna powiedziała prawdę: Republika Radziecka znalazła się na skraju przepaści.

Generał Judenicz już dotarł do Carskiego Sioła, więc lada dzień spodziewano się upadku Piotrogradu, kołyski rewolucji. Armia Gaj-Gajewskiego zbliżała się do Tuły. Czerwony front chwiał się i pękał. Aleksiej wiedział, że niebawem pójdzie w rozsypkę – z Noworosyjska wyruszył eszelon z najnowszymi angielskimi czołgami, doskonale przystosowanymi do wojny manewrowej. Swoimi potężnymi działami pancerne monstra posiekają czerwoną konnicę, stalowymi gąsienicami zmiażdżą wykrwawioną robotniczą piechotę. A potem dwoma, trzema skokami dotrą bezbronnymi tyłami do Moskwy...

Najbardziej przykre było to, że Romanow nie mógł nic zrobić. Nie miał teraz dostępu do tajnych informacji. Nowy naczelnik zwolnił go wprawdzie z aresztu, ale nie dopuszczał do poważnej pracy. Przydzielił banalne zadanie: siedząc w hotelu i nie ruszając się z niego na krok, Aleksiej miał ułożyć wykaz etatów Wszechrosyjskiego Urzędu Bezpieczeństwa, w który przekształcił się Wydział Specjalny po zajęciu Moskwy. Kapitan Romanow

znajdował się właściwie w areszcie domowym, a to znaczy, że agenturalna sieć RWS była sparaliżowana.

Cała nadzieja w tym, że drugie podziemie nie siedzi z założonymi rękami. Z dwóch zaginionych Kozaków konwoju znalazł się tylko Filimonow – w rzeczce Łopani, z kulą w głowie. Drugi, Tiesluk, przepadł bez śladu. On na pewno był człowiekiem Zajenki. Mają jakąś wtykę w sztabie armii. Zajenko to odrażający szubrawiec i zabójca Ławra Kozłowskiego, ale teraz można liczyć jedynie na czekistów.

Tymczasem w mieście prowadzono masowe aresztowania. Z fabryk, warsztatów i magazynów zabierano aktywistów związkowych, zatrzymano całą redakcję jedynej liberalnej gazety „Głos Południa”, z ulic zgarniano każdego, kto wydawał się choć trochę podejrzany.

Wydział Specjalny znowu zaczęto nazywać Czarnym Domem, bo przez okna dobiegały jęki przesłuchiwanym, a na dziedzińcu rozbrzmiewały strzały. Na placu targowym brygada cieśli pośpiesznie zbijała szubienice. Skukin wcielał w życie swój plan rządzenia za pomocą strachu.

Dość już tego gnuśnienia w domowym areszcie. Trzeba nie czekając na wezwanie, udać się do biura i urządzić Czeriepowowi awanturę, po której wspólna służba stanie się niemożliwa. Kiedyś, jeszcze na samym początku, Skukin proponował, że zabierze towarzysza broni do swojego sztabu. Mówił z naciskiem: „Potrzebuję ludzi, którym mogę ufać”. Trzeba więc iść do niego i powiedzieć: „Tak i tak, Arkasza, jestem ci oddany sercem i duszą. Weź mnie pod swoje skrzydła. Będę ci służył jak Japończyk Fandorinowi”. W gorących czasach o wiele lepiej być jednak w sztabie niż w kontrwywiadzie.

Romanow poweselał, włożył szynel i kaszkiet, chwycił koalicijkę – i naprzód.

Przed Wydziałem Specjalnym, jak zawsze w ciągu ostatnich dni, panował rwetes. Po schodach wbiegali ludzie, inni wypadali na ulicę, z bramy z warkotem wyjechała ciężarówka niczym jeź nastroszona bagnetami, kawalerzysta z szaleńczą szybkością pognął w stronę centrum. Odkąd Aleksiej był tutaj ostatnio, zamieszanie przybrało na sile.

– Skąd to poruszenie, Misza? – zapytał oficera dyżurnego.

– Jeszcze nie słyszałeś? – Podporucznik miał twarz zmienioną ze wzburzenia. – Schwytano Zajenkę! Tam leży, sukinsyn. Japończyk Fandorina właśnie go przywłókł! Naczelnik jest w sztabie armii! Już go powiadomiono.

– Leży? – zapytał Romanow, obracając się. Na korytarzu zobaczył gromadę ludzi stojących do niego plecami. Wszyscy patrzyli gdzieś w dół. – Zabity?

– Zdrów jak ryba. Idź sobie popatrz – rzucił podporucznik ze śmiechem.

Aleksiej się przecisnął.

Przy ścianie na ławce siedział nieruchomo Japończyk z dłońmi opartymi na kolanach i patrzył przed siebie z ważną miną. U jego nóg leżał mężczyzna omotany sznurkiem – wyglądał, jakby był w siatce. Nawet twarz była przewiązana: spomiędzy zębów wystawał kawałek drewna z dwóch stron przytroczony sznurkiem do buta. Wściekle wybałuszone oczy błyskały białkami. Na widok Aleksieja zmrużyły się z nienawiścią. Poznał.

Jak wilk ze sceny polowania w *Wojnie i pokoju*, pomyślał Romanow.

– Jak pan tego dokonał, panie Shibata? – zapytał.

Japończyk uklonił się uprzejmie.

– To proste. On strzelał, a ja skakałem. Gdy skaczę, bardzo trudno trafić. Nie trafił. Później skończyły mu się naboje. Wtedy zdzieliłem go w ucho tą oto nogą.

Pokazał na swój but, w którym nie było sznurówki.

– A czemu ma w ustach deszczułkę?

– Żeby nie odgryzł sobie języka. To poważny *akunin*, można się po nim wszystkiego spodziewać. Gdy go już powaliłem i chwyciłem za gardło, ugryzł mnie w rękę.

Japończyk pokazał nadgarstek ze śladami zębów.

– Poważny? – zapytał Romanow, zastanawiając się gorączkowo, co robić.

Najchętniej wykończyłby bydlaka własnymi rękami, ale podziemie czekistowskie, ale sytuacja na froncie...

– Długo by tłumaczyć. – Shibata wstał. – Pan przyszedł, więc mogę odejść. Oddaję złego człowieka w pańskie ręce. Proszę z nim zrobić, co się panu żywnie podoba. Mój pan kazał powiedzieć, że na tym kończy się jego udział w wojnie między białymi a czerwonymi. Spełnił obietnicę, którą złożył panu i pańskim przełożonym. Sznurek zostawiam.

Japończyk uklonił się sztywno. Rozstąpiono się przed nim. Wyszedł.

– Wyjąć knebel – polecił Romanow. – Nie, ja sam...

Nachyliwszy się nad leżącym, szepnął:

– Spokojnie. Coś wymyślę.

Ten zaś, gdy tylko mógł mówić, wysyczał:

– Postanowiłeś wyrównać rachunki, Judaszu? Zabiorę cię ze sobą na tamten świat...

– Przejście, przejście! – rozległ się donośny głos.

Przybył Czeriepow. Wokół natychmiast zrobiło się pusto – podwładni bali się podpułkownika.

– I co, sokołe Dzierżyńskiego, przyleciałeś do rodzinnego gniazda? – Czeriepow uśmiechnął się złowrogo. – Dawniej ty tutaj rządziłeś, teraz role się odwróciły.

– Tak, jestem sokołem Dzierżyńskiego – odparł Zajenko. – A twój kapitan krukiem Trockiego. – Machnął głową w kierunku Aleksieja.

– Stawiasz się, draniu. – Czeriepow nachylił się i wymierzył szybkie, potężne uderzenie pięścią w twarz. Jeniec umilkł. –

Zabrać go do sali operacyjnej. Zaraz inaczej zaśpiewa. Przygotuj go, Kałmykow.

Aresztowanego chwycono za ręce i nogi, powleczono schodami w górę. Z przodu szedł feldfebel Kałmykow, ordynans naczelnika.

– Co to za sala operacyjna? – zapytał Romanow.

Sprawa wygląda kiepsko, myślał. Zajenko się ocknie i znowu zacznie gadać o Trockim. W końcu Czeriepow nadstawi ucha.

Uradowany naczelnik nawet nie pamiętał, że zabronił zastępcy opuszczać hotel.

– Podczas gdy pan, kapitanie, przygotowywał elaborat, to i owo się u nas pozmieniało. Chyba pan pamięta, że Kozłowski miał kartotekę na drugim piętrze? Urządziłem tam nowy pokój przesłuchań. Żeby pracować wydajnie. Zaraz tam pójdziemy i sam pan zobaczy. Tylko zatelefonuję do pułkownika Skukina. Niech zawiadomi dowódcę, że naprawdę złapaliśmy Zajenkę.

Już „złapaliśmy”, a niedługo będzie „złapałem”, mimochodem pomyślał Aleksiej, ale ambicja Czeriepowa teraz najmniej go zajmowała.

Dawna kartoteka była nie do poznania. Półki ze skrzynkami znikły. Pośrodku pustego pomieszczenia na dużym warsztacie stolarskim leżał rozciągnięty w kształcie litery X czekista, zupełnie nagi. Nadgarstki i kostki u nóg miał przymocowane rzemieniami, usta zaklejone plastrem, oczy gorączkowo biegały. Obok stał Kałmykow w skórzanym fartuchu, rozkładał na stoliku narzędzia stolarskie.

Podpułkownik Czeriepow, nucąc pod nosem, też włożył fartuch i zarekawki. Nie śpieszył się, umyślnie nie zwracał uwagi na jeńca. Podszedł do szafki, na której stał elegancki gramofon połyskujący lakierowaną tubą. Zaczął wybierać płytę.

– Lubię pracować w komfortowych warunkach – wyjaśnił Aleksiejowi.

– Dlaczego on jest nagi?

– Zawsze obnażam pacjentów. Niech pan zapamięta zasadę pierwszą: przesłuchiwany musi się czuć jak kawałek mięsa. To uwalnia od pretensji i skłania do szczerości.

– A po co plaster? Przecież nie będzie mógł odpowiadać!

– Na wstępnym etapie to niepotrzebne. Człowiek zaczyna kłamać i kręcić, ma nadzieję, że się jakoś wywinie. Albo dumnie milczy, nie chce mówić. Najpierw zwierzę należy właściwie przygotować. Niech poryczy. Później samo będzie błagało: przestańcie, powiem wszystko! Ale nie przestaniemy od razu. Zasada druga: możliwość złożenia szczerych zeznań powinna być dla przesłuchiwanego nagrodą, na którą musi zapracować. Tego rodzaju taktyka pozwala zaoszczędzić sporo czasu.

Podpułkownik Czeriepow włączył modny romans *Skończyło się szczęście*.

– Muzyka jest tłem. Bo zaraz zaczną się wrzaski i ryki. Na początek lekka rozgrzewka...

Wtórując płycie: „Skończyło się szczęście, wszystko było sneem, serce me boleeeje, serce smuci sięęę”, wziął papier ścierny, z chrzęstem przesunął po goleni leżącego. Od razu zaczęła się z niej sączyć krew.

– Mmmmmmm!!!

Na ustach Zajenki wydął się plaster.

Czeriepow się roześmiał.

– Proszę, jak wyśpiewuje drugim głosem! – Poklepał aresztowanego po brzuchu. – Najpierw nakreślę ci temat przyszłej rozmowy. Powiesz, kto wchodzi w skład twojej bandy, aż do ostatniego ludzika. I gdzie każdego z nich zastać. Później przejdziesz do rzeczy najistotniejszej: kto jest waszym szpiegiem w sztabie armii. Ale nigdzie się nie śpieszymy. Program jest długi. Nawet nie przejechałem się jeszcze po tobie pilnikiem.

Aresztowany znowu ryknął.

– Co? – Czeriepow udał zdziwienie. – Już chcesz rozmawiać? A co z pilnikiem? Rozczarowujesz mnie. No dobrze, niech ci

będzie...

Oderwał plaster z jednego końca. Zajenko rzucił krótkie, soczyste przekleństwo.

– Mądrala. – Podpułkownik kiwnął głową z uznaniem, umieszczając plaster na poprzednim miejscu. – Tak jest ciekawiej. Chyba darujemy sobie etap z pilnikiem. Kałmykow, dawaj od razu obcęgi.

Palce Romanowa spoczęły na kaburze.

Pierwsza kula w Czeriepowa, myślał. Druga w Kałmykowa. Trzecią trzeba wykończyć Zajenkę. Nie da się go wprawdzie uratować, ale przynajmniej uniknie tortur. Później, podczas bieganiny i zamieszania można spróbować uciec...

I pozwolisz się zdemaskować? Zostawisz Republikę w tym przełomowym czasie w ogóle bez agentury? Tylko dlatego, żeś taki wrażliwy? – zapytał surowy głos. Aleksiej nie potrafił odpowiedzieć. Palce zaczęły mu drżeć, na czoło wystąpił pot.

Czeriepow i feldfelbel nachylili się nad przesłuchiwanym, czymś tam szcękali. Zajenko zaczął się wyginać i szarpać. Kabura rozpięła się właściwie sama...

Stuknęły drzwi.

– A więc to jest ten słynny czerwony Rocambole! – wesoło zawołał przystojny, fircykowaty kapitan z akselbantami. – Charitosza, ja do ciebie od dowódcy.

Adiutant Gaj-Gajewskiego, domyślił się Aleksiej. Jakieś „kolczaste” nazwisko. Makolcew. Ciekawe, że zwraca się do Czeriepowa familiarnie, na ty.

– Pasza! – Naczelnik ucieszył się na widok gościa. – Arkadij Siergiejewicz już zameldował jego ekscelencji?

Makolcew puścił oko.

– Władimir Zenonowicz kazał natychmiast cię przywieźć. Szykuj pierś na medale, a gardło na koniak.

– Chciałem wypatroszyć klienta, a potem o wszystkim od razu zameldować...

Podpułkownik pokazał na rozciągniętego Zajenkę.

– Rozkazy dowództwa nie podlegają dyskusji, czyż nie? Rozkazy się wykonuje. No dalej, Charitonie. Przybył po ciebie adiutant jego ekscelencji Pał Andrieicz Makolcew we własnej osobie generalskim delaunayem-belleville'em.

– Chwileczkę, włożę tylko mundur. – Czeriepow zaczął się śpieszyć.

– Lepiej zostań w fartuchu, jak rzeźnik. – Adiutant wyszczerzył zęby w uśmiechu, zerkając na feldfebla i kiwając niedbale Aleksiejowi.

– Jestem gotów, możemy jechać. – Naczelnik zapinał guziki. – Kałmykow, tego tam do lochu. A pan, Romanow, niech się do niego nie zbliża. Sam go przesłucham.

Podszedł do stołu, pogłaskał Zajenkę po policzku.

– Do zobaczenia, kochany. Czeka.

Usłyszawszy o lochu, Romanow już wiedział, co ma zrobić.

Była to piwnica mieszcząca się na środku dziedzińca. Dawniej służyła do przechowywania lodu, za czekistów rozstrzeliwano tam skazańców. W murze, który zamykał dziedziniec, była furтка, przez którą wyrzucano zwłoki do parowu. Niestety Kozłowski kazał zamurować tamto przejście, symbolicznie odgradzając się od strasznej bolszewickiej przeszłości, inaczej zadanie byłoby prostsze.

Aleksiej w okamgnieniu obmyślił plan.

Skoro na Czeriepowa czeka koniak, to znaczy, że nie wróci do późnej nocy. Aleksiej musi poczekać, aż się ściemni, sprzątnąć wartownika pilnującego lochu i przetransportować Zajenkę za mur. Będzie potrzebna drabina. Można ją wziąć z garażu.

Ryzykowne, ale wykonalne.

*

O siódmej, przed wyjściem do domu, Romanow jako najstarszy stopniem sprawdził strażę. Zajrzał też na dziedziniec. Złajał wartownika, czepiając się niestarannie ogolonej fizjonomii, odesłał na odwach. Z uwagi na rangę aresztowanego postawił koło lochu samego feldfebla Kałmykowa. (Chodziło o to, żeby połączyć przyjemne z pożytecznym: jeśli wykończyć, to drania). Podpisał się w księdze, kazał dyżurnemu dzwonić, jeśli coś się wydarzy, i ruszył w siąpiącym deszczu ku hotelowi.

O tej porze w październiku, na dodatek w taką pogodę, jest już prawie całkiem ciemno, ale dla pewności Aleksiej postanowił odczekać dwie godziny – żeby rozeszli się ostatni funkcjonariusze.

Mimo to musiał wpaść do swojego pokoju. Zajenko nie będzie przecież biegał po ulicy na golasa!

Wsunął do worka cywilne ubranie i kamasze ze swojego „kospiracyjnego” stroju. Włożył tam też butelkę wódki – aresztant pewnie skostniał w lochu. Do willi wrócił już w zupełnych ciemnościach, które wydawały się jeszcze gęstsze tam, gdzie nie sięgało światło rzadkich latarni. Przekradł się wzdłuż muru, rozejrzał. Wśliznął się przez okno ubikacji na parterze (przed wyjściem specjalnie zwolnił zasuwkę). Pustymi, cichymi korytarzami, stąpając bezgłośnie, dotarł do tylnego wyjścia. Uchylił drzwi, wyjrzał na dziedziniec, odczekał.

Żadnego odgłosu.

Kałmykow, cholerny służbista, nie przechadzał się tam i z powrotem, nie palił, nawet niczym nie szeleścił.

Nie kryjąc się, Romanow wyszedł na zewnątrz, zapalił papierosa, stojąc tak, żeby feldfebel mógł go zobaczyć, a przez okna, nawet jeśli ktoś wyjrzy przypadkiem, nie było widać twarzy.

Leniwie ruszył w kierunku lochu, machając prawą ręką. Był w niej nóż, skierowany ostrzem do góry.

Zawołał cicho:

– Ej tam, na warcie! Śpisz, Kałmykow?

Żadnej odpowiedzi. Czyżby naprawdę zasnął? To by znacznie ułatwiło sprawę.

Feldfelbel siedział na ziemi z głową przechyloną na ramię. Drzwi lochu były uchylone.

Aleksiej szybko opadł na czworaki, dotknął ramienia Kałmykowa – tamten miękko się osunął. Cały mundur z przodu mokry. Krew! Jeszcze nie zastygła.

W lochu nikogo nie było. Jak to możliwe?! Gdzie się podział Zajenko?! Przecież nie wyparował!

Zagadka się wyjaśniła, gdy Romanow podbiegł do muru. Z góry zwisała sznurowa drabinka.

Ktoś postąpił w bardzo prosty sposób: przedostał się z drugiej strony na dziedziniec, zabił wartownika i tą samą drogą czmychnął wraz z aresztantem. Ktoś, kto dobrze wiedział, gdzie szukać. Drabinkę porzucono, bo nie była już potrzebna.

Aleksiej też ją wykorzystał, żeby nie ryzykować po raz drugi, przechodząc przez budynek. I żeby szybciej znaleźć się w hotelu. Gdy w pokoju zadzwoni telefon, musi być na miejscu, odpowiadać sennym głosem.

Przedarł się przez zarośla w parowie, pobiegł ulicą.

Należało przyznać, że organizacja czekistowska działa lepiej niż eserowska, która prawdę mówiąc, całkiem się pogubiła. Może to jednak dobrze, że istnieje konkurencja? Trzeba też oddać sprawiedliwość Zajence – wprawdzie jest łajdakiem, ale ma ikrę.

I nagle zrodził się pomysł, ciekawy. Romanow przyrzekł sobie, że już jutro wcieli go w życie.

Zasapany wpadł do pokoju. Nie włączając światła, zatrzymał się przed aparatem: dzwonili czy jeszcze nie?

– Już myślałam, że nie przyjdiesz – wyszeptała ciemność.

Z łóżka podniosła się mała, drobna postać.

– Tylko nic nie mów. Milcz...

*

Rano golił się przed lustrem i nucił melodię romansu, który wciąż tłukł mu się po głowie, o minionym szczęściu i o tym, że wszystko było snem, ale nie smętnie, tylko wesoło. Kiedyś Aleksiej miał ładny głos; stracił go, kiedy został ranny w gardło, słuch muzyczny jednak pozostał.

Nadia wyszła ledwie pół godziny temu. Na pożegnanie powiedziała: „Klamka zapadła, Romanow. Zdarzyła się rzecz nieodwracalna. Kocham cię bardziej niż rewolucję”. I roześmiała się cichutko. On zaś odparł poważnie: „A ja kocham tylko ciebie. Rewolucja to jedynie praca. Nie ma za co ją kochać. Najlepiej jak najprędzej zakończyć i zapomnieć”.

Nikt jednak nie zadzwonił nocą z kontrwywiadu. Widocznie gdy znaleziono ciało feldfebla, powiadomiono Czeriepowa, a on zabronił informować zastępcę. Wierzył, że sam wytropi zbiega. No cóż, to raczej wątpliwe.

– Do zaułka Monastyrskiego – polecił Romanow dorożkarzowi.

Tam, w willi Stowarzyszenia Szlachty, mieściła się kwatery sztabu Gaj-Gajewskiego.

*

Aleksiej zatrzymał się przed gabinetem Skukina. Ze środka płynęły dźwięki fletu. Był to znak, że pułkownik jest sam, pogrążony w niewesołych rozmyślaniach. Skukin wspominał, że muzyka pomaga mu uporządkować myśli swoją doskonałą harmonią.

Zaraz ci zaśpiewam, a ty będziesz mi akompaniował, uśmiechnął się Romanow i zapukał stanowczo, niecierpliwie.

– Dopiero teraz się dowiedziałem! – zawołał od progu. – Fandorin ze swoim Japończykiem podali nam Zajenkę na tacy,

a Czeriepow pozwolił mu uciec! Mało tego, mnie, swojemu zastępcy, nic nie powiedział! Dowiedziałem się dopiero tutaj, w kancelarii. Twoim zdaniem to normalne?

Wszyscy w sztabie rzeczywiście mówili o nocnym CzP[39]. Nowe słowo, które powstało podczas wojny niemieckiej na fali powszechnej fascynacji skrótami, stało się w Rosji jednym z najczęściej używanych, dowcipnie proponowali nawet, żeby przemianować kraj w „Czeplandię”, bo on też stanowi „nadzwyczajne wydarzenie”.

– Nie wiedziałem, że Fandorin schwytał Zajenkę. – Skukin się zachmurzył. – Czeriepow mówił...

– Arkadij, w kontrwywiadzie panuje burdel! – przerwał Romanow. – Winy za to wcale nie ponosi Czeriepow! Idiota nie jest winien temu, że jest idiotą. Winien jest ten, kto powierzył idiotcie odpowiedzialne stanowisko! Dlaczego to zrobiłeś? Tylko dlatego że jest ci osobiście oddany? Przecież jesteś mądrym człowiekiem. Geniuszem zarządzania, można by rzec. Czyżbyś nie wiedział, że samo oddanie to za mało, żeby dowodzić kontrwywiadem? Powiedz, pójdziesz na operację do chirurga bez paru palców, tylko dlatego że cię uwielbia?

Zarzuty Romanowa sprawiły, że pułkownik stracił pewność siebie. Właśnie tak należało z nim postępować: przeplatając atak pochlebstwem.

– Posłuchaj, dobrze mnie znasz, bywaliśmy razem w nie lada opałach – podjął Aleksiej serdecznym tonem. – Pamiętasz, jak ratując cię, zastrzeliłem towarzysza Kandybę? Jak wróciłem po ciebie do Zielonej Szkoły? Jak przedzieraliśmy się do naszych pod Charkowem? To ja jestem ci osobiście oddany, a nie kretyń Czeriepow! Już dawno zrozumiałem, że jesteś ptakiem wysokich lotów. Polećmy razem. Jak powiadają awiatorzy, ty jesteś prowadzącym, a ja prowadzonym. Poślij Czeriepowa do wszystkich diabłów, niech dowodzi oddziałem karnym. Mnie wyznacz do kontrwywiadu. Jestem zawodowcem!

Skukin słuchał bacznie, tak samo też patrzył, mrużąc oczy.

– A więc mogę ci ufać? – wycedził. – Całkowicie? We wszystkim?

– Traktuj mnie, jakbym był twoim fletem – uroczyście odparł Romanow. – Jak dmuchniesz, tak zagram.

Pułkownik podszedł do drzwi, których zdenerwowany petent nie domknął, i je zatrzasnął.

– Jak oceniasz sytuację w dowództwie Białego Ruchu? Nie zadaję podobnych pytań Czeriepowowi, on nie myśli tymi kategoriami. Ty to co innego. Muszę wiedzieć, w co wierzysz. Mów z ręką na sercu, niczego nie ukrywaj.

To egzamin, który o wszystkim zadecyduje, domyślił się Aleksiej.

– Z ręką na sercu? Proszę bardzo. Nasze dowództwo jest nijakie. Głównodowodzący słaby. Żaden z niego wódz czy administrator, a w polityce kompletny kretyn. Mając taką armię, podczas ataku na Moskwę uznał zwierzchnictwo admirała Kołczaka, którego czerwoni szarpią za ogon i grzywę! Czy to nie głupota? Co do twojego wuja, to pod względem operacyjnym jest oczywiście orłem, ale zupełnie się nie zna na zarządzaniu ludźmi. Wybacz, ale potrzebuje dobrej niańki.

Uśmiech zadowolenia, który wypłynął na suche wargi Skukina, dowodził, że egzamin został zdany celująco. Następne pytanie to potwierdziło.

– Co byś zrobił, gdybyś stanął na czele Wydziału Specjalnego? Konkretne zadanie: jak znaleźć Zajenkę i zlikwidować czerwone podziemie?

Romanow już wcześniej obmyślił odpowiedź.

– Po pierwsze znalazłbym szpiega, którego przegapił Czeriepow i który pomógł uciec Zajence. To ktoś swój. Po drugie...

Rozległ się natarczywy dzwonek telefonu.

– Skukin – powiedział pułkownik do słuchawki – i do Aleksieja, szeptem: – Czeriepow. O wilku mowa.

Później długo słuchał, coraz bardziej się ozywając.

– Tak... Tak... Tak... – powtarzał, a każde następne „tak” wypowiadał z coraz większą ekspresją. – Skąd wiadomo? Jasne... Jak to: zastrzelił się? ...A, to doskonale!... Oczywiście. Niech pan pokaże, co umie. – Zakończył surowo: – Tylko niech pan uważa, Czeriepow, to pańska ostatnia szansa, żeby się zrehabilitować. Drugiej nie będzie.

Rozłączywszy się, powiedział:

– Ty go obgadujesz, a on wykrył bolszewicki lokal konspiracyjny.

– Należący do Zajenki?

– Na razie nie wiadomo. O świcie ktoś zadzwonił bezpośrednio do jego gabinetu. Niezidentyfikowany człowiek szeptem oznajmił, że w czytelni na ulicy Iwanowskiej znajduje się ośrodek bolszewickiej agentury.

Aleksiej zamarł.

– Patrol udał się pod wskazany adres. Był tam jakiś starzec, nie wzięto go żywcem, zastrzelił się. Ale Czeriepow urządził zasadzkę. No i godzinę temu wpadł ptaszek, jakaś młoda panna. Usiłowała uciec – złapano ją. Na szczęście nie miała się z czego zastrzelić. Teraz Czeriepow się nią zajmie, jak to on potrafi... Ej, dokąd to?

*

Rozpadał się smętny październikowy deszcz. Dorożki nigdzie nie było widać. Przechodnie gapili się spod parasoli na oficera, który pędził co tchu, przytrzymując szablę, i wielkimi susami pokonywał kałuże.

Romanow nie wiedział, co robi, nawet się nad tym nie zastanawiał. Musiał zdążyć, zdążyć!

Wreszcie zza rogu wyłonił się znajomy budynek. Był ani

czarny, ani biały, lecz szary od wilgoci.

Nagle na drugim piętrze pękła szyba. W deszczu odłamków szkła wypadła przez nią biała, nienaturalnie szczupła postać; obróciła się w powietrzu i głucho uderzyła o bruk. Gdzieś niedaleko histerycznie pisnęła kobieta, ze schodów zbiegł wartownik, z okna na górze ktoś się wychylił – chyba Czeriepow w skórzanym fartuchu, ale Aleksiej patrzył tylko w dół.

Nogi poruszały się same, jak gdyby siłą bezwładu.

Nadziezda leżała na wznak, jota w jotę jak rano, gdy przypatrywał jej się z zachwytem, zanim ją obudził: naga, z rozsypanymi włosami.

– Kapitanie? – zawołał z góry gromki głos. – Niech pan zobaczy, żyje? A to cwaniara! Da pan wiarę? Wyrwała się i z rozbiegu, głową w szybę...

Romanow odruchowo przykucnął. Poszukał pulsu na szyi. Szyja była ciepła. Ale pulsu nie było.

Dziwne – zupełnie nic nie czuł.

Później był tak samo kamienny. Stał, patrzył, jak ją zabierają, jak kołysze się chudziutka ręka. Słuchał, jak podpułkownik usprawiedliwia się, przeklinając.

Zupełnie o niczym nie myślał. Oddech miał równy, serce biło miarowo, nawet wolniej niż zwykle. Jednocześnie czuł ból, ale niezbyt ostry, serce ćmiło jak chory ząb. Kto o tym pisał? Gdzieś czytał. Aha, Maksim Gorki.

Ból serca to błażostka. Aleksiej wiedział, jak się go pozbyć. Musi po prostu zostać sam na sam z Czeriepowem. Właśnie dlatego nie tylko przytakiwał naczelnikowi, ale też odpowiadał na jakieś pytania, a w końcu powiedział:

– Ustalmy tête-à-tête, co zameldujemy pułkownikowi Skukinowi.

– Tak, tak. – Czeriepow kiwnął głową, oglądając się na funkcjonariuszy tłoczących się dokoła. – Chodźmy.

Zaraz, zaraz, jeszcze trochę cierpliwości, powtarzał sobie

Romanow na schodach, patrząc na szerokie plecy z tasiemkami fartucha na szyi.

W gabinecie Czeriepow wyjął wódkę z biurka, nalał do szklanki.

– Co, cieszy się pan? – powiedział ochryple. – Myśli pan, że nie wiem, dokąd pan pobiegł rano? Wiem. Arkadij Siergiejewicz od razu do mnie zadzwonił, gdy tylko się pan zjawił, żeby przypisać sobie mój sukces. Jestem z Arkadijem Siergiejewiczem o tak. – Zsunął dwa palce. – Tyle rzeczy nas łączy, że nikt się nie wśliźnie. Ta historia też nas nie poróżni. Więc niech się pan nie łudzi... Ej, po co panu mój browning?

Zobaczył, że Romanow podnosi kaburę z biurka.

Aleksiej w milczeniu odbezpieczył broń, naprowadził lufę na cofającego się naczelnika i strzelił w jedyne wybałuszone oko. Z ciekawością przyjrzał się czerwonej plamie, która pojawiła się na tapecie. Składała się z punkcików różnej wielkości. Cudo.

Pochylił się nad leżącym, wsunął pistolet do bezwładnej ręki.

Ćmiący ból w sercu od razu znikł i nagle z uderzającą jasnością okazało się, że nigdy więcej już nie powróci. Cokolwiek by się stało.

– Ej, do mnie! – przeraźliwie wrzasnął Romanow, odwracając się ku drzwiom – Nieszczęście! Naczelnik się zastrzelił!

39 CzP (*czriezwyczajnoje proisszestwije*) – nadzwyczajne wydarzenie (przyp. tłum.).

Adiutant jego ekscelencji

– Odkrywam.

Mona-san cisnęła pokera królewskiego na trzy walety pana. Masa ze swoimi dwoma parami rozsądnie spasował.

– A on jeszcze się chwalił, że zawsze wygrywa i będziemy się nudzić!

Roześmiewszy się zuchwale, zwyciężczyni przysunęła do siebie stertę zielonych banknotów.

– Zdumiewające – zauważył Fandorin. – Trzeci raz z rzędu! Fortuna uciekła ode mnie do ciebie. Świetnie ją r-rozumiem.

Grali na dolary. Z amerykańskiego przekazu zostało półtora tysiąca. Mona-san zaproponowała, żeby rozdzielić po równo i zagrać w pokera. Wciąż wymyślała jakieś nowe rozrywki. Wiadomo po co: żeby odciągnąć pana od niebezpiecznych myśli.

– Obaj zostaniecie moimi utrzymankami, alfonsi! – zawołała ze śmiechem. – Będziecie robić, co każę.

– I tak robię wszystko, co każesz. – Fandorin z pokorą pochylił głowę, za co dostał całusa.

Miło było patrzeć na gruchające gołąbki, Masa myślał jednak o smutnych rzeczach.

Jakże okrutnie zażartowała z niego karma! Pokochać na progu starości – i to kogo? Nie piękną, przypominającą słońce damę, jak pan, tylko wykastrowanego wałacha! Potworny wstyd! To dopiero znawca kobiet... Ale chodzi nawet nie o poniżenie, tylko o to, że po tylu latach służby wierny wasal omal nie porzucił swego pana. Z łatwością, kierowany złudną chimera osobistego szczęścia! Gdyby Masa w ciągu długich lat życia na obczyźnie nie

stracił większej części swej japońskości, ze wstydu popełniłby *seppuku*.

Dotychczasowa droga była prosta i jasna, jak klinga miecza z wyrytym ideogramem Oddanie. Ale nie ma już po co obnażać stali, teraz będzie rdzewiała w pochwie. Pan zyskał mądrą, zdecydowaną towarzyszkę, która przerobi męża na swoją modłę, i nie warto się przeciwko temu buntować, bo z nią czeka go szczęście. Wierny wasal na nic się zda owej parze, wystarczy jej własna wierność.

Ach, gdyby Mona-san zgodziła się pojechać do Japonii! Wtedy życie Masy przynajmniej zatoczyłoby koło: skończyłoby się tam, gdzie się zaczęło. Ale obstawanie przy tym byłoby egoistyczne. Bądźmy szczerzy: pani nie spodoba się Japończykom. Jest kobietą zbyt niezależną, za bardzo się wyróżnia swoimi czerwonymi włosami, jest za wysoka, za głośno się śmieje. Istna Harionna z wyspy Sikoku – wiedźma oplątująca mężczyzn włosami ostrymi jak igły.

Masa obejrzał karty z nowego rozdania. Jego perspektywy życiowe były tak samo beznadziejne jak posiadana kombinacja: as, król, dama, ósemka i szóstka. Zostawił króla i damę, żeby nie rozdzielać rodziny, resztę wyrzucił. Ale dobrane karty przyniosły bezcenną niespodziankę – jeszcze trzy króle! Kareta królewska!

Humor od razu się poprawił. Była to podpowiedź z góry: nigdy nie wolno tracić nadziei.

– Podwajam – powiedział Masa i uśmiechnął się smętnie, jak robi człowiek ze słabą kartą, zamierzający blefować.

Fandorin od razu spasował, rozczarowany brakiem powodzenia, ale pani dała się nabrać i podbiła jeszcze stawkę.

– Podwajam – powtórzył Masa. I jeszcze raz. – Podwajam...

Oto odpowiedź na pytanie, do czego jestem potrzebny szczęśliwej parze, myślał z radością. Pan nie umie obracać pieniędzmi, pani wykazuje wszelkie cechy niepoprawnej utracjuszki. Sam będę gospodarował pieniędzmi. Zaraz zabiorę

wszystkie dolary i przez parę następnych tygodni udowodnię pani (bo pan już wie), jak sprawnie zarządzam finansami.

– Stawiam wszystko – oznajmiła Mona-san i roześmiała się radośnie, bo Masa nie miał czym przebić.

Ale pani za wcześnie się ucieszyła.

– Pożycz mi, panie, to, co ci zostało – poprosił.

Fandorin kiwnął głową z roztargnieniem, jego myśli krążyły gdzieś daleko.

– Pewnie to mój koniec – posępnie rzekł Masa. Czuł złośliwą satysfakcję i śmiech, który łaskotał go w głębi hary, co było bardzo przyjemne. – Pokaż, pani, co tam masz.

– Nie, pan pierwszy!

Do drzwi zapukano. Ach, jak nie w porę!

Masa poszedł otworzyć.

Byli to pułkownik Skukin i kapitan Romanow. Pierwszy jak zawsze dziarski, drugi, o dziwo, ospały. Zawsze się uśmiecha, a teraz tylko skinął głową. I spojrzenie jak u nieboszczyka – szklane.

– Pozwolą państwo? – zapytał pułkownik. – Za mną, kapitanie.

– Tak jest.

Zastanawiające. Dawniej Romanow nie zachowywał się przy towarzyszu broni, jakby był jego podwładnym.

– Przejdę od razu do sedna – zaczął energicznie Skukin, siadając na podsunętym krześle. – Eraście Pietrowiczu, przyszedłem do pana po starej znajomości, licząc na zrozumienie i pomoc. Zresztą pewnie i tak się pan domyślił, że to nie towarzyska wizyta. Niech mi wolno będzie przedstawić państwu kapitana Romanowa w nowej roli – powierzyłem mu czasowe pełnienie obowiązków naczelnika Wydziału Specjalnego. Podpułkownik kozacki Czeriepow się zastrzelił.

Pani cicho krzyknęła – nie ze smutkiem, raczej ze zdziwieniem.

– Była to niewłaściwa osoba na tak odpowiedzialne

stanowisko. – Skukin westchnął. – Fiasko goniło fiasko. Pan i pański Japończyk złapaliście czekistę Zajenkę, a Czeriepow pozwolił mu zbiec. Minionej nocy do Czeriepowa zadzwonił jakiś człowiek, szeptem podał adres bolszewickiego lokalu konspiracyjnego. Kontrwywiad pojmał tam żywcem jakąś pannę, która wszystko by nam powiedziała. Ale Czeriepow jakimś cudem pozwolił jej się wymknąć! Tymczasem znalezione szyfry pozwalają przypuszczać, że nie był to zwyczajny lokal konspiracyjny, tylko centrala podziemia. Po takich niepowodzeniach ja też bym się chyba zastrzelił.

– Pan się nigdy nie zastrzelił – powiedziała pani wrogim tonem.
– Czeriepow też nie należał do ludzi, którzy podnoszą na siebie rękę.

– Słabo go pani знаła – obojętnym głosem rzekł odmieniony Romanow. Pewnie nowe stanowisko uderzyło mu do głowy. – Oszczędzę państwu szczegółów, ale proszę mi wierzyć: Czeriepow był obłąkany.

– Tak. – Skukin kiwnął głową. – Ci, co go znają od dawna, mówią, że po tym jak został ranny w głowę, bardzo się zmienił.

– Czego chcecie od Erasta Pietrowicza? – wciąż tak samo nieprzyjaźnie zapytała Mona-san.

Pułkownik widocznie zrozumiał, kto tutaj podejmuje decyzje, i skupił się na niej.

– Droga Jelizawieto Anatoljewno, zbliża się przełomowy moment wojny. W ciągu najbliższych paru dni zadecyduje się los Rosji. Tam – pokazał gdzieś na ścianę – na froncie, pod Tułą.

– A co ma do tego Erast Pietrowicz?

Pani groźnie popatrzyła na Fandorina. Ten od razu wzruszył ramionami: nic.

– Wroga siatka szpiegowska działa pod naszym nosem. Jej przywódca Zajenko jest na wolności. W dodatku wykorzystuje jakiegoś informatora, który ma dostęp do tajemnic sztabowych. To on powiadomił konspiratorów o wizycie głównodowodzącego

w sierocińcu. Zaaranżował zabójstwo pułkownika Kozłowskiego. Zorganizował ucieczkę Zajenki. Zresztą to wszystko sprawy minione. Teraz co innego mnie niepokoi. Sukces naszej ofensywy zależy od tego, czy eszelon z nowymi angielskimi czołgami dotrze na front. To włócznia, którą przerwiemy obronę czerwonych i przesyjemy ich tyły aż do Moskwy.

– Co to za nowe czołgi? – zapytał Masa, którego bardzo interesował postęp techniczny.

– Dwanaście whipettów. Znakomity wóz bojowy. Czternaście ton, cztery działa, mocny pancierz, silnik o mocy czterdziestu pięciu koni mechanicznych, pokonuje niemal każdą przeszkodę, a zapas paliwa wystarcza na sto trzydzieści kilometrów. To przecież dwie wyprawy do Moskwy. Możecie to sobie państwo wyobrazić?

– Czyżby Erast Pietrowicz był czołgista? – złośliwie zapytała pani.

– Czołgiści są Anglikami – wyjaśnił jej Skukin. Należał do ludzi, którzy nie wyczuwają sarkazmu. – Od pana Fandorina oczekujemy innej pomocy. Przejazd specjalnego eszelonu jest ściśle tajny, ale ktoś przecież podał dywersantom Zajenki trasę pociągu pancernego Dobrynia. Jeśli czołgi nie trafią na front, zwycięstwo może nam się wymknąć. Niech pan pomoże, Eraście Pietrowiczu, unieszkodliwić podziemną siatkę. Od tego zależy wynik wojny!

Mona-san wymownie popatrzyła na pana, a ten oczywiście odparł:

– Wasza w-wojna mnie nie obchodzi.

– Chodźmy, Arkadiju. Mówiłem, że to bezcelowe – powiedział chmurnie kapitan Romanow.

Pułkownik wstał, ociągając się.

– Na wypadek gdyby jednak się pan namyślił... – Umieścił na stole złożoną kartkę. – To mandat z podpisem dowódcy, nakazujący żołnierzom wszystkich jednostek i oddziałów, bez

względu na stopień, udzielić wszelkiej pomocy rzeczywistemu radcy stanu Fandorinowi. Niech się pan zastanowi, Eraście Pietrowiczu. Bardzo pana proszę. W imieniu Władimira Zenonowicza, a także swoim.

Oficerowie wyszli.

– Romanowa spotkało coś złego. Jakieś nieszczęście – powiedziała pani. – Zauważyłeś jego spojrzenie?

– Wiadomo co. Jego najlepszy p-przyjaciel ksiązę Kozłowski został zabity.

Mona-san z powątpiewaniem pokręciła głową, ale nic więcej nie powiedziała, tylko sięgnęła po swoje karty.

– Odkrywamy? Wszystkie pieniądze do banku.

Masa z kamienną twarzą wyłożył kolejno trzy króle. Udał przestrah, gdy pani pokazała trzy asy. Wtedy rzucił czwartego króla i jęknął, gdy z góry upadł nań as kier – ten sam, którego niedawno się pozbył.

– Zgrałeś się, synu mikada! – Pani się roześmiała, zgarniając wszystkie pieniądze.

Ona kantuje, a ja niczego nie zauważyłem, pomyślał zachwycony Masa. O, jakże ma zręczne palce!

A pani z niepokojem spojrzała na Fandorina, który w skupieniu potrząsał swoim zielonym różańcem, zmarszczyła nos, parę razy westchnęła.

– Dobrze, Eraście. Znam ten twój zwyczaj. Co ci chodzi po głowie?

– Dopiero teraz z-zrozumiałem... Mój błąd polegał na tym, że rozplątywałem jedną nić, tymczasem one są dwie. W mieście działają dwa czerwone podziemia, możliwe, że nie utrzymują ze sobą żadnych kontaktów! Dlatego nic nie pasowało! Tego rodzaju sytuacja nie jest mi o-obca. Za starej władzy Ochra i żandarmi też rywalizowali! Zdarzało się, że nawet pomagali terrorystom zabijać konkurentów z pokrewnego resortu. Oto co oznacza anonimowy telefon! Zobacz, Masa. Tutaj mamy organizację

Zajenki z własnym informatorem. A to druga organizacja, której centrala znajduje się w cz-czytelni...

Zaczął kreślić kółka i linie na kartce, ale zauważył wzrok żony i się zmieszał.

– Nie czuję się dobrze – słabym głosem oznajmiła pani. – Kłuje mnie w dołku i ciągnie w dole brzucha. Kochanie, podaj mi prędko tamtej nalewki, którą dostaliśmy od doktora...

Pan rzucił się do łazienki, a Mona-san cicho powiedziała:

– Co robić, Masa? Przecież widzę, że on ma wielką chęć doprowadzić śledztwo do końca. Rano byłam u profesora Libkinda, on jednak kategorycznie się sprzeciwia, żebym jechała gdzieś koleją. Będzie trzęsło, nie daj Boże dojdzie do awaryjnego hamowania. Mówi, żebym poczekała jeszcze dwa tygodnie. Ale dwa tygodnie to bardzo długo. Erasta zadreczy bezczynność, a mnie patzenie na jego męki. Co robić?

– Jeśli chce pani wyjechać, to wyjedziemy – odparł Masa, szczęśliwy, że poprosiła go o radę. – Kupię na targu puchowe pierzyny, wyściele nimi cały przedział i nie poczuje pani żadnych wstrząsów. Ale na pani miejscu najpierw pozwoliłbym panu zakończyć sprawę. Zadanie jest proste, rozru... rozłupie je jak orzech. – Trudne słowo udało mu się wymówić dopiero za drugim razem. – Wtedy nie odniesie wrażenia, że ma ograniczoną swobodę ruchów. Mężczyźni tego nie lubią.

Mona-san z wdzięcznością pogłaskała go po rękę, w tej samej chwili wrócił Fandorin ze szklanką w dłoni.

– Nie trzeba, mdłości ustąpiły – wesoło powiedziała pani. – Niech cię diabli, szlachetny mężu. Przecież wiem, co cię gryzie. Chcesz znaleźć szubrawca, który powiedział Zajence o sierocińcu. No to znajdź. Niech zapłaci za śmierć dzieci. Wystarczą ci dwadzieścia cztery godziny?

– Wystarczą – natychmiast odparł Fandorin. – Już wiem, jak szukać. To bardzo p-proste.

– Ale niech Masa ci towarzyszy. Będę spokojniejsza. Nie bój się,

nie wyściubię stąd nosa. Muszę się spakować do drogi. Co tak siedzicie? – Popukała w mały zegarek. – Zostały wam dwadzieścia trzy godziny i pięćdziesiąt dziewięć minut.

Pan z godnością, ale bardzo szybko ruszył ku wieszakowi.

*

– Idziemy do centrali telefonicznej? – zapytał Masa, gdy znaleźli się na ulicy i skręcili w stronę soboru Nikołajewskiego.

– Naturalnie, a niby g-gdzie?

– Dziwne, że Romanow-kun nie podjął tego oczywistego tropu.

Pan nic na to nie powiedział.

Z uwagi na stan wyjątkowy miejska centrala telefoniczna w Charkowie została zmilitaryzowana; zamiast młodziutkich telefonistek obsługiwali ją żołnierze z wydziału łączności. Fandorin pokazał naczelnikowi swój mandat i zażądał natychmiastowego zwołania nocnej zmiany, tym bardziej że koszary znajdowały się obok. Masa zrobiłby to samo: spróbowałby znaleźć anonimowego donosiciela. O świcie telefonów jest niewiele, no a wezwanie kontrwywiadu na pewno zwróciło uwagę operatora.

Tak się też stało.

Na pytanie pana niemłody żołnierz od razu podniósł rękę.

– Tak jest. Był taki telefon, łączyłem.

– Skąd dz-dzwoniono? Pamiętasz?

– Tak jest. Ze sztabu armii.

Fandorin posłał asystentowi wymowne spojrzenie, razem odprowadzili świadka na bok.

– Co to był za człowiek? Spróbuj go opisać – powiedział pan łagodnie. – Słyszac głos w słuchawce, z pewnością wyobrażasz sobie rozmówcę. Wszyscy telefoniści tak robią, żeby zabić nudę.

– Nie wiem. Żeby zabić nudę, wciąż myślę o kiełbasie. Bardzo ją lubię – wyjął żołnierz. – Głos jak głos. „Połącz no mnie – mówi – bracie, z Wydziałem Specjalnym, tylko raz dwa”. I podał numer wewnętrzny, z trzech cyfr, ale ich nie pamiętam. Żeby od razu rozmawiać z kim trzeba.

Przywykł rozkazywać, wywnioskował Masa.

– Nie pamiętasz, o której dokładnie to było?

– Chyba kwadrans po czwartej. Albo o wpół do piątej.

– Brawo. Masz tutaj na k-kielbasę.

Pan wręczył żołnierzowi banknot.

– Dlaczego ma pan taką zadowoloną minę? – zapytał Masa. – Niewiele się dowiedzieliśmy. Przecież i tak było wiadomo, że w sztabie działa szpieg. Jest tam sto albo dwieście osób. Jak się dowiemy, kto dzwonił?

– W nocy znacznie mniej ludzi pełni służbę. To raz. Wątpię, żeby dzwoniło z ogólnie dostępnego aparatu, zbyt duże ryzyko, że ktoś p-podsłucha. To dwa. To znaczy, że z Wydziałem Specjalnym połączył się ten, kto ma własny aparat. I po trzecie: dzwonił człowiek, którego znają w kontrwywiadzie.

– Dlatego że mówił szeptem?

– Nie tylko dlatego. Podał telefoniście numer wewnętrzny Czeriepowa, zamiast po prostu połączyć się z Wydziałem Specjalnym i podyktować go t-tamtejszemu oficerowi dyżurnemu.

– A więc nie będziemy potrzebowali dwudziestu czterech godzin. Jedźmy do sztabu szukać szpiega, panie.

*

– Oto pełna lista funkcjonariuszy, którzy pełnili służbę w podanym przez pana czasie – powiedział Skukin po powrocie do gabinetu. – Sprawdziłem. Osiemnaście osób (nazwiska są

podkreślone) ma dostęp do telefonu. Pięć, oznaczonych dodatkowo ptaszkiem, mogło rozmawiać swobodnie bez ryzyka. Mam nadzieję, że mój wuj się nie liczy. O trzeciej w nocy pozwolił mi iść spać, a sam został w gabinecie. Pozostali czterej: adiutant Makolcew w kancelarii, naczelnik służby strzelców kapitan Rzeszewski, oficer dyżurny garażu porucznik Stube i naczelnik ochrony osobistej dowódcy podesauł Popienko. Czyżby któryś z nich należał do czerwonego podziemia? Trudno w to uwierzyć.

– Nie będziemy wyciągać pochopnych wniosków – wymijająco odparł pan. – P-porozmawiam z każdym. Ale najpierw, jeśli pan pozwoli, pochodzę sobie po sztabie. Rozejrzę się.

Duży, ładny budynek, w którym kiedyś przy różnych uroczystych okazjach zbierał się kwiat charkowskiego samurajstwa, teraz, za dnia, był pełen wojskowych, którzy gorliwie zajmowali się swoimi sprawami – aż miło było patrzeć. Masa lubił widok ludzi przykładających się do pracy.

Jedni siedzieli i pisali – ręcznie albo na maszynie, drudzy kreślili kredkami estetyczne schematy, jeszcze inni szybko gdzieś szli i przyjemnie dzwonili ostrogami, byli też tacy, którzy ochryple wrzeszczeli do słuchawki. I wszyscy palili papierosy, wskutek czego pod sufitem unosił się niebieskawy dym – jak mgła z tanki o dolinie Musashi:

Niebieskawa mgła
Nad doliną Musashi.
Wbili wzrok w ziemię,
Obojętni na piękno
Zapracowani chłopi.

Z niejakim zdziwieniem, ale bez podejrzliwości popatrywano na dwóch cywilów błakających się po sztabie. Skoro tutaj są –

mają prawo.

Przysłuchując się rozmowom telefonicznym i wymianie zdań, Masa szybko doszedł do wniosku, że wszystko kręci się wokół trzech tematów: sytuacji na północnym froncie (sprawy idą tam nieźle), trasy pociągu specjalnego (chodzi o eszelon z angielskimi czołgami) i niespodziewanego ataku armii partyzanckiej Machny (sądzą, że ojczulek został rozbity, tymczasem on zniemacka uderzył na tyły Białej Armii).

Pan zainteresował się oczywiście eszelonem. Zagadnął naczelnika służby ruchu kolejowego, pokazał swój czarodziejski dokument. Okazało się jednak, że to za mało, naczelnik zadzwonił jeszcze do pułkownika Skukina i dopiero potem zaczął odpowiadać na pytania.

Powiedział, że na każdej stacji wzmocniono strażę. Całą trasę patrolują konne podjazdy. W Czugujewie wyznaczono ostatnie tankowanie, ale dokładnej godziny nie zna nawet służba ruchu. Żeby uniknąć dywersji, trasa przejazdu jest w y j ą t k o w a: pociąg a to pędzi całą parą, a to robi niespodziewane postoje. Specjalne szyfrogramy dowódcy nadzorują ową wyjątkowość.

Fandorin grzecznie podziękował, a po wyjściu z gabinetu powiedział do Masy:

– Skukin ma rację. W dużych pomieszczeniach nie ma ani jednego aparatu, z którego można było zadzwonić do kontrwywiadu, nie zwracając uwagi. A więc krąg podejrzanych pozostaje ten sam.

– Od kogo zaczniemy?

Pan się zdziwił.

– Jeszcze pytasz? Wiadomo, że od kapitana Makolcewa. Wie to samo co dowódca, może nawet więcej. To raz. Adiutant wstąpił do generała, gdy omawiano szczegóły wizyty głównodowodzącego w sierocińcu. To d-dwa. Był w kontrwywiadzie niedługo przed ucieczką Zajenki. To trzy. No i oczywiście zna rozkład jazdy tajnych pociągów.

Najprawdopodobniej to właśnie on zanosí rozkazy do szyfrowania. To cztery.

Kapitana nie było w kancelarii. Dyżurny oznajmił, że Paweł Andriejewicz odjechał samochodem pół godziny temu, w dodatku sam usiadł za kierownicą. Powiedział, że jest niezdrów.

– Daleko mieszka? – zapytał Fandorin.

– Nie, w hotelu Paryż.

– W takim razie po co samochód? To przecież pięć minut drogi.

– Nie wiem. Widocznie kiepsko się czuł. Wyglądał jakoś... inaczej – dodał oficer po chwili zastanowienia. – Paweł Andriejewicz jest przecież zawsze wesół, uśmiecha się, a dzisiaj był pochmurny i blady. Nie daj Boże tyfus.

– Do h-hotelu! – rzucił pan do Masy. – Szybko!

*

Ale Makolcewa nie było w pokoju. W dodatku portier oznajmił, że kapitan nie pojawiał się od rana.

Weszli po schodach, otworzyli zamek wytrychem.

– Robimy rewizję? – zapytał Masa. – Jeśli to szpieg, na pewno ma skrytkę. Moja strona prawa, pańska lewa?

Fandorin stał przy biurku, pochylony nad otwartym notesem.

– Z-zaczekaj... Tutaj wyrwano kartkę. – Podniósł notes do oczu. – Niedawno. No proszę...

Poszedł do łazienki, posypał kartkę proszkiem do czyszczenia zębów, ostrożnie zdmuchnął.

Patrząc panu przez ramię, Masa zobaczył litery, które pokazały się na delikatnych wgnieceniach.

– Rostów 03.15. Aleksandrowsk... niewyraźnie. Ju... Aha, Juzowka 11.30. Ługańsk... niewyraźnie – powoli odczytał Fandorin. – Czugujew 18.15.

– Co to jest, panie?

– Stacje trasy południowej. I chyba godziny przyjazdu? Nie, raczej odjazdu, ponieważ bieg pociągu jest nierówny, z postojami różnej d-długości... – Popatrzył na zegarek i wymamrotał: – Ach, oto d-dlaczego...

– Co?

– Oto dlaczego Makolcew potrzebował samochodu. Żeby się dostać do Czugujewa. Niedługo wpół do szóstej. K-kapitan pewnie zbliża się już do stacji. Musimy się śpieszyć!

I rzucił się do drzwi, chwytając ze stołu, nie wiedząc po co, lornetkę polową. Masa oczywiście nie pozostawał w tyle.

– Adiutant chce wysadzić eszelon?

– Wysadzić raczej nie. Za mało czasu, żeby podłożyć bombę, zresztą chyba nie ma też w-wspólników. Chce wykoleić pociąg. W jaki sposób – nie wiem. Ale t-to bardzo odważny i rzutki osobnik.

– A dokąd się śpieszymy?

– Z powrotem do sztabu. Widziałem tam na dziedzińcu wspaniałego harleya z koszem.

– Pojedziemy do tego Czu... Czugujewa? Ale po co? Trzeba po prostu zadzwonić na stację do naczelnika ochrony, żeby aresztował szpiega.

– Nie chcę, żeby d-drania aresztowano – cicho odparł Fandorin i Masa nie miał więcej pytań.

Pan sam chce się porachować z akuninem za śmierć dzieci i kobiet. Bardzo słuszna decyzja.

Już byli na terenie sztabu. Jeszcze dwie minuty zajęło okazanie mandatu i zdobycie motocykla.

– Za jedenaście szósta. Nie zdążymy – powiedział Masa. – Eszelon odjedzie, zanim będziemy na stacji. Może jednak lepiej zadzwonić?

– Do diabła z eszelonem! – burknął pan. – To nie nasza b-bijatyka. Według mnie niczym się nie różni od wojny Dwóch Róż.

Nie wiem, kto ma rację. Prawdopodobnie nikt. Nasze zadanie to nie pozwolić, żeby łajdak uciekł. Więc mocno się trzymaj.

Z rykiem i łoskotem wyskoczyli za bramę. Motocykl rozpędził się do osiemdziesięciu, podskakując jak żaba na bruku i jak tygrys na wybojach. Masa zaparł się rękami o boki kosza, żeby nie wypaść.

– Nieźle! – krzyknął. – Pamięta pan naszą przejażdżkę w Baku?

– Hę? – Fandorin nie usłyszał.

Masa chciał powtórzyć, ale bardzo gwałtowny skok sprawił, że boleśnie przygryzł sobie język. Przez całą drogę nic więcej nie powiedział.

Pan prowadził potężną maszynę tak, że gdyby to był motocross, pewnie zdobyłby pierwszą nagrodę, mimo to nie dojechał do Czugujewa. Gdy do stacji pozostał zaledwie kilometr albo półtora, motocykl raptem zahamował.

– O co chodzi? – zapytał Masa i sam się domyślił, słysząc gęstą strzelaninę w oddali.

Nie zdążyli!

Harley skręcił z drogi i pognął z boczem łagodnego wzniesienia, pod którym z drugiej strony wił się szlak kolejowy.

Z góry rozpostarł się widok na stację oraz splatające się tory – główne i boczne. Nabierając szybkości, rozpędzał się tam skład: potężny parowóz, za nim sznur platform przykrytych brezentem. Z pewnością był to pociąg specjalny.

– Lornetka! – krzyknął pan, stając na siedzeniu, żeby lepiej widzieć.

Ale Masa nie podał – sam miał ochotę popatrzeć.

W okularach było widać, jak żołnierze strzelają w biegu, bezdźwięcznie otwierając usta. Później od lokomotywy odłączyły się dwie czarne postaci. Zeskoczyły w biegu, stoczyły się po nasypie.

– Przejął parowóz! – krzyknął Masa. – Zmusił maszynistę i palacza, żeby wyskoczyli! Ale czego on chce? Ukraść czołgi?

– Nie. Skład wjechał na ślepy tor. Widocznie Makolcew zdążył przestawić z-zwrotnicę...

Masa przesunął lornetkę wzdłuż toru, po którym mknął pociąg, i zobaczył, że jakieś pięćset metrów dalej tor się urywa przy nasypie.

Skład pędził całą siłą pary, zwiększając wciąż prędkość.

– Prawdziwy *akunin* – z uznaniem rzekł Masa. – Z czarnym, ale odważnym sercem. Zaraz bardzo ładnie zginie.

I przygotował się na malownicze widowisko, zawczasu kierując lornetkę na miejsce nieuniknionej katastrofy.

– Ooo! – zawołał z zachwytem, gdy czarna torpeda lokomotywy ścięła ogrodzenie, wbiła się w pochyłość, uniosła tylną część, przewróciła się, runęła kołami do góry, a potem jeszcze się stoczyła. Platformy powyginały się w zygzak, wpadając jedna na drugą, posypały się na prawo i lewo. Masywne cielska czołgów osunęły się i zaczęły podskakiwać jak pudełka zapalek. Na boki poleciały wieżyczki, gąsienice i jakieś stalowe elementy.

A cóż to był za łoskot! Jakby bóg błyskawic Raijin uderzył od razu we wszystkie dziesięć tysięcy niebiańskich bębnów!

– Czołgi nie dokonają wyłomu – powiedział pan, znowu siadając za kierownicę. – Szanse Dwóch Róż się wyrównują. Wskakuj do kosza. Jedziemy.

– Dokąd? – zapytał Masa. – Kapitan sam się ukarał. Chyba odmówię za niego modlitwę. Umarł jak bohater.

– Gdy patrzysz przez lornetkę, nie widzisz całego o-obrazu. Chwilę przed wypadkiem Makolcew zeskoczył na skarpe. Więc najpierw go zabijmy. Później odmówisz modlitwę.

Motocykl znowu popędził z boczem, teraz w dół. Minutę później byli już koło rozbitego eszelonu i Masa zobaczył z bliska powyginane czołgi, połamane platformy i powyrywane podkłady.

– Tam jest! – krzyknął pan, pokazując podbródkiem w prawo.

W odległości kilkudziesięciu kroków od ostatniego pogiętego czołgu leżał człowiek w oficerskiej kurtce.

Masa podbiegł do niego, zobaczył – nieprzytomny, ale żyje. Na policzku kapitana czerwieniał siniak, oczy były zamknięte, usta mocno zaciśnięte.

– Ocuć go – polecił pan. – Za parę minut będą tu żołnierze, a my musimy z nim p-porozmawiać. Coś się tutaj nie zgadza...

– To prawda. – Masa skinął głową. – Drań, który spokojnie zabija dzieci, nie ryzykowałby życia.

Nacisnął punkt energetyczny pod obojczykiem akunina. Jeżeli człowiek nie umarł, to się ocknie.

Adiutant od razu otworzył oczy. Mrugnął parę razy, poruszył głową na boki. Uśmiechnął się.

– Oho, agenci Pinkertona... Guzik mnie to obchodzi. Zrobiłem swoje. Nie odpowiem na żadne pytania.

Spróbował się podnieść i jęknął – pewnie miał połamane żebra, niewykluczone, że coś jeszcze.

– Zadam tylko jedno pytanie – powiedział Fandorin. – Nie będzie pan musiał nikogo wydawać. W nagrodę za szczerą odpowiedź dostanie pan rewolwer z jednym n-nabojem.

Makolcew znowu się uśmiechnął.

– Bolszewicy do siebie nie strzelają. Ale jestem ciekaw. Co to za pytanie?

– Nie żałował ich pan? Wcale?

Czerwony szpieg się zdziwił.

– Kogo?

– Ilji Sapożnikowa lat osiem, Borii Münnicha lat dziewięć, Koli Bieleckiego lat dziewięć, Kostii Leszczenki lat osiem, Pietii Miłowanowa lat jedenaście, Saszy Steina lat dziesięć, Sieni Kolcowa lat dziewięć i Kornieja Rance-Zassa lat sześć.

– Boże, kim oni są?

– To chłopcy, którzy zginęli w sierocińcu. Gdy wasze podziemie próbowało zgładzić g-głównodowodzącego.

– To nie my. Po co mielibyśmy zabijać Fajtłapę? Żeby zamiast starego ofermę na czele Białej Armii stanął groźny wilk Gaj-Gajewski? Nie jesteśmy idiotami.

– W takim razie kto to zrobił? Drugie p-podziemie? To, które wydał pan Czeriepowowi?

Kapitan się zachmurzył.

– Niech się pan nie wtrąca w nie swoje sprawy. Zgodziłem się odpowiedzieć tylko na jedno pytanie.

– Ja też mam, za pozwoleniem, jedno pytanie. – Masa ukłonił się akuninowi. – Skoro generał Gaj-Gajewski jest tak niebezpiecznym wrogiem, dlaczego go pan nie zabił? To było bardzo proste.

– O to samo wciąż mnie pytali... nieważne kto – odparł Makolcew z westchnieniem. – Nie potrafiłem się zmusić. Lubię tego starego pijaka.

Masa zwrócił się po japońsku do pana.

– To szczerzy człowiek. Wszystko, co mówi, jest prawdą.

– Sam widzę. Zabieramy się stąd. A on będzie miał chwilę, żeby się odczołgać. Jak zdąży – jego szczęście.

– Ten zdąży – odparł Masa z przekonaniem i jeszcze raz, na pożegnanie, ukłonił się czerwonemu samurajowi.

Oddalili się.

Adiutant krzyknął za nimi:

– Ej, agenci Pinkertona, dokąd?

Ale nie dostał odpowiedzi, bo Masa i Fandorin byli zajęci rozmową.

– Czerwoni i biali są jak klan Taira i Minamoto. To nieprzejednani wrogowie, ale po obu stronach są i czarni szubrawcy, i rycerze – mówił Masa.

– Na wojnie zawsze tak jest. Wybierasz nie między Dobrem a Złem. Tylko o którą walczysz Różę. A jeśli cię mdli od zapachu róż, odsuwasz się na bok.

– To najtrudniejsze, odsunąć się na bok – ze smutkiem

zauważył Masa.

I dokończył w myślach: Szlachetny mąż, stworzony do działania, tego nie potrafi. Tobie też się nie uda, panie.

Dwie sprawy – nieduża i mała

– Pawlik... Chcę powiedzieć Makolcew oszalał. Nie ma innego wytłumaczenia – ze skruchą rzekł Gaj-Gajewski, wysłuchawszy opowieści. – Szkoda, że go pan wypuścił, panie Fandorin. Bardzo, bardzo bym pragnął spojrzeć mu w oczy... Nie, to nie do pomyślenia! Traktowałem go... jak syna. Rozmawialiśmy o tylu rzeczach, bywaliśmy razem pod kulami... – Bezradnie rozłożył ręce. – Mam na karku już szósty krzyżyk, a wygląda na to, że wcale się nie znam na ludziach.

– Nieraz ci to, wujku, powtarzałem – natychmiast wtrącił Skukin.

Erast Pietrowicz milczał. Jeszcze nie wiedział, po co go zaproszono do dowódcy, w dodatku tak kategorycznie i pilnie. O wczorajszych wydarzeniach w Czugujewie Skukin został od razu powiadomiony (z wyjątkiem pewnych szczegółów, o których nie musiał wiedzieć). Po co w takim razie wezwali? Żeby znowu opowiadał im tę samą historię?

– Czyż nie powtarzałem ci, wuju, że powinieneś się pozbyć Makolcewa? Bóg jeden wie, ile niepowodzeń na froncie to robota tego szpiega! – ciągnął Skukin.

– Sądziłem, Arkadiju, że jesteś zwyczajnie zazdrosny, bo spędzam z nim więcej czasu niż z tobą. – Generał próbował się usprawiedliwić. – Ale ty przecież jesteś abstynentem i wciąż głędzisz o poważnych sprawach, a czasem trzeba się rozerwać...

– No to się rozerwałeś, gratuluję.

Zasepiony Gaj-Gajewski powtórzył z uporem:

– A jednak jestem pewien, że Pawlik dostał pomieszania

zmysłów.

– Nie, wasza ekscelencjo – powiedział Fandorin, który zaczynał mieć dość rodzinnej sprzeczki. – Makolcew był czerwonym agentem. Próba wysadzenia pociągu pancernego i ucieczka Zajenki to niewątpliwie dzieło pańskiego adiutanta.

– Zapomniał pan jeszcze o zamachu na głównodowodzącego – dodał Skukin. – Makolcew zdradził podziemiemu harmonogram wizyty i dwaj czerwoni konspiratorzy, którzy dostali się do półsotni konwojowej Wydziału Specjalnego, podłożyli bombę.

– A tak, tak, meldowałeś. – Ekscelencja kiwnął głową. – Później jednego z nich znaleziono martwego, a drugi znikł.

– Drugi był niewątpliwie szefem i sprzątnął pomocnika, żeby zatrzeć ślady. Czerwoni rządzą się wilczymi prawami, wujku.

Dowódca chyba wymyślił powód, żeby się rozgniewać na siostrzeńca.

– Gdybyś mnie nie namówił, żebym wyznaczył głupca Czeriepowa na naczelnika kontrwywiadu, wcześniej zdemaskowalibyśmy wrogą siatkę. Moje czołgi byłyby całe, a zwycięstwo nie wisiałoby na włosku!

Odwrócił się do Fandorina, który ze zdziwieniem uniósł brew – wiadomość, że Czeriepow został naczelnikiem, bo domagał się tego Skukin, była dla niego czymś nowym.

– O tym właściwie chcę z panem porozmawiać, Eraście Pietrowiczu – ciągnął generał. – Bez pancernego klina ofensywa może się załamać. Ludzi jest mało, a flanki są rozciągnięte. Ale to jeszcze pół biedy. Wierzę w swoich żołnierzy. Jeśli im nie przeszkadzać, przerwą front wszawych czerwonych dywizji. O to jednak chodzi, że się im przeszkadza! Najdalej jutro będę musiał wycofać duże siły z pierwszej linii i zatkać nimi dziurę na tyłach. Słyszał pan o natarciu band Machny?

– Owszem. Gazety piszą, że Armia Powstańcza atakuje ze wschodu. – Fandorin pochylił głowę.

Wojenne wydarzenia niewiele go obchodziły. Myśli miał teraz

zajęte czym innym. Palce wśliznęły się do kieszeni, wymacały nefrytowy różaniec. Dotknięcie zimnych, gładkich paciorków jak zwykle przyspieszyło dedukcję.

– Gazety nie podają jednej dziesiątej prawdy! Machno, którego zapędziliśmy na kraniec Ukrainy, jakimś cudem zebrał nowe zastępy, rozbił naszą osłonę i teraz pruje taczankami przez step prosto na Taganrog. Zajął już Melitopol i Berdiańsk. Jeżeli nie przerzucimy co najmniej dwóch dywizji w tym kierunku, dojdzie do katastrofy! A bez dwóch dywizji nie zdołam przerwać czerwonego frontu!

– Po co mi pan to wszystko mówi? – chłodno zapytał Erast Pietrowicz.

Dowódca popatrzył na pułkownika.

– Arkadij mówi, że może pan zatrzymać ojczulka Machnę...

Zabrzmiało to niepewnie. Gaj-Gajewski chyba sam nie wierzył w taką ewentualność.

Ale do rozmowy znowu wtrącił się Skukin.

– Głównym doradcą oraz ideologiem ojczulka jest anarchista Aron Wola. Podobno stanowi najwyższy autorytet dla Machny. Pamiętam, jak jego mandat uratował nas wszystkich w Zielonej Szkole. Dobrze zna pan Wolę. Wysłucha pańskiej opinii. Nienawidzi zarówno białych, jak i czerwonych, parę dni temu na zjeździe chłopskich delegatów oznajmił, że Armia Powstańcza musi walczyć przeciwko dyktaturze proletariatu i przeciwko komunistom. A gdy czerwone dowództwo wysłało do Machny swoich emisariuszy, Wola przekonał ojczulka, żeby ich wyrzucił na zbity pysk. Gdyby porozmawiał pan ze swoim znajomym i wytłumaczył mu, że walcząc z nami, anarchiści pomagają czerwonym... Gdyby udało się wynegocjować rozejm i wspólne działania... Czerwoni są obrócenii w stronę Machny nieosłoniętą flanką, tak jak my. Ojczulek wejdzie tam jak nóż w masło. Jesteśmy gotowi dostarczyć mu broń, amunicję, umundurowanie oraz medykamenty.

Fandorin wstał, krzywiąc się.

– Niech się pan nie wysila. Mój udział w tej wojnie się skończył.

Prawie skończył, dodał w myślach i wyszedł. Czuł niepokój w duszy. Przed nim kolejna trudna rozmowa z żoną.

*

W holu Metropolu na Fandorina czekał Japończyk. Krzepiący uśmiech, który zastygł mu na twarzy, od razu powiedział: coś jest nie tak. W dodatku Masa zaczął od słów:

– Tylko się nie denerwuj, panie...

Erast Pietrowicz natychmiast tak się zdenerwował, że zaczęły mu drżeć ręce, który zwykle nie drżały nawet przy podnoszeniu sześciopudowych ciężarów.

– Co z nią?! – krzyknął.

– Panią rozboleło. O tutaj. – Pokazał Masa. – Zadzwońm do senseia Libkinda. Oświadczył, że nie może teraz przyjechać. Więc mu powiedziałem, że jeśli nie zjawi się za kwadrans, sam do niego pojedę. I powiedziałem, co mu zrobię. *Sensei* się zjawił. Teraz ratuje panią i dziecko. Wyszędłem, żeby się nie bał. Gdy lekarz się boi, może popełnić błąd.

– P-postąpięś słusznie. Chodźmy, zaczekamy w salonie.

Wbiegli po schodach, weszli na palcach do apartamentu i przez dłuższą chwilę miotali się po pokoju: Erast Pietrowicz chodził tam i z powrotem wzdłuż jednej ściany, Japończyk wzdłuż drugiej.

Za przymkniętych drzwi od czasu do czasu dobiegały przytłumione jęki. Za każdym razem obaj nieruchomieli i spoglądali na siebie w panice.

Wreszcie profesor opuścił sypialnię.

– Dobrze, że od razu mnie wezwano, w przeciwnym razie

doszłoby do poronienia – powiedział do Fandorina, nie patrząc na Masę. – Niewydolność szyjki macicy bywa niebezpieczna.

– Co to takiego? – Erast Pietrowicz zamarł. Diagnoza brzmiała przerażająco.

– Stała gotowość szyjki do samorzutnego rozwarcia – niezbyt zrozumiale wyjaśnił położnik. – Niech się pan nie martwi, założyłem pessarium. Jednakże zalecam, żeby przez dwa tygodnie żona nie wstawiała z łóżka, tak więc żadnych wyjazdów i eskapad. I nie powinna się denerwować, rzecz jasna. Nawet głupstwami.

Dopiero teraz zerknął na Japończyka, który trzymał się za plecami Fandorina.

– Czy pan naprawdę, łaskawco... hmm... zrobiłby to, czym groził?

– Nie znajduję słów na swoje usprawiedliwienie. – Masa uklonił się nisko.

– Fenomenalne – wymamrotał Libkind. – No cóż, panie Fandorin, odtąd podwajam stawkę mojego honorarium.

– Tak, oczywiście – pośpiesznie zgodził się Erast Pietrowicz. Chciał jak najprędzej znaleźć się w pokoju żony.

Mona leżała w łóżku blada, ale całkiem spokojna, nawet wesoła.

– Dziecko tak ruchliwych rodziców też nie chce usiedzieć na miejscu – powiedziała – ale teraz nie będzie miało wyjścia. Dwa tygodnie to dwa tygodnie. Nauczę was grać w kanastę. Nie macie już wprawdzie pieniędzy, będziecie grać na kredyt. Chcę też poćwiczyć angielski. A teraz bym coś zjadła. Masa, niech pan zamówi obiad w restauracji. Wie pan, co lubię.

*

Jadła z apetytem, nie przestając rozprawiać z ożywieniem, ale

przed deserem westchnęła i zapytała z rezygnacją:

– O co chodzi, Eraście? Znam to spojrzenie. Co cię dręczy?

– Nic – skłamał Fandorin. – Po prostu trochę się zdenerwowałem.

Później Mona słuchała, pólżąc w fotelu, jak Erast Pietrowicz czyta na głos ostatni zbiór Conan Doyle’a *His Last Bow. The War Service of Sherlock Holmes*[40]. Szeptem powtarzała nieznanne słowa. Nagle wyciągnęła rękę i zamknęła książkę.

– Wysyłasz wibracje. Mów prawdę, inaczej zacznę się niepokoić, a to niewskazane.

Musiał się przyznać.

– Zostały mi dwie sprawy. Jedna nieduża, druga zupełnie mała.

Brwi przyszej matki ściągnęły się groźnie.

– Znowu?

– Nie, nie, to nic ryzykownego. Po prostu dwie r-rozmowy, których potrzebuję dla spokoju ducha. Tyle że jedna z nich wymaga, bym wyjechał na dzień z Charkowa.

– Dokąd to?

Brwi jeszcze bardziej się nasepiły.

– Do Taganrogu.

– Do kwatery głównodowodzącego? – zapytała Mona, uspokajając się. Nie przerażała jej podróż na głębokie tyły. – Dobrze. Jedź. I więcej nie wibruj.

– Zrzucę ciężar z serca i wrócę w stanie błogości, jak Budda – obiecał Erast Pietrowicz.

Już czuł olbrzymią ulgę. Stara maksyma głosi: „Człowiek, który nie ukarał zła, nie jest lepszy od tego, który je czyni”. A w buddyjskim piekle za niewykonanie moralnego obowiązku grzesznik zostaje obciążony kamieniem ważącym sto *kamme*. Przyjemnie było zrzucić ten balast z duszy.

Nazajutrz Erast Pietrowicz znowu siedział przed generałem i pułkownikiem, ale pierwszy był o wiele stateczniejszy niż wiecznie podchmielony Gaj-Gajewski, a drugi nieporównanie bardziej reprezentacyjny niż delikatny Skukin. Rozmowa odbywała się w wagonie sztabowym głównodowodzącego Sił Zbrojnych Południa Rosji.

– Spisek? – zapytał generał, skubiąc siwą profesorską bródkę, i z powątpiewaniem spojrzął na adiutanta. – Trudno w to uwierzyć. Szczerze mówiąc, sądziłem, że spotykamy się z zupełnie innego powodu...

– Proszę wysłuchać pana Fandorina, Antonie Iwanowiczu – powiedział pułkownik. – Niech mi pan wierzy, że to nie mniej ważne.

Nie do końca jasna wymiana zdań nasunęła Erastowi Pietrowiczowi myśl, że błyskawiczną prędkość, z którą adiutant zaprowadził go do szefa, tłumaczy nie tylko przywieziona wiadomość, ale też inny powód. Afanasij Iwanowicz Schröder (oficer, którego Fandorin odwiedził niegdyś w sprawie wybuchu) ucieszył się na widok gościa z Charkowa, tak jakby ten był jego bliskim krewnym – mimo że Fandorin nawet nie zdążył przejść do sedna sprawy.

W swoim czasie zagadka z pewnością się wyjaśni, powiedział sobie Erast Pietrowicz i rozpoczął relację.

– Tak jest, wasza ekscelencjo, spisek. Na czele stoi oficer do specjalnych poruczeń przy dowódcy Armii Ochotniczej, pułkownik Skukin. Plan polega na tym, żeby Gaj-Gajewski został dyktatorem wojskowym. W tym celu należało uczynić go w-wodzem naczelnym jeszcze przed zdobyciem Moskwy. Jediną przeszkodę stanowi pan. Dlatego Skukin i jego współnik, podpułkownik kozacki Czeriepow, zorganizowali zamach na pana podczas wizyty w Sierocińcu Kaledińskim. Ocalał pan cudem, ale zginęły dzieci i kobiety.

– Władimir Zenonowicz czyha na moje miejsce? Próbował

mnie zabić? Nie wierzę – odparował głównodowodzący. – Znam tego człowieka z czasów wojny japońskiej. To nie w jego stylu.

– Owszem, to nie w jego stylu, Gaj-Gajewski nie ma zielonego pojęcia o spisku. Całą intrygę uknuł jego siostrzeniec, pułkownik Skukin. Co się wydarzyło w sierocińcu? Tuż przed pańskim przyjazdem Czeriepow, niby to sprawdzając aulę, umieścił bombę zegarową pod stołem. Dwaj wartownicy, których postawił przed drzwiami, stanowili gwarancję, że nikt nie wejdzie i mu nie przeszkodzi. Później Czeriepow sprzątnął obu świadków, żeby na nich padło p-podejrzenie... Gdy zamach się nie udał, spiskowcy postanowili widocznie czekać na kolejną okazję. W tym celu Skukin musiał wprowadzić swojego człowieka na stanowisko naczelnika Wydziału Specjalnego, który odpowiada między innymi za ochronę ważnych osób. Czeriepow osobiście zastrzelił dotychczasowego naczelnika księcia Kozłowskiego, po czym Skukin wepchnął swojego p-protegowanego na miejsce, które się zwolniło...

– Skąd pan to wie? – Generał się rozgniewał. – Czyżby pan widział, jak podpułkownik Czeriepow dokonuje zabójstwa?

– Nie. Ale po tym jak Gaj-Gajewski powiedział wczoraj w mojej obecności, że siostrzeniec namówił go, by wyznaczył Czeriepowa zamiast Kozłowskiego, zestawilem fakty. A potem niezwłocznie przepytalem sąsiadów zabitego. Podpułkownik Czeriepow wielce skrupulatnie przesłuchiwał każdego z nich – czy ktoś nie widział czasem czegoś podejrzanego przez okno. Jeden z tych ludzi, niejaki Salnikow, podobno rzucił się z pięściami na Czeriepowa podczas przesłuchania i został zabity. W trakcie wczorajszej rozmowy z lokatorami ustaliłem, co następuje. Przed śmiercią Salnikow wspominał przynajmniej dwóm sąsiadom, że rzeczywiście tamtej nocy palił papierosa przy oknie i widział w bramie dwóch oficerów. Twarzy nie rozpoznał, ale obaj byli wysocy, szczupli. Jeden, w kubańskiej papasze, szedł nieco z tyłu. I strzelił pierwszemu w t-tył głowy.

– Czeriepow pochodzi z Kubania, jest wysoki i szczupły – wtrącił Schröder.

– Sądzę, że przy takim n-naczelniku Wydziału Specjalnego wasza ekscelencja nie wróciłby cało z następnej inspekcji Armii Ochotniczej.

Głównodowodzący z oburzeniem mrugał czerwonymi ze zmęczenia oczami.

– Biali oficerowie! To potworne...

Kołnierzyk jego pomiętego munduru był nieświeży, policzki pokrywał szary zarost. Z boku, na rozłożonej mapie, stał talerz z niedojedzonym kotлетem. Zza parawanu w rogu wystawała krawędź polowego łóżka. Widocznie generał jadł i spał, nie opuszczając pomieszczenia, w którym zbiegały się nici dowodzenia białymi armiami.

– Uznałem za swój obowiązek, by powiadomić pana o s-spisku pułkownika Skukina, bo mimo że nie jestem zwolennikiem białej Rosji, z pewnością nie pragnę, żeby Rosja stała się b-brązowa – powiedział Fandorin, dodając w myślach: No i jest jeszcze kamień ważący sto *kamme*.

Erast Pietrowicz sam chętnie by się porachował z zimnym zabójcą dzieci, ale nie pozwalała mu na to obietnica, którą złożył Monie.

– O jakiej brązowej Rosji pan mówi? – zapytał generał. Wciąż nie mógł ochłonąć, więc nie czekając na odpowiedź, jęknął: – Boże, uknuć spisek, i to teraz! A przede wszystkim w imię czego?

Schröder odchrząknął.

– Jakie będą rozkazy, Antonie Iwanowiczu?

Głównodowodzący westchnął ciężko.

– Skukina aresztować. Gaj-Gajewskiego odsunąć od dowodzenia. Przeprowadzić staranne śledztwo. Nie teraz, ma się rozumieć, gdy sytuacja na froncie jest bardzo napięta. W ciągu najbliższego tygodnia wszystko się rozstrzygnie i wtedy winni zostaną ukarani. Na razie niczego nie dawać po sobie poznać.

Tego tylko brakuje, żeby w takim momencie dowodzenie Armią Ochotniczą zostało sparaliżowane. – Pokręcił głową z goryczą. – Eraście Pietrowiczu, marzę tylko o tym, żeby wykonać swoją misję, uwolnić Moskwę od bolszewickiej dyktatury i przejść w stan spoczynku. Nie potrzebuję żadnej władzy. Niech Bóg broni! Mam młodą żonę i córeczkę. Chcę mieszkać z nimi w swoim majątku i nigdy więcej nikim nie dowodzić, z nikim nie walczyć, nie decydować o cudzych losach...

Gdy Fandorin usłyszał o młodej żonie i córeczce, zerknął na głównodowodzącego z zainteresowaniem i współczuciem. Przypomniawszy sobie, co powiadają o generale. Pierwszy raz ożenił się bardzo późno, z młodą córką współpracownika, i podobno każdą wolną chwilę stara się spędzać z rodziną.

– Bóg widzi, że nie pragnąłem tego stanowiska. Ale skoro Pan włożył krzyż na ramiona kogoś tak słabego i ułomnego jak ja, muszę go dźwigać z pokorą. Wszyscy niesiemy krzyż. Musimy uratować nieszczęsną Ruś przed zgubą.

– Po co mi pan to m-mówi? – zapytał Erast Pietrowicz, domyślając się, że wynurzenia generała muszą czemuś służyć. – Jest pan niezwykle zajęтым człowiekiem i nie traciłby pan czasu na próżno.

Głównodowodzący popatrzył nań badawczo.

– Pańskie informacje na temat spisku są bez wątpienia ważne i jestem panu wdzięczny za przeprowadzenie śledztwa. Ale jest sprawa nieporównanie ważniejsza, w której mógłby pan pomóc Rosji. Wiem, o co prosił pana wczoraj Władimir Zenonowicz, bo złożył mi szczegółową relację przez telefon. Oto dlaczego przyjąłem pana niezwłocznie, poza kolejnością. Przednie strażce armii Machny są już w odległości stu wiorst od mojej kwatery. Muszę natychmiast podjąć decyzję o przerzuceniu wojsk z frontu. Czyniąc to, prawie na pewno zaprzepaszczę nieuchronne zwycięstwo nad czerwonymi. Natomiast jeśli uda się pan do Machny i przekona go, żeby przerwał natarcie...

Generał podniósł rękę, widząc, że Fandorin chce mu przerwać.

– Niech mi pan pozwoli dokończyć. Teraz rozumiem, dlaczego odmówił pan Gaj-Gajewskiemu. Po co pozwalać, żeby władzę przejęli tacy dranie jak Skukin? Mnie również może pan oczywiście odmówić. Uchylić się od wyboru. Ale gdy człowiek może kogoś uratować i tego nie robi – to też wybór. Z którym musi później żyć. A my mówimy przecież o uratowaniu całego kraju, wielu dziesiątków milionów. My, biali, nie jesteśmy bynajmniej aniołami, jesteśmy krwią z krwi starej Rosji ze wszystkimi jej niedoskonałościami i ułomnościami, ale też z jej przyrodzoną siłą, pięknem i historią. Tymczasem władza bolszewicka pochodzi od Szatana. Obróci Rosję w piekło, w jeden olbrzymi obóz koncentracyjny.

– To samo zamierza zrobić też p-pułkownik Skukin.

– Teraz dzięki panu nie robi. Przed chwilą powiedziałem, że marzę o emeryturze. Ale zdam obowiązki dopiero wtedy, gdy ukończę swoją świętą misję. Nie mam złudzeń co do własnych zdolności. Nie posiadam stalowej woli admirała Kołczaka, nieposkromionej energii barona Wrangla, wojennego geniuszu Gaj-Gajewskiego, ale w tym ciężkim wyborze, który dzisiaj stoi przed Rosją, jestem najmniejszym złem. Choćby dlatego, że twardo zamierzam nie czynić zła. Gdy zdobędę Moskwę – jeśli ją zdobędę – nie będzie ani rozstrzeliwania, ani szubienic. Ogłoszę powszechną amnestię, będę prowadził politykę zgody narodowej. Bo tu nie chodzi o Lenina czy Trockiego. Rewolucję zrodziła niesprawiedliwość społeczna. Więc ją zlikwiduję. W każdym razie uczciwie postaram się to zrobić. Biała Rosja nie jest niewinna, ale to Rosja, w której białe jest białe, a czarne jest czarne i w walce pierwszego z drugim władza będzie po stronie białego. Oto czym jest biała prawda.

Fandorin milczał. Argumenty Antona Iwanowicza go przekonały. Zwłaszcza ten, że odmowa działania to też wybór. Głównodowodzący chyba nawet się nie domyślał, że niemal

słowo w słowo przytoczył stary paradoks *zen*. „Brak działania jest tożsamy z działaniem, a działanie nie jest tożsame z brakiem działania”.

– Widzę, co z pana za człowiek – cicho podjął generał. – To oczywiste, że nie umyje pan rąk, pozostawiając ojczyznę w potrzebie, a po jej zgubie pozwoli jeszcze, żeby smażyła się w piekle. Jeśli jednak myślę się co do pana... Człowiek w odróżnieniu od kraju sam wybiera sobie piekło... To wszystko, co miałem panu do powiedzenia. Teraz proszę wybaczyć. Mam trudną sytuację na froncie i jeszcze trudniejszą na tyłach.

Erast Pietrowicz wyszedł z salonki blady jak płótno. Bardzo się przestraszył, że Mona mu tego nie wybaczy.

*

Z tym większą ochotą uchwycił się możliwości odsunięcia tego, co nieuniknione. Pozostawała jeszcze druga sprawa, o której wspomniał żonie. Zupełnie mała.

Wróciwszy nocnym pociągami do Charkowa, najpierw wstąpił oczywiście do sztabu armii, żeby omówić szczegóły zbliżającej się wyprawy, ale zaraz potem udał się do Wydziału Specjalnego.

Romanow przyjął gościa w gabinecie, uprzejmie zapytał o cel niespodziewanej wizyty. Spojrzenie miał bez wyrazu, twarz zmizerniałą.

– Aleksieju Parysowiczu, jest pan czerwonym szpiegiem – nie zapytał, lecz stwierdził Fandorin.

Oczy Romanowa ożyły, zmrużyły się.

– To żart?

– Wiem o tym od dawna. Od dnia, w którym pana p-poznałem. Pamięta pan, jak wtedy w łodzi, po ucieczce od czerwonych, wyrzucił pan puste łuski z magazynka i jedna wpadła mi pod nogi? Podniosłem ją i zobaczyłem, że kryza jest wydłużona.

Strzelał pan ślepyimi nabojami, a to znaczy, że cała historia z ucieczką była mistyfikacją. Uznałem, że to nie moja sprawa i m-milczałem...

Romanow słuchał czujnie. Miał mocne nerwy.

– Gdy w sierocińcu doszło do dywersji, był pan dla mnie podejrzanym numer jeden, ale okazało się, że ma pan alibi: Kozłowski powiedział, że nie było pana w Charkowie. Więc znowu zostawiłem pana w spokoju, bo nie brałem udziału w wojnie d-domowej.

– Teraz coś się zmieniło? – półgłosem zapytał kapitan.

– Tak. Dokonałem wyboru. Za dwie godziny udaję się w d-delegację, która prawdopodobnie rozstrzygnie losy wojny...

– Do Machny? Niech się pan nie dziwi, że jestem poinformowany. Jako zausznik Skukina wiem teraz o wszystkim.

Erast Pietrowicz kiwnął głową z uznaniem. Podobało mu się, że młody człowiek się nie wykręca, nie traci zimnej krwi i co najważniejsze, nie zabiera niepotrzebnie czasu.

– Czuję do pana sympatię, nie p-pragnę pańskiej śmierci. Ma pan dwie godziny, żeby się ukryć. Przed odjazdem przekażę Gaj-Gajewskiemu notatkę, w której wszystko wyjawię. Więc radzę natychmiast zniknąć.

Wstał, uważając rozmowę za skończoną, ale kapitan też się podniósł.

– Zamierza mnie pan zabić? – zdziwił się lekko Fandorin. – Odradzam.

– Nie. Zdaję sobie sprawę, że to mnie przerasta... Wiedziałem, że prędzej czy później dokona pan wyboru. Miałem nadzieję, że innego... Jest pan przecież mądrym człowiekiem. Czyżby pan nie rozumiał, że prawdziwa Rosja jest z nami, a nie z nimi?

– Z t-towarzyszem Zajenką? Z uwalanymi ulicami, zbrukanymi świątyniami, stratowaną kulturą?

– A jeśli Rosja jest właśnie taka? A jeśli tamtą Rosję, która się panu podoba, wymyślili Puszkina i Turgieniew? A prawdziwa to

Stieńka Razin i Jemielka Pugaczow? Jest pan pewien, że zna własny naród? Można go oczywiście zapędzić na powrót do piwnic i baraków, można zakuć w łańcuchy. Ale żeby to zrobić, trzeba przelać morze krwi, tutaj Arkasza Skukin ma stuprocentową rację. Puszkina i Turgieniew białych to mrzonki. Nie lepiej przestać się oszukiwać? Przyznać, że Rosja to nie klomb z kwiatkami, ale kupa gnoju. Nie przykładać do nosa uperfumowanej chusteczki, tylko chwycić za łopaty, nie bać się brudu. Wtedy może za sto lat kraj zamieni się w kwietnik.

– Skukin to awanturnik i *xiaoren*. Nie zostanie dopuszczony do decydowania o losach Rosji, a pańska alegoria kuleje. B-brudu trzeba się bać. Właściwie tylko tego należy bać się w życiu. Jeśli przestanie pan mędrkować o tym, co jest słuszne, tylko wsłucha się w siebie, wewnętrzny głos zawsze panu powie, co jest słuszne, a co nie... A zresztą, to pańska karma.

I Fandorin wyszedł.

Nie żegnam się

...I wynurzamy się z ciemnej choć oko wykol, tonącej w czerni bramy na zalaną słońcem ulicę.

Mrużysz oczy przed jaskrawym słońcem.

– Gdzie jesteśmy? – pytasz, a ja sobie przypominam, że słabo znasz Moskwę.

– Na ulicy Nikolskiej. Na lewo, dwie minuty stąd, jest plac Czerwony. Widzisz, jak zręcznie cię wyprowadziłem? To moje miasto. Znam tutaj każdy zaułek. Chodźmy!

Przepełnia mnie energia i niezwykła lekkość. Czuję się... nie, nie młody, czuję się doskonały.

Człowiek, który przez wiele lat uczył mnie, jak panować nad własnym ciałem, nazywał moralność niebezpieczną barierą oddzielającą ciało od ducha. „Moralność zawsze nakazuje stawiać czyjeś interesy ponad swoimi, natomiast ciało zawsze kieruje się tylko tym, co jest dla niego najlepsze – powtarzał. – Skoro nie chcesz usunąć szkodliwej zapory, która rozszczepia twoje »ja« i uniemożliwia połączenie się *Yin* z *Yang*, to znaczy, że nigdy nie będziesz doskonały”.

Mój niezbyt czcigodny *sensei* był potworem; traktowaliśmy się w ten sam sposób: z pewną dozą szacunku i zainteresowania, a jednocześnie z pogardą. Nazywał mnie swoim „półuczniem”, a ja jego „półnauczycielem”. Nie zdziwię się, jeśli dotąd żyje i wciąż potrafi wbiec po murze na piętro lub zeskoczyć z czwartego. Ale pół*sensei* się pomylił. Osiągnąłem doskonałość. Dzięki tobie. Mam wielką ochotę powiedzieć ci o tym, ale się waham. Wciąż jeszcze się gniewasz.

Na ulicy Nikolskiej zgromadziło się mnóstwo ludzi, wszyscy zmierzają w jedną stronę – powoli, nikt się nie śpieszy. Twarze wesołe, ale nie swawolne, zdają się raczej zwrócone w głąb siebie, nikt nie krzyczy ani nie chichocze. To nie tego rodzaju dzień.

Zatrzymujemy się koło małego soboru Kazańskiego. Widać stąd Kreml i plac Czerwony, ale jest zbyt tłoczno. Wszyscy kierują się w stronę soboru Wasyla Błogosławionego. Rozglądają się w milczeniu.

Wzdłuż długiego budynku Wierchnich Torgowych Riadów^[41] stoi rząd szubienic, wiszą na nich worki z rogoży. Na każdym tabliczka. Z miejsca, gdzie stoję, udaje mi się przeczytać napisy na trzech najbliższych: „Władimir Uljanow. Dyktator”, „Lew Bronstein. Rozstrzeliwał zakładników”, „Feliks Dzierżyński. Przywódca katów”. Niegdyś tak samo wisieli tutaj strzelcy straceni przez Piotra. Ale dzisiaj worki wypełnione są słomą. Egzekucja ma wymiar symboliczny. Głównodowodzący dotrzymał słowa.

Mówię:

– Słuchaj, skoro ogłoszono powszechną amnestię, może ty też mi wreszcie przebaczysz? Jak długo zamierzasz mnie karać? Przecież wszystko skończyło się dobrze.

Wzdychasz.

– Zgoda. Skoro w tym dniu winy idą w niepamięć... Jesteś podłym wiarołomcą, ale zgoda. Widocznie taka była moja karma: związać się ze „szlachetnym mężem”. Przecież rozumiem. Nie miałeś wyboru. Pamiętam twoje słowa: „Szlachetnemu mężowi tylko się zdaje, że ma wybór”.

– Wybór ma zawsze. Może zrezygnować z bycia szlachetnym mężem. Ale dosyć o tym. Teraz zostanę zwyczajnym mężem. Będę żył tylko dla ciebie i dla córeczki.

Pokazuję na twój odstający płaszcz.

– Dla syna – poprawiasz. – Chcę chłopca i to będzie chłopiec.

Ale amnestia obejmie cię pod jednym warunkiem. Musisz zdać mi relację ze swojej wyprawy. Od tamtej chwili, gdy po spotkaniu w Taganrogu tchórzliwie uznałeś, że nie będziesz mi niczego tłumaczył i wyjedziesz po kryjomu. Wiem tylko, że wysłałeś telegram do Masy, a on, judasz, niczego mi nie mówiąc, popędził na spotkanie z tobą. Co było potem? Opowiadaj i nie pomijaj żadnych szczegółów.

Zaczynam więc swoją opowieść.

*

...Specjalne straże pilnowały najbardziej oddalonego peronu Dworca Południowego w Charkowie, przeznaczonego na potrzeby sztabu Armii Ochotniczej. Zwykle stał tam pociąg głównodowodzącego. Stamtąd też miałem wyruszyć.

Gdy na peron wpuszczono Masę, wytłumaczyłem mu, dokąd i po co jadę. Poprosiłem, żeby wymyślił dla ciebie jakieś uspokajające kłamstwo. Przekazałem notatkę na temat Romanowa, którą należało wręczyć generałowi Gaj-Gajewskiemu. Nie powiedziałem o Skukinie, bo Masa mógłby porachować się z łajdakiem po swojemu, a tego nie miałem w planach. Niech trybunał osądzi spiskowca. Zresztą trudno było cokolwiek wytłumaczyć – Skukin wciąż tkwił obok. Otrzymał zadanie zorganizowania mojego wyjazdu.

– Jeżeli nie wrócę przed wyznaczonym przez profesora Libkinda terminem porodu albo jeśli pojawi się jakieś niebezpieczeństwo, zawieź Jelizawietę Anatoljewnę na Krym – mówiłem Masie. – Czekać tam na mnie przez dwa tygodnie. W żadnym razie nie dłużej. Później ruszajcie do Szwajcarii.

– I tam na pana czekać?

– Tak jest.

W oczach Masy coś mignęło i nagle gorąco zapragnąłem go

objąć. Wyobrażam sobie, jak by się przestraszył. Zamiast tego prawą ręką zrobiłem zwodniczy gest, a lewą pacnąłem go w głowę.

– *Atari!* Znowu wygrałem.

Mamy taką starą grę: jeden z nas wymierza niespodziewany cios, a drugi musi go sparować.

– I ani razu uczciwie! – powiedział Masa.

Widziałem, że ma wielką ochotę pojechać ze mną, ale rozumie, że musi cię chronić.

W tej samej chwili do Skukina podszedł tyczkowaty oficer w skórzanej czarnej kurtce, zameldował o czymś półgłosem.

– Eraście Pietrowiczu, motodrezyna gotowa. Może pan ruszać – powiedział Skukin.

– Na mnie pora.

Skinąłem głową Masie, on mi się uklonił i odszedł.

Generał Gaj-Gajewski, entuzjasta kolei, miał na stacji cały park transportowy: od ciężkiego pociągu pancernego przeznaczonego do wyjazdów na front ze sztabem, do pojedynczych lokomotyw-wagonów i lekkich drezyn na krótkie wyprawy po tyłach. Wybrałem najmniejszą z nich – kabinę z silnikiem automobilowym.

– Jest pan pewien, że nie potrzebuje żadnego pomocnika? Nawet kierowcy? – po raz któryś z rzędu zapytał Skukin.

– Jestem pewien – odparłem, nie patrząc na pułkownika. Ludzie tego rodzaju zawsze budzili we mnie wstręt.

Nagle z przodu, nieopodal, zauważyłem scenę, dość dziwną w strzeżonym obiekcie. Stał tam tramwaj szynowy – wagon tramwajowy przystosowany do jazdy po torach – jeszcze jeden środek transportu z kolekcji Gaj-Gajewskiego. Chłopcy w niebieskich szynelach, z jednakowymi walizeczkami w rękach posłusznie wspinali się po schodkach, podsadzani przez dwie damy.

– Chyba pan wie, jaki mamy z Władimirem Zenonowiczem

stosunek do dzieci z Sierocińca Kaledińskiego. Dowódca wydał rozkaz, żeby ewakuować sierotki na Krym – wyjaśnił Skukin, zauważywszy moje spojrzenie. – Tam jest cieplej. Niech się pan nie martwi, zaraz ruszą i tor się zwolni.

Znowu się odwróciłem, słowo „sierotki” poruszyło mnie do żywego. Obiecałem sobie, że porozmawiam jeszcze z pułkownikiem na temat sierocińca. Gdy będzie już można.

Znowu podszedł oficer.

– Panie pułkowniku, sprawdziłem silnik tramwaju szynowego – powiedział z lekkim kaukaskim akcentem, z szacunkiem nachylając się w stronę małego Skukina. – Jest mocno zużyty, ale jeśli zgaśnie, wystarczy popchnąć i znów zaskoczy. Nawet dzieci dadzą sobie radę. Wagon jest zupełnie lekki.

– Byleby tylko nie utknął przed rozjazdem, bo może zatrzymać pana Fandorina. Eraście Pietrowiczu, to porucznik Riewazow, inżynier ze specjalnego oddziału kolejowego. Mam nadzieję, poruczniku, że z drezyną sprawa wygląda lepiej?

– Drezyna jest w zupełnym porządku. – Inżynier zasalutował.

Dzieci już wdrapały się do swojego wagonu, wspięły się też wychowawczynie. Tramwaj zgrzytnął kołami i ruszył. Niebiescy chłopcy podnieśli zgiełk, zaczęli machać rękami, chociaż nikt ich nie odprowadzał.

Pomachałem im na pożegnanie. Pułkownik i porucznik też się obrócili.

– No i proszę, droga wolna – energicznie rzekł Skukin. – Przez pierwsze jedenaście wiorst niech pan po prostu jedzie za nimi, zaraz za mostem na rzece droga się rozwidla. Pański tor skręca w prawo, na...

– Znam trasę – przerwałem. – Poruczniku, niech mi pan wyjaśni, jak kierować drezyną.

Rzeczowy, ostentacyjnie oschły inżynier pierwszy wspiął się do kabiny.

– Podobno prowadzi pan automobil? Zasada jest ta sama, tylko

z wiadomego powodu nie ma kierownicy. Ruch po szynach jest płynny, a opór minimalny. Dlatego gdy się pan rozpędzi, proszę nie dodawać za dużo gazu. Na długim zjeździe, żeby zaoszczędzić paliwo, może pan w ogóle wyłączyć silnik. – Pokazał na dół. – To pedał gazu, a to hamulec. Proszę pamiętać, że droga hamowania jest bardzo długa, przy prędkości sześćdziesięciu wiorst to co najmniej dwieście metrów. Tutaj jest dźwignia hamulca awaryjnego. Należy się nią posłużyć jedynie w wyjątkowym przypadku – maszyna może wypaść z torów, a z powrotem nie uda się panu jej postawić bez pomocy.

– Ciągnąć do siebie, szarpnięciem? – zapytałem, sprawdzając opór hamulca.

– Nie teraz! – zawołał inżynier z gniewem, mocno chwytając mnie za rękę. I burknął: – Przepraszam. Później nie tak łatwo umieścić go w poprzedniej pozycji... Co jeszcze trzeba wiedzieć? Z tyłu jest zapasowy kanister. Ale przyda się, tylko jeśli będzie pan korzystał z grzejnika. Przy równomiernym biegu zużycie benzyny jest niewielkie. Pytania?

Nie miałem pytań. Obsługa była elementarnie prosta.

Skukin odesłał porucznika, a mnie przeżegnał znakiem krzyża.

– Niech pan jedzie z Bogiem!

– Czyżby był pan wierzący? – zapytałem. Osobnicy tego rodzaju zazwyczaj nie wykazują skłonności do mistyki.

– Nie, ale w tej sytuacji nie obejdę się bez bożej pomocy – odparł z przekonaniem, a nawet z drzeniem w głosie.

Ach tak, zapomniałem, że wśród Skukinów trafiają się jednak szczerze wierzący – w to, że Bóg istnieje wyłącznie dla nich.

No cóż, pomyślałem, niebawem twój bóg bardzo ci się przyda.

Udając, że nie zauważam wyciągniętej ręki, zająłem miejsce kierowcy i włączyłem silnik, który zaskoczył od pół obrotu.

Drezyna szybko nabrała prędkości, pędziła jak jacht sportowy popychany dobrym oceanicznym wiatrem – gładko i lekko. Obok przesuwały się budynki stacyjne, później pokazały się

przedmieścia.

Myślałem o trasie.

Dojechać do Łozowej, później skręcić na Jekaterynosław, do którego oczywiście nie dotrę – jest już w rękach ludzi Machny. Zatrzymają mnie wcześniej. Prawdopodobnie nastąpi to za jakieś trzy godziny. To najbardziej ryzykowna, chyba jedyna ryzykowna chwila: mogą nie zatrzymać, tylko podziurawić ogniem z karabinu maszynowego na taczance. Wtedy trzeba będzie wyskoczyć w biegu, ale to głupstwo.

Gdy tylko pokażę przepustkę podpisaną przez Arona Wolę, wszystkie niebezpieczeństwa się skończą. I dzięki Bogu. Zupełnie mi nie zależy na przygodach. Najlepsze lata życia chcę spędzić z żoną i córką. Albo, no dobrze, z synem, chociaż mężczyźni w rodzie Fandorinów nie mają szczęścia do ojców. Pradziadek zaginął pod Borodinem jeszcze przed narodzinami dziadka. Dziadek poległ na Kaukazie, zostawiając małego syna. A mojego rodzica, którego nieobyczajna dusza raczej nie trafiła do królestwa niebieskiego, trudno nazwać ojcem.

Zacząłem się zastanawiać, jakim ja będę ojcem, i zapomniałem o Aronie Woli, o ojczulku Machnie i o wojnie.

Drezyna zatoczyła łuk wokół niewysokiego wzgórza i od razu za zakrętem wypadła na most kolejowy na rzece. Tuż za nim, jakieś sto metrów przede mną, włókł się tramwaj szynowy. Z tyłu i z boków oblepiły go małe niebieskie figurki.

A jednak utknął, popychają!

Ten obraz coś mi przypominał. Coś z dawnej przeszłości. To już było: chłopcy w niebieskich mundurkach i krążące nad nimi widmo nieszczęścia.

Teraz nie było jednak mowy o nieszczęściu.

Nie mogłem hamować zwyczajnie – wpadłbym na tramwaj i zgniótł dzieci, ale miałem przecież hamulec awaryjny.

Więc szarpnąłem go z całej siły ku sobie...

*

– Dlaczego umilkłeś? Co się stało? – pytasz.

Umilkłem, bo ktoś mnie woła. Bardzo natarczywie. Oglądam się.

– Później dokończę. Muszę iść. Wołają mnie. Naprawdę nie słyszysz?

– Nie słyszę – mówisz. – Idę z tobą. Proszę!

– Daj spokój. – Uśmiecham się. – Zaczekaj tutaj. Uwinę się raz, dwa. Popatrz sobie na świętujących ludzi. Nawet nie zauważysz, jak będę z powrotem. Więc się nie żegnam.

41 Wierchnije Torgowyje Riady – dom towarowy, od 1952 roku nosi nazwę GUM (przyp. tłum.).

I o pogodzie

Pogoda znów była cudowna. Obudziwszy się, Mona otworzyła oko i od razu je zamknęła – prosto w źrenicę celnym strzałem uderzyło słońce. Chciała się ukryć z powrotem we śnie, żeby jeszcze trochę pobyc z tym, którego teraz mogła widzieć tylko podczas snu, ale już się nie udało. Najgorsze było to, że nigdy nie potrafiła przypomnieć sobie treści nocnych widzeń. Działo się tam coś ważnego. Ale co?

Trzeba wstawać.

Od pewnego czasu Mona nienawidziła słonecznej pogody. Co innego, gdy człowiek się budzi, a niebo w żałobie, płacze deszczem, wyje wiatr. Wtedy Mona czuła się dobrze. W harmonii ze światem. Bo jeśli masz w środku nieprzyjemną szarugę, a wokół jest „majowy dzień, imieniny serca”[42], przyroda wydaje się zdrajczynią. Zwłaszcza jeśli to nawet nie maj, tylko październik.

Znowu jest przeklęty październik, ale u nich tutaj jesień nie chce się zacząć, wciąż trwa niekończące się babie lato i każdy dzień to raj, błękitnieją beztroskie Alpy, złoci się obojętne jezioro. Obce, widowiskowe, nedorzeczne piękno.

Mona nie lubiła Szwajcarii, nazywała ją „służbówką szwajcara”. Życie w służbówce, pod schodami – oto czym jest ta wasza Genewa. Ale nie ma rady, dziecko potrzebuje babci. Zwłaszcza jeśli matka dziecka jest kukułką, która od rana do wieczora kuka i kuka, na dodatek wciąż o sobie: Kuu-Kuu, Kuu-Kuu.

Niedawno rozmawiała z Masą.

Powiedziała: „To, co znaczyl dla ciebie czlowiek, pokazuje rozmiar dziury, która w tobie zostaje. Czasami dziura jest tak olbrzymia, że wciąga bez reszty”. Masa odparł: „Mówi pani o *Kuu*, Pustce? – I narysował ideogram 空. – Wszyscy z niej wyszli i do niej wróca. Ale po co masz się śpieszyć, pani? Jest przecież jeszcze poczucie obowiązku. Nie jest pani sama”.

Co prawda, to prawda. Gdyby Mona była sama, pewnie do tej pory siedziałaby w Sewastopolu, licząc na cud. Ale na Krym zjechała matka i zabrała ją, rozdętą i galaretowatą jak meduza, żeby „urodziła w normalnych warunkach”.

– Jeffem bewnaziejną mafką – z westchnieniem powiedziała Mona, stojąc w wannie i patrząc na siebie w lustrze.

Z ust wystawała szczoteczka do zębów. Twarz była bez wyrazu.

Aleksander Erastowicz mieszkał tutaj, w Genewie, u dziadków. Mona odwiedzała syna. Gdy czuła, że jest w stanie się uśmiechać. Bo gdy człowiek ma niecałe dwa latka, trzeba się do niego uśmiechać. A przynajmniej nie szlochać, gdy podnosi na ciebie oczka, one zaś są tak samo niebieskie jak...

Dzisiaj znowu nie pójdę, stwierdziła Mona i westchnęła. Lepiej wróć do łóżka. Póki pogoda się nie unormuje.

Zakręciła kran i usłyszała pukanie do drzwi. Delikatne, ale uporczywe. Musiało trwać od dłuższego czasu. Masa.

– Zaraz! – zawołała Mona, powoli wkładając szlafrok.

*

– Przyniosłem ci bułki i gazetę, pani – powiedział Japończyk.

Wyglądał dzisiaj inaczej. To, że przyniósł gazetę, też było dziwne. Mona nigdy nie zaglądała do gazet. Wiadomości w ogóle jej nie interesowały.

– Proszę, niech pani zobaczy.

Na pierwszej stronie nagłówek: *L'arrivée de la délégation Soviétique*[43]. Mona obojętnie przebiegła wzrokiem liniiki gęstego druku.

„Do Lozanny przybyła misja z czerwonej Moskwy, żeby uzyskać dla Rosji status pełnoprawnego uczestnika zbliżającej się konferencji międzynarodowej na temat cieśnin Morza Czarnego. To pierwsze oficjalne *démarche* bolszewickiej dyplomacji od czasów...”.

Odsunęła gazetę.

– Po co mi to?

Masa pokazał palcem liniijkę na samym dole.

– Wojskowy szef delegacji. Widzi pani?

– ...Wiesz, gdzie się zatrzymali? – zapytała Mona po dłuższej chwili. Odechciało jej się wracać do łóżka.

– W hotelu Beau-Rivage Palace.

*

Okna narożnego apartamentu najlepszego lozańskiego hotelu wychodziły na esplanadę i jezioro. Był to jeden z najświetniejszych widoków na świecie, ale wymuskany wojskowy w doskonale dopasowanym frenczu z malinowymi wypustkami nie zwracał uwagi na cudowny *belle vue*. Siedział przy biurku i szybko zapełniał kartkę drobnym, zadziwiająco starannym pismem.

– Tak? – powiedział, unosząc głowę z idealnym przedziałkiem.

Skrzypiąc lakierowanymi oficerkami, wszedł asystent, wysoki brunet, tak samo zadbany jak szef.

– Towarzyszu komkorze[44], interesantka do was – i po krótkiej przerwie dodał z naciskiem: – Przedstawiła się jako pani Fandorin.

Wojskowy szef delegacji lekko wygiął brew, w zamyśleniu potarł czerwoną rozetkę orderu.

– Ach tak?

Wstał, podszedł do okna.

– Powiedzieć, że nie przyjmujecie?

– Ależ dlaczego? Tylko...

Komkor uczynił nieokreślony gest, ale asystent zrozumiał.

– To oczywiste. Jeśli nie zechce poddać się rewizji, nie wpuszczę.

Ale interesantka nie odmówiła. Podczas gdy brunet w sąsiednim pomieszczeniu powoli i dokładnie ją przeszukiwał, stała bez ruchu, z nieobecny wyrazem twarzy. Gdy usłyszała: „Może pani wejść”, weszła, tak samo obojętna.

Kawaler orderu przywitał ją nad wyraz uprzejmie – pochylił głowę, strzelił obcasami.

– Co panią sprowadza, Jelizawieto Anatoljewno?

Mona uważnie mu się przyglądała, zdawała się czegoś nasłuchiwać.

– W czym mogę pomóc? – zapytał. – Chyba pani wie, że przybyłem tutaj oficjalnie, jestem jednym z szefów delegacji radzieckiej, a pani, jak sądzę, jest białą emigrantką.

Wyczuwalny niepokój i ciekawość, stwierdziła Mona, wyraźnie słysząc dźwięk fletu. I coś jeszcze. Radosne podniecenie. Mój widok go cieszy. Ale to nie jest męskie zainteresowanie, nie. Raczej triumf.

– Dzień dobry, Arkadiju Siergiejewiczu, chciałam się tylko dowiedzieć, gdzie teraz jest Aleksiej Parysowicz Romanow. Wiem jedynie, że wtedy, jesienią dziewiętnastego, zbiegł do czerwonych. Może go pan spotkał?

– Romanow służy w GPU[45]. Chyba pani wie, co to takiego? Widujemy się czasem służbowo. A z jakiego powodu, jeśli wolno spytać, interesuje panią towarzysz Romanow?

W oczach Skukina płonęły wesołe ogniki. Upaja się sytuacją,

domyśliła się Mona. Czemu?

– Zna pan powód – odparła cicho.

– Jeśli to jest to, o czym myślę, Romanow nie ma z tą sprawą nic wspólnego. – Teraz Skukin się uśmiechnął. – Jak pani chce, opowiem, co się wydarzyło. Proszę spocząć.

Szarmanckim gestem pokazał fotele przed biurkiem. Usiedli oboje: Mona – wyprostowana, z rękami złożonymi na kolanach, Skukin – swobodnie, z nogą na nogę.

Mona patrzyła nań wyczekująco.

– Naczelnik kontrwywiadu Romanow zjawił się u mnie w sztabie. Z wielce nieprzyjemną nowiną i bardzo ciekawą propozycją. Nowina była taka, że czeka mnie aresztowanie, trybunał i bez wątpienia rozstrzelanie. Kapitan rozmawiał niedawno z pani małżonkiem i będąc człowiekiem roztropnym, wyciągnął odpowiednie wnioski. Pan Fandorin napomknął, że już po mnie, a Romanow domyślił się reszty. Był już wtedy uczestnikiem mojego... projektu. – Skukin wykonał nieokreślony ruch palcami. – Tak to nazwijmy. No więc z uwagi na zmianę okoliczności zaproponował mi, żebym zamknął swój projekt i przyłączył się do jego projektu.

– Nie rozumiem – powiedziała Mona. – O jakich projektach mowa?

– Nieważne. Romanow oświadczył: „Biała sprawa wisi na włosku, ty zaś możesz go przeciąć. Nie pozwól Fandorinowi, by dotarł do ojczulka Machny, wtedy nasi przyjmą cię jak bohatera i zbawcę rewolucji”. Zgodziłem się, rzecz jasna. Jaki miałem wybór? Liczyły się dosłownie sekundy, ale zdążyłem. – Skukin pokręcił głową z podziwem. – Romanow chciał, żebym aresztował pani męża i przez dwa, trzy dni nie wypuszczał. W tym czasie Machno zbliżyły się do samej kwatery i głównodowodzący musiałby wycofać wojska z frontu. Biorąc jednak pod uwagę fenomenalne zdolności pani małżonka, rozwiązałem problem w radykalny sposób. A jeśli nie dałby się

aresztować? Albo by uciekł? Co to, to nie. Wyprawilem z honorami pana Fandorina w drogę, wsadziłem do wspaniałego pojazdu i posłałem prosto do nieba. Choć właściwie Erast Pietrowicz sam się tam wyekspediował, własną ręką.

Zrobił gest, jakby pociągał za jakąś dźwignię, i się roześmiał.

– Był bohater... i nie ma. Nie zostało nic, zupełnie nic. Pięć pudów dynamitu to nie żarty.

Tamtego dnia na torach kolejowych doszło do jakiegoś wybuchu, przypomniała sobie Mona. Gazety pisały o kolejnym nieudanym akcie dywersji czerwonych, o tym, że znowu zostały ranne dzieci z sierocińca, ale szczęśliwym trafem nikt poważnie nie ucierpiał.

Szczęśliwym trafem...

Zacisnęła powieki, lecz tylko na krótką chwilę. Skukin znowu zaczął mówić i Mona zmusiła się do słuchania.

– Po udanej akcji przezornie zniknąłem z Charkowa. Tydzień później byłem już w Moskwie. Ten Order Czerwonego Sztandaru wręczył mi osobiście przewodniczący Riewwojensowietu. Władza radziecka docenia zasługi, a nowa Rosja potrzebuje stanowczych ludzi z dialektycznym myśleniem. Widzi pani trzy romby? – Skukin dotknął naszywki na rękawie. – Komkor. To jak dawniej generał lejtnant. Zawsze wiedziałem, że będę generałem, incydent w Charkowie stał się moim Tulonem.

A więc dlatego nie kryje zadowolenia, domyśliła się Mona. Znowu napawa się swoim niebywałym triumfem życiowym.

– To tak na marginesie naszej dawnej dyskusji o samcu alfa. – Skukin mrugnął porozumiewawczo.

Okazuje się, że jego szczerłość wynikała z czegoś jeszcze. Erast mówił, że każdy *xiaoren*, mały człowiek, jest bardzo pamiętliwy.

– Jeśli zamierza się pani rozsłochać albo obrzucić mnie przekleństwami, proszę niezbyt głośno. To przyzwoity hotel. – Triumfator nie przestawał szydzić. – A może obejrzymy film „Straszna zemsta azjatyckiej wdowy”?

– Cóż ja, samotna, słaba kobieta, mogę panu zrobić? Muszę myśleć o dziecku – powiedziała Mona cicho. – W dodatku pański asystent bardzo dokładnie mnie przeszukał.

– Nawiasem mówiąc, on też znał pani małżonka. Co prawda przelotnie. Ej, Riewazow!

Widocznie asystent stał tuż przy drzwiach, one bowiem od razu się otworzyły.

– Odprowadźcie panią Fandorin. Muszę zająć się dokumentami.

Nic więcej nie rzekłszy Skukinowi, Mona zatrzymała wzrok na pochmurnej twarzy oficera, po czym powoli opuściła apartament.

Takim samym somnambulicznym krokiem wyszła na zalaną słońcem esplanadę. Obejrzała się na okna. Z jednego, szeroko otwartego, dobiegały czyste dźwięki fletu. Komkor Skukin oddawał się słodkim wspomnieniom.

Mona odeszła trochę dalej, usiadła na ławce, gdzie czekał Masa.

– Miał pan rację, a ja się myliłam. To nie Romanow, tylko Skukin – powiedziała, wpatrując się w góry po drugiej stronie jeziora. – Narożne okno na pierwszym piętrze.

Japończyk skinął głową w milczeniu, włożył słomkowy kapelusz, wstał.

– Chwileczkę. Jest tam jeszcze jeden. Wysoki, czarnowłosey. On też maczał w tym palce. Nie wiem dokładnie, ale gdy popatrzyłam mu w oczy, to jakby ktoś przejechał paznokciem po szkle.

– Pomyślę o nim. – Masa pochylił głowę. – Idź na stację, pani. Widzisz chmury nad górą? Niedługo zaczną padać. Przemokniesz.

– Posiedzę tutaj. Siły mnie opuściły – odparła, powtarzając w myślach wciąż to samo zdanie: Nie zostało nic, zupełnie nic. Nie zostało nic, zupełnie nic.

*

Komkor dotarł do finału *Serenady* Haydna i zaczął grać *Scherzo* Bacha, które jeszcze lepiej oddawało jego wspaniałą nastrój. Podeszedł do otwartego okna, zapatrzył się na słonecznego zajęczka płasającego na końcu instrumentu.

Słyszając skrzypienie z tyłu, domyślił się, że Riewazow stanął za nim i cierpliwie czeka. Oderwał wargi od ustnika, nie obracając się, zapytał:

– Co?

Asystent zrównał się ze Skukinem, kierując wzrok w dal. Pochodził z Kaukazu, więc lubił góry.

– Nie lekceważyłbym tej kobiety. Nie spodobało mi się jej spojrzenie. Sam pan zawsze powtarza: strzeżonego Pan Bóg strzeże. GPU w Szwajcarii ma niezłą agenturę. Znajdą i zrobią, co trzeba.

– Właśnie tak zamierzałem postąpić. Spotkanie sprawiło mi przyjemność, ale za przyjemności trzeba płacić. Niech się pan tym zajmie.

Skukin przymknął powieki, szykując się do dalszej gry. Z boku dobiegł go jednak dziwny dźwięk, więc zerknął z ukosa.

Riewazow rzeźił chrapliwie. Chwycił się ręką za gardło, wyszarpnął małą szpilkę, wbił w nią zdumiony wzrok, pokazał palcem gdzieś na dół, ale nic nie powiedział, tylko runął twarzą na parapet.

Bezwiednie podążając spojrzeniem za wyciągniętym palcem, Skukin zobaczył pod oknem na nabrzeżu skośnookiego jegomościa w garniturze w kratkę. Poznał, wydał cichy okrzyk.

Azjata trzymał rurkę przy ustach, więc obaj ze Skukinem wyglądali jak duet flecistów.

Coś ukłuło komkora w nos. Zezując, z oburzeniem wybałuszył oczy na szpilkę, która wzięła się nie wiadomo skąd.

Na dole, na esplanadzie, Masa uniósł kapelusz i się uklonił. Nie

czekał, aż konający mężczyzna runie na podłogę. Skukin jeszcze kołysał się na obcasach, jeszcze otwierał usta, a Japończyk już się oddalał, spoglądając na jezioro. Tafla pokryła się zmarszczkami, zawirował nad nią pył wodny, niebo gwałtownie poszarzało, zaczął siąpić zimny deszcz, który szybko przybierał na sile.

Masa nie zwracał uwagi na ukośne strugi. Czuł smutek i spokój.

Wszystko jest jak należy, myślał. Pani będzie zadowolona. To dobrze, że wreszcie skończyło się lato. Teraz przestanie całymi dniami leżeć w łóżku, odwracając się od słońca. Zabierze syna. Będzie żyć. Nie jestem jej już potrzebny. Jemu też. Czego mogę nauczyć europejskiego chłopca? Mam sześćdziesiąt dwa lata, a nic nie wiem i nie potrafię. Może tylko zabijać złych ludzi, którzy i beze mnie nie uniknęliby swojej karmy. Wystarczy, sprzykrzyło mi się.

Jak tam brzmi ostatni trójwiersz świętobliwego Muzena?

Ileż to razy
Snułem tę samą sutrę!
Wszystko ma swój kres.

空

⁴² Tymi słowami Maniłow wita odwiedzającego go Cziczikowa w powieści *Martwe dusze* M. Gogola (przyp. tłum.).

⁴³ Przybycie delegacji radzieckiej (fr.).

44 Komkor (*komandir korpusa*) – dowódca korpusu, odpowiednik generała broni (przyp. tłum.).

45 GPU (*Gosudarstwiennoje političeskoje uprawlenie*) – Państwowy Zarząd Polityczny (policja polityczna utworzona z CzeKa) (przyp. tłum.).